

# GRZESZNICA

Petra Hammesfahr



ABENKA  
Redakcja Literacka Białony

GRZESZNICA  
Petra Hammesfahr

Oryginalny kryminal dotyczący bolesnych spraw molestowania seksualnego oraz roli pierwszej miłości, ułokowanej w niewłaściwej osobie. Przeszłość wypierana przez lata ze świadomości teraz ujawnia swą niszczyielską moc.

Młoda kobieta, będąc na sobotniej majówce z mężem i dwuletnim synkiem, zadaje śmiertelny cios nożem przypadkowo spotkanemu mężczyźnie, bezwstydnie obściskującemu na kocu jakąś dziewczynę. Bezsensowna zbrodnia?... Już na pierwszy rzut oka można stwierdzić brak równowagi psychicznej u sprawczyni. Pewien policjant nie przyjmuje jednak takiej wersji do wiadomości. W toku długiego, mozolnego śledztwa odkrywa ponure tajemnice z dzieciństwa i wczesnej młodości kobiety.

„Grzesznica” jest drugą, po bardzo dobrze przyjętej „Matee”, powieścią pióra Petry Hammesfahr na rynku polskim. Książki tej urodzonej w 1951 r. w Kerpen pod Kolonią pisarki od kilku lat cieszą się uznaniem czytelników oraz krytyki. Niejedna została przetłumaczona na obce języki. Nieznany w Polsce „Der stille Herr Genardy” („Cichy pan Genardy”) doznał ekranizacji. Z kolei „Grabarz lalek” (w sprzedaży początek 2005 r.), „Lukkas Erbe” („Spadek Łukasza”) oraz wspomniana już „Matka” od miesięcy utrzymują się na listach bestsellerów.

Patroni medialni:



<http://ksiegarnia.bellona.pl>

# GRZESZNICA

Petra Hammesfahr



Redakcja Literacka Bellony

Warszawa

Tytuł oryginału:

*Die Sunderin*

Projekt graficzny okładki:

Barbara Kuropiejska-Przybyszewska.

Redakcja:

Margarita Kardasz

Redaktor prowadzący:

Zofia Gawryś

Redaktor techniczny:

Elżbieta Bryś

Copyright © 1999 by Rowohlt Verlag GmbH, Reinbek bei Hamburg

Copyright for the Polish edition by Dom Wydawniczy Bellona,  
Warszawa 2004 © Copyright for the Polish translation by  
Barbara Tarnas,

Warszawa 2004

Naświetlanie: tudio Grafiki Komputerowej  
Domu Wydawniczego Bellona Atena Press, tel. (0-22) 620-  
20-44 w. 440

Dom Wydawniczy Bellona prowadzi sprzedaż wysyłkową  
swoich książek za zaliczeniem pocztowym  
z 20-procentowym rabatem od ceny detalicznej  
Nasz adres: Dom Wydawniczy Bellona  
ul. Grzybowska 77, 00-844 Warszawa  
dla Wysyłki: tel. (0-22) 45-70-306, 652-27-01, fax (22) 620-42-71  
e-mail: [biuro@bellona.pl](mailto:biuro@bellona.pl)  
Internet: [www.bellona.pl](http://www.bellona.pl)

ISBN 83- I 1- I 0050-0

# Rozdział 1

Był gorący dzień na początku lipca, gdy Cora Bender zdecydowała się umrzeć. Tej nocy spała z Gereonem. Sypiała z nim regularnie w piątkowe i sobotnie wieczory. Nie potrafiła go odrzącić, zbyt dobrze wiedziała, jak bardzo tego potrzebował. A poza tym kochała Gereona. To była więcej niż miłość. Wdzięczność, bezwarunkowe oddanie, to było coś absolutnego.

Gereon sprawił, że mogła być taka jak wszyscy - normalną młodą kobietą. Dlatego chciała, by czuł się szczęśliwy i zadowolony. Dawniej jego pieszczoty sprawiały jej przyjemność, pół roku temu przestały.

W Wigilię Gereon wpadł na pomysł, by włączyć w sypialni radio. To miała być wyjątkowo piękna noc. Dwa i pół roku wcześniej wzięli ślub, a przed osiemnastoma miesiącami urodził się ich syn.

Gereon miał dwadzieścia siedem lat, Cora Bender dwadzieścia cztery. Gereon miał niecały metr osiemdziesiąt wzrostu, był szczupły, wyglądał na wysportowanego, choć nie trenował, bo brakowało mu na to czasu. Jego włosy, po urodzeniu tak jasne, że niemal białe, z wiekiem tylko nieznacznie ściemniały. Twarz miał ani piękną, ani brzydką, była to przeciętna twarz, tak jak Gereon był właściwie przeciętnym człowiekiem.

W wyglądzie Cory Bender także nie zauważało się nic szczególnego, pomijając bliznę na czole i zabliznione stawy łokciowe. Znamię na głowie było skutkiem wypadku, brzydkie ślady na rękach pozostały po zapaleniu wywołanym przez igły używane do zastrzyków w szpitalu - tak

wyjaśniła Gereonowi. Dodała, że nie przypomina sobie szczegółów. To ostatnie było prawdą. Lekarz powiedział wtedy, że przy ciężkich urazach czaszki często dochodzi do utraty pamięci.

W jej życiu istniała dziura. Skrywała brudny, ciemny rozdział. Cora wiedziała o tym, choć nie miała wspomnień. Przed kilkoma laty w niezliczone noce wciąż wpadała w tę przepaść. Ostatni raz cztery lata temu. Wtedy jeszcze nie знаła Gereona. I w jakiś sposób udało się jej wówczas ją zamknąć. Odkąd wyszła za mąż, nie sądziła, że może znowu w nią runąć. A potem stało się to - właśnie w Wigilie.

Początkowo wszystko było w porządku, cicha muzyka i czułości Gereona, które stopniowo stawały się coraz bardziej intensywne i natręcyjne. Powoli przesunął się po niej w dół, wtedy zaczęło być niemiło. A gdy schował głowę między jej nogi i poczuła jego język, muzyka zabrzmiała głośniejsz. Usłyszała szybkie uderzenia perkusji, gitarę basową i wysokie, ostre dźwięki organów - tylko przez ułamek sekundy - w następnej chwili wszystko minęło. Ale ten krótki moment wystarczył.

Coś w niej pękło lub rozpadło się niczym dobrze zamknięte drzwi skarbca pod wpływem palnika. To było nierzeczywiste uczucie. Jak gdyby nie leżała już we własnym łóżku. Poczowała twarde podłoże pod plecami i coś w ustach, jakby niezwykle gruby kciuk przyciskał jej język w dół i powodował okropne uczucie duszenia się.

Sprzeciw był odruchowy. Zarzuciła kolana na plecy Gereona i zacisnęła uda na jego szyi. Niewiele brakowało, a złamałaby mu kark lub udusiła. Początkowo nic nie zauważyła, tak daleko znajdowała się w tej chwili. Dopiero gdy Gereon krztusząc się i dysząc uszczypnął ją i wbił paznokcie głęboko w jej miękką talię, ból przywołał Corę do stanu pierwotnego.

Gereon z trudem chwycił oddech. - Zwariowałaś? Co cię napadło? - Potarł kark, kaszlnął, obmacał szyję i popatrzył na nią potrząsając głową.

Nie rozumiał jej reakcji. Ona także nie wiedziała, dlaczego nagle zrobiło się to aż tak wstrętne i odpychające. Tak straszne, że przez chwilę sądziła, że czuje na sobie język śmierci.

- Po prostu tego nie lubię - odparła i zastanowiła się, co słyszała. Muzyka wciąż brzmiała cicho i łagodnie. Dziecięcy chór śpiewał: „Cicha noc, święta noc. Pokój niesie ludziom wszem”. Cóż więcej w taki wieczór?

Niespodziewany atak odebrał Gereonowi całą ochotę. Wyłączył radio, zgasił światło i naciągnął kołdrę na ramiona. Nie życzył jej dobrej nocy, tylko burknął: - Nie to nie!

Zasnęła szybko. Później nie umiała powiedzieć, czy ona też zasnęła. W pewnym momencie okazało się, że siedzi wyprostowana na łóżku, wymachując pięściami i krzycząc: - Przestańcie! Zostawcie! Zostawcie mnie! Przestańcie, wy świnię! - A w głowie huczały jej wstrętne uderzenia perkusji, basowa gitara i ostre dźwięki organów.

Gereon obudził się, złapał ją za ręce, potrząsnął i także krzyknął. - Cora! Przestań! Co się dzieje? - Nie umiała przestać i nie umiała się obudzić. Siedziała w ciemnościach i na próżno walczyła z czymś, co powoli zbliżało się do niej, z czymś, o czym wiedziała tylko, że przez to traci rozum.

Dopiero gdy Gereon kilkakrotnie uderzył ją lekko w twarz, oprzytomniała. Spytał, co się z nią stało. Czy czegoś jej nie zrobił. Nie myślała dość jasno, by mu od razu odpowiedzieć. Tylko na niego popatrzyła. Po kilku sekundach znowu się położył. Poszła za jego przykładem, obróciła się na bok i próbowała sobie wmówić, że był to tylko zwykły zły sen.

Jednak następnej nocy, gdy Gereon próbował nadrobić straty, stało się tak samo, choć tym razem w sypialni nie

było radia, a on nie zmierzał do tego, co uważał za najwyższy wyraz miłości. Na początku zabrzmiała muzyka, nieco głośniejsza i dłużej, na tyle długo, by mogła stwierdzić, że nigdy nie słyszała tej melodii. Potem wpadła w czarną dziurę, z której wydostała się, krzycząc i bijąc pięściami wokół siebie. Nie obudziła się, nastąpiło to dopiero wtedy, gdy Gereon potrząsnął ją i uderzył w policzki, wykrzykując jej imię.

W pierwszym tygodniu stycznia zdarzyło się to dwa razy, w drugim raz, bo Gereon w piątek był zbyt zmęczony. A przynajmniej twierdził, że jest zmęczony. W sobotę powiedział jednak: - Zaczynam mieć dość tego cyrku. - Może już w piątek o to chodziło.

W marcu Gereon zaczął nalegać, by poszła do lekarza. - To nie jest normalne, musisz przyznać. Trzeba wreszcie coś z tym zrobić. A może już zawsze ma tak być? Jeśli tak, to będę spał na kanapie.

Nie poszła do lekarza. Lekarz na pewno spytałby, czy może wytłumaczyć ten dziwny koszmar lub przynajmniej wie, dlaczego pojawiał się zawsze wtedy, gdy Gereon chciał z nią spać. Lekarz zacząłby pewnie dłużyć w dziurze, wmawiałby jej, że należy sobie uświadamiać takie sprawy. Lekarz nie zrozumiałby, że istnieją rzeczy zbyt potworne, by je sobie uświadomić. Spróbowała więc szukać pomocy w aptece. Doradzono jej łagodny środek nasenny. Dzięki temu ustały krzyki i wymachiwanie pięściami, a Gereon przyjął, że wszystko znowu jest w porządku. Nie było.

Z każdym końcem tygodnia było gorzej. Już w maju przed piątkowym wieczorem odczuwała niemal zwierzęcy strach, który powoli pożerał ją od środka. Piątkowe popołudnie na początku lipca okazało się piekłem

Siedziała w biurze, które było niczym innym jak kącikiem oddzielonym od reszty magazynu. Na biurku świeciła się



lampa, krąg światła dotykał faksu wskazującego datę i godzinę.

4 lipca 16.50! Jeszcze dziesięć minut do końca pracy. Około pięciu godzin, zanim Gereon wyciągnie po nią rękę. Najchętniej zostałyby tu do poniedziałku rano. Dopóki siedziała za biurkiem, była pracowita i bystra, była siłą napędową w firmie teścia.

Zakład rodzinny, tylko ona, teść, Gereon i jeden pracownik, Mani Weber. Przedsiębiorstwo instalacyjne, ogrzewanie i hydraulika, a bez niej nic nie działało. Była dumna z zajmowanego stanowiska, o swoje miejsce w hierarchii musiała ciężko walczyć.

W dzień po weselu teść zażądał, by zajęła się pracą w biurze. I nie pozwolił sobie nic powiedzieć. - Co to znaczy nie umiem? Masz przecież oczy! Zajrzyj do ksiąg, to się nauczysz. A może myślałaś, że będziesz tu siedzieć na czterech literach i próżnować?

Nigdy nie było w jej zwyczaju, by siedzieć na czterech literach i próżnować. To mu też powiedziała. Stary skinął głową. - Więc ustalone.

Do tej pory musiał wieczorami sam porządkować papiery. Teściowa potrafiła zaledwie obsługiwać telefon. Ona sama początkowo umiała niewiele więcej.

Stary nigdy jej niczego nie doradził, nigdy nie udzielił żadnej wskazówki, jak do tej pory załatwiał sprawy. Ażeby jeszcze można było zorientować się w księgach - do tego powinny być porządnie prowadzone. Czasami zdawało się, że stary napawa się jej bezradnością. Ale wkrótce przestała być bezradna.

Szybko pojęła, o co chodziło, i zaczęła się przegryzać. Nic nie spadało jej z nieba, musiała walczyć nawet o przegrody oddzielające biurowy kącik od reszty magazynu.

W ciągu pierwszego roku siedziała w rogu, mając przed oczami wielkie pomieszczenie, które było wiecznie brudne

i nigdy nie ogrzewane; siedziała przy starym stole kuchennym sprawiającym, że czuła się jak u matki. Nie miała odwagi się sprzeciwić, choć stary nawet nie płacił jej pensji. Gereon także dostawał tylko kieszonkowe. Mieszkali i jedli za darmo, samochód Gereona należał do firmy. Gdy potrzebowali czegoś jeszcze, Gereon musiał prosić.

Ciąża także nie poprawiła sytuacji i nie zapewniła jej nieco więcej wygody. Do ostatniej chwili siedziała w kącie magazynu. Gdy nadeszły bóle, pracowała właśnie nad wstępnym kosztorysem instalacji centralnego ogrzewania gazowego; stała nad stołem, bo nie mogła dłużej siedzieć z bólem pleców. Teściowa wpadła w histerię, że wszystko dzieje się tak szybko. Kilka silnych skurczów, błona płodowa pękła, a ona poczuła niewyobrazalny ucisk w podbrzuszu.

Wcześniej nie chciała iść do szpitala, wtedy zawołała jednak: - Potrzebuję karetki! Zadzwoń po karetkę!

Teściowa tylko stała wskazując na stół.

- Jeszcze nie skończyłaś. Lepiej najpierw skończ. Nie może być tak źle. Nie rodzi się dziecka w dziesięć minut. Z Gareonem męczyłam się cały dzień. Ojciec będzie zły, jeśli to nie będzie gotowe na dziś wieczór. Wiesz przecież, jaki jest.

Wiedziała nazbyt dobrze. Od ślubu mieszkali przecież pod jednym dachem. Stary był tyranem, wyzyskiwaczem. Teściowa, pokorne babsko, podlizywała się górze, deptała dół. Gereon wypełniał tylko rozkazy, a ona pełniła rolę służącej, tanio zakupionej na wielkim rynku w zamian za iluzję porządnego życia, czyli praktycznie za nic.

Stała tak zgięta nad starym kuchennym stołem, wśród brudu, patrząc na kałużę rosnącą u jej stóp, przyciskając dłoń między nogami i czując rosnące tam wybrzuszenie, i nagle było tego za wiele. Lepiej najpierw skończ? Nie!

W szpitalu miała czas, by spokojnie zastanowić się nad własnym życiem. Zrozumiała, że tak zwane porządne zwy-

czaję miały swoje wady, że w tym otoczeniu żaden sen nie spełniał się sam z siebie. Pytanie brzmiało, ile mogła zaryzykować. Ale z dzieckiem na ręku było łatwiej, dodatkowe siedem funtów wagi wspierało każde żądanie.

Gdy kilka dni później wróciła do domu, zaczęła realizować swoje postanowienia. Zyskała wtedy miano bezczelnej i wyrachowanej istoty. Baba w spodniach, mawiał często stary. Z pewnością nie była taka, ale w razie potrzeby umiała udawać. A pytanie się o pozwolenie i tak nic by nie dało.

Urządziła sobie biuro, wyposażyła je w biurko, szafkę na dokumenty i grzejnik. Przyznała sobie prawo także do innych rzeczy, zaczęła wypłacać sobie i Gereonowi pensję. Stary wpadł w szal, mówił o bezwstydnosci i pazerności.

- Gdzie się nauczyłaś sięgać do kasy innych ludzi?

Serce podeszło jej do gardła, ale odpowiedziała mu.

- Albo będziemy opłacani tak jak inni, albo zaczniemy pracować u kogo innego. Możesz wybrać. Możesz też dowiedzieć się, ile płacą w pozostałych zakładach. Zobaczysz, że i tak dobrze na tym wychodzisz. I nigdy nie mów, że sięgam do twojej kasy! Pracuję na swoje pieniądze!

Ciężko było sprzeciwić się staremu. Udało się, a przed ponad rokiem wywalczyła nawet własny dom. Mimo dziecka kilkakrotnie obawiała się, że pokaże jej drzwi. - Idź tam, skąd przyszłaś. - A Gereon tylko by stał z zakłopotaną miną. Ani razu jej nie poparł, nigdy nie otworzył ust w jej

Wkrótce po narodzinach dziecka z gorzkim rozczarowaniem stwierdziła, że nie może liczyć na jego pomoc. Teraz nie miało to już znaczenia. Taki po prostu był, wykonywał swą pracę, a poza tym chciał spokoju - a w piątki i soboty trochę miłości! Nie potrafiła z tym walczyć, bo miłość była czymś dobrym, czymś pięknym, czymś zupełnie naturalnym i normalnym.

4 lipca 16.52! Musiała jeszcze wypisać rachunek. Odłożyła go, by w ostatnich minutach odciągnąć ją od innych myśli. Nowy kocioł grzewczy. Gereon zamontował go w środę razem z Manni Weberem. Na przyszły tydzień zaplanowane były dwa następne. Nowe rozporządzenie o zanieczyszczeniach zmusiło ludzi do wymiany urządzeń. Rozporządzenie weszło w życie już przed paroma laty, ale wiele osób obawiało się kosztów i czekało, dopóki okręgowy kominiarz nie zaczął grozić, że wyłączy stary kocioł.

W jakiś sposób taka postawa była śmieszna. Człowiek wiedział dokładnie, co nastąpi. I nie robił nic! Chciał przeczekać. Jak gdyby stary kocioł z dnia na dzień, i całkiem samodzielnie mógł dostosować wypuszczane zanieczyszczenia do surowszych norm, jak gdyby dziura w twoim wnętrzu mogła się z minuty na minutę ponownie zamknąć.

Cztery lata temu tak się stało. Nie z minuty na minutę, trwało to kilka miesięcy. I nie było wtedy Gereona, który jednym ruchem ręki niszczył misterną konstrukcję budowaną przez parę dni.

4 lipca, 16.57! Poza rachunkiem nic już nie zostało do zrobienia. W zeszły piątek mogła się jeszcze przez chwilę zająć wyliczaniem pensji. To była tylko iluzja, ale tak czy siak pozwalała opanować panikę. Nie czuła wyłącznie strachu czy zwykłego niepokoju. Jej umysł wypełniała szaro-czerwona mgła, wciskała się w każdy kącik i blokowała każdy nerw.

Koniec pracy! Zesztywniałymi palcami wyjęła papier z maszyny i starannie sprawdziła poszczególne dane. Nie było czego poprawiać, musiała jeszcze tylko nieco ogarnąć biurko. Na koniec przerzuciła kartkę kalendarza na następny tydzień. Poniedziałek! Dzieliły ją od niego dwie wieczności - to jakby dwa razy umrzeć. A ona już była na wpół martwa.

Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Jak na szrudłach przeszła przez małutkie biuro i magazyn na podwórze. Na

zewnątrz było bardzo ciepło. Słońce niczym twarz dziecka śmiało się z bezchmurnego nieba. Raziło tak mocno, że jej oczy zaczęły łzawić. Niewiele miało to jednak wspólnego z ostrym światłem.

Przy ulicy przed nią stał dom teściów. Jej własny znajdował się na miejscu dawnego ogrodu. Był to duży dom z nowoczesnym wyposażeniem, a w nim jak marzenie - kuchnia z jasnego dębu. Zazwyczaj Cora szczyliła się tym wszystkim. Chwilowo nie istniały jednak uczucia takie jak duma czy pewność siebie. Tylko strach, ten szaleńczy strach, że zwariuje. Zwariować było dla niej czymś gorszym niż śmierć.

Prawie do siódmej zajmowała się gospodarstwem. Gereon jeszcze nie przyszedł. W każdy piątek szedł z Manni Weberem do baru i wypijał jedno lub dwa piwa, nigdy więcej niż dwa, a jeśli już, to bezalkoholowe. Punktualnie o siódmej spotykali się wtedy w domu teściów na kolacji.

O ósmej wrócili do domu. Synka zabrała ze sobą i od razu położyła go spać. Musiała go tylko zanieść do łóżka, teściowa już wcześniej założyła mu pieluchę i piżamkę.

Gereon usiadł przed telewizorem, obejrzał najpierw wiadomości, potem film. O dziesiątej przybrał swój niespokojny wyraz twarzy. Zapalił jeszcze papierosa. Zanim to zrobił, powiedział: - Zapalę jeszcze jednego.

Był napięty i niepewny. Od tygodni nie wiedział, jak ma się zachowywać. Po kilku minutach zgasił papierosa i oznajmił: - Pójdę już na górę. - Równie dobrze mógłby trzasnąć batem lub zrobić coś strasznego.

Ledwo zdążyła się podnieść z fotela, gdy zawołał: - Cora, idziesz? Jestem gotowy.

Wziął prysznic i umył zęby. Jeszcze raz przejechał golarką po policzkach i szyi, wklepał w skórę nieco płynu po goleniu. Czysty, pachnący i przystojny stał teraz w drzwiach łazienki. Na sobie miał tylko slipy. Pod cienkim materiałem

wyraźnie widać było jego erekcję. Uśmiechnął się zakłopotany i przeciągnął dłonią po karku, bo podczas kąpieli zmokły mu tam włosy. Potem spytał niepewnie: - A może nie masz ochoty?

Łatwo byłoby powiedzieć nie. Myślała o tym przez chwilę. Ale przez to problem by nie zniknął. Odłożone nie oznaczało załatwione.

Szybko skończyła się myć. Na półce nad umywalką leżało opakowanie środków nasennych, silniejszych niż na początku, a paczka była jeszcze prawie pełna. Wzięła dwa proszki i popiła wodą z kubka. Potem, po chwili wahania, połknęła pozostałych szesnaście z nadzieją, że wystarczy ich, by skończyć ze sobą. Poszła do sypialni, ułożyła się obok Gereona i zmusiła się do uśmiechu.

Nie robił wiele zamieszania, starał się jak najszybciej mieć to za sobą. Położył rękę na celu i wysunął palec, sprawdzając możliwości. Nie było żadnych. Odkąd spróbował ją tam pocałować, nigdy ich nie było. Przyzwyczał się już do tego, przygotował krem nawilżający, który delikatnie wmasował, zanim uniósł się nad nią i wszedł do środka.

W tym momencie zaczęło się szaleństwo. W pokoju było zupełnie cicho, pomijając oddech Gereona, najpierw wstrzymywany, potem silniejszy i głośniejszy. Poza oddechem nie było nic. A mimo to usłyszała dźwięki płynące z niewidzialnego radia. Po pół roku rytm był tak dobrze znany jak bicie własnego serca; galopujące uderzenia perkusji, którym towarzyszyły akordy basowej gitary i wysokie piski organów. Gdy Gereon przyspieszył, nasiliły się, aż pomyślała, że pęknie jej serce. Potem wszystko minęło, jakby ucięte dokładnie w chwili, gdy Gereon ułożył się obok niej.

Przekręcił się na bok i szybko zasnął. Patrzyła w ciemność i czekała, aż szesnaście tabletek zacznie działać.

Jej żołądek zdawał się być wypełniony płynnym ołowiem, palił i burczał, jakby piekł go ogień. Potem zrobiło się

gorąco i ostro w gardle. Z trudem dotarła do łazienki i zwymiotowała. Później płakała przez sen, płakała w trakcie koszmaru, który rozrywał noc na tysiąc części, płakała wciąż, gdy Gereon potrząsał ją za ramiona i patrzył nic nie rozumiejąc. - Co ci się stało?

- Już nie mogę - odparła. - Po prostu już nie mogę. - Przy śniadaniu wciąż było jej niedobrze i miała silny ból głowy. Często tak się działo pod koniec tygodnia. Gereon ani słowem nie wspomniał o nocnych wydarzeniach, tylko spoglądał na nią z nieufnością i powątpiewaniem.

Zaparzył kawę. Wyszła mu za mocna i jeszcze raz podrażniła obolały żołądek. Gereon wyjął także syna z łóżeczka, posadził go na kolanach i karmił kromką chleba grubo posmarowaną masłem i konfiturą. Był dobrym ojcem, troszczył się o dziecko, gdy tylko znajdował na to czas.

W ciągu tygodnia mały był pod opieką teściowej, spał także u teściów, w pokoju, który niegdyś należał do Gereona. Na sobotę i niedzielę zabierała syna do siebie. A gdy tak siedział u Gereona na kolanach, wydawał się najlepszą rzeczą, jaka jej się przydarzyła w życiu.

Gereon otarł mu konfiturę z brody i kącików ust. - Ubiorę go - powiedział. - Na pewno chcesz go zabrać ze sobą na zakupy.

- Pojadę dziś później - odparła. - A w taki upał lepiej go zostawię.

Była dopiero dziewiąta, a termometr wskazywał już dwadzieścia pięć stopni. Ból głowy niemal wyciskał jej oczy z czaszki. Nie mogła myśleć, a musiała wszystko zaplanować i wykonać to starannie. Spontaniczna próba, taka jak w nocy, nie była dobra, zbyt wielu rzeczy nie wzięła pod uwagę. Gdy Gereon zajmował się trawnikiem, przyniosła od teściowej jedną z silnych tabletek przeciwbólowych dostępnych tylko na receptę. Potem wysprzątała kuchnię,

łazienkę, schody i przedpokój tak dokładnie, jak nigdy przedtem. Wszystko musiało być w idealnym porządku.

O jedenastej zabrała syna do teściowej i z dwiema pustymi torbami na zakupy udała się do samochodu. Auto zdawało się najprostszym rozwiązaniem. Jednak gdy wyjechała, porzuciła ten pomysł. Samochód był potrzebny Ge-reonowi. Jak inaczej dojechałby w poniedziałek do klientów? Nie leżało też w jej naturze niszczenie czegoś, co kosztowało tak dużo

Z przyzwyczajenia pojechała do supermarketu. Napełniając koszyk, rozważała inne możliwości. Nic jej nie przychodziło do głowy. Przy stoisku z wędlinami stało kilkanaście kobiet. Zastanawiała się, ile z nich z tęsknotą oczekiwało wieczoru, a ile czuło się tak samo jak ona. Żadna! Tego była pewna.

Stanowiła wyjątek. Zawsze była wyjątkiem, samotniczką z blizną na czole. Cora Bender, dwudziestopięcioletnia, delikatna, szczupła, od trzech lat zameżna, matka prawie dwuletniego synka, którego urodziła w zasadzie na stojąco, zaraz po wejściu do karetki.

Nagły poród, tak powiedzieli lekarze. Teściowa uważała inaczej. - Musiała taka długo się puszczać, wtedy na dole jest dostatecznie szeroka, by stracić dziecko w ten sposób. Kto wie, co ona wcześniej robiła! Z pewnością nic dobrego, skoro rodzice nie chcą o niej słyszeć. Nie przyszli nawet na wesele. Człowiek się zastanawia dlaczego?

Cora Bender, rudawobrzowe, długie do ramion włosy opadające na czoło w ten sposób, że zasłaniały uszkodzoną kość i krzywą bliznę. Ładna pociągła twarz o niepewnym, bezradnym wyrazie, jak gdyby zapomniiała włożyć do koszyka jakiś produkt. Małe dłonie, które tak mocno zaciskały się na uchwycie koszyka, że ostro wystawały białe kostki. Brązowe oczy niespokojnie spoglądające na towary w koszyku, liczące opakowania jogurtu, zatrzymujące się na



tacce z jabłkami. Sześć jabłek, dużych i soczystych, o złotej skórce. Golden Delicious. Uwielbiała ten gatunek. Uwielbiała także życie. Ale jego już nie było. Dokładniej rzecz biorąc nie było go nigdy. I wtedy przyszło jej do głowy, jak może doprowadzić rzecz do końca.

Po południu, gdy minął najgorszy upał, pojechali nad Otto-Maigler-See. Gereon prowadził. Nie był zachwycony jej pomysłem, ale nie protestował. Okazał swój zły humor w inny sposób, nie mając pojęcia, że umacnia w ten sposób jej decyzję. Przez kwadrans krążył po zakurzonym parkingu położonym najbliżej wejścia.

Dalej było dużo wolnych miejsc. Kilkakrotnie zwróciła mu na to uwagę. - Nie mam ochoty dźwigać tych wszystkich kłopotów taki kawał - odparł.

W samochodzie panował upał. Podczas podróży nie mogli opuścić szyb. W przeciągu dziecka łatwo by się zaziębiło. Gdy wyjechali, była spokojna. Kręcenie się po parkingu zdenerwowało ją. - Zdecyduj się wreszcie - powiedziała ostro. - Inaczej w ogóle przestanie się opłacać.

- Gdzie ci się tak spieszy? Nie chodzi przecież o kilka minut. Może któryś odjedzie.

- Co za bezsens. O tej porze nikt nie jedzie do domu. Albo wreszcie zaparkujesz, albo mnie wysadź, to pójdę pieszo. Jeśli o mnie chodzi, możesz się tu kręcić do samego wieczora.

Była czwarta. Gereon skrzywił się, ale milczał. Podjechał kawałek na wstecznym, choć wiedział, że ona tego nie znosi. W końcu zaparkował tak blisko innego samochodu, że drzwi po jej stronie nie dawały się otworzyć.

Wydostała się na zewnątrz, lekki powiew musnął jej czoło przynosząc ulgę. Potem schyliła się znowu do dusznego samochodu, sięgnęła po torbę, zawiesiła ją na ramieniu i uwolniła dziecko z fotelika na tylnym siedzeniu. Postawiła

synka obok auta i przeszła na tył, by pomóc Gereonowi w rozpakowywaniu.

Wzięli wszystko, co może być potrzebne, gdy się spędza popołudnie nad jeziorem. Później nikt nie powinien niczego podejrzewać. Koc i parasol od słońca wcisnęła pod ramię, na którym wisiała już torba. Obydwa leżaki chwyciła w drugą rękę, dla Gereona zostały tylko chustki, turystyczna lodówka i dziecko.

Zamrugnęła oczami w rażącym świetle. Na wielkim placu nie było odrobiny cienia. Na skraju rosło tylko kilka krzaków, zakurzonych raczej niż zielonych. Okulary leżały głęboko schowane w torbie. Nie założyła ich w samochodzie, tylko opuściła klapkę. Gdy szła, leżaki uderzały ją po nodze. Wystający kawałek metalu drapał niemiło gołą skórę i zostawiał czerwony

Gereon dotarł do bramki przy wejściu i czekał na nią. Ręką wskazywał na drucianą siatkę, tłumacząc coś dziecku. Ubrany był tylko w szorty i sandały. Górna część ciała była naga, skóra brązowa i gładka. Miał dobrą figurę, szerokie plecy, umięśnione ramiona i wąskie biodra. Gdy tak stał, nabrała pewności, że szybko znalazłby sobie inną. Podeszła, a on nie ruszył się z miejsca i nie spróbował czegoś od niej zabrać.

Przed wejściem należało pokazać dowód opłaty za parking. Wcześniej go schowała, odstawiła więc leżaki i zaczęła szukać w torbie portfela. Przcisnęła rękę przez pieluchy i świeżą bieliznę obok dwóch jabłek, banana i kawałka keksu, poczuła między palcami plastikową łyżeczkę do jogurtu, potem ostrze małego nożyka do obierania. Prawie się zacięła. W końcu natrafiła na skórzany portfel, otworzyła go, złapała bilety i pokazała je kobiecie przy bramce. Następnie podniosła leżaki i w ślad za Gereonem

Musieli przejść daleko po wydeptanym trawniku, przepychać się między niezliczonymi kocami, siedzącymi ludź-

mi i bawiącymi się dziećmi. Pasek torby wrzynał się w ciało. Ręka przyciskająca koc i parasol zdrętwiała. Noga bolała w miejscu, gdzie metalowa część leżaka drapała skórę. Były to czysto zewnętrzne doznania, które już jej nie przeszkadzały. Skończyła z życiem, starała się tylko zachowywać normalnie i nie robić nic, co mogłoby zaniepokoić Gereona. Chociaż było mało prawdopodobne, by właściwie odczytał zdradliwy gest lub

W końcu zatrzymali się w miejscu dającym przynajmniej złudzenie cienia - rosło tam wątłe drzewko z rzadką koroną, liście zwisały w dół niczym uśpione. Pień nie był grubszy niż ramię.

Położyła bagaże na trawie, rozpostarła parasol i wbiła go ostrym końcem w ziemię. Pod spodem rozłożyła koc, a leżaki ustawiła obok. Gereon posadził synka na kocyku i przesunął lodówkę pod parasol. Potem usiadł, zdjął dziecku buty i skarpetki, ściągnął mu przez głowę cienką koszulkę i zsunął kolorowe spodenki.

Mały siedział w białych majteczkach nad paczką pieluch. Z okrągłą fryzurką wyglądał prawie jak dziewczynka. Spojrzała na niego i zastanowiła się, czy brakowałoby mu jej, gdyby odeszła. Pewnie nie, skoro i tak większość czasu spędza u teściowej.

To było dziwne uczucie, stać wśród wszystkich tych ludzi. Za nimi na kilku kocach rozłożyła się liczna rodzina. Ojciec, matka, dziadek, babcia, dwie małe dziewczynki, cztero- i pięcioletnia, w bikini z falbankami. Niemowlę w pieluszce raczkowało pod parasolem.

Tak jak w supermarkecie zastanowiła się, co dzieje się w głowach innych ludzi. Babcia za drzewkiem bawiła się z niemowłkiem. Obaj mężczyźni wylegiwali się na słońcu. Dziadek położył na twarzy gazetę, ojciec nasunął czapkę na oczy. Matka wyglądała na zmęczoną. Krzyknęła do jednej z dziewczynek, by wytarła sobie nos, szukając przy

tym w koszu chusteczek. Na prawo od nich siedziała na leżakach starsza para. Na lewo kawałek trawnika był wolny. Gromadka dzieci grała tam w piłkę.

Zdjęła koszulkę i zsunęła spódnicę, pod spodem miała kostium kąpielowy. Poszukała w torbie okularów słonecznych, włożyła je i usiadła na leżaku.

Gereon także już siedział. - Posmarować cię kremem? - spytał.

- Zrobiłam to w domu.
- Na plecach trudno wszędzie sięgnąć.
- Przecież nie siedzę plecami do słońca.

Gereon wzruszył ramionami, odchylił się do tyłu i zamknął oczy. Popatrzyła na wodę. Przyciągała ją niczym mocno napięty kawałek gumy. Dla wytrawnej pływaczki nie będzie to proste. Ale jeśli wcześniej zrobi okążenie całkiem się przy tym męcząc... Podniosła się znowu, zdjęła okulary i powiedziała: - Idę do wody. - Nie musiała mu tego mówić. Nawet nie otworzył oczu.

Przeszła przez trawnik i wąskie pasmo piasku, zaczęła brodzić w przybrzeżnej płyćźnie. Woda była chłodna i świeża. Gdy zanurkowała, a toń zamknęła się ponad jej głową, przeszedł ją przyjemny dreszcz.

Popłynęła aż do linii oddzielającej strzeżoną plażę od reszty jeziora, a potem przez chwilę wzdłuż niej. Natychmiast ogarnęła ją pokusa, by zrobić to natychmiast - przekroczyć granicę i wypłynąć dalej. Nie było to zabronione. Na drugim brzegu także znajdowało się kilka koców, a na nich grupy siedzących ludzi, tych którzy nie chcieli płacić za wstęp i którym nie przeszkadzało leżenie na kamieniach i zaroślach. Jednak ratownik na drewnianej wieżyczce ustawionej na publicznej plaży miał w zasięgu wzroku także tamten brzeg. Tyle że nie mógł widzieć wszystkiego naraz i wystarczająco szybko dotrzeć na miejsce, jeśli gdzie indziej coś się działo. Założenie było takie, że ktoś krzyknie

o pomoc lub przynajmniej zamacha ramionami. A jeśli w zamieszaniu gdzieś po prostu zniknie czyjaś głowa...

Podobno utopił się tu kiedyś jakiś mężczyzna, ciała nigdy nie znaleziono. Nie wiedziała, czy to prawda, jeśli tak, mężczyzna nadal musiał leżeć na dnie. Mogłaby z nim zamieszkać wśród ryb i wodorostów. W tym wodnym świecie z pewnością było pięknie, nie istniały melodie czy czarne sny, tylko lekki szmer i tajemnicze zielenie lub brązy. Człowiek w jeziorze nie słyszał perkusji. Tylko uderzenia własnego serca. Żadnej gitary ani pisków organów. Tylko szum własnej krwi w uszach.

Po prawie godzinie popłynęła z powrotem, choć przyszło jej to z trudem. W wodzie straciła już większość sił. Czuła także potrzebę pobawienia się jeszcze chwilę z dzieckiem, może wytłumaczenia mu, dlaczego musi odejść. Mały tego nie rozumiał. Chciała także dyskretnie pożegnać się z Gereonem.

Gdy dotarła na swojego koca, starszej pary już nie było. Stały tylko dwa puste rozkładane fotele. Miejsce po lewej stronie zostało zajęte. Zniknęły dzieci z piłką. Leżał tam teraz jasnozielony koc tak blisko jej leżaka, że dotykał go rogiem. Pośrodku stał duży przenośny radiomagnetofon, z którego płynęła muzyka wypełniając popołudnie.

Wokół radia ułożyły się cztery osoby, wszystkie w tym samym wieku co ona i Gereon. Dwóch mężczyzn, dwie kobiety. Dwie pary! Jedni siedzieli wyprostowani z podciągniętymi nogami i tylko rozmawiali. Obie twarze zwrócone profilem. Druga para początkowo w ogóle nie miała twarzy. Leżeli wyciągnięci, kobieta na dole, mężczyzna nad nią.

U kobiety widać było tylko włosy, bardzo jasny blond, niemal białe - i bardzo długie, sięgały jej do bioder. Mężczyzna miał włosy ciemne i kręjące się na karku. Jego

muskularne nogi leżały między rozłożonymi udami kobiety. Rękami obejmował jej głowę. Całował ją.

Widok natychmiast ścisnął jej serce. Oddychała z trudem, poczuła, jak krew odpływa jej do nóg. W głowie miała pustkę. Tylko po to, by znowu ją napełnić, schyliła się pod parasol i chwyciła ręcznik. Aby zagłuszyć przyspieszającą tętno melodię, pogładziła dziecko po główce, zamieniła z nim parę słów, wyciągnęła z torby czerwoną plastikową rybkę i wcisnęła mu ją do rączki.

Potem obróciła leżak tak, że grupa z radiem znalazła się za jej plecami. Mimo to wciąż miała ich przed oczami. Stopniowo jednak obraz zbladł, a ona się uspokoiła. Nie obchodziło jej, co robiła para z tyłu. Było to normalne i nieszkodliwe, muzyka nawet nie przeszkadzała. Ktoś śpiewał coś po angielsku.

Oprócz muzyki słyszała wysoki głos kobiety i rozważny mężczyzny. Musiał to być ten wyprostowany. Gdy tak rozmawiali, odnosiło się wrażenie, że nie zna kobiety zbyt długo. Nazywał ją Alicją. Imię to przypomniało jej o książce, którą miała jako dziecko. Przez jeden dzień! *Alicja w krainie czarów*. Nie przeczytała jej. Nie miała na to czasu przez te kilka godzin. Ojciec opowiedział jej, o czym książka była. Ale opowieści ojca nie miały większej wartości niż jego obietnica: - Pewnego dnia będzie lepiej.

Mężczyzna za leżakiem opowiadał, że chce się usamodzielnąć. Otrzymał dobrą ofertę otworzenia wspólnej praktyki, tłumaczył Alicji. Pozostajej dwójki leżącej na kocu nie było słychać.

Gereon zerknął jej przez ramię i uśmiechnął się. Odruchowo spojrzała do tyłu. Ciemnowłosa mężczyzna podniósł się. Wciąż zwrócony plecami do niej klęczał obok jasnowłosej kobiety, zdjął jej górę bikini i wylewał olejek do opalania między jej piersi. Wyraźnie widać było mokry ślad. Właśnie zabierał się do rozsmarowywania. Kobieta

przeżyła się pod jego dotykiem. Wydawało się, że sprawia jej to przyjemność. Potem ona także usiadła. - Teraz ty  
- powiedziała. - Ale najpierw włączymy prawdziwą muzykę. Przy tym rzępoleniu można zasnąć.

Obok nóg jasnowłosej kobiety leżała kolorowa torba. Sięgnęła do niej i wyjęła kasetę. Ciemnowłosa mężczyzna zaprotestował: - Nie, Ute, nie tę. To nie fair. Skąd ją masz? Oddawaj! - Złapał kobietę za ramię. Pozwoliła się przewrócić na plecy, on opadł na nią. Szamotali się i prawie sturlali z koca.

Gereon wciąż się uśmiechał.

Mężczyzna leżał teraz na plecach, kobieta usiadła na nim, uniosła dłoń z kasetą ponad głowę, śmiała się i dyszała:

- Wygrałam, wygrałam. Nie psuj nam zabawy, skarbie. Ta muzyka jest świetna. - Pochyliła się do magnetofonu. Jej długie blond włosy dotknęły nóg mężczyzny, gdy wkładała kasetę i włączała przycisk. Potem nastawiła głośniej.

Zdanie „nie psuj nam zabawy” i wyrażenie „skarbie” uderzyły Corę i rozkołysały coś w środku. Gdy zabrzmiały pierwsze takty melodii, jasnowłosa kobieta dała się przewrócić i obiema dłońmi objęła twarz mężczyzny. Pocałowała go i przesuwiała biodrami po jego podbrzuszu.

Gereon przybrał swój niespokojny wyraz twarzy. - Posmarować cię kremem? - spytał.

- Nie! - Nie chciała być taka ostra. Ale to, co robiła ta kobieta, i reakcja Gereona wywołały w niej wściekłość. Gwałtownie wstała. Nadszedł czas, by pożegnać się z dzieckiem. Chciała to zrobić w spokoju, a nie z leżącą w pobliżu kobietą, która nazbyt wyraźnie unaoczniła jej to, w czym ona sama zawiodła.

- Mogliby przynajmniej ściszyć muzykę - powiedziała. - Głośna muzyka jest tu zabroniona.

Gereon skrzywił się. - Najchętniej zabroniłabyś ludziom oddychać. Nie unosi się aż tak bardzo. Mnie podoba się

muzyka i reszta też. Ona ma przynajmniej w sobie trochę ognia.

Nie przejmowała się tym, co mówił, podniosła dziecko, a wolną ręką sięgnęła po czerwoną rybkę. Dobrze i kojąco było czuć ciepłe, mocne ciało, pieluszkę pod białymi spodenkami, okrągłe ramię na plecach i widzieć dziecięcą twarz z tak bliska.

Na płyciźnie przy brzegu postawiła synka. Zatrzął się. Woda była dla niego zimna po tym, jak tak długo siedział na słońcu. Po kilku sekundach przysiadł i spojrzął na nią. Podała mu czerwoną rybkę, a on ją zanurzył.

To było śliczne, ciche dziecko. Nie mówiło dużo, choć jak na swój wiek dysponowało stosunkowo bogatym słownictwem i umiało formułować krótkie zdania. „Chcę jeść”. „Tata musi pracować”. „Babcia gotuje pudding”. „To jest mamy łóżko”.

Pewnego niedzielnego ranka, wkrótce po przeprowadzce do własnego domu, gdy mały skończył właśnie rok, zabrała go ze sobą do łóżka. Zasnął ponownie w jej ramionach. To było głębokie i ciepłe uczucie tak go trzymać.

Gdy stała wyprostowana obok niego, spoglądała na wąskie białe plecy, małą piąstkę, która kołysała w wodzie czerwoną rybkę, na pochyloną głowę o niemal białych włosach, na delikatną szyję, uczucie nadeszło znowu. Jeśli nie było wystarczająco wielu powodów, zrobiłaby to tylko dla niego. Żeby dorastał wolny i bez obciążeń. Kucnęła obok niego i pocałowała w ramię. Pachniał mleczkiem do opalania czysto i świeżo. Gereon posmarował go, gdy była w wodzie.

Przez pół godziny stała z dzieckiem w płytkiej wodzie, zapomniwała o obu parach na zielonym kocu, zapomniwała o wszystkim, co mogło zakłócić pożegnanie. Trawnik powoli opustoszał, dochodziła szósta, a ona uświadomiła sobie, że już najwyższy czas. Gdyby nie miała ze sobą dziecka,



wypłynęłaby nie myśląc nawet przez chwilę o Gereonie. Nie potrafiła jednak zostawić na brzegu bezradnego malca całkiem samego. Mógłby pójść za nią.

Wzięła go znowu na ręce, przez kostium poczuła teraz na brzuchu chłodne nóżki i mokre spodenki, a na szyi mocne, krągłe ramiona. Czerwoną rybkę ścisnął za płetwę.

Zbliżając się spostrzegła, że na zielonym kocu nic się nie zmieniło. Muzyka rozbrzmiewała tak głośno jak przedtem. Jedna para siedziała wyprostowana i rozmawiała nie poruszając się. Druga znowu leżała.

Nie przejmowała się tym, włożyła dziecku świeżą pieluchę i suche majtki. Chciała już odejść, została jednak znowu zatrzymana.

- Chcę jeść - powiedziało dziecko.

Kilka minut nie robiło różnicy. Była całkowicie skoncentrowana na ostatnich chwilach z synem. - Co chcesz zjeść? Jogurt, banana, keks czy

Przechylił główkę, jakby poważnie zastanawiał się nad jej pytaniem. - Jabłko - odpowiedział. Jeszcze raz usiadła na leżaku, wyjęła z torby jabłko i mały nóż do obierania.

Podczas jej nieobecności Gereon przesunął leżak tak, że nie siedziała już tyłem do koca, lecz bokiem, a jemu łatwiej było spoglądać przez jej ramię. Siedział z wyciągniętymi nogami i rękami założonymi na brzuchu, udawał, że patrzy na wodę, ale naprawdę zerkał na piersi jasnowłosej wywłoki. Na pewno znajdzie sobie taką, jak jej już nie będzie.

Powinna się zdenerwować na samą myśl, ale się nie zdenerwowała. Nawet nie zasmuciła. Ta jej część, która potrafiła odczuwać, była już martwa, odeszła w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, a ona nawet tego nie zauważyła. Myślała tylko o tym, jak sobie wszystko ułatwić.

Nie walczyć z wodą. Tam, gdzie zaczynała się odgradzająca linia, mały kawałek łądu porośnięty krzakami wcinał się w jezioro. W tym miejscu natychmiast zniknęłaby

ludziom z oczu. A potem popłynąć na środek jeziora. Od razu zanurkować. To odbierało siły.

Z magnetofonu huczała solo perkusja. Choć nie zwróciła na to uwagi, pot wystąpił jej na czoło. Trzymała jabłko mocno w dłoni, czuła dreszcze na karku, mięśnie ramion napięły się. Po plecach przeszły jej zimne ciarki i poczuła się tak, jakby leżała na zimnej podłodze. I coś, co przypominało bardzo gruby kciuk, wcisnęło się jej do ust. Tak jak na Boże Narodzenie, gdy Gereon chciał, żeby było wyjątkowo pięknie.

Przełknęła głośno, wzięła nożyk i podzieliła jabłko na cztery części, trzy położyła sobie na ściśniętych kolanach.

Za nią znany już głos Alicji powiedział: - Naprawdę jest w tym ogień.

Siedzący mężczyzna odparł: - Dziś nikt by się tego po nim nie spodziewał. Minęło już pięć lat. To były dla Frankiego dzikie dni. Wszystko nie trwało dłużej niż kilka tygodni. Nie lubi, jak mu o tym przypominać. Ale sądzę, że Ute ma rację. Muzyka jest świetna, nie musi się jej wstydzić. Było ich troje przyjaciół, niestety nigdy nie wyszli z piwnicy. Franki siedział przy perkusji.

Franki, krótko zabrzmiało w jej głowie. Przyjaciele, piwnica, perkusja, wszystko utkwilo głęboko.

- Też przy tym byłeś? - spytała Alicja.

- Nie - brzmiała odpowiedź - wtedy go jeszcze nie znałem.

Gereon przeciągnął się na leżaku i spojrzał na jabłko w jej dłoni. - Na pewno nie zje wszystkiego. Możesz mi dać resztę.

- Resztę zjem sama - powiedziała. - A potem popływam. Weź sobie drugie. Mamy jeszcze jedno. - Na koniec kawałek jabłka! Golden Delicious, już jako dziecko uwielbiała ten gatunek. Na samą myśl ciekła jej ślinka.

Blondynka na kocu podniosła się. Widziała to kątem oka. - Poczekajcie - powiedziała kobieta i włączyła przy-

cisk magnetofonu. - Przewinę trochę. To, co leciało do tej pory, to nic w porównaniu z *Song of Tiger* Nie słyszeliście do tej pory nic lepszego.

Ciemnowłosa mężczyzna przeturlał się i znowu złapał kobietę za ramię. Po raz pierwszy zobaczyła jego twarz, nie mówiła jej nic. Jego głos tak samo jak dotąd wpadał jednym uchem, a wypadał drugim, gdy na nowo i tym razem silniej zaprotestował: - Nie, Ute, wystarczy już. To nie. Nie rób mi tego. - Wydawał się mówić poważnie. Ale Ute zaśmiała się i odrzuciła jego

Cora pomyślała o domu. Teściowa na pewno przeszukała już każdy kąt i nie znalazła nic, na co by mogła narzekać. Wszystko było nienagannie czyste. Książki także były w porządku. Nikt nie mógłby jej zarzucić, że była flejtuchem.

Z ćwiartki jabłka odkroiła pestki i obrała jak najcieniej skórkę. Podała kawałek dziecku i wzięła następny dla siebie. W tym momencie muzyka rozbrzmiała ponownie, jeszcze głośniejszą niż wcześniej. Nie chciała się przyglądać, ale mimo to zerknęła kątem oka i ujrzała, jak blondynka pozwala przewrócić się na ziemię. Obie ręce trzymała na ramionach mężczyzny i pociągnęła go za sobą. Zobaczyła, jak zanurzył jedną dłoń w jasne włosy. Jak je pociągnął i ułożył głowę kobiety w pozycji, która była dla niego wygodna. Potem pocałował ją. A perkusja...

Kawałki jabłka spadły na trawę, gdy skoczyła na nogi. Gereon wzdrygnął się, gdy zaczęła krzyczeć. - Przestańcie, świnie! Przestać! Zostaw ją! Masz ją zostawić!

Przy pierwszym zdaniu rzuciła się w bok na kolana, przy ostatnim zdążyła już raz wbić nożyk w ciało mężczyzny.

Pierwszy cios trafił go w kark. Krzyknął, przetoczył się i chwycił jej przegub. Złapał i przez sekundę lub dwie trzymał w mocnym uścisku. Spojrzał wtedy na nią. A potem puścił i spojrzał jeszcze raz. Wymamrotał coś. Nie zrozumiała. Muzyka była za głośna.

To było to! To była melodia z jej głowy, melodia, od której zaczęło się szaleństwo. Rozbrzmiewała ponad wydeptanym trawnikiem, głąskała przerażone twarze i zeszywniałe ciała.

Drugi cios trafił z boku w szyję. Mężczyzna otworzył szeroko oczy, ale nie wydał już z siebie żadnego dźwięku, sięgnął tylko ręką do szyi i spojrzał jej głęboko w oczy. Krew trysnęła mu spomiędzy palców czerwona jak plastikowa rybka. Jasnowłosa kobieta krzyknęła i próbowała przeczołgać się między jego nogami.

Uderzyła jeszcze raz i jeszcze raz. Cios w gardło. Cios w ramię, cios w policzek. Nóż był mały, ale spiczasty i bardzo ostry. A muzyka brzmiała tak głośno. Melodia wypełniała jej całą głowę.

Mężczyzna, który wcześniej siedział i rozmawiał z Alicją, krzyknął coś. Brzmiało jak: - Przestań!

Oczywiście! O to przecież chodziło. Przestać! Przestańcie, wy świnie! Siedzący mężczyzna wyciągnął rękę, jak gdyby chciał ją schwycić za ramię. Ale tego nie zrobił. Nikt nic nie zrobił. Było tak, jakby wszyscy w tym momencie zamarli. Alicja przyciskała obie dłonie do ust. Blondynka na zmianę jęczała i krzyczała. Małe dziewczynki w bikini z falbankami tuliły się do matki. Dziadek opuścił gazetę i wyprostował się. Babcia podniosła niemowlę i przyciskała je do piersi. Ojciec próbował wstać.

Wreszcie Gereon zerwał się z leżaka i w następnej chwili znalazł się nad nią. Uderzył ją pięścią w plecy, chciał chwycić rękę z nożem, gdy ponownie uniosła ramię. Wrzasnął: - Cora! Koniec tego, do cholery! Oszalałaś?

Nie, nie, w głowie miała całkiem jasno. Wszystko było dobrze. Wszystko było w porządku. Musiało tak być. Wiedziała to na pewno. Mężczyzna także to wiedział, można to było wyczytać w jego oczach. - Oto moja krew przelana za twoje grzechy.

Gdy Gereon rzucił się na nią, siedzący mężczyzna i ojciec małych dziewczynek przyszl mu z pomocą. Każdy złapał ją za jedno ramię, a Gereon wyrwał jej nóż z rąk, złapał za włosy, odchylił głowę do tyłu i kilkakrotnie uderzył pięścią w twarz.

Gereon krwawił z dwóch lub trzech ran na ramieniu. Jego także trafiła, choć nie chciała tego zrobić. Siedzący mężczyzna krzyknął na Gereona, żeby przestał. Ten w końcu przestał. Trzymał ją jednak w żelaznym uścisku za kark i przyciskał jej twarz do zakrwawionej piersi ofiary.

Było tam cicho. Wokół też panowała niemal zupełna cisza. Tylko kilka rytmów, ostatnie solo perkusji tuż przed końcem taśmy. Potem kliknięcie. Przycisk magnetofonu podskoczył, skończyło się.

Poczuła uchwyt Gereona, bolące miejsca na twarzy, gdzie trafiła jego pięść, krew na policzku i jej smak na ustach. Usłyszała szmer głosów naokoło. Jasnowłosa kobieta jęczała.

Wyciągnęła rękę, by położyć ją kobiecie na nodze. - Nie bój się - powiedziała. - On cię już nie będzie bił. Chodź. Odejdź stąd. Zniknijmy. Nie powinnyśmy były przychodzić. Możesz wstać sama czy mam ci pomóc? - Na jej kocu dziecko zaczęło płakać.

## Rozdział 2

Jako dziecko niewiele płakałam, tylko raz. A i wtedy nie płakałam naprawdę, tylko krzyczałam ze strachu. W ciągu ostatnich lat nie myślałam o tym. Ale pamiętam dokładnie. Jestem w ciemnej sypialni. W oknie wiszą ciężkie, brązowe zasłony. Poruszają się. Okno musi być otwarte. W pokoju jest zimno. Marznę.

Stoję obok dużego łóżka. Połowa jest porządnie zasłana, druga, obok okna, w nieładzie. Bije od niej stęchły, kwaśny zapach jak od długo nie zmienianej bielizny.

Nie podoba mi się w tym pokoju. Zimno, smród wielomiesięcznego potu, szmatławy bieżnik na gołych deskach. Tam, skąd przyszłam, na podłodze leży gruby dywan, jest przyjemnie ciepły. Ciągnę rękę, która mnie trzyma. Chcę iść.

Na porządnej stronie łóżka siedzi kobieta. Ma na sobie szlafrok i trzyma na ręku niemowlę. Owinięte jest w kocyk, mam na nie spojrzeć. To moja siostra Magdalena. Powiedzieli mi, że mam teraz siostrę i że idziemy ją zobaczyć. Ale patrzę tylko na kobietę w szlafroku.

Jest mi zupełnie obca. To moja matka, której długo nie widziałam. Pół roku. Dla małego dziecka to dużo. Pamięć nie sięga tak daleko. A teraz mam zostać u tej kobiety, która spogląda tylko na zawiniątko w kocu.

Jej twarz budzi we mnie lęk. Jest surowa, szara, o gorzkim wyrazie. W końcu patrzy na mnie. Głos odpowiada jej wyglądowi. Mówi: - Pan nie wybaczył nam win.

Potem odwija kocyk i widzę drobną siną twarzyczkę. Kobieta mówi dalej: - Wystawił nas na próbę. Musimy ją przejść. Zrobimy, czego od nas oczekuje.

Nie sędę, bym wtedy zapamiętała jej słowa. Później często mi je powtarzano, dlatego znam je tak dokładnie.

Chcę uciec. Dziwny głos kobiety, drobna sina twarz w kocyku, nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Pociągam znowu za rękę, która mnie trzyma, i zaczynam krzyceć. Ktoś podnosi mnie i przemawia uspokajająco. Moja mama! Jestem przekonana, że kobieta biorąca mnie na ręce to moja prawdziwa matka. Przyciskam się mocno do niej i oddycham z ulgą, gdy zanosz mi z powrotem do ciepła. Byłam jeszcze bardzo mała, miałam osiemnaście miesięcy. Łatwo to obliczyć.

Gdy urodziła się Magdalena, tak jak ja w szpitalu w Buchholz, miałam rok. Obchodziliśmy urodziny w tym samym miesiącu. Ja dziewiątego, Magdalena szesnastego maja. Siostra przyszła na świat sina. Zaraz po porodzie zabrano ją do wielkiej kliniki w Eppendorf i przeprowadzono operację serca. Lekarze odkryli wtedy, że Magdalena cierpi także na inne schorzenia. Oczywiście próbowali jej pomóc, ale nie wszystko dało się

Na początku mówili, że Magdalena pożyje kilka dni, najwyżej kilka tygodni. Lekarze nie chcieli, by matka zabrała ją do domu. A matka nie chciała opuścić Magdaleny, została więc w Eppendorf. Jednak po pół roku siostra wciąż żyła, a lekarze nie mogli jej trzymać wiecznie. Wystali ją do domu, żeby tam umarła.

Podczas tych sześciu miesięcy mieszkałam u rodziny sąsiadów o nazwisku Adigar. Jako małe dziecko święcie wierzyłam, że to moja prawdziwa rodzina. I że moja prawdziwa mama, Grit Adigar, zostawiła mnie w domu obok, bo nie chciała mieć ze mną do czynienia. Nie od razu, najpierw zabrała mnie z powrotem ze sobą. Niestety, nie na długo.

Nie pamiętam żadnych szczegółów z tego okresu. Często pragnęłam przypomnieć sobie coś z tygodni i miesięcy spędzonych z Grit i jej córkami, Kerstin i Melanie.

Grit była jeszcze bardzo młoda, musiała niedawno skończyć dwadzieścia lat, jako siedemnastolatka urodziła pierwsze dziecko, a drugie, gdy miała lat dziewiętnaście. Jej mąż rzadko pojawiał się w domu. Był kilka lat starszy, pływał po morzu i zarabiał bardzo dobrze. Grit zawsze miała dość pieniędzy i dość czasu dla swoich córek. Była wesołą, nieskomplikowaną osobą, sama prawie jeszcze dziecko.

Często widziałam, jak nagle chwytła jedną z córek, przewracała się z nią na podłogę i łaskotała tak, że dziewczynka skręcała się w jej rękach, krzyczała i piszcziała i ledwo mogła wytrzymać ze śmiechu. Dzisiaj nadal sądzę, że gdy się mną opiekowała, robiła tak także ze mną. Że bawiłam się z Kerstin i Melanie. Że Grit wieczorami sadzała mnie sobie na kolanach i tuliła mnie tak jak własne dzieci. Że po południu karmiła mnie ciasteczkami albo opowiadała wesołe historie. I że mówiła do mnie: - Jesteś dobrą dziewczynką.

Ale sześć miesięcy minęło. Te parę tygodni, które spędziłam jeszcze u Grit po tym, jak matka wróciła z Magdaleną z kliniki, także. Pozostało tylko silne uczucie odsunięcia, odrzucenia, wydalenia z raj. Bo w raj. mogły być jedynie czyste anioły, wypełniające wolę Boga od początku do końca, nie podważające Jego praw, nie sprzeciwiające się Mu i spoglądające na jabłko na Drzewie Wiadomości Dobrego i Złego bez pragnienia, żeby je ugryźć.

Ja tego nie potrafiłam. Łatwo ulegałam pokusom, byłam słabym, grzesznym człowiekiem, który nie umiał kontrolować zbudzonych w nim pragnień, który chciał mieć wszystko, co wpadło mu w oczy. Wierzyłam, że z taką osobą Grit Adigar nie chciała mieszkać pod jednym dachem.

Dlatego musiałam nazywać matką kobietę, której nie mogłam scierpieć, a ojcem mężczyznę mieszkającego w tym



samym domu. Ale jego bardzo lubiłam. On także był grzesznikiem. Matka często go tak nazywała.

Ja nosiłam swoje grzechy w sobie, u ojca znajdowały się na wierzchu. Często je widziałam, gdy siedziałam w wannie, a on musiał się załatwić. Nie wiem, skąd przyszło mi do głowy, że ta rzecz była jego grzechem. Być może dlatego, że sama takiej nie miałam, a Kerstin i Melanie Adigar też nie. A skoro siebie uważałam za całkiem normalną, to u ojca czegoś musiało być za dużo. Współczułam mu z tego powodu. Często miałam wrażenie, że chciałby się pozbyć swej ułomności.

Spaliśmy w jednym pokoju. Pewnej nocy obudziłam się, bo był bardzo niespokojny. Myślę, że miałam trzy lata, dokładnie nie pamiętam. Bardzo łgnęłam do ojca. Kupował mi nowe buty, gdy stare zaczynały cisnąć. Wieczorem kładł mnie do łóżka, zostawał aż zasnął, i opowiadał o dawnych czasach. O zupełnie dawnych, gdy Buchholz było tylko malusieńką i bardzo biedną wioską. Ledwie kilka zagród, a gleba jałowa i zwierzęta tak chude, że po zimie nie miały sił wyjść na pastwisko. Musiano je tam zaciągać. I o tym jak zbudowano kolej. I jak wszystko stało się lepsze.

Lubiłam takie historie. Kryły w sobie nadzieję, niemal obietnicę. Jeśli z malutkiej, biednej wioski powstało piękne miasteczko, to wszystko inne także mogło się zmienić na lepsze.

Tego wieczora ojciec opowiedział mi o dżumie. A gdy się później przebudziłam, sapał mocno, więc pomyślałam o zarazie, bojąc się, że zachorował. Ale potem zobaczyłam, że trzyma w ręku swój grzech. Dla mnie wyglądało to tak, jakby chciał go oderwać. To mu się nie udało.

Pomyślałam, że jak będziemy ciągnąć we dwoje, na pewno damy radę. Tak mu powiedziałam i spytałam, czy mam pomóc. Odparł, że nie potrzeba, wstał z łóżka i po

ciemku poszedł do łazienki. A ja uznałam, że chce go obciąć. W łazience leżały duże nożyczki.

Ale następnej soboty zobaczyłam, że ciągle go nosił. No cóż, ja też bałabym się obciąć coś tak trwale przyrośniętego. Z całego serca życzyłam mu, żeby to odpadło samo, zgniło lub zaropiało, tak jak mnie zaropiał palec od drzazgi.

Gdy to powiedziałam, ojciec uśmiechnął się, schował wszystko z powrotem do spodni, podszedł do wanny i umył mnie. - Tak - powiedział - miejmy nadzieję, że odpadnie. Możemy się o to modlić.

Nie pamiętam, czy to zrobiliśmy. Zakładam, że tak. Ciągle modliliśmy się o rzeczy, których nam brakowało lub których nie chcieliśmy mieć - jak ochota na malinową lemoniadę. Często dręczyło mnie to pragnienie.

Pamiętam jeszcze jak raz - musiałam mieć cztery lata - byłam z matką w kuchni. Nadal nie wierzyłam, że naprawdę jest moją matką. Wszyscy tak mówili, ale ja wiedziałam już, co to kłamstwo. I zawsze myślałam, że wszyscy kłamią.

Chciało mi się pić, matka dała mi szklankę wody. To była woda z kranu. Nie lubiłam jej. Nie miała smaku. Matka zabrała szklankę i powiedziała: - To znaczy, że naprawdę nie chce ci się pić.

Chciało mi się, więc powiedziałam, że wolałabym malinową lemoniadę. Taka była u Grit. Matka nie lubiła, gdy chodziłam do sąsiadów. Ale nie miała czasu, by mnie pilnować. A ja korzystałam z każdej okazji, by się wymknąć do mojej prawdziwej rodziny.

Tego dnia także bawiłam się u niej. Potem Grit wybierała się z wizytą. Miała bardzo wielu przyjaciół i znajomych. Zapraszali ją, bo jej mąż często na długo wyjeżdżał. Grit zawołała córki do domu, by je umyć i przebrać. Spytałam, czy też mogę jechać, i usłyszałam w odpowiedzi, że „moja mama” na to nie pozwala. Musiałam iść do domu.

Wciąż pamiętam dokładnie. Było wczesne popołudnie pod koniec lipca lub na początku sierpnia. Na dworze panował upał. Okno w kuchni było otwarte, słońce oświetlało wszystko, całą tę pustkę i ubóstwo, nie mające zupełnie przyczyn finansowych.

Ojciec pracował w Hamburgu w biurze w porcie. Czasem mi o tym opowiadał. Już mając cztery lata wiedziałam, że dobrze zarabiał. Mogliśmy wieść lepszy żywot. Dawniej moi rodzice sobie na to pozwalali. Często bywali w Hamburgu - potańczyć, zjeść, takie rzeczy.

Ale od kiedy pojawiła się Magdalena, ojciec dużo pieniędzy wydawał na siebie. A klinika także sporo kosztowała. Lekarze w Eppendorf dziwili się, że Magdalena wciąż żyła. Często była w klinice, czasami długo z powodu operacji, czasami kilka dni na badaniach. Matka zawsze jej towarzyszyła. A za pokój i jedzenie matki ojciec musiał płacić. Gdy wracały, mówiło się znowu: jeszcze kilka tygodni, najwyżej kilka miesięcy.

Żyliśmy ze śmiercią pod jednym dachem. A matka walczyła o każdy dzień. Nigdy nie spuszczała Magdaleny z oczu, nawet w nocy. Dlatego ojciec spał w moim pokoju. Na piętrze mieliśmy tylko dwie sypialnie i dużą łazienkę. Kiedy kupili dom, myśleli, że nie będą mieć dzieci, a drugi pokój przeznaczą dla gości.

Gdy poprosiłam o lemoniadę, matka stała przy kuchence. To była elektryczna kuchnia. Mieliśmy też lodówkę. Reszta wyposażenia kuchni składała się jednak ze starych, krzywych drewnianych mebli, które rodzice kupili po ślubie. Wszystko w domu było stare, matka też.

Tamtego dnia miała czterdzieści cztery lata, była wysoką kobietą o wychudłej twarzy. Wyglądała dużo starzej niż w rzeczywistości. Brakowało jej czasu dla siebie. Kosmyki siwych włosów zwisały do ramion. Gdy urosły zbyt długie, podcinała.

Miała na sobie kolorowy fartuch i mieszała w garnku. Szklanekę odstawiła do zlewu. Obróciła się do mnie i spytała: - Malinowa lemoniada?

Miała łagodny głos i zawsze mówiła tak cicho, że trzeba było dokładnie się przysłuchiwać. Potrząsnęła głową, jakby zupełnie nie rozumiała, skąd mógł mi przyjść do głowy tak absurdalny pomysł. Potem mówiła dalej, jak zwykle spokojnie i powoli: - Czy wiesz, co podali naszemu Zbawicielowi, gdy umierając powiedział, że odczuwa pragnienie? Przyłożyli mu do ust gąbkę zanurzoną w occie. Miseczka wody byłaby dla niego wielkim szczęściem i złagodziłaby cierpienia. Ale On się nie skarżył i na pewno nie prosił o malinową lemoniadę. Jaka stąd płynie nauka?

Nie mogła to być pierwsza tego rodzaju rozmowa, którą prowadziłam z matką lub ona ze mną. Odpowiedź znałam na pamięć. - Że nasz Zbawiciel był zawsze zadowolony.

A ja zawsze byłam niezadowolona. Byłam trudnym dzieckiem, przekornym, porywczym, samolubnym. Chciałam mieć wszystko - wszystko tylko dla siebie. Gdy mi nie przeszkadzano, po prostu to sobie brałam. Matka wytłumaczyła mi, dlaczego Magdalena tak chorowała. Magdalena wyszła z brzucha matki. A tuż przed nią w brzuchu byłam ja. I zabrałam dla siebie wszystkie siły, które miała matka, a które starczyłyby przynajmniej dla trójki dzieci. Dla Magdaleny nic nie zostało.

Nie przejmowałam się, gdy matka opowiadała podobne rzeczy. Nie chciałam koniecznie być złym człowiekiem, ale jeśli chodziło o siostrę, bycie dobrym nie wydawało się takie ważne. Nie lubiłam Magdaleny. Dla mnie stanowiła rzecz, jak kawał drewna. Nie umiała chodzić ani mówić. Nie potrafiła nawet naprawdę płakać. Gdy coś jej robiłam, piszczała. Większość czasu leżała w łóżku, a czasem w fotelu w kuchni, ale musiał to być wyjątkowo dobry dzień.

Oczywiście nie wolno mi było mówić tego, co myślałam, tylko wprost przeciwnie. Potrafiłam to bardzo dobrze robić.

Mówiłam jedynie to, co ludzie chcieli usłyszeć. Matka była zadowolona z mojej odpowiedzi. - Czy nie sądzisz, że powinnaś brać przykład z naszego Zbawiciela? - spytała. Pokiwałam z zapalem głową. A matka powiedziała: - Więc idź i proś Go o łaskę i siłę.

Ciągle chciało mi się pić. Wiedziałam jednak, że dopóki się nie pomodłę, nie dostanę od niej wody, poszłam więc do salonu.

Był tak samo nędznie i staromodnie wyposażony jak kuchnia. Wytarta kanapa, niski stół na cienkich, krzywych nogach i dwa fotele. Ale nikt, kto wkraczał do pokoju, nie patrzył na zniszczone meble.

Wzrok zawsze padał najpierw na ołtarz, stojący w rogu przy oknie. Właściwie była to tylko szafka, od której ojciec odpiłował górną część. Przed nią stała twarda drewniana ławka, na której można było tylko klęczeć. Na szafce leżał biały obrus haftowany w świece, a na nim stał wazon z kwiatami. Najczęściej z różami.

Były bardzo drogie, ale matka kupowała je nawet wtedy, gdy nie starczało jej pieniędzy na dom. Składanie ofiary Zbawicielowi powinno wypełniać serce radością, mawiała. Mojego serca nigdy nie wypełniała radość. Gościło w nim jedynie podejrzenie, że zostałam porzucona. Moja prawdziwa mama, Grit Adigar, musiała już dawno temu zrozumieć, że jestem złym człowiekiem. Nie chciała, by Kerstin i Melanie cierpiały z tego powodu i w końcu zachorowały tak samo jak Magdalena. Dlatego Grit oddała mnie tej kobiecie, która dobrze wiedziała, jak złego człowieka zmienić w dobrego.

Ale jeśli pokażę wszystkim, że jestem dobrym dzieckiem, jeśli będę modlić się pilnie i nie grzeszyć, a w każdym razie nie tak, by ktoś zauważył, wkrótce wrócę do mojej prawdziwej rodziny - tak myślałam.

Nie lubiłam zastanawiać się nad tym, czy wszyscy naprawdę byli przekonani, że mogę zapewnić Magdalenie

kolejne dni życia. Nawet przy najlepszych chęciach nie wiedziałam, jak miałabym tego dokonać. A oznaczałoby to, że nigdy już nie zobaczę domu, że będę musiała na zawsze zostać u tej dziwnej kobiety i naszego Zbawiciela.

Stał na szafce, między wazonem a czterema świecznikami z wysokimi, białymi świecami. Tak naprawdę nie stał. Był przyczepiony małutkimi gwoździkami do wysokiego na trzydzieści centymetrów drewnianego krzyża. A plecy miał dodatkowo przyklejone. Pewnego razu, gdy matki nie było w pobliżu, zdjęłam Go z szafki i sprawdziłam.

Chciałam się tylko przekonać, czy otworzy oczy. Matka twierdziła, że umie zajrzeć głęboko w ludzkie serca i zobaczyć wszystkie grzechy i pokusy. Ale nie otworzył, chociaż potrząsałam Nim, poruszałam cierniową koronę na Jego umęczonej głowie i pukałam w brzuch. Dźwięk był taki jak przy pukaniu w stół.

Nie sądzę, żebym miała z tego powodu wyrzuty sumienia. Nie czułam przed Nim respektu, tylko przed matką, która zmuszała mnie, bym trzy razy dziennie lub częściej klękała i prosiła Go o łaskę, siłę czy miłosierdzie. Miał oczyścić moje serce. Nie chciałam czystego serca. Wystarczało mi, że jest zdrowe. Miał mi dać siłę, bym potrafiła sobie odmawiać różnych rzeczy. Takiej siły też nie chciałam.

Ciągle wszystkiego sobie odmawiać - cukierków, malinowej lemoniady i innych pyszności. Ciasta, którym regularnie częstowała nas Grit Adigar. Piekła je co sobotę - grubo posypane cukrem. W poniedziałki przychodziła z talerzem, na którym leżały trzy lub cztery kawałki. Były już trochę wyschnięte, ale to nic nie szkodziło. Matka zawsze odmawiała. A mnie ciekła ślinka, kiedy tylko zobaczyłam talerz.

Gdy patrzyłam zbyt długo, matka mówiła: - Znowu patrzysz zbyt pożądliwie. - Potem odsyłała mnie do salonu, a ja klękałam przed szafką w rogu, przed krzyżem, na którym Zbawiciel przelał krew za nasze grzechy.

To był irytujący moment, klęczeć obok zmarłego, widzieć jego krew i przerażenie innych. Kobieta o jasnobłond włosach nie pozwalała się dotknąć, nie dała sobie pomóc wstać i odprowadzić. Zaczęła bić Corę obiema pięściami, gdy tylko zbliżyła się do jej nogi. Siedzący mężczyzna powiedział, żeby zostawiła Ute w spokoju. Zrobiła to. Ute jej nie obchodziła.

Przeprosiła Gereona za rany na ramieniu. Znowu uderzył ją pięścią w twarz. Siedzący mężczyzna, który dawno już nie siedział, klęczał naprzeciwko niej i badał zmarłego. Była to jednak chwila zawieszona w czasie, zbliżona do wieczności, dlatego musiał pozostać siedzącym mężczyzną. Krzyknął do Gereona: - Niech pan z tym skończy, do cholery! Niech pan wreszcie przestanie! - A Gereon krzyknął: - Oszalałeś? Czemu to zrobiłeś? - Nie wiedziała i w jakiś sposób tego się wstydziła.

Chętnie została sama ze zmarłym, tylko kilka minut, by przyjrzeć się mu w spokoju, by napawać się uczuciami, które wywoływał jego widok - zadowoleniem, bezgraniczną ulgą i dumą. Jak gdyby wreszcie wykonała nieprzyjemną, długo odkładaną robotę. Chciała niemal powiedzieć: - Zrobione! - Nie wymówiła tego, siedziała tylko i czuła się wspaniale.

Ten stan nie uległ zmianie po przybyciu pierwszych policjantów. Było ich czterech, umundurowanych. Jeden chciał wiedzieć, czy mały nożyk należy do niej. Gdy potwierdziła, spytał, czy zabiła tego mężczyznę.

- Tak, oczywiście - odparła. - To ja.

Policjant wyjaśnił, że muszą ją aresztować, że nie musi zeznawać, ma prawo do adwokata i tak dalej.

Podniosła się. - Dziękuję bardzo - powiedziała. - Nie potrzebuję adwokata. Wszystko jest w porządku. - Tak było. Wszystko było jak najlepiej. Nigdy jeszcze nie czuła czegoś tak wspaniałego, takiej radości i wewnętrznego spokoju.

Jeden z policjantów poprosił Gereona, by wyjął z torby jej bieliznę i dowód tożsamości. Nie pozwolił, aby sama sięgnęła do środka. Mogła tylko wziąć swoją spódnicę i bluzkę. O ręczniku nie pomyślała.

Gereon zaczął grzebać w torbie i na nowo zakrzyknął: - Całkiem oszalałaś. Mnie też zraniłaś. - Odpowiedziała mu spokojnie, w sposób opanowany. Gereon podał policjantowi jej bieliznę. Nie pozostało nic innego policjantowi, jak ją wziąć i z obojętnym wyrazem twarzy podać dalej.

Pozwolili jej się umyć. Dwaj mundurowi towarzyszyli jej do toalety dla personelu, znajdującej się w niskim budynku przy wejściu. Umywalka była brudna, lustro powyżej zamazane i popryskane wodą. Mimo to wyraźnie widziała swoją twarz. Dotknęła prawej skroni. Skóra w tym miejscu pękła. Powieka mocno spuchła. Mogła patrzeć tylko przez małą szparkę. To jej nie przeszkadzało.

Koniuszkiem języka przesunęła po górnej wardze, polizała krew i pomyślała o drewnianej figurze w salonie, o czerwonej farbie na dłoniach i stopach, o ranie w boku, z której spływało w dół wiele cienkich strużek. Już mając cztery lata wiedziała, że to tylko farba. Ale krew mężczyzny, krew na jej twarzy, na jej ciele, była prawdziwa. I to było zbawienie.

Wszystko było czerwone. Kostium kąpielowy, jej ramiona, dłonie, nawet włosy się umazały. Chętnie by to tak zostawiła. Ale nie chciała denerwować policjantów. Odkręciła kurek, umyła dłonie i ramiona, wsadziła głowę pod wąski strumień i patrzyła, jak krew spływa do umywalki. Zmieszana z wodą była jasna, prawie jak malinowa lemoniada. A przy tym wtedy nie piła prawdziwej lemoniady, tylko syrop rozcieńczony w wodzie.

Po jakimś czasie matka skapitulowała i pozwoliła zaspokajać niektóre pragnienia. Szklanka słodkiego napoju dziennie. Dokładniej rzecz biorąc dwie, jedna dla niej.



druga dla Magdaleny. Znów ujrzała siebie stojącą przed starym kuchennym stołem, którego blat miał aż tyle wyrw i szczelin. Zobaczyła siebie uważnym spojrzeniem śledzącą matkę, gdy nalewała syrop do dwóch szklanek, zapobiegliwie pilnującą, by w obu znalazła się równa ilość. I zobaczyła, jak szybko sięga po szklankę, w której była może jedna dziesiąta milimetra więcej. I jak biegnie z nią do kranu, zanim matka zauważy drobną różnicę i nie odeśle jej do salonu.

Od lat o tym nie myślała, a teraz nagle stanął jej ten obraz przed oczami, jakby zdarzyło się to wczoraj. Ojciec starający się oderwać grzech od ciała, opowiadający stare historie z Buchholz, zawsze dziejące się dawniej, jakby nie istniało dziś ani jutro. Matka w kolorowym fartuchu, ze zlepionymi włosami i krzyżem. I Magdalena, sina porcelanowa twarzyczka, którą wciąż obecna śmierć naznaczyła intensywnością i doskonałością. Pokutująca Magdalena, zawiniątko pozbawione sił, cierpiące za grzechy innych.

Wszystko minęło. Zbawiciel ofiarował swoją krew, wziął na siebie ludzkie grzechy i swoją śmiercią otworzył drogę do nieba. Zobaczyła przed sobą Jego twarz, Jego spojrzenie, zrozumienie w Jego oczach, akceptację i wybaczenie. I prośbę: - Ojcze, przebacz jej, bo nie wie, co czyni. - Nikt nie wie wszystkiego!

Namoczyła kostium kąpielowy, użyła go jak gąbki, by zmyć piersi i brzuch. Wytarła wodę rękoma. Co prawda obok umywalki na haczyku wisiał ręcznik, ale był tak brudny, jakby nie zmieniano go od tygodni. Potem ubrała się. Bielizna i koszula przylepiły się do ciała, zwilgotniały i zaczęły prześwitywać. Wahala się przez chwilę, potem spojrzała w dół. Piersi odznaczały się pod cienkim materiałem. Nie mogła tak wyjść. Przed drzwiami czekali policjanci, mężczyźni! Wyglądałaby prowokująco, gdyby tak do nich wyszła. Matka dostałaby zawału, matka czułaby się

zmuszona zapalić świece przed domowym ołtarzem, kazałaby jej uklęknąć...

Nie rozumiała, dlaczego nagle wszystko stało się tak rzeczywiste. I tak ważne! Spróbowała gwałtownie od tego się uwolnić, ale tak się nie stało. Płomień świec nadal tańczyły jej przed oczami. Zamrugła mocno, by obraz zniknął. Gdy nie pomogło, otworzyła drzwi i spytała jednego z policjantów. - Czy macie dla mnie jakąś kurtkę?

Obaj mieli na sobie tylko koszule od mundurów. Wymienili szybkie spojrzenia. Młodszy z zakłopotaniem opuścił głowę. Drugiemu, mógł mieć trochę powyżej czterdziestki, udało się spojrzeć jej w oczy, a nie na prześwitujące przez wilgotny materiał piersi. Zdawał się rozumieć, o co chodzi. - Nie potrzeba pani kurtki - powiedział łagodnym, ojcowskim tonem. - Tam z tyłu siedzą tacy, co mają na sobie mniej niż pani. Skończyła pani już? Możemy iść?

Skinęła tylko głową.

Nie spuszczać wzroku z jej twarzy zapytał: - Kto panią uderzył?

- Mój mąż - wyjaśniła. - Ale nie chciał mi zrobić nic złego. Był bardzo zdenerwowany i stracił panowanie nad sobą. - Policjant zmarszczył czoło, jakby taka odpowiedź go zdziwiła. Złapał ją za łokieć, ale gdy się wzdrygnęła, natychmiast zabrał rękę. - Chodźmy - powiedział.

Płomień świec wreszcie zgasły.

Podczas gdy myła się w toalecie, uprzątnięto większość terenu. Wszyscy, którzy nie byli naoczniymi świadkami, zniknęli. Tylko daleko z tyłu, gdzie leżał zielony koc z martwym mężczyzną, znajdowała się jeszcze grupa osób.

Było tuż po siódmej. Na tarasie przylegającym do niskiego budynku stało około dwudziestu ludzi. Wszyscy patrzyli na nią, gdy się zbliżała. Bardzo przykro było oglądać ich przestraszone, pytające miny.

Trójka z zielonego koca znajdowała się nieco dalej. Siedzący mężczyzna próbował pocieszyć kobiety. Ute odtrąciła jego rękę. Bez przerwy jęczała. Stał przy nich młody mężczyzna w dresie. Zadawał pytania i notował odpowiedzi. Dwóch sanitariuszy weszło na taras. Zabrali Ute. Alicja podążyła za nią.

To było jak w kinie. Wszędzie coś się poruszało i działo, ona tylko patrzyła. Starszy policjant zaprowadził ją, wskazał krzesło i zadbał o to, by sanitariusz obejrzał jej twarz, przede wszystkim opuchnięte oko. Zachowywał się bardzo przyjaźnie i został przy niej, gdy jego młodszy kolega poszedł do mężczyzny w dresie i zamienił z nim kilka słów.

Gereon także nadal był na miejscu, trzymał dziecko na kolanach i spoglądał na bandaż na ramieniu. Człowiek w dresie podszedł do niego i coś powiedział. Gereon gwałtownie potrząsnął głową. Potem wstał i zbliżył się do siedzącego mężczyzny. Na nią nawet nie spojrział. Nie obejrzał się także wtedy, gdy wkrótce potem w otoczeniu obu policjantów poszła w stronę

Tuż przy wejściu stały dwa samochody policyjne, a kolejny pojazd w cieniu drzew. Przyszło jej do głowy, że Gereon zaparkował dużo dalej, w ostrym słońcu. Zatrzymała się i zwróciła do starszego policjanta. Wydawał się dojrzały i bardziej doświadczony od kolegi. - Czy mogę wiedzieć, jak pan się nazywa?

- Berrenrath - odparł automatycznie.

Podziękowała skinieniem głowy i zwróciła się do niego: - Proszę posłuchać, panie Berrenrath. Musi pan wrócić i porozmawiać z moim mężem. Proszę mu powiedzieć, że ma porządnie przewietrzyć samochód i zakręcić szyby, zanim wyjedzie. Sam o tym nie pomyśli, znam go. Nigdy nie myśli o takich rzeczach. A mały ma wrażliwe uszy, bardzo dużo już chorował. Przy gorączce łatwo dostaje skurczów.

Berrenrath tylko skinął głową, otworzył tylne drzwi policyjnego auta i wskazał ręką, że może wsiadać. Młodszy obszedł wóz, usiadł za kierownicą, obrócił się do niej i nie spuszczał z oczu. Wyglądało to niemal tak, jakby się jej bał.

Chętnie by go uspokoiła, ale nie wiedziała, jak mu to wytłumaczyć. Skończyło się! Nie zrozumiałby tego. Ona także nie rozumiała. Czuła tylko, jakby krwią mężczyzny wypisała sobie na czole: KONIEC!

Berrenrath faktycznie poszedł. Nie zabawił długo. Gdy usiadł obok niej, powiedział: - Mąż zwróć na to uwagę.

Poczuła się uwolniona od wszystkiego, lekka, nieco samotna i ogłuszona triumfem - jakby wypłynęła i zanurkowała. To było bardzo dobre uczucie. Niestety ograniczało się do żołądka i okolic serca. Do mózgu powoli zakradało się coś, co chciało spojrzeć na wydarzenia z innej perspektywy, oczami ludzi, którzy przyjechali nad jezioro, by miło spędzić popołudnie.

Przypomniała sobie dziecko, jak siedziało na kocu i płakało. Biedny maluch musiał to oglądać. Pocieszała się myślą, że był zbyt mały, by wszystko zapamiętać. Zapomni, co widział. Zapomni o niej. Dorośnie pod opieką Gereona i teściów. Teściowa była dla niego bardzo dobra. Stary, ten gruboskórny kloc, także obchodził się z wnukiem jak z jajkiem.

Jazda nie trwała długo, ona zaś była tak pogrążona w myślach, że nic z niej nie zapamiętała. Gdy samochód zatrzymał się, a Berrenrath wysiadł i jej także kazał wysiąść, wróciła na moment i zaraz ponownie zatopiła się w wizji przyszłości, by nie musieć zajmować się terażniejszością.

Dożywocie! To było dla niej jasne. Popęłniła przecież morderstwo. To także wiedziała. Kara musiała nastąpić. Ale kto przeżył krzyż, ten nie złąknie się krat. Wizja celi nie miała w sobie nic groźnego. Regularne posiłki i praca w kuchni lub pralni, może w biurze, jeśli by się dobrze sprawowała i pokazała wszystkim, co potrafi.

Nie mogło się to za bardzo różnić od trzech lat z Gereonem. Nie sprawiało różnicy, czy na ręce patrzyli jej teściowie czy kilka strażniczek. Odpadały tylko weekendy. Nigdy więcej papierosa, którego resztki dogasające w popielniczce dały sygnał do rozpoczęcia całego szaleństwa.

Gdy wynurzyła się następnym razem, siedziała w pomieszczeniu o jasnych ścianach. Kilka krzeseł stało bezładnie dookoła, na środku zaś dwa biurka, na których między maszyną do pisania a telefonem leżały w nieładzie różne papiery. Przeszkadzało jej to. Chętnie by posprzątała i zastanawiała się, czy musi prosić policjantów o pozwolenie.

Młodszy stał obok drzwi, Berrenrath przy dużym oknie, na którym marniały w doniczkach dwie roślinki. Przez szybę wpadało jeszcze tyle słońca, by razić w oczy. A ona zapomniała okularów. Na prawo od doniczek leżało kilka akt. Akta Cory Bender, pomyślała przelotnie. Musiały być dość chude. Wszystko było przecież jasne. Oczywiście musieli jej zadać kilka

Ktoś koniecznie powinien zatroszczyć się o te rośliny. Budziły litość. Musiały całe popołudnie stać na ostrym słońcu, na liściach miały brązowe plamy. Na sto procent ziemia wyschła na wiór.

- Niech pan posłucha, panie Berrenrath - powiedziała. - Trzeba zabrać rośliny z okna. Nie wytrzymują takiego słońca. To tak, jakby stać pod soczewką. Pewnie potrzebują też wody. Mogę zajrzeć?

Berrenrath zdawał się zdumiony, ale po kilku sekundach skinął z wahaniem głową.

Przy ścianie obok drzwi stała szafka z umywalką. Na suszarce pozostawiono starą maszynkę do kawy, w pojemniku zebrał się okropny brązowy osad. Najwyraźniej nigdy dobrze jej nie wymyło. Obok maszynki stał używany kubek. Starannie go wyplukala, potem chwyciła dzbanek i też chciała go wyczyścić.

- Proszę to zostawić i usiąść - powiedział Berrenrath.
- Niech pan posłucha - zaprotestowała. - Pozwolił mi pan podlać kwiaty.

A kubek był brudny. Co szkodzi, jeśli trochę posprzątam?

Berrenrath westchnął i wzruszył ramionami. - Jeśli o mnie chodzi, może się pani zająć kwiatami. Ale sprzątanie to nie pani obowiązek.

- Nie to nie - odparła. - Chciałam tylko dobrze.

Napełniła kubek wodą i podeszła do okna. Ziemia rzeczywiście była sucha jak wiór. Najpierw postawiła kubek na parapecie, zanosła obie doniczki na biurko, wyrównała niezauważalnie dwa krzesła, a papiery ułożyła w równy stos tak, że zwolniło się nieco miejsca, a wszystko wyglądało trochę porządniej. Potem przyniosła kubek i podlała kwiaty.

Policjanci z niedowierzaniem patrzyli, jak po raz drugi napełnia kubek wodą. - Bardzo tego potrzebowały - powiedziała, ponownie siadając na krześle.

Przez całą minutę było cicho. Cora starała się powstrzymać natłok myśli i przygotować się na to, co miało nastąpić. Przesłuchanie! Jak się to odbywa, wiedziała z filmów. W zasadzie chodziło tylko o przyznanie się. To było dla policji najważniejsze. W jej przypadku przesłuchanie stawało się więc zbyt ciężkie, przyznała się już, musieli tylko przenieść jej zeznania na papier i dać jej do podpisania. Dziwne, że nikt się o to nie troszczył. Ponownie zwróciła się do Berrenratha. - Na co właściwie czekamy?

- Na odpowiednich urzędników - odparł.
- Pan nie jest odpowiedni?
- Nie.

Uśmiechnęła się do niego. Miał to być uroczy uśmiech, ale z pobitą twarzą wyszedł krzywo. - Proszę posłuchać, przecież to bez sensu. Policjant to policjant. Wolałabym, żebyśmy to załatwili. Proszę napisać, co powiedziałam. Ja się podpiszę i będzie pan mógł iść do domu.

- Poczekajmy lepiej na odpowiednich urzędników - powiedział Berrenrath. - Za chwilę powinni tu być.

Oczywiście nie przyszli. Na filmach często widziała, że trzymali podejrzanego, aż zmiękł i nie stawiał im oporu. Nie rozumiała tylko, dlaczego z nią też tak postępowali. Po pierwsze - nie była podejrzana, lecz jednoznacznie winna. Po drugie - nie zamierzała sprawiać im problemów.

Czekanie zdenerwowało ją. Znowu zaczęła myśleć o Gereonie. Że na tarasie zachował się tak, jakby była zupełnie obcą osobą, która nic go nie obchodziła. Ale mogła go zrozumieć. Musiał przeżyć straszny szok. Wystarczyło znaleźć się w jego położeniu. Wcale nie chciał jechać nad jezioro. Było zbyt gorąco, powiedział tak przy obiedzie, gdy zaproponowała wycieczkę. Nie za bardzo lubił pływać. A później sprawiła, że cały jego świat w kilka sekund legł w gruzach. Nic dziwnego, że na końcu natarł na nią tak gwałtownie. Ciekawe, czy jest już w domu. Co też powiedział rodzicom? Musieli się zdziwić, gdy wrócił tylko z dzieckiem.

Przed oczami miała całą scenę. Pytające twarze. - A gdzie Cora? - Głos teściowej. Stary nie mówił dużo, jeśli chodziło o sprawy rodzinne. A Gereon, blady, z białym bandażem i dzieckiem na zdrowym ramieniu, prosi najpierw, by ktoś pomógł mu wypakować bagaże. Matka wychodzi z nim przed dom. Gdy stary już ich nie słyszy, Gereon mówi: - Zabiła człowieka.

A później będą siedzieli razem w salonie. Gereon opowie wszystko po kolei, chociaż nie ma za dużo do opowiadania. Jego matka będzie ubolewać, co powiedzą sąsiedzi, gdy poznają prawdę. Ojciec spyta tylko, jaki to będzie mieć wpływ na firmę i kto się teraz zajmie papierami.

Dochodziła dziewiąta, gdy wreszcie otworzyły się drzwi. Wizja Gereona z rodzicami przysła. Mężczyzna w dresie, na

którego zwróciła uwagę nad jeziorem, wkroczył do pokoju. Przedstawił się jej. Natychmiast zapomniała jego nazwisko. Spróbowała go ocenić. Miała nadzieję, że nie będzie zadawał niepotrzebnych pytań.

A on właśnie to zrobił! Usiadł przy maszynie do pisania i poprosił, by podała swoje nazwisko, a także nazwisko panieńskie. Jak gdyby miał wątpliwości co do jej tożsamości. Spytał, ile ma lat, od kiedy jest mężatką, czy pracuje. Wszystkie te rzeczy nie miały nic wspólnego ze sprawą. Potem zażądał jeszcze informacji o teściach, rodzicach i rodzeństwie.

Aż do teściów odpowiadała mu niechętnie, ale zgodnie z prawdą. Potem odparła: - Rodzice nie żyją, a rodzeństwa nigdy nie miałam!

Spojrzał na rośliny na biurku, spytał, czy lubi kwiaty, a zaraz potem, czy coś ją boli, czy potrzebuje lekarza lub chce się napić kawy. Rzuciła szybkie spojrzenie na starą maszynę i zaprzeczyła.

Z trudem koncentrowała się i zachowywała spokój. Wbrew oczekiwaniom zdawało się, że cała sprawa się przeciągnie. Mężczyzna w dresie wyjaśnił, jakie ciążą na niej zarzuty, jak gdyby tego nie wiedziała. Wymienił kilka paragrafów, poinformował ją o jej prawach, powtarzając to, co Berrenrath powiedział już nad jeziorem. Że nie musi składać zeznań i tak dalej.

W tym miejscu przerwała mu. - Dziękuję, wytłumaczyłam już panu Berrenrath, że to nie jest konieczne. Nie potrzebuję adwokata. Najlepiej niech pan pisze. Możemy zaraz zacząć.

Nie mogli. Mężczyzna w dresie powiedział, że muszą poczekać na szefa. Ale podobno był już w budynku.

Znowu minął ponad kwadrans. Bolało ją, że nic już nie może zrobić, tylko siedzieć na krześle i patrzeć na jasno pomalowane ściany. Nie była przyzwyczajona do bezczyn-



ności, wtedy popadało się w niepotrzebne rozmyślania. Tak jak po południu w supermarkecie, gdy pomyślała, że znalazła rozwiązanie.

Właściwie było to szaleństwo. Zdecydować się na śmierć i nie mieć cienia wątpliwości. A potem nagle rzucić się na jakiegoś mężczyznę. Tylko dlatego, że jasnowłosa kobieta

- chwilowo nie pamiętała jej imienia - puściła tę piosenkę. Trzeba było lepiej spytać, skąd ją miała. I czy ktoś mógłby jej wytłumaczyć, jak melodia trafiła do jej głowy.

Nikt się nie odzywał. Jedyne dźwięki wydawał kapiący kran. Nie zakreśliła go dość mocno, gdy po raz drugi napełniała kubek. Mężczyźni się tym nie przejmowali. Berrenrath obserwował drzwi. Jego młodszy kolega stał z rękoma złożonymi na plecach. Mężczyzna w dresie przeglądał notatki, które zrobił na tarasie nad jeziorem.

Co też powiedzieli mu świadkowie? Że rzuciła się na mężczyznę jak oszalała! Tak to musiało wyglądać. Nagle pojęła, czemu poświęcali jej aż tyle czasu. Bo nie rozumieli, bo tak jak Gereon chcieli wiedzieć, dlaczego.

Na tę myśl jej serce zmieniło się w bryłę ołowiu. Umysł wypełniły szaro-czerwone wyziewy. Poczła, że dłonie wilgotnieją i zaczynają się trząść. Ani śladu po początkowej uldze, po radości i triumfie. Potrzebowała rozsądnego wytłumaczenia.

Gdy drzwi wreszcie się otworzyły, zaczęła liczyć w duchu - osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia - mając nadzieję, że dzięki temu trochę się uspokoi. Mężczyzna, który wszedł, mógł mieć pięćdziesiąt lat. Sprawiał wrażenie życzliwego, krótko powitał wszystkich, dwóm policjantom skinął głową. Berrenrath odpowiedział skinieniem, a potem w dziwny sposób wskazał w jej kierunku. Mężczyzna w dresie podniósł się i razem z Berrenrathem wyszli z nowym przybyszem za drzwi.

Znowu czekanie, zastanawianie się, o czym mówią ci trzej za drzwiami i co oznaczało owo dziwne kiwanie

głowami. Gdyby chociaż młodszy policjant coś powiedział. Nie mogła znieść ciszy, bo panowała ona tylko na zewnątrz. Było tak, jak prawie zawsze w sobotni wieczór. W jej głowie cisza nie istniała. Zamiast niej rozbrzmiewała melodia. Kapiący kran przypominał perkusję. Po piosence zawsze przychodził sen. A teraz nie spała! Jeśli mężczyźni wkrótce nie wrócą...

Trwało to jeszcze dziesięć minut. Sześćset sekund, a każda sekunda oznaczała nową myśl. Każda myśl dręczyła umysł. Najbardziej niepokoiły ją uczucia, które wywołały w niej dokonane morderstwo. Normalnego człowieka, gdyby zrobił coś takiego, wypełniałoby przerażenie, wątpliwości i wyrzuty sumienia. A ona czuła się dobrze. To nie było normalne.

Wreszcie wrócili. Mężczyzna w dresie usiadł znowu przy maszynie, a Berrenrath ponownie stanął przy oknie. Szef zasiadł naprzeciw niej. Uśmiechnął się przyjacielsko i się przedstawił. Niewiele z tego zrozumiała, tak samo jak z reszty jego wypowiedzi. Wszystko w jej wnętrzu było napięte. Krótkie, zwięzłe odpowiedzi. I rozsądne uzasadnienie, aby zapobiec wszelkim podejrzeniom, że zwariowała.

Berrenrath trzymał coś w dłoni - jej portfel. Skąd go wziął tak zniecierpliwiona, nie miała pojęcia. Nie zwróciła na to uwagi. Cała procedura powtórzyła się od początku. Nazwisko, nazwisko panieńskie, data urodzenia, miejsce urodzenia, stan cywilny, zawód, rodzice, rodzeństwo.

- Czy to jakiś quiz? - wypaliła. - Późno pan zaczął, dostałam już punkty za odpowiedzi. A może chce pan tylko sprawdzić, czy jestem jeszcze przy zdrowych zmysłach? Bez obaw, wszystko w porządku. Widzę, że te same pytania zadaje mi się już trzeci raz. Zaproponuję coś panu. Niech pan dla odmiany zapyta kolegę. On już to wszystko spisał. Poza tym ten tam ma moje dokumenty.

Było jej przykro, że tak nazwała Berrenratha - „ten tam”. Nie zasłużył na to. Do tej pory zachowywał się naprawdę bardzo miło. Z pewnością lepiej byłoby też pokazać, że jest uprzejma i chętna do współpracy. Chęci jej nie brakowało, musieli się tylko trochę pospieszyć. Jeśli nadal będą to ciągnąć w takim tempie, długo nie wytrzyma.

Nikt nie zareagował na jej bezczelność. Tylko młody policjant na chwilę zmarszczył czoło. Berrenrath podszedł z jej portfelem do biurka i podał go mężczyźnie w dresie. Uświadomiła sobie, że nie zapamiętała jego nazwiska, nazwiska szefa też nie. Spróbowała sobie przypomnieć, ale wszystkie wysiłki prowadziły do twarzy zmarłego. A nie chciała powiedzieć: - Przepraszam, nie byłam całkiem przytomna i nie usłyszałam pana nazwiska. - Natychmiast uznaliby ją za wariatkę.

Obaj umundurowani policjanci opuścili pokój. Wolałaby, żeby Berrenrath został. Był taki wyrozumiały. Nie chciała jednak o to prosić. Nie powinna pokazywać, że potrzebuje wsparcia. Mężczyzna w dresie otworzył portfel, wyjął jej dowód i podał szefowi. Potem spojrzął na prawo jazdy, zdumiał się i podniósł wzrok.

Chodziło o zdjęcie, była tego pewna. Zdjęcie chorej, szarej twarzy, wyglądającej jakby należała do starej kobiety. Przez chwilę obawiała się, że ją o to zagadnie. Milczał, a ona szybko poprawiła włosy na czole, żeby nie zwrócił uwagi na bliznę. W tym czasie szef studiował dane w dowodzie, po czym także podniósł głowę i spojrzął na nią. - Cora Bender - powiedział. - Cora brzmi jak zdrobnienie. Czy to pani pełne imię?

Miał miły, ciepły i głęboki głos, który z pewnością na wielu działał uspokajająco. W jej przypadku tak się nie stało. Nie potrafiła opanować rąk. Drżenie nasiliło się. Położyła prawą dłoń na lewej, przyciskając ją mocno do kolan.

- Proszę posłuchać - powiedziała. - Nie chciałam być nieuprzejma, ale sądzę, że jest już późno. Dlatego możemy sobie darować pogaduszki.

Szef uśmiechnął się. - Mamy dużo czasu. A moim zdaniem pogaduszki rozluźniają. Jak się pani czuje, pani Bender?

- Dziękuję, bardzo dobrze.

- Jest pani ranna. - Wskazał na jej twarz. - Najpierw sprowadzimy do pani lekarza.

- Tylko żadnych konowałów! - powiedziała opryskliwie. - Sanitariusz już mnie obejrzał, nie jest tak źle, jak wygląda. Przeżyłam już gorsze rzeczy.

- Jakie? - spytał szef.

- A co to pana obchodzi - odparła.

- No dobrze, pani Bender - powiedział spokojnie, ale bardzo zdecydowanie. - Jeśli tak pani chce, możemy także inaczej. Proszę mi powiedzieć, jeśli panią zboli lub cokolwiek będzie pani przeszkadzać. Może pani także wypić kawę lub zjeść, ale proszę dać znać wcześniej.

Zdenerwowała go. Skrępowana wzruszyła ramionami i powiodła oczami, a przynajmniej lewym, które nie było opuchnięte. - Niech pan posłucha. Przykro mi, jeśli podniosłam ton. Nie chcę robić problemów. Jestem tylko trochę zdenerwowana i chciałabym mieć to za sobą. Dlaczego muszę trzy razy mówić, jak się nazywa mój mąż? To przecież nie ma nic do rzeczy. Proszę przyjąć moje oświadczenie, podpiszę je, a potem możemy wypić kawę.

Szef krótko skinął głową, a mężczyzna w dresie postawił na biurku małą, czarną skrzynkę. Wzdrygnęła się, gdy poznała, że to magnetofon. Mężczyzna wcisnął guzik. Nim zdążyła się opanować, przyciskała już obie dłonie do uszu.

W tej chwili paliło ją w głowie. Wiedzieli! Ktoś opowiedział im o piosence. A teraz chcą, żeby jeszcze raz jej posłuchała. Bóg wie, jakie to przyniesie skutki. Może znowu

rzuci się i najbliższą doniczką rozbije któremuś z nich głowę.

Ale muzyki nie było słychać, nie było słychać niczego. Obaj mężczyźni patrzyli na nią nieufnie. - Coś nie w porządku, pani Bender? - spytał szef.

Uśmiechnęła się z przymusem, opuściła ręce i zapewniła pospiesznie: - Nie, wszystko w porządku. Poczułam po prostu nieprzyjemny ucisk w uszach. Od wody, jak sądzę. Nurkowałam i ... Ale już minął. Naprawdę, słyszę pana bardzo dobrze.

W końcu zaczął. Nie tracił zbyt dużo czasu na paragrafy, sformułował to najkrócej, jak się dało. - Pani Bender, krótko po osiemnastej nad Otto-Maigler-See zabiła pani człowieka. W pobliżu było wiele osób, które widziały zdarzenie i mogą złożyć zeznanie. Niektóre zeznania umieszczono już w protokole i zostały one podpisane. Zabezpieczono narzędzie zbrodni. Do tego momentu sytuacja jest jasna. Mimo to chcielibyśmy zadać pani kilka pytań. Ma pani prawo odmówić zeznań. Ma pani prawo do adwokata...

Zanim zdążył dokończyć, uniosła dłoń i przerwała mu. Tym razem starała się mówić łagodnym tonem. Czarna skrzynka służyła do nagrywania, do tej pory zdążyła się już zorientować. W ten sposób zapisywano każde jej słowo, by później je odtworzyć. Każdy mógł usłyszeć, co powiedziała. I każdy mógł wyciągać na tej podstawie wnioski.

- Wiem to wszystko - powiedziała. - Powtarzałam już dwa razy. Nie potrzebuję adwokata. Przyznaję się do winy. Podpiszę też, że nie naciskaliście na mnie i nie robiliście ze mną nic innego, że wielokrotnie informowaliście o moich prawach i tak dalej. W porządku?

- W porządku - powtórzył szef. - Jeśli tak pani chce. - Siedział pochylony do przodu i nie spuszczał jej z oczu.

Odetchnęła głęboko i zastanowiła się, jakich słów ma użyć, by już pierwsze zdanie potwierdziło, że absolutnie

wszystko jest z nią w porządku, fizycznie, a przede wszystkim psychicznie. Opanowała drżenie rąk. Musiała tylko wystarczająco mocno przyciskać jedną dłoń do drugiej, wtedy nie rzucało się to w oczy. Poza tym nie patrzyli na jej dłoń tylko na twarz. Po dwóch sekundach powiedziała pewnym głosem: - Krótco po osiemnastej nad Otto-Maigler-See zabiłam mężczyznę. Użyłam do tego małego noża, którym obierałam jabłko dla mojego synka.

Szef wyczarował na stole przezroczystą torebkę, w której leżał zakrwawiony nóż. - Czy to ten?

Najpierw tylko skinęła głową, potem pomyślała, że to się nie nagra na kasetę, powiedziała więc krótco: - Tak.

- Czy zabrała pani nóż nad jezioro, żeby obrać nim jabłko? - spytał.

- Tak, oczywiście. Poza jabłkami nie mieliśmy ze sobą nic, do czego byłby potrzebny.

- Ale zamiast tego zabiła nim pani mężczyznę - powiedział szef. - Czy wiedziała pani, co się stanie, jeśli wbije pani nóż w człowieka?

Popatrzyła na niego nie rozumiejąc. Potem pojęła sens pytania i zaczęła się śmiać. - Niech pan posłucha, nawet jeśli jestem nieco nerwowa, nie musi pan ze mną rozmawiać jak z upośledzoną umysłowo. Oczywiście wiedziałam, co się stanie, jak wbiję ten nóż w człowieka. Zranię go, zabiję. Uderzyłam go tak, że rany musiały spowodować śmierć. I wiedziałam o tym, robiąc to. Czy wystarczająco dokładnie odpowiedziałam na pańskie pytanie?

Szef nie dał po sobie poznać, jakie wrażenie wywarły na nim jej słowa. Spytał tylko: - Jeśli zadała pani te ciosy świadomie, pani Bender, to czy przypomina sobie pani, gdzie trafił pierwszy?

Wciąż się uśmiechała. Czy sobie przypomina? Nie zapomni tego nigdy w życiu - wszystko inne może, ale to nie! - W kark - powiedziała. - Potem się przekręcił. Celowałam

w szyję. To mały nóż. Pomyślałam, że jak uderzę w klatkę piersiową, to pewnie nie dosięgnę serca. Ale na szyi znajduje się tętnica i krtań. W nie celowałam. I cel osiągnęłam. Krwawił tak bardzo, że na pewno trafiłam go w tętnicę. W inne miejsca też. W twarz. A raz nóż się ześliznął i zranił go w ramię.

Szef skinął głową. - Co spowodowało, że zabiła pani tego mężczyznę? Bo chyba dobrze zrozumiałem, że chciała go pani zabić.

- Tak, chciałam - powiedziała pewnym głosem. I w tym momencie zrozumiała, że chciała to zrobić już od dłuższego czasu. Zabić tego mężczyznę, nie innego, lecz właśnie tego.

## Rozdział 3

Nie odgrywało już żadnej roli, dlaczego pojechała nad jezioro. Stało się inaczej i dobrze. W czasie jazdy tego nie planowała, a gdyby powiedziała kobiecie przy wejściu, że przyjechała, aby zabić człowieka, ta uznałaby ją za wariatkę. Ale skoro tak się stało, to musiało tak być. Ta myśl ją uspokoiła.

Z kolei obaj mężczyźni wydawali się zszokowani jej krótkim stwierdzeniem. Widziała to po ich minach, nie miała jednak czasu zastanowić się, czy mogła swoje wypowiedzi sformułować mniej ostro. Teraz szedł cios za ciosem. Szef zadawał pytania, mężczyzna w dresie tylko siedział i nie spuszczał jej z oczu.

- Znała pani tego mężczyznę?
- Nie.
- Nigdy go pani wcześniej nie widziała?
- Nie.
- Naprawdę nie wie pani, kim był?
- Nie.

To była prawda, a prawda zawsze była dobra i właściwa. Szef zdawał się jednak być zagubiony. Rzucił zirytowane spojrzenie mężczyźnie w dresie. Ten wzruszył ramionami, szef pokręcił głową i ponownie zwrócił się do niej.

- A dlaczego chciała go pani zabić?

- Zdenerwowała mnie muzyka. - Nie było to całkiem prawdziwe, ale najbliższe prawdy.

- Muzyka? - powtórzył szef niczego nie rozumiejącym tonem, który wyraźnie wyczuła.

Pospieszenie wyjaśniała dalej, byle nie musieć wspominać o piosence. - Tak, mieli ze sobą duże radio. Grało bardzo



głośno. Potem kobieta nastawiła je jeszcze głośniej. To mnie rozgniewało.

Szef chrząknął. - Dlaczego nie poprosiła pani kobietę, żeby ściszyła muzykę? I dlaczego zaatakowała pani mężczyznę, skoro to ona nastawiła radio głośniej?

To było decydujące pytanie. Tylko że nie miała na nie odpowiedzi. - Prosiłam ją - tłumaczyła. A ponieważ nie do końca odpowiadało to faktom, z miejsca się poprawiła.

- No, nie bezpośrednio, ale skarżyłam się. Ona się tym nie przejęła. Możliwe, że nie mówiłam dość głośno. Nie chciałam krzyczeć. Ja... właściwie chciałam iść do wody. Chciałam... ja...

To go nie powinno obchodzić i nie miało nic wspólnego ze sprawą. Przestała się jąkać i powiedziała energicznie:

- Proszę posłuchać, on na niej leżał! Nie dostałabym się do niej. Poza tym nie chciałam jej skrzywdzić, naprawdę nie. To jego chciałam zabić. Zrobiłam to. Nie musimy o tym dyskutować. Niczemu nie zaprzeczam. Tyle wystarczy do waszych akt.

- Nie - powiedział szef kręcąc głową. - To nie wystarczy, pani Bender.

- Gdyby pan tam wtedy był - odparła - wiedziałby pan, że zdecydowanie wystarczy. Musiałby pan widzieć, jak ten facet się na nią rzucił. W takiej sytuacji nie można tak po prostu patrzeć. Trzeba coś zrobić.

Szef spojrział na nią. Jego głos był dość ostry, gdy powiedział: - Nie mówimy tu o jakimś facecie, pani Bender, który rzucił się na kobietę! Mówimy o mężczyźnie, na którego pani się rzuciła. A ja, do cholery, chciałbym wiedzieć, dlaczego. Nazywał się Georg Frankenberg. I proszę mi teraz nie opowiadać...

Nie zrozumiała reszty. Jakby zatkało jej uszy. Bez ostrzeżenia przed oczami pojawił się obraz więziennej celi. Dozorczyńni zamknęła za nią drzwi. Co dziwne, miała twarz matki,

a zamiast klucza trzymała w jednej dłoni zapaloną świecę, a w drugiej drewniany krzyż. A figura na krzyżu była tylko przyklejona.

Zbawiciel!

Nazywał się Georg Frankenberg? Nieważne, jak się nazywał. Mimo to pozwoliła jego nazwisku przebrzmieć jak echo na tle twarzy matki, świecy i krzyża i czekała, czy pojawi się między nimi jakiś związek. Miała uczucie, że szef byłby zadowolony i zostawił ją w spokoju, gdyby powiedziała: - Ach, teraz sobie przypominam, jednak go znałam.

Ale echo przebrzmiało i nic po sobie nie zostawiło. Najwidoczniej widać to było na jej twarzy. W głosie szefa brzmiało czyste niedowierzenie. - Jego nazwisko naprawdę pani nic nie mówi?

- Nie.

Westchnął, podrapał się po szyi i rzucił mężczyźnie w dresie szybkie, niepewne spojrzenie. Ten nadal milczał i patrzył na rośliny na biurku.

Wydawały się już w nieco lepszym stanie. Może było to tylko wrażenie, ale niemal widziała, jak uśpione liście ciągnęły z mokrej ziemi nowe siły. Woda to eliksir życia. Ojciec dawniej często opowiadał o twardej warstwie gleby na pastwiskach, którą najpierw należało skruszyć, żeby woda nie uciekała z niej w czasie deszczu.

Ale tu nie chodziło o glebę, a głos szefa wymazał wizerunek ojca. - Chce nam pani powiedzieć, że był to zupełnie obcy człowiek. Mężczyzna, którego nigdy wcześniej pani nie widziała. I tylko dlatego, że słuchał z przyjaciółmi głośnej muzyki, napadła pani na niego jak jakaś wariatka.

- Niech pan tak nie mówi - krzyknęła do niego. - Nie zwariowałam. Jestem zupełnie normalna.

Mężczyzna w dresie chrząknął delikatnie i uniósł nad biurko swój notes. Pochylił się do przodu i szepnął coś do szefa. Potem pokazał na jakieś miejsce na stronie.

Szef skinął głową i podniósł głowę. - Nie zdenerwowała pani muzyka, tylko to, co ze sobą robili, prawda? Powiedziała pani przecież, że rzucił się na kobietę. Ale tak nie było. Georg Frankenberg nie robił nic poza wymianą czułości ze swoją żoną. A inicjatywa wyraźnie pochodziła od żony. Rzuciła się pani na niego ze słowami: „Przestańcie, świnie”. Miała pani na myśli ich oboje, nieprawdaż?

Ze wszystkich tych słów utkwiły jej tylko dwa, stanęły w przetyku. Z wielkim trudem udało się je wypluć. - Jego żona?

Szef skinął głową. - Georg Frankenberg był żonaty od trzech tygodni. Przedwczoraj wrócili z podróży poślubnej. To był początkowy okres małżeństwa, a oboje bardzo się kochali. W takiej sytuacji wymiana czułości jest czymś normalnym. I nawet jeśli robi się to publicznie, dzisiaj nikt nie czuje się tym urażony. Tylko pani się zdenerwowała. Dlaczego, pani Bender? Skąd przyszło pani do głowy, że Georg Frankenberg może bić swoją żonę?

Georg Frankenberg? Coś się nie zgadzało. Coś nie było tak, jak się tego instynktownie spodziewała. Takie samo irytujące uczucie, jak zaraz po zajściu, gdy jasnowłosa kobieta odepchnęła jej dłoń. Jego żona! Zupełnie zbiło ją to z tropu.

- Proszę posłuchać - powiedziała. - To nic nie da, jeśli mi będzie pan opowiadać takie rzeczy i zadawać głupie pytania. Nic już nie powiem. Oszczędzimy mnóstwo czasu, jeśli przyjmie pan moje oświadczenie. Zabiłam go. Więcej nie mogę powiedzieć.

- Więcej nie chce pani powiedzieć - odparł szef. - Ale my mamy już kilka zeznań. Jeden ze świadków stwierdził, że po morderstwie chciała pani przytulić panią Frankenberg. Mówiła pani do niej. Przypomina sobie pani, co powiedziała?

Teraz był zły. To jej nie obchodziło. Georg Frankenberg! I jego żona! Skoro szef tak powiedział, najwyraźniej tak

było. Dlaczego policjant miałby kłamać? Nic z tego nie miał. A Gereon nawet na nią nie spojrział.

Pewnie siedział teraz wygodnie przed telewizorem i oglądał film. To było jego życie, praca i filmy. Ale bardziej prawdopodobne, że został z rodzicami w salonie. A wszyscy byli na nią wściekli. Stary powiedział: - Łajdaczka. Wiedziałem to od chwili, gdy po raz pierwszy przekroczyła ten próg. Powinniśmy wtedy odesłać ją tam, skąd przyszła.

A matka Gereona: - Musisz się z nią rozwieść, chociażby ze względu na ludzi. Żeby nie myśleli, że chcemy mieć z taką do czynienia.

Gereon skinie głową. Przytakiwał wszystkiemu, co mówili rodzice. I robił, co kazali, chyba że ktoś wytłumaczył mu, że to bez sensu.

Nie było już nikogo, kto mógłby mu coś wytłumaczyć. Ale z pewnością szybko znajdzie sobie inną. Był przystojnym, młodym, zdrowym mężczyzną. Miał dom. Zarabiał nieźle, troszczyła się o to. Pewnego dnia przejmie zakład, będzie swoim własnym szefem. Mógł dużo zaoferować kobiecie, nie tylko finansowo.

Nie pił. Nie używał przemocy, uciekał przed każdą kłótnią. Był czuły, tak, był. Mogłaby spać z nim jeszcze przez liczne lata, gdyby w Wigilię nie spróbował pocałować jej w ten sposób. Prawdopodobnie uszczęśliwiłoby to każdą inną kobietę.

Należało mu życzyć takiej, która umiałaby go kochać, jak na to zasługiwał. Która lubiłaby leżeć z nim w łóżku. Która nie mogłaby się doczekać chwili, gdy zsunąłby się po niej tak, jak to robił z nią. Bolesne było wyobrazić to sobie, ale życzyła mu z całego serca, aby wkrótce znalazł podobną kobietę. W pewien sposób był z niego drobnomieszczanin, ale całkiem normalny. A ona... ona też była normalna. Zupełnie normalna! Była taka od dziecka. Grit Adigar jej to powiedziała.

To było najgorsze, co musiałam zrozumieć jako dziecko - u nas nikt nie był normalny. Nie wiem dokładnie, od kiedy miałam poczucie przynależności i świadomość, że nic nigdy nie zmieni się dla mnie na lepsze. Nie wiem także, czy był jakiś szczególny powód, czy też proces zrozumienia zachodził stopniowo. W pewnym momencie przyjąłem po prostu, że ta okropna kobieta była moją prawdziwą matką. Gdybym miała się z nią pokazać na ulicy, wyparłabym się jej jak Piotr Zbawiciela. Ale ten fakt nie zmieniłby rzeczywistości, nie zmieniłby niczego w moim nędznym życiu.

Ojciec starał się uczynić je nieco znośniejszym. Ale co mógł zrobić? Przyszła dzień, w którym poszłam do szkoły. Ojciec kupił mi w Hamburgu tornister i niebieską sukienkę. To była ładna sukienka z małym białym guziczkiem na piersiach, białym kołnierzykiem i paskiem do zapinania.

Następnego dnia musiałam ją - bo próżność jest grzechem - spalić przed ołtarzem w salonie. W blaszanym kubku. Matka stała obok z dzbankiem wody, żeby dom nie stanął w płomieniach.

Gdy wieczorem opowiedziałam o wszystkim ojcu, pokręcił głową. Wytłumaczył, że matka jest katoliczką i stąd bierze się jej surowość. A później, jak leżeliśmy w łóżkach, opowiedział mi o pierwszej szkole w Buchholz.

Zbudowano ją w 1654 roku, mówił. Były w niej tylko dwie izby. W szkolnej izbie mieszkała rodzina nauczyciela. A ludzie nie posyłali dzieci do szkoły, bo potrzebowali ich do pracy przy domu. I sami nie umieli czytać ani pisać, więc nie uważali tego za potrzebne. Ale dzisiaj każdy wie, jakie to ważne, żeby umieć czytać i pisać, tłumaczył ojciec. Że dzięki szkole każdy może sam decydować, co z niego będzie.

W ten sposób mówił mi: - Rób dla siebie, co możesz, Cora. Ja niestety nie mogę ci pomóc.

Powiedział, że to nieważne, co się nosi, liczy się tylko to, co jest w głowie. Wcześniej dzieci chodziły w szmatach i nie miały butów. No cóż, buty miałam. A pierwszego dnia szkoły nie musiałam założyć szmat. Mimo to wydawało mi się, że wśród wszystkich wystrojonych dziewczynek wyglądam, jakbym wyszła ze śmietnika.

Z nowym tornistrem na plecach tak jak inni, ale w przypominającej worek sukience, którą matka za karę wyciągnęła z szafy, mimo że była dla mnie za ciasna. Pachniałam kulkami na mole i przyszłam z pustymi rękoma. Pozostałe dzieci trzymały w dłoniach różki ze słodyczami.

Na szczęście matka nie miała czasu, aby mnie odprowadzić. Mimo to wszyscy wiedzieli. Nie do wiary, jak szybko coś takiego się rozchodzi.

Od pierwszego dnia w szkole nie należałam do tej społeczności, bo miałam chorą siostrę. Tak, wciąż żyła. Lekarze co parę miesięcy na nowo się dziwili, ale Magdaleny to nie obchodziło. Często myślałam, że w ten sposób się na mnie mści. Zabrałam wszystkie siły z brzucha matki, dlatego ona nadal żyła, a przez połowę czasu nie było u nas co jeść.

Nie miałam przyjaciółek. Nawet Kerstin i Melanie Adigar nie chciały się ze mną zadawać na szkolnym podwórzu. Bały się, że je także wyśmieją. Na dużej przerwie stałam z boku, każdego dnia, każdego tygodnia i miesiąca. Inni bawili się i krzyczeli. Ja musiałam zagłębiać się w swoje wnętrze, prosić Zbawiciela o przebaczenie i siłę dla mnie oraz o łaskę dla Magdaleny, aby przeżyła następny dzień.

Odkąd poszłam do szkoły, jej stan się pogorszył. Często przywlekałam stamtąd kaszel, katar albo zapalenie gardła. Regularnie się zarażała, chociaż nie podchodziłam do niej blisko. A gdy tylko kichnęłam, Magdaleny trafiało to niczym uderzenie młota.

Matka przypisywała liczne choroby temu, że nie miałam już tyle czasu na modlitwę. Przedpołudnie odpadało. Mu-

siałam więc spełniać mój obowiązek przynajmniej na dużej przerwie. Tak robiłam. Świadomość, że Magdalena naprawdę była moją siostrą, zupełnie mnie sparaliżowała. Oznaczała, że dopóki żyła, byłam tak samo naznaczona i napiętnowana jak ona.

Nie życzyłam jej śmierci - naprawdę nie. Ale chciałam mieć przyjaciółki, z którymi bawiłabym się na szkolnym podwórzu i które odwiedzałyby mnie po południu. Chciałam w soboty chodzić na spacer i siedzieć z rodzicami w łodziach. Z matką, która miałaby czas, żeby się przedtem umyć, uczesać i włożyć ładną sukienkę. Nawet nie żądałam, żeby polakierowała paznokcie lub pomalowała usta jak Grit Adigar.

Chciałam mieć ojca, który umiałby się śmiać. Który nie opowiadałby tylko o przeszłości, o rzeczach, które dawno umarły i wyszły z mody. Który nie musiałby w nocy wykradać się do łazienki i walczyć ze swoim grzechem. Który kiedyś wspominałby o jutrze lub o przyszłej sobocie. I raz, tylko raz powiedziałby: - Możemy zwiedzić katedrę w Hamburgu! Zjeść watę cukrową i przejechać się na wielkiej karuzeli.

Chciałam chodzić z matką na zakupy. Chciałam, żeby w sklepie pytała mnie, czy wolę tabliczkę czekolady czy torebkę chipsów. Nie chciałam ciągle słyszeć, że jestem złym i chciwym człowiekiem.

Dzieckiem, które wyciągnęło z jej brzucha wszystkie siły tylko dla siebie. Do diabła! Nie zrobiłam tego specjalnie. Nie mogłam wiedzieć, że po mnie przyjdzie ktoś jeszcze, kto także będzie potrzebował sił.

Czasami próbowałam uświadomić matce, że przedstawiła to w trochę przesadny sposób. Zaczynałam takie rozmowy bardzo delikatnie. Jednak była to przegrana sprawa. Gdy tłumaczyłam matce, że dostrzegam moje zło i walczę z nim, spoglądała tylko, jakby chciała powiedzieć: - Najwyższy czas.

Gdy mówiłam, że dzieci w szkole się ze mnie śmieją, odpowiadała: - Ze Zbawiciela także drwili. Nawet wtedy, gdy umierał na krzyżu. A on wyciągnął ramiona do nieba i mówił: Ojcze, przebac im, bo nie wiedzą, co czynią. Jaka płynie z tego nauka?

Jakże nienawidziłam tego zdania!

Nie należało choćby w najmniejszym stopniu uświadamiać matce, czego naprawdę się uczyłam. Czytać, pisać, liczyć i kłamać. Podlizywać się nauczycielce, żeby reagowała, gdy inni zbyt głośno się ze mnie śmiali i pokazywali przy tym palcami. Nienawidzić siostry - tego się przede

Naprawdę nienawidziłam wtedy Magdaleny tak głęboko, jak tylko dziecko potrafi. Gdy patrzyłam na nią leżącą w kuchni, słuchałam jej pisków i pojękiwań, zawsze miałam nadzieję, że boli ją wszystko, co tylko może boleć.

Zmieniło się to dopiero tego majowego dnia, rok po moim pójściu do szkoły. Dla mnie był to zupełnie normalny dzień. Nikt nie powiedział rano nic szczególnego, z wyjątkiem nauczycielki, która uściśnęła mi na przerwie rękę i uśmiechnęła się. - Więc ty też masz już siedem lat, Coro.

Po południu o zwykłej porze wróciłam do domu. Matka otworzyła drzwi i od razu wysłała mnie do salonu. Nie było posiłku, żadnego garnka na kuchni ani chleba na stole. Chleb leżał na górze w kuchennej szafce za zamkniętymi drzwiczkami. Klucz matka nosiła zawsze przy sobie zgodnie z zasadą: - I nie wódź nas na pokuszenie!

Matka znowu poszła na górę zająć się Magdaleną. Na początku kwietnia przyniosłam ze szkoły katar, z którego nie mogła się wyleczyć. Często krwawiła z nosa, choć go nie czyściła ani go nie uszkadzała. Gdy matka czyściła jej zęby, także spluwała krwią. Nieustannie wymiotowała, choć mało jadła. Wszędzie na ciele miała sine i czerwone plamy. Wypadały jej włosy. Bez przerwy cierpiała na biegunkę.



Matka nie odważyła się pojechać z nią do Eppendorf ze strachu, że Magdalena jeszcze raz będzie operowana. Każdego dnia, gdy siedzieliśmy przy stole, mówiła: - Módlmy się o jutro.

Późnym popołudniem wrócił ojciec. Wciąż jeszcze klęczałam z burczącym żołądkiem pod bukietem świeżych róż. Były tak długie, że przewyższały krzyż. Z powodu róż w sobotę jedliśmy tylko zupę z zielonej fasoli bez odrobiny kiełbasy. Ojciec przeszedł przez kuchnię i zawołał mnie cicho. Podeszłam do niego i zobaczyłam, że trzyma coś w ręku.

Tabliczka czekolady! Już gdy ją zobaczyłam, podskoczył mi żołądek. Ojciec pocałował mnie i szepnął: - To prezent na twoje urodziny.

Od innych dzieci w klasie wiedziałam, co to urodziny. A gdy córki Grit je obchodziły, w domu obok odbywało się wielkie święto z ciastem, chipsami i lodami. Do tej pory nigdy jednak nie mówiono mi, że ja też mogę mieć urodziny.

Ojciec wyjaśnił, że każdy człowiek ma taki dzień i prawie wszyscy obchodzą go uroczyście. Że zapraszają przyjaciół, jedzą ciasto i dostają prezenty. Gdy to mówił, nie spuszczał z oczu drzwi prowadzących na korytarz. Nad nami słyszeliśmy hałasującą matkę. Przed chwilą próbowała nakarmić Magdalенę paroma łyżkami rosołu. Po trzeciej łyżce siostra zwymiotowała. Matka musiała na nowo pościelić łóżko. Potem zaniosiła Magdalенę do łazienki, by ją umyć.

Następnie matka zeszła do kuchni. Nie słyszeliśmy jej na schodach. Właśnie wsadziłam sobie do ust pierwszy kawałek czekolady. Podeszła do drzwi. Po dwóch krokach zamarła. Jej spojrzenie powędrowało kilka razy od moich ust do ręki, po czym zwróciła się do ojca.

- Jak możesz robić coś takiego? - zapytała. - Podczas gdy jedna nie trzyma w żołądku najmniejszego kęsa, ty karmisz drugą słodyczami.

Ojciec opuścił głowę i wymruczał: - Ma przecież urodziny, Elsbeth. Inne dzieci dostają mnóstwo prezentów, przychodzi rodzina i każdy coś przynosi. Popatrz tylko, jak jest u sąsiadów. Grit sprasza całą ulicę. A tu...

Nie dokończył. Matka nie podniosła głosu, nigdy tego nie robiła. - Tu - przerwała mu łagodnie - liczy się tylko dzień narodzenia Zbawiciela. I do Niego się teraz zwrócimy, by prosić o siłę, która pozwoli nam oprzeć się licznym pokusom. Jeśli wszyscy nie będziemy czystego serca, jakże ma się nad nami zmiłować?

Potem wyciągnęła rękę i zwracając się do mnie zażądała: - Daj mi to i zapal świecę.

A potem we trójkę prawie przez godzinę klęczeliśmy na ławeczce. Następnie matka posłała mnie do łóżka. Zapytała, czy jestem gotowa zrezygnować z kolacji. Nie mogłam po prostu powiedzieć, że tak. Musiałam naprawdę chcieć ponieść ofiarę.

Byłam okropnie głodna, ale skinęłam głową i położyłam się do łóżka nie myjąc zębów. Czułam się źle, bolał mnie brzuch i pragnęłam poważnie zachorować. Albo umrzeć, na przykład z głodu.

Nie mogłam zasnąć. Leżałam z otwartymi oczami, gdy ojciec wszedł do pokoju. Musiało być około dziewiątej. Zawsze kładł się koło dziewiątej, gdy wcześniej wrócił z pracy, nawet w lecie, choć na dworze było jeszcze jasno. Co miał robić? Inni ludzie oglądali wieczorem film w telewizji. Albo słuchali audycji radiowej, czytali gazety lub książki.

U nas tego nie było. Poza bibliami matki. Miała ich wiele. Stary Testament i Nowy Testament i testament dla dzieci. W środku były obrazki oraz same piękne historie o cudach, które uczynił Zbawiciel.

Matka często czytała je Magdalenie. Potem pokazywała jej obrazki i mówiła, że pewnego dnia będzie jako czysty anioł siedzieć na małej ławce przed tronem Ojca i ra-

dować się wraz z innymi aniołami. W tamtych tygodniach jednak nie czytała. Magdalena była zbyt słaba, by jej słuchać. Matka co prawda próbowała, ale gdy zaczynała czytać lub opowiadać, Magdalena odwracała głowę na bok. Gdy ojciec zamknął za sobą drzwi, usłyszałam, jak mruczy: - Niech szybko będzie po wszystkim. Wtedy ten cały cyrk się skończy, albo sam przetrzęcę jej kark. - Uderzył pięścią w dłoń, nie zauważył, że nie śpię.

Nazywał się Rudolf Grovian. Niektórzy specjalnie przekręcali jego nazwisko na Grobian\*, wtedy brzmiało bardziej brutalnie. Nie nadużywał jednak przemocy, wręcz przeciwnie; wiedział, że w prywatnym życiu powinien od czasu do czasu zareagować mocniej. Miał pięćdziesiąt dwa lata, ożenił się przed dwudziestoma siedmioma, a ojcem został dwadzieścia pięć

Jego córka zawsze była kłębnyim stworzeniem, stawiającym bezczelne żądania i wodzącym rodziców za nos. To jego wina. Nie powinien pozostawić całego wychowania żonie. Mechthild była zbyt ustepliwa i łatwowierna. Nie potrafiła wyznaczyć ostrych granic, każde nowe szaleństwo brała za dobrą monetę. Gdy wcześniej czasem coś mówił, odpowiadała: - Rudi, zostaw ją, jest jeszcze mała.

Później urosła i nie pozwalała już sobie nic powiedzieć, a już na pewno nie jemu. A Mechthild dodawała zwykle: - Nie unosi się tak, Rudi, pomyśl o swojej wątrobie. Dziewczęta w tym wieku takie już są.

Od trzech lat córka była mężatką i teraz wodziła za nos swego pracowitego, miłego, młodego męża. Przed dwoma laty urodziła syna. A Rudolf Grovian miał nadzieję, że pójdzie po rozum do głowy, dostrzeże ciężącą na niej odpowiedzialność i ograniczy swe zachcianki.

\*Grobian - niem. grubianin, gbur, prostak.

Właśnie w sobotę z przykrością zrozumiał, że na niektóre nadzieje nie opłacało się tracić czasu. Popołudnie spędził świętując urodziny szwagierki. Oczywiście córka, zięć i wnuk także zostali zaproszeni. Córka pojawiła się z dzieckiem, jej mąż nie przyszedł.

Rudolf Grovian wyłapał kilka zdań z rozmowy żony i córki, które wywołały u niego jak najgorsze podejrzenia. - Adwokat - to słowo usłyszał kilkakrotnie. A nie był tak naiwny, by dać sobie wmówić, że chodziło o stłuczkę samochodową lub problemy z opłacaniem czynszu.

Postanowił tego wieczora poważnie porozmawiać z córką, chociaż wiedział, że było to bezcelowe i tylko pogorszy stan jego wątroby. Ale zanim do tego doszło, został wezwany. W jego zawodzie ciągle się tak zdarzało.

Rudolf Grovian był naczelnym komisarzem w urzędzie policyjnym w Erftkreis, kierownikiem pierwszego komisariatu. Wiek i inne podobieństwa sprawiały, że mógłby być ojcem Cory Bender. Zamiast tego był szefem, a wskutek jego pytań nie otwierała się, lecz jeszcze bardziej zamykała. Powoli, ale wciąż coraz silniej uciekała w sam środek szaleństwa, choć bała się go bardziej niż śmierci.

Była to nieprzyjemna konfrontacja dla obu stron. Policjant, w życiu prywatnym często zdenerwowany, a czasem dręczony poczuciem winy ojciec, i kobieta, która żyła w przekonaniu, że ojcowie nie potrafią pomóc i że gdy próbują, tylko wszystko pogarszają.

Możliwe, że tej soboty Rudolf Grovian był nieco bardziej podenerwowany niż zwykle. Mimo to wykonywał swą pracę tak, jak miał w zwyczaju - zachowując neutralność i dystans.

Gdy dowiedział się o zajściu nad Otto-Maigler-See, pojechał na komisariat i zagnał wszystkich dostępnych kolegów do przesłuchań, nawet tych którzy zwykle nie zajmowali się tak poważnymi przestępstwami.

Mimo końca tygodnia wszystko szło sprawnie. Cała gromadka została rozdzielona po sąsiednich pomieszczeniach. Rozmawiał z każdym, by wyrobić sobie wstępny pogląd. Ludzie ze wszystkich sił starali się wspomnieć każdy najdrobniejszy szczegół.

Wszystko odnosiło się jednak bezpośrednio do zajścia. Nie było żadnej wskazówki na temat przyczyn katastrofy. W takich wypadkach, co wiedział z doświadczenia, przyczyna leżała albo w przeszłości, albo w charakterze sprawcy. Ale żeby kobieta ze ślepą wściekłością rzuciła się na zupełnie obcego mężczyznę - z takim przypadkiem Rudolf Grovian nie miał jeszcze nigdy do czynienia ani o podobnym nie słyszał.

Kobiety topiły swoje dzieci, odcinały mężom we śnie głowy, truty lub dusiły wymagające opieki matki, gdy te nie umiały już zapanować nad podstawowymi czynnościami fizjologicznymi; kobiety dokonywały zbrodni na bliskich. A wszystko, co Rudolf Grovian usłyszał między siódmą a dziewiątą w sobotni wieczór, nie pasowało do zwykłego schematu.

Najważniejsze zeznanie otrzymał od przyjaciela i kolegi z pracy Geoga Frankenberga, Winfrieda Meilhofera. Meilhofer, tak jak ofiara, był lekarzem w uniwersyteckiej klinice w Kolonii. Trzeźwo myślący człowiek, który mimo szoku wypowiedział tylko jedno zdanie nie dotyczące faktów. Ze kobieta spadła na nich niczym grom z jasnego nieba.

Byłem sparaliżowany - powiedział Meilhofer - po prostu nie mogłem zareagować. Poza tym wyglądało na to, że Frankie sam sobie poradzi z tą kobietą. Po pierwszym ciosie, który z pewnością nie mógł być śmiertelny, złapał ją za przegub.

Potwierdził to ojciec rodziny. - Nie rozumiem. Taki wielki, silny chłop. Przecież ją schwycił! A potem znowu puścił. Dokładnie widziałem. Nawet się nie wrywała. Bez

trudu by ją przytrzymał. Ale on bez sprzeciwu pozwolił się zabić. A jak na nią wtedy patrzył! Wydało mi się, że ją zna i dokładnie wie, dlaczego ona to robi.

Na przypuszczenie, że Georg Frankenberg znał lub rozpoznał Corę Bender, Winfried Meilhofer wzruszył ramionami. - Tego nie wiem, być może. Gdy przyszedliśmy, był tam tylko mężczyzna i dziecko. Kobieta przyszła później, pewnie z wody. Zwróciłem na nią uwagę, bo tak dziwnie przypatrywała się Frankiemu i Ute. Miałem wrażenie, że się przestraszyła. Nie sądzę, żeby Frankie ją zauważył. Chciałem mu ją wskazać, ale potem usiadła i nie zwracała na nas uwagi. Ja też już o niej nie myślałem. A gdy to się stało... Frankie popatrzył na nią i coś powiedział. Nie zrozumiałem co. Przykro mi, panie Grovian, że nie mogę bardziej pomóc. Znałem Frankiego dopiero od dwóch lat jako spokojnego, rozważnego człowieka. Nie potrafię sobie wyobrazić, że mógłby dać jakiejś kobiecie powód do takiego szaleństwa. - On cię już nie będzie bił - powiedziała do Ute. Frankie nie był facetem, który bije kobiety. Wręcz przeciwnie, kobiety były dla niego niemal święte.

Winfried Meilhofer wspominał o uwadze, którą rzucił kiedyś Frankie. Że na początku studiów poznał dziewczynę i zakochał się po uszy. Potem dziewczyna zginęła w wypadku.

Winfried Meilhofer powiedział: - Nie przyznał się do tego wprost, ale odniosłem wrażenie, że był przy jej śmierci. I nie otrząsnął się po tym. Nie sądzę, żeby później miał jeszcze jakiś romans. Dopóki przed sześcioma miesiącami nie poznał Ute, liczyła się dla niego tylko praca. Nie wybaczył sobie, że raz nie potrafił pomóc.

Winfried Meilhofer przypomniał sobie zdarzenie, dobrze oddające nastawienie Frankiego do kobiet i pracy. Stracili pacjentkę, młodą kobietę - zator płuc po rutynowym zabiegu. Stało się to niecały rok temu. Takie rzeczy się zdarzają.

Trzeba się z nimi pogodzić. Frankie tego nie potrafił. Był jak oszalały, przy próbie reanimacji złamał zmarłej dwa żebra. Potem upił się i nie chciał pójść do domu.

Winfried Meilhofer wolał nie zostawiać go samego. Poszli razem do baru. W tle brzmiała muzyka. Frankie wspominał zmarłą pacjentkę, mówił, że nie rozumie, jak taka młoda kobieta mogła nagle umrzeć mu na rękach. Potem zniemacka zaczął opowiadać o muzyce. O dzikim okresie swego życia, o perkusji. Że namówił go do tego przyjaciel. Że popełnił duży błąd i że lepiej by było, gdyby skoncentrował się na studiach.

Dopiero po paru godzinach pozwolił Winfriedowi odprowadzić się do mieszkania. Zrobił uwagę o dziewczynie, którą kochał i musiał oddać śmierci. Potem pokazał Meilhoferowi kasetę, tę samą, którą Ute puściła nad jeziorem. Frankie także jej odsłuchał, siedział na podłodze i pięściami wybijał w powietrzu rytm. - Muszę tego słuchać co wieczór - powiedział. - Gdy to robię, jest ze mną. Czuję ją. A gdy ją czuję, mogę zasnąć.

Wyjątkowy człowiek, ten Georg Frankenberg, bardzo poważny, bardzo odpowiedzialny, czasem ze skłonnością do depresji i fatalnym upodobaniem do szybkich samochodów. Ktoś mógłby zacząć podejrzewać, że niezbyt zależało mu na życiu. Winfried Meilhofer coraz częściej obawiał się, że po niedzieli już go nie zobaczy. Dopiero Ute wyrwała go z melancholii.

Po zebraniu informacji o ofierze Rudolf Grovian miał nadzieję dowiedzieć się od Gereona Bendera czegoś na temat historii sprawczyni. Ze względu na małe dziecko zaproponowano mężowi Cory Bender, że policja pojedzie do domu. Mieli udać się za nim i tam porozmawiać.

Gereon Bender ostro zaprotestował. Nie chciał być wyjątkiem w kręgu świadków. Pojechać do domu w towarzystwie policji, niemożliwe! Skoro wszyscy przyszli na komisariat,

on też tak chciał. Dziecko nie było problemem. Mały zachowywał się bardzo dzielnie, siedział na kolanach ojca, gryzł herbatnika i tylko raz chciał do mamy. - Iść mamy.

Cienki dziecięcy głosik jeszcze kilka dni później tkwił w Rudolfie Grovianie niczym cierń. A Gereon Bender wyjaśnił z naciskiem: - Nie wiem, dlaczego nagle zwariowała. W ogóle nic nie wiem. Nigdy nic nie mówiła, tylko raz coś o dawnym wypadku. Ale nie mieliśmy żadnych problemów. Czasami kłóciła się trochę z moim ojcem, bo nie dawała mu sobie nic powiedzieć. Robiła, co chciała. I zawsze powtarzała, że jest ze mną bardzo szczęśliwa. - To ostatnie najwyraźniej nie do końca odpowiadało prawdzie.

Berrenrath, kolega z policji, który jako jeden z pierwszych dotarł na miejsce zbrodni, uchwycił coś ciekawego. Gdy odprowadzano Corę Bender od zwłok Georga Frankenberga, jej mąż krzyczał na nią i mocno jej złorzeczył. Zachowała spokój, obróciła się do niego i powiedziała. - Przykro mi, Gereonie, nie powinnam za ciebie wychodzić. Wiedziałam, co za sobą ciągnę. Teraz jesteś wolny. W taki czy inny sposób, i tak byłbyś od dzisiaj wolny. Chciałam pójść popływać.

Znacząca uwaga, stwierdził Rudolf Grovian. Wyciągnął na jej podstawie własne wnioski i zebrał kilka dowodów potwierdzających jego pogląd: dwie niezależne wskazówki dotyczące „wypadku” z przeszłości i dwie wypowiedzi, które - nawet jeśli opierały się tylko na osobistych wrażeniach - potwierdzały podejrzenie, że ofiara i sprawczyni nie spotkali się po raz pierwszy nad Otto-Maigler-See.

Początkowo Rudolf Grovian nie brał pod uwagę, że reakcja Georga Frankenberga na atak wynikała tylko z szoku i przerażenia. Przyjął inne, choć zbliżone założenia.

Gdy krótko po dziewiątej stanął przed Corą Bender, zobaczył trzęsącą się istotę z twarzą pobitą do krwi, kupkę nieszczęścia z jednym okiem opuchniętym, podczas gdy



w drugim widoczne było ogromne przerażenie. Berrenrath zwrócił na to uwagę: - Ledwo daje radę, proszę pana. Koniecznie chce to już mieć za sobą. Posprzątała. Gdybym ją zostawił samą, pewnie wyczyściłaby panu biuro do połysku. - Na ogół Berrenrath właściwie oceniał ludzi.

Rudolf Grovian liczył się z tym, że po chwili Cora zacznie, płacząc i prosząc o wyrozumiałość, opowiadać mu tragiczną historię dawnej miłości i wielkiej pomyłce lub coś podobnego, co stanowiłoby motywację dla jej czynu.

Jednak już po kilku minutach z trudem zachowywał spokój i przyjazny ton. Chwilami bliski był, by uderzyć pięścią w stół i wyjaśnić temu biedactwu, że nie ma dymu bez ognia. - Czy wystarczająco dokładnie odpowiedziałam na pańskie pytanie? - Nigdy nie spotkał się jeszcze z taką

Siedziała naprzeciw niego jak kamień. Nie widział, jak bije jej serce. Szaro-czerwone opary wypełniające jej umysł nie wydostawały się przez uszy. Nie odpowiedziała jeszcze na jego ostatnie pytanie. Wyglądało, jakby chciała zrealizować swą pogrózkę. - Nic już nie powiem. - Czekał, aż twarz podąży za słowami i zamknie się przed nim. Stało się inaczej.

Pobite oblicze rozluźniło się nagle. Wzrok skierował się do wewnątrz, dłonie na kolanach przestały zaciskać się z żelazną siłą i leżały jakby zapomniane. Przez kilka minut wydawała się po prostu miłą i ładną dziewczyną w dżinsowej spódnicy, białym podkoszulku i sandałach wsuniętych na bose stopy. Młoda kobieta z sąsiedztwa, której bez zastanowienia powierzyłbyś na kilka godzin własne dzieci. Siła napędowa w zakładzie teścia, zmęczona i wyczerpana po ciężkim dniu.

Spoglądał na nią niezdecydowanie i dwa razy zawołał po imieniu. Nie zareagowała. Przez chwilę miał niemile uczucie, jakby zimny dreszcz przeszedł mu po plecach. Ślady

uderzeń na jej twarzy niepokoiły go. Nie budziło wątpliwości, że - wbrew wielokrotnym zapewnieniom - coś było z nią nie w porządku. Odnosił to jednak bardziej do jej stanu fizycznego niż psychicznego. Nie dostrzegał, że znalazła się na skraju szaleństwa. Ale liczne uderzenia pięścią w głowę...

Winfried Meilhofer powiedział: - Myślałem, że ją zabije. - Nie można było wykluczyć wewnętrznych obrażeń, które ujawniły się dopiero po kilku godzinach. Po bójkach często się o tym słyszało. Jeśli mu się teraz załamie...

Nie powinien się opierać na tym, co mówiła. Potrzebowała lekarza. Być może także takiego, który zbadałby bliżej sprawę podejrzaną przez niego próby samobójczej.

Zwykle nie miał w zwyczaju odsuwania od siebie odpowiedzialności, ale nagle zapragnął, by zjawił się prokurator i zdecydował, co dalej. Kontynuować? A może posłać do sędziego? Lub lepiej do najbliższego szpitala, gdzie zrobiliby jej prześwietlenie głowy, żeby później nie zarzucono mu zaniedbania?

Prokurator zajmował się właśnie inną sprawą. W barze w Kolonii schwycili mężczyznę podejrzanego o to, że przed paroma tygodniami roztrzaskał głowę swojej dziewczynie. Przez telefon Rudolf Grovian został szybko i niechętnie spławiony. - Jestem w środku przesłuchania. Przyjdę jutro rano i przeczytam akta. Jak pan skończy z tą kobietą, proszę ją odesłać do sędziego w Bruhl. Do tej pory wszystko jest przecież jasne, prawda?

Nic nie było jasne, dopóki upierała się, że nie znała ofiary. Ale dla sędziego wystarczyły zeznania świadków. O resztę mógł się martwić sądowy psycholog. Na pewno zostanie powołany. Niech ten łamie sobie nad nią

Jakaś część Rudolfa Groviana uważała, że powinien jak najprędzej się jej pozbyć. Miała w sobie coś, co wywoływało w nim wściekłość i - nawet jeśli nigdy by się do tego

nie przyznał - wprawiało w zakłopotanie. Im dłużej milczał, tym wyraźniej czuł ową pierwszą lekką wątpliwość. A co, jeżeli mówiła prawdę?

Głupota! Nie zdarzało się, żeby porządna mężatka i matka z błahego powodu mordowała zupełnie obcego człowieka.

Bawiła się obrączką. Pod paznokciami widać było jeszcze ślady krwi. Zaczęła skubać palce. Dłonie ponownie się zatrzęsły. Uniosła głowę i popatrzyła mu w twarz. Spojrzenie jak u dziecka, bezradne i zagubione. - Pytał pan o coś?

- Tak, pytałem - powiedział. - Ale najwidoczniej nie może się już pani skoncentrować. Myślę, że skończymy na dzisiaj, pani Bender. Jutro porozmawiamy dalej.

To było najlepsze rozwiązanie. Być może po nocy spędzonej w celi bardziej się otworzy. Być może zacznie także na nowo rozważać swój pierwotny zamiar. Pójść popływać! Istniały przecież inne metody. Musi poinstruować kolegów, żeby ani na chwilę nie zostawiali jej bez nadzoru. A przy najmniejszej oznace takich jej chęci sprawa byłaby dla niego załatwiona. Tak jak wtedy, gdy córka oznajmiła, że chce wyjść za mąż. Odetchnął i pomyślał, że wreszcie będzie miał spokój.

- Nie, nie - odparła pospiesznie. - Czuję się dobrze. Po prostu czasami człowiek myśli o tylu rzeczach. - Drzenie rąk nasiliło się i objęło ramiona. - Przepraszam, jeśli nie byłam całkiem przytomna. Myślałam o mężu. Bardzo go to wzburzyło. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby był taki wściekły.

Brzmiało to tak, jakby rozbiła jego samochód. Wyraźnie opuszczały ją siły. Popatrzyła na swoje dłonie i wydawała się być całkowicie skoncentrowana na tym, by nie stracić nad nimi kontroli. A on zastanowił się, co stałoby się, gdyby ją straciła. Potok łez? Wreszcie słowa prawdy? Czy też powtórka sceny nad jeziorem?

Wątpliwości pojawiły się znowu i tym razem nieco silniej. Co z nią było, do cholery? Młoda kobieta, która nagle stanęła oko w oko z niemiłym wspomnieniem z przeszłości czy jedna z tych ukrytych bomb, które przez lata odgrywają przed otoczeniem normalne i nieszkodliwe osoby, by potem wybuchnąć bez wyraźnego powodu? Czy zaatakowałaby i jego?

Był bliżej niż Werner Hoss, mężczyzna w dresie, który siedział za biurkiem jak gipsowa figura. Odbywał służbę w pogotowiu i zazwyczaj nie zachowywał się z takim dystansem. Ale zwykle także się z nim zgadzał. Tym razem nie.

Gdy stali w trójkę przed drzwiami, a Berrenrath wygłosił swą opinię na temat trzymania się resztkami sił i krótko opisał Rudolfowi Grovianowi, co sądząc po zeznaniach świadków jego zdaniem się zdarzyło, Hoss potrząsnął głową. - Nie wiem, ale musiał to być cholerny zbieg okoliczności. Oto kobieta nieszczęśliwa w małżeństwie chce się zabić, i właśnie w tej sytuacji natyka się na kogoś, z kim kiedyś coś ją łączyło. Wyobrażam sobie raczej, że coś w niej pękło, gdy musiała patrzeć na zachowanie Frankenbergów.

Jej głos, teraz cichy i przestraszony, wyrwał Rudolfa Groviana z zamyślenia. - Czy mogę jednak prosić o kawę?

Kusiło go, by odmówić. Kawa dopiero wtedy, gdy wszyscy będziemy zadowoleni. No dalej, dziewczyno! Opowiedz nam, co się dzieje w twojej głowie. Nie możesz się zachowywać tak, jakbyś zabiła osę, która chciała się dostać do twoich lodów. Myślałaś o tym, żeby się utopić, czyż nie? Ale potem jakiś mężczyzna w to uwierzył. Był młody, chciał ratować ludziom życie. A ty go zabiłaś jak wściekłego psa. Dlaczego?

- Chciałaby pani też coś zjeść? - zapytał.

- Nie, bardzo dziękuję - odparła szybko. - Tylko kawę proszę. Boli mnie głowa. To nic takiego. Mam na myśli, że

jestem w pełni sił. Nie będę jutro twierdzić, że czułam się tak źle, że nie wiedziałam już, co robię i mówię.

Jej słowa nie odpowiadały prawdzie. Czuła się jak w windzie jeżdżącej w górę i w dół. Od Gereona do ojca, od ojca do matki, od matki do Magdaleny, od Magdaleny do winy. Nie chciała kawy, tylko przerwy na odpoczynek, żeby ocenić, jak wysoka była góra, która tak nagle przed nią wyrosła.

Zbyt wiele rzeczy naraz. Wspomnienia i nowe odczucia. Nic nie zostało ze spokoju, radości i bezmiernej ulgi, które czuła w pierwszych chwilach. Nie skończyło się, dziura nie została zatkana, a ona wciąż w niej tkwiła. Miała wrażenie, że otaczają ją czarne ściany, które nieustannie się do niej zbliżają.

- Od kiedy boli panią głowa? - Rudolf Grovian podniósł się z mieszaniną rezygnacji i ponownie budzącej się zawodowej ambicji. To była kwestia intuicji i doświadczenia. Kontynuować! Jej głos, jej postawa, nagła uległość, znał to, doświadczył ich już setki razy. Najpierw byli bezczelni, potem dostrzegali beznadziejność swojej sytuacji i próbowali za pomocą nieszkodliwej prośby sprawdzić, ile punktów sympatii zdobyli do tej pory.

Podszedł do ekspresu do kawy, wziął dzbanek i przytrzymał go pod kranem. Za sobą słyszał jej drżący oddech. - Od kilku minut. Ale to naprawdę nic wielkiego.

- Więc nad jeziorem nic panią jeszcze nie bolało?
- Nie.
- Powinniśmy mimo wszystko zawołać lekarza, który obejrzałby pani obrażenia - zaproponował.
- Nie! - odparła niczym uparte dziecko, które nie chce włożyć ciepłego szalika. - Nie chcę lekarza. A jak nie chcę, nie ma pan prawa go wołać. Nie może mnie badać lekarz, jeśli nie wyrażę na to zgody. To by było naruszenie nietykalności.

No proszę, pomyślał, naruszenie nietykalności. Głośno zapytał: - Ma pani coś przeciwko lekarzom?

Kątem oka zobaczył, że uniosła i na powrót opuściła ramiona. Po kilku chwilach odparła: - Coś przeciwko to zbyt dużo powiedziane. Moim zdaniem są nic niewarci. Opowiadają ludziom bzdury. I trzeba im wierzyć, bo nie jest się w stanie udowodnić, że jest inaczej.

- Czy wie pani, jaki zawód miał Georg Frankenberg?

Jej głos utkwiał w niepewności, nie uszło to jego uwagi.

- Skąd miałabym wiedzieć, skoro go nie znałam?

To była prawda, czysta prawda. Obcy człowiek. Ale jego żona miała przecież nagranie! - Przewinę trochę... - A w jej głowie coś przewinęło się wstecz. Szef nie dał jej czasu, by zastanowić się nad tym, jak, kiedy i w jakich okolicznościach piosenka z kasety trafiła do jej umysłu. Choć ważne było, żeby to wiedzieć.

- Często boli panią głowa? - spytał.

- Nie. Tylko wtedy, gdy źle spałam.

- Chce pani aspirynę? Chyba mamy tu jakąś. - Nie powinien jej nic podawać, nawet czegoś tak nieszkodliwego jak aspiryna. Później mogłaby twierdzić, że było to coś, co ograniczyło jej wolną wolę. Zapytał tylko, by dla odmiany usłyszeć choć raz „tak”.

Lecz ona odparła: - Nie. To miło z pana strony, ale aspiryna mi nie pomoże. Moja teściowa ma pewne tabletki, czasami biorę jedną. Można je dostać tylko na receptę. To bardzo silny środek.

- A więc muszą to być silne bóle - stwierdził nasypując kawy. Nałożył filtr, wcisnął przycisk w ekspresie i obrócił się do niej.

- Czasami tak, ale teraz nie. Naprawdę - potrząsnęła głową - mogę wytrzymać. Proszę posłuchać, czy mógłby pan wyłączyć ekspres i najpierw umyć dzbanek? Jest bardzo brudny, widzi pan ten osad na dnie? Musi go pan usunąć, samo płukanie wodą nie pomoże.

Wyraz obrzydzenia na jej twarzy był dobrze widoczny. Porządna dziewczyna, pomyślał Rudolf Grovian w przypiływie sarkazmu, który nie odpowiadał jego nastrojowi. - Założę się - powiedział cicho - że pani za każdym razem dokładnie płucze dzbanek.

- Oczywiście.
- I że pani dom lśni czystością.
- Nie mam dużo czasu na prowadzenie domu. Ale staram się utrzymywać wszystko w porządku.
- Swoje życie też? - spytał.

Choć czuła się tak źle, że ledwo mogła jasno myśleć, sądziła, że wie, do czego on zmierza. Ręce automatycznie zacisnęły się na bliznach w zgięciach łokci. Gdy broniła się, jej głos brzmiał ochryple: - Co pan ma na myśli?

- To, co powiedziałem. Nie lubi pani mówić o przeszłości. Mąż z pewnością nie był pierwszym mężczyzną w pani życiu. Czy była z nim pani szczęśliwa, pani Bender?

Skinęła tylko głową.

- A dlaczego przed paroma godzinami powiedziała mu pani, że nigdy nie powinna za niego wychodzić?

Wzruszyła ramionami, uniosła dłoń do ust i zaczęła gryźć paznokcie kciuka.

- Okropnie panią potraktował - powiedział Rudolf Grovian, wskazując na jej twarz. - Często panią bił?

- Nie! - Zachrypnięcie zniknęło, nie musiała nawet odchrząknąć. Odzyskała energię: - Gereon nigdy mnie nie bił. Dziś był pierwszy raz. To zrozumiałe. Proszę postawić się w jego sytuacji! Co by pan zrobił, gdyby pana żona nagle rzuciła się z nożem na obcego człowieka i go zamordowała? Pan także próbowałby odebrać żonie nóż. A gdyby nie chciała go oddać, uderzyłby ją pan. To zupełnie normalne.

Rudolf Grovian czubkami palców zmył osad z dna dzbanka, wstawił go ponownie pod filtr i jeszcze raz nacisnął

guzik, tłumacząc jednocześnie: - Nie mogę się postawić w sytuacji pani męża, pani Bender. Moja żona nie zrobiłaby czegoś tak szalonego.

Jej reakcja była silniejsza niż oczekiwał. Tupnęła nogą i wykrzyknęła: - Nie jestem wariatką!

Pierwsze tego rodzaju wybuchy z jej strony nie uszły jego uwagi. Kolejny sprowokował go do uderzenia w tym kierunku. - Ludzie będą jednak tak myśleć, pani Bender, o ile nie wytłumaczy pani swojego zachowania. Żaden normalny człowiek nie zabija obcej osoby tylko dlatego, że zdenerwowała go muzyka. Rozmawiałem długo z pani mężem i...

Wykrztusiła coś, czego nie zrozumiał, i przerwała mu. Ostro zażądała: - Niech pan zostawi męża w spokoju! Nie ma z tym nic wspólnego. - Kontynuowała nieco spokojniej: - Gereon to miły człowiek. Pracowity i uczciwy. Nie pije. Nie jest brutalny.

Opuściła głowę. Jej głos stracił na stanowczości. - Nigdy nie zmusiłby żony, by zrobiła coś, czego nie chce. Nigdy mnie nie zmuszał. Wczoraj zapytał nawet, czy mam ochotę. Mogłam powiedzieć nie. Ale ja...

Rudolf Grovian poczuł się nieco niezręcznie i niezbyt dobrze to rozumiał. Cora Bender jak dzikie zwierzę rzuciła się na bezbronnego mężczyznę. Cora Bender z małym nożykiem, przepełniona wściekłością. Cora Bender nie okazywała śladu żalu lub współczucia dla ofiary. Ale gdy tak siedziała na krześle, trzęsącymi się ustami opisując swego męża, to ona była ofiarą.

Potem znów się uśmiechnęła, pewna siebie i dominująca, zaczęła od zwykłego: - Proszę posłuchać - czym ponownie go rozgniewała. - Nie chcę z panem rozmawiać o mężu. Wystarczy, że złożył zeznanie. Tak przecież było. I będzie musiał jeszcze raz powtórzyć je przed sądem. Ale na tym koniec. Resztę możemy załatwić tu między sobą. Nie zgadzam się, żeby osoby postronne były wciągane w tę sprawę.



Ostrzej niż zamierzał powiedział: - Mnóstwo osób postronnych zostanie w nią wciągniętych, pani Bender. Powiem pani teraz, jaka jest sytuacja. Nie może lub nie chce pani wyjaśnić nam, dlaczego nagle straciła pani nad sobą kontrolę.

Otworzyła usta, szybko mówił więc dalej: - Proszę mi znowu nie przerywać. Powiedziałem tylko - straciła panowanie. Nie twierdzę, że jest pani wariatką. Nikt też tak do tej pory nie dowodził. Ale zrobiła pani coś nie do pojęcia. A naszym zadaniem jest dowiedzieć się, dlaczego pani to zrobiła. Do tego zobowiązuje nas prawo, czy się pani to podoba, czy nie. Będziemy musieli porozmawiać z wieloma osobami. Ze wszystkimi pani bliskimi. Z teściami i rodzicami. Każdego spytamy...

Nie skończył. Wydawało się, że chce zerwać się z krzesła, objęła siedzenie obiema rękoma, jakby tylko w ten sposób mogła utrzymać się na miejscu. Z rodzicami! To słowo brzęczało w jej głowie.

Ofuknęła go jak kotka. - Ostrzegam pana! Niech pan zostawi mojego ojca w spokoju. Może pan rozmawiać z teściami. Opowiedzą panu, co pan chce usłyszeć. Że umiem tylko wyciągać rękę, że nie mam wstydu. Ladacznica, tak od początku mówiła o mnie teściowa, że jestem ladacznicą. Potrafi być paskudna. Zawsze mi dokuczała.

Rudolf Grovian nie wiedział po jej wypowiedzi, że rodzice nie żyją. Było tyle do omówienia, nie starczyło czasu na drugorzędne sprawy. Zobaczył, jak Werner Hoss daje mu znak. Miał wrażenie, że Hoss chce przerwać rozmowę. A tego nie planował. Kto kończy, kiedy właśnie się zaczęło? Bo zaczęło się. Lodowiec się roztapiał, słyszał niemal plusk rwącego potoku. Szybko zrozumiał, że trafił w czuły punkt: rodzice, ojciec. W miarę, jak mówiła dalej, spostrzegł, że było to więcej niż tylko jeden punkt.

Hoss nabazgrał coś na kartce. „Rodzice nie żyją”, przeczytał Rudolf Grovian i pomyślał, no proszę. Nie miał

czasu na dłuższe rozważania. Już po dwóch zdaniach jej głos stracił siłę, chwiał się w tę i z powrotem jak papierowy stateczek w ryszotoku.

- Nie straciłam dziecka. To był nagły poród. Lekarze powiedzieli, że może się zdarzyć każdej kobiecie. Że nie ma nic wspólnego z tym, czy spała z jednym czy z setką mężczyzn. Nie spałam z setką mężczyzn. Już jako małe dziecko wyobrażałam sobie, że pewnego dnia te ich rzeczy muszą odpaść.

Palce lewej dłoni zaplotła na prawej i ścisnęła ją, jakby chciała złamać. Rudolf Grovian obserwował kobietę z mieszaniną fascynacji i triumfu. Spuszczając wzrok na podłogę, mówiła dalej: - Ale z Gereonem było pięknie. Nigdy mnie nie zmuszał. Zawsze był dla mnie dobry. Nie powinnam za niego wychodzić, bo ja... bo ja... Miałam przecież ten sen. Ale od dłuższego czasu już nie wracał. A ja... Ja chciałam tylko...

Przerwała, uniosła głowę i spojrzała mu w twarz. W głosie czuło się panikę: - Chciałam tylko normalnego życia z miłym, młodym mężczyzną. Chciałam mieć to, co inni. Rozumie pan?

Pokiwał głową. Któżby nie zrozumiał? I który ojciec nie pragnąłby, żeby jego córka dążyła do tego samego - aby być zadowolona i szczęśliwa u boku miłego, porządnego mężczyzny?

To była chwila, w której dla Rudolfa Groviana zmieniła się perspektywa. Nie zauważył tego, jeszcze kilka dni później uważał się za zdystansowanego, zaangażowanego policjanta, który poznał nieszczęścia sprawcy i mógł mu współczuć. Współczucie nie było zakazane, dopóki człowiek nie tracił celu z oczu. Nie stało się tak ani na chwilę. Cel jego pracy stanowiło odkrycie i końcowe wyjaśnienie sprawy, grzebanie w najciemniejszych zakamarkach i poszukiwanie dowodów. Nie grało roli, czy zakamarki te znajdowały się w budynku, w lesie, czy w ludzkiej duszy.

Rudolf Grovian nie miał ambicji, by odbierać zajęcie kompetentnym specjalistom. Nie miał także zamiaru za wszelką cenę dowodzić, że jego pierwsze podejrzenie było słuszne. Był tylko człowiekiem, który został sprowokowany, który przeoczył pierwsze sygnały alarmowe, wysyłane przez chwiejący się umysł, który poczuł pokusę i jej uległ. Pod koniec chodziło mu tylko o to, by dowieść swej niewinności.

Cora Bender zamknęła oczy i wyjąkała: - Tak było na początku. Wszystko zupełnie normalnie. Lubiłam, gdy Gereon był czuły. Chętnie z nim spałam. Ale potem... zaczęło się znowu. Nie z jego winy. Chciał tylko dobrze. Inne to lubią, szaleją za tym. Nie mógł podejrzewać, co się stanie, gdy mi to zrobi. Sama tego nie wiedziałam, dopóki się nie stało. Powinnam z nim o tym porozmawiać. Ale co miałabym mu powiedzieć? Że nie jestem lesbijką? Nie o to przecież chodziło - tak sędę. Nie wiem, ale... Mam na myśli, że nie tylko kobiety robią to sobie językiem. Mężczyźni także i wszyscy uważają, że to przyjemne. Tylko ja nie. A tamto jeszcze nie odeszło. Myślałam, że najlepiej będzie, jak pójdę popływać. Wyglądałoby na wypadek. Gereon nie miałby wyrzutów sumienia. Najgorsze, gdy ktoś umiera, to te wyrzuty sumienia. Chciałam mu ich oszczędzić. Gdyby dziecko mnie nie zatrzymało, nic by się nie stało. Dawno już byłabym daleko, gdy przewinęła taśmę.

Zaczęła bić się pięścią w piersi, oczy miała zamknięte, głos zaczął brzmieć histerycznie. - To była moja melodia! To była moja melodia! A ja nie mogę wytrzymać, gdy ją słyszę. Mężczyzna nie chciał jej słuchać. To nie, powiedział, nie rób mi tego. Wiedział, że wpadam w dziurę, gdy ją słyszę. Musiał wiedzieć. Popatrzył na mnie i wybaczył mi. Wyczytałam to w jego oczach. Ojczy, przebacz jej! Nie wie, co czyni.

Jęknęła. - O mój Boże! Ojczy, przebacz mi! Przecież was wszystkich kochałam. Ciebie i matkę i... Tak, ją też. Nie chciałam zabijać. Chciałam tylko żyć, normalnie żyć.

Ponownie otworzyła oczy, wpatrywała się w niego i pomachała palcem wskazującym w jego kierunku. - Niech pan zapamięta, to wszystko była moja wina. Gereon nie miał z tym nic wspólnego. Mój ojciec też nie. Niech pan zostawi mojego ojca w spokoju. To stary człowiek. Wystarczająco dużo zrobił. Zabijecie go, jeśli mu to powiecie.

## Rozdział 4

Przez te wszystkie lata ojciec na swój sposób bardzo się starał. I nawet jeśli sto razy go zawiodłam, jeśli tysiąc razy dałam mu powód, by mnie odrzucił, to nigdy nie przestał mnie kochać. Zrobił dla mnie coś, czego nie uczyniłby żaden inny ojciec.

Nie chodzi mi o to, co stało się w moje urodziny, gdy leżałam głodna w łóżku, a on wszedł złorzecząc. Chociaż wtedy także zrobił coś dla mnie. Gdy zauważył, że nie śpię, usiadł na moim łóżku i pogładził mnie po głowie. - Przykro mi - powiedział.

Byłam na niego wściekła. Gdyby nie dał mi głupiej czekolady, dostałabym talerz zupy. - Zostaw mnie - odparłam i obróciłam się na bok.

Ale nie zostawił. Objął mnie i kołysał. - Moja biedna dziewczynka - szeptał.

Nie chciałam być biedną dziewczynką. Nie chciałam też żadnych urodzin, tylko mieć wreszcie spokój. - Zostaw mnie - powiedziałam raz jeszcze.

- Nie mogę - wyszeptał. - Wystarczy, że jedna cierpi. Nie mogę nic dla niej zrobić, to zadanie dla lekarzy. Ale ty jesteś moim zadaniem. Jeśli wytrzymasz jeszcze pół godziny, wtedy matka na pewno zaśnie i przyniosę ci coś do jedzenia. Musisz być głodna jak wilk.

Siedział na moim łóżku ponad godzinę, trzymał mnie w objęciach i tym razem nie opowiadał o przeszłości. Matka była jeszcze na dole i modliła się po raz ostatni tego dnia. Zdawało mi się, że minęła wieczność, zanim wreszcie usłyszeliśmy jej kroki na schodach. Poszła do ubikacji, a chwilę

później drzwi obok zamknęły się. Ojciec poczekał jeszcze kilka minut, zanim zszedł na dół.

Wrócił z talerzem zupy. Była ledwie letnia, ale to mi nie przeszkadzało. Gdy opróżniłam talerz, postawił go na podłodze, sięgnął do kieszeni spodni i wyjął coś. Resztę czekolady.

Nie chciałam jej wziąć, naprawdę nie. Ale ojciec odłamał kawałek, wsunął mi do ust i powiedział: - Weź. Nie zastanawiaj się, możesz ją jeść. Gdy ja tak mówię, możesz. To nie grzech. Nie potrafiłbym nigdy namówić cię do grzechu. Nie musisz się bać, że matka coś zauważy. Sądzi, że czekolada leży już w śmietniku. - Nie umiałam postąpić inaczej.

Następnego dnia Magdalena poczuła się źle. A dzień później jej stan jeszcze się pogorszył. Ojciec nalegał, by zabrać ją do kliniki. Matka nie chciała, ale tym razem ojciec postawił na swoim. Wyjechali wcześniej rano.

Nigdy tego nie zapomnę. Matka wróciła po południu - sama, taksówką. Ojciec został z Magdaleną w Eppendorf, by w spokoju porozmawiać z lekarzami. Byłam obok u Grit Adigar. Ojciec powiedział mi rano, że jeśli w domu nikt mi nie otworzy, mam iść do Grit. Dostałam obiad, a później jeszcze kilka cukierków za dobrze odrobione lekcje.

Tak naprawdę chciałam je zjeść dopiero wtedy, gdy Magdalena wróci do domu. Ale potem pomyślałam, że po czekoladzie nie ma to już znaczenia. Matka przyszła mnie odebrać, a ja miałam jeszcze cukierka w buzi. Oczywiście dostrzegła to. Nie zażądała jednak, bym go wypluła.

Była inna niż zwykle - jak z kamienia, a jej głos brzmiał szorstko. Magdalena musiała umrzeć, tak powiedzieli lekarze. Teraz już musiała. Zbyt często śmiała się śmierci w twarz, jej czas wreszcie ostatecznie upłynął. Nie mogli jej leczyć, to tylko przedłużało cierpienia.

Do wszystkich chorób doszła jeszcze jedna. Nie miała nic wspólnego z katarem, który przyniosłam do domu. Nazywała się białaczka. Rak, powiedziała matka, a ja wyobraziłam sobie, że Magdalena ma w brzuchu zwierzę ze szczypcami, które rozszarpuje ją od środka.

Matka przyniosła z piwnicy jedną walizkę dla siebie, a drugą dla Magdaleny. Musiałam iść z nią na górę. Musiałam stać obok łóżka w jej sypialni, podczas gdy ona pakowała bieliznę do walizki Magdaleny i mówiła: - Obejrzyj dokładnie to łóżko. Tak jak jest teraz, tak zostanie. Przez całe życie będziesz widziała na nim swoją siostrę. Do końca swoich dni będziesz pytać się: czy było warto? Jak mogłam pozwolić siostrze umrzeć dla równie błahej zachcianki? I to w dodatku tak straszną śmiercią.

Uwierzyłam w to. Naprawdę w to uwierzyłam. I czułam szaleńczy strach. Aż do tego momentu nigdy nie zastanawiałam się, jak ułoży się nasze życie, gdy Magdaleny już nie będzie. Teraz to robiłam. Spojrzałam na łóżko, jak tego zażądała matka. Pomyślałam, że chce mnie zamknąć w sypialni, żebym do śmierci patrzyła na puste łóżko.

Matka pojechała taksówką z powrotem do Eppendorf. Zostałam sama w domu. Nie zamknęła mnie w sypialni. Gdy ojciec wrócił wieczorem, byłam w salonie. Zapaliłam świece i całe popołudnie klęczałam na drewnianej ławce. Obiecałam Zbawicielowi, że nigdy już niczego nie zapragnę. Błagałam Go, by uśmiercił mnie, a siostrę zostawił w spokoju. Gdy nie padłam martwa, pomyślałam, że muszę pokazać matce, na jak dużą stać mnie ofiarę. Chciałam spalić sobie ręce tak jak niebieską sukienkę z białym kołnierzykiem, żebym nigdy już nie mogły dotknąć niczego słodkiego. Ale gdy trzymałam je nad płomieniem, a ból się nasilił, cofnęłam dłonie. Zostało tylko kilka bąbli.

Ojciec był przerażony, gdy je zobaczył. Zapytał, co powiedziała matka. Powtórzyłam mu. Najpierw wściekł się

i strasznie złorzeczył. Głupia krowa! Jest całkiem chora! Takie rzeczy. Potem poszedł do Grit Adigar, by zatelefonować do kliniki i powiedzieć lekarzom, że zmienił zdanie. Że mają leczyć Magdaleny. A jeśli nie zechcą, to złoży na nich doniesienie i przeniesie Magdaleny do innej kliniki.

Gdy wrócił, był bardzo spokojny. Przygotował kolację. Zupę z fasoli ze słoika, bo w domu nie mieliśmy nic innego. Potem postawił na kuchence mniejszy garnek i nalał mleka. Mleko było zawsze. Dla Magdaleny. Ja go nie lubiłam. Łatwo przychodziło mi z niego zrezygnować. Zawsze udawałam jednak, że to z mojej strony wielka ofiara. Jako dziecko byłam taka fałszywa, zakłamana i ogromnie zepsuta.

Ojciec wyciągnął z kieszeni małą torebkę i uśmiechnął się do mnie. - Zobaczmy, czy potrafię - powiedział. To był budyń w proszku. Poprosił o niego Grit. Powiedział: - Muszę jej uświadomić, że może jeść, co chce. Właśnie teraz muszę. Ale co zrobić z Magdaleny? Najlepiej byłoby pozwolić jej umrzeć w spokoju. Leczenie to tortura. Lekarze dokładnie mi to wyjaśnili. Nie przeżyje tego. A potem będę musiał żyć z myślą, że na moje polecenie zamęczyli ją na śmierć. Ale muszę tak zrobić - dla Cory.

Grit opowiedziała mi to dopiero później, dużo później. Ale zawsze wiedziałam, że ojciec mnie kocha. I ja też go kochałam. Kochałam go bardzo.

Zostaliśmy wtedy sami długo, bo aż pół roku. To był piękny okres, najpiękniejszy w moim życiu. Zanim ojciec rano wyjechał do pracy, przygotowywał mi na śniadanie jajka, kanapki z szynką i kakao. Zawsze dawał mi duże jabłko albo banana do zjedzenia na przerwie.

Gdy po południu wracałam ze szkoły, szłam do Grit i bawiłam się z Kerstin i Melanie. W domu zawsze były dla mnie miłe. Czasami mówiły nawet, że przykro im z powodu przerw.



Najlepiej było, gdy ojciec późnym popołudniem przyjeżdżał do domu. Mył okna i prał zasłony, a ja ścierałam kurz i zmiatałam kuchnię. Wszystko lśniło czystością. Gdy posprzątaaliśmy, gotował. Codziennie jedliśmy mięso lub kielbasę, a potem słodki deser. Po jedzeniu siedzieliśmy w kuchni. Ojciec tłumaczył mi, że Magdalena nie będzie bardziej chora ani też nie wyzdrowieje, jeżeli będziemy jeść budyń. Obiecał porozmawiać z matką, by pozwoliła mi być normalnym dzieckiem.

- Wystarczy - powiedział kiedyś - że w tym domu odmawiać sobie będzie ten, kto jest odpowiedzialny za całe to zło. Obiecałem sobie tak zrobić. Bóg da, żeby mi się udało.

Do salonu szliśmy dopiero przed snem. Ojciec nigdy nie zapalał świec. Klęczeliśmy w ciemnościach przed ołtarzem i modliliśmy się za Magdalenę. Matka zażądała, byśmy to robili. Ale sądzę, że modlilibyśmy się też z własnej woli.

W niektóre niedziele ojciec jechał do kliniki. Nie zabierał mnie ze sobą. Nie wolno mi było zbliżać się do Magdaleny, bo mogłam mieć na sobie zarazki jakiejś zazwyczaj nieszkodliwej choroby. Leczenie, na które należał ze względu na mnie, okazało się skuteczne. Magdalena jednak osłabła tak bardzo, że umarłaby nawet od kataru.

Gdy ojciec ją odwiedzał, szłam do sąsiadów. Dostawałam kakao i świeże ciasto posypane cukrem. Byłam szczęśliwa, nieskończenie szczęśliwa. Przede wszystkim wtedy, gdy ojciec wracał z kliniki i gdy mówił: - Wygląda, jakby spała. Zostały z niej tylko oczy. Lekarze mówią, że ma niepohamowaną wolę życia. Można by sądzić, że pompuje krew do żył tylko dzięki sile woli. Taka mała, słaba istota, nie ma nawet tyle siły, by unieść głowę. Trudno to pojąć. Ale wszyscy czepiają się życia.

W grudniu wróciły do domu. Magdalena nie miała włosów. Była tak słaba, że nie wolno jej było czekać z załatwianiem potrzeb fizjologicznych. Matka codziennie robiła

jej lewatywę, żeby nie musiała napinać mięśni. Magdalena nie lubiła lewatywy. Płakała już wtedy, gdy matka zbliżała się do niej z pojemnikiem i rurką. A teraz płakała naprawdę, choć tego też jej nie było wolno. Zbyt ją wyczerpywało.

Gdy zaczynała płakać, matka traciła panowanie i odsyłała mnie do salonu. Nie mogłam wejść nawet po to, by odrobić lekcje. Następnego dnia zawsze miałam problem z nauczycielką. Wcześniej dobrze mnie traktowała, teraz jednak zaczęła uważać, że jestem leniwa i niesumienna. Nie powinnam wykorzystywać choroby siostry jako usprawiedliwienia dla mojego nieróbstwa. Kilka razy dostałam nawet wpis do dziennika.

Grit Adigar poradziła mi, że bym odrabiała lekcje wieczorem, gdy matka wysyłała mnie do łóżka. Leżałam z książkami i zeszytami na podłodze, bo w pokoju nie było stołu. A potem nauczycielka wyśmiewała moje koślawe pismo.

Oczywiście byłam wdzięczna Zbawicielowi za pozostawienie siostry przy życiu. Ale nie tak to sobie wcześniej wyobrażałam. Czasami myślałam, że lepiej byłoby, gdyby matka zamknęła mnie do końca życia w sypialni. Nie miałabym tak wielu problemów.

Co cztery tygodnie Magdalena musiała udawać się do kliniki na zabiegi. Matka jeździła razem z nią. Za każdym razem zostawały dwa lub trzy dni. Za każdym razem pragnęłam, żeby już nie wróciły. Żeby lekarze powiedzieli, że Magdalena na zawsze musi zostać w Eppendorf. Bo tylko tam może przeżyć. Matka zostałaby z nią. Nigdy by jej nie opuszczała. Ja byłabym sama z ojcem, a on stałby się znowu taki jak przez te pół roku. Nie chciałam więcej, tylko tyle, żeby nie był taki smutny.

To było jak koszmar, z którego nie mogła się obudzić, tylko tym razem wyglądał zupełnie inaczej. Nic nie pozostało w ukryciu. Wszystko wymykało się jej z rąk, wylaty-

wało z głowy i wychodziło na zewnątrz. Słyszała samą siebie, jak mówi - o urodzinach, o czekoladzie. O snach za dnia. Tylko ojciec i ja! Zobaczyła swoje roztańczone palce i niczym przez mgłę uważną i przejętą twarz szefa.

Czasami potakiwał.

A ona nie mogła przestać mówić. Poza tym nie wolno jej było. Musiała przekonać go, żeby zostawił ojca w spokoju. Gereona też. Gereon nie zasłużył na to, żeby obciążać go sprawą, za którą nie był odpowiedzialny. A dla ojca wiadomość o tym oznaczałaby koniec wszystkiego.

Opowiedziała szefowi o ojcu. Niezbyt dużo, tylko jakim był wcześniej ciepłym i troskliwym człowiekiem; o szerokich zainteresowaniach, chodzący podręcznik historii, krajoznawstwa. Mówiła też o matce, o krzyżu i różach na domowym ołtarzu, o Zbawicielu z drewna i modlitwach. Nie wspomniała tylko o najważniejszym. O Magdalenie.

Jej ciało drżało jakby od nagłych skurczów, umysł także drżał, sprawiał, że głowa automatycznie chwiała się to w przód, to w tył. Ale miała jeszcze dużo samokontroli. Do Magdaleny nie można było dopuścić nikogo i niczego, a zwłaszcza żadnych mężczyzn. Każde wzruszenie, każdy wysiłek mógł dla niej "oznaczać śmierć.

Mówiła o sprzecznych uczuciach, o konieczności bycia dobrym człowiekiem i pokusie grzesznego życia. Słodczyce w dzieciństwie, a później młodzi mężczyźni przyciągający ją swą magiczną siłą. Zwłaszcza jeden. Jeden z tych, któremu wystarczyło, że pstryknął palcami. Wszyscy nazywali go Johnny Guitar.

Grit Adigar powiedziała kiedyś: - Gdy będziesz dorosła, zrób tak jak ja. Poszukaj sobie miłego mężczyzny, miej z nim dziecko, odejdź z nim i zapomnij o tym cyrku tutaj. - Chętnie odeszłaby z Johnnym. Nieraz zastanawiała się, jak to by było mieć z nim dziecko.

Od Johnny'ego przeszła do Gereona. Opowiedziała o dniu, w którym go spotkała. Tylko dzięki niemu mogła wrócić do normalności. Tego chciała. Koniecznie musiała to zrobić. Być normalną, dorosłą kobietą, która dawno zostawiła za sobą dzieciństwo. A także ten plugawy następny rozdział, który rozpoczął się w maju przed pięcioma laty i skończył pół roku później - w listopadzie, zostawiając tak wyraźne ślady na zgięciach łokci i na czole. Nie można było tego ruszać, bo wbijało się zbyt wiele brudu.

Jej teściowa często próbowała to robić. Ladacznica! - Kto wie, co robiła wcześniej! - I stary ze swoimi okropnymi powiedzonkami. - Nie jesteś taka niewinna. Widać to po tobie jak na dłoni. Ze mnie nie zrobisz głupca.

A umiała to tak dobrze. Uczyła się tego od podstaw. Gdy chciała, mogła z każdego zrobić głupca. Z szefa także. Pomogło jej, gdy przypomniła sobie o pierwszym spotkaniu z Gereonem. Cztery lata temu. W grudniu minie pięć. Było to tuż przed Bożym Narodzeniem.

Gereon robił w mieście zakupy, prezenty dla rodziców. Obładowany torbami wszedł do kawiarni przy Herzogstrasse, gdzie zarabiała na życie - uczciwie! Pierwszy raz trafił tam przez przypadek. Usiadł przy stoliku i czekał na obsługę. Nie wiedział, że powinien zamówić w poprzedniej sali i był zakłopotany, gdy mu to powiedziała.

- Czy muszę się wracać? - Najwyraźniej się zawstydyził. Czuł się jak nieobyty wieśniak i zaczerwienił się. - Może mi pani coś przynieść?

- Nie wiem, co pan lubi.

- Wszystko - powiedział i uśmiechnął się. - Coś z kremem i kawę.

- Dzbanek czy filiżankę? - spytała.

- Filiżanka wystarczy - odparł. To było dla niego typowe, nigdy nie stawiał wielkich wymagań.

Poszła do drugiej sali i przyniosła mu kawałek tortu z wiśniami. Podziękował: - To miło z pani strony. Może pani też ma na coś ochotę? Zapraszam panią.

- Dziękuję bardzo - powiedziała. - Ale ja tu pracuję.

- Tak, oczywiście. - Znowu się zawstydził, wziął na łyżeczkę duży kawałek tortu, wsadził sobie do ust, zaczął gryźć i śledził ją spojrzeniem. Za każdym razem, gdy na niego spoglądała, uśmiechał się.

Dwa dni później znowu się pojawił. Tym razem zamówił w pierwszej sali i uśmiechał się do niej jak dobry znajomy. Zanim wyszedł, spytał: - Co pani robi po pracy? O której pani kończy?

- O wpół do siódmej.

- Czy moglibyśmy wtedy gdzieś razem pójść? Może na piwo?

- Nie piję piwa.

- To na coś innego, wszystko jedno. Nie na długo. Wystarczy pół godziny. Bardzo chciałbym panią poznać.

Był niezręczny, a mimo to bezpośredni. Nie ukrywał, że mu się podobała. Ale w żaden sposób się nie narzucał. Gdy mu odmówiła, odparł wzruszając ramionami: - To może innym razem.

Trzy razy prosił o spotkanie, trzy razy odmawiała. Po trzecim razie porozmawiała z Margret. O tym, że jest przystojny i naiwny. Że to taki mężczyzna, którego w paru zdaniach można przekonać, że ziemia jest płaska, a statki, które wypływają zbyt daleko, na końcu spadają w pustkę.

Mówiła o potrzebie oddzielenia przeszłości grubą kreską i zaczęcia od nowa gdzieś, gdzie nikt jej nie znał. By żyć jak tysiące innych ludzi. A mogła to zrobić tylko z mężczyzną, który nie miał własnego zdania. Któremu dałoby się powiedzieć, że blizny na zgięciach łokci to ślady po ostrym zapaleniu, co w zasadzie się zgadzało. I że ślad na

czole został po wypadku samochodowym. Margret bardzo dobrze to rozumiała.

Nie musiała tylko opowiadać o tym szefowi. Od razu chciałby wiedzieć, kim była Margret, i ją także umieściłby na liście osób, z którymi koniecznie musiał porozmawiać. A żeby w całą sprawę wciągnąć jeszcze Margret, to byłoby zbyt dalekie posunięcie.

Margret, młodsza siostra ojca, w porównaniu z matką zawsze sprawiała wrażenie młodej kobiety. Młodej, ładnej, nowoczesnej, z rewolucyjnymi poglądami na życie i wyrozumiałością dla wszystkich ludzkich słabości i błędów, które człowiek popełniał.

Gdy Gereon pojawił się w jej życiu, od roku mieszkała u Margret w Kolonii, w niewielkim mieszkaniu w starym budownictwie. Dwa pokoje, mała kuchnia, kabina prysznicowa tak wąska jak ręcznik. Przy korzystaniu z toalety kolanami dotykało się drzwi. Spała na kanapie, Margret nie mogła jej zaoferować więcej. Sypialnia była zbyt mała, by wstawić drugie łóżko.

Nie chciała go. Nie zniosłaby drugiego łóżka w pobliżu. Czasami zastanawiała się, co by się z nią stało, gdyby Margret nie przyjęła jej, kiedy już nie mogła wytrzymać w domu. Była tylko jedna odpowiedź: już by nie żyła. A tak naprawdę chciała żyć.

U Margret wreszcie się tego nauczyła. Margret załatwiła jej pracę w kawiarni na Herzogstrasse. A gdy pojawił się Gereon, który nie poddawał się i prosił wciąż o spotkanie, powiedziała: - Mogłabyś gdzieś z nim wyjść, Coro. Jesteś młoda. To normalne, jeśli zakochasz się w młodym mężczyźnie.

- Nie wiem, czy się w nim zakochałam. Przypomina mi tylko kogoś, w kim kiedyś byłam bardzo zakochana. Wszyscy mówili na niego Johnny. Nigdy nie dowiedziałam się, jak naprawdę miał na imię. Wyglądał jak archanioł z Biblii

matki, który wypędza ludzi z raju. Znasz ten fragment? „Wtedy otworzyły się im obojgu oczy i poznali, że są nadzy!” Tak wyglądał Johnny. Gereon trochę go przypomina. Ale tylko zewnątrz, kolorem włosów i tak dalej. Gereon to miły facet, z porządnego środowiska. Opowiadał mi już o swoich rodzicach. A pewnego dnia zapyta mnie...

- Bzdura - powiedziała Margret. - Niech pyta, coś mu opowiemy. Sama mówisz, że nie jest zbyt bystry. Nie masz obowiązku opowiadać mu historii swego życia. Na pewno nie zapyta cię od razu o rodzinę. Młodzi mężczyźni mają co innego w głowie. Gdy spyta, powiesz mu, że nie mogłaś już wytrzymać w domu. Powiedz, że twoja matka nie ma za bardzo dobrze w głowie, ale to nie jest dziedziczne. To przecież prawda.

- A jak będzie chciał ze mną spać? - wymamrotała, nie kierując tego do Margret.

Mimo to Margret zrozumiała. Spojrzała na nią uważnie, ze współczuciem i zrozumieniem. - Sądysz, że nie potrafisz?

Oczywiście, że potrafiła. Nie w tym problem. Często zastanawiała się, jak dobrze byłoby jej z jakimś miłym, młodym mężczyzną. Ale to oznaczałoby oszustwo. Ponieważ nie odpowiadała, Margret oznajmiła swoim charakterystycznym, zdecydowanym tonem: - Cora, to nic takiego. Jeśli nie masz ochoty, powiesz po prostu nie.

Nie było to jednak takie proste, jak sądziła Margret. Jeśli kobieta chciała zatrzymać przy sobie mężczyznę, nie mogła ciągle odmawiać. A ona chciała. Podobał się jej. Po pierwsze przypominał Johnny'ego. Z wyglądu. Po drugie był bardzo delikatny i czuły. Pierwsze wieczory w jego samochodzie minęły wspaniale.

Dwa razy w tygodniu odbierał ją wieczorem z kawiarni, zawoził w ustronne miejsce i brał w ramiona. Najczęściej było zbyt zimno, by zdjąć kurtkę, nie mówiąc już o czymś

innym. Ale Gereon nie naciskał, do wiosny zadowalał się pocałunkami i przytulaniem. Dopiero potem zechciał czegoś więcej.

Chętnie by to jeszcze odłożyła. Ale obawa utracenia go w przypadku odmowy przeważała nad lękiem, że mógłby być rozczarowany. Zresztą nie był. Nie poczuł się oszukany lub zdradzony, powiedział tylko: - Nie byłaś już dziewczicą.

Oczywiście, że nie! W wieku dwudziestu jeden lat nie było się już dziewczicą. Spało się wcześniej z jednym czy drugim mężczyzną. Ale tego także nie musiała mówić szefowi.

Znowu miała wszystko pod kontrolą, mogła opowiadać dalej tak, żeby nie wspomnieć o Margret i nie wywołać wrażenia, że w całej historii są puste miejsca. Tylko ostatnie zdanie, słowa Gereona, wyrwało się, zanim zdołała temu zapobiec.

Szef spojrział na nią. Chciał usłyszeć więcej, wyraz jego twarzy nie pozostawiał co do tego wątpliwości. Pragnął wyjaśnienia przyczyny śmierci mężczyzny. Póki go nie otrzyma, nie da spokoju, będzie obstawał przy rozmowie z Gereonem, a może nawet z ojcem.

Przez kilka minut w pokoju było cicho. Mężczyzna w dresie z powątpiewaniem spoglądał na magnetofon. Szef nakazująco patrzył jej w twarz. Musiała mu coś opowiedzieć, cokolwiek. A jeśli nie uwierzy, że mówi prawdę?! Teraz, kiedy głowę miała jeszcze swobodną i znowu myślała dość

Stwierdziła, że uwaga Gereona o dziewictwie i to, co powiedziała Grit Adigar o możliwości ucieczki z domu, stanowią dobrą podstawę dla dalszej historii. A imię głównej postaci... Jak to powiedział szef? - Nazywał się Georg Frankenberg. - Być może, tylko że nazwisko było jej obce, a bała się przejęzyczyć. Johnny brzmiało pewniej. I gdyby powiązała swoje dawne marzenia z tym, co opowiadano



o Johnnym... Krążyło kilka nieprzyjemnych pogłosek. Wspaniały początek dobrej historii.

- Jeśli... - zaczęła z wahaniem - wytłumaczę panu, dlaczego go zabiłam, czy obieca pan zostawić moją rodzinę w spokoju?

Nie obiecał nic, zapytał tylko: - A więc może to pani wytłumaczyć, pani Bender?

Skinęła głową. Dłonie znowu trzęsły się mimo woli. Położyła jedną na drugiej i przycisnęła mocno do kolan. - Oczywiście, mogę. Miałam tylko nadzieję, że nie będę musiała. I nie chcę, żeby mąż się dowiedział. Nie zrozumiałby. A już jego rodzice na pewno nie. Zamieniliby mu życie w piekło, gdyby się dowiedzieli. Że zadał się z taką jak ja.

Do tego momentu mówiła ze spuszczoną głową. Teraz podniosła ją, spojrzała mu pewnie w oczy i kilka razy głęboko odetchnęła.

- Skłamałam mówiąc, że nie znałam tego mężczyzny. Nie wiedziałam, jak się naprawdę nazywa. Ale on sam...

To było pięć lat temu. W marcu pojawił się w Buchholz po raz pierwszy. Nikt nie wiedział, jak naprawdę się nazywa. Mówił o sobie Johnny Guitar.

Nie miałam zbyt wiele doświadczenia w kontaktach z mężczyznami. Rzadko wolno mi było wychodzić z domu. Musiałam kłamać, by mieć kilka godzin dla siebie. Najczęściej mówiłam matce, że pod wolnym niebem, bez osłony dachu, bezpośrednio pod boskim okiem wyraźniej dostrzegam swe żądze i mogę bardziej skoncentrować się na ich zwalczaniu. Takie wypowiedzi jej imponowały. Pozwalała mi wtedy w sobotę wieczorem wychodzić z domu. W Buchholz młodzi ludzie nie mieli zbyt wielu rozrywek. Wokół przyroda, ścieżki rowerowe, kawiarnie i hotele dla tych, którzy szukali wypoczynku, ale żadnej dyskoteki. Niektórzy jeździli do Hamburga. Jednak ja nigdy bym tego

nie zrobiła. Chociaż ojciec z pewnością dałby mi samochód. Pozwolił mi też zrobić prawo jazdy. Byliśmy sojusznikami, ojciec i ja. Ale nie chciałam tego wykorzystywać ponad miarę.

Zawsze szłam do miasta. Znajdowało się tam kilka lodziarni, a także lokal, gdzie w sobotę można było potańczyć. Nie miałam przyjaciółek ani przyjaciół. Dziewczyny w moim wieku najczęściej znalazły sobie chłopaka, z którym wołały spędzać czas sam na sam. A mężczyźni - oczywiście poznałam kilku młodych mężczyzn, ale to nie było nic poważnego. Tańczyłam z nimi, raz pozwoliłam się zaprosić na colę. Nic więcej się nie działo. Miałam zahamowania. Gdy zauważali, że nie od razu osiągną cel, tracili zainteresowanie.

Nigdy mi to nie przeszkadzało. Dopóki nie pojawił się Johnny. Tego marcowego wieczora. Sądzę, że zakochałam się w nim w ciągu kilku pierwszych chwil. Nie był sam, towarzyszył mu jeszcze jeden mężczyzna, niski grubas. Obaj nie pochodzili z okolicy, zauważyłam to, gdy usłyszałam, jak rozmawiają. Rozglądali się wokół. Na mnie nie zwrócili uwagi. Usiedli przy stoliku. Po kilku minutach Johnny wstał i poszedł do jakiejś dziewczyny. Zatańczył z nią kilka razy. Potem opuścili lokal razem z niskim

Następnej soboty znowu się pojawili, dziewczyna także. Siedziała w rogu z dwiema koleżankami. Gdy zauważyły Johnny'ego i jego przyjaciela, pochyliły głowy i zaczęły szeptać. Ale dziewczyna nie podeszła do przybyłych. Miałam wrażenie, że nie chce mieć nic do czynienia z Johnnym i grubasem. Johnny także się o nią nie troszczył. Nie trwało długo, i poprosił do tańca jakąś inną. Wkrótce potem zniknął razem z nią. Niski grubas poszedł za nimi. Następnej soboty już nie zwracali na tę dziewczynę uwagi.

Trwało to przez kilka tygodni. Być może ich zachowanie, a przede wszystkim reakcje dziewcząt powinny zmusić

mnie do zastanowienia. Ale ja o niczym nie myślałam. Byłam wtedy naprawdę bardzo naiwna. I bardzo zakochana! Wiele bym dała, by choć raz z nim porozmawiać.

Nie mogłam się doczekać sobotnich wyjść z domu. Nigdy przedtem tak zuchwale nie okłamywałam matki. Wszystko kręciło się tylko wokół Johnny'ego. Wiedziałam, że nie mam u niego szans. Chciałam tylko znaleźć się w jego pobliżu, popytałam więc wokół, jaki jest. Nikt nie wiedział nic konkretnego. Kilka dziewczyn opowiadało, że zajmuje się muzyką. A te, które wyszły z nim i jego przyjacielem, uśmiechały się krzywo, gdy pytałam. Kilka razy dostałam odpowiedź: - To był miły wieczór. Ale dla ciebie niezbyt odpowiedni.

A potem, szesnastego maja, tydzień po moich urodzinach, zagadnął mnie mały grubas. Niewiele się działo tego wieczora. Siedzieli już jakiś czas w lokalu, zanim do mnie podszedł. Zatańczyłam z nim, bo myślałam, że potem zaprowadzi mnie do ich stolika. Ale się myliłam! Był natarczywy. Z trudem odpychałam go od siebie. Stał się agresywny i sklął mnie.

Byłam zdenerwowana, więc wyszłam. Już na zewnątrz, na parkingu, usłyszałam, jak Johnny woła za mną. Przeprosił za kolegę. Nie chciał, żebym wzięła mu za złe te wyzwiska. Jego kolega jest zapalczywy i nie ma wiele szczęścia u dziewcząt. Staliśmy przez chwilę i rozmawialiśmy. Ledwo mogłam w to uwierzyć. Zapytał, czy zechciałabym wrócić. Bo jest przecież za wcześnie, by iść do domu. A on już zadba, żeby kolega mnie nie napastował.

Tak to się zaczęło z Johnnym i ze mną. Wydawało mi się, że stał się cud. Podejrzywałam, że przyjeżdżał do Buchholz tylko po to, by poderwać dziewczynę na jeden wieczór. Ale przy mnie tak się nie zachowywał. Gdy wróciliśmy do lokalu, grubas wyszedł. Prawie pół godziny siedzieliśmy sami przy stoliku i rozmawialiśmy. Potem Johnny spytał, czy mam ochotę zatańczyć.

Tego wieczora nic więcej się nie zdarzyło. Grubas już się nie pojawił. Gdy musiałam iść, Johnny wyszedł ze mną na zewnątrz. Chciał mnie nawet odprowadzić do domu. Niestety nie było to możliwe. Gdyby matka nas zobaczyła, nigdy już nie wypuściłaby mnie za drzwi. Pożegnaliśmy się na parkingu. Podał mi rękę i spytał: - Zobaczą cię jeszcze?

Odparłam: - Być może pojawię się tu w następną sobotę.

Uśmiechnął się. - Ja też. Najlepiej będzie, jak przyjdę sam. A więc do soboty.

Rzeczywiście przyszedł sam. I był bardzo powściągliwy. Trzy tygodnie minęły, zanim mnie pierwszy raz pocałował. Był delikatny i czuły i nieważne, co mówiłam, zawsze wszystko rozumiał. Nawet gdy opowiadałam o matce, nie śmiał się. - Każdy jest taki, jak sądzi, że powinien być - powiedział.

Oczywiście spytałam go, jak się nazywa. Odparł, że ma na imię Horsti. Dla mnie brzmiało to głupio, zostałam więc przy Johnnym. Powiedział, że nie może znieść dziewczyn, które od razu pozwalają na wszystko, są dobre tylko po to, by się zabawić. Dodał, że nigdy jeszcze nie spotkał takiej dziewczyny jak ja i że mnie kocha. Wszystko układało się idealnie. Był nawet trochę zazdrosny. Kilka razy nie mógł przyjechać w sobotę do Buchholz. Prosił mnie, żebym została w domu, bo nie chciał, aby ktoś inny wszedł mu w paradę.

Niewiele o nim wiedziałam. Niechętnie opowiadał o sobie, tylko od czasu do czasu i bardzo mało. Że z dwoma przyjaciółmi założył zespół, że mają próby w piwnicy. Grubas był jednym z nich. Johnny powiedział, że jego kolega jest świetny w grze na keyboardzie. On sam grał na perkusji, a trzeci chłopak na gitarze basowej.

W sierpniu zapytał, czy mam ochotę posłuchać ich muzyki. Miałam, ale nie chciałam siedzieć z grubasem w piwnicy, skąd nie mogłabym wyjść, gdyby mnie napastował.

Johnny wyśmiał to. - Będę przecież z tobą. Nawet krzywo na ciebie nie spojrzę.

Tydzień później raz jeszcze przyprowadził go ze sobą. Grubas zachowywał się przyzwoicie, więc zgodziłam się z nimi jechać. To był wspaniały wieczór. Grali nową piosenkę, nazywała się *Song of Tiger*. Johnny powiedział, że to teraz moja piosenka. Napisał ją dla mnie.

Po godzinie przestali grać. Dwaj pozostali wyszli i już nie wrócili. Johnny dał mi coś do picia i włączył muzykę. Miał kilka taśm z ich własnymi nagraniami. Tańczyliśmy, wypiliśmy jeszcze kilka szklanek, usiedliśmy na kanapie. I stało się.

Nie twierdzę, że mnie zgwałcił. Było bardzo pięknie. Chciałam tego. Byłam trochę pijana i bałam się tylko, że zajdę w ciążę. Nigdy jeszcze nie używałam środków antykoncepcyjnych.

Johnny powiedział: - Nie martw się. Będę uważał. - Zaufałam mu. Ale nie dostałam okresu. Prawie umierałam ze strachu. Johnny dał mi pieniądze. Miałam w aptece kupić test. Powiedział: - Jeśli wynik będzie pozytywny, pobierzemy się.

Był pozytywny. Gdy mu to oznajmiłam... Udawał, że bardzo się cieszy, przytulił mnie i okazywał radość. - Będę ojcem. Rodzice zrobią oczy. Jutro im ciebie przedstawię. Wymyśl coś, żeby matka cię wypuściła. I powiedz jej, że wrócisz późno. Spotkamy się o drugiej na parkingu. Gdybym się spóźnił pół godziny, nie idź do domu. Poczekaaj na mnie.

Czekałam do siódmej wieczorem. Nie przyszedł. Nigdy go już nie zobaczyłam. Robiłam, co mogłam, by go odnaleźć, ale nie było to wiele. Nie wiedziałam, jak naprawdę się nazywa, ani gdzie mieszka.

Pamiętam jedynie, że tamtego wieczoru jechaliśmy autostradą w kierunku Hamburga. Ale siedziałam z nim na

tylnym siedzeniu, odwrócił moją uwagę. Nie wiedziałam nawet, czy byliśmy w domu jego rodziców, czy u jednego z kolegów. Tygodniami jeździłam po okolicy, szukając. Sądziłam, że w ten sposób przypomnę sobie jakiś szczegół.

Co wieczór, gdy ojciec wracał z pracy, zostawiał samochód na Buenser Weg, by matka nic nie spostrzegła. Ojcu powiedziałam, że muszę ćwiczyć jazdę, żebym nie zapomniała. Rozumiał to.

O ciąży nie mogłam z nim porozmawiać. Nie miałam też nikogo innego. W końcu zrozumiałam, że moje poszukiwania nie mają sensu. Kilka tygodni czekałam, aby Johnny się do mnie odezwał. Znał moje nazwisko i adres. Nie mogłam uwierzyć, że jakiś człowiek mógłby być tak zły. Ale wszystkie dziewczyny, z którymi spotykał się przede mną, mówiły: - Naprawdę sądziłaś, że traktuje cię poważnie?

Pod koniec października spostrzegłam, że rośnie mi brzuch. Matka zwróciła uwagę na moje częste złe samopoczucie. Zażądała, żebym się zbadała. Uciekłam z domu autostopem. Potem próbowałam popełnić samobójstwo. Rzuciłam się pod samochód. Straciłam wtedy dziecko. To była dziewczynka, dało się już stwierdzić. Wyszłam z tego bez szwanku, tylko kilka skaleczeń na twarzy i poronienie.

Musiałam wrócić do domu. Matka nie chciała mnie już widzieć. Powiedziała, że próba samobójstwa i zabicie przy tym dziecka to najcięższy grzech, jaki człowiek może popełnić, po czym wyrzuciła mnie za drzwi.

Pojechałam do Kolonii i znalazłam tam pracę. Rok później poznałam męża, pobraliśmy się. Jednak nigdy nie poradziłam sobie z przeszłością. Matka miała rację. Jestem morderczynią. Zabiłam niewinne dziecko. Odkąd mój syn przyszedł na świat, zastanawiam się, jakby to było, gdyby miał starszą siostrę, która by go kochała, robiła dla niego wszystko i opiekowała się nim.

Gdy dziś po południu zobaczyłam Johnny'ego z tą kobietą... Najpierw widziałam tylko jego plecy. Pomyślałam, że to nie może być on. Ale potem wyprostował się. Usłyszałam, jak mówi. A później kobieta puściła piosenkę. Moją piosenkę.

- *Song of Tiger.*

- To było... Nie wiem, co to było. Stało się tak strasznie szybko. I jakby automatycznie.

Przy ostatnim zdaniu uniosła głowę, spojrzała szefowi w twarz i poczuła ulgę spływającą po ciele niczym ciepła ciecz. Jego mina złagodniała. Uwierzył w całą historię. Była to zresztą bardzo dobra historia. A ponieważ w pewnym stopniu opierała się na prawdzie, nikt nie mógł jej obalić.

Małe mieszkanie w starej zabudowie w Kolonii, do którego w grudniu przed pięcioma laty Margret Rosch przyjęła swą bratanicę, znajdowało się przy ruchliwej ulicy. W zimie Margret to nie przeszkadzało. Wystarczało, że rankiem i wieczorem szybko przewietrzyła pomieszczenia. W lecie często bywało nie do zniesienia. Przy otwartych oknach oprócz odgłosów ulicznego ruchu w każdy kącik wdzierał się także smród spalin. Gdy okien nie otwierano, panował skwar. Wracając do domu, miało się uczucie, że wchodzi się do pieca.

Tego sobotniego wieczoru Margret Rosch wróciła krótko po dziewiątej. Popołudnie i wczesny wieczór spędziła z długoletnim przyjacielem. Zawsze mówiła o nim jak o przyjacielem. Achim Miek, doktor medycyny z własną praktyką w centrum i od trzydziestu lat jej kochanek.

Margret nigdy nie wyszła za mąż, a teraz już się jej to nie opłacało. Po wszystkich latach bycia przyjaciółką i kochanką nie potrafiła dostrzec wielu korzyści, rezygnując ze swojej niezależności. Mimo że Achim Miek namawiał ją do tego. Od ponad roku był wdowcem.

Margret nigdy na niego nie naciskała, nie wymówiła nawet słowa rozwód. Tylko raz poprosiła go o coś, i to nie bezpośrednio dla siebie, tylko dla brata i bratanicy. Było to pięć lat temu, w sierpniu - odbyło się nielegalnie. Achim Miek musiał jej o tym przypomnieć właśnie tego dnia, co Margret uznała później za zły omen. Należałoby raczej nazwać szantażem.

Pożegnała się wcześniej, niż planowała, aby uciec przed sprzeczką. Gdy weszła do mieszkania, nie była w najlepszym humorze. Panował zaduch. O tej porze mogła już otworzyć wszystkie okna. Ruch ustał. Na zewnątrz temperatura wynosiła kilka stopni mniej niż w środku.

Wzięła letni prysznic. Potem przygotowała sobie lekką kolację - niestety nic nie wyszło ze wspólnego posiłku w restauracji. Przeczytała kilka stron powieści, by stłumić uczucie rozczarowania i dyskomfortu.

O wpół do jedenastej na pierwszym programie miał być film, który chciała obejrzeć. Gdy włączyła telewizor, dobrotliwie wyglądający mężczyzna z zaangażowaną miną opowiadał właśnie o najlepszym wzorze do naśladowania, jakim jest Zbawiciel.

Margret nie myślała już o swoich problemach, oprócz słów przyjaciela: - Nie zapomnij, co dla ciebie zrobiłem. - Jak mogłaby zapomnieć? W związku z całą sprawą ryzykowała wtedy znacznie więcej niż Achim Miek. Poczula, jak nagle narasta w niej zimna wściekłość, przez ułamek sekundy widziała przed sobą siną, cierpiącą twarz młodej bratanicy, słyszała łagodny głos Elsbeth mruczący słowa modlitwy. Zapach płonących świec zakręcił jej w nosie. Wrażenie było tak rzeczywiste, że musiała kichnąć.

Wysiąkała nos, ponownie sięgnęła po książkę i skoncentrowała się na tekście, podczas gdy dobrotliwie wyglądający mężczyzna przez kilka kolejnych minut wygłaszał swe orędzie. Jeśli miało się takie doświadczenia jak Margret, nie



można go było słuchać. A przy tym doświadczała tego tylko sporadycznie. Raz na trzy miesiące przez najwyżej dwa dni - i nie od samego początku. Zaczęła regularnie odwiedzać brata dopiero po tym, jak Wilhelm wyraźnie ją o to poprosił. Cora miała wtedy dziewięć lat. Gdy Margret wyjeżdżała, modliła się równie gorąco, jak Elsbeth w salonie. - Pilnuj Cory, Wilhelm. Musisz coś dla niej zrobić, inaczej zupełnie się stoczy.

Wilhelm za każdym razem potakiwał i obiecywał. - Robię, co mogę.

Czy to robił i ile naprawdę mógł, tego Margret nie wiedziała. W ogóle nie wiedziała o nim zbyt wiele. Osiemnaście lat różnicy - wypieszczone przez matkę pisklątko i duży brat.

Gdy Margret się urodziła, Wilhelm zgłosił się już na ochotnika do Wehrmachtu. W ciągu kolejnych lat raz przyjechał na urlop do domu, ale tego nie pamiętała. Domem było wtedy Buchholz, małe miasteczko w pobliżu Ltineburger Heide, do którego Wilhelm później powrócił. Na wiosnę 1944 roku Margret opuściła z matką rodzinne strony. Udały się do Nadrenii, gdzie mieszkali krewni matki. Po przeprowadzce często mówiono o starszym bracie. Margret poznała go jednak dopiero mając dziesięć lat, gdy Wilhelm był już złamanym człowiekiem.

Nigdy nie mówiono o tym otwarcie. Z nielicznych uwag, które poczynił w przeciągu lat, Margret wywnioskowała, że brał udział w rozstrzeliwaniu w Polsce cywilnej ludności, także kobiet i dzieci. Na rozkaz, gdyby się opierał, prawdopodobnie także posłaliby mu kulkę lub powiesili. Wilhelm nie umiał tak na to spojrzeć i w żaden sposób z tym się nie pogodził.

Nie wytrzymał długo w Nadrenii u matki i siostry. Ojciec poległ we Francji. A Wilhelm chciał wrócić do Buchholz. Może miał nadzieję, że odnajdzie tam część utraconej młodości.

Zamiast tego znalazł Elsbeth. Prześliczną młodą kobietę z Hamburga, prawie nadnaturalne zjawisko z jasnobłond włosami, porcelanową cerą i przeszłością, jaką po wojnie dzieliło wiele kobiet - kontakt ze zwycięzcą. Elsbeth zaszła w ciążę, ale nie urodziła dziecka. Pozbyła się go przy pomocy drutu do robót ręcznych i sama niemal przy tym nie umarła, co Margret odkryła dopiero wtedy, gdy u Elsbeth nie dało się już niczego uratować. Ale to stanowiło wyjaśnienie. A wyjaśnienia były najważniejsze.

W ciągu tego półtora roku, który spędziła u niej Cora, Margret często o tym wspominała. Niezliczone noce przesiedziały razem, dyskutując o winie i niewinności, wierze i przekonaniach. O rodzicach, długich bezdzietnych latach ich małżeństwa. Jak Wilhelm u boku Elsbeth stopniowo zmienił się z człowieka ponurego w cieszącego się życiem. Jak Elsbeth nauczyła go śmiać się, tańczyć, kochać. Jak zaczął czerpać z życia. O ich podróżach, tydzień w Paryżu, trzy dni w Rzymie, Oktoberfest w Monachium i wizyta na Praterze w Wiedniu.

Raz do roku przyjeżdżali do Nadrenii. Karnawał w Kolonii, tego Elsbeth by nie opuściła. Czasami wypijała wtedy szklaneczkę. A gdy wypija o jedną za dużo, popadała w melancholijny nastrój, opowiadała o miłości, cierpieniu i wielkiej winie, która na niej spoczywała.

Elsbeth zaszła w ciążę mając prawie czterdzieści lat. Wilhelm dobiegał pięćdziesiątki i był najszczęśliwszy na świecie. Gdy urodziła się Cora, zaprosił matkę i siostrę. Musiały koniecznie przyjechać, by podziwiać małą wnuczkę i bratanicę, ten dar niebios. Śliczne dziecko, zdrowe jak rydz, z gęstymi, ciemnymi włosami po Wilhelmie i porządnym apetytem. Kosztowało Elsbeth wiele sił. Leżała na szpitalnym łóżku wyczerpana, niemal wykrwawiona, blada i słaba, ale równie szczęśliwa jak Wilhelm.

- Widziałaś ją już, Margret? Idź, siostra ci pokaże. Wszyscy tutaj mówią, że to jedno z najładniejszych dzieci, jakie widzieli. A jaka jest silna. Potrafi nawet sama unieść główkę. Nigdy nie uwierzyłabym, że będę kiedyś trzymać na ręku dziecko - i do tego tak śliczne. Pan mi przebaczył, zesłał mi wielki dar. Dla takiego dziecka warto dać coś z siebie. Teraz odpocznę.

Ale zanim Elsbeth zdążyła odpocząć, zaszła w ciążę po raz drugi, była to Magdalena. Wybranka śmierci z otwartym Ductus Botalli, połączeniem między aortą i tętnicą płucną, które normalnie zamyka się przy porodzie, a poza tym z wieloma defektami przegrody. Zarówno przedsionki malutkiego serca, jak i obydwie komory były zaatakowane. Do tego doszły kolejne anomalie naczyniowe. Lewa komora serca nie była w pełni wykształcona, aorta brzuszna wykazywała workowate rozszerzenia, aneuryzm. Dotknięty odcinek był zbyt duży, aby go całkowicie usunąć. A lekarze przypuszczali, że dotyczyło to także innych naczyń.

Margret była pielęgniarką. Nikt nie musiał jej mówić, że malutka blada istotka nie ma szans - mimo sześciu operacji w ciągu pół roku. Jeden z lekarzy powiedział wtedy Wilhelmowi: - W piersiach pana córki nie bije serce, tylko szwajcarski ser. Wygląda tak, jakby ktoś podziurawił je drutami.

Na nieszczęście Elsbeth również usłyszała te słowa albo zostały jej powtórzone przez nieświadomą pielęgniarkę.

Jednak nieważne co prognozowali lekarze, Magdalena dowiodła, że kłamali. Podjęła walkę nawet z białaczką i wygrała. Elsbeth przypisała to sile modlitwy i jeszcze bardziej wzmogła swą żarliwość, przez co dla każdego normalnego człowieka stała się nie do zniesienia.

Margret wiedziała, co dzieje się w domu brata, i nie zrobiła nic, zasłaniając się zbyt dużą odległością i obowiązkami wobec starej matki, z którą wtedy mieszkała.

W pierwszych latach po narodzinach Magdaleny jej odwiedziny w Buchholz były rzadkością. Szybko zająrzeć, przymknąć oczy i wrócić do domu.

Potem matka zmarła. Wilhelm przyjechał na pogrzeb do Kolonii - sam, Elsbeth nie mogła opuścić domu. Wieczorem usiedli razem, Margret i jej brat, który sądząc po wieku mógłby być jej ojcem. Przez chwilę ociągał się, aż wreszcie przedstawił swą prośbę. Czy w najbliższych tygodniach nie mogłaby przyjechać z wizytą. I czy nie porozmawiałaby z Elsbeth. Rozmowa kobiety z kobietą - o potrzebach mężczyzny. Z trudem przychodziło mu mówić o tym. Fakt, że w ogóle się na to zdobył, choć byli sobie tak obcy, dowodził, że nie widział innego wyjścia.

- Myślałem już, żeby od niej odejść. Ale to by było nieodpowiedzialne. A ja nie chcę uciekać przed odpowiedzialnością. Tylko że tak dalej być nie może, nie wytrzymam już dłużej.

Po przynajmniej dwuminutowej przerwie dodał: - Od narodzin Magdaleny śpię w pokoju dzieci. Nie dopuszcza mnie do siebie. Mogę mówić, co chcę. Wcześniej często chodziłem do kobiety, biorącej za to pieniądze. Nie umiałem sobie inaczej poradzić. Wiem, że to nie w porządku i jakiś czas temu przestałem.

Od narodzin Magdaleny minęło wówczas osiem lat. Wilhelm miał lat pięćdziesiąt dziewięć, ale wyglądał znacznie młodziej. Był wysokim, silnym mężczyzną. A jak na nią spojrział, gdy wymamrotał: - Nie chodzi tylko o mnie, także o Corę. Ma teraz dziewięć lat. Będzie starsza i... Boję się o nią. - Margret przeszedł po plecach zimny dreszcz. Chociaż Wilhelm na pewno nie miał na myśli tego, co w pierwszej chwili przyszło jej do głowy.

Czternaście dni później wybrała się w odwiedziny i spróbowała porozmawiać z Elsbeth. Jednak wszystkie starania okazały się próżne. Elsbeth wysłuchiwała jej ze skromną

miną i dłońmi złożonymi na kolanach, po czym powiedziała: - Gdybym miała siłę na następne dziecko, dopuściłabym go do siebie. Mój czas jeszcze nie minął, mogłabym znowu zająć w ciążę. Ale jak bym sobie dała radę? Nie! Wszyscy musimy ponosić ofiary. Wilhelm jest mężczyzną. Niech zniesie to jak mężczyzna.

Wilhelm musiał tak zrobić. Pewnie znowu poszedł do kobiety, która brała pieniądze. Margret nie wiedziała dokładnie. Nigdy nie rozmawiali już na ten temat, tylko jeszcze kilka razy o obawach Wilhelma o Corę, która nagle zaczęła wykazywać objawy zdziwienia.

Nie lubiła zastanawiać się, czy Wilhelm nie pomógł w szaleństwie, którego dopuszczała się Elsbeth wobec Cory. Własny brat! Nawet gdyby nie miał pojęcia, dokąd zwrócić się ze swymi potrzebami, na pewno nie targnąłby się na dziecko! Nie na własną córkę!

Margret nie mogła sobie tego wyobrazić i ze ściśniętym sercem próbowała dociec prawdy. Trafiła na mur nie do przebiccia. Już wtedy dowiedziała się, że jeśli Cora nie chciała czegoś powiedzieć, nikt nie był w stanie tego z niej wydobyć.

Można było przewidzieć, że kiedyś musi dojść do katastrofy. Jednej! Z punktu widzenia Margret stało się to przed pięcioma laty, dokładnie szesnastego maja - w urodziny Magdaleny. Cora była załamana i na pół roku jakby znikła z powierzchni ziemi.

Margret z drżeniem przypomniła sobie telefon z grudnia tego samego roku. W słuchawce głos bratanicy: - Mogę do ciebie przyjechać? Tu już nie dam rady żyć. Chyba w ogóle nie mogę żyć. - A potem jak stanęła w jej drzwiach z pokłutymi rękoma i blizną na czole. I noce aż do marca, gdy Margret wyskakiwała z łóżka i biegła do salonu. Najpierw łapała ją za ręce, żeby Cora się nie zrobiła sobie krzywdy. Straszne koszmary, a potem

okropny ból głowy i bezwzględne milczenie. Cokolwiek się z nią działo, Cora nie potrafiła o tym mówić, tylko raz wspomniała o wypadku w październiku.

Potrzebowała pomocy, kompetentnego lekarza. Ale nikogo do siebie nie dopuszczała. Margret musiała ją błagać, zanim wreszcie dała się zbadać Achimowi Miek. Achim uznał, że bóle głowy są spowodowane urazem czaszki i dziwił się, że w tak krótkim czasie, od października, rana zdążyła się dobrze zagoić. Jeśli chodzi o koszmary, podejrzewał jakieś traumatyczne przeżycie. A tym powinien się zająć specjalista. Dobry psycholog pewnie mógłby pomóc.

Cora odmówiła. I jakoś dała sobie radę bez cudzej pomocy. Teraz nie trzeba się już było o nią martwić. Dobrze się jej wiodło. Co dwa tygodnie przychodziła w odwiedziny z Gereonem i synkiem, opowiadała o własnym domu i wyczerpującej pracy w biurze.

Margret za każdym razem cieszyła się, że Cora z takim zapałem zagłębiła się w nieznane jej sprawy. W oczach Margret Gereon Bender nie był wymarzoną mężczyzną. Raczej niedorajdą. Ale od ślubu z nim Cora mogła się zająć czymś sensownym, nie miała już czasu na rozmyślanie - i żadnych problemów. Przychodząc z wizytą, zawsze sprawiała wrażenie zrównoważonej. Jutro też mieli się zjawić.

W piątek tuż przed południem Margret rozmawiała z bratanicą przez telefon. Głos Cory brzmiał wtedy nieco nerwowo. W ostatnim czasie często tak brzmiał w piątki. Nic dziwnego po całym tygodniu zamieszania i stresów w biurze.

Tuż przed jedenastą, właśnie gdy zaczął się film, zadzwonił Gereon. Do tej pory nigdy tego nie robił. Już sam ten fakt stanowił zły omen. Drugi tego wieczora. Gereon złożył krótki raport, z którego Margret w pierwszej chwili zrozumiała tylko jedno słowo: Policja!

Pomyślała, że ktoś wyrządził krzywdę Corze. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że to Cora mogła komuś wyrządzić krzywdę. Cora była na swój sposób buntowniczką, na niektórych osobach sprawiała wrażenie agresywnej. Jednak w głębi serca była łagodna jak baranek. A baranki nie zabijają, nadają się tylko na ofiary.

Gereon już dawno się rozłączył, a Margret nadal trzymała słuchawkę przy uchu, przekonana, że musiała coś źle zrozumieć. Spróbowała oddzwonić, ale nikt nie odbierał ani w domu bratanicy, ani u jej teściów. Chwilę potrwało, zanim zebrała się w sobie i wykreśliła numer informacji, by dowiedzieć się o numer do komisariatu okręgu Erfurt. Potem musiała się napić koniaku.

Tak jak wtedy wahała się pomiędzy „nie chcę wiedzieć” a potrzebą zyskania pewności, między pragnieniem spokoju i życia bez problemów a świadomością, że nikt nie ujmie się za Corą. Po Gereonie Benderze nie należało się niczego spodziewać. W ostatnim zdaniu jasno wyraził swój stosunek do sprawy. - Dla mnie jest już skończona.

Margret zaparzyła kawę, wypła dwie filiżanki, by zneutralizować działanie koniaku. Potem wreszcie wybrała numer, podała nazwisko i przedstawiła swą sprawę. Nie dowiedziała się jednak niczego. Nie można jej było połączyć z właściwym urzędnikiem. Ta informacja wystarczyła.

## Rozdział 5

Rudolf Grovian na jakiś czas wyłączył nagrywanie, gdy biorąc głęboki oddech Cora dała mu do zrozumienia, że na razie opowiedziała wystarczająco dużo. Było kilka minut po jedenastej. Wyglądała na zmęczoną, wyczerpaną. Wydawało się, że bardzo jej ulżyło. Znał ten efekt z innych przesłuchań. Kawa dawno była gotowa. Podniósł się, podszedł do zlewu, wziął kubek i umył go dokładnie pod bieżącą wodą, tak by mogła to zobaczyć. Potem strząsnął krople wody. Oczywiście w pobliżu nie było czystej szmatki do wytarcia. Zawsze brakowało tego, czego się właśnie potrzebowało.

- Z mlekiem albo z cukrem, pani Bender?
- Nie, bardzo dziękuję, poproszę czarną. Już zaparzona?
- Mocna jak smoła - odparł. Uśmiechnęła się lekko i skinęła głową.

Nalał cały kubek i przyniósł go do biurka. Jego zachowanie odpowiadało zwykłej taktyce stosowanej podczas przesłuchań. Nikt, nawet on sam, nie zauważył, że tym razem coś się zmieniło. - Chciałaby pani też coś zjeść?

Ponownie usiadł na krześle naprzeciw niej i zastanowił się, gdzie o tej porze mógłby zdobyć coś do jedzenia. Przez chwilę mignął mu przed oczami bogato zastawiony stół u szwagierki. Na wieczór przewidziano steki z grilla, wraz z zaplanowaną poważną rozmową z córką na pewno okazałyby się za ciężkie na jego wątrobę.

Patrzył, jak obiema dłońmi obejmuje kubek, potem ostrożnie chwyta go za ucho i unosi do ust. Wypiła malutki łyk, wymamrotała: - Dobra, właśnie taka, jak trzeba - i potrząs-



nęła głową. - Bardzo dziękuję, nie jestem głodna, tylko dość zmęczona.

Trudno było nie zauważyć. Powinien pozwolić jej na przerwę. Miała do tego prawo. Ale zostało jeszcze tylko kilka pytań. Uniknęła podania najdrobniejszego faktu, który pozwoliłby sprawdzić jej historię. Żadnych nazwisk! Z wyjątkiem Johnny'ego Guitara i głupio brzmiącego Horstiego. Żadnej nazwy lokalu, żadnej marki samochodu, nie mówiąc już o numerze rejestracyjnym. To do niej pasowało - byleby tylko nikogo nie wciągać.

Musiała jednak zrozumieć, że tak się nie da. Potrzebował nieco więcej niż to, co dotychczas opowiedziała. Inaczej prokurator byłby zmuszony popukać się w czoło i wskazać na kilka niedorzeczności. Na przykład fakt, że Georg Frankenberg pochodził z Frankfurtu. Tam się urodził, wyrósł, opuścił dom rodziców dopiero, gdy powołano go do wojska. Później rozpoczął studia na uniwersytecie w Kolonii.

Buchholz w Nordheide! Co mogło zagnać Frankenberga na odległą północ? Trudno było sobie wyobrazić, że tylko poszukiwanie przygód. Rudolf Grovian wyszedł z założenia, że jeden z jego kolegów pochodził z Hamburga lub okolic. Niestety szef popełnił zaniedbanie i nie dowiedział się od Meilhofera niczego o dwóch pozostałych członkach zespołu. Wtedy nie mógł jeszcze przypuszczać, że okażą się ważni.

Nie spytał, czy czuje się na siłach, by odpowiedzieć jeszcze na kilka pytań, powiedział tylko: - Kawa dobrze pani zrobi.

Była dość mocna, zauważył to napełniając kubek. Dlatego sam się nie napił. Mocna kawa także szkodziła mu na wątrobę.

Ponownie włączył nagrywanie i zaczął - nieświadom, jaką rozjątrza ranę - od jedyne go konkretnego punktu, który wymieniła. - Poznała pani zatem Georga Frankenberga przed pięcioma laty, dokładnie 16 maja.

Obdarzyła go nic nie mówiącym spojrzeniem zza kubka i skinęła głową. Policzył krótko. Frankenberg miał wtedy dwadzieścia dwa lata i prawdopodobnie zaczynał studia. Semestr letni trwał od marca do połowy lipca. Ferie przypadały na sierpień i wrzesień. Pozostawały weekendy. Mówiła tylko o weekendach. I to nie o wszystkich.

Młody mężczyzna z fatalną skłonnością do szybkich samochodów mógł łatwo pokonać kilkaset kilometrów i prawdopodobnie był w czasie studiów zmotoryzowany. Hojni rodzice, wyposażający pociechę we wszystko, co potrzebne, by żyć na odpowiednim poziomie. Ojciec był panem profesorem! Specjalistą od neurologii i chirurgii powypadkowej. Od siedmiu lat prowadził własną klinikę chirurgii plastycznej. Prawdopodobnie oczekiwano, że syn podąży w jego ślady.

Ten miał jednak pstro w głowie, chętniej siedział przy perkusji niż w sali wykładowej, co tydzień zabawiał się z inną dziewczyną, a wreszcie zrobił dziecko pannie z nieciekawego domu. Być może Frankie rzeczywiście cieszył się, że zostanie ojcem, a może nie. Rodzice na pewno nie byli uszczęśliwieni. Wszystko pasowało. Rudolf Grovian miał wystarczająco dużą wyobraźnię, by umieć wczuć się w sytuację Georga Frankenberga. Młody mężczyzna przed laty porzucił swą ciężarną dziewczynę, by uniknąć problemów w domu lub na odgórny rozkaz. Prawdopodobnie usłyszał kiedyś, że w październiku rzuciła się pod samochód. Tym samym sprawa stała się dla niego jasna.

Sumienie obudziło się i nie dawało Frankiemu spokoju. Gdy później opowiadał o dziewczynie - tylko raz i nie wprost - stwierdził, że nie żyje, zginęła w wypadku. Można to było tak ująć. Ale Frankie nigdy jej nie zapomniał. Jak często zastanawiał się, co stałoby się z nią i ich dzieckiem, gdyby się do niej przyznał? A gdy nad jeziorem rzuciła się na niego...

Nie zauważył, że jego głos brzmiał nieco łagodniej. - Potrzebujemy przynajmniej nazwisk obu mężczyzn, z którymi zadawał się wtedy Georg Frankenberg, pani Bender.

Ze zmęczenia wzruszyła ramionami. - Nie znam ich. Nazywał obu po prostu swoimi kolegami.

- Czy rozpoznałaby ich pani?

Odetchnęła głęboko. - Grubego może tak. Tego drugiego raczej nie. Widziałam go przelotnie tylko raz. Gdy przyjechaliśmy, czekał już na dole. Siedział w rogu, a było dość ciemno. Gdy wyszedł razem z grubasem, przestałam się nim interesować.

Mniej więcej tak przypuszczał. Ale łatwo dowie się, z kim Frankenberg chciał wówczas zacząć robić karierę muzyczną. Następny punkt: - Jakim samochodem jeździł Georg Frankenberg, gdy go pani poznała?

Popatrzyła w kubek. - Nie pamiętam. Podróżowaliśmy wtedy samochodem, który chyba nie był jego. Grubas siedział za kierownicą. - Po kilku chwilach dodała z ociąganiem: - To był srebrny golf GTI. Numer rejestracyjny zaczynał się od B. Może BN - nie jestem pewna.

- I pojechaliście do Hamburga?

Skinęła głową.

- Nie pamięta pani więcej szczegółów, pani Bender? Jak długo trwała podróż? Jaką wybraliście drogę dojazdową?

Wzruszyła ramionami i wymamrotała: - Przykro mi. Nie zwróciłam uwagi.

- Zatem nie ma pani pojęcia, w jakiej części Hamburga znajdował się dom?

Potrząsnęła głową, a on poczuł narastającą frustrację. - Może pani przynajmniej go opisać? Czy to był dom wolno stojący? Jak wyglądało

Zareagowała wybuchem gniewu. - Po co to komuś dzisiaj potrzebne? To nic nie da! Niech pan posłucha, przyznałam,

że go zabiłam. Wytlumaczyłam panu dlaczego. Poprzestaśmy na tym. Po co chce pan to wszystko wiedzieć? Chce pan poszukać tego domu? Powodzenia. Hamburg jest duży. A to był duży dom.

Przerwała, zamruwała nerwowo, przetarła dłonią oczy, jakby chciała odpędzić niemiły widok. Kontynuowała równie ostro: - To była willa, wokół dużo zieleni. Więcej naprawdę nie pamiętam. Byłam bardzo zakochana i zwracałam uwagę tylko na Johnny'ego, a nie na otoczenie czy fasadę budynku. Mogę wam opisać korytarz. Niech pan potem dzwoni po kolei do wszystkich domów i prosi, żeby pozwolili panu obejrzeć korytarz.

- Może tak zrobić - odparł. - Jeśli powie mi pani, jak wyglądał.

- To w ogóle nie był korytarz - wymamrotała. Znowu mocno zamruwała, odstawiła kubek z kawą, poruszyła ramionami, jakby zdrętwiały jej plecy, przygryzła dolną wargę, zanim wyjaśniła: - To był ogromny hol, cały w bieli. Tylko na podłodze między białymi płytkami umieszczono małe zielone kamyczki. Przy schodach do piwnicy wisiał obraz. Pamiętam, bo Johnny przycisnął mnie do przeciwległej ściany i pocałował. Pozostali zeszli już na dół. Spojrzałam za nimi i zobaczyłam obraz. Zdziwiłam się, że ktoś; chciał powiesić w domu coś takiego. Nie można było na nim nic rozpoznać, tylko same kolorowe plamy.

To była taka dobra historia. Aż do tego momentu! Dalsze pytania szefa nie były przyjemne. Jednak miała jeszcze kilka odpowiedzi. Srebrny golf GTI oraz numer rejestracyjny rozpoczynający się od B. Być może BN, a może nie.. Chciała powiedzieć BM. W ostatniej chwili przypomniała! sobie, że rejestracja Gereona zaczynała się od BM. Szef na pewno zauważyłby

Jeśli chodzi o samochód, nie musiała się długo zastanawiać. To było typowe auto młodych mężczyzn. Gdy poznała

Gereona, on także jeździł srebrnym golfem, chociaż niezbyt długo, bo samochód był już stary. Wydawało się jej, że niski, gruby kolega Johnny'ego również posiadał golfa. Dokładnie nie pamiętała. Nie było to ważne. Nigdy nie miała przecież do czynienia z tymi dwoma mężczyznami.

No i dom, jakikolwiek dom w Hamburgu. Wystarczyła odrobina logiki. Oczywiście, że wolno stojący! Skoro w piwnicy odbywały się próby muzyczne, naokoło musiało być trochę przestrzeni, żeby sąsiedzi nie skarżyli się na hałas. A duży, wolno stojący dom w Hamburgu mógł należeć tylko do bogatych ludzi. Bogaci zaś ludzie wieszali na ścianach obrazy. Skąd przyszedł jej do głowy właśnie obraz z kolorowych plam, tego za nic w świecie nie wiedziała. Ale było to tak samo bez znaczenia jak samochód.

Szef przerwał jej myśli. - Jak to pozostali? - spytał. - Mówiła pani tylko o tym grubym, a trzeci kolega miał być już w piwnicy, gdy przyjechaliście. Kto jeszcze znajdował się na schodach?

Pozostali? Nie uświadamiała sobie, że tak powiedziała. Przycisnęła dłoń do czoła, spróbowała sobie przypomnieć, jakich dokładnie słów użyła, wspominając obraz z kolorowych plam. Nic jej nie przychodziło do głowy, a szef czekał na odpowiedź. Musiała być logiczna. Obraz z kolorowych plam nie był logiczny. Bogaci ludzie woleli tradycyjną sztukę. W jej głosie brzmiała udreka. - Nie wiem. Dziewczyna. Grubas zabrał ze sobą dziewczynę.

Zadowolona skinęła głową. To była świetna odpowiedź.

- Właśnie tak! - powiedziała. - Tak było. Inaczej bym nie pojechała. Nie ufałam mu. Wyleciało mi to z głowy, ale przypominałam sobie. Była z nami jeszcze dziewczyna.

Uśmiechnęła się do niego, jakby prosząc o wybaczenie.

- Proszę mnie nie pytać, jak miała na imię. Naprawdę nie wiem. Nigdy jej wcześniej nie widziałam. Tego wieczora zjawiała się po raz pierwszy. Raczej nie pochodziła

z Buchholz. Wie pan, dziewczęta z Buchholz zrobiły się ostrożne, jeśli chodzi o Johnny'ego i jego kolegę. Żadna z nich na pewno by z nami nie pojechała. To była obca dziewczyna. Potem wyszła razem z grubasem i tym drugim. Nie wiem, dokąd się udali. Może odjechali.

- To jak wróciła pani do domu?
- Johnny mnie odwiózł. Golfem. Gdy wyszliśmy, stał przed domem.
- Więc pozostali nie mogli odjechać.

Westchnęła i wytłumaczyła zirytowana: - Powiedziałam przecież, może. Albo byli jeszcze w środku. Nie wiem. Nie chodziłam po domu.

Szef z namysłem pokiwał głową. - I w drodze powrotnej nie zwróciła pani uwagi na fasadę budynku ani na odległość!

- Nie, byłam dość mocno pijana i zasnęłam w samochodzie.

Ponownie skinął głową i spytał: - W którym miesiącu ciąży była pani, gdy straciła dziecko?

Musiała się zastanowić. Co mówiła wcześniej? W sierpniu spała z Johnnym! Czy wspomniała o sierpniu? Nie pamiętała, wiedziała tylko, że powiedziała: - W październiku zauważyłam, że rośnie mi brzuch...

Było to trochę naciągane, po trzech miesiącach brzuch nie jest jeszcze tak duży, żeby się to rzucało w oczy. Czy szef tego nie wiedział? Żeby tylko nie popełnić teraz błędu. Pokręciła głową. - Proszę, już kolejny raz. Nie mogę o tym rozmawiać. Nigdy nie mogłam.

Rudolf Grovian nie chciał jej zbytnio naciskać. Pozwolił sobie tylko na spokojną uwagę, że jeśli nie będzie współpracować, z konieczności zwróci się do innych. - Ile lat mają pani rodzice, pani Bender?

Odpowiedziała automatycznie. - Matka ma pięćdziesiąt sześć, ojciec jest o dziesięć lat starszy.

W tym momencie włączył się Werner Hoss. - Dlaczego powiedziała mi pani, że rodzice nie żyją?

Przez chwilę zdawała się być zirytowana, spojrzała wrogo na Hossa i wyjaśniła ochryplym głosem: - Dla mnie nie żyją. A zmarłych należy zostawić w spokoju. Czy jest pan może innego zdania?

- Nie - odparł Hoss. - Ale oni żyją. I gdy widzę, że kłamała pani w jednej sprawie, zaczynam być podejrzliwy także w innych.

W pierwszej chwili Rudolf Grovian miał zamiar zabronić wtrącania się Hossowi. Potem jednak pozwolił mu mówić, chcąc zobaczyć, co z tego wyniknie.

- Dużo nam pani opowiedziała - stwierdził Hoss. - Kilka rzeczy mnie zdziwiło. Na przykład że perkusista każe się nazywać Johnny Guitar, lub że wysoki, silny mężczyzna mówi o sobie Horsti.

Wzruszyła ramionami. - Nie wydawało mi się to dziwne, tylko śmieszne. Ale kto wie, dlaczego ludzie chcą, żeby nazywać ich tak lub inaczej. Pewnie miał swoje powody.

- Być może - ustąpił Hoss. - O jego powodach prawdopodobnie niczego się już nie dowiemy. Zajmijmy się zatem pani powodami. Dlaczego mieliśmy uwierzyć, że pani rodzice nie żyją? Czyżby mogli nam opowiedzieć coś zupełnie innego niż pani?

Coś w rodzaju uśmiechu przemknęło przez jej twarz. - Moja matka opowie wam pewnie jakąś biblijną historię, to wariatka.

- Ale pani ojciec nie zwariował - Rudolf Grovian przejął sprawę z powrotem w swoje ręce. - Opowiadała pani przecież, że to miły człowiek. A może to także było kłamstwo?

W milczeniu pokręciła głową.

- To dlaczego się pani denerwuje, gdy mówię, że chcę z nim porozmawiać?

Odetchnęła drżąc. - Bo nie chcę, żeby się przejął. Nie wie o Johnnym. Kilka razy mnie pytał, ale nic mu nie powiedziałam. Nie było mu łatwo, gdy wróciłam do domu. Robił sobie wyrzuty. Kiedyś powiedział: lepiej by się stało, gdybyśmy oboje odeszli stąd już parę lat temu. Wtedy nic by się nie wydarzyło. Ale ojciec był zawsze odpowiedzialnym człowiekiem. Nie chciał zostawić matki samej ze Zbawicielem i pokutującą Magdaleną.

Rudolfowi Grovianowi imię to nic nie mówiło. Dostrzegł tylko skurcz na jej twarzy, jakby przeszył ją ból. Chwyliła kubek z kawą i szybko uniosła go do ust. Ale nic nie wypila, jedynie odstawiła go z powrotem na biurko i poprosiła: - Mógłby pan dolać trochę wody? Jednak jest dla mnie za mocna, robi mi się po niej niedobrze.

- Mamy tylko zimną wodę.
- Nie szkodzi. Kawa i tak jest zbyt gorąca.

Przerażenie niczym błyskawica przeszło jej umysł. Magdalena! Jeszcze raz się udało. Szef nie zareagował, a ten drugi nie dopytywał się, czy w sprawie rodzeństwa także skłamała. Przeciągnęła dłonią po czole, nasunęła włosy na bliznę, ostrożnie pomacała krwawą skorupę nad prawym okiem, potarła ręką kark i poruszyła głową. - Czy mogę wstać i przejść się dookoła? Zesztywniałam od siedzenia.

- Oczywiście - odparł szef.

Podeszła do okna, wyjrzała w ciemność i spytała odwrócona plecami. - Jak długo to jeszcze potrwa?

- Niedługo, zostało tylko kilka pytań.

Rudolf Grovian zobaczył, że kiwa głową i usłyszał, jak mamrocze: - Tak myślałam. - Głośniejszym i bardzo zdecydowanym tonem oznajmiła: - No dobrze, idźmy dalej. Włączył pan znowu to urządzenie? Nie mam ochoty rano opowiadać wszystkiego od początku.



Odzyskała dawną formę, była szorstka jak na początku. Wcześniej ocenił jej zachowanie jako agresywne, co teraz wydało mu się przesadą. Nie okazywała już żadnych oznak słabości, wyczerpania czy zagubienia. Tylko to się liczyło. Następne pytanie. Jak nazywał się lokal, w którym poznała Georga Frankenberga alias Horsti lub Johnny'ego Guitara?

Odpowiedź przyszła po lekkim wahaniu. - „Aladyn”. Tak go nazywaliśmy z powodu lamp. Właściwie nie miał oficjalnej nazwy. To znaczy, nie miał od poniedziałku do piątku. W tym czasie służył dla starszych ludzi. A w soboty nazywał się „Aladyn”. Zwykle chodziłam właśnie tam, bo można było potańczyć.

W razie potrzeby dałoby się to sprawdzić. A kiedy dokładnie spróbowała odebrać sobie życie? Tym razem usłyszał najpierw długie westchnienie, potem odpowiedź: - Przecież mówiłam już, że w październiku. Nie pamiętam którego dnia.

A w jakim szpitalu przebywała potem na leczeniu? Odparła obrócona plecami. Jej głos brzmiał ochryple. - Nie trafiłam do szpitala. Mężczyzna, który mnie potrącił, był lekarzem. Zabrał mnie do swojego gabinetu. Mówiłam przecież, że nie odniosłam ciężkich obrażeń. Poza tym on wcześniej pił. Bał się, że odbiorą mu prawo jazdy, i był wdzięczny, że nie chciałam wzywać policji. Zostałam u niego kilka tygodni, do połowy listopada.

- Jak nazywał się ten lekarz i gdzie mieszkał?

Odwróciła się i pokręciła mocno głową. - Nie! Proszę to zostawić. Nie opowiem o tym lekarzu, nie mogę. Pomógł mi. Powiedział, że ja... Był dla mnie bardzo miły. Powiedział, że ja... - Pokręciła głową jeszcze mocniej, jednocześnie zaciskając dłonie. Tarła je i gnioła, biorąc oddech po raz trzeci. - Powiedział, że ja...

Dopiero po przerwie i kilku głośnych oddechach udało się jej skończyć zdanie: - ...muszę wrócić do domu. Ale moja matka...

Na samo wspomnienie skuliła ramiona. Matka stojąca w otwartych drzwiach. Nieufne spojrzenie. Zobaczyła samą siebie. W nowej sukience i równie nowym płaszczu. Buty, bielizna, którą widząc Grit Adigar tak bardzo się dziwiła, czarna koronkowa bielizna i pończochy, wszystko nowiuteńkie. Opłacone przez mężczyznę, który czuł się w obowiązku jej pomóc. Lekarz! To nie było kłamstwo.

W połowie listopada wsadził ją do pociągu i wysłał do domu, chociaż jeszcze nie czuła się dobrze. Wręcz przeciwnie, czuła się bardzo źle. Podróż pociągiem stanowiła jedynie zamglony obraz. Zupełnie nie pamiętała, gdzie wsiadła, gdzie wysiadła i jak dotarła do domu. Tylko to, jak stała przed drzwiami. Na uginających się nogach, z głową ciężką jak ołów. Oprócz ołowiu jedynie pragnienie, by położyć się w łóżku i zasnąć. Po prostu zasnąć. Usłyszała własny głos, jego błagalne brzmienie: - Mamo, to ja, Cora.

I głos matki, chłodny i obojętny: - Cora umarła.

Tak też się czuła w listopadzie przed pięcioma laty. A teraz znowu. Nie powinna wspominać o matce. I na pewno nie o lekarzu.

Rudolf Grovian dostrzegł, że pocierając i gniotąc dłonie niemal wyłamała sobie palce. Przypisał to zachowanie wzmiance o matce. - Już dobrze, pani Bender. Nie musi pani nic powtarzać. Mamy to na taśmie. Ale koniecznie potrzebujemy nazwiska lekarza. Nie chcemy mu zrobić nic złego. Nikt nie będzie dziś wypominał, że przed pięcioma laty prowadził samochód pod wpływem alkoholu. Chcielibyśmy tylko, by złożył zeznania. Mógłby potwierdzić pani próbę samobójczą i ciążę.

- Nie! - odparła zgnębiona, zaciskając za plecami dłonie na parapecie. - Jeśli chodzi o mnie, może pan o wszystkim zapomnieć. Tak, niech pan zapomni. Powiedzmy po prostu, że kiedyś łączyło mnie coś z mężczyzną, którego zamordowałam. Porzucił mnie i byłam zła. Więc gdy go dziś spotkałam, zabiłam.

Rudolf Grovian przemówił z dużym naciskiem. - Pani Bender, tak się nie robi. Nie może pani opowiadać nam czegoś i wycofywać się w każdym punkcie, który pozwoliłby potwierdzić pani historię. Muszę chyba tak jak kolega przyjąć, że nie mówi pani prawdy.

Ponownie obróciła się do okna. To był ostateczny gest, jej głos dodatkowo to podkreślił. - Powiedziałam, żeby pan o tym zapomniał! Nie dlatego tak się męczyłam, żeby panu opowiedzieć cokolwiek. Proszę nie zapominać, że mi pan groził. Ale teraz musi pan przestać. Dalej nie mogę, nie czuję się dobrze. Powiedział pan, że jeśli poczuję się źle, mam o tym poinformować i wtedy przerwiemy.

- Ale nie powiedziałem, że może pani stosować to jako wymówkę.

- To nie wymówka. Naprawdę już nie dam rady. - Jej głos, choć nadal pewny i zdecydowany, brzmiał tym razem słabo i płacząco. Dolna warga zaczęła się trząść jak u dwuletniego dziecka, któremu zaraz poleją się łzy.

Widział to w szybie. Ale nie dał się nabrać na tak tanią sztuczkę. Podobnego tonu używała zawsze jego córka, gdy nie potrafiła w inny sposób postawić na swoim. A ta dolna warga - Mechthild nazywała to wykrzy-

- Jeszcze przez parę minut da pani radę - powiedział. Jego głos brzmiał ostrzej, czemu nie umiał i nie chciał zapobiec. Mimo wszystkich względów i poświęcanej jej uwadze powinna poczuć, że na dłuższą metę nie dawał się zbyć odmową i wykrętami. - A więc w grudniu przed pięcioma laty pojechała pani do Kolonii. Czy był jakiś powód, dla którego wybrała pani właśnie Kolonię?

Zakładał, że dowiedziała się jednak czegoś o prawdziwej tożsamości Frankenberga i miejscu jego pobytu. Że wybrała się w podróż, by go odnaleźć.

Odparła cicho: - Nie! Wsiadłam do pociągu, który jechał właśnie do Kolonii.

Do tej pory jej wierzył. W to jednak na pewno nie mógł. - Niech się pani jeszcze raz zastanowi, pani Bender. Był jakiś powód. Znamy go już. Ale chcielibyśmy to usłyszeć od pani.

- Nie muszę się zastanawiać. Nie było powodu. Nie znałam nikogo w Kolonii, bo przecież to chciał pan wiedzieć.

Nie rozumiała, dlaczego pytał z takim naciskiem, w duchu stała wciąż przed drzwiami domu, patrzyła matce w twarz, słyszała jej głos. Cora umarła. Nie! Cora żyła, mężczyzna zmarł. A Cora powoli traciła rozum. Czuła to wyraźnie - jakby garść wody powoli przeciekała jej przez palce. Mogła je zaciskać z całych sił, ale woda nie dawała się zatrzymać.

Nie należało mieszać zmyślonej historii z okruciami prawdy. Kłamstwo zyskiwało długie nogi i wyprzedzało oszusta, a prawda uderzała jak kij po głowie. A potem wszystko zaczynało się plątać. Obraz z kolorowych plam zmyśliła! Była tego pewna. Mimo to widziała go wyraźnie przed sobą, wiszący na ścianie w białym holu, gdzie tylko na podłodze umieszczono małe zielone kamyki. I twarz... Tak blisko jej własnej, że musiała zamknąć oczy, bo się zamazywała. To niemożliwe. Johnny całował ją - dokładnie tak, jak opowiedziała. Czuła jego wargi przylegające do swoich.

To były tylko jej palce, które przyciskała do ust, by nie krzyknąć. Wiedziała, że to tylko jej palce. Ale ta wiedza nie pomagała. Przez jego ramię spoglądała na dwie obrócone postacie na schodach!

Niski, gruby mężczyzna i dziewczyna schodzący na dół. Dziewczyna o jasnych włosach. Miała na sobie granatową, satynową bluzkę i białą spódnicę z falbanką. Spódnica była z koronki, prawie prześwitująca.

Skąd wzięły się te szczegóły? Musiała je już gdzieś widzieć. Na filmie! To było rozwiązanie. Tylko na filmie.

A w każdym filmie były dialogi. Dziewczyna na schodach zaśmiała się i zawołała przez ramię: - Idziecie? Na dole możecie robić to dalej. Tam na pewno jest przyjemniej. - W każdym filmie była też muzyka. Z dołu dochodziło bębnienie. Solo na perkusji. Starła się właśnie przypomnieć sobie tytuł filmu i dalszy ciąg tej sceny, gdy szef spytał o Kolonię.

Nie była już w stanie wymyślić logicznego kłamstwa. Kolonia! Chodziło o Margret. Czy już o niej wiedział? To, co powiedział, tak zabrzmiało. Czy Gereon wspomniał o niej? Możliwe.

Pięć minut przerwy. Więcej nie potrzebowała. Tylko pięć minut, by wymyślić zadowalającą historię o Kolonii. A skoro ignorował jej prośby, musiała przypomnieć mu o obietnicy. - Czy mogłabym coś zjeść, zanim będziemy kontynuować? Proszę, jestem bardzo głodna. Nad jeziorem nic nie zjadłam. Chciałam wziąć sobie kawałek jabłka. Golden Delicious, już jako dziecko bardzo lubiłam ten gatunek.

Mieliśmy ogródek, ale nie przy domu. Musieliśmy chodzić do niego spory kawałek. W rzeczywistości odległość nie była duża. Wtedy jednak wszystko wydawało mi się bardzo duże, bardzo długie i nieskończenie oddalone. Jak coś, co wciąż posuwało się naprzód i nigdy nie przestawało. Wyprawa do ogródka trwała dla mnie okropnie długo. Często byłam tak zmęczona, że myślałam, że nie dam rady pokonać całej drogi. I nie chciałam, ponieważ ogród stanowił wielką pokusę.

Tego roku, gdy Magdalena walczyła z rakiem, a ja zaczęłam zastanawiać się, jakby to było, gdyby nigdy już nie wróciła z kliniki, rzadko byliśmy w ogródku. Następnej wiosny mieliśmy w nim jednak wiele do roboty. Prawie codziennie tam chodziliśmy. Moje zadanie polegało na

wyrywaniu chwastów z warzywnych grządek. Ojciec pracował łopatą lub grabiami. Matka opiekowała się Magdaleną. To była łagodna wiosna i matka sądziła, że świeże powietrze dobrze jej zrobi.

Wokół naszego ogródka znajdowały się inne, w których rosły owoce - krzaczki truskawek i jabłonie. Nie było płotów, działki oddzielały jedynie bruzdy. Truskawki rosły tak blisko, że wystarczyło się schylić, nie musiałam nawet stawiać stopy w sąsiednim ogródku, naprawdę nie. Czasem zwiślały nad bruzdą.

Mogłam zerwać je razem z paroma chwastami i szybko włożyć do buzi, nikt by nie zauważył. Nie odważyłam się. Pamiętałam, co stało się z Magdaleną po tabliczce czekolady, którą dał mi ojciec. Wzięcie czegoś, co do nas nie należało, było jednym z największych grzechów.

Miałam już osiem lat i wiedziałam, że istniały ogromne różnice między grzechami. Nie od matki, dla niej wszystkie grzechy były równie ciężkie. Ale w szkole także rozmawialiśmy o grzechach: tych powszednich, niewielkich, które zostawały wybaczone, jeśli człowiek od razu ich pożałował.

O ciężkich, za które po śmierci trafiało się do czyśćca. I o grzechach śmiertelnych, przez które na wieki trzeba było pokutować w piekle.

W szkole nigdy nie mówiono, że ktoś musi z tego powodu cierpieć lub umrzeć. Tak twierdziła tylko matka. Ale ja nie miałam pewności, czy matka nie wiedziała lepiej niż nauczycielka. Nauczycielka nie była katoliczką.

To był dla mnie okres niepewności. Nigdy nie wiedziałam, komu i czemu mam wierzyć. Ojciec mówił raz tak, raz siak. Jednego wieczora klęczał przed krzyżem i przeproszał za swe żądze. Drugiego - stawał się nerwowy, biegał po domu lub zamykał się w łazience. Gdy wracał, spoglądał na Magdalenę i mamrotał: - Co też ci zrobiłem, wróbelku?

Magdalena zachorowała ciężiej niż przedtem. Co cztery tygodnie trzeba ją było zawozić do Eppendorf. Ojciec mówił, że podawali jej tam truciznę i naświetlali złymi promieniami. Dzień przed tym, jak matka miała ją zawieźć, długo płakała. Cicho i do siebie, bo nie wolno jej było się męczyć. Gdy wracały, czuła się tak źle, że nawet na dwie minuty nie mogła zostawać sama.

Czasami matka posyłała mnie do sypialni, żebym zobaczyła, co zrobiłam, i zapamiętała to na zawsze. Stawałam obok łóżka i spoglądałam na Magdaleny. A ona patrzyła na mnie. Chętnie bym ją przeprosiła, ale nigdy nie wiedziałam, co powiedzieć.

Nastał ciężki okres. Zwłaszcza wiosną. To było jak przymus. Nieustannie wyobrażałam sobie, co stałoby się z Magdaleny, gdybym zjadła truskawkę. Uczucie, że tylko ode mnie zależy, czy umrze czy będzie żyć... Musiałam ciągle kontrolować, co robię, co mówię i co myślę. Czasem było i tego zbyt wiele. Chciałam wówczas zasnąć, śnić o czymś pięknym i żyć dalej we śnie.

Gdy truskawki zaczęły się kończyć, odetchnęłam z ulgą. Oparłam się pokusie i byłam z siebie dumna. Przede wszystkim dlatego, że pozornie to zadziało. Magdalena powoli dochodziła do siebie. Z dnia na dzień nie dostrzegało się zmian, ale już po miesiącu tak.

Matka zawsze zabierała ją do ogródka w starym wózku. Na wiosnę Magdalena leżała w nim niczym sterta ubrań. Jesienią siedziała prawie wyprostowana. Co prawda tylko przez parę minut, ale i tak był to duży

W lecie w ogródku nie mieliśmy dużo do roboty. Nawet późnym popołudniem często było dla Magdaleny zbyt gorąco. Za to jesienią chodziliśmy codziennie. Gdy ojciec wracał z pracy, wyruszaliśmy niczym mała procesja. Ojciec z przodu, z narzędziami na lewym ramieniu. W prawej dłoni zawsze niósł wiadro. Matka pchała wózek. Magdalena

nosiła czapkę, chociaż jej włosy już trochę urosły. Były jednak cienkie i niemal zupełnie białe. Musiała chronić głowę przed słońcem.

Szłam za matką i myślałam o żółtych jabłkach. Golden Delicious, ojciec powiedział mi, jak się nazywają i że są bardzo słodkie. Drzewo stało blisko granicy działki i wiele owoców spadało na bruzdę, a niektóre nawet poza nią. Wydawało mi się, że gdybym podniosła te leżące po naszej stronie, to nie byłaby kradzież, a jabłka nie mogły przecież mieć tak zgubnych skutków jak czekolada i cukierki. Grit często mówiła, że to zdrowo jeść owoce. Myślałam, żeby podnieść kilka także dla Magdaleny, aby wyzdrowiała. Nie chciałam jeść ich sama, naprawdę nie.

W drodze na działkę musieliśmy przechodzić przez bardzo ruchliwą ulicę. Gdzieś na poboczu stała wielka, stara, drewniana skrzynia, w której trzymano piasek do posypywania jezdni zimą. Teraz była pusta. Ojciec mi o tym powiedział. I pewnego dnia miałam ten sen.

We śnie wracaliśmy do domu. Magdalena siedziała w wózku zupełnie wyczerpana, cicho popłakiwała z bólu. Matka zatrzymała się, uklękła na ulicy i zaczęła się modlić. Minęłam je. Ojciec był już przy skrzyni. Dogoniłam go i powoli poszliśmy dalej.

Potem usłyszałam za sobą hałasy, drapanie i warczenie. Obróciłam się i zobaczyłam wyskakującego ze skrzyni czarnego wilka. Nie zwracał uwagi na mnie i na ojca. Dopadł do matki i siostry, jednym susem znalazł się w wózku i połknął Magdalene. Matkę zostawił w spokoju.

Potem pobiegł z powrotem do skrzyni, wskoczył do środka i zanim zamknął wieko, popatrzył na mnie. Zaśmiał się jak człowiek, szeroko otwierając paszczę. Na zębach wciąż miał krew Magdaleny. Powinnam się bać, ale nie czułam strachu. Gdy tak się do mnie uśmiechał, wiedziałam, że mnie lubi. Chętnie wzięłabym go do domu jak psa.



Matka klęczała obok pustego wózka, wznosząc ręce do nieba. Ojciec położył mi dłoń na ramieniu. Uśmiechnął się zadowolony i powiedział: - To był piekielny pies. Piękne zwierzę, prawda? Widziałas, jaki miał wspaniały ogon? A te zęby! Wyświadczył nam wielką przysługę. Pozbyliśmy się jej! Na zawsze. Teraz nie musimy już pragnąć, by się uwolnić od grzechów. Możemy znowu się nimi cieszyć. I tak zrobimy, Coro. Pokazać ci coś ładnego?

To był pojedynek! Po krótkim wtrąceniu się, mężczyzna w dresie już się nie odzywał. Siedział jakby wyłączony. Z nieomylnym instynktem ściganego zwierzęcia rozumiała, że z czymś się nie zgadzał. Nie wiedziała tylko, co mu przeszkadza - jej kłamstwa czy sposób postępowania szefa. To borowanie, wiercenie, naciskanie.

Żądał od niej czegoś, czego nie mogła dać. Było prawie tak jak wtedy z matką. Tylko to jedno opanowała, tego nauczyła się od podstaw - kłamać. Ale tym razem wszystko działo się zupełnie inaczej. Jak zaczarowane. Obraz nie dawał się zatrzeć, przywoływał kolejne wizje. Te przekłete kolorowe plamy. I obie postacie na schodach. Mężczyzna i dziewczyna.

Zobaczyła czyjeś plecy na przednich siedzeniach samochodu. Tym razem należały do dwóch mężczyzn. Jeden obrócił się i uśmiechnął do niej. Jego spojrzenie kryło w sobie obietnicę. Johnny Guitar!

To było tylko wyobrażenie. Pragnienie. Pragnienia łatwo zmieniają się w umyśle w obrazy i rozciągają się niczym wspomnienia. A reszta... Głos dziewczyny, satynowa bluzka, spódnica z falbanką, solo na perkusji. Wszystkie te szczegóły musiała pewnie kiedyś widzieć i słyszeć. Na filmie! Nie było innej możliwości. Gereon oglądał masę filmów. Prawie co wieczór nowy. To ponad tysiąc w ciągu trzech lat. Gdyby tylko przypomniła sobie tytuł lub zakończenie...

Szef nie dał jej czasu do namysłu. Wyczarował skądś posiłek. Tylko kilka herbatników i świeżą kawę. Tym razem zaparzyć ją miał ten drugi, żeby nie wyszła za mocna. Jakby przez ścianę słyszała głos szefa. Wciąż Kolonia. Chciał wiedzieć, dlaczego wybrała właśnie to miasto. Brema lub Hamburg leżały przecież bliżej. Skąd wzięła pieniądze na podróż?

- Ukradłam - wymamrotała i spojrzała na ziemię. - Od matki. Prawie osiemset marek. Zapłaciłam za bilet i starczyło mi na parę tygodni. Od razu znalazłam pracę i małe mieszkanie.

- Gdzie?

Podawała mu adres Margret! W tym zamieszaniu nie przyszło jej do głowy nic innego. Trwało kilka sekund, zanim uświadomiła sobie, co powiedziała. W tym samym momencie stało się dla niej jasne, że nie miało to sensu. Jeśli sprawdzi jej słowa, a zrobi tak na pewno, szybko stwierdzi, gdzie kończy się kłamstwo, a zaczyna prawda.

Serce zaczęło jej bić mocniej, ręce zwilgotniały od potu. Margret znalazła się w dużych opalach. Zrobiła ogromny błąd. Powinna powiedzieć, że uciekła z Johnnym. Nie od razu, dopiero w sierpniu. Sierpień był ważny. Nie wiedziała, dlaczego. W tym momencie w ogóle mało wiedziała, bo przez głowę przesuwano się zbyt wiele rzeczy.

Poddać się! Słyszała już o ludziach, którzy załamywali się podczas przesłuchań, których opór miażdżono powtarzając wciąż te same pytania. Ale nie ona! Zebrała w sobie resztki sił. Zawsze istniał ostatni zapas. Osiemnaście lat walki z matką uczyniło ją odporną, nauczyło opowiadać takie historie, by żadne pytanie nie pozostało otwarte. Być może powinna być matce wdzięczna za ten nieustanny trening.

Na pozór wyglądało to jak ostateczna rezygnacja. Na krótko unieść głowę, spojrzeć szefowi w oczy, potem znowu

opuścić. We wnętrzu żelazna samokontrola i napięcie niemal rozrywające nerwy. Lewą dłoń zacisnąć na prawej, wytrzeć pot o spódnice. Od dłuższego czasu ponownie siedziała na krześle. Ramiona opadły. Georg Frankenberg już nie żył, nie mogli go prosić o potwierdzenie.

To był tylko szept. - I tak się pan dowie. Tak, był powód, dla którego pojechałam właśnie do Kolonii. Nie powiedziałam panu prawdy, bo za bardzo się wstydziłam. Przez jakiś czas włóczyłam się wtedy z Johnnym. Rozumie pan? Tego dnia, gdy pojechaliśmy do Hamburga, nie odwiózł mnie do domu. Inni poszli, byliśmy sami w piwnicy. Chciał, żebym z nim została. A ja... spałam z nim, było wspaniale. Pomyślałam, że teraz należymy do siebie. To było w sierpniu. Mówiłam już, że to było w sierpniu?

Szef skinął głową, a ona kłamała dalej o kilku tygodniach, podczas których włóczyli się razem, o podróży w sierpniu w kierunku Kolonii, gdzie Johnny chciał odwiedzić znajomego, i jak w czasie jazdy kilkakrotnie na próżno dzwonił, by uprzedzić o ich wizycie. A raz wysłał ją do telefonu, numer zapisał na kartce. Kartkę znalazła potem po powrocie do domu. Gdy matka ją wyrzuciła, zadzwoniła pod ten numer. Odebrała młoda kobieta. Spytała o Johnny'ego, ale tamta nie wiedziała, o kogo chodzi, i poradziła jej, żeby zadzwoniła ponownie wieczorem, gdy jej mąż będzie w domu.

Kilka chwil przerwy! Wypiła łyk kawy. Niemal z zapartym tchem czekała, czy przy tym kłamstwie także pojawią się obrazy. Nic się nie działo. Ugryzła małą kawałek herbatnika, ledwie mogła go przełknąć. Herbatnik miał Czekoladową polewę, każdy okruch oznaczał wyrok śmierci dla Magdaleny.

Szef obserwował ją uważnie. Znowu popełniła błąd. Przez jakiś czas włóczyli się! W jaki sposób? Jak dotarli do Kolonii, by odwiedzić przyjaciela Johnny'ego, skoro srebrny golf należał do grubasa?

Zanim szef zdążył o to zapytać, szybko opowiadała dalej.

- Wieczorem zadzwoniłam ponownie. Odebrał mężczyzna. Tym razem spytałam o Horstiego. Mężczyzna zaśmiał się.

- Nazywa się Georg Frankenberg - odparł. - Jak wpadł na Horstiego, tego sam pewnie nie wie, głupek. - Spytał mnie, czego chcę od Georga Frankenberga. Powiedziałam, że przyjaźniliśmy się i chętnie bym go znowu zobaczyła. A mężczyzna stwierdził, że w takim razie muszę przyjechać do

W tym momencie Rudolf Grovian stał się podejrzliwy i poczuł się zmuszony podać wszystko w wątpliwość. Werner Hoss nie potrzebował wcale tak ostentacyjnie wykrzywiać twarzy. Nazywa się Georg Frankenberg! To były jego własne słowa. Nie wiedział, co sądzić o takim sformułowaniu. Georga Frankenberga wszyscy - oprócz jego rodziców - nazywali Frankie, nawet żona. Odbierało to przyjacielowi z Kolonii wszelkie pozory prawdopodobieństwa. Spytał jednak: - Czy ten mężczyzna miał jakieś imię?

Usłyszała w jego głosie niedowierzanie. Ale wpadkę z samochodem widocznie przeoczył. I nie sądziła już, żeby chodziło właśnie o Margret. Dawno by jej o tym powiedział wprost. Miał na myśli tylko Georga Frankenberga i nazwiska znajomych, którzy mogliby potwierdzić całą historię. Nie mogła wymienić żadnych nazwisk. Nie mogła ich wygadać nawet przez pomyłkę i w zamieszaniu.

- Próbuję sobie przypomnieć. To było śmieszne imię. W tej chwili nie pamiętam. Jestem bardzo zmęczona.

- A numer telefonu?

- Przykro mi, zapomniałam. Nigdy nie miałam pamięci do numerów.

- Adres?

Wzruszyła ramionami, tłumacząc cicho: - Nie pamiętam. Może jutro sobie przypomnę, jak nazywali się ci ludzie i gdzie mieszkali. Gdy człowiek na siłę stara się sobie coś

przypomnieć, nigdy się nie udaje. Czegoś takiego nie da się wymusić, wie pan.

- Tak, wiem - odparł Rudolf Grovian. - A gdy się kłamie jak z nut, wspomnienia i tak niewiele znaczą. Przyjęła pani zatem zaproszenie tego mężczyzny?

Automatycznie skinęła głową. W jej głowie jakby pękła tama. Beładny chaos obrazów i słów wystrzelił z wyrwy i wirował w jej umyśle. Czworo ludzi na kocu nad jeziorem. Piosenka. Jabłka z supermarketu i z ogrodu. Historia, którą Opowiedziała, i film ukazujący, jak młody mężczyzna i dziewczyna schodzą w dół po schodach.

Zakamarki pamięci wypluwały z siebie kolejne kamienie i ciskały je po okolicy. Matka, ojciec, Magdalena, Horsti, Johnny, Margret i Gereon. Dużo imion. Za dużo. Było wśród nich kilka takich, których nigdy nie słyszała. Śmieszne imiona, Bocki i Tiger. Jej twarz skurczyła się, jakby zaraz miała się rozpląkać. - Nie powinnam tego robić. Frankie nie chciał mieć ze mną nic do czynienia.

- Kim jest Frankie? - spytał szef.

Drgnęła. - Co?

- Kim jest Frankie? - powtórzył Rudolf Grovian z trudem nadając pytaniu neutralne brzmienie. Rzucił Wernerowi Hossowi triumfalne spojrzenie. Na to czekał. Uważał, że znalazł potwierdzenie. - Powiedziała pani, Frankie nie chciał mieć ze mną nic do czynienia. Kim jest Frankie, pani

Nie uświadamiała sobie, co powiedziała. Zapomniała, że słyszała to imię nad jeziorem. - Co powiedziałam? Przykro mi. Naprawdę jestem bardzo zmęczona.

Dotknęła dłonią czoła. Jej wzrok przemknął po biurku, dosięgnął Wenera Hossa i spoczął na nim, jakby mógł on położyć kres męczarni. To była tylko męczarnia. Ta po brzegi wypełniona głowa. Jak szuflada, do której wciśnięto za dużo rzeczy. Teraz wypływało wszystko naraz.

Nie znalazła tylko małego noża, choć właśnie bardzo go potrzebowała. Powinna wcześniej wszystko posortować. A gdyby tak zrobiła, wiedziałaby, że noża nie było w szufladzie. Leżał na stole, na którym krojono cytryny, widoczny dla każdego, kto wchodził. Tyko ona go nie widziała. Leżała zbyt nisko, a stół był zbyt wysoki. A przed wysokim stołem stał mały, gruby mężczyzna. Na wierzch dłoni wysypał sobie biały proszek, zlizął go, wypił coś i ugryzł cytrynę.

- Niech pan mu powie, żeby przestał, wyjąkała ze spojrzeniem utkwionym w Wernerze Hossie. - Niech mu pan powie, żeby mnie teraz zostawił w spokoju, bo zwariuję. Widzę same dziwne rzeczy, takie głupie. Będziecie się strasznie śmiać, jak wam o tym opowiem.

Otrząsnęła się jak pies z mokrą sierścią, opuściła głowę i spojrzała na swoje ręce. - Kiedyś zdarzyło mi się coś głupiego - wyjaśniła. - Nie umiem sobie tego przypomnieć i wcale nie chcę. Odcięłam się od tego. Achim powiedział, że wiele ludzi robi tak z przeżyciami, których nie potrafią znieść. Budują w umyśle mur i zamykają za nim wszystko, co boli. Achim powiedział, że mur trzeba zburzyć i poradzić sobie z tymi rzeczami, inaczej nigdy nie będzie się miało spokoju. Ale dla mnie mur okazał się bardzo dobrym rozwiązaniem.

Skinęła w zamyśleniu, ponownie uniosła głowę i spojrzała na Wenera Hossa. Zwracając się wyłącznie do niego, mówiła dalej. - W mózgu człowiek ma niesamowicie dużo miejsca. Do myślenia nie potrzeba nawet połowy, ledwie czterdzieści procent, jak mi się wydaje. Ale możliwe, że jest odwrotnie, i potrzeba sześćdziesięciu. Wiedział pan o tym?

Werner Hoss kiwnął głową.

Uśmiechnęła się melancholijnie. - To wspaniałe, prawda? Jak strych, na który można zanieść wszystkie graty. Działo aż do Bożego Narodzenia. Wtedy wróciło. Gdy usłyszałam

tę melodię, przeskoczyło przez mur jak wilk ze skrzyni. Może miało to coś wspólnego z narodzinami Zbawiciela. Nie wiem. Zupełnie nie wiem, o co chodzi. Budzę się i nic nie ma. Nie ma prawa być. Rozbiło mi to głowę, wie pan. Wciąż to czuję, gdy mam ten sen.

Bolesny uśmiech znikł. Odetchnęła głęboko i opowiadała z zapalem. - W dzieciństwie już raz mi się to zdarzyło. To był jednak inny sen, zawsze mogłam go sobie przypomnieć. I podobał mi się, lubiłam być zwierzęciem.

## Rozdział 6

Tamten sen z wilkiem był straszny. Ale również piękny. Spełniało się moje największe pragnienie. Magdalena zniknęła, i to nie z mojej winy. Matka także nie chciała zostać z nami. Leżała przy pustym wózku. A ojciec niósł wiadro pełne jabłek. Pomyślałam, że już wcześniej musiał wiedzieć, co się zdarzy, inaczej zabrałby warzywa i ziemniaki.

Obudziłam się zupełnie lekka, choć szybko pojęłam, że to był tylko sen. Ale to właśnie było takie wspaniałe. Wiedziałam, że jednym z najcięższych grzechów było życzyć komuś śmierci. Za to pewnego dnia czekały człowieka niekończące się męki.

Przez cały czas, mówiła matka, setki małych diabłów będą rozżarzonymi do czerwoności szczypcami wyrywać kawałki ciała - maluteńkie kawałeczki, żeby starczyło na całą wieczność.

Matka pokazała mi obrazki, na których działo się tak z innymi ludźmi. Ale skoro wszystko mi się przyśniło, nie mogłam nic na to poradzić, więc na pewno nie zgrzeszyłam.

Gdy wstałam, nadal czułam się lekka. Miałam przeczucie, że będzie to wyjątkowy dzień. Początkowo myślałam nawet, że zdarzy się cud. Cudu nie było, ale wszystko potoczyło się zupełnie inaczej niż zwykle.

Po południu matka musiała wyjść na zakupy. Posłała mnie na górę, żebym popatrzyła na Magdalenę. Jak zwykle stanęłam obok łóżka myśląc, że śpi. Jednak gdy na dole zamknęły się drzwi, otworzyła oczy i spytała: - Przeczytasz mi coś?



To był pierwszy raz, gdy Magdalena ze mną rozmawiała. Odzywała się rzadko, najwyżej czasem do matki. Niekiedy wydawało mi się, że wcale nie umie mówić. Nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć.

- Jesteś głucha czy nie rozumiesz po niemiecku? - spytała.
- Co mam ci powiedzieć? - odparłam.
- Nic, tylko coś mi przeczytaj - zażądała.

Nie wiedziałam, czy matka by się na to zgodziła. - To chyba zbyt męczące - powiedziałam.

- Dla mnie czy dla ciebie? - spytała Magdalena. - Powiedzieć ci, co myślę? Że wcale nie umiesz czytać.

Byłam zbyt zaskoczona, żeby rozmawiać z nią całkiem normalnie jak z dziećmi na szkolnym podwórzu i nie zastanawiałam się wcale, co mówię. - Czy umiem? Umiem nawet lepiej niż matka. Czytam głośno i wyraźnie, nie pod nosem. I umiem także poprawnie akcentować, tak mówi nauczycielka. Inni nie potrafią tego tak jak ja.

- Uwierzę dopiero wtedy, jak mi coś przeczytasz - powiedziała. - A może nie chcesz, bo mnie nie znosisz? Przyznaj śmiało. Wiem, że nikt mnie tu nie znosi. Nie obchodzi mnie to. Ja też nikogo nie znoszę. Jak sądzisz, dlaczego do tej pory się nie odzywałam? Bo nie gadam z idiotami. Oszczędzam oddech dla ludzi, którzy potrafią powiedzieć coś rozsądnego.

Wzięłam ze stolika Biblię, otworzyłam na fragmencie, który matka często czytała, o cudzie, jaki uczynił Zbawiciel, gdy pewien człowiek dotknął jego szaty. Nie wiem, czy miałam wyrzuty sumienia, bo powiedziała, że jej nie znosimy, czy też chciałam udowodnić, jak dobrze umiem czytać. Być może byłam trochę dumna, że ze mną rozmawia.

Bardzo się starałam. Słuchała z zamkniętymi oczami. Następnie zażądała: - A teraz przeczytaj o Magdalenie, która obmyła mu stopy i osuszyła je włosami. Tę opowieść lubię najbardziej.

Gdy skończyłam czytać, powiedziała cicho: - Ja to mam pecha.

Nie wiedziałam, o co jej chodzi. Wytłumaczyła: - No, bo u nas nie ma na sobie szaty, tylko kawałek szmatki na brzuchu. Myślisz, że mogłybyśmy go ubrać? Jeśli wyjmiesz go z szafy i przyniesiesz, możemy spróbować. Weźmiemy chusteczkę, a potem jej dotknę. Później umyję mu stopy. Osuszę je włosami. To musi pomóc.

- Twoje włosy są za krótkie - powiedziałam.

Magdalena wzruszyła ramionami. - Muszę się tylko pochylić. Zawsze chciałam to zrobić. Przyniesiesz go? A może boisz się, że matka przyłapie cię na schodach?

Nie bałam się matki. Nie chciałam tylko, by Magdalena robiła coś, po czym spodziewała się tak wiele. - On ci nie pomoże - powiedziałam. - Jest z drewna. A Magdalena z Biblii nie chorowała. Była grzesznicą.

- Potrafię grzeszyć - odparła. - Mam ci powiedzieć brzydkie słowo? - Zanim zdążyłam odpowiedzieć, zrobiła to: - Dupek! Przyniesiesz go teraz?

Zeszłam na dół. Nagle zrobiło mi się jej ogromnie żal. Sądzę, że tego popołudnia po raz pierwszy zrozumiałam, że moja siostra była normalnym dzieckiem. Bardzo chorym dzieckiem, które w każdej chwili mogło umrzeć i nie dane mu było żyć tak jak mnie. Umiała jednak mówić jak ja, myśleć jak ja i czuć jak ja.

Przyniosłam krzyż do jej łóżka. Najpierw zrobiłyśmy to z chustką. Wzięłam jedną od ojca, żeby była wystarczająco duża. Zawiązałam chustkę wokół jego szyi, a Magdalena potarła ją palcami. Potem przyniosłam z łazienki wodę w kubku do mycia zębów i Magdalena umyła mu stopy. Przytrzymałam krzyż blisko jej głowy, żeby mogła wytrzeć je włosami. Jego stopy nie były całkiem suche. Nogi także się pomoczyły. Był dość mały. Ale Magdalena nie chciała, żebym wytarła go chusteczką. - Wtedy może nie zadziałać - stwierdziła.

Zaniosłam go na dół. Gdy wróciłam, spytałam, gdzie się nauczyła brzydkich wyrazów.

- W klinice - odparła. - Nie uwierzysz, jakie tam znają powiedzenia. A gdy myślą, że śpisz, mówią je głośno. Lekarze nie, ale inni ludzie. Dużo chorych ludzi zachowuje się naprawdę okropnie. Leżę najczęściej ze starszymi. Złorzeczą i klną, po prostu nie chcą umrzeć.

Na chwilę zamilkła, potem powoli mówiła dalej: - Chciałabym już nie musieć jeździć do Eppendorf. Chociaż czasem jest tam miło, nie tak nudno jak tu. Są gry. Gdy mogę siedzieć w łóżku, siostra przynosi jakąś, przyprowadza kilkoro dzieci i grają ze mną. Matka tego nie lubi. Ale nie ma odwagi, by coś powiedzieć. Pewnego dnia siostra się z nią posprzeczała. Matka powiedziała, że nie mogę grać, bo powinnam odpoczywać. Siostra odparła: - Pewnego dnia będzie mogła odpoczywać, tak długo, aż szernieje. Do tego czasu niech bawi się tyle, ile chce. - Wiesz, zmarli szernieją, a potem mają robaki i rozkładają się.

Nie patrzyła na mnie, gdy to mówiła. Palcem kreśliła koła na prześcieradle i opowiadała dalej. - Była tam raz jedna dziewczyna, miała osiemnaście lat. Wytłumaczyła mi to. Też chorowała na białaczkę, ale leczenie jej nie pomogło. Nie znaleźli dla niej dawcy szpiku. Powiedziała, że nie boi się śmierci. Ale ja tak.

Ciągle kreśliła koła na prześcieradle. Teraz jednak uniosła głowę i spojrzała mi w twarz. - Nie śmierci - powiedziała. - Śmierć to nic takiego. Może jest lepiej, jak się nie żyje i nic już nie boli. Skoro i tak nic nie działa prawidłowo i nie można się nawet samemu załatwić, to musi być lepiej. Tylko... Nie chcę szernieć. Nie chcę mieć robaków i rozłożyć się. Wyobrażasz sobie, jakie to wstrętne? Powiedziałam matce, że mają mnie spalić. Wielu ludzi tak robi. To nie kosztuje dużo. Ale matka się nie zgodziła. Proch do prochu, odparła. Zbawiciela także nie spalili.

Ponownie zamilkła i na chwilę zamknęła oczy. Myślałam, że wyczerpała ją długa rozmowa. Tak było, ale koniecznie chciała mi powiedzieć coś jeszcze. Nie miała tylko pewności, czy może mi zaufać.

- To, co ci teraz powiem, możesz równie dobrze powtórzyć matce - zaczęła. - Nienawidzę go! Mam nadzieję, że zgnije tam, gdzie zmoczyły mu się stopy. Drewno gnije, gdy zmoknie. Dlatego chciałam go umyć. Tylko dlatego. Nie myśl, że wierzę, że uleczy moje serce. Takie bzdury opowiadają człowiekowi, żeby trzymał gębę na kłódkę i robił to, czego chcą. Aleja nie mam już ochoty. Powtórzysz matce?

Pokręciłam głową.

- Więc jesteśmy teraz przyjaciółkami? - spytała.

- Jesteśmy siostrami - odparłam. - To więcej niż przyjaciółki.

- Wcale nie - zaprzeczyła. - Przyjaciółki lubią się zawsze, a siostry czasem nie.

- Ale ja cię lubię - powiedziałam.

Skrzywiła twarz, wyglądało to prawie jak uśmiech, ale tylko prawie. Sądzę, że dokładnie zdawała sobie sprawę z mojego kłamstwa. Ale w tamtej chwili naprawdę ją lubiłam. Powiedziałam jej o tym, a ona spytała: - Myślisz, że mogłybyśmy się razem bawić?

- Nie wiem. A w co?

- Znasz taką grę: widzę coś, czego ty nie widzisz? Nie trzeba się przy niej wysilać. Można grać leżąc w łóżku.

Wy tłumaczyła mi zasady i grałyśmy przez jakiś czas. W sypialni nie było wiele rzeczy, które można by widzieć. Szybko się znudziłyśmy. Wszystko wymieniliśmy już po trzy razy, gdy Magdalena zaproponowała: - Możemy także spróbować gry w życzenia, sama ją wymyśliłam. Jest łatwa. Trzeba tylko mówić, co by się chciało mieć. Ale z rzeczy, które da się kupić. I trzeba wyliczyć, co by się z tym zrobiło. Najlepiej ja zacznę, to zobaczysz, o co chodzi.

Najpierw życzyła sobie telewizor. Widziała to w klinice. Niektórzy ludzie mieli takie urządzenia w pokojach. Chciała od rana do wieczora\* oglądać telewizję. Poza tym chciała mieć radio i adapter oraz wiele płyt. - Ale stereo! - powiedziała. - Lubię muzykę, prawdziwą muzykę. Nie taką, gdzie śpiewa tylko jedna osoba.

- Mam spytać ojca, czy kupi radio? Są teraz takie małe, łatwo można je schować.

Magdalena pokręciła głową. - To nic nie da. Nawet jeśli kupi, gdzie miałabym je schować? Zanim się zorientujemy, matka je spali. Poza tym wątpię, żeby kupił radio. Tobie może tak, ale mnie nie. Palcem dla mnie nie ruszy. Chciałby, żebym umarła.

- To nieprawda! - powiedziałam.

- Prawda - zaprzeczyła. - Jak umrę, będzie mógł sypiać z matką. Wszyscy mężczyźni śpią ze swymi żonami. Lubią to. Słyszałam w klinice. Jakiś mężczyzna pytał lekarza, kiedy jego żona wróci do domu i czy od razu będzie mógł z nią spać. Ona miała zawał serca. Lekarz powiedział, że to jeszcze trochę potrwa. Mężczyzna był bardzo rozczarowany. Ojciec też jest. Dlatego tak się zachowuje, po prostu nie do zniesienia.

Miała sporo racji. Czasami ojciec naprawdę bywał nie do zniesienia. Nie w stosunku do mnie lub do niej, tylko do matki. Krzyczał, gdy wieczorem podawała mu jedzenie. Kiedyś rzucił za nią talerz z zupą. - Możesz zanieść to żarcie do salonu. Pan nie ma wielkich wymagań. Ale ja za swoje pieniądze chcę dostawać do jedzenia coś porządnego.

Potem wybiegł i zamknął się w łazience. Gdy później zapukałam do drzwi, bo musiałam się załatwić, zawołał: - Idź się wysuszyć w ogrodzie! Nie mogę teraz otworzyć. Właśnie wrywam sobie ogon. To może jeszcze potrwać. Cholernie mocno się trzyma.

Jednak lubiłam go. Magdalенę też, zwłaszcza tego popołudnia. Nie chciałam, żeby szerniała i dostała robaków.

Na myśl o tym czułam podobne obrzydzenie co ona. Wciąż pamiętam, że uznałam, iż najlepiej byłoby dla niej, gdyby spełnił się mój sen. Cała naraz połknięta przez wielkiego wilka - stałoby się to szybko i być może nie bolało zbyt mocno.

Tamtej nocy sen powrócił. Był trochę inny niż za pierwszym razem. Gdy wilk pożarł Magdaleny, powoli podszedł o mnie. Nie pobiegł z powrotem do skrzyni tak jak poprzednio. Stanął przede mną i spojrzał. Z pyska kapała mu rew Magdaleny. Przycisnął łeb do mojego brzucha. Pomyślałam, że teraz mnie także zje. Ale wyglądało to raczej na to, że chciał się łączyć.

Potem stało się coś dziwnego. Jego pysk zniknął w moim brzuchu. W ogóle nie poczułam bólu. Także wtedy, gdy reszta wilka znalazła się we mnie. Nogi, łapy, całe ciało, a na końcu gruby ogon. Mój brzuch był w całkowitym porządku. Żadnej dziury. Wtedy zrozumiałam.

Kilka tygodni wcześniej na szkolnym boisku usłyszałam dwie dziewczynki rozmawiające o mężczyźnie, który w nocy zamieniał się w wilka i pożerał ludzi. W ciągu dnia był całkiem normalnym człowiekiem. Bardzo się starał zachowywać wobec innych miło i serdecznie i pomagać im. Wszyscy go lubili. Strasznie cierpiał z tego powodu, że jest zły i co noc zamienia się w bestię. Nie mógł jednak nic na to poradzić. Po prostu tak się

Ze mną musiało być podobnie, a ojciec wiedział o tym już dawno. Stał obok mnie na ulicy, widział wszystko i był bardzo poważny. - Nie martw się - powiedział. - Ode mnie nikt się nie dowie. Wiedziałem, że kiedyś musi się tak stać. pamiętasz, jak w twoje urodziny powiedziałem ci, że musisz być głodna jak wilk? Spodziewałem się, że zmienisz się w dzikie zwierzę i zabijesz ją, zanim odbierze ci twoje życie.

W tym momencie się obudziłam. Czułam się silna i potężna jak bestia, o której opowiadały dziewczynki na boisku.

Po paru chwilach stwierdziłam, że mam mokro w łóżku. Zmoczyłam się i byłam tak zawstydzona, że zaczęłam płakać.

Ojciec obudził się, przyszedł do mnie, dotknął prześcieradła i powiedział: - To nic takiego, Cora. Każdemu może się zdarzyć.

Koszulę nocną i bieliznę także miałam mokrą. Ojciec pomógł mi wszystko zdjąć. Potem pozwolił położyć się w jego łóżku, bo w pokoju było bardzo zimno.

Przez pewien czas Rudolf Grovian czuł się oszukany. Nie miał pojęcia, jak ocenić zachowanie Cory Bender. Werner Hoss także zdawał się tego nie wiedzieć i jak zaczarowany wpatrywał się w jej usta.

Ze spuszczonym spojrzeniem i drżącymi ustami plotła o murze w swojej głowie i zwierzęciu w brzuchu, najpierw o raku z ostrymi szczypcami, potem o wilku, który pożerał dzieci, a następnie wdzierał się w nie. Wilk wchodził do brzucha dziecka. Ale to nie bolało. Nie mogło boleć, bo dziecko samo było zwierzęciem.

To było okropne dziecko. Moczyło łóżko, by spać z ojcem. Zakłuło Zbawiciela, bo nie chciał zgnić. Sześć lub siedem razy uderzyło go nożem do obierania cytryn! A Zbawiciel patrzył na dziecko. Powiedział: - Oto moja krew przelana za twoje grzechy. - I wraz z jego krwią rozmazaną na twarzy dziecko stało się wolne, wyzwolone od przekleństwa, które rzucił archanioł.

Z krwią Zbawiciela na piersiach i brzuchu dziecko zrozumiało, że Johnny nigdy nie był aniołem. Jego kolega nazywał go Böcki Kozioł. Był szatanem. Przez węża przywiódł niewiastę na pokuszenie. A gdy leżała na podłodze, nadszedł Tiger. W brzuchu niewiasty nie było już dla niego miejsca. Więc wepchnął swój ogon w jej usta. Gdy go ugryzła, uderzył.

Miał kryształowe łapy, w których paliło się kolorowe światło. Potem nadeszła ciemność, wielkie zapomnienie. Zapomnienie oznaczało śmierć. Śmierć była snem. A sen znajdował się za murem w umyśle. Wszystko było bardzo proste, jeśli się o tym wiedziało.

Teraz wiedziała. Teraz widziała wszystko i dostrzegała związki. Wiedziała nawet, dlaczego było tak straszne, gdy Gereon przedtem palił papierosa. To popielniczka zgasła światło i zaczarowała piosenkę.

Mówiła zbyt cicho, by jej głos nagrał się na taśmie. Siedzący bliżej Rudolf Grovian rozumiał ją mimo to i czuł się cholernie kiepsko; bezradny, niepewny, przytłoczony i nieco wściekły. Był przekonany, że odstawia pokaz szaleństwa, by osiągnąć swój cel i mieć wreszcie spokój. Brakowało mu jednak stuprocentowej pewności.

Oto moja krew, pomyślał i: Ojcze, przebacz jej! Miał ochotę zakląć. Zbawiciel i nóż do cytryn. Szatan w postaci kochanka. Religijny obłęd! Jeśli opowiadała prawdę o swoim dzieciństwie, należało wziąć pod uwagę to, a także znacznie więcej. Nikt nie mógłby się dziwić, gdyby później stwierdziła, że Anioł Pański rozkazał jej zabijać mężczyzn publicznie całujących swoje żony.

Uniósł dłoń, chcąc dać Hossowi znak, że przerywa przesłuchanie. Cora jednak otrząsnęła się, wyprostowała na krześle i powiedziała spokojnym, głośniejszym już tonem: - Przepraszam. Nie byłam całkiem skoncentrowana. Ostatnio mówiliśmy o Frankie, prawda? Jego imię brzmiało Frankie! Nie wiedziałam, skąd je znam. Ale właśnie sobie przypomniałam. Mężczyzna z Kolonii go tak nazywał.

Skinęła głową, jakby musiała to sama potwierdzić, po czym z nieco większym zapalem ciągnęła dalej: - Teraz przypominam sobie też, jak nazywali się jego znajomi. Nie ci z Kolonii, ich nazwisk naprawdę nie pamiętam, ale dwaj inni, którzy byli razem z nami w piwnicy. Oczywiście nie



wiem, jak się nazywali naprawdę. Tylko tyle, że mówili o sobie Koziół i Tiger.

Zaśmiała się cicho, zakłopotana wzruszyła ramionami i wyjaśniła: - Brzmi głupio, wiem. Ale tak to usłyszałam. W Kolonii, gdy Frankie i ten mężczyzna o nich rozmawiali.

Rudolf Grovian nie pojmował, co się dzieje, i nie wiedział, jak ma to ocenić. Znowu była w pełni obecna. Ta najnowsza zmiana niweczyła podejrzenie o udawane szaleństwo. Jaki mogła mieć powód, aby przerwać przedstawienie? A zatem zachwianie psychiczne. I to prawdopodobnie już drugie tego dnia. Za pierwszym razem dodatkowo zachwiała się jej ręka z

Nie potrafił jej przerwać, nie wiedział, w co powinien lub może wierzyć. Opanowanym tonem opowiadała o kilku dniach spędzonych w Kolonii. O desperackiej próbie odzyskania Horstiego alias Johnny'ego tudzież Georga lub Frankiego. Jak ją odtrącił, chłodno i bez cienia litości. Jak pomogło jej owo znajome młode małżeństwo. Naprawdę mili ludzie, bardzo wyrozumiali, wzruszająco troskliwi. Rano na pewno przypomni sobie ich nazwisko. Dzisiaj kiepsko jej szło z nazwiskami, co było chyba dość zrozumiałe po tak okropnym dniu.

Kilka minut po północy zadzwonił telefon na biurku. Przy pierwszym dźwięku wzdrygnęli się wszyscy troje. Ciągle jeszcze mówiła, przerwała w połowie zdania. Werner Hoss z widoczną ulgą podniósł słuchawkę, powiedział krótko: - Tak - słuchał kilka chwil, po czym rzucił Rudolfowi Grovianowi znaczące spojrzenie.

Przerwa spowodowana telefonem przyniosła jej ulgę. Cora przyglądała się, jak szef chwyta słuchawkę. Krótka chwila wytchnienia, by uporządkować wszystkie fragmenty. W jej umyśle panował nieład. Mur pękł. W niektórych miejscach widać już było szerokie rysy, a przez nie

zaczynało coś prześwitywać. Za murem znajdował się biały hol z małymi zielonymi kamykami w podłodze, schody i obraz z płam. A stanowiły one ledwie przygrywkę. Na końcu schodów znajdowało się pomieszczenie, w którym migotało kolorowe światło.

Nie wpadła tam, rzuciła jednak spojrzenie i dostrzegła biały proszek na wierzchu dłoni. I zęby wgrzyzające się w cytrynę. Kryształowe łapy. Kozła i Tigera. To było straszne, a zarazem komiczne. Dziw, że szef się nie zaśmiał.

Skurczona ze strachu i niepokoju obserwowała jego twarz. Początkowo przemknął przez nią wyraz zdumienia, a potem satysfakcji.

- Niekoniecznie - powiedział. - Wystarczy, jeśli przyjdzie pani rano. O dziesiątej? - Słuchał dalej, nawet się uśmiechnął. - Tak, dobrze, skoro to dla pani takie ważne. To nie będzie moja pierwsza nieprzespana noc.

Gdy odłożył słuchawkę, skinął znacząco i jakby przepraszająco do mężczyzny w dresie, a potem w jej kierunku. Jego uśmiech mieszał się ze współczuciem. Wskazał na telefon. - Młode małżeństwo? - spytał. - Przyjaciele Georga Frankenberga? - Westchnął i powiedział przeciągle: - Pani

Potem mówił dalej z ojcowską protekcjonalnością: - Dlaczego nie powiedziała nam pani po prostu, że pani ciotka mieszka w Kolonii? W grudniu przed pięcioma laty uciekła pani do niej. Nie było żadnego młodego małżeństwa. Pani ciotka właśnie dzwoniła, pani Bender.

Potrząsnęła głową. Lepiej, gdyby to zostawiła. Poczula jak odrywają się kolejne fragmenty muru i jak potyka się o nie, przewraca i spada kilka stopni niżej. Nie mogła się zatrzymać. Starła się co prawda, czepiała się Margret i krzyczała: - Nie! To nieprawda! Moja ciotka nie ma z tym nic wspólnego. Nigdy nie miała ze mną nic wspólnego. Właśnie sobie przypomniałam, jak nazywali się ci

ludzie, kobieta miała na imię Alice. A mężczyzna... niech pan poczeka, zaraz sobie przypomnę. Nazywał się... Był... Cholera, cholerne gówno... gdzie to się podziało? Przed chwilą jeszcze wiedziałam. On... On chciał się usamodzielnić, otworzyć własną praktykę, opowiadał mi o tym.

Gówno, pomyślał również Rudolf Grovian. Nie nadawało się to do niczego. Winfried Meilhofer i Alice Winger, jezioro! A ona krzyczała dalej: - Czego miałabym szukać u ciotki? Naprawdę uważa pan, że zadzwoniłam do kobiety, którą ledwo znałam, by prosić ją o pomoc?

- Tak - odparł, w jego głosie odbijało się rozczarowanie i frustracja. - I nie tylko ja tak uważam. Pani ciotka właśnie mi to wyjaśniła. A zatem nasuwa się pytanie, gdzie naprawdę usłyszała pani imiona Frankie, Kozioł i Tiger. Nie u mężczyzny w Kolonii. Podśluchała je pani dziś po południu nad jeziorem, mam rację?

Popatrzyła na niego skoncentrowana, marszcząc czoło. Wydawało się, że usilnie zastanawia się nad jego pytaniem. Wszystko stało pod znakiem zapytania, wszystkie kwestie ponownie były otwarte. Jak idiota dał się złapać na jej lep! I to dlaczego, do cholery? Ponieważ opowiedziała mu dokładnie to, co od początku uznał za jedyne racjonalne wytłumaczenie - prześliczna historia miłosna z tragicznym zakończeniem. Westchnął i machnął ręką. - Kończymy na dziś.

- Nie! - Widział, że ledwie trzymała się na krześle. Obiema rękoma obejmowała oparcie. - Jeszcze raz nie dam rady. Załatwmy to dziś do końca.

- Nie - odparł bardzo zdecydowanie. - Mam dość na dzisiaj. Zadzwonię do kolegów. Zanocuje pani pod ich opieką. Trochę snu dobrze pani zrobi. Powiedziała pani przecież, że jest bardzo zmęczona.

- Tylko tak mówiłam. Wcale nie jestem zmęczona - zapewniła i zapytała na tym samym wdechu: - Czego chciała Margret? Dlaczego dzwoniła?

- Chce z nami porozmawiać - powiedział i uznał, iż już najwyższy czas, by pomówić z kimś z rodziny. - Jest to dla niej tak ważne, że nie chciała czekać do rana. Przyjdzie tu.

- Musi ją pan odesłać z powrotem - zażądała błagalnie. - Z Margret zmarnuje pan tylko czas. Ona nic panu nie powie. Nikt tego nie zrobi oprócz mnie.

Rudolf Grovian uśmiechnął się bez cienia radości. - Sądzę, że na dziś powiedziała pani wystarczająco dużo. Potrzeba nam trzech dni, żeby to uporządkować. Zobaczmy, czy pani ciotka nam w tym pomoże.

Ponownie pokręciła głową, tym razem nieco silniej. I spadła jeszcze kilka stopni w dół. - Nie zrobi tego! Nigdy niczego jej nie opowiadałam. Nikomu nic nie powiedziałam. Za bardzo się wstydziłam. Nie ma pan prawa zadawać pytań Margret. Mówię panu przecież, że ona nic nie wie.

Poderwała się z krzesła, ale wiele to nie pomogło. Ciało się uniosło, umysł nie. Ześliznął się o ostatnie kilka stopni i zanurzył się w migające światło. Zamrugła gwałtownie, błagając: - Niech pan zostawi Margret w spokoju, proszę. Nie zrobiła nic złego. Nikt nie zrobił oprócz mnie. Jestem morderczynią, niech mi pan wierzy. Zabiłam niewinne dziecko. To prawda. I Frankiego! Jego oczywiście też. Ale musiałam go zabić, bo on...

Zaczęła się jąkać, gestykulowała chaotycznie i bezradnie obiema rękami, jak gdyby mogła w ten sposób podkreślić prawdziwość swoich słów i zmusić go, by poświęcił jej jeszcze kilka minut. - On... On nie wiedział, jak ma to zrobić. Powiedziałam mu, że musi uważać. Nie słuchał mnie. Powiedziałam, że musi przestać. Nie zwracał na to uwagi. Wie pan, co zrobił?

Oczywiście Rudolf Grovian tego nie wiedział, ale mógł sobie żywo wyobrazić. Najwyraźniej swoją paplaniną znowu próbowała skierować go na ciężę i poronienie. Jednak dalszy ciąg do tego nie pasował.

- Rzucił się na nią - wydyszała bez tchu i gwałtownie mrugając. - Pocałował. I bił ją. Na zmianę całował i bił. Krzyczał przy tym: Amen! Amen! Amen! To on zwariował, ja nie. Tak długo ją bił, aż umarła. Słyszałam, jak pękają jej żebra. To było straszne, takie potworne. Chciałam jej pomóc, ale mnie przytrzymali. Jeden leżał na mnie, drugi trzymał mi głowę i wsadzał swój interes w usta. Ugryzłam go i...

Światło błysnęło raz jeszcze, zanim zgasło. Nie wiedziała, co było dalej. Szef wpatrywał się w nią. Mężczyzna w dresie zerwał się i dwoma susami znalazł się przy drzwiach. Opuścił pokój. Magnetofon nadal był włączony, nagrał każde jej dotychczasowe słowo, zapisał także następne.

- Niech go pan zawoła z powrotem! - zakrzyknęła. - Nikt teraz nie może wyjść. Niech mnie pan nie zostawia samej. Proszę! Nie wytrzymam tego. Niech mi pan pomoże! Na miłość boską, niech mi pan pomoże. Niech mnie pan stąd wyciągnie. Nie mogę być w piwnicy. Nic już nie widzę. Niech pan zapali światło. Niech mi pan pomoże!

Wszystko się zamazało. Szef tylko stał bez ruchu. Powinien coś zrobić. Cokolwiek. Wziąć ją za ramię, przytrzymać za rękę, zaprowadzić z powrotem na schody. Albo przynajmniej znowu zapalić światło, żeby sama mogła je znaleźć. Było tak ciemno, tylko kilka zielonych, niebieskich, czerwonych i żółtych błysków przebiegło jeszcze przez pokój rozrywając ciemność. - Puśćcie! - wydyszała. - Zejdź z niej, zostaw ją w spokoju. Przestańcie! Przestańcie, świnię! Puśćcie mnie!

Rudolf Grovian nie potrafił zareagować, był zbyt zszokowany tym, co zrozumiał. Jej krzyki dotyczyły gwałtu, a poprzednie morderstwa. Wymieniła też drugą dziewczynę, na tyle głupią, by przyłączyć się do całej grupy. Najwyraźniej nie wyszała tego z palca, choć przez chwilę tak sądził.

Zobaczył, jak jedną ręką wymachuje w okolicach podłogi, a drugą przed swoją twarzą, jakby chciała coś

odepchnąć. Dusiła się. Bez wątpienia właśnie jeszcze raz przeżywała to, co próbowała mu wytłumaczyć.

Zobaczył, jak uniosła rękę, jakby chciała się przed czymś zasłonić. Jak obiema dłońmi złapała się za głowę krzycząc:

- Nie! - Zachwiała się, zdawało się, że jej wykrzywiona, opuchnięta twarz nagle usnęła. Nie znalazł się przy niej dość szybko. To były tylko dwa kroki, mimo to zanim zbliżył się do niej, aby zapobiec upadkowi, już leżała na podłodze.

Stało się to zbyt nagle. W pierwszej chwili w ogóle nie potrafił zareagować. Potem uderzył się pięścią w udo. Najchętniej uderzyłby się też w głowę, kopnął się w tyłek, gdyby tylko mógł go dosięgnąć. Spełniał się jego koszmar. Nie wezwał pomocy medycznej, mimo śladów uderzeń na jej twarzy, mimo wypowiedzi młodego lekarza: - Myślałem, że ją pobije na

Krwotok w mózgu, przemknęło mu przez myśl. Ukląkł i uniosł jej głowę. Nie zdawał sobie sprawy, że szepcze.

- No dalej, dziewczyno, wstań. Nie rób mi tego. No dalej. Dalej! Przecież dobrze się czułaś.

Na jej czole ukazała się czerwona plama wielkości talerzyka. Drżącymi palcami odsunął jej włosy szukając dalszych obrażeń, choć wiedział, że gołym okiem i tak nie dostrzeże najpoważniejszych.

Zobaczył jednak wgniecenie w czaszce i poszarpaną białą linię tuż przy włosach. Cora miała oddech płytki, ale regularny. Uniósł jej lewą powiekę dokładnie w chwili, gdy Werner Hoss wkroczył do pokoju, a tuż za nim dwóch kolegów, którzy mieli ją zabrać do aresztu na resztę nocy. Hoss natychmiast chwycił za telefon.

- Po prostu nagle odleciała - powiedział bezradnie Rudolf Grovian. - Zbyt późno zareagowałem.

Po dziesięciu minutach przybył wezwany przez Wernera Hossa lekarz. Dla Rudolfa Groviana były to okropne chwile.

Co prawda doszła do siebie, zanim jeszcze Hoss odłożył słuchawkę, ale wydawało się, że nie została w niej ani jedna iskra życia. Niczym szmaciana lalka dała się podnieść z ziemi i posadzić na krześle. Ale gdy tylko chciał położyć jej dłoń na ramieniu lub coś powiedzieć, słabo wymachiwała rękoma w jego stronę i jęczała: - Niech pan sobie idzie. Dlaczego pan nie przestał? Dlaczego mi pan nie pomógł? To wszystko pana wina.

Potem zwróciła się do Berrenratha, prosząc: - Może go pan wyrzucić? Przez niego wariuję. Zburzył mój mur. Nie wytrzymam tego.

Rudolf Grovian uznał, że musi opuścić pokój, aby się uspokoiła. Werner Hoss wyszedł za nim na korytarz, chrząknął kilka razy, zanim spytał: - Jak to się stało?

- A jak się miało stać - syknął Rudolf Grovian. - Przecież powiedziała. Nie przestałem i zburzyłem jej mur.

Hoss odczekał parę sekund, po czym spytał: - I co sądzi pan o jej historii?

- Jeszcze nie wiem. W każdym razie nie wyssała jej z palca. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ktoś opowiadając bajdy lądował na podłodze.

- Ja też nie - odparł Hoss niespokojnie. - Choć przysięgłbym, że przez cały czas nas okłamywała.

Pojawienie się lekarza uchroniło Rudolfa Groviana od odpowiedzi. We trzech weszli do pokoju. Siedziała na krześle tak jak wcześniej. Berrenrath stał obok i położył jej dłoń na ramieniu. Nie było wiadomo, czy chciał ją w ten sposób pocieszyć, czy wesprzeć.

Jednak najwyraźniej nie potrzebowała już oparcia. Ledwo zauważyła nowo przybyłego, porzuciła apatię i zaczęła głośno protestować przeciwko obecności konowała. Jej głos brzmiał tępo z powodu oszołomienia i zdezorientowania, ale czuła się dobrze, czuła się świetnie. Nie bolała ją głowa ani nic innego. Na pewno nie potrzebowała zastrzyku.

Lekarz sprawdził jej odruchy i po dłuższym spoglądaniu w źrenice stwierdził zwykle osłabienie. Bardzo łagodnie tłumaczył jej, że zastrzyk mógłby pomóc. Tylko coś dla poprawy krążenia, nieszkodliwy środek wzmacniający, który z powrotem postawi ją na nogi.

Zaśmiała się histerycznie, skrzyżowała ramiona na piersiach i obiema dłońmi objęła talię. - Niech pan sobie daruje te gadki. Wiem, czego pan ode mnie chce. Dostać się do moich ramion.

Potem zniecka wyciągnęła ręce przed siebie. - Proszę, niech się pan obsłuży. Niech pan poszuka żyły, jeśli pan potrafi. Chce pan pobrać krew? Lepiej niech pan to zrobi, bo inaczej będą same problemy. Kto wie, co tyknęłam dziś rano.

Lekarz poklepał ją przez chwilę po wewnętrznej stronie ramion, a w końcu zdecydował się na wierzch dłoni. Zrobił uwagę o twardej skórze, starych bliznach i że jeszcze nigdy nie widział podobnych dziur.

Rudolf Grovian słyszał to, czuł jednak taką ulgę z powodu jej reakcji, że nie wyciągnął wniosków od razu. Pół godziny później zasiadł naprzeciw jej ciotki.

Dla Margret Rosch była to zacięta walka. Pozostać upartą, mimo że właściwie chodziło o sprawę, o której nie chciała słuchać. Nie dać się zbyć, choć było to zachęcające. Próbować bez przerwy, dopóki wreszcie nie ustanowiono połączenia.

Nalegała, by zobaczyć bratanicę. Rudolf Grovian obiecał jej to później. W tej chwili Cora Bender leżała w jednym z sąsiednich pomieszczeń. Był jeszcze przy niej lekarz oraz Berrenrath, o którego obecność prosiła. - Zakładam, że jeden z panów musi mnie pilnować. Czy byłby pan tak miły i przejął wartę? W całej tej zgrai wygląda pan na porządnego człowieka.



Werner Hoss ponownie zaparzył kawę. Dwie filiżanki Rudolf Grovian zabrał do biura, do którego zaprowadził Margret Rosch. Zrobiła na nim wrażenie zdezorientowanej i zdenerwowanej, ale mimo to rezolutnej osoby. Atrakcyjna, po pięćdziesiątce, średniego wzrostu, silna sylwetka. Gęste włosy w kolorze takim samym jak u bratanicy, rudobrazowe. Twarz wskazywała na rodzinne podobieństwo.

Na najważniejsze pytanie, czy u bratanicy występowały kiedyś objawy zaburzeń psychicznych, pomieszania zmysłów lub podobne, Margret Rosch zdecydowanie pokręciła głową. I zanim podała dalsze informacje, sama kilku zażądała.

Nie było powodu ukrywać faktów. W paru krótkich zdaniach Grovian nakreślił obraz sytuacji. Słuchała z niewzruszonym wyrazem twarzy. Gdy skończył, udzieliła pierwszych odpowiedzi.

Imię Georg Frankenberg nic jej nie mówiło. Horsti i Frankie wywołały jedynie wzruszenie ramion. Za to Johnny był jej znany. Cora raz opowiadała o nim i opisała go wtedy jako archanioła, wypędzającego ludzi z raj. - I oczy im się otworzyły i poznali, że byli nadzy!

Kolega nazywał go Kozłem, pomyślał Rudolf Grovian, był szatanem, przez węża przywiódł niewiastę na pokuszenie. A potem nadszedł Tiger. Miał kryształowe łapy.

Oczywiście brzmiało to jak opowieść szaleńca. Jednak na własne oczy widział wgniecenie i bliznę na jej czole. Wspominała także o popielniczce. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by domyślić się, co stało się w owej piwnicy. A kto, aby spędzić wieczór w dyskotecce, musiał powoływać się na boskie oko pod gołym niebem, ten zapewne także gorzkie doświadczenia ubierał w biblijne cytaty.

Ciotka nie wiedziała, czy na Johnny'ego mówiono Guitar czy też Saxophon, kiedy Cora go poznała i co dokładnie z nim przeszła. Jednak pośrednio potwierdziła cały ten bełkot tak samo jak dobrze zrozumiała fragmenty.

Stało się to przed pięcioma laty. W maju do Margret Rosch zadzwonił brat. Martwił się o córkę, podejrzewał, że wpadła w złe towarzystwo.

- Nie potraktowałam go poważnie - powiedziała Margret Rosch. - W domu, w którym telewizor traktuje się jak dzieło diabła, każdy młody mężczyzna stanowi złe towarzystwo.

Wy tłumaczyła, że obawy brata okazały się jednak bardziej uzasadnione, niż się jej wydawało. W sierpniu Cora zniknęła i na trzy miesiące jakby zapadła się pod ziemię. Dopiero w listopadzie do Wilhelma zgłosił się pewien lekarz.

Zgodnie z jego słowami Corę odnaleziono kilka tygodni wcześniej gdzieś na poboczu drogi. Była w okropnym stanie i do tej pory nie odzyskała przytomności. Potem powiedziała, że rzuciła się pod samochód. Lekarz na podstawie obrażeń podejrzewał jednak, że została raczej wyrzucona z jadącego auta.

Rudolf Grovian poczuł ulgę. Cała reszta opowiedziana przez Margret Rosch także pasowała do całości. Wspomniała o traumie. Cokolwiek stało się Corze, bratanica nie umiała o tym mówić. Próbę samobójczą można było zatem włożyć między bajki, ciężę prawdopodobnie też. Spróbował upewnić się co do tego. - Pani bratanica wielokrotnie powtarzała, że zabiła niewinne dziecko.

Margret Rosch zaśmiała się nerwowo. - Na pewno nie. Nie miała dziecka.

- Myślę raczej o ciąży - odparł.

- Ma pan na myśli aborcję? - Margret Rosch potrząsnęła głową. - Nie mogę sobie tego wyobrazić. Nie w przypadku Cory.

- Mogło to być poronienie - powiedział. - Jeśli znęcano się nad nią, nie byłoby w tym nic dziwnego. Czy zna pani nazwisko lekarza, który wtedy zajmował się pani bratanicą?

- Nie, nie wiem też, w jakim szpitalu ją leczono.
- Powiedziała, że nie trafiła do szpitala...

Margret Rosch zaśmiała się bez cienia radości i przerwała mu. - Powiedziała! Niech pan nie pyta Cory. Zupełnie usunęła to ze świadomości. Wie pan, czym jest trauma?

Pomyślał o murze w umyśle, który naruszył swymi pytaniami, i krótko skinął głową. A Margret Rosch stwierdziła: - Dobrze, to niech pan spyta własny rozum. Znam mnóstwo lekarzy, dobrych lekarzy. Żaden z nich nie podniósłby ciężko rannej, nieprzytomnej dziewczyny z pobocza i nie zabrał do domu. To by było nieodpowiedzialne. Nie wiem, dlaczego tak panu powiedziała. Może chciała, żeby ktoś znalazł się przy niej. Ktoś, kto naprawdę by się o nią zatroszczył. W życiu zawsze musiała liczyć tylko na

Brzmiało to logicznie. Następne pytanie. Nie zapomniał uwagi lekarza i pokłutych ramion. - Czy pani bratanica miała kiedyś do czynienia z narkotykami?

Minęło parę sekund, zanim Margret Rosch ociągając się skinęła głową. - Z heroiną, ale krótko. Musiało to być w tamtym okresie. Przypuszczam, że Johnny podawał jej narkotyki, żeby była mu uległa. Na pewno sama sobie nie wstrzykiwała. Nie wiedziała, jak się to robi.

Margret Rosch westchnęła. - Gdy do mnie przyjechała, była w okropnym stanie. Twierdziła, że na skutek odwyku, ale nie miało to z nim nic wspólnego. Śniły się jej straszne koszmary. Zawsze tuż przed drugą w nocy. Można było według tego ustawiać zegar. Regularnie podawałam jej resedorm. Równie dobrze mogła brać cukier gronowy. Punktualnie za pięć druga siedziała na kanapie, wymachiwała rękoma i krzyczała wniebogłoso: Przestańcie! Przestańcie, świnię! Nie można jej było dobudzić. Gdy do niej mówiłam, jąkała coś o piwnicy, robakach, tygrysach i kozłach.

Rudolf Grovian słuchał z zainteresowaniem i czuł, jak kolejne kamienie spadają mu z serca. Kozioł i Tiger, nie

wymienił tych imion przy jej ciotce. Doprowadzić młodą kobietę pytaniami na skraj szaleństwa to jedno, a doprowadzić ją pytaniami do punktu, w którym wróciły wspomnienia i dostarczyły wreszcie motywu zbrodni, to

- Wiele razy prosiłam, by poszła do lekarza – ciągnęła ciotka. - Odmawiała, a nie chciałam jej zmuszać. Ale pilnie potrzebowała pomocy. W końcu zaczęłam jej dodawać psychotropy do jedzenia. Po paru miesiącach stan Cory poprawił się. Przesypiała całe noce i również fizycznie poczuła się

Margret Rosch milczała przez kilka chwil, po czym spytała: - Nie dowie się o tym, co panu tu powiedziałam? Jeśli pan jej powtórzy informację o heroinie, Cora zamknie się całkowicie. Mogę zaręczyć. Dla niej najważniejsze jest zachowanie tego w tajemnicy. Najlepiej byłoby, gdyby pan w ogóle o niczym nie wspominał. Nie ma przecież potrzeby, żeby jeszcze raz jej to wypominać. To było dawno temu. Opowiedziała już panu mnóstwo rzeczy, pewnie początek całej historii. Johnny raczej nie od razu zachowywał się jak zwierzę. Może uda mi się ją nakłonić, by opowiedziała panu także zakończenie. Nie wiem ile i czy w ogóle cokolwiek pamięta. Ale warto spróbować. Pozwoli mi pan z nią porozmawiać?

Skinął głową, ponownie poprosił, by jeszcze z tym poczekała i powoli posuwał się dalej. Dom rodzinny, dzieciństwo. Chciał tylko potwierdzenia historii o fanatycznie religijnej matce i ojcu, który nie potrafił sprzeciwić się szaleństwu. A być może czegoś jeszcze, związanego z ukrytymi podejrzeniami. Wykorzystywanie seksualne?

Ale ledwie zadał pierwsze pytania o dzieciństwo Cory Bender, w jej ciotce zaszła dziwna zmiana. Gotowość do współpracy i zapał z jej strony przekroczyły jego oczekiwania.

- Nie mogę wiele powiedzieć na ten temat. Nie utrzymywałam bliskich kontaktów z rodziną brata. Nie potrafiłam

zapobiec szaleństwu szwagierki. Gdy ich odwiedzałam, Cora robiła na mnie wrażenie normalnego dziecka. Szwagierka nie zostawiała jej wiele swobody. Ale Corze udawało się przeciwstawić matce. Inne dziecko załamałoby się pod ciągłym naciskiem, ale Cora... jak mam to ująć? Wzrastała na tym. Zawsze była bardzo dojrzała jak na swój wiek, rozsądna i odpowiedzialna. Wcześniej zaczęła wykonywać domowe prace. Nie dlatego, że ją zmuszano, ale ponieważ widziała, że matka nie daje sobie z nimi rady. Można powiedzieć, że przejęła rolę dorosłej.

A co z rolą w sypialni? Wszystkie wyraźne symptomy! Moczenie łóżka w wieku dziewięciu lat. Heroina w wieku dziewiętnastu! Margret wiedziała, że wykorzystywane dzieci często tak kończyły. Ale Wilhelm zawsze był porządnym facetem, to także wiedziała. Teraz jest starym człowiekiem, wycieńczonym i pustym po nędznym życiu. Czasami dzwoni. - Jak się wiedzie Corze? - Zawsze się cieszy, słysząc: - Miewa się dobrze.

Margret Rosch siedziała z Rudolfem Grovianem niemal godzinę. Nie dowiedział się nic o tym, co przelatywało jej przez głowę oprócz widocznego zmieszania. Imię Magdalena nie padło ani razu. Wreszcie spytała: - Kiedy będę mogła wreszcie zobaczyć bratanicę?

Wstał. - Zobaczę, jak tam u kolegów.

Koledzy stali na korytarzu. Chciał tylko sprawdzić, w jakim stanie znajdowała się Cora Bender. Gdy wszedł do pokoju, ponownie siedziała wyprostowana. Berrenrath stał przy oknie rozmawiając z lekarzem. Ten przybrał taki wyraz twarzy, że Rudolf Grovian mimowolnie pomyślał o uwadze Winfrieda Meilhofera: sąd boży.

Musiało powstać odpowiednie wrażenie. Policja i brutalne metody przesłuchań. Nieprzytomna młoda kobieta z pobitą twarzą.

- Ciotka chce się z panią widzieć, pani Bender - powiedział.

Popatrzyła na niego, jakby spojrzeniem pragnęła przewiercić mu umysł.

- Ta pani potrzebuje spokoju - zaprotestował lekarz.

- Bzdura - sprzeciwiła się. - Przecież właśnie tłumaczył mi pan, że ten cudowny zastrzyk postawi mnie na nogi. To prawda. Jeszcze nigdy w życiu nie byłam tak przytomna. - Spojrzała na Rudolfa Groviana. - Co panu opowiedziała?

- Przyprawdę ją - odparł krótko.

Dwie minuty później ponownie wkroczył do pokoju. Margret Rosch tuż za nim. Skinął na Berrenratha i lekarza, by wyszli. Sam został, stanął jednak z boku i obserwował w milczeniu. Margret Rosch zatrzymała się na środku pomieszczenia. Zobaczył panikę na twarzy Cory Bender, usłyszał zachrypnięty, pełen napięcia głos: - Co mu powiedziałaś?

- Nic - skłamała jej ciotka. - Nie martw się. Przyszłam tylko, by cię zobaczyć. Niestety, nici z twojej jutrzejszej wizyty. Cieszyłam się na nią. Jak się miewa mały?

Rozmawiała, jakby odwiedzała chorą ze złamaną nogą. Ale nieufności Cory Bender nie dało się tak prędko przełamać.

- Dobrze. Naprawdę nic nie powiedziałaś?

- Nie. Co miałabym powiedzieć?

- Skąd mam wiedzieć! W takiej sytuacji opowiada się mnóstwo głupstw. Ja też tak zrobiłam. O Zbawicielu, pokutującej Magdalenie i wszystkie te bzdury.

Margret Rosch potrząsnęła głową. - Nic, ani słowa.

Cora Bender nieco osłabła i zmieniła temat. Nie odważył się ocenić, czy dała się ułagodzić czy też dążyła do określonego celu. Jej słowa wydawały się pełne szczerzej troski, pasowały do zachowania nad jeziorem. Berrenrath poinformował o jej niepokojach o uszy dziecka.

- Gereon dzwonił do ciebie? - zapytała.

Margret Rosch skinęła głową, a Cora pytała dalej: - Jak się czuje? Mówił coś o swoim ramieniu? Zraniłam go, myślę, że dwa razy. Jeden z sanitariuszy opatrzył go nad jeziorem. To był dość duży opatrunek, na całe przedramię. Mam nadzieję, że będzie mógł z nim pracować. Tyle jest teraz do roboty. Manni Weber nie da sam rady. A o starym można zapomnieć. Wiesz przecież, jaki jest. Dużo gada, ale nie odróżnia obcęgów od śrubokręta.

Ciotka ponownie skinęła, zagryzła wargi i skierowała wreszcie, a przynajmniej zamierzała skierować rozmowę na obecne wydarzenia.

- Potrzebujesz czegoś? Mam się postarać o adwokata?

Cora Bender zaprzeczyła. - Zostaw to. Ale gdybyś mogła przynieść mi trochę rzeczy. Parę ubrań i kosmetyki. To co<sup>x</sup> zwykle, sama wiesz.

Nagle Margret Rosch przybrała gwałtowny ton. - Nie, nie wiem. Co znaczy, to co zwykle, gdy się idzie do więzienia? To nie urlop. Cora, zrób mi przysługę i powiedz tym ludziom prawdę. Nie martw się o innych. Pomyśl wreszcie o sobie. Powiedz im, co się stało pięć lat temu. Opowiedz, dlaczego w sierpniu uciekłaś z domu. Oni zrozumieją. Opowiedz im wszystko.

- Już to zrobiłam - odparła.

- Nie wierzę ci - stwierdziła Margret Rosch.

Obojętnie wzruszyła ramionami. - Więc zostaw to! Zostaw mnie w spokoju. Wyobraź sobie, że matka miała rację i naprawdę umarłam.

Przez kilka sekund milczała. Potem poprosiła cicho: - Porozmawiasz z ojcem? I tak musi się dowiedzieć. Wolałabym, żebyś ty mu powiedziała. Ale delikatnie. Powiedz, że mam się dobrze. Nie chcę, żeby się denerwował. I niech tu nie przyjeżdża. Nie chcę tego.

Margret Rosch tylko skinęła głową i rzuciła spojrzenie w stronę drzwi. Rudolf Grovian wyprowadził ją, podziękował za przybycie i okazaną pomoc. Naprawdę był wdzięczny. Johnny i heroina, w okropnym stanie wyrzucona z samochodu, to stanowiło jakiś początek. Nie zapominając o złamanych żebrach drugiej dziewczyny.

Spotkanie ciotki z bratanicą także okazało się pouczające i ujawniło mechanizmy wyparcia typowe dla całej rodziny. Porozmawiajmy lepiej o pogodzie.

Było jasne, że Margret Rosch mogła mu opowiedzieć nieco więcej. Przynajmniej parę słów o Zbawicielu, pokutującej Magdalenie i wszystkich tych bzdurach. Dziwne, że Corze Bender najwyraźniej zależało, by upewnić się co do dyskrecji ciotki wyłącznie w tych sprawach. Mimo że sama już dość wyczerpująco o nich opowiedziała.

Poprawił się w myśli. Nie, mówiła tylko o krzyżu. Wyraźnie przypomniał sobie skurcz jej twarzy, gdy wspomniała o Zbawicielu w związku z pokutującą Magdaleną. I jak natychmiast zastosowała manewr wymijający, prosząc o wodę na kawę.

Nie był najlepiej obeznany z Biblią i zastanawiał się, jakie znaczenie może zyskać poboczna postać z testamentu, jeśli Georg Frankenberg pięć lat po swoim objawieniu się jako szatan z wężem okazał się być zbawicielem. Ale nie opłacało się nad tym rozmyślać.

Trauma! Naruszył ją - nieświadomie i niezamierzenie. Poruszanie tego tematu naprawdę nie należało do jego zadań, nie na tym tle. Za to odpowiadali lekarze. Nie popełniał dwa razy tego samego błędu. W jego obecności ona nigdy się już nie załamała. Trzeba wiedzieć, gdzie leży granica. On już swoją osiągnął. Tak sądził.



## Rozdział 7

Odwiedziny Margret zawsze budziły we mnie sprzeczne uczucia. Zjawiała się rzadko i nie zostawała na tyle długo, aby faktycznie coś zmienić. Przywoziła tylko promyk nadziei dla ojca, który zabierała z powrotem wyjeżdżając.

Słabo pamiętam jej pierwsze wizyty. Nie mogło być ich dużo. Margret przyjeżdżała najczęściej ze stareńką kobietą, moją babką. Za każdym razem przywoziły coś słodkiego. Matka odbierała to i wkładała do szafki z chlebem. Dokąd słodycze trafiały potem, wiedziała tylko ona i Zbawiciel. Owe wczesne odwiedziny nie przynosiły korzystnych zmian. Dlatego były dla mnie dość uciążliwe. Babka zawsze pytała, czy jestem grzeczna, czy słucham mamy i taty i czy zawsze robię to, o co mnie proszą. Za każdym razem potakiwałam i czułam ulgę, gdy wyjeżdżały.

Potem Margret po raz pierwszy zjawiała się sama. Babka zmarła. W czasie odwiedzin Margret rozmawiała ze mną. Pytała, czy lubię się uczyć. Czy mam dobre oceny. Jaki przedmiot najbardziej mi się podoba. Czy dobrze jest spać z ojcem w jednym pokoju. I czy mogłabym narysować jego portret, bo ona nie ma żadnego zdjęcia.

Nie umiałam dobrze rysować, namalowałam człowieczka z grabiami i wiadrem. Margret spytała, co oznacza ta długa rzecz z jednej strony człowieczka. Wyjaśniłam jej. To było właśnie to.

Resztę czasu spędzała z matką. W każdym razie w ciągu dnia ojciec musiał przecież pracować. Matka była potem taka dziwna. Nie wiem, jak to opisać. Wydawało się, że się boi. Była całkiem rozkojarzona, bez końca wygłaszała mi

kazania o prawdziwych grzechach, jakby nie było już wystarczająco dużo innych.

Prawdziwe grzechy, mówiła matka, to żądze cielesne. Nie wiedziałam, o co chodzi. Miałam przecież dopiero dziewięć lat. Myślałam, że ma to coś wspólnego z pieczeniem cielęcą, którą musiała przygotować dla Margret. Ojciec tak postanowił. Gościa nie można było dwa dni z rzędu karmić grochówką. Ojciec wziął dwa kawałki pieczeni, ja tylko jeden, najmniejszy, choć Margret namawiała mnie: - Weź jeszcze kawałek, Cora. A może nie lubisz mięsa?

Oczywiście, że lubiałam. Ale pomyślałam, wezmę jeszcze kawałek, Margret wyjedzie, a ja usłyszę swoje. Tak też się stało.

A potem, tydzień po wyjeździe Margret, nadeszła paczka. To było w zimie, w czasie szkolnych ferii. Pamiętam dokładnie. Paczka nadeszła rano pocztą, a ponieważ widniało na niej nazwisko ojca, matka nie odważyła się otworzyć. Położyła paczkę na kuchennej szafce. Wieczorem ojciec wspomniał gestem przeciął sznurek.

Odwiedziny Margret zmieniły go. Odkąd wyjechała, mówił zdecydowanym tonem o zmianach, które zajdą teraz w domu, o siedmiu chudych latach, po których musi nastąpić siedem tłustych. A jeśli chudych lat było osiem, tłustych także musiało być tyle. Poza tym zestarzał się już na tyle, by ostatecznie zrezygnować z pewnych rzeczy.

Kiedyś powiedział do matki: - Kto nie chce słuchać, musi płacić. Inaczej zrobią mi się jeszcze odciski na rękach. - Grit Adigar mówiła zawsze do swoich córek: - Kto nie chce słuchać, musi poczuć - bijąc Kerstin lub Melanie po palcach. Dziwne stwierdzenie ojca zaniepokoiło mnie. Ludzie w sąsiedztwie mówili, że matka jest wariatką. Mówili to tak głośno, żebym słyszała. Bałam się, że ojciec też zwariuje.

Zrobił wokół paczki wielkie zamieszanie, zachowywał się tak, jakby w środku znajdowało się nowe serce dla

Magdaleny. Było tam trochę słodczy, z których część od razu rozdzielił, choć matka stała z boku z kamienną twarzą. Magdalena dostała rulonik czekoladowych cukierków. - Mnóstwo kolorowych Smarties. - Znałam je ze szkolnego boiska. Ja też dostałam paczkę i chciałam ją oddać matce. Jednak ojciec przytrzymał mi rękę.

- To twoje - powiedział. - Zjesz je. Resztę zostawimy na Boże Narodzenie. Nie będziemy wtedy zmuszać matki do kupowania małych słodkich pokus.

Oprócz słodczy Margret zapakowała także inne rzeczy, wszystkie zawinięte w kolorowy papier ze wstążkami, do których przyczepione były małe karteczki z naszymi imionami. Na wierzchu leżała koperta.

To był pierwszy list od Margret, który ojciec mi przeczytał. Nie tylko mnie, Magdalena i matka także były w kuchni. Matka przyniosła z salonu oba fotele i zestawiła je razem, żeby Magdalena mogła się położyć. Tego dnia nie czuła się zbyt dobrze.

Margret życzyła nam wszystkim wesołych świąt, szczęśliwego i przede wszystkim zdrowego Nowego Roku. Żałowała, że jej odwiedziny nie odniosły zamierzonego skutku. Miała nadzieję, iż matka przypomni sobie o swych obowiązkach i pomyśli o tym, że Zbawiciel nigdy nie wymagał od swoich sług podobnej wstrzemięźliwości. Tak twierdzili później inni. Jednak im chodziło tylko o to, by nie musieć rozdzielać nagromadzonego dobra między spadkobierców. Matka powinna mieć także wzgląd na fakt, że ojciec nie śpi w pokoju sam. Nikomu by nie pomogło, gdyby doszło do nieszczęścia. Rozumie bardzo dobrze, że matka obawia się kolejnej ciąży. Ale w dzisiejszych czasach nie jest ona nieuchronna, są na to odpowiednie środki. Margret była pewna, że Zbawiciel pozwala na nie, ponieważ nikt lepiej od niego nie zna natury ludzkiej. A ofiarowanie kolejnego jagnięcia byłoby marnotrawstwem, którego nigdy by nie pochwalili.

Ojciec przeczytał to wszystko na głos, po czym zajął się prezentami. Dla Magdaleny lalka. Była z materiału, miała wesołą twarz wyszytą kolorowymi niciami. Wielkie niebieskie oczy i czerwone wargi, uśmiechnięta buzia z białymi zębami. Włosy z żółtej włóczki zaplecione w grube warkocze. Margret z całego serca życzyła Magdalenie takiej twarzy, jak miała lalka, wesołej i zdrowej. Magdalena mogła od razu rozpakować prezent. Pomogłam

W tym czasie ojciec rzucił matce malutką paczuszkę i powiedział: - Najlepiej pójdz od razu do salonu. Pokaż mu to i spytaj, czy ma coś przeciwno. - Matka nie ruszyła się z miejsca. Paczuszka odbiła się od jej fartucha i spadła na podłogę. Na koniec ojciec podał mi mój prezent. To była książka: *Alicja w krainie czarów*.

Przeczytałam tylko tytuł. Tego wieczora było już zbyt późno na lekturę, a następnego dnia matka zażądała, bym spaliła książkę w blaszanym kubie przed ołtarzem. Nie wydała mi rozkazu. Wygłosiła za to kazanie na temat listu Margret i brudnych myśli w nim zawartych. Stwierdziła, że muszę jej natychmiast powiedzieć, gdyby ojciec niewłaściwie się zachował.

Pomyślałam, że teraz zupełnie zwariowała. Przecież znałam ojca już długo. Był moim prawdziwym ojcem - dobrze to wiedziałam. Byłam do niego podobna i dawno przestałam wierzyć, że należę do rodziny Adigar. Przytakiwałam jednak każdemu jej słowu.

Skinęłam także, gdy spytała, czy tak jak ona uważam, że aby prowadzić dobre życie w zupełności wystarcza znajomość najważniejszej ze wszystkich ksiąg? Znałam ją już na pamięć. Matka opowiadała mi o wszystkich grzechach ludzkości, dopóki nie zaczęły mi wychodzić uszami. A odkąd sama umiałam czytać, musiałam... Ach, co to mogło dać!

Posłała mnie po kubek, wcisnęła zapalki w rękę, a potem patrzyłyśmy, jak kraina czarów zmienia się w kupkę popiołu.

Gdy późnym popołudniem ojciec wrócił do domu i dowiedział się o wszystkim, wpadł w taką wściekłość, jakiej jeszcze u niego nie widziałam. Z rzeczy, które wtedy powiedział, rozumiałam ledwie połowę. Że nigdy nie przypuszczał, aby dziwka okupanta mogła pewnego dnia zmienić się w chodzący modlitewnik. Kiedyś jej się to przecież podobało. I że dała sobie włożyć nie tylko to, co przewidziała natura, ale także druty. Matka stała obok ze skamieniałą twarzą. W jakiś sposób było mi jej żal.

Potem długo siedzieliśmy przy stole w kuchni, ojciec i ja, podczas gdy matka zmywała naczynia. Ojciec opowiadał mi o Alicji w krainie czarów. Tak naprawdę wcale nie znał tej historii. Wymyślił dla mnie zupełnie inną, o dziewczynce, której matka zwariowała i chciała całą rodzinę przywieść do szaleństwa. Że dziewczynce nie podobało się w domu, ale nie mogła uciec, bo była za mała i nie miała pieniędzy. Stworzyła więc własny świat. Wymyśliła ludzi, z którymi rozmawiała, chociaż nie istnieli.

- To znaczy, że była taką samą wariatką jak jej matka - powiedziałam.

Ojciec uśmiechnął się. - Pewnie tak. Ale jak można nie zwariować przy takiej matce? Skoro nigdy nie słyszy się ani nie widzi nic innego.

Magdalena także była w kuchni. Tak jak poprzedniego wieczora leżała na fotelach. Miała za sobą ciężki dzień; dwie lewatywy, które nie dały nic oprócz skurczów brzucha. Słuchała uważnie, spoglądając to na matkę, to na ojca. Ona znała historię o Alicji w krainie czarów.

Siostra, która w klinice dbała, by Magdalena bawiła się czasem z innymi małymi pacjentami, zabrała ją raz do pokoju, w którym jakaś matka czytała swojemu dziecku książkę. Potem Magdalena opowiedziała mi o tym. Ale nie zdradziła, o czym naprawdę jest *Alicja w krainie czarów*. Zresztą nie spytałam, wcale nie chciałam wiedzieć.

Ojciec uśmiechnął się do niej i spytał: - Jak się dziś miewa nasz wróblek?

Magdalena nie odpowiedziała. Często rozmawiała ze mną i rzadko z matką. Z nim nigdy. Matka robiła to za nią.

- Niedobrze. Jak miałaby się zresztą miewać w domu, w którym nikt nie przestrzega przykazań Pana?

- Ty ich przecież gorliwie przestrzegasz - odparł ojciec. Nadal był bardzo zdenerwowany. - Ale to przykazanie musisz mi najpierw pokazać. Nie pamiętam, bym kiedyś czytał, że Pan zażądał od dziecka spalenia książki. O ile wiem, robili tak inni. Oni także nazywali się panami. Obawiam się, że za dużo się od nich nauczyłaś. Czasami mieszają ci się metody.

Matka tylko na niego spojrzała. Opuścił głowę i wpatrywał się w stół. - Ale wracając do twego obecnego Pana - dodał po chwili. - Czyż nie powiedział: Jeśli nie będziecie jako dzieci? Sądzę, że tak powiedział. A skoro punkt po punkcie trzymasz się jego słów, to nie wyszukuj tylko tych, które ci pasują. Dzieci lubią czasami zrobić coś innego niż tylko się żegnać. Skoro jedno musimy oddać, a wiesz równie dobrze jak ja, że kiedyś będziemy musieli, to chcę, żeby drugie było tak zdrowe i wesołe, jak tylko się da. Powiniennem posłuchać lekarzy, wtedy już dawno mielibyśmy to za sobą. Mogłabyś odprawiać swoje głupoty na cmentarzu.

Myślałam, że stanie mi serce. Dokładnie wiedziałam, co miał na myśli. Magdalena też. Nie była głupia. Dzięki częstym pobytom w klinice wiedziała bardzo dużo o swojej chorobie i innych rzeczach. Wiedziała więcej niż ja. Nie umiała czytać, liczyć ani pisać. Ale znała słowa takie jak elektrokardiogram, przegroda, niewydolność, aneurizm aorty, patologia i krematorium. Wiedziała też, co znaczą.

Spojrzała na ojca, przycisnęła do siebie lalkę, bawiąc się grubymi warkoczami. Wyglądało, jakby chciała mu coś powiedzieć. Poruszyła ustami kilka razy. Nie wydała jednak

żadnego dźwięku. Wreszcie zrozumiałam, że układa je w słowo. Dupek!

Nie wiem, czy ojciec je odczytał. Odetchnął głęboko, a potem dodał nieco ciszej: - Ale skoro raz się na to zdecydowaliśmy, powinniśmy postarać się uczynić wszystko jak najbardziej znośnym. Trochę radości, nie tylko cnotliwe nauki. Nic z tego nie ma. Jestem pewien, że Magdalenie także podobałaby się Alicja w krainie czarów. A Cora na pewno by jej coś przeczytała.

Matka odparła: - Musi teraz wypoczywać. To był dla niej męczący dzień. - Podniosła Magdalenę z foteli, wzięła na ręce i zaniósła do drzwi. Ojciec spoglądał za nimi kręcąc głową. Potem znowu wpatrywał się w stół. - To był mój grzech - powiedział cicho. - Nie potrafiłem się powstrzymać i zaczekać. Lepiej by było, gdybym język trzymał za zębami.

Uniósł głowę i spojrzał na mnie. - Najlepiej chodźmy już spać, co ty na to? Już czas na ciebie, a ja także jestem zmęczony.

Poszliśmy na górę. Matka była z Magdaleną w łazience, umyła ją i wyczyściła jej zęby. Ojciec poszedł do sypialni i wyjął z szafy rzeczy, które następnego dnia chciał włożyć do pracy. Ja poszłam do naszego pokoju i ubrałam się w koszulę nocną. Gdy matka z Magdaleną wyszły z łazienki, także poszłam umyć zęby.

Matka położyła Magdalenę do łóżka i ponownie zeszła na dół, by się pomodlić. Ojciec stanął obok umywalki i patrzył bardzo przygnębiony, jak myję twarz i czeszę włosy.

Nie dawałam sobie rady z grzebieniem. Czasami, gdy musiałam długo klęczeć przed ołtarzem, kręciłam sobie włosy. Ojciec pomógł mi je rozplatać. Potem przytulił moją głowę do piersi i mocno przytrzymał. - Tak mi przykro - wymamrotał. - Tak strasznie mi przykro.

- Nie martw się z powodu książki - powiedziałam. - Wcale nie lubię czytać. Wolę, jak mi opowiadasz o odległych czasach. Już dawno nie opowiadałeś mi o kolei i starej szkole i o tym, jak zbudowano kościół.

- Za dużo ci o tym mówiłem - odparł. - Byle tylko nie wspominać o dzisiaj i o wczoraj.

Przyciskał moją głowę do piersi i gładził ręką po plecach. Potem nagle mnie odtrącił, odwrócił się do umywalki i powiedział: - Powinna już przyjść wiosna. Człowiek ma wtedy pracę w ogrodzie i brak mu czasu na głupie myśli.

Było bez sensu myśleć, że Margret ją zdradziła. Na Margret można było liczyć, sama przecież miała sporo do stracenia. Fakt ten nie zmniejszał jednak strachu, poczucia zagubienia i niepewności.

Gdy Margret wraz z szefem opuściła pokój, przyszedł mężczyzna w dresie. Na kilka minut została z nim sama. Pragnęła, by z nią porozmawiał. Tylko dwa zdania, które przegoniłyby z głowy uczucie martwoty.

Odkąd po utracie przytomności przyszła do siebie, było tam tak ciasno i ciemno jak w grobie. Albo w piwnicy, w której ktoś zgasił światło. Wiedziała, że zobaczyła i poczuła coś strasznego. Ale cokolwiek przedarło się przez mur w jej głowie, z powrotem się wycofało. Pozostało tylko uczucie. I głos ojca rozbrzmiewający w ciemności.

Zobaczyła, jak siedzi na jej łóżku. Przychodził do niej co wieczór podczas tych kilku tygodni, które po swym powrocie w listopadzie spędziła w domu. Słyszała jego błaganie, jego stary, łamiący się głos. - Porozmawiaj ze mną, Cora. Nie rób tak jak ona. Musisz ze mną porozmawiać. Powiedz, co się stało. Cokolwiek zrobiłaś, nie osądzę cię i nigdy nie powiem o tym ani słowa, obiecuję ci. Nie mam prawa cię osądzać. Matka też nie. Każdy z nas ma coś na sumieniu. Powiem ci teraz, co ja zrobiłem i co



zrobiła matka. Potem kolej na ciebie. Musisz mi powiedzieć, Cora. Jeśli się o tym nie mówi, to zżera człowieka od środka. Co się stało, Cora? Co zrobiłaś?

Tylko dwa lub trzy zdania ze strony mężczyzny w dresie, aby zagłuszyć głos ojca. Ale on jedynie patrzył na nią, w jego wzroku odbijało się współczucie i niepewność. Może czekał, aż ona coś powie. Milczała jednak, więc zajął się magnetofonem. Wyjął kasetę i położył ją obok innych, które zbierały się w trakcie wieczoru.

Kasety! - Przewinę trochę - powiedziała kobieta nad jeziorem. I: - Nie słyszeliście do tej pory nic lepszego.

Zdanie to przeszło jej umysł jak uderzenie prądem i natrafiło gdzieś na echo. - Nie słyszałam do tej pory nic lepszego - powiedziała Magdalena.

Magdalena leżała na łóżku trzymając w ręku małego walkmana, od którego cienki kabel prowadził do słuchawki w jej uchu. Zaśmiała się cicho, poruszając głową, tylko głową, niczym innym nie mogła poruszać. Zanuciła fragment melodii. *Bohemian Rhapsody - Is this the real life?* - Powiedziała: - Uwielbiam ten kawałek. Ten Freddy Mercury to dopiero ma głos, niesamowity. Chciałabym posłuchać go kiedyś naprawdę głośno. Jak na dyskotecę. Ale potrzebny byłby wielki zestaw stereo. Jakby stara go zobaczyła, wyłączyłaby nam jeszcze prąd. Znalazłaś główny wyłącznik?

Szef wrócił i spytał: - Jak się pani czuje, pani Bender?

Ciągle była jeszcze z Magdalena, odparła więc: - Niestety nie. Przyniosę od Grit wiadro. Do mycia wystarczy. - Dopiero wtedy uświadomiła sobie, o co pytał szef, i odpowiedziała szybko: - Dziękuję, świetnie.

Była przekonana, że dalej będzie zadawać pytania. Przypomniała sobie, że ostatnio chciał wiedzieć, skąd znała imiona Frankie, Kozioł i Tiger. Z Frankiem było prosto. Nad jeziorem. To chciała mu powiedzieć.

Skutkowała tylko prawda. Kłamstwa wszystko pogarszały. Matka bez końca tak powtarzała. Matka zawsze miała rację, teraz zostało to ostatecznie dowiedzione. Kto rozniewał Pana, ten zostawał przez Niego ukarany. Jednemu mieszał język, drugiemu rozum.

Prawda! Czysta prawda! Tylko prawda! Nie znałam tego mężczyzny. Naprawdę go nie znałam, ani jego imienia, ani twarzy! Nie wiem, dlaczego musiałam go zabić. Wiem tylko, że musiałam to zrobić!

Jednak szef nie próbował o nic pytać, wymienił spojrzenie z mężczyzną w dresie i szczególnym tonem powiedział coś o spokoju, którego wszyscy koniecznie teraz potrzebowali. Gdy to usłyszała, poczuła, że ze zmęczenia ma ciało jak z ołowiu. Jednocześnie przestraszyła się, że zostanie sama z tłoczącymi się strzępkami wspomnień, które świdrowały jej duszę. W środku wszystko zastygło i stwardniało. Ledwie wstała z krzesła i nie miała już siły protestować.

Szef postarał się, aby ją odprowadzono. Przyjazny Berrenrath i jego młodszy kolega zajęli się tym. Potem leżała na wąskim łóżku, niemal tak martwa jak Georg Frankenberg, i nie była w stanie zasnąć.

Zastanawiała się, czy Margret zadzwoniła już do ojca. Tak późno w nocy raczej nie! W domu rodziców nie było telefonu. Jeśli ktoś chciał im przekazać pilną wiadomość, musiał dzwonić do sąsiadów i prosić, by zawołali ojca do telefonu. Wyrwać Grit Adigar z łóżka w środku nocy... Grit!

Była taka obolała. Nigdy wcześniej nie odczuwała czegoś takiego. A teraz się to w niej zaległo. Tęsknota za przeszłością! Jeszcze raz siedzieć na łóżku Magdaleny i opowiadać jej o świecie. O dyskotecę, dzikiej muzyce, ostrym świetle i młodych mężczyznach. I odpowiadać na pytania. - Jak to jest z tym koksem? To niby ekstra uczucie. Wszystko przeżywa się dużo intensywniej, zwłaszcza seks. Próboweś już kiedyś? Jak było? Opowiedz.

Jeszcze raz klęczeć przed ołtarzem. Jeszcze raz złożyć dłonie. Jeszcze raz błagać Zbawiciela o siłę, by zachować wstrzeźliwość i o następny dzień dla Magdaleny. A potem biec do Grit, która regularnie pytała: - No, Cora, wszystkie obowiązki na dziś wypełnione?

Wszystkie obowiązki wypełnione! Nie tylko na dziś - na wszystkie czasy.

Zabity mężczyzna - Georg Frankenberg! Wysłuchana piosenka - *Song of Tiger!* Opowiedziana bajka - *Alicja w krainie czarów!* Wersja ojca - i stworzyła własny świat. Wymyśliła ludzi, którzy nie istnieli - Kozła i Tigera.

Najgorzej było czuć, jak rozum zawodzi, jak staje się miękki, coraz bardziej zatracą swą istotę. Na końcu można go będzie połamać w dwóch palcach. Około piątej rano wreszcie zasnęła.

O tej porze Rudolf Grovian leżał na kanapie w salonie. Ramiona skrzyżował pod głową. Wpatrywał się w ciemny sufit i słyszał jej błaganie: - Niech pan zapali światło.

Wrócił do domu o trzeciej, wzburzony, wyczerpany i nieco zdeprymowany świadomością, że rozpoczął coś, czego zakończenie musi pozostawić innym. - Niech pan mi pomoże! - Nie mógł jej pomóc. Jedyne, co mógł dla niej zrobić, to udowodnić, że Johnny Guitar i Georg Frankenberg to ta sama osoba.

Werner Hoss o tym wątpił, a argumentów Hossa nie dało się tak łatwo odrzucić. Zanim poszli do domu, trzy razy wysłuchali obu najważniejszych taśm. Pierwszej i ostatniej. Hoss głosował za pierwszą. - To była ta piosenka. - Sądził, że taka jest odpowiedź. Owa odpowiedź nie przekreślała bełkotu na taśmie ostatniej. To były po prostu dwie różne sprawy. Nikt nie mógł przecież wiedzieć, co dzieje się w głowie, którą przez dziewiętnaście lat męczono Biblią, a przed pięcioma laty rozbito kryształową łapą.

Rudolf Grovian położył się do łóżka i tak długo przewracał się z boku na bok, aż Mechthild zażądała: - Rudi, bądź tak dobry i połóż się na kanapie. Wtedy przynajmniej ja się wyśpię.

Już dawno przestał rozmawiać z nią o swojej pracy. Mechthild miała własne zdanie na temat prawa, przepisów i sprawiedliwości. Dwa popołudnia w tygodniu spędzała w magazynie ubrań Caritasu, rozdzielając ofiarowane płaszcze i spodnie między nieudaczników i innych potrzebujących. Oczywiście nieodpłatnie! A gdy wcześniej czasami opowiadał jej o tym, że jeden z tych nieudaczników z bronią w ręku wkroczył do oddziału kasy oszczędnościowej, Mechthild zawsze mówiła: - Ach, co za biedak.

- Marita wróciła do domu? - zapytał, by powiedzieć cokolwiek, mając nadzieję, że spyta, czemu się to tak przedłużyło i co się stało. W jakiś sposób potrzebował usłyszeć z jej ust: - Ach, co za biedactwo.

- Tak sędzę - odparła.

- Co ci powiedziała? Rozmawiała przecież z tobą. Słyszałem coś o adwokacie.

- Rudi - padła wymuszona odpowiedź. - Porozmawiajmy o tym spokojnie jutro. Popatrz na zegarek.

- Jutro nie mam czasu. Chcę wiedzieć teraz.

- Chce się rozwieść - westchnęła Mechthild.

- Co? - Nie warto było nawet zrywać się z posłania. Już wcześniej się tego obawiał. - Z nudów przewraca się jej w głowie - powiedział.

- Rudi - westchnęła ponownie Mechthild. - Ona nie robi tego dla przyjemności, możesz mi wierzyć.

- Wystarczy mi, że ty w to wierzysz - odparł. - Choć ty uwierzysz jej w każdą głupotę.

- Ale ona ma rację - wyjaśniła Mechthild nie w pełni zdecydowanym tonem. - Peter za dużo pracuje. Ciągłe jest sama. To żadne życie dla młodej kobiety.

- Jak to? Moim zdaniem to świetne życie. On za dużo pracuje, a ona od razu wyrzuca zarobione przez niego pieniądze przez okno. To lepiej, niż gdyby musiała ze złożonymi rękoma klęczeć przed krzyżem.

- No, to dopiero porównanie - odparła Mechthild. - Skąd ci przyszło do głowy?

- Tak po prostu. Powiedz mi, czy my w ogóle mamy w domu Biblię?

- No nie, dość tego, Rudi! Już prawie wpół do czwartej. - Mechthild przewróciła się na bok.

- Mamy czy nie? - zapytał.

- Na dole w szafce - powiedziała.

Zszedł na dół, przeszukał pół szafki, aż znalazł zużyty i bardzo cienki egzemplarz. Musiał jeszcze pochodzić ze szkolnych czasów córki. Leżał między jej starymi podręcznikami, brzegi miał pomazane. Położył się na kanapie i przeczytał fragment o wypędzeniu z raju. Chodziło o jabłko, tyle jeszcze pamiętał. Zaczął nawet podejrzewać, że Cora Bender wzięła nad jezioro jabłko tylko dlatego, że chciała tam pływać aż do dnia Sądu

Wygnanie z raju, z zakładu rodzinnego teścia i małżeństwa z mężczyzną, który pobił ją do krwi i nic go nie obchodziło, jak potraktowano jego żonę na policji. Ani słowem Gereon Bender nie zapytał o jej samopoczucie, nie chciał też wiedzieć, co się z nią stanie, gdy złoży zeznanie.

Na wspomnienie o jej synku stracił ochotę, by zajmować się pokutującą Magdaleną. Mimo to przeczytał kilka linijek i poczuł się jeszcze bardziej zbity z tropu. Magdalena była jawnogrzesznicą. Wraz z heroiną i pokłutymi ramionami dawało to połączenie, które wcale mu się nie podobało.

O wpół do szóstej wygrzebał z kuchennych szafek produkty potrzebne do przygotowania solidnego śniadania, a na stole zostawił dla Mechthild kartkę, że postara się wrócić na obiad. Był przekonany, że odprowadzenie Cory

Bender do sędziego nie może trwać dłużej. A dokładnie tak zamierzał zrobić. Dokładnie tak powinien zrobić już poprzedniego wieczora, gdy zaobserwował u niej pierwsze objawy obłądu. To niewybaczalne, że sprzeciwił się swojemu wewnętrznemu głosowi.

O szóstej ponownie był w biurze. Po chwili pojawił się Werner Hoss. Zebrali dokumenty dla prokuratury, jeszcze raz przesłuchali taśmy, zwłaszcza ostatnią, krótko ją przedyskutowali i nie doszli do porozumienia.

- Czy zabezpieczono taśmę z magnetofonu Frankenberga? - spytał.

Hoss skrzywił się. - Chce pan przeprowadzić eksperyment?

- Nie - odparł i także się skrzywił. - Będę się trzymał od tego z daleka. Ale jeśli rzeczywiście chodzi o własną kompozycję... - Reszty nie wymówił.

Hoss zatroszczył się o to i zdobył kasetę od fachowców zabezpieczających ślady. Słuchali przez chwilę. Tylko muzyka. Rock, dość bezładny i dziki. W uszach Rudolfa Groviana brzmiał chaotycznie i cały czas tak samo. Ale jeśli miało to coś wspólnego z muzyką, mogło chodzić tylko o ostatnie nagranie na taśmie. Od Winfrieda Meilhofera wiedzieli, że magnetofon wyłączył się kilka sekund po zdarzeniu.

- Powinniśmy zaryzykować eksperyment – stwierdził Hoss. - Damy jej posłuchać kilku fragmentów. Zobaczymy, czy od razu wskaże właściwy. Ja bym nie potrafił w takim jazgocie.

Rudolf Grovian zdecydowanie pokręcił głową. - Ale jak się okaże, że jej to puściliśmy, możemy zapomnieć o sprawie.

Tuż po dziewiątej nadeszła kopia wyników obdukcji. Łącznie siedem ran. Ich umiejscowienie zgadzało się z zeznaniami Cory Bender. Jedna na karku, jedna przebiła tęt-

nicę szyjną, jedna trafiła w krtań. Pozostałe były bardziej lub mniej nieszkodliwe. Przyczyna śmierci: aspiracja. Georg Frankenberg udusił się własną krwią, zanim zdążył się wykrwawić.

Niedługo potem zjawił się prokurator. Omówili wszystko jeszcze raz od A do Z.

- Ma pan przyznanie się do winy?

- Mamy zeznanie - odparł Rudolf Grovian. Wyjaśnił, co o tym wszystkim sądzi, wspomniał także o omdleniu. Nie dało się tego zatuszować. Nie chciał też nic upiększać. Opisał jej wahania między jasnością umysłu i obłądkiem, a zakończył słowami Margret Rosch o koszmarach.

- Chciałbym, żeby pan tego posłuchał. - Na jego znak Werner Hoss włączył magnetofon. Głos Cory Bender sprawił, że prokurator zmarszczył czoło. Nie wspomniał o omdleniu. Po jego minie wyraźnie było widać, co o tym sądzi. Coś takiego po prostu nie miało prawa się zdarzyć. Przez chwilę słuchał bełkotu z taśmy, wymruczał: - Dobry Boże - i zrobił odpowiedni gest na czole. - Czy ona...

Werner Hoss znacząco uniósł ramiona. Rudolf Grovian z naciskiem pokręcił głową. A prokurator zapytał, czy czasem ich nie nabrała.

- Nie! - odparł Rudolf Grovian. Nie mógł sobie darować małego przytyku. - Gdyby pan był przy tym, nie pytałby pan. Tych taśm powinni posłuchać ludzie, którzy potrafią je objaśnić. A gdy mówię posłuchać, właśnie to mam na myśli. Pisemny raport nic nie da. Ciągnie za sobą niezły bagaż. Rzucił kilka słów o dzieciństwie. Fanatyzm religijny i rzecz, o której myślała, że musi odpaść.

- I jeszcze jedno - mówił. - Jutro się tym zajmiemy. Przyznaję, że niewiele mamy w ręku. Tylko kilka zdań. Ale powinniśmy przynajmniej spytać. Może w tamtym okresie zaginęła w Buchholz młoda dziewczyna. Może nawet znaleźli zwłoki z połamanymi żebrami.

Prokurator wzruszył ramionami, przekartkował zeznania świadków i zerknął na wyniki obdukcji. Potem uniósł głowę i stwierdził: - Niech pan nie zapomina, że jedne zwłoki już mamy. Bez połamanych żeber, ale jak dla mnie zdecydowanie wystarczające. Rzadko się zdarza, by ktoś tak dokładnie pamiętał, gdzie zadał a w tym przypadku gdzie zadała ciosy.

- Cóż znaczy dokładnie - odparł Rudolf Grovian. - Wymieniła miejsca, w których rany mogą być śmiertelne. Jej ciotka jest pielęgniarką. Mieszkała z nią przez półtora roku. Mogła sobie przyswoić trochę wiedzy medycznej.

Prokurator przez kilka sekund patrzył na niego z nieruchomą miną. - Byłby to dziwny temat jak na rozmowy z ciotką - stwierdził. - A ona nie tylko wymieniła te miejsca, panie Grovian. Także w nie trafiła.

Wiedział o tym, nawet jeśli nie widział tego na własne oczy. Wiedział też, że podobnie dokładne zeznania są bardzo rzadkie, by nie powiedzieć niespotykane. W przypadku morderstwa w afekcie nikt nie potrafił sobie przypomnieć jego dokładnego przebiegu. Tutaj chodziło o afekt. Nie mogło to być nic innego. A on chciał, by prokurator podzielał jego zdanie. - Chce pan z nią porozmawiać? - zapytał. - Każę ją przyprowadzić.

Prokurator potrząsnął głową. - Niech śpi. To musiała być dla niej ciężka noc. Moja też nie była przyjemna. Nie mam teraz ochoty na dalszy ciąg.

Dupek, pomyślał Rudolf Grovian.

Gdy Berrenrath ją obudził, dochodziło południe. Nie wiedziała, że on sam mógłby już od dawna leżeć w domu we własnym łóżku. A gdyby jej o tym powiedział, niezbyt by się przejęła. W nocy jego przyjazne nastawienie miało pewną wartość. Teraz Berrenrath był tylko częścią łańcucha, którym została obita i przykuta do przeszłości.



W ustach miała mdły posmak, ale znowu myślała trzeźwo i chłodno, jakby jej umysł zamarzył we śnie. Strach zmienił się w bryłę lodu - a wraz z nim wszystkie pozostałe uczucia.

Poprosiła o szklankę wody. Dostała wodę mineralną. Smaczną, piła małymi łykami. Wkrótce potem Berrenrath zaprowadził ją z powrotem do biura szefa.

Tam zaproponowano jej śniadanie. Szef już był, ten drugi również, tym razem ubrany w jasne spodnie i koszulę w delikatny wzór. Obaj mężczyźni sprawiali wrażenie przemęczonych. Niepokoili się też, czy czuła się naprawdę dobrze.

Na tacy, którą jej podano, stał talerz kanapek z wędliną i serem. Nie była głodna. Szef poprosił, by zjadła choć trochę. Zrobiła mu tę przysługę, ugryzła kawałek kanapki z salami i popiła dużą ilością kawy.

Potem spytała, jak się nazywa. - Przykro mi. Wczoraj miałam tyle na głowie. Nie zapamiętałam pańskiego nazwiska.

Szef wymienił je, ale w jego przypadku nazwisko nie miało znaczenia. Zepchnął ją na skraj szaleństwa, pokazując jej wyraźnie, jaką władzę ma nad nią i jej umysłem. Po nim nie mógł zjawić się nikt inny, kto byłby wystarczająco silny, by jej to uczynić.

Wyjaśnił, że pojedą teraz do sądu rejonowego w Brühl, by przedstawić ją sędziemu.

- Będzie pan musiał z tym poczekać - odparła, spojrzała na Wenera Hossa i wyjaśniła z nieporuszoną miną: - Już w nocy wątpił pan w moją historię. I słusznie!

Obaj byli bardzo skoncentrowani, nie spuszczaali z niej oczu, podczas gdy spokojnym i opanowanym tonem odwoływała wszystkie kłamstwa o Johnnym Guitarze. Zakończyła małym nowym kłamstwem - w październiku przed pięcioma laty nieostrożnie przechodziła przez ulicę i wpadła pod samochód.

Zobaczyła, jak Werner Hoss potakuje, jego twarz wyrażała satysfakcję. Szef rzucił mu wściekłe spojrzenie i potrząsnął głową. Potem zaczął mówić o Margret, ostrożnie, uważnie, jakby skradając się na paluszkach. Margret opowiedziała mu o strasliwym maltretowaniu. Ona sama także dała kilka wskazówek, twierdził.

To był ciężki cios, dowiedzieć się, że Margret ją okłamała i jednak mówiła. Wyciągnęła trochę brudów na temat ojca, koniec historii! Okropne traktowanie! I poradziła jej powiedzieć prawdę. Od sierpnia! Od sierpnia prawda nie była dla Margret bezpieczna. Pomyśl teraz o sobie! Margret myślała o sobie.

- Co znaczą te głupstwa? - odparła. - Nie dawałam żadnych wskazówek. A może twierdziłam, że byłam maltretowana?

Szef uśmiechnął się. - Nie bezpośrednio. - Poprosił ją, by wysłuchała fragmentu nagrania, oczywiście jeśli tylko czuje się na siłach.

- Proszę bardzo - odparła. - Jestem gotowa.

Włączył magnetofon. Usłyszała swoją jękaninę. - Tak długo ją bił, aż umarła. Słyszałam, jak pękają jej zębra.

- Mój Boże - powiedziała - to brzmi okropnie. Jakbym zupełnie zwariowała. Ale pan mi nieźle dołożył. Nie może pan zaprzeczyć. Ten konował, którego mi pan sprowadził na kark, stwierdził, że znajduję się w dużym napięciu emocjonalnym. Dlatego się załamalam. Proszę go spytać, jeśli mi pan nie wierzy. Albo pana Berrenratha, on także to słyszał. Ale proszę się nie martwić. Nie poskarzę się na pana. Wykonywał pan swoją pracę. Rozumiem to.

Rudolf Grovian skinął głową, rzucił Wernerowi Hossowi niejasne spojrzenie. Była to prośba o łagodne przesłuchanie lub skazanie na milczenie, co stanowiło właściwie to samo. Odetchnął głęboko, spróbował ocenić, w jakim była stanie. Sprawiała wrażenie jasno myślącej. A gdyby chciała, mog-

łaby mu zaoszczędzić mnóstwo pracy. Musiałaby tylko wymienić imię dziewczyny, którą mały grubas zabrał ze sobą.

Postępował nadzwyczaj ostrożnie, wyjaśnił jej, że rozumie, co skłoniło ją do odwołania zeznań: strach przed ponownym zderzeniem ze strasznymi przeżyciami.

Ironicznie wykrzywiła twarz. - Nic pan nie rozumie. Nie było żadnej dziewczyny z grubasem. To Johnny wyprowadzał dziewczyny. Grubas za każdym razem podążał za nimi jak pies, któremu wolno tylko powąchać kość.

- A więc Johnny istniał - stwierdził Rudolf Grovian.

- Oczywiście. Ale nie ze mną. Nie zauważyłby mnie, nawet gdybym na niego wpadła.

Rudolf Grovian przybrał nieco ojcowski, upominający ton. - Pani Bender, pani ciotka powiedziała...

Nie skończył. - Niech pan mi da spokój z tymi bzdurami! Margret o niczym nie ma pojęcia! A może przy tym była? Niech pan zapomni o tym gównie. Niech pan lepiej posłucha pierwszej taśmy. Tam są prawdziwe odpowiedzi. Wczoraj zobaczyłam Georga Frankenberga po raz pierwszy. I słyszałam, jak ten drugi mężczyzna o nim opowiadał. Dlatego mogłam wymyślić historię o muzyce i piwnicy.

- Nie - sprzeciwił się. - Już kilka lat temu mówiła pani o piwnicy, śniła pani o niej. Pani ciotka była przy tym. A wczorajszej nocy nie załamała się pani, bo za mocno naciskałem. Naciskałem, nie zaprzeczam temu. Ale nie był to powód załamania. Przypomniła sobie pani o piwnicy. Krzyczała, że tego nie wytrzyma. Że mam pani pomóc. Chcę pomóc, pani Bender. Ale musi mi pani wyjść na przeciw. Pani ciotka powiedziała...

Ściągnęła usta i zaczęła kiwać głową. Wykrzywiła przy tym twarz w uśmiechu, rany nadawały jej bezbronny wygląd. - Mogłabym opowiedzieć panu takie rzeczy o mojej ciotce, że pan by zdębiał. Pozwoliła sobie na pewną rzecz,

to się chyba nazywa kradzież. W najgorszym koszmarze nie przyśni się panu, co ukradła. Margret okłamała pana tak samo jak ja. Może mi pan wierzyć na słowo. Nie stać ją na to, by powiedzieć prawdę. Ale zostawmy to, nie chcę grzebać w czyichś brudach. Mieszkając z nią, miałam kilka złych snów, zgadza się. Nie miały one jednak nic wspólnego z Georgiem Frankenbergiem. Chodziło o zupełnie inne sprawy.

- Wiem - odparł - o kozły, świnię i tygrysy. O robaki i tym podobne. Nie trzeba mieć wielkiej wyobraźni, żeby to odczytać. Według mnie chodzi o gwałt.

Jak to się stało, że zaczął wkładać słowa w jej usta, tego nie potrafiłby wyjaśnić. Dostrzegł spojrzenie niczego nie rozumiejącego Wernera Hossa.

A ona roześmiała się. - Gwałt? Kto panu podsunął ten pomysł? Margret? - Skinęła głową, ponownie zaśmiała się krótko i nieprzyjemnie. - Któż by inny! Jakież denerwujące, że powiedziała o tym tylko panu. Powinna raczej omówić to ze mną, miałabym niezłą historię. Siedziałabym tu teraz jak baranek.

Margret często powtarzała, że poszłam własną drogą, mimo wszystko. Z jej punktu widzenia mogło to tak wyglądać. Ale to nie była moja droga, tylko próbny odcinek. Grzeszyć świadomie! I patrzeć, co się stanie. Igrać z życiem Magdaleny, jakby śmierć była tylko małą piłką, którą przerzuca się z ręki do ręki. Przez jakiś czas napęniało mnie to dreszczem. Potem stało się przyzwyczajeniem.

Zaczęło się od drobiazgów. Od snu z wilkiem, po którym zmoczyłam łóżko. Nieustannie pragnęłam, by pojawił się znowu. Ponieważ uwalniał mnie przynajmniej w nocy na parę chwil. I pojawiał się. Prawie przez rok, niemal każdej nocy. Albo po południu wymykałam się do Grit i żebrałam o cukierka lub kawałek ciasta, który połykałam w pośpiechu.

Za każdym razem, gdy wracałam potem do domu, przyglądałam się Magdalenie. Jej stan nigdy się nie zmieniał. Zatem małe grzechy nie mogły

Nie chciałam jej zabić, naprawdę nie. Była dla mnie wielkim obciążeniem. Przez nią prowadziłam życie, którego nie chciałam. Ale po owym popołudniu z chusteczką i mokrymi stopami Zbawiciela często pragnęłam móc zrobić dla niej coś więcej niż tylko z nią rozmawiać lub czytać jej biblijne opowieści.

Sądzę, że zaczęłam kochać moją siostrę. A gdy pałaszowałam u Grit słodycze... Pewnie chciałam tylko udowodnić sobie, że mogę grzeszyć, ile wlezie i nie ma to wpływu na stan Magdaleny. Jeśli któregoś dnia małe diabły miały mi za to wyrywać kawałki ciała rozpalonymi szczypcami, to był wyłącznie mój problem.

Pewnego dnia znalazłam na ulicy jedną markę. Miałam już jedenaście lat i chodziłam do gimnazjum. Nigdy wcześniej nie posiadałam własnych pieniędzy. Dziewczynki z klasy dostawały w niedzielę kieszonkowe od rodziców. W poniedziałek po szkole szły do małego sklepiku i kupowały sobie czekoladki, gumę albo lody na patyku. Mnie wyśmiewały, bo nigdy nie mogłam pójść do sklepu.

Rano idąc do szkoły zobaczyłam monetę. Wiedziałam, że mogę ją podnieść, ale powinnam oddać. Włożyłam markę do kieszeni. Na dużej przerwie opuściłam boisko. To było zabronione. Poszłam do sklepu i kupiłam sobie lody. Gdy nauczycielka spytała, gdzie byłam, odpowiedziałam, że musiałam zamówić świece dla matki. Wszystko to razem musiało być równie złe jak grzech śmiertelny.

Po południu ociągałam się z powrotem do domu. Okropnie się bałam. Rano Magdalena nie czuła się dobrze. A ja... Ach, sama nie wiem, choć byłam już duża, choć nie chciałam w to wierzyć i paru ludzi zapewniało mnie, że matka nie ma dobrze w głowie, to jednak w jakiś sposób nadal w to wierzyłam.

Coś takiego tkwi mocno. Nie ma na to żadnego dowodu - i żadnego zaprzeczenia. Niewiele da się zrobić. Można tylko próbować. Niektórzy sądzą, że jeśli przejdą pod drabiną, będą mieć pecha. Albo że spotka ich nieszczęście, jeśli czarny kot przebiegnie im drogę. I nigdy nie przechodzą pod drabiną. Gdy spotkają czarnego kota, zawracają. Ja jednak chciałam wiedzieć. Wróciłam do domu.

Już dawno przestałam dzwonić, tylko wchodziłam od tyłu przez kuchnię. Zanim dotarłam do drzwi, usłyszałam śpiew matki.

„Wielki Boże, chwalimy Cię. Panie, wysławiamy Twą moc. Kłania Ci się cała ziemia i podziwia Twoje dzieła. Jak było przed wiekami, teraz i zawsze i na wieki wieków. Wysławiają Cię wszystkie stworzenia, cherubiny, serafiny nucz Ci pochwalną pieśń. Wszystkie anioły wołają: święty, święty Boże”.

Skoro matka śpiewała tę pieśń, wszystko musiało być w porządku. Tak też było. Weszłam do kuchni, Magdalena siedziała na fotelu, nad nogami miała ustawiony mały stoliczek. Jadła rosół - całkiem sama - i mrugnęła okiem: mam uważać, co się teraz stanie. Czują się dużo lepiej niż rano.

- Więc tam w górze będzie mi bardzo nudno - powiedziała. - Cały dzień wołać tylko święty, święty, święty.

Czują się tak dobrze, że mogła trochę podenerwować matkę. Lubiała to robić, bo często sama się na nią złościła. Magdalena nie była łagodnym dzieckiem. Kiedy była całkiem mała, nie mogła wiele zrobić. Gdy podrosła, także nie, mogła tylko mówić. A matka za każdym razem była zdumiona lub zaszokowana, być może dlatego, że ze względu na stan Magdaleny nie mogła jej wyrzucić do salonu, gdy wyśmiewała Zbawiciela lub matczyne poglądy. Błuznierstwo, mówiła matka, a to także był wielki grzech.

- Lepiej przestań śpiewać - krzyknęła Magdalena. - Tracę od tego apetyt. Jeśli tam w górze nie będę mogła wołać

nic innego, to chcę przynajmniej posłuchać ciekawszych rzeczy, będąc tu na dole. Niech Cora opowie mi coś o szkole.

Opowieści o szkole, z czasem w to właśnie przekształciła się nasza zabawa w życzenia - zamiast telewizora. W szkole często coś się działo. Czasem ktoś się bił. Czasem któryś ze starszych chłopców został złapany z papierosem. Raz jakaś dziewczyna zamknęła się w toalecie i wzięła tabletki. Nawet przyjechało pogotowie. Magdalena uważała takie historie za ekscytujące.

To było jej życie, niewiele przecież wychodziła - tylko co trzy miesiące jechała z matką do kliniki. Nie mogła pójść na spacer do miasta. A w dziecięcym wózku wstydziła się jechać, na to była już za duża.

Ojciec zaproponował, by kupić wózek inwalidzki. Nie chciała. - Ten, co trzy razy dziennie szczypie się w ogon, że mnie zrobił, nie musi na mnie wyrzucać ani grosza - powiedziała mi.

Ojciec nie był taki zły, jak uważała. Często jej to powtarzałam. Poza tym zaproponowałam, że będę ją wozić w wózku. Ale matka się nie zgodziła. Magdalenie mogło się coś stać po drodze. Wtedy nie wiedziałabym, jak postąpić.

Chciałam móc coś dla niej zrobić, naprawę. Mając jedenaście lat pragnęłam tego niemal codziennie. Ale mogłam jej tylko opowiadać, co działo się w szkole. Gdy nie było nic wyjątkowego, coś wymyślałam. I tak nie zauważała różnicy.

Tamtego dnia mogłam jej opowiedzieć o marce. Nie zdradziłaby mnie. Jednak matka też była w kuchni. Sprzątała ze stołu i zmywała naczynia, wymyśliłam więc inną historię. Gdy skończyłam, Magdalena była już wyczerpana. Matka zabrała ją na górę. Kiedy jednak ojciec późnym popołudniem wrócił z pracy, z powrotem zeszła na dół.

Następnego dnia zrobiłam to znowu - nawet jeszcze gorzej. Zanim poszłam do szkoły, wyjęłam pieniądze z portmonetki matki - dwie marki. Na przerwie opuściłam boisko, ale spytałam przedtem nauczycielkę o pozwolenie. Czy mogę pójść dowiedzieć się, czy dostarczono już świece. Nauczycielka powiedziała: - Oczywiście, Cora, tylko biegiem.

Pobiegłam do sklepu, kupiłam sobie lody i tabliczkę czekolady. Lody zjadłam od razu. Czekoladę schowałam w kurtce. Po południu niosłam ją do szopki i położyłam w najdalszym kącie pod starymi workami na kartofle.

Podchodząc do kuchennych drzwi, czułam bicie serca. Jednak zanim nacisnęłam klamkę, usłyszałam, jak Magdalena rozmawia. Tak jak poprzedniego dnia siedziała na fotelu, a przed sobą trzymała talerz z ziemniaczaną papką i jajkiem na miękko. Czuła się dobrze. Gdy odpoczęła godzinę, a ja pomodliłam się i odrobiłam lekcje, chciała się koniecznie ze mną pobawić. Nie w Widzę coś, czego ty nie widzisz ani w życzenia, lecz w

Matka posłała mnie do Grit Adigar po Człowieku nie irytuj się. Zanim z grą pod pachą wróciłam do kuchni, szybko pobiegłam do szopki i odłamałam kawałek czekolady, który położyłam sobie na języku. Czułam, jak się powoli roztopia. Gdybym go gryzła, matka zwróciłaby na to uwagę.

Magdalena obserwowała mnie, gdy rozstawiałam pionki na planszy. Widziała, że mam coś w buzi, ale nic nie powiedziała. Dopiero później, gdy matka wyszła, spytała: - Co tam masz?

- Czekoladę.

Magdalena pomyślała, że dostałam ją od Grit. - Jak odniesiesz grę, weźmiesz też kawałek dla mnie? Tylko żeby został paperek. Musisz mi włożyć czekoladę pod poduszkę. Zjem ją, jak matka położy mnie do łóżka. Postaram się, żeby nic nie zauważyła.



Matka nie chciała, by Magdalena jadła słodycze, choć nie powoływała się na Zbawiciela jak w moim przypadku, lecz na dentystę. Magdalena miała duży problem z zębami. Były zbyt słabe. Kiedyś w klinice musieli jej wyrwać ząb trzonowy, w którym zrobiła się dziura. Dali jej zastrzyk. Magdalena ledwo go zniosła. Lekarze powiedzieli matce, że coś podobnego nie może się powtórzyć. Dlatego matka tak bardzo przejmowała się myciem zębów.

Wiedziałam o tym. Wiedziałam też, że po umyciu zębów nie można jeść nic słodkiego, bo robią się dziury. Mówiąc dokładnie, wiedziałam, że jej zaszkodzę - naprawdę zaszkodzę, jeśli położę jej pod poduszką kawałek czekolady. Mimo to skinęłam głową.

Magdalena chwyciła kostkę i powiedziała: - To zaczynajmy! I nie przejmuj się mną, Cora. Umiem przegrywać.

Nie przejmuj się mną, Cora! Ciągłe słyszę to zdanie. Stało się moim życiowym mottem. Niczym i nikim się nie przejmowałam, okłamywałam nauczycielkę i dzieci w szkole, a nawet ojca. Kradłam, co tylko dało się ukraść. Przynajmniej dwa razy w tygodniu zabierałam pieniądze z portmonetki matki. Kupowałam słodycze, chowałam je w szopce i zjadałam, gdy tylko miałam ochotę. Przy nadarzającej się okazji przynosiłam też co nieco dla Magdaleny i kładłam jej pod poduszkę. Gdy moje zapasy się kurczyły, znowu zabierałam pieniądze.

Początkowo bałam się, że ludzie ze sklepiku powiedzą coś matce. Ona też tam kupowała. Właściwie powinni się dziwić, skąd nagle wzięłam tyle pieniędzy. Aby temu zapobiec, powiedziałam kiedyś, że Margret przysłała mi gotówkę w liście i napisała, żebym nic nie mówiła matce, bo inaczej zabierze mi pieniądze i kupi za nie róże i świece. Kobieta w sklepie uśmiechnęła się i powiedziała: - Nie pisnę twojej matce ani słówka.

Wtedy zrozumiałam, co oznacza posiadanie pieniędzy. Wszyscy nagle byli dla mnie mili, wszyscy, którzy wcześniej się ze mnie wyśmiewali albo nie zwracali na mnie uwagi. Gdy miałam dwanaście lat, kradłam matce przynajmniej trzy marki tygodniowo. Chociaż wtedy dostawałam już regularnie kieszonkowe od ojca.

Czasem dziwiłam się, że matka nie odkryła nigdy braku pieniędzy. Nie wiem, czy z czasem stała się mniej uważna, czy też przekonałam ją, że jestem najnotliwszą istotą na ziemi. Być może jednak ją przekonałam. Przyznawałam jej zawsze rację, nieważne, jakie opowiadała bzdury. Pomagałam w domu, z własnej woli zmywałam naczynia, ścierałam kurze lub przynosiłam wysuszone pranie, aby mogła się zajmować Magdaleną. Robiłam tak zawsze, mając wyrzuty sumienia. A miałam je często, bo zabierałam sobie wszystko i tylko rzadko mogłam się podzielić z Magdaleną.

Rezygnowałam z kolacji, jeśli po południu tak się opchałam słodyczami, że nie mogłam już przełknąć ani kęsa. Matce mówiłam: - Dziś poczułam w sobie nawrót pożądlivosti. Muszę uczynić pokutę. - Matka uważała, że taka postawa jest wspaniała.

Wrywałam się także do robienia zakupów. Mówiłam: - Pozwól mi się tym zająć, mamo. Jestem młoda i silna. Mogę dźwigać ciężkie rzeczy. Ty potrzebujesz sił, by opiekować się Magdaleną.

Potem dodawałam jeszcze, że wolę pójść do Aldiego, bo tam wszystko jest tańsze. - Nie można dawać się bogacić handlarzom. - Matka uważała, że jestem dla niej wielką pomocą i dużo się nauczyłam od Zbawiciela. Czasami mówiła, że jest ze mnie dumna.

Gdy opowiadałam Magdalenie, co udało mi się wmówić matce, twierdziła: - Trzeba ją nabierać, jak tylko się da. Głupota musi zostać ukarana.

Magdalena sądziła, że chodzę do miasta dłuższą drogą, żeby móc jej opowiedzieć, czy gdzieś wydarzyło się coś ciekawego. Nigdy nie przyznałam się jej, dlaczego naprawdę wolę chodzić do Aldiego. Bo łatwiej tam było kraść, a w pobliżu znajdował się Woolworth.

Niemal połowa rzeczy, które przynosiłam do domu, nie była kupiona. U Aldiego kradłam słodycze i trochę produktów, które miałam kupić dla matki. Z Woolwortha zabierałam spinki, pomadki i inne drobiazgi, które łatwo dało się schować w kieszeni kurtki, a których sama nie potrzebowałam. Sprzedawałam je potem na boisku.

Kradłam tak dobrze, że trudno uwierzyć. Wyglądałam miło i niewinnie, nikt mnie o nic nie podejrzewał. Wielu ludzi wiedziało, kim jestem. Kobieta, która zwykle siedziała w Aldim przy kasie, mieszkała na naszej ulicy. Dla niej byłam tylko biednym dzieckiem. U Woolwortha jedna ze sprzedawczyń przyjaźniła się z Grit Adigar, więc szło mi równie łatwo.

Nikt nigdy nic nie zauważył. Ci, którym sprzedawałam rzeczy, też nie. Musiałam im tylko powiedzieć: - Ciotka znowu przysłała mi paczkę. Ale co mam z tym zrobić? Będę mieć z matką krzyż pański, jak tylko zobaczy szminke. - Wszyscy byli zadowoleni, bo kupowali u mnie za połowę ceny.

Miałam wtedy mnóstwo pieniędzy do dyspozycji. Kieszonkowe od ojca, drobne sumy z portmonetki matki i dochody z boiska. Niewiele wydawałam. Chomikowałam wszystko, pieniądze tak samo jak przysmaki. Często w szopce zbierałam tyle słodyczy, że nie mogłam ich zjeść sama. W lecie czekolada topiła się pod starymi workami na kartofle. Zaczęłam więc zabierać część do szkoły i rozdawać innym dzieciom. Zostałam ich najlepszą koleżanką i na przerwie klóciły się, kto ma się ze mną bawić.

A ja bezustannie igrałam z życiem Magdaleny. To było jak z drabiną. Raz człowiek zbiera się na odwagę,

przechodzi pod nią i nic się nie dzieje. A potem robi to znowu. W końcu zaczyna mu się wydawać, że nie istnieje żaden pech, który mógłby go prześladować. Ale los nie daje się oszukać jak matka, która ma źle w głowie. I wreszcie uderza, gdy nikt się tego nie spodziewa.

Przez długi czas zdawało się, że nie mam wpływu na stan Magdaleny. Wszystko jedno, co robiłam i jak postępowałam, czuła się równie dobrze czy też źle. Zależało, jak się na to patrzyło. Pokonała białaczkę. Po pięciu latach, twierdzili lekarze, śmiało można było mówić o całkowitym wyleczeniu.

Matka przypisywała wszystko oczywiście naszym modlitwom, ponieważ nawet lekarze przyznawali, że to cud. A ja tymczasem całkiem przestałam się modlić. Klęczałam przed krzyżem i wymyślałam historie dla Magdaleny.

Kiedyś opowiedziałam jej, że znalazłam prawdziwą przyjaciółkę. Miałam już prawie trzynaście lat i spokojnie mogłam sobie jakąś kupić. Uzbierałam w szopce osiemset marek i wiedziałam, że Magdalena myliła się myśląc, że za pieniądze można było kupić wszystko.

Historię o przyjaciółce uznała za fascynującą. Musiałam jej dokładnie opisać tę dziewczynkę. Chciała znać każdy szczegół. Jaka jest wysoka? Gruba czy chuda? Ładna? Czy rozmawiamy też o chłopakach? Czy już kiedyś była zakochana? Czy sądzę, że uda mi się kiedyś przyprowadzić ją pod dom? Wtedy mogłaby ją zobaczyć.

Pewnego popołudnia siedzieliśmy przy oknie w sypialni. Widać było stamtąd całą ulicę. Magdalena leżała na łóżku, ja czuwałam przy oknie. Gdy pokazała się na ulicy naprawdę ładna dziewczyna, przywołałam Magdalene do okna. Przytrzymałam ją mocno jedną ręką i zapukałam w szybę. Dziewczyna rozejrzała się i zerknęła w górę. Potrząsnęła głową, pewnie uznała, że jesteśmy głupie.

A ja opowiedziałam Magdalenie, że moja przyjaciółka dobrze wie, że musi być bardzo ostrożna z powodu matki.

Tylko dlatego potrząsnęła głową. Magdalena wierzyła mi we wszystko.

Gdy pewnego dnia spędziłam pół dnia na zakupach, opowiedziałam jej, że moja przyjaciółka zaprosiła mnie do lodziarni. Zafundowała pucharek truskawkowy z bitą śmietaną. A potem opowiedziała o chłopaku, w którym się zakochała. On jednak nic o tym nie wiedział.

Następnego dnia opowiedziałam jej, że napisałyśmy list do tego chłopaka. Przyjaciółka poprosiła mnie, żebym mu go podsunęła. Kłamstwa! Kłamstwa! Kłamstwa! Czasami wydawało mi się, że moje życie to jedno wielkie kłamstwo.

## ROZDZIAŁ 8

Stopniowo Rudolfa Groviana ogarniała wściekłość - nie na nią, na siebie. Przez myśl przebiegło mu ostrzeżenie jej ciotki: wtedy Cora zamknie drzwi. Cholera, źle się do tego zabrał. Ale przecież musiał istnieć jakiś sposób, by jeszcze raz wcisnąć palec między zatrzaśnięte drzwi. Próbował przez pewien czas, jednak nie potrafił znaleźć właściwego tonu. Wspominając o Margret, sprawił jedynie, że zamknęło się na kilka dodatkowych kłódek.

Na pytanie, w jaki sposób Margret Rosch go okłamała i co takiego straszego ukradła, że nie przyśniłoby mu się to nawet w najkoszmarniejszym śnie, odparła: - Niech pan wykonuje swoją pracę sam. Panu za to płacą, nie

Wrócił do kluczowej kwestii. Czy Johnny był tą samą osobą co Georg Frankenberg? Nie odpowiedziała. Poczul się zmuszony ponownie użyć gróźb, chociaż nie miał na to najmniejszej ochoty. - Pani Bender, w takim razie będę musiał porozmawiać z pani ojcem.

Uśmiechnęła się. - Niech pan spróbuje raczej z moją matką, razem z Biblią zjadła wszystkie rozumy. Tylko proszę sobie dobrze zabezpieczyć kolana.

Potem łyknęła nieco kawy, odstawiła zdecydowanym ruchem szklankę i spojrzała na niego. - To by było na tyle, prawda? Mogę się przebrać, zanim zaprowadzi mnie pan do sędziego? Mam przepocone ubranie. Włożyłam je wczoraj i w dodatku w nim spałam. Chciałabym też umyć zęby.

W tej chwili ogromnie jej współczuł. Zawsze była zdana wyłącznie na siebie. Dlaczego miała mu uwierzyć, gdy zaoferował jej pomoc? No bo jakiej pomocy tak naprawdę

mógł jej udzielić? Kilka lat za kratkami. Starając się zachować jak najbardziej neutralny ton, odparł: - Pani rzeczy jeszcze tu nie ma, pani Bender. Poprosiliśmy wczoraj pani męża, by coś przyniósł. Do tej pory się nie

Obojętnie wzruszyła ramionami. - I się nie pojawi. Mówiłam przecież, że Margret ma to zrobić.

Pół godziny później przyjechała Margret. W międzyczasie jeszcze trzy razy próbował się czegoś dowiedzieć. Kim była druga dziewczyna? Za pierwszym razem starał się mówić spokojnie. zaproponowała: - Niech pan spyta moją matkę. Z ojcem też może pan spróbować. Jak mu pan opowie, że zostałam zgwałcona, podczas gdy drugą dziewczynę pobito na śmierć, na pewno się ucieszy.

Za drugim razem odezwał się z większym naciskiem. Spojrzała na Wenera Hossa i spytała: - Czy pański szef potrzebuje aparatu słuchowego, czy też po prostu jest uparty? Ma chyba jakiś problem, nie? Dla mnie brzmi jak zacięta płyta.

Za trzecim razem niemal błagał. A ona popatrzyła na ekspres do kawy pytając: - Zabrał go pan z domu? Nie stać pana na nowy ekspres do biura? Nie są przecież takie drogie. Niektóre gotują wodę. Wtedy kawa smakuje dużo lepiej. Kupiłam sobie taki. Będzie mi go brakowało. A może będę mogła mieć w celi własny ekspres? Jeśli tak, każę go przywieźć. Gdy mnie pan odwiedzi, poczęstuję pana filiżanką kawy. Bo przecież będzie mnie pan odwiedzał? Urządzimy sobie miłe popołudnie z kawą i niesamowitymi opowieściami. Zobaczmy, kto z nas jest lepszy.

To była dla niego ciężka próba, prawie poczuł ulgę, gdy wreszcie usłyszeli pukanie do drzwi i weszła jej ciotka. Margret Rosch przyniosła małą walizkę. Werner Hoss wziął ją i przejrzał zawartość. Niewiele tego było: dwie nocne koszule, przybory do mycia, dwie bluzki, dwie proste spódnice, kilka kompletów bielizny, dwie pary pończoch, kilka

butów na niskim obcasie i oprawiona w ramki fotografia dziecka.

Było to ładne zdjęcie zrobione na tarasie. Mały siedział na ziemi z ręką na wielkim zielonym traktorze, patrząc pod światło w stronę aparatu.

Gdy Werner Hoss odłożył fotografię do pozostałych rzeczy, skinęła dłonią. Jej twarz zeszytniała, głos brzmiał twardo i bezosobowo, a spojrzenie, które rzuciła ciotce, było lodowate. - Zabierz to z powrotem!

Margret Rosch, która w nocy robiła wrażenie bardzo energicznej, wyglądała w tej chwili na bezradną i jakby przestraszoną. - Dlaczego? Myślałam, że będziesz chciała mieć przy sobie zdjęcie małego. To na pewno dozwolone, prawda? - Przy ostatnim zdaniu rzuciła Grovianowi wąpiące spojrzenie. Skinął głową.

- Nie chcę go - odparła Cora. - Zabierz je z powrotem!

Jej ciotka niczym zawstydzone dziecko zabrała fotografię ze stosu ubrań i włożyła do torebki.

- Przyniosłaś mi tabletki? - spytała Cora.

Margret Rosch skinęła głową, ponownie sięgnęła do torebki i wyjęła opakowanie z lekarstwami. Rudolfowi Grovianowi wydało się, że rozumie już, dlaczego nie udało mu się ponownie włożyć palec między drzwi. - To zabronione

- powiedział.

- Ale są jej potrzebne - zaprotestowała Margret Rosch.

- Często mocno boli ją głowa. To skutki ciężkiego urazu czaszki. Przecież wczoraj opowiadała panu o wypadku.

- Wyraźnie położyła nacisk na ostatnim słowie.

Wyjął lekarstwa z jej dłoni. - Wezmę to i wręcę odpowiednim ludziom. Jeśli potrzebuje tego środka, otrzyma go. W przepisanej dawce. - Margret Rosch postąpiła krok naprzód, jakby chciała wziąć bratanicę w ramiona.

- Daj spokój! - powiedziała niemal nonszalancko Cora.

- Najlepiej będzie, jak udasz, że umarłam. Niepotrzebne ci



są przecież do tego moje zwłoki, prawda? A jeśli już koniecznie jakieś chcesz mieć, idź do waszej kostnicy, zawsze tam parę leży.

Dla Rudolfa Groviana uwaga ta odzwierciedlała czystą nienawiść. Ciotka zareagowała podobnie. Przełknęła z trudem ślinę, opuściła ramiona i bez słowa pożegnania skierowała się do drzwi. Sekundę później zamknęła je za sobą. Skinieniem głowy dał Wernerowi Hossowi znak, aby także opuścił pokój. Gdy został z nią sam, podjął ostatnią próbę.

- A więc, pani Bender - powiedział - teraz jesteśmy sami. I porozmawiamy ze sobą jak dorośli i rozsądni ludzie. Nad jeziorem się pani nie udało. Z tabletkami też nie wyjdzie. Nie ma nawet co myśleć o innym sposobie. Koniec. Zamykam pani drogę ucieczki. Niech pani lepiej spróbuje popatrzeć wstecz.

Nie zareagowała.

- Ciężki uraz czaszki - stwierdził z namysłem. - Ma pani na czole dość głęboką bliznę. Została uszkodzona nie tylko skóra, ale także kość. Zwróciłem na to uwagę w nocy. Zanim pani zemdląca, mówiła pani o kryształowej łapie i jakie to było straszne, gdy pani mąż przedtem palił papierosa. Bo właśnie popielniczka to spowodowała. Niech mi więc pani już nie opowiada, że wbiegła pod samochód.

Wydawało mu się, że się uśmiecha. - Nic już panu nie powiem. Sądzę, że jak zwierzę się sędziemu, to wszyscy jeszcze zdążymy skorzystać z weekendu. Co na to pańska żona, że pan tu tak przesiaduje? A może nie ma pan żony?

- Mam.

- To dobrze. - Nie tylko się uśmiechała, wręcz wykrzywiła usta w tym uśmiechu. - Niech pan wsadzi żonę do samochodu i po odprowadzeniu mnie wybierze się z nią na miłą wycieczkę. Pogoda jest wspaniała. Niech pan pojedzie nad Otto-Maigler-See. Najlepiej niech pan zabierze też Wenera Hossa. Pokaże panu ciekawą plamę. Wczoraj

zabito tam mężczyznę. Proszę sobie wyobrazić, biedaka zamordowano tylko dlatego, że okazywał czułość żonie i słuchał przy tym muzyki. Była tam jedna głupia krowa, której się to nie spodobało i kompletnie ześwirowała.

Spróbował użyć autorytetu. - Pani Bender, może pani sobie oszczędzić tych gier. Skąd ma pani tę bliznę?

Stała się odpychająca. - Może mnie pan pocałować...

Jeszcze jedna próba, by skonfrontować ją z jej własnymi lękami. - Chyba pani tego nie lubi. Wczoraj pani tak sugerowała, a może źle zrozumiałem?

Spojrzała na niego. Zdrowe oko wyglądało jak dziura w twarzy. Chętnie dowiedziałby się, co jarzyło się w tej dziurze, wściekłość czy panika. Przez kilka chwil sądził, że odnalazł właściwy ton. A ona wskazała na prawą stronę głowy. - Tu też mam bliznę, jest jeszcze większa. Chce pan zobaczyć? Musi pan unieść włosy. Tylko że już niezbyt widać. Załatali ją.

- Kto spowodował te obrażenia?

Wzruszyła ramionami, krzywy uśmiech ponownie pojawił się na jej pobitej twarzy. - Przecież panu mówiłam. Jeśli mi pan nie wierzy, to pańska sprawa. Uderzyłam głową o maskę samochodu. Więcej nie powiem. Byłam na haju, gdy to się stało. Konował przecież panu wszystko wygadał o moich ramionach. A Margret też na pewno opowiedziała, co się ze mną wtedy działo. Ćpałam.

Wyciągnęła lewe ramię i wskazała na zgięcie łokcia.

- Nie byłam dość ostrożna, nie dbałam o higienę. Zrobiło się poważne zapalenie. Prawdziwe dziury. Widzi pan? Jest całkiem guzowate.

Palcem prawej dłoni pogładziła zabliźnioną tkankę. - Próbowałam wszystkiego, co można było dostać - wyjaśniła. - Haszu, koksu, na koniec heroiny. - Zaśmiała się cicho i dodała: - Ale bez obaw. Niczego pan nie zaniedbał. Od lat jestem czysta. Wczoraj byłam tak samo czysta jak pan.

A jak się umyję, znowu będę normalnie pachnieć. Pokaże mi pan teraz, gdzie mogę się przebrać?

Mówiła bardzo nonszalancko, wrogość nadała jej głosowi ochryple brzmienie. A on nie miał pojęcia, jak się czuje człowiek po traumatycznych przeżyciach. Porównanie z murem uznał za trafne. Udało mu się to, czego nigdy nie osiągnął z własną córką: wytrwać na własnym stanowisku; zachować spokój, opanowanie, wyrozumiałość i cierpliwość. Wyobrażał sobie po prostu, że Cora stoi przed swoim murem, zębami i pazurami broniąc przed nim wszystkiego, co za tym murem ukryte. - Dlaczego nie powiedziała nam pani już w nocy, że była uzależniona?

Ponownie wzruszyła ramionami. - Bo myślałam, że to pana nie obchodzi. Minęło kilka lat i nie ma to nic wspólnego ze sprawą. Mąż o niczym nie wie. Miałam nadzieję, że się nie dowie. To było na długo przed nim.

- W czasach Georga Frankenberga? Czy to on podawał pani narkotyki?

Spojrzała na sufit i powiodła oczami. - Przeciw komu pan właściwie prowadzi dochodzenie, przeciwko mnie czy jemu? Co chce pan jeszcze przypisać temu biednemu łajdakowi? Chce pan koniecznie uznać go za przestępcę? Nie pasuje do pana światopoglądu fakt, że kobieta może zabić tylko dlatego, że denerwowała ją głośna muzyka? Powiedzieć panu coś? Właściwie to chciałam zabić kobietę. On miał po prostu pecha, bo leżał na

Rudolf Grovian uśmiechnął się. - A dla pani wyglądało to tak, jakby się na nią rzucił. Bała się pani, że może ją uderzyć. Czy przypomniła pani sobie o tym, co się zdarzyło w piwnicy?

Nie od razu odpowiedziała. Dopiero po paru chwilach i głębokim, nerwowym westchnieniu stwierdziła lakonicznie: - Jeśli koniecznie chce się pan trzymać tej historii, niech pan sam znajdzie odpowiedź. Niech pan po prostu

spyta jeszcze paru ludzi. Przecież lubi pan zadawać pytania. Dlaczego mam panu psuć zabawę?

Przy ostatnich słowach chwyciła z biurka bluzkę, spódnice, komplet bielizny i szczoteczkę do zębów. Tym razem nie spytała o pozwolenie. Po prostu podeszła do drzwi.

Podążył za nią, dołączył do nich Werner Hoss. Na korytarzu spróbował jeszcze raz. - Pani Bender, bycie tak upartą nic pani nie pomoże. Jeśli Georg Frankenberg...

- Kto tu jest uparty? - przerwała mu. - Na pewno nie ja. Nie lubię tylko tego drażenia. Widzi pan przecież, czym to się kończy. Stosem brudów! Opowiedziałam panu taką śliczną historię. Na początku naprawdę romantyczną. A na końcu poruszającą. Martwe dziecko. Martwe dzieci zawsze są poruszające, a nigdy brudne. Prawda jest brudna. Prawda jest pełna larw i robaków, czernieje, a jej smród unosi się do nieba. Nie lubię brudu i

- Ja też nie, pani Bender. Ale lubię prawdę. A w tym wypadku bycie szczerą w stosunku do nas byłoby tylko z korzyścią dla pani.

Roześmiała się krótko. - Niech się pan nie martwi o moją korzyść. Sama się o nią zatroszczę. Robiłam to już jako dziecko. Dość wcześniej zesłam na złą drogę. W pewnym momencie człowiek zupełnie się stacza. Oto pańska prawda. Nikt mi nie musiał nic dawać, na pewno nie dragi. Brałam sobie to, co chciałam mieć.

Podczas gdy - z konieczności przy otwartych drzwiach - myła się i przebierała, stał - z Wernerem Hossem jako świadkiem - na korytarzu, słuchając dochodzących z pokoju odgłosów i wciąż na nowo odtwarzając w głowie jej rozmowę z Margret Rosch.

Doszło do tego, że sam zaczął się uważać za schizofrenika, dopatrującego się w nieszkodliwych wypowiedziach ukrytych sygnałów, a w zszokowanej i zatroskanej ciotce wystanniczki śmierci. Ale pomijając schizofrenię, musiał

tak czy siak jeszcze raz dokładnie przyjrzeć się zawartości walizki. Ręczył własną głową, że nie dało się jej wyprowadzić z równowagi dlatego, że ciocia przyniosła jej coś więcej niż tylko tabletki. Być może opakowanie z lekarami było tylko wyrafinowanym posunięciem, by odwrócić jego uwagę od zyletki lub czegoś podobnego.

Jej umysł był nadal zamrożony jak twarda bryła, od której nie dało się odłupać ani kawałka, której nikt nie mógł stopić. Niech szef się wścieka, ile chce. Tylko pod żebrami paliło boleśnie. Margret nie powinna była przynieść zdjęcia.

To był ciężki cios, jeszcze raz zobaczyć dziecko, takie radosne i niewinne. Ostatnie spojrzenie wstecz. Żona Lota zmieniła się za karę w słup soli. Ona tylko zeszywniała w środku, była tak sztywna i zimna jak jej matka wtedy, gdy siedząc na łóżku z Magdaleną na ręku mówiła o wielkiej winie, której Pan nie wybaczył.

Ale dziadkowie dobrze zajmowali się małym. Nie myślała już o nich jako o teściach. Kiedyś będą mu mogli powiedzieć, że jego matka umarła. Wtedy będzie to prawda. Niech szef zamyka drogę jak chce. Wiedziała, co musi zrobić. Wiedziała też czym! A Margret także zdawała się wiedzieć, że w celi nie ma zbyt wielu możliwości i trzeba ograniczyć się do czegoś wyglądającego całkowicie naturalnie i niewinnie. Po śmierci oskarżonej dochodzenie na pewno zostanie przerwane. Dlaczego miałoby dalej grzebać w

W drodze do Brühl milczeli. Werner Hoss prowadził, szef zajął miejsce obok niego. Wydawało się, że wreszcie zrozumiał, iż może grozić, prosić czy płakać, ale w jej przypadku trafi tylko głową w mur, nawet gdyby błagał ją na kolanach.

U sędziego wszystko odbyło się zaskakująco sprawnie. Szef rzeczowym tonem przedstawił ciężące na niej zarzuty.

Wysłuchała ich z nieporuszoną miną. Sędzia zapytał, czy ma coś do powiedzenia. Odparła, że już wszystko powiedziała i nie chce się powtarzać. Sędzia zarządził, by zatrzymano ją w areszcie. Pouczył ją raz jeszcze o jej prawach i na tym się skończyło. Jakoś przetrwała.

Czekał ją jeszcze mały szok, gdy szef niezwykle dokładnie przeszukał jej walizkę. Pomacał nawet podszewkę, jakby spodziewał się w niej kilku ziarenek piasku. Wreszcie zabrał pończochy.

- Co panu przychodzi do głowy? - zaprotestowała. - Nie ma pan prawa zabierać moich rzeczy.

- Mam mnóstwo praw - odparł. - A na pończochy jest przecież za ciepło. W tej chwili ich pani nie nosi.

Potem zostawił ją samą. Obiad zjadła w celi. Nie był zły. W porównaniu z tym, co wcześniej podawała matka, był wręcz wspaniały.

Dotarła tam i już została. Jak gdyby przeszłość stanowiła prawdziwy cel jej życia, a ona musiała jeszcze raz dokładnie przypomnieć sobie, jakim jest złym człowiekiem. A przy tym te wspomnienia, które do tej pory się wyrwały, były jeszcze stosunkowo nieszkodliwe.

W regularnych, bardzo krótkich odstępach czasu słyszała hałas przy drzwiach. Szef faktycznie polecił, by ją obserwowano. Ale jeśli wyobrażał sobie, że może ją zmusić, by obrała drogę ucieczki wstecz, to zdecydowanie się mylił.

Wściekłość na niego utrzymywała ją w gotowości. A w głowie, wciąż zimnej jak lód, pojawiały się niezwykle przejrzyste myśli. Czekala, aż przyjdzie kolejny, by zadać jej kilka pytań. Nie musiała czekać długo.

W poniedziałek około dziesiątej rano została zaprowadzona na przesłuchanie do prokuratora. Był to młody, wyjątkowo sympatyczny mężczyzna. Miał przed sobą stos papierów, które chciał z nią omówić. Zaznaczył, że jej zeznania w takiej formie nie mają żadnej wartości. Może je zaakcep-

tować dopiero wtedy, gdy poda mu nazwiska obu pozostałych mężczyzn. Nie te głupie przezwiska Kozioł i Tiger. Potrzebował prawdziwych nazwisk. Oczywiście dziewczyny też. To leży tylko w jej własnym interesie.

Niemal się roześmiała. Jakby ten młodzik wiedział, co leży w jej interesie!  
- Czy pan Grovian nie powiedział panu, że wczoraj odwołałam wszystkie te nonsensy?

Prokurator pokręcił głową. Popatrzyła na niego niepewnie, udało się jej powiedzieć z rezygnacją. - Więc co mam powiedzieć sędziemu, co mi pan radzi?

- Prawdę - odparł prokurator.

Najpierw z przygnębieniem skinęła głową, potem wyjaśniła cicho: - Ale prawda jest taka żałosna. Byłam strasznie wściekła na tamtą kobietę.

- A co ona takiego zrobiła, że się pani wściekła? - spytał prokurator.

- Właściwie nic - wymamrotała. - Mój mąż uważał, że jest niezła. Ma przynajmniej w sobie trochę ognia, powiedział. Zawsze starałam się, by był ze mnie zadowolony. A tu przychodzi taka krowa i już nie może od niej oderwać wzroku. I to nie pierwszy raz. Zawsze robił cięzące oczy, gdy byliśmy nad jeziorem. A potem wygłaszał mowę, że jestem pruderyjna i przewrażliwiona. Czasami chciał robić rzeczy, których nie lubiłam. Mogłam sobie wyobrazić, co mnie czeka wieczorem. I nagle miałam po prostu tego dość, rozumie pan? Chciałam jednej z tych cholernych, bezwstydných bab zostawić pamiątkę. Ale nie dosięgłam jej. A potem pomyślałam...

Wpatrywała się ponad jego ramieniem w jakiś nieokreślony punkt na przeciwległej ścianie. - Pomyślałam, że to wszystko jedno, czy dosięgnę jej, czy jego. Jemu też to sprawiało przyjemność. Wszyscy są tacy sami, te świnię.

To wystarczyło prokuratorowi. Spytał jeszcze o zadane rany, dokładniej mówiąc wymienił je. Gdy jedynie wzruszyła

ramionami, spytał, skąd się wzięły obrażenia na jej głowie. Powtórzyła to, co ostatnio powiedziała szefowi. Naszprycowana heroiną wpadła prosto pod samochód. A litościwy samarytanin nigdy nie istniał, sama wymyśliła tego pijanego kierowcę. Leczono ją w szpitalu w Dülmen.

Mówiąc to nie mogła się powstrzymać od uśmiechu, nie wiedziała nawet, czy w Dülmen był szpital. Manni Weber urodził się i dorastał w Dülmen, jego babka wciąż tam mieszkała. Rok temu poprosił o kilka dni bezpłatnego urlopu. Jego babcia przewróciła się i ze złamaną szyjką kości udowej leżała w szpitalu. Gdzie dokładnie, tego Manni Weber nie powiedział.

Prokurator się nie uśmiechnął. - Sprawdzimy to - powiedział.

Pomyślała, że powinien wreszcie dać jej zeznania do podpisu. Ale nie. Stwierdził, że wszystko trzeba spisać jeszcze raz. I najlepiej poczekać z tym, aż sprawdzą jej informacje. Wtedy będzie mogła złożyć i podpisać zeznanie u sędziego.

Tuż po dwunastej znowu znalazła się w celi. Przez pół popołudnia łamała sobie głowę, jak zakończyć ów dramat. Wreszcie wpadła na pomysł z papierowymi chusteczkami. Nie miała ich, ale z pewnością dostanie paczuszkę, jeśli poprosi. Papierowe chusteczki były tak samo niewinne jak „przepłynąć kawałek”. Gdy przyniesiono kolację, poprosiła o nie.

- Ma pani katar? - zapytała wartowniczką.

Skinęła głową i pociągnęła nosem. Wartowniczka powiedziała: - Zaraz przyniosę pani kilka chustek - i poszła dalej.

Zjadła trochę, czuła się dobrze, nie miała tylko apetytu, ale pod innymi względami w porządku. Gdy odsunęła tacę na bok, uklękła na podłodze przed łóżkiem i złożyła dłonie.

To był pierwszy raz od dłuższego czasu i udało się tylko ze względu na brak krzyża. Wcale nie było tak trudno



prosić o wybaczenie ostatniego grzechu niewidzialnego Zbawiciela. Jednocześnie ujrzała przed sobą zakrwawioną twarz mężczyzny. Georg Frankenberg! A jego spojrzenie... Wybaczył jej, to było pewne.

Jakaś jej część była jeszcze całkowicie przekonana, że zabicie go było dobre i słuszne. Ta część musiała być szalona. Frankie, pomyślała. Czuję mężczyznę! Żonaty od trzech tygodni. W jej przypadku były to trzy lata. Trójka to magiczna cyfra. Natychmiast to sobie uświadomiła, choć nie od razu wiedziała, co tak szczególnego kryje się w trójce. A gdy wreszcie przyszło jej to do głowy...

Na Golgocie stały trzy krzyże. Obaj mężczyźni ukrzyżowani ze Zbawicielem zasłużyli na śmierć. Jedynie ten pośrodku był bez winy.

Myśl ta uderzyła ją niczym rozpalone żelazo, wbiła się między łopatki, wpełzła na kark i dalej, wdarła się do umysłu i spowodowała, że zamarznęta bryła zaczęła się roztopiać. Jak mogła to choćby na sekundę stracić z oczu? Zbawiciel nie miał żadnych wad, był czysty i niewinny jak żaden inny człowiek. Przez kilka minut drżała niczym w spazmie. Było tak, jakby nagle stanął obok niej ojciec: - Co uczyniłaś, Cora? Co uczyniłaś? - A nad jego głową unosił się krzyż z niewinnym mężczyzną.

Gdy wreszcie udało się jej powstać z klęczek, podeszła do umywalki. Jakiś czas później zabrano tacę, a ona nadal myła ręce, nie pamiętając o papierowych chusteczkach. Wartowniczką też o nich zapomniała.

Rudolf Grovian spędził w niedzielę kilka godzin nad Otto-Maigler-See. Nie dlatego, aby miał postąpić zgodnie z jej zaleceniem, nie zabrał też ze sobą żony. Gdy wsiadał do samochodu, Mechthild była już w drodze do Kolonii. Czekala na niego z obiadem, oczywiście miała nadzieję, że będzie jej towarzyszył. Ale myśl o spędzeniu kilku

bezużytecznych godzin w mieszkaniu córki, skoro nawet nie widział jeszcze miejsca zbrodni...

Tylko że nie było tam nic do zobaczenia oprócz jeziora i tłumu ludzi. Nie miało też sensu siedzenie w słońcu i wczuwanie się w atmosferę otoczenia. Był zdegowany, wahał się pomiędzy własnymi poglądami a opinią Wenera Hossa, że Johnny, Tiger i Kozioł nie mieli nic wspólnego z Georgiem Frankenbergiem.

Siedział na wydeptanym trawniku i obserwował pónagich ludzi, młodych i starych, mężczyzn, kobiety i dzieci. Starsza para trzymając się za ręce weszła do wody. Mężczyzna musiał się zbliżać do wieku emerytalnego albo go nawet przekroczył. On sam nie pamiętał już, kiedy ostatni raz szedł trzymając Mechthild za rękę. Dawniej często rozmawiali o tym, co chcą robić, gdy córka wyprowadzi się z domu. Czasami wyjazd w nieznaną, kilka dni w Schwarzwaldzie lub nad Morzem Północnym, ale do tej pory nic z tego nie wyszło.

Nieco dalej mężczyzna z małym chłopcem grali w piłkę. Chłopiec był niewiele większy od jego wnuka i kopnął niezręcznie piłkę w jego kierunku. Grovian złapał ją i odrzucił. Chłopiec uśmiechnął się, a jemu przyszło na myśl, że jego wnuk wkrótce przestanie się śmiać. A może i nie!

Należało przyjąć, że Marita, jeśli jej małżeństwo rzeczywiście się miało rozpaść, będzie chciała wraz z synkiem zamieszkać w ich domu. Otrzeźwiająca myśl, która na chwilę zepchnęła wszystko na dalszy plan! Zniknąłby domowy spokój. Nie miał nic przeciwko kilku klocom w salonie ani odrobinie dziecięcego śmiechu czy płaczu, ale spokojne wieczory na kanapie musiały odejść w przeszłość, skoro tylko córka wróci do domu.

Ujrzał to przed oczami, tak jak było wcześniej. Stół w salonie zawalony lakierami do paznokci, pomadkami, tuszem do rzęs i innym szajsem, które rozsmarowywała

sobie po twarzy. Sto, tysiąc razy żądał, by nakładała swoje barwy wojenne w łazience. Ale nie! Podobno światło było tam złe, a Mechthild powiedziała: - Zostaw ją wreszcie, Rudi. Czy każdego wieczora konieczny jest ten sam cyrk?

Niecałą godzinę później siedział w mieszkaniu córki, zdecydowany ratować, co tylko się da. Zięcia nie było. A jego próby zostały odrzucone słowami: - Nie mieszaj się, Rudi, nie masz pojęcia, o co chodzi.

Mechthild trzymała chłopca na kolanach. Spytała właśnie:

- Tak, ale jak ma być... - Nie skończyła. Jak ma być, Marita dokładnie przemyślała. Nie było mowy o powrocie do domu. Przestronne mieszkanie w porównaniu z pokojem w domu rodziców, możliwości w wielkim mieście wobec małomiasteczkowego zaduchu, nie miała najmniejszej ochoty na zmianę. Strona finansowa nie stanowiła problemu, Peter oczywiście będzie musiał płacić. Trzy tysiące miesięcznie, tak to sobie wyobrażała Marita.

- Ustala się także mniejsze sumy - powiedział Rudolf Grovian.

- Ustala się także większe - odparła jego córka. - A przy swoich zarobkach będzie przynajmniej wiedział, na co haruje. - Potem zapomniała o jego obecności i ponownie rozmawiała wyłącznie z matką. Chodziło o poważne zaniedbanie, o całkowitą niezgodność charakterów, o mężczyznę, który w głowie miał tylko bity i bajty, ramy i romy, Internet i inne fanaberie, z którym nie dało się rozsądnie porozmawiać, nie mówiąc już o wyjściu wieczorem do dyskoteki.

- Tak to już jest, gdy mężczyzna pracuje i chce coś osiągnąć w swoim zawodzie - powiedziała Mechthild tępo. - Żona wciąż musi zaciskać pięści. Za to ma się przynajmniej coś z życia.

Tak, pieluchy, garnki i dla odmiany raz w tygodniu zabawy w grupie z dwulatkami. Rudolf Grovian nie mógł tego dłużej słuchać, mimowolnie nasuwały mu

się porównania. Nie było jednak żadnych podobieństw. Cora Bender i jego córka były jak dzień i noc, jak ogień i woda. Jedna nie chciała go słuchać ani nawet wiedzieć, co o tym wszystkim sądzi. Nie mieszaj się, Rudi. Co ma robić mężczyzna, gdy w życiu prywatnym wciąż narzuca się mu takie ograniczenia? Pozostaje mu tylko rzucić się w wir pracy.

O ósmej rano w poniedziałek zrobił właśnie to. Wieczorem odbył dłuższą naradę z prokuratorem, a do wtorku udało mu się zebrać wystarczająco dużo informacji, by jeszcze raz skonfrontować je z kłamstwami Cory Bender i nieco nadkruszyć ten mur. Nie zważał na względy ostrożności. Rzucił jej wyzwanie, a ona jemu. Była winna, a teraz przyszła kolej na jego ruch. Była mu to właśnie winna.

Wkroczył do celi późnym popołudniem. Zobaczył, że przeraziła się na jego widok, i sam także się przeraził. W ciągu tych dwóch dni zmieniła się w tępy tobołek, który nie wydawał się zdolny do żadnej reakcji.

Zaczął od szpitala w Dülmen. Kosztowało go to tylko jeden telefon i nieco czekania przy słuchawce.

Poprzedniego popołudnia osobiście rozmawiał z ojcem Georga Frankenberga. Ute Frankenberg nie była jeszcze w stanie zeznawać i nie dopuszczono go do niej. Ale nie mogła mu dużo powiedzieć, skoro poznała męża zaledwie sześć miesięcy przed ślubem.

- A nie sądzę - dodał z lekkim uśmiechem - żeby rozmawiał z żoną o poprzednich romansach.

W duchu słyszał ponownie głos prokuratora: - Z całym szacunkiem dla pańskiego zaangażowania, panie Grovian, ale muszę pana koniecznie prosić, by nie prowadził pan dochodzenia tak jednostronnie. Wyjdźmy lepiej z założenia, że ta kobieta naprawdę nie знаła ofiary.

Musiała go znać! W ciągu tych dwóch dni zebrał kilka szczegółów, które za tym przemawiały. Przesadą byłoby

nazywać je dowodami. Fakty, to pasowało bardziej. A do tych faktów należały także zwłoki młodej dziewczyny.

Rzeczywiście znaleziono takie - z dwoma złamanymi żebrami! W tamtym okresie w Buchholz nie zgłoszono żadnego zaginięcia. Ale powiedziała przecież, że nigdy wcześniej nie widziała tej dziewczyny w swoim mieście. Jej zaginięcie mogło zostać zgłoszone wszędzie. W Lüneburgu były tylko dokumenty na temat niezidentyfikowanej zmarłej - w wieku piętnastu najwyżej dwudziestu lat.

W sierpniu przed pięcioma laty znaleziono jej rozkładające się zwłoki w pobliżu terenu wojskowego w Lüneburger Heide. Nie można było ustalić przyczyny śmierci. Brak obrażeń czaszki, krtań i kość gnykowa nietknięte. Złamania żeber mogły według tamtejszych lekarzy sądowych nastąpić później; na przykład za sprawą zwierząt. Często się tak zdarzało.

Zwłoki musiały leżeć w ziemi przynajmniej trzy miesiące. Nagie! Nie znaleziono przy nich ubrania, a także niczego, co mogłoby pomóc w identyfikacji. Próbowano dawać ogłoszenia w prasie, bez skutku. Tamtejsi koledzy uznali, że musiała to być autostopowiczka. Ale jeśli brać pod uwagę, że Cora Bender i jej chętna do pomocy ciotka prześcigały się w kłamstwach, to było całkiem prawdopodobne, że chodziło o dziewczynę z piwnicy. Nie potrzebował wiele wyobraźni, jedynie trochę intuicji, znajomości natury ludzkiej i dobrej pamięci, by zarejestrować mimochodem rzucone zdania i nadać im w decydującym momencie właściwe znaczenie.

Zakładając, że Cora Bender już w maju, a nie dopiero w sierpniu, dała się namówić na wyjazd z Johnnym i jego niskim, grubym kolegą, wszystko zaczynało się układać. Było też dość znaczące, w jaki sposób ona i jej ciotka krążyły wokół tematu sierpnia.

Zamierzał zwrócić się do Federalnego Urzędu Kryminalnego i sprawdzić wszystkie zgłoszenia zaginięcia w tamtym okresie. Gdyby miał nazwisko, byłoby dużo łatwiej.

W poniedziałek rano usłyszał od Winfrieda Meilhofera dwa nazwiska. Ottomar Denner i Hans Bockel. - Czy mówią one coś pani, pani Bender?

Pokręciła głową. Nadal się uśmiechał. Wciąż się uśmiechać, być przyjacielskim i rozwiązać zagadkę, dlaczego zarówno ona, jak i jej ciotka wymieniały sierpień jako źródło wszelkiego zła. Ponieważ wiedziały o odnalezieniu zwłok! Mógłby przysiąc, że tak było. Nie chciały, by wiązano je z tym wydarzeniem, obawiały się wszystkich możliwych konsekwencji, gdyby doszukano się związku. Ponieważ! Gdyby! I sto znaków zapytania.

- Ale mnie mówią! - powiedział. - Hans Bockel to Böckel. Ottomara Dennera mogli przezywać Tiger. Powiedziano mi, że Denner był kompozytorem w małym zespole. A kompozytorzy lubią sobie wystawiać pomniki. Piosenka na kasecie nosiła tytuł *Song of Tiger*. Pamięta pani? Nazwała ją pani swoją piosenką.

Prokurator go wyśmiał. Kozioł i Tiger, co za nonsens! Tyle wart co szpital w Dülmen. Ale ona tylko ponownie pokręciła głową. Nie dając się zbić z tropu mówił dalej. - Co także ciekawe, Ottmar Denner pochodził z Bonn. Razem z Georgiem Frankenbergiem studiował w Kolonii i w czasie studiów nadal mieszkał z rodzicami. W tamtym czasie jeździł srebrnym volkswagenem golfem GTI, numer rejestracyjny zaczynał się oczywiście od BN. Staramy się właśnie zdobyć jego obecny adres. Nie jest to proste. Wydaje się, że wyjechał za granicę. Pomagać w krajach Trzeciego Świata.

Przed zaledwie paroma godzinami rozmawiał z rodzicami Ottomara Dennera. Nie uzyskał żadnych informacji. Twierdzili, że nie wiedzą, gdzie obecnie przebywa syn. W Ghanie, w Sudanie lub Czadzie. Odmówili także dać zdjęcie syna. Do czego mu potrzebne? Co zarzucano Ottmarowi Dennerowi? Jego rozmówca okazał się niskim, grubym mężczyzną, energicznym ojcem, który znał prawa swoje i syna.

Rudolf Grovian wyobrażał sobie, że położy przed nią na stole kilka fotografii, pięć, sześć lub siedem. Poprosi, by wskazała na niskiego grubasa. Nic z tego! Ale w obecnym stanie rzeczy pewnie na widok zdjęcia też tylko pokręciłaby głową.

O Hansie Böckelu nie dowiedzieli się jeszcze niczego. Rudolf Grovian zakładał, że Böckel był tym, który pochodził z północnych Niemiec. Ale jeśli Hans Böckel miał kiedyś związek z domem w Hamburgu, to nie był w nim zameldowany. Nie mógł być także kolegą Frankenberga ze studiów. Nie istniał odpowiedni wpis w dokumentach na uniwersytecie.

Otrzymał natomiast wyjaśnienia od ojca Georga Frankenberga. Rudolf Grovian nie mógł porozmawiać z matką. Przeżyła szok. A profesorowi Johannesowi Frankenbergowi nazwiska Denner i Böckel nic nie mówiły. Przygoda syna z muzyką była tylko chwilową zachcianką, trwała ledwie kilka tygodni. Georg szybko zrozumiał, że jego czas jest zbyt cenny na takie zabawy.

W maju przed pięcioma laty Georg Frankenberg zatrzymał się w domu. Przebywał w prywatnej klinice ojca, w której leczył złamaną rękę. Złamał ją 16 maja, tak wynikało z dokumentów w klinice. Dokładnie tego dnia, gdy Cora Bender - wychodząc z jej pierwszej wersji, do której tak dobrze pasowały odnalezione zwłoki - poznała go bliżej w lokalu w Buchholz.

Według zeznań ojca Georg Frankenberg wrócił na weekend do domu, przyjechał w piątek wieczorem, w sobotę rano nieszczęśliwie upadł. Ale szczęście w nieszczęściu, złamanie nie okazało się skomplikowane, a dom i prywatną klinikę dzieliło zaledwie kilka metrów. Nie trzeba było nawet wzywać innego lekarza.

Prokuratorowi zeznanie profesora Johannes Frankenberga wystarczyło, by wycofanie się Cory Bender z zeznań

uznać za prawdę. Rudolfowi Grovianowi nie wystarczyło. Data złamania ręki dosłownie go zelektryzowała. Dokumenty można było zmienić, jeśli prowadziło się własną klinikę i wiedziało, że syn wpadł w niezłe tarapaty. Właśnie 16 maja! Inna data nie obudziła w nim podejrzeń. Ale...

- Profesor Frankenberg to honorowy człowiek – wyjaśnił jej. - Nie tak łatwo da się obalić jego zeznania. Możemy tylko mieć nadzieję, że Ottmar Denner i Hans Böckel, jak tylko ich znajdziemy, potwierdzą pani wersję.

Do tej pory jedynie się przysłuchiwała, życząc mu, by poszedł do diabła i skrycie podziwiając go za upór. Nie zatrzymywał się przed niczym, niczego się nie lękał, nawet obciążenia ojca ofiary.

Gdy mówił o srebrnym volkswagenie golfie GTI, narosła w niej panika. Szybko się jednak uspokoiła. To musiał być przypadek, że przyjaciel Johnny'ego jeździł takim samym autem jak kolega Georga Frankenberga. Typowy samochód młodych mężczyzn. Szef spoglądał na nią uważnie i wy-

- Nikt niczego nie potwierdzi - odparła. - Opowiedziałam panu zmyśloną bajeczkę.

Rudolf Grovian od dwóch dni nie słyszał jej głosu. W jego wspomnieniach był nadal twardy, wrogi, chłodny i obojętny jak przed sędzią. Zachrypnięte, zupełnie pozbawione emocji brzmienie i jej skulona, skierowana do wewnątrz postawa nakazywały ostrożność.

W zamyśleniu pokręcił głową. - Nie, pani Bender, postacie z bajek nie zostawiają zwłok w pobliżu terenów wojskowych. Znalazłem dziewczynę, która była z panią w piwnicy. Martwą dziewczynę z dwoma złamanymi zębami, pani Bender. A pani słyszała, jak pękały.

Zostawił to na koniec, strzał na osłep na wypadek, gdyby nie chciała mówić. Być może tylko mały kapiszon. Jeśli



rzeczywiście dopiero w sierpniu, a nie już w maju... wtedy zwłoki nie miały dla niego znaczenia. Ale patrząc na jej reakcję nie był to wcale kapiszon, raczej raca świetlna. W jednej chwili powróciła do życia. Zobaczył, jak z trudem łapała oddech, zanim wykrztusiła: - Niech mnie pan zostawi w spokoju z tymi bzdurami! Pomyśl tylko, człowieku. Nie mogłam nic słyszeć w tym hałasie. Jeśli rzeczywiście zdarzyłoby się tak, jak wcześniej opowiedziałam. Ale nie zdarzyło się. Załóżmy jednak, że tak. Było tam pięć osób i głośna muzyka. Nie wiem, jaki dźwięk wydają łamane żebra. Nie może być jednak tak głośny.

Jej dłonie zaczęły drżeć. Prawą zacisnęła na lewej. Pamiętał to z nocy. Pierwsze sygnały alarmowe. Albo - zgodnie z dotychczasowymi doświadczeniami wołał to tak nazywać - zapowiedź nadchodzącej prawdy, z którą nie chciała się zetknąć. Jego umysł zwiększył czujność, jednocześnie ostrzegawczo unosząc palec: - Przestań, Rudi! Zostaw to lekarzom. - Serce biło mu trochę mocniej.

- Jest pan... - parsknęła ochryple. Najwyraźniej brakowało jej właściwego słowa albo było ono zbyt ordynarne. Zamiast tego spytała: - Uważa pan, że postępuje w porządku? Biega pan w koło i dręczy jego ojca. Jak panu nie wstyd? Biedny facet, musi to mocno przeżywać. Ma jeszcze inne dzieci?

Pokręcił głową i obserwował jej zmieniający się wyraz twarzy, pocieranie i zaciskanie dłoni. Głos Cory załamał się, ramiona opadły, głowa też. - Więc musimy go zostawić w spokoju. Co się stało, to się nie odstanie. Nikomu nie pomoże, że pan dowiedział się o śmierci dziewczyny. Zgadza się, umarła. Ale ja nie miałam z tym nic wspólnego. Mam na sumieniu tylko tego mężczyznę.

Gdy ponownie uniosła głowę i spojrzała mu w twarz, przeszedł go dreszcz. Było coś dziwnego w jej spojrzeniu. Potrzebował kilku sekund, zanim właściwie to ocenił. Udało

mu się tylko dlatego, że jej słowa potwierdziły podejrzenia. Obłąd!

- Niewinnego człowieka - powiedziała. - A on nie zmartwychwstanie trzeciego dnia. Szczernieje, dostanie robaków i zgnije. Jeśli koniecznie chce pan dręczyć jego ojca, niech pan mu powie, żeby go spalił. Zrobi to pan? Musi pan to zrobić. I musi mi pan coś obiecać. Jeśli pewnego dnia stanie się to ze mną, nie chcę zostać spalona. Niech pan tego dopilnuje. Chcę mieć anonimowy grób. Może mnie pan pochować nawet przy placu ćwiczeń wojskowych. Niech mnie pan po prostu pogrzebie obok tej dziewczyny.

Plac ćwiczeń wojskowych, pomyślał. Nie tak to określił. Ale nie drążył tematu. Ciągle drżał pod jej spojrzeniem. Przecież to niemożliwe! Całkowicie panowała nad swoimi zmysłami, aż do niedzielnego popołudnia wstrząśnięta, przez jakiś czas przytłoczona ciężarem swego czynu i całkowicie zdecydowana ponieść konsekwencje, ale nie była wariatką. I żeby w ciągu dwóch dni straciła rozum... Nie, to niemożliwe. Znalazła się tylko na

Zmienił temat, zaczął mówić o jej dziecku w nadziei, że obudzi w niej coś na kształt woli walki. Dwuletni chłopiec! Czy nie uważa, że tak małe dziecko potrzebuje matki?

- A komu potrzebna zaraza? - odparła.

- Nikomu - stwierdził. - I nikomu nie są potrzebne robaki ani ogony wilków lub tygrysów w brzuchu. Przykro mi, pani Bender, miałem nadzieję, że będziemy mogli porozmawiać jak normalni ludzie. Ale jeśli pani nie umie lub nie chce, potrafię to zrozumieć. Pewnie nie jestem odpowiednią osobą, by rozwiązywać pani problemy. Za to odpowiadają specjaliści. W najbliższych dniach zjawi się tu jakiś.

- Co to znaczy? - spytała. I zanim zdążył odpowiedzieć, wybuchła. - Nie chcę mieć nic wspólnego ze specjalistami. Niech mi pan tylko nie przysyła jakiegoś psychiatry. Powiem panu coś: jeśli jakiś się tu zjawi...! Co się miało

wtedy stać, nie wyjaśniła, przerwała w połowie zdania, wierzchem dłoni otarła czoło i uśmiechnęła się. - Ach, po co się denerwuję! Nie muszę przecież z nikim rozmawiać. Na pewno nie z psychiatrą. Niech pan posłucha: jeśli o mnie chodzi, może pan przysłać tuzin konowałów. Ale niech pan im powie, żeby przynieśli ze sobą karty, aby czas się im nie dłużył.

Jej wybuch podzielał na niego uśmierzająco. Pozostał przyjacielski, spytał, czy nie wolałaby porozmawiać z kobietą zamiast z mężczyzną. Pewnie mógłby to załatwić. Nie odpowiedziała.

Chciał się pożegnać i podszedł do drzwi ze słowami:

- Nie mogę zapobiec zaangażowaniu specjalisty z dziedziny psychologii. Decyzja należy do prokuratora. Uważam, że to dobre rozwiązanie.

Wtedy lód ostatecznie pękł.

- Uważa pan! - ofuknęła go i stanęła mu na drodze. - Dla pana każdy sposób jest dobry. Najpierw naciska pan na mnie, powołując się na moją rodzinę, a teraz na pieprzonego specjalistę. Wyobraża pan sobie, że on wyciągnie ze mnie więcej? Wiem, co pan chce usłyszeć. Proszę bardzo, dostanie pan to. Oszczędzimy państwu kilka marek. Takiemu specjaliście przecież się płaci. A na pewno bierze on więcej niż jakiś monter. Niech potem nie mówi się, że przysporzyłam niepotrzebnych wydatków.

- Nie musi mi pani nic mówić, pani Bender. - Tupnęła nogą. - Ale teraz chcę, do cholery. Teraz chcę, a pan mnie wysłucha. Woli pan zapisywać, czy zapamięta pan? Ojciec Frankiego pana nie okłamał. Nie poznałam Frankiego w maju, dopiero później. Być może w sierpniu, nie pamiętam dokładnie. Już jakiś czas dawałam sobie w żyłę, ciągle byłam na haju i nie patrzyłam na kalendarz.

Pociągnęła nosem, dotknęła koniuszkami palców oczu.

- Ma pan może paczkę chusteczek higienicznych? Już

o nie prosiłam, ale zapomnieli. Być może trzeba za nie zapłacić, a ja nie mam przy sobie pieniędzy.

Pogrzebał w kieszeniach, znalazł napoczętą paczkę i wręczył jej. Wyjęła jedną chusteczkę, wytarła pośpiesznie oczy i włożyła ją ostrożnie z powrotem do innych. Uśmiechnęła się do niego. - Dziękuję. I przepraszam, że podniosłam głos. Nie chciałam tego. Ach, bzdura, jasne, że chciałam. To zasrane uczucie, gdy nie ma się nawet prawa, by zamieść własne brudy pod dywan. Lepiej od razu pana uprzedzę, że to wielka kupa brudów.

Również się uśmiechnął. - Z pewnością widziałem już większe.

Wzruszyła ramionami. - Być może, ale ja nie. - Potem jej ramiona wyprostowały się. - A więc - zaczęła - prawdopodobnie było to w sierpniu. Najpierw powiedziałam, że w maju, bo się wstydyłam. Już pierwszego wieczora poszłam z nim do łóżka i uczepliłam się go jak rzep psiego ogona. Miał towar i dość pieniędzy, by mnie regularnie zaopatrywać. Nie musiałam się już o nic troszczyć. W zamian wymagał, żebym z nim spała. Było w porządku, robiłam to dobrowolnie. Ale po kilku tygodniach powiedział, że chce, bym spała także z jego kolegami.

Zaśmiała się gorzko. - Zrobiłam to. Robiłam wszystko, czego ode mnie zażądał. Chciał się przyglądać, razem z tamtą dziewczyną. Nie wiem naprawdę, jak się nazywała. Ale to nieważne. To była taka głupia krowa, którą sobie przywiózł z domu. Nic jej nie zrobił. Na pewno jej nie bił. Chciałam tylko, żeby tak było. Był w niej bardzo zakochany i pragnął jej pokazać, jakim jest niezłym facetem i że może ze mną zrobić wszystko.

- To było w sierpniu?

Pokręciła głową. - Nie, w październiku.

- I gdzie pani z nim była? Bo przecież nie w domu.

Ponownie potrząsnęła głową. - Byliśmy raz tu, raz tam. W Hamburgu lub Bremie, zwykle spałam na ulicy. Czasami dawał mi pieniądze na pokój. Przyjeżdżał pod koniec tygodnia i włóczyliśmy się. A raz byliśmy w tym ekstra domu. Tego wieczoru, gdy się to zdarzyło.

- Co się dokładnie stało? - Nie wiedział, czy powinien jej wierzyć. Mówiła spokojnym, opanowanym głosem, w którym pobrzmiwała rezygnacja. Brzmiało to dość prawdopodobnie.

- Zaszłam z nim w ciążę. Powiedział, że jeśli zrobię, czego zażąda, postara się o dobrego lekarza, który wszystko załatwi. Trochę płakałam, ale wiedziałam, że to bez sensu. Więc się poddałam.

Ponownie się roześmiała, był to raczej szloch. Jej spojrzenie biegło po małym pomieszczeniu, wielokrotnie przeciągnęła dłonią po czole. - Wie pan, jak się wtedy czułam? Leżę na podłodze i pozwalam się brać obu tym typom. A ta zdzira siedzi z nim na kanapie i żąda, żebym zrobiła to jeszcze raz, z dwoma naraz... Dławiła się. - Powiedziała: - Nie psuj nam zabawy, skarbie. A potem do jednego z tamtych: daj jej działkę, to rozluźnia.

Zadrżała i wreszcie spojrzała mu w twarz. Jej głos ponownie brzmiał twardo i opanowanie. - Przytrzymali mnie i naszprycowali towarem. Myślałam, że chcą mnie tym zabić. Broniałam się. Zaczęli mnie bić i kopać, po głowie i brzuchu. A potem nagle zaczęłam krwawić. Przestraszyli się i odczepili ode mnie. Zostawili mnie leżącą. Jakoś udało mi się dotrzeć do ulicy. Wbiegłam pod samochód. Miałam tyle szczęścia, że kierowca był lekarzem. Zobaczył, że poroniłam. I że byłam na haju. Ale teraz naprawdę wystarczy. Zaraz zapyta pan znowu o jego nazwisko. Ale tego nigdy się pan ode mnie nie dowie.

- Dlaczego nie, pani Bender? Przecież on nie popełnił żadnego wykroczenia. A obecnie wygląda na to, że jest jedyną osobą, która mogłaby potwierdzić pani opowieść.

Znowu spojrzęła na ścianę gdzieś za nim i wymamrotała:

- Na pewno tego nie zrobi. Będzie twierdzić, że nigdy mnie nie widział.
- Dlaczego miałby tak twierdzić?

- Bo był świnią. Dotykał mnie, kiedy nie wiedziałam jeszcze, o co mu chodzi. Myślałam, że chce mnie tylko zbadać. Kiedyś obudziłam się w nocy i zobaczyłam, że się przy mnie onanizuje. A wcześniej mnie obmacywał. Chce pan wiedzieć więcej?

Zobaczył, jak zaciska dłoń wokół małej paczuszki, jak jej oczy zaczynają błyszczeć. - To był stary, napalony cap - wyrzuciła z siebie. - Gdy wchodził do pokoju, wszystko śmierdziało potem. Powiem panu coś! Jeśli jeszcze raz spojrzę tej świni w twarz, a jeśli podam jego nazwisko, na pewno będę musiała, to zakłuję go tak samo jak Frankiego. I nikt mi w tym nie przeszkodzi, nawet jeśli na sali sądowej będzie pełno policjantów. A teraz niech mnie pan zostawi w spokoju.

Obróciła się, oparła się ręką o ścianę i skryła w niej twarz. Płakała. Pierwszy raz widział ją płaczącą. Odruchowo położył jej dłoń na ramieniu, czuł potrzebę, by zrobić lub powiedzieć coś pocieszającego. Strząsnęła jego rękę i wyszochała: - Odczep się pan. Nie ma pan pojęcia, co się dzieje, gdy z panem rozmawiam. Wszystko powraca. Wszystko ożywa. Nie wytrzymam tego. Niech pan już idzie. Zniknie. I zostawi mojego ojca w spokoju. To stary człowiek, jest schorowany, jest... Nigdy mi nic nie zrobił. Nie mógł nic poradzić, że w jego wieku wciąż ma swoje potrzeby. To wszystko była moja wina.

## Rozdział 9

Wszystko przez słodycze. Opychając się nigdy nie myślałam o tym, że muszę się gdzieś odkładać. Gdy skończyłam trzynaście lat, zaczęło to wyraźnie być widoczne. Sporo utylam. Dziecięcy tłuszczyk, mówiła Margret, żartując ze mnie, gdy przyjeżdżała w odwiedzin. Nie chciałam być gruba i próbowałam zrzucić kilogramy. Nie było to jednak takie proste, bo nie potrafiłam przestać kraść.

Zasoby pieniędzy rosły. Czasami siedziałam w szopce i liczyłam je. Wyobrażałam sobie, że pewnego dnia dzięki nim wyjadę bardzo daleko. Pamiętam wciąż, że gdy uzbierałam tysiąc dwieście siedemdziesiąt osiem marek, poszłam na dworzec i spytałam, ile kosztuje bilet do Hamburga. - Nie chcę go teraz kupić - powiedziałam. - Chcę się tylko dowiedzieć.

Mężczyzna w okienku spytał: - Zwykły czy powrotny?

- Zwykły - odparłam. - Nigdy nie wrócę. Czy może pan mi także powiedzieć, ile kosztuje podróż statkiem?

Zaśmiał się: - To zależy dokąd. Samolotem jest szybciej. Ale trzeba dopłacić za każdy dodatkowy kilogram.

Dodatkowe kilogramy, myślałam, odchodząc od okienka. Wzięłam osiem marek i poszłam do lodziarni, gdzie połknęłam wielki owocowy puchar z bitą śmietaną. Potem udałam się do łazienki i wsadziłam sobie palec w gardło. Od tamtej pory robiłam tak zawsze, gdy zjadłam coś słodkiego.

Magdalena uważała, że koniecznie muszę przestać. - To choroba - powiedziała. - Kilka osób już na nią zmarło. Lepiej kupuj sobie za te pieniądze inne rzeczy. - Myślała,

że chodzi tylko o kieszonkowe, które dostawałam od ojca. - Fajne ciuchy - stwierdziła. - Też możesz je chować w szopce. Będziesz się przebierać wychodząc i wracając. Jak założysz ekstra ubranie, to zobaczysz, że bardziej polubisz samą siebie.

Nie wyobrażałam sobie, żeby ubranie mogło coś zmienić. Byłam za gruba, uważałam, że jestem okropna i ciągle moczyłam się w nocy. Już nie każdej, ale często, chociaż od dawna nie śnił mi się wilk. Po prostu nie budziłam się, kiedy powinnam pójść się załatwić.

Najczęściej zauważałam, że znowu wszystko jest mokre, gdy ojciec się już tym zajął. Często wstawał, dwa lub trzy razy w nocy. Od razu kierował się w stronę mojego łóżka. I sięgał pod koldrę.

Czasami dziwiłam się, że jest dla mnie taki cierpliwy, że nigdy nie przeklina, nawet słowem o tym nie wspomni. Moje łóżko śmierdziało, cały nasz pokój śmierdział, bo tak często miałam mokry materac, że nigdy do końca nie wysychał. W lecie wietrzyłam go przy oknie. A potem kupiłam sobie gumowe prześcieradło.

W jakiś sposób dorosłam jedynie na zewnątrz, ale za to porządnie. Urosły mi piersi i włosy pod pachami, na dole też. Gdy ojciec w tym samym czasie co ja kładł się spać, wstydziłam się. Nie chciałam się przy nim rozbierać. Nie zauważał tego. Szłam do łazienki, by tam się przebrać, ale przychodził za mną, bo chciał mi jeszcze coś opowiedzieć. Co zdarzyło się w pracy lub z samochodem. Z matką nie mógł o tym rozmawiać, więc omawiał wszystko ze mną. Lubiłam to, ale nie podobało mi się, że przygląda się, jak się rozbieram.

Potem dostałam miesiączki. Niewiele wiedziałam o tym, co się ze mną działo. Oczywiście byłam uświadomiona, dzięki szkole. Od strony czysto biologicznej, jak się zachodzi w ciążę. Margret także raz ze mną o tym rozmawiała.



Ale głównie zależało jej na tym, abym były przygotowana na pierwsze krwawienie.

Gdy Margret ze mną rozmawiała, wiedziałam już od dawna, co mnie czeka. Matka dokładnie mnie poinstruowała. Ze mam się strzec i nie otworzyć przed mężczyzną bramy do piekła. Że wkrótce dotknie mnie także przekleństwo Ewy. Rzeczywiście było to przekleństwo.

Gdy zbliżała się miesiączka, miałam okropne skurcze. Już kilka dni wcześniej stawałam się nerwowa, czułam, że nadchodzi, i najchętniej zaszyłam się w jakimś ciasnym kącie. Ale musiałam chodzić do szkoły. I nie chciałam się zwalniać z gimnastyki, żeby nikt nic nie zauważył.

Spytałam Grit Adigar, co mam zrobić podczas pływania. Co tydzień na zmianę ćwiczyliśmy w sali gimnastycznej albo chodziliśmy na basen. Nie mogłam przecież wchodzić do wody z podpaską. Grit zaproponowała, żebym używała tamponów. Wyjaśniła mi, jak się z nimi obchodzić. Uważałam, że to wstrętne, ale robiłam tak, a potem myłam ręce w gorącej wodzie, dopóki nie spuchły i nie poczerwieniały.

Inne dziewczynki z klasy były tym zachwycone. Uważały się za dorosłe i przechwalały się między sobą. Mówiły o tym także w obecności chłopców. - Mam teraz okres. - Wydawało się, że chłopców to kręci.

Potem pojawiła się gazeta. Zobaczyłam ją u pewnej dziewczynki na boisku. „Bravo”, pismo dla młodzieży. Oczywiście od razu musiałam je mieć. Schowałam pismo w szopce. Czytałam je po południu, gdy Magdalena odpoczywała. Było w nim mnóstwo artykułów, które mnie interesowały. O muzyce, piosenkarzach i zespołach rockowych, o aktorach i jak się należy malować. Były też listy od ludzi, którzy prosili o poradę.

Był tam list od dziewczyny tylko rok starszej ode mnie, która chodziła już z chłopakiem. On miał własny pokój, gdzie nikt im nie przeszkadzał. Gdy byli sami, dotykał jej

i wkładał jej palec pod majtki. Jego członek stawał się wtedy sztywny, a jej bielizna mokra. Dziewczyna chciała wiedzieć, czy to normalne. Wstydziła się wilgoci, ale jej chłopakowi się podobała. Był już nieco starszy. Miał chyba siedemnaście lat.

W odpowiedzi na list napisano, że mokre majtki to normalne zjawisko, że powinno tak być. Dla mężczyzny wilgoć to oznaka seksualnego podniecenia kobiety. Wie wtedy, że jest gotowa do stosunku.

Mój Boże, ale się wstydziłam. Zastanawiałam się, co ojciec o mnie myślał. Czy sądził, że chcę go w ten sposób zachęcić. Zrobiło mi się niedobrze. Nagle wszystko stało się inne, wszystko było na odwrót.

Gdy wieczorem ojciec wrócił do domu, natychmiast wyszłam. Nie potrafiłam siedzieć razem z nim w kuchni. Już gdy się pokazał, poczułam, jak płonie mi twarz. Zauważył, że coś jest ze mną nie tak. Magdalena też. Po posiłku ojciec jeszcze raz gdzieś pojechał. Matka poszła do salonu. Zabrałam się do zmywania. Magdalena została ze mną w kuchni i zapytała, co się ze mną dzieje. - Miałś twarz jak pomidor.

Opowiedziałam jej o liście. Najpierw tylko o nim. Pomyślała, że mam chłopaka, i nalegała, bym zdradziła jej więcej. Wszystko, co do tej pory robiliśmy.

- Żaden chłopak mnie jeszcze tak nie dotknął - powiedziałam. - I nikt już mnie tak nie dotknie.

- Co to znaczy, już nikt? - spytała. - Więc jednak ktoś był! Nie stawiaj się tak, Cora. Dalej, opowiedz mi.

Nie chciałam. Ale nalegała tak długo, aż wreszcie się zdradziłam. Słuchała uważnie, a gdy skończyłam, stwierdziła: - Pokaż mi dokładnie, jak cię dotykał.

Gdy jej pokazałam, wyśmiała mnie. - To się nie liczy! Nie masz co się tym przejmować. Sprawdzał tylko, czy się zsiusiałaś w łóżko. Nie ma w tym nic złego, to przecież

twój ojciec. To tak samo, jakby dotykała cię matka lub lekarz. Zastanów się, jak często matka mnie tam maca, gdy mi robi lewatywę albo mnie myje. Musiałaby być lesbijką, gdyby coś w tym było. A co dopiero lekarze, nawet sobie nie wyobrażasz. Jak potrzebują próbki moczu, nie czekają, aż będę musiała iść się załatwić. Wsuwają mi po prostu cewnik. Nie, wierz mi, ojciec nie zrobił nic złego. Molestowanie wygląda zupełnie inaczej.

Wiedziała to od młodej kobiety, z którą kiedyś leżała w klinice w jednym pokoju. Kobieta ta stała na ulicy, ćpała i ostro piła. Jej życie się skończyło. Opowiedziała Magdalenie, że zawdzięcza to swojemu ojcu. Wziął się za nią, gdy jeszcze chodziła do szkoły. Najpierw palcem, a potem naprawdę.

- Tego ci nie zrobił, prawda? - spytała Magdalena.

Pokręciłam głową.

- Widzisz - stwierdziła. - Naprawdę nie masz się czym martwić. Jak mi nie wierzysz, spytaj Margret.

Nie chciałam. Skoro ojciec nie zrobił nic złego, dlaczego miałabym pytać Margret? To, że coś złego pomyślałam, stanowiło mój problem. Sądziłam też, że ojciec jest starym człowiekiem, o wiele za starym, aby chcieć czegoś takiego. Jakże się myliłam.

To były prawdziwe grzechy, cielesne żądze. Nie chodziło o kawałek cielęciny. Chodziło o starego mężczyznę, który nie umiał kontrolować swego popędu. Który dał mi się poznać, jak to wyraziła matka, gdy jeszcze nie wiedziałam, że są dwa rodzaje ludzi. A gdy już wiedziałam o tym bardzo dobrze, zrobił to znowu.

W kwietniu, trzy tygodnie przed moimi czternastymi urodzinami, obudziłam się w nocy. Musiałam iść do toalety. W pierwszej chwili ucieszyłam się bardzo, że nie nasusiałam do łóżka. Poszłam po ciemku do łazienki i nie

zauważyłam, że ojciec nie leżał w łóżku. W łazience zapaliłam światło i zobaczyłam, jak stoi przed umywalką. Spodnie od piżamy miał spuszczone do ziemi. Slipy także zsunął. Ścisnął w rękę swój członek i poruszał dłońią tam i z powrotem. Wiedziałam, co robi. Chłopcy w szkole mówili na to walić konia.

Uważałam, że to ordynarne wyrażenie. Fakt, że robił to mój ojciec, gdy zdecydowałam się już traktować go jako nieszkodliwego, starszego człowieka, był straszny. Jeszcze straszniejsze było to, że nie potrafiłam oderwać wzroku. A najgorsze, że musiał mnie zauważyć, bo otworzyłam drzwi i zapaliłam światło. Ale nie przerwał. Jego twarz, dźwięki, jakie wydawał - to było odpychające.

Nagle obrócił się do mnie. - Idź do łóżka! - wykrzyknął. - Co się tu pętasz jak duch?

Odkrzyknęłam: - Muszę siku!

- To sikaj do łóżka! - wrzasnął. - I tak zawsze to robisz.

Był na tyle głośny, że z pewnością obudził matkę i Magdalenę. Ale to go nie obchodziło. Uważałam, iż to okropne z jego strony, krzyczeć tak na cały dom. Nie moja wina, że moczyłam się w łóżku. Zawsze sam mi powtarzał, że nic na to nie mogę poradzić. - To łzy duszy - mówił. A potem szedł do łazienki. Może z tego samego powodu jak tej nocy.

Pobiegłam z powrotem do pokoju i rzuciłam się na łóżko. Zapomniałam, że musiałam się załatwić. Kilka minut później przyszedł za mną. Usiadł obok i pogładził mnie po głowie. Umył ręce. Poczulałam zapach mydła.

Popatrzył na mnie, jakby chciał mnie uderzyć. Zamiast tego zaczął płakać i wyjąkał: - Przykro mi. - Szlochał jak trzylatek, który rozbił sobie kolano. Było to dla mnie chyba jeszcze bardziej odpychające niż ta poprzednia rzecz. Gdy się uspokoił, stwierdził: - Mam nadzieję, że jak będziesz starsza, zrozumiesz. Nie da się walczyć z naturą. Co mam robić? Są kobiety, którym można za to zapłacić. Ale wtedy

jest to tylko handel. Gdy jestem sam, mogę sobie przynajmniej wyobrazić, że jest przy mnie kobieta, która mnie kocha. Każdy człowiek, nawet stary, chce być kochany.

- Dawniej bardzo cię kochałam - powiedziałam i najchętniej także bym się rozplakała.

Tak jak się tego obawiałam, hałas zbudził matkę i Magdalенę. Rano przy śniadaniu matka patrzyła na mnie dziwnie, ale nie spytała, co się stało. Gdy po południu wróciłam ze szkoły, Magdalena chciała się dowiedzieć i naciskała za każdym razem, gdy matka opuszczała kuchnię: - No powiedz wreszcie! Co zrobił? Włożył ci jednak palec? A może wsadził ci go całego?

Pokręciłam głową. Nie chciałam mówić o tym, co się naprawdę zdarzyło. Nie było to także konieczne. Magdalena mogła sobie wyobrazić, co się stało. Od dawna wiedziała, dlaczego w nocy chodzi do łazienki.

Ojciec często pukał do drzwi obok i wołał do matki, że teraz znowu idzie zrobić tak, jak ten facet z Biblii, który tracił swoje nasienie w ziemi. I czy matka ma czyste sumienie, że on ciągle musi grzeszyć w ten sposób.

Magdalena wyśmiewała się z tego. - Nasz staruszek jest jeszcze całkiem żwawy. Ale z wieloma w jego wieku tak jest. Starzy są często najgorsi, możesz mi wierzyć. Zwłaszcza że nie mogą mieć tego, co chcą. A teraz powiedz wreszcie. Naprawdę widziałaś dokładnie, jak to robił?

Nie potrafiłam o tym mówić. Przez cały dzień czułam w środku zamęt. A co dopiero w nocy! Ojciec przez kilka dni wracał do domu bardzo późno. Najczęściej leżałam już jakiś czas w łóżku, nie mogąc spać. Czasami myślałam, że gdy wreszcie przyjdzie, powinnam mu powiedzieć coś miłego. Że ciągle go kocham. Tak często okłamywałam ojca w innych sprawach, że nic by się nie stało.

Jednak gdy słyszałam jego kroki na schodach, gdy naciskał kłamkę, czułam, jak mój brzuch robi się twardy, zimny

i sztywny jak kamień, przez który nie można oddychać. Nie potrafiłam nic powiedzieć. Udawałam, że śpię, i czekałam, co zrobi. Czy jeszcze raz wstanie, czy podejdzie do mnie lub pójdzie do łazienki.

Chciałam, żeby znowu mogło być tak jak dawniej, gdy spałam nawet w jego łóżku. Kiedy nie był nikim więcej, tylko moim ojcem. Nagle przestał nim być, został tylko odpychający stary człowiek, który sam się zaspokajał. Chłopcy w szkole mówili, że trzeba przy tym myśleć o nagich kobietach. O czym myślał ojciec, dowiedziałam się trzy tygodnie później.

W niedzielę siedzieliśmy przy obiedzie, gdy nagle powiedział do matki. - Przenieś moją pościel. Zamieniamy się. Tak dalek nie może być.

Matka oczywiście się nie zgodziła. A on krzyknął na nią: - Czym się jeszcze przejmujesz po tych wszystkich latach?! Chyba nie myślisz sobie, że jeszcze mnie podnieca twój pomarszczony zadek? Nie martw się. Wolę soczysty kawałek ciałka. I nie chcę mieć takiego co noc w swoim zasięgu. Nie chcę poświęcać drugiego baranka. Jeśli będzie tak dalej, za nic nie ręczę. I nie zaczynaj mi teraz z Magdaleną. Jak się jej pogorszy, nawet ty nic nie poradzisz, choćbyś spała przy niej i sto razy.

Tego wieczora jeszcze raz musiał spać w jednym pokoju ze mną. Matka nieco wcześniej niż zwykle poszła z Magdaleną na górę i zniknęła drzwi od wewnątrz. Następnego dnia ojciec zabrał jej klucz i przeniósł swoją pościel.

Magdalena przeprowadziła się do mojego pokoju. Cały tydzień w domu panowała z tego powodu ciężka atmosfera. W końcu matka pojęła, że jej czystość nie jest zagrożona i że ja dobrze sobie daję radę z Magdaleną. Co prawda w ciągu pierwszych nocy bałam się. Nie byłam przyzwyczajona do jej dziwnego oddechu. Magdalena wyśmiała mnie. - Zawsze tak oddycham. W ciągu dnia nie zwracasz na to uwagi.

Po kilku tygodniach uznałam, że jest świetnie. Ona także była zadowolona. Zwykle po kolacji zabierałam ją na górę. Wolała, żebym ja w tym pomagała, a nie matka. Nosić jej nie mogłam, zresztą matka od dawna też już nie nosiła. Ale jeśli szło się bardzo powoli, wystarczyło mocno ją podpierać. Potrafiła nawet wejść po schodach, musiała tylko zatrzymywać się na każdym stopniu.

Przytrzymywałam ją, gdy czyściła zęby. Wolała robić to sama. Potem musiałam ją myć. Nie wolno jej już było kąpać się w wannie. Dawniej matka wsadzała ją do środka, a później wyjmowała. Gdy urosła, ojciec kupił krzesło z dużą dziurą na siedzeniu i miską pod spodem. To się sprawdzało. Należało tylko potem wytrzeć podłogę.

Na początku byłam dość niezręczna. Szorowałam ją tak samo jak siebie. Jednak w przeciwieństwie do mnie od ciągłego leżenia miała bardzo wrażliwą skórę. Drapiącą myjką sprawiałam jej ból.

- Zrób to lepiej rękoma - prosiła. - Potem weź gąbkę, by spłukać mydło. A ręcznikiem tylko dotykaj. Matka nigdy tego nie zrozumiała. Chociaż może myślała, że jak mnie będzie drapać przy myciu, to przynajmniej w ten sposób dołożę się do powszechnej pokuty.

Po myciu smarowałam ją kremem, aby nie dostała odleżyn. Potem wkładałam jej koszulę nocną i zabierałam do łóżka. Jeśli w kuchni nie było już nic do zrobienia, zostawałam przy niej. Przed zaśnięciem opowiadałyśmy sobie mnóstwo rzeczy.

Leżąc w łóżku za zamkniętymi drzwiami mogłam rozmawiać inaczej. A Magdalena była jedyną osobą, z którą dało się pomówić o wszystkim całkiem otwarcie. Nie o kradzieżach, ale o tych rzeczach, o wstręcie wobec ojca i samej siebie. Że nigdy nie chcę mieć chłopaka.

Chociaż była rok młodsza ode mnie, miała zupełnie inne nastawienie. - Poczekaj tylko - powiedziała. - Jak zgubisz

kilka kilogramów, wstręt do siebie samej minie. Ten drugi też. Też się brzydę starego mężczyzny. Jak myślisz, dlaczego nie dają się dotykać ojcu? Tego mi tylko brakuje, żeby mnie obmacywał. Na pewno wsadziłby mnie do wanny i wyjął, gdybyś go o to poprosiła. Ale powiem jedno: dziękuję bardzo. Z młodym mężczyzną to zupełnie co innego. Lekarze tacy są. To wielka różnica, jak wyglądają, jakie są w dotyku ich dłonie. Najbardziej lubię studentów. Pozwalają im często zbiorowo się mną zajmować. Dla nich jestem eksponatem, cudem medycyny. Połówką serca z nieoperowalnym aneurysmem aorty, które od lat trzyma się mimo wszelkich zastrzeżeń. Kto wie, może ta rzecz w moim brzuchu dawno przejęła rolę pompy.

Zaśmiała się cicho. - Chłopcy stoją i nie wiedzą, jak mają przyłożyć stetoskop. Dużo więcej niestety nie dają im zrobić. Tylko posłuchać, jak brzmi dziurawy balon.

Pragnęła mieć chłopaka, później, w wieku piętnastu lub szesnastu lat. Albo lepiej od razu, ponieważ nie sądziła, że uda się jej skończyć piętnaście czy szesnaście lat.

Gdy szef ją zostawił, potrzebowała prawie godziny, by się uspokoić. Nie rozumiała, jak mogła dać się sprowokować do opowiedzenia mu tej wstrętnej historii, skoro przecież miała już w ręku chusteczki. Spała z dwoma mężczyznami! Zapewne zrobiła to w tym najbrudniejszym rozdziale swego życia. W każdym razie przez chwilę coś takiego jej mignęło.

A potem ujrzała przed sobą ojca - ze spuszczonej spodniami i piekielnie wściekłego. Mało brakowało, a wyrwałoby się z niej i to. Zdążyła temu zapobiec, czyniąc lekarza kozłem ofiarnym.

Postąpiła niewybaczalnie. Ten człowiek uratował jej życie nie żądając niczego w zamian. Dobroduszny, przyjacielski człowiek. Ani razu nie dotknął jej w taki sposób, jak to opisała szefowi. Nie był plugawym staruchem, tylko męż-



czynną w białym kitlu, który popełnił mały błąd i lekko pijany usiadł za kierownicą.

Miał najwyżej pięćdziesiąt lat, pociągłą twarz i ciemną, przystrzyżoną brodę. Gdy przychodził do niej, zwykle trzymał w ręku strzykawkę. Dłonie miał wąskie i zadbane. I ciepły, łagodny głos. - Jak się pani czuje? Zaraz pani zaśnie.

Zgięcia łokci miała pokryte ropiejącymi wrzodami. Na wierzchu dłoni tkwił dren. Tam robił zastrzyk. I zaraz potem nadchodziła ciemność, koniec okropnego bólu. W głowie był nie do zniesienia. Tłuczenie, wiercenie i kłucie, jakby jej czaszkę rozciągnięto na imadle. A założono jej tylko opatrunek.

Pęknięcie czaszki, powiedział lekarz, gdy wreszcie była w stanie zadawać mu pytania. Między innymi, dodał, istniały także inne obrażenia. A te nie mogły powstać na skutek owego małego zderzenia. Nie jechał szybko, od razu zahamował i właściwie tylko musnął ją wlotem chłodnicy, gdy pojawiła się przed maską. Przed trzema tygodniami, kiedy wyskoczyła z ciemności na skraju szosy.

Nieprzytomna przez trzy tygodnie?

- Niech się pani cieszy - odparł. - Najgorsze pani przespała. Odwyk to okropna sprawa. Całe ciało się buntuje, nerwy wariują. A pani nic nie czuła.

Spytał, jak się nazywa. Powiedział, że nie miała przy sobie dokumentów. Spytał również, czy wie, co się z nią stało. Nie wiedziała. Wszystko uciekło. Nie tylko te trzy tygodnie, o których mówił, wymazanych zostało ponad pięć miesięcy.

Ostatnie, co pamiętała, to sobota w drugim tygodniu maja. Urodziny Magdaleny! Butelka szampana! Kupiona - nie ukradziona - u Aldiego, aby uczcić ten dzień. Trzy dni ukrywana w szopce. Wydobyta spod starych worków na ziemniaki, gdy matka z ojcem wyszli z domu, by spędzić

kolejny wieczór w kręgu nieudaczników, którzy pięli się do nieba, bo nie potrafili samodzielnie ustać na ziemi.

Szampan był ciepły, gdy przyniosła go do domu. Włożyła butelkę do lodówki. Leżała tam prawie do ósmej wieczorem. O ósmej Magdalena chciała wypić łyk na rozpoczęcie kolejnego roku życia. Tylko łyk. - To mi z pewnością nie zaszkodzi - stwierdziła. - Albo nawet pomoże przeżyć ten rok.

Nikt w to nie wierzył, tylko Magdalena. Ona oczywiście całkowicie wierzyła. Ale lekarze w Eppendorf nie - jak zwykle. W kwietniu Magdalena ponownie pojechała do kliniki. Musiała zostać znacznie dłużej niż przewidywane dwa dni. Nie chciała powiedzieć, z jakiego powodu.

- Opowiadają mi same bzdury. Gdyby miało być, jak mówią, już dawno nic by ze mnie nie zostało. Nie rozumieją, jak to działa. Jeśli o mnie chodzi, mogą sobie włożyć moje serce i aortę brzuszną w tyłek. I moje nerki też. Nie potrzeba mi nic oprócz siły woli. To jest to, Cora! Jeśli człowiek chce żyć, żyje. Od osiemnastu lat jestem tego dowodem. I udowodnię im też, że operacja jest możliwa. Ile pieniędzy już mamy?

Magdalena wiedziała, że urodziła się punktualnie o ósmej.

- Zostaniesz ze mną tak długo?

- Zostanę z tobą cały wieczór. Nie myślisz chyba, że pojedę w twoje urodziny.

- Aleja chcę, żebyś pojechała. Przynajmniej jedna z nas powinna porządnie świętować. Za rok obie się zabawimy. Wydamy takie przyjęcie, że cała ulica będzie się trzęsła. Dzisiaj zrobisz to jeszcze sama. Nie musisz przecież zostawać tak długo jak zwykle. Będę zadowolona, jeśli wrócisz o jedenastej. Wypijemy sobie trochę szampana. I opowiesz mi, jak było. Spotykasz się z Horstem?

- Nie. Tydzień temu uprzedziłam go, że dziś nie mogę. Powiedział, że nie szkodzi. Ojciec już kilka razy prosił go, żeby zajął się samochodem. Będzie mógł to zrobić.

- To głupota. Ale może i tak przyjdzie. Nie będzie się przecież zajmować samochodem cały wieczór i całą noc. A jak go nie będzie, zabaw się z innym. Trochę urozmaicenia nie zaszkodzi. Obiecaj mi, że spędzisz dwie miłe godzinki z jakimś fajnym facetem. Potem wrócisz, a potem...

To było szesnastego maja! I nagle nastał październik. Lekarz nie wiedział, co działo się w międzyczasie. Uśmiechał się do niej, każąc jej poruszać palcami, rękoma i nogami. - Z pewnością sobie pani przypomni. Proszę dać swojej głowie trochę czasu na wypoczynek. A jeśli wspomnienia nie wrócą, to znaczy, że dużo pani nie straciła.

- Muszę jechać do domu - powiedziała.

- Jeszcze troszeczkę potrwa, zanim będzie można o tym pomyśleć. - Podniósł jej lewą stopę, ukłął igłą w piętę. Gdy drgnęła, powiedział: - Bardzo dobrze. - A potem dodał: - Teraz niech pani zaśnie. Potrzeba pani dużo wypoczynku.

Gdy przychodził, nie mówił wiele. Oprócz niego zjawiała się tylko pielęgniarka. Ponura osoba w podobnym wieku, która nie otwierała ust i nie wykonywała ani jednego zbędnego ruchu. Przynosiła jedzenie, poprawiała poduszki, wygładzała prześcieradło i myła ją. Lekarz prowadził z nią ćwiczenia, by od ciągłego leżenia nie zesztyniała. Kazał jej liczyć i recytować szkolne wierszyki, aby stwierdzić, czy w jej mózgu zaszły zmiany z powodu uderzeń i zażywania heroiny. Wbijał igłę w dren na jej dłoni, smarował jątrzące się wnętrza ramion leczniczą maścią i zmieniał butelkę pod

A ona myślała o Magdalenie, która jej potrzebowała, i o tym, że jak najszybciej musi wrócić do domu. Magdalena chciała pokazać lekarzom w Eppendorf, co było możliwe. Chciała poddać się operacji w Stanach Zjednoczonych, jeśli starczyłoby pieniędzy na przelot i szpital. Na razie nie

starczało. Brakowało jeszcze ogromnej kwoty, którą musiała zdobyć. Zastanawiała się nad tym, dopóki zastrzyk nie przerwał jej myśli.

W małym pokoiku nie było dni ani nocy. Nie miał on okien, tylko słabą lampkę przy ścianie. Za każdym razem, gdy otwierała oczy, widziała, że się pali. Za każdym razem, gdy przychodził lekarz, próbowała się dowiedzieć więcej. Ale on nie wiedział zbyt wiele.

- Nie sądzę, aby to był wypadek - powiedział kiedyś. - Okoliczności temu przeczą. Naga młoda dziewczyna bez dokumentów, naszpycowana heroiną. - Mówił o poważnych obrażeniach w okolicy genitaliów i innych miejscach, typowych dla określonych praktyk seksualnych, co nasuwało tylko jeden wniosek.

Dla niego obraz rysował się jasno. Uzależniona prostytutka. Łatwy łup dla jakiegoś zbrojnego, sadysty, kogoś, kto lubił tortury. Kto zostawił swą ofiarę nieprzytomną na skraju szosy, być może sądząc, że ją zabił.

- Powinienem był zawiadomić policję - powiedział. - Ale bałem się stracić prawo jazdy. A potem pomyślałem, że pani musi sama zdecydować, gdy będzie już pani w stanie. Policja sądziłaby po pozorach. Byłoby tak, jakby pani sama postawiła sobie pieczętkę na czole. Sądzę, że to niepotrzebne. Widzi pani, nieważne, co się zdarzyło, nieważne, jak pani żyła, wyszła pani z tego bez trwałych uszkodzeń. A jest pani jeszcze młoda, nie ma pani dwudziestu lat. Może pani zacząć od nowa. Musi pani mieć tylko silną wolę i trzymać się z daleka od tej trucizny. Pani organizm jej już nie potrzebuje, musi pani teraz przekonać tylko swoją duszę. Bez heroiny żyje się lepiej, niech mi pani wierzy. Przede wszystkim żyje się taniej. Żeby się utrzymać, wystarczy wtedy wykonywać szanowany zawód.

- Gdzie właściwie jestem? - spytała.

- W dobrych rękach - odparł i uśmiechnął się. - Proszę mi wybaczyć, jeśli myślę teraz o sobie.

Oczywiście wybaczyła mu. Takiemu dobrodusznemu, wyrozumiałemu i kochanemu człowiekowi trzeba było wybaczyć, jeśli raz jeden myślał o sobie i unikał ryzyka, że później za swoją pomoc zostanie ukarany odebraniem prawa jazdy. Był niemal świętym. Tylko jemu zawdzięczała, że odnalazła na nowo drogę do normalnego życia.

A ona uczyniła z niego potwora. Ponieważ nie potrafiła przyznać się, czym naprawdę była: kupką brudu, która coraz głębiej zanurzała się w rynsztoku i w końcu dopuszczała do siebie każdego i pozwalała robić ze sobą wszystko.

A szef nie popuszczał, wiercił i drążył w starych ranach, dopóki nie zaczęły pękać, jedna za drugą. Jeśli porozmawia z ojcem... To była ostatnia rzecz, jaką powiedział, zanim wyszedł. Że następnego ranka musi jechać do Buchholz. - Bardzo mi przykro, pani Bender. Nie mogę zostawić pani ojca w spokoju. Ale nie będę go denerwował bez powodu, obiecuję to pani. Chcę tylko zapytać...

Ojciec wiedział o perwersyjnych znajomościach. Ojciec wiedział także o innych perwersjach.

Ostatni grzech! Nie grało już roli, czy Zbawiciel przebaczy lub czy będzie musiała smażyć się w piekle, jak to często obrazowo przedstawiała matka. Przez całą wieczność setki małych diabłów będą ci rozrywać ciało rozpalonymi do czerwoności obcęgami. Już dawno się przecież do tego zabrały. A przewodził im szef, wskazywał im miejsca, gdzie najlepiej chwycić obcęgami.

Po kolacji poczekała kilka godzin, aż mogła być pewna, że czujność została uspiona. W nocy nie przychodzili tak często jej sprawdzać. Tuż po dwunastej wzięła chusteczki, porwała jedną z nich na małe kawałki, skrzyła je w kulki i zapchała sobie nimi nos.

Początkowo mogła oddychać tylko przez usta. Pozostałe trzy chustki zmięła razem i stanęła w nogach łóżka twarzą do ściany. Potem wypuściła powietrze, wepchnęła chustki

do gardła - tak głęboko, jak się dało. I zanim opuściła rękę, z rozmachem uderzyła głową o mur.

Rudolf Grovian wyruszył w drogę w środę o szóstej rano. Gdy wychodził z domu, Mechthild jeszcze spała. Obliczył, że jazda potrwa pięć godzin. Nie uwzględnił jednak robót drogowych w kilku miejscach na autostradzie A1. Pierwszy korek tuż za Kamener Kreuz kosztował go pół godziny, drugi przed zajazdem Dammer Berge prawie całą godzinę. Dopiero około wpół do pierwszej dotarł do celu.

Buchholz w Nordheide. Czyściuteńkie miasto, dużo zieleni, w centrum niewiele budynków zbudowanych jakieś dziesięć - piętnaście lat temu. Dzieciństwo Cory Bender w tym otoczeniu - pasowało to jak pięść do oka. Owo porównanie przywołało wspomnienie jej pobitej twarzy.

Chwilę jeździł wzdłuż i wszerz po mieście, rozglądając się i zaznajamiając z układem ulic, zanim zatrzymał wóz przed domem jej rodziców. Miły domek, zbudowany prawdopodobnie na początku lat sześćdziesiątych. Czysty i ładny tak jak budynki w sąsiedztwie, zadbane ogródki, wypucowane okna, za nimi bielutkie firanki. Z niedowierzaniem niemal pokręcił głową.

Dokładny adres uzyskał we wtorek wieczorem od Gereona Bendera. Początkowo chciał się o niego zapytać Margret Rosch, a przy okazji zadać jej jeszcze kilka pytań. Jednak ciotka Cory Bender niespodzianie zniknęła. Musiał więc zadowolić się rozmową z mężem i usłyszał, że Gereon Bender jeszcze nigdy nie spotkał teściów.

- Od lat nie chcieli mieć z nią nic wspólnego. Powinienem się nad tym bardziej zastanowić. Musieli mieć powód. Mnie także od początku okłamywała. Przez wiele miesięcy opowiadała, że Margret jest jej matką. A jej ojciec zmarł na krótko, zanim skończyła czternaście lat. Dopiero przed

ślubem wyszło to na jaw. Powinienem ją bardziej popędzić. Proszę mi powiedzieć, jak to jest? Mnie też przecież zraniła. Chyba mogę ją zaskarżyć z powodu obrażeń ciała. A może się to nie liczy, jeśli jest moją żoną?

Gereon Bender powiedział jeszcze więcej. Przyznał, że w ciągu ostatniego pół roku jego małżeństwo nie układało się tak różowo. Jeszcze jedna rzecz, w której czuł się oszukany. - Zawsze była nieco pruderyjna. Jednak miałem poczucie, że sprawia jej to przyjemność, tylko nie chce tego okazywać. Ale od Bożego Narodzenia...

Radio w sypialni i te wyjątkowe pieszczoty z wyraźnie nieprzyjemnymi skutkami. Gereon Bender trochę się wstydził, ale nie pominął szczegółów, użył nawet dokładnej nazwy. Seks oralny. - Niech pan nie myśli, że tego od niej wymagałem. Nigdy tak nie było. Chciałem zrobić jej wyjątkowo dobrze. Za to prawie złamała mi kark.

Odkąd Rudolf Grovian to usłyszał, wrócił do podejrzeń, które pojawiły się w trakcie przesłuchania. Molestowanie w dzieciństwie. Bardziej to pasowało do narkotyków i odczuwanego wstrętu. Jej ostatni wybuch także pasował. Rzeczywiście szyte grubymi nićmi. Z jednej katastrofy wpadła w drugą. I niech pan zostawi mojego ojca w spokoju! To stary człowiek! O którym powiedziała mężowi, że nie żyje.

Nadal wierzył w sedno jej opowieści, że kiedyś przeżyła scenę, o której mówiła przed omdleniem. - Słyszałam, jak pękają jej zębra. - Czegoś takiego nikt nie wyssałby z palca. Ale tylko on uważał, że Georg Frankenberg brał udział w tym horrorze.

Nawet Mechthild, która, o ile właśnie nie zajmowała się córką, chętnie stawiała po stronie sprawców i znajdowała litanie usprawiedliwień kończących się stwierdzeniem, że ludzie ci powinni być właściwie wypuszczeni na wolność, zgadzała się tym razem z prokuratorem, Wernerem Hossem, sędzią i prasą.

Niewinny człowiek, w dodatku lekarz, musiał umrzeć z powodu jakiegoś szaleństwa. Lekarze byli dla Mechthild nietykalni, popełniali błędy, ale to im przecież trzeba się było poddawać i patrzeć na nich z zaufaniem, aby nie odczuwać zimnego dreszczu przerażenia, gdy brali do ręki nóż.

Cora Bender unicestwiła jednego z tych godnych zaufania ludzi, o którym prasa pisała, że żył tylko swoją pracą. W oczach Mechthild nie było miejsca na litość. W poniedziałek rano przeczytała o tym w gazecie i z wdzięcznością podjęła wątek, by uniknąć wszelkich dyskusji o zbliżającym się rozwodzie córki.

Nie od razu to zrozumiał. Początkowo szczerze cieszył się, że po długich latach Mechthild znowu zainteresowała się jego pracą i dała mu okazję, by powiedział, co mu leży na sercu. Nie przyniosło to jednak oczekiwanej ulgi.

Mechthild uznawała co prawda, że dzieciństwo Cory Bender to okoliczność łagodząca. Jednak gdy skończył mówić, odparła: - Nie chciała-bym się znaleźć na twoim miejscu, Rudi. Jak się czujesz, musząc wykończyć takie biedne stworzenie?

- Nie zamierzam jej wykończyć - zaprotestował.

Mechthild uśmiechnęła się pobłażliwie. - Więc co zamierzasz, Rudi? Na oczach setki ludzi zabiła lekarza. Nie można jej przecież za to poklepać po ramieniu.

- Jeśli uda mi się udowodnić...

- Rudi - przerwała mu Mechthild. - Nie oszukuj się. Możesz udowadniać, co chcesz, jedyne pytanie, to czy posłać ją do więzienia, czy do szpitala psychiatrycznego.

Wiedział, że miała rację. Ale nie wiedział, czy kiedykolwiek znajdzie dowód na związek między Frankiem i Corą. Przed pięcioma laty między majem a listopadem dla Cory Bender zawałił się świat lub zdarzyło się coś innego, co spowodowało, że zaczęła wymyślać niestworzone kłamstwa,



a jej ciotka po dobrowolnym złożeniu wyjaśnień szybko zniknęła. O Georgu Frankenbergu usłyszeli do tej pory same dobre rzeczy. Cichy, zamknięty w sobie człowiek, prawie nieśmiały wobec kobiet.

A Gereon Bender powiedział: - Kłamie jak z nut. - Oczywiście, że kłamała, nie mogła postąpić inaczej. Gdy ktoś napierał na jej mur, z konieczności wrzucała wszystko, co jej przychodziło do głowy, do jednego garnka, porządnie mieszała, a potem nakładała pełną chochlę chaosu na następny talerz. Później trzeba było porządkować to, co podała, i przy każdym kawałku zastanawiać się, skąd go wzięła.

Było już wiadomo, że większość faktów dotyczących życia Frankenberga mogła usłyszeć nad jeziorem. Większość, nie wszystkie. Winfried Meilhofer nie wymienił przydomków Kozioł i Tiger, ponieważ nigdy ich wcześniej nie słyszał. Georg Frankenberg rozmawiał z nim zawsze o Hansie Böckelu i Ottomarze Dennerze. Meilhofer nie wspominał także o srebrnym golfie GTI z rejestracją z Bonn.

Samochód i oba przydomki to było wszystko, co zostało Rudolfowi Grovianowi w ręku, by móc narysować linię od ofiary do sprawcy. A przydomki mogły być przecież wytworem wyobraźni Cory Bender. Fakt, że dla niego logiczne było powiązanie między słowami Böckel a Kozioł oraz *Song of Tiger*, nie dowodził niczego.

Ale jeśli lubiło się gry logiczne, wyłaniała się interesująca możliwość. Hans to Johnny, Guitar, czyli gitara. Winfried Meilhofer sądził, że przypomina sobie, jak Frankie wspominał raz, iż Hans Böckel był gitarzystą w zespole. Georg Frankenberg mógł 16 maja leżeć ze złamaną ręką pod opieką ojca. To Hans Böckel spotkał wtedy Corę i przez niego zetknęła się z

Nie liczył, że od jej ojca dowie się czegoś istotnego. Nie zamierzał wywierać na niego nacisku. - Czy targnął się

pan na swoją córkę, panie Rosch? Czy to panu zawdzięczamy katastrofę? - O to mogli się później zatroszczyć eksperci. Chciał tylko paru informacji o okresie między majem a listopadem. I nazwę szpitala, w którym leczono jej obrażenia głowy.

Gdy zadzwonił do drzwi, otworzyła mu kobieta wyglądem pasująca do miasta. Zadbana, młoda, tak że mimowolnie musiał przełknąć ślinę. Przez głowę przemknęły mu słowa Cory Bender. - Matka ma sześćdziesiąt pięć lat. - Kobieta na progu mogła co najwyżej niedawno przekroczyć czterdziestkę, była modnie ubrana, z krótką fryzurką i delikatnym makijażem. W rękę trzymała ścierkę, wyglądało, że przerwał jej zmywanie.

Przedstawił się nie podając powodu wizyty ani swojego zawodu i zapytał z wahaniem: - Pani Rosch?

Uśmiechnęła się. - Niech Bóg broni! Jestem Grit Adigar, sąsiadka.

Malutki kamień spadł mu z serca, ale tylko bardzo malutki. - Chciałbym porozmawiać z panem Roschem. Wilhelmem Roschem.

- Nie ma go - odparła Grit Adigar.

- Kiedy wróci? - spytał.

Grit Adigar nie odpowiedziała. - W jakiej sprawie chciałby pan z nim rozmawiać? - I zanim jeszcze zdążył wyjaśnić, wydawało się, że zrozumiała. Spojrzała ponad jego ramieniem na samochód, który zaparkował przy ulicy i zamyślona skinęła głową. - Chodzi o Corę. Jest pan z policji, prawda?

Ponownie nie zdołał odpowiedzieć. - Margret mówiła, że pewnie ktoś się zjawi - wyjaśniła Grit Adigar. - Niech pan wejdzie. Nie będziemy rozmawiać w drzwiach.

Odeszła od progu. I wtedy wszystko się zmieniło.

Za drzwiami znajdował się wąski, ciemny korytarz, tapety na ścianach musiały liczyć tyle samo lat co dom. Na lewo

zobaczył schody, na stopniach leżał wytarty chodnik w paski. Na wprost dostrzegł uchylone drzwi, przez które wpadała wąska smuga światła. Prowadziły do kuchni. Na prawo od niej znajdowały się kolejne drzwi. Gdy podszedł, zauważył, że również były otwarte.

Pokój za nimi musiał być salonem. Okno wychodziło na ulicę. Bielutkich firan nie było stąd widać. Całkowicie zakrywały je ciężkie, brązowe zasłony. Pokój pogrążony był w ciemności. W otwartych drzwiach stała druga kobieta.

Wzdrygnął się, gdy nagle postąpiła krok naprzód. Twarz jak u szczura. Siwe włosy sięgające do pasa wyglądały, jakby nie myła ich od tygodni. Tak też pachniały. Postać niczym zbyt obszerny płaszcz otaczał kwaśno-stęchły zapach. Jak na kobietę była wysoka, gdyby stanęła wyprostowana, przewyższałaby go o kilka centymetrów. Pochyliła się jednak, jakby na plecach spoczywał jej ogromny ciężar. Wzdłuż ciała zwiślał wyblakły, niegdyś kolorowy fartuch.

Przechodząc Grit Adigar złapała kobietę za ramię: - Tak się nie umawiałyśmy, Elsbeth! Najpierw musisz zjeść wszystko z talerza, potem możesz się dalej modlić.

Kobieta nie zareagowała, z lekko pochyloną głową spojrzała na Rudolfa Groviana i spytała: - Szuka ładaczniczy?

- Nie. Chce rozmawiać z Wilhelmem. Zajmę się tym.

Odpowiedź Grit Adigar wywołała na cienkich ustach załosnej postaci coś na kształt uśmiechu, któremu towarzyszyło zamyślane skinienie. - Cierpliwość Pana się wyczerpała i pokarał go. Odebrał mu głos i siły. Rzucił go na łóżko, z którego się już nie podniesie.

To była ogromna różnica słyszeć jak Cora Bender opowiada o matce, pomyśleć o tym przez chwilę, a potem zobaczyć tę matkę przed sobą, usłyszeć jej głos. Mimo letniego ciepła Rudolfa Groviana przeszył dreszcz. Wyobraził sobie, że dziecko musiało przez całe dni słuchać tego namaszczonego tonu, i aż się zatrzęsł.

- Już dobrze, Elsbeth - powiedziała Grit Adigar, mocniej chwytając stęchły tobolek za ramię i popychając go przed sobą do kuchni. - Usiądziesz teraz na krześle i zrobisz, jak nakazuje Pan. On lubi puste talerze. Wyrzucać jedzenie do kosza, to by było marnotrawstwo. A wiesz przecież, co o tym sądzi.

Do Rudolfa Groviana powiedziała: - Proszę się nią nie przejmować. Już wcześniej było z nią kiepsko, ale od poniedziałku wszystko się jej pomieszało. A jeśli się pan zastanawia, kogo kochana Elsbeth określa jako ładacznicę, to nie chodzi o Corę. Miała na myśli Margret. Dla Elsbeth ładacznicą jest każda kobieta, która wiąże się z żonatym mężczyzną.

Uznał wyjaśnienie za niepotrzebne. A gdy ktoś wyjaśniał mu coś nie pytany, zawsze nadstawiał uszu i zastanawiał się, do czego się to może

Usiedli we troje przy starym kuchennym stole. Na szafce z boku stało wiele oprawionych w ramki fotografii. Na każdej z nich Cora Bender: sama, z synkiem, z mężem i z całą rodziną. Zdjęcie ślubne, migawka z połogu, nowy dom. Grit Adigar podążyła za jego spojrzeniem i ponownie wyjaśniła nie pytana: - Margret regularnie przesyłała zdjęcia. To ołtarzyk Wilhelma. Mógł tu siedzieć godzinami i patrzeć na fotografie. Marzył, że kiedyś Cora przyjedzie w odwiedziny. Że będzie mógł przytulić wnuka. Ale ona nigdy by tego nie zrobiła. Sądzę, że on wiedział, iż nigdy jej już nie zobaczy.

Rudolf Grovian stwierdził, że to dobry wstęp, by od razu skierować rozmowę na kwestię, o którą wciąż się potykał. Być może prędzej dowie się czegoś od sąsiadki niż od rodziców czy ciotki, która woląla zniknąć po dobrowolnym złożeniu zeznań. - Czy Wilhelm Rosch nastawa! na swoją

Grit Adigar wytrzeszczyła oczy z oburzeniem. - Wilhelm? Co też panu przychodzi do głowy? Tylko policjant

może wpaść na taki pomysł. Prędzej sam by się wykastrował. Cora była dla niego wszystkim. Jej odejście stąd niemal go zabiło. A gdy Margret w poniedziałek...

Opowiadała po kolei. Margret Rosch przyjechała tu dwa dni przed nim. Nie wyjechała w celu uniknięcia dalszych pytań, lecz w najlepszej wierze jeszcze w nocy z niedzieli na poniedziałek udała się do Buchholz, aby ostrożnie przekazać bratu, co się stało. Takich wiadomości nie dało się jednak przekazać bardzo ostrożnie. Wilhelm Rosch miał atak. Jego stan nie był dobry. Margret przebywała z nim w szpitalu.

W poniedziałek wszystko stało się tak szybko, że nie było czasu na wyjaśnienia. Margret Rosch do tej pory tylko raz zadzwoniła do Grit Adigar i oznajmiła, że dla Wilhelma nie ma wiele nadziei. I że być może zjawi się ktoś z policji, ponieważ Cora popełniła ogromną głupotę.

- Czy próbowała się zabić? - chciała się dowiedzieć Grit Adigar.
- Nie.

Z ulgą przyłożyła obie dłonie do twarzy i wymruczała: - Bogu dzięki. Już myślałam, że znowu to zrobiła. Bo Wilhelm tak...

Znowu! W uszach Rudolfa Groviana brzmiało to jak wypowiedź osoby dobrze poinformowanej. Która wiedziała znacznie więcej niż ciotka, nie utrzymująca z rodziną bliższych stosunków. I która mogła pomóc tak samo jak rodzice Cory Bender. A przede wszystkim była gotowa powiedzieć, co wiedziała.

Grit Adigar nie była jednak gotowa w pełni. Najpierw chciała usłyszeć od niego, co właściwie zmagistrowała Cora. Ujęła to w niewinny sposób, a na jej ustach przemknął uśmiech. Szybko jednak zamarł.

Zdecydował się na szczerość, opisał sytuację w kilku krótkich zdaniach. Grit Adigar przeknęła mocno kilka razy

i potrzebowała nieco czasu, by dojść do siebie. - Wielki Boże!

Elsbeth Rosch uniosła głowę, którą do tej pory trzymała opuszczoną nad talerzem. Jej łagodny ton przybrał ostre brzmienie. - Nie używaj imienia...

- Zamknij się, Elsbeth - nakazała krótko Grit Adigar. Oddychała głośno.  
- Jak się nazywał ten mężczyzna?

- Georg Frankenberg.

- Nigdy nie słyszałam tego nazwiska.

Pokazał jej zdjęcie, ale również pokręciła głową. Nigdy nie widziała też srebrnego golfa z bońską rejestracją.

- A czy mówią coś pani nazwiska Hans Bockel, Ottomar Denner lub przezwiska Frankie, Kozioł i Tiger?

Wzruszyła ramionami. - Przykro mi, ale nic mi nie mówią.

- A Johnny Guitar?

Grit Adigar uśmiechnęła się krótko. - O nim słyszałam. Ale powinien pan raczej porozmawiać z moją młodszą córką. Wiem tylko, że Johnny przed kilkoma laty zawrócił w głowach połowie dziewczyn w Buchholz. Moja Melanie nie była wyjątkiem. Zajmował się muzyką. Dla młodych dziewcząt to lepsze niż mechanik samochodowy.

Muzyką, pomyślał, to już coś. Grit Adigar nie wiedziała, na jakim grał instrumencie. I nie wyobrażała sobie też, żeby Cora i Johnny mieli się zejść. - Miała przecież stałego chłopaka, Horstiego. - Rudolf Grovian prawie o nim zapomniał.

Grit Adigar ponownie się roześmiała, jakby chciała się w ten sposób usprawiedliwić. - Znam tylko jego imię. Dla nas zawsze był Horstim. Cora uważała go za miłość swojego życia. Poznała go w wieku siedemnastu lat. Już po trzech miesiącach oznajmiła, że pewnego dnia pobiorą się i wyjadą z miasta. Całkiem straciła dla niego głowę. Nikt tego nie rozumiał. Niski, chuderlawy facet, wyglądał prawie jak

albinos, jasna cera i pszeniczne włosy, brakowało mu tylko różowych oczu. Kilka razy widziałam go przelotnie, gdy się kręcił na ulicy czekając na Corę. Moja Melanie mogłaby panu powiedzieć więcej. Niestety, jest teraz w Danii, wróci dopiero w przyszłym tygodniu. Ale często widywała ich razem i podśmiewała się z wielkiej miłości Cory. Nazywała go patykiem.

Wyglądało na to, że walczy na straconej pozycji. Chłopak jak patyk. Następne pytanie. - Czy zna pani szczegóły tamtej próby samobójczej, jakie były jej powody?

Grit Adigar skinęła powoli głową, zastrzegła jednak: - Wiem tylko tyle, ile opowiedziała mi Cora. To nie zdarzyło się tutaj. Powiedziała, że rzuciła się pod samochód. Nie podała powodu. Nie musiała. Był całkiem jasny. Nie pogodziła się ze śmiercią Magdaleny.

## ROZDZIAŁ 10

Gdy padło to imię, Rudolf Grovian poczuł nieprzyjemne klucie z tyłu głowy oraz niepohamowaną wściekłość na Margret Rosch. Zbawiciel i pokutująca Magdalena! Grit Adigar niemal pół godziny opowiadała bez przerwy o sinym zawiniątku, biedzie, blaszanym kubku, oparzeniach na dłoniach, poranionych kolanach, mokrych prześcieradłach i wyschłej duszy.

Samo przysłuchiwanie się było udręką. Przez cały czas miał uczucie, jakby w następnej chwili miał coś zrozumieć, dostrzec jakiś związek, o którym do tej pory nie miał pojęcia, że w ogóle istnieje. Którego nie chciał dostrzec, bo miał posmak szaleństwa. Widząc gderającą Elsbeth przy stole, trudno sobie było wyobrazić, żeby pod jej kuratelą wyrosło choćby na wpół normalne dziecko.

Związek się nie pojawiał. Zrozumiał tylko jedno: dlaczego Cora Bender do tej pory nie wspomniała o siostrze. Ponieważ z jej śmiercią wiązało się brzemie winy, którego w żaden sposób nie dało się wymazać. Winna jeszcze przed narodzeniem. Bo wyciągnęła z łona matki wszystkie siły.

Mógłby własnoręcznie przetrącić kark tej żalostnej postaci. Gdy tak ślęczała nad talerzem, był przekonany, że to na niej ciążyła odpowiedzialność za śmierć Georga Frankenberga, nie bezpośrednio, ale to nie zdejmowało ani grama winy z tych kościstych ramion.

Grit Adigar opisała samodzielne, ciche, zamknięte w sobie dziecko i młodą, zbuntowaną dziewczynę, która z jednej strony we wzruszający sposób dbała o chorą siostrę, a z dru-



giej - szukała drogi do własnej wolności. Sobotnie wieczory z Horstim w „Aladynie”.

Oślawiony lokal. Chodziły plotki, że przed laty oferowano tam nie tylko muzykę, tańce i napoje. Łatwo było także dostać narkotyki. „Aladyn” przestał istnieć dobre cztery lata temu. Teraz była to tylko miła, czysta restauracja, w której można było dobrze zjeść za rozsądną cenę.

- Czy Cora była uzależniona od narkotyków? - spytał.

- Dopóki tu mieszkała, nie - odparła Grit Adigar pewnym tonem. - Była zbyt odpowiedzialna. A później, chce pan usłyszeć szczerą odpowiedź?

Z założenia takiej właśnie chciał. Grit Adigar powiedziała: - Nie sądzę. Zawsze uważałam, że jej ramiona przemawiają raczej przeciwko temu niż za. Musiały to być ropiejące rany. Nie miałam nigdy do czynienia z ćpunami, ale chciałabym zobaczyć takiego, który kłuje się we wrzody. Wolą wtedy dać sobie w nogę czy w coś innego, ciągle się o tym słyszy. Zapytałam ją, a ona odparła: też w to nie wierzę, Grit, ale nie wierzę w wiele rzeczy, a jednak się zdarzają. Nie byłoby nic dziwnego, gdybym ćpała. Po tym dramacie tutaj.

Według Grit Adigar dramat ten wydarzył się w sierpniu przed pięcioma laty. Nie brała w nim osobiście udziału, tamtej soboty udała się z wizytą do znajomych i wróciła dopiero późno w nocy. Dlatego podkreśliła, że może opowiedzieć jedynie o swych przypuszczeniach. Były to jednak przypuszczenia, które brzmiały prawdopodobnie.

W kwietniu lekarze stwierdzili, że Magdalena naprawdę umiera. W połowie maja jej stan się pogorszył. Cora nie opuszczała domu, nie chodziła nawet po zakupy. Wilhelm musiał się tym zajmować. Dzień i noc Cora siedziała przy łóżku siostry.

W tym czasie Grit Adigar widziała kilkakrotnie Horstiego, gdy włóczył się po ulicy, aby znaleźć się przynajmniej

w pobliżu Cory lub umożliwić jej spojrzenie na miłość swego życia.

Istniała więc sprzeczność z tym, co Margret Rosch opowiedziała na temat obu telefonów brata. Grit Adigar szybko się z nią uporała. - Margret musiała Wilhelma nie zrozumieć. Złe towarzystwo! Na pewno tego tak nie ujął. A nawet jeśli, to nie miał na myśli Horstiego, a raczej Magdaleny. Wilhelm nie umiał się z nią dogadać - a ona z nim. Nie było z nią łatwo żyć. Kiedy człowiek jest śmiertelnie chory, nie oznacza to, że brak mu własnej woli. Magdalena ją miała, może mi pan wierzyć.

Grit Adigar uśmiechnęła się blado i opowiadała dalej o tamtych miesiącach. Ostatnie chwile Magdaleny przeciągały się. Jak to często bywa ze śmiertelnie chorymi, tuż przed końcem ponownie rozkwitła, zdawała się zdrowieć. W sierpniu Cora zaryzykowała. Wilhelm i Elsbeth pojechali do Hamburga, a ona wyszła wieczorem z wiernym Horstim. Nie było jej zaledwie kilka godzin. Gdy wróciła, siostra nie żyła.

Grit Adigar podniosła się. - Proszę pójść ze mną, chcę panu coś pokazać. - Wpatrzona w talerz Elsbeth została w kuchni. Grit wyszła na korytarz i wspięła się po wąskich schodach. Na górze znajdowały się tylko trzy pary drzwi. Otworzyła jedno z nich.

Za nimi znajdował się spartańsko urządzone pokój. Dwa łóżka i nocny stolik, nic więcej. Na stoliku stał mały budzik, którego wskazówka stanęła między czwartą a piątą. Obok leżał walkman ze słuchawkami, za nim stos kaset. A przed kasetami fotografia w srebrnych ramkach.

Było to amatorskie zdjęcie. Przedstawiało dwie młode dziewczyny siedzące razem na łóżku. Włosy obu sięgały aż do srebrnych ramek. U jednej były jasnoblonde, u drugiej rudobrzowe.

Rudolf Grovian wziął fotografię do ręki i przyjrzał się jej. Zwrócił uwagę przede wszystkim na otoczoną rudo-

brązowymi włosami twarz Cory. Nigdy nie widział jej z takim uśmiechem. Wyglądała poważnie, zatroskana i miła. Ramieniem obejmowała siostrę. A Magdalena...

- Bardzo ładne dziewczyny - powiedział.

- Ładne były obie - zgodziła się Grit Adigar. - Ale o Magdalenie to za mało powiedziane. Była prawdziwą pięknoscią, z takich co doprowadzają mężczyzn do obłędu. Czasami myślałam, że natura wynagrodziła jej wszystkie wewnętrzne braki wyglądem zewnętrznym lub przez te właśnie braki ocaliła jakiegoś mężczyznę od ruiny.

Westchnęła, wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się zażenowana. - Człowiekowi dziwne myśli przychodzą do głowy, gdy przypatruje się takiej osobie z bliska. Podobnie musiała wyglądać Elsbeth jako młoda kobieta. Nic dziwnego, że straciła rozum przy tym dziecku. Cora bardziej przypomina Wilhelma. Magdalena była żywą kopią matki.

- Zupełnie nie widać po niej choroby - stwierdził.

Grit Adigar ponownie się uśmiechnęła. - Niesamowite, prawda? Praca serca była do tego stopnia zmieniona, że całe ciało spuchło. W dodatku przestały działać nerki. A wyglądała kwitnąco. Tylko blada cera wskazywała, że coś z nią było nie tak. Zanim pozwoliły mi zrobić zdjęcie, Cora musiała przez pół godziny męczyć się z kosmetykami. Magdalena nie chciała się dać sfotografować. Była bardzo próżna i zgodziła się dopiero wtedy, gdy Cora ją umalowała. To jej jedyne zdjęcie. Zrobiłam je na początku kwietnia, na dwa dni przedtem, zanim po raz ostatni zabrano ją do Eppendorf. Wtedy myśleliśmy, że ma się lepiej niż kiedykolwiek. Przytyła. Jej twarz się zaokrągliła, nogi przestały wyglądać jak patyki. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że była to tylko woda. Odstawił zdjęcie i obrócił się. Nad drugim łóżkiem umocowano półkę, na której piętrzył się stos książek.

- Książki znaleźliśmy wtedy w szopce - wyjaśniła Grit Adigar. - Później Wilhelm zawiesił półkę nad łóżkiem Cory i ustawił je tutaj.

Chodziło głównie o specjalistyczne książki medyczne. Dwie zaliczyć można było do działu psychologii. Znamienna tematyka, obłęd religijny i samoleczenie siłą woli.

Grit Adigar nie wspomniała, że Wilhelm znalazł w szopce jeszcze jedną, malutką i cienką książeczkę z samymi liczbami. Ponad trzydzieści tysięcy marek! Wilhelm dziwił się wtedy: - Jak udało się jej zdobyć taką sumę?

- Odkąd skończyła szesnaście lat, większość kieszonkowego wydawała na książki - powiedziała Grit Adigar. - Wieczorem często widziałam, jak wymyka się z domu. Szła do szopki. Przechowywała tam modne ubrania, szminki i podobne rzeczy, na które Elsbeth nie pozwalała, a które tak bardzo się liczą dla młodej dziewczyny. No i książki. Wychodząc do miasta przebierała się i lekko malowała. Można by pomyśleć, że idzie się zabawić. Ale najczęściej trzymała pod pachą jakieś tomisko. A z tym nie chodzi się na tańce ani do kina czy lodziarni. Nie włączyła się. W soboty spotykała się z Horstim, ale trudno ją o to winić. Potrzebowała przecież nieco swobody, kilku godzin w tygodniu tylko dla siebie. Resztę czasu spędzała z siostrą.

Grit Adigar pamiętała, że Cora przeczytała w jakimś czasopiśmie o przeszczepach serca i o ogromnych sukcesach, jakie odnoszono w tej dziedzinie w Stanach Zjednoczonych. Cora często twierdziła, iż pewnego dnia zabierze tam Magdaleny. I nie mogła lub nie chciała pojąć, dlaczego przeszczep serca nic nie da.

- Gdyby chodziło tylko o serce - powiedziała Grit Adigar - w Eppendorf z radością by się tym zajęli, chociażby po to, aby pokazać, że potrafią. Nie wiem, co tam się jeszcze nałożyło. Musiałby pan porozmawiać z Margret. Zabrała wtedy dokumenty z kliniki, całą historię choroby. Dopóki Magdalena żyła, nikt tu nie wiedział, jak naprawę z nią było. Wilhelm niezbyt się tym interesował. Elsbeth była zbyt głupia, żeby zrozumieć, co tłumaczą jej lekarze.

A Magdalena nie przyznawała się do niczego i milczała. W kwietniu lekarze chcieli ją zatrzymać w klinice. Upierała się, że woli umrzeć tutaj. Podobno powiedziała, iż w domu ma taką opiekę, jakiej potrzebuje. Ale nam z niczym się nie zdradziła. A potem Cora wróciła w nocy... Gdy następnego ranka nie schodziła na dół i Wilhelm zajrzał do jej pokoju, okazało się, że Cora zniknęła.

- Kiedy dokładnie się to zdarzyło? - spytał.

- Niech pan poczeka, data będzie na akcie zgonu. Przyniosę go, jest w sypialni.

Pomknęła do drzwi i dwie sekundy później wróciła z dokumentem w dłoni. - Niewydolność serca i nerek - przeczytał. Podpis lekarza. Nieczytelny, nie próbował go od-cyfrować. Jego wzrok padł na datę. 16 maja. Urodziny Magdaleny. Siostra Cory Bender zmarła 16 sierpnia.

Dwa razy szesnaście. Nie trzeba być psychologiem, aby zrozumieć, jakie znaczenia miała ta data dla Cory Bender i dlaczego w pierwszej wersji początek romansu z Johnnym umieściła w maju. Pobożne życzenia. Zgodnie z zasadą: gdyby to się stało w maju, nie w sierpniu... Tym samym mógł zapomnieć o zmarłej z Lüneburger Heide, tak samo jak o stwierdzeniu, że jej ciotka go okłamała.

Od ciotki usłyszał zapewne prawdę, a przynajmniej mu ją zasugerowała. Co też mu opowiedziała! Jego wściekłość na Margret Rosch nie wygasła ani odrobinę. Fakt, że ktoś dobrowolnie zgłaszał się, a nawet narzucał, by podać wszystkie konieczne informacje, a najważniejszą kwestię przemilczał, stanowił niewyobrażalną bezczelność. Utrudnianie śledztwa, a może nawet celowe wprowadzanie w błąd.

To jednak musiał wyjaśnić z Margret Rosch. Sprowadził rozmowę na temat, który interesował go najbardziej. Fatalna próba samobójcza i późniejsze leczenie. Niestety, Grit Adigar wiedziała bardzo niewiele.

Ktoś do niej zadzwonił - wtedy w listopadzie, na kilka dni przed powrotem Cory. W pierwszym momencie Grit Adigar nie dosłyszała nazwiska. Nie dopytywała się, tylko od razu pobiegła do sąsiadów i zawołała Wilhelma do telefonu. On powinien pamiętać. Rozmawiał z tym mężczyzną dłużej niż ona. Grit Adigar mogła tylko powiedzieć, jak wyglądała Cora, gdy wróciła. A sądząc po tym, lekarz, który się nią zajmował, musiał być partaczem. Nikt, choć trochę odpowiedzialny nie odsyła do domu pacjentki w

Cora przyjechała taksówką. Samochód miał rejestrację z Hamburga. Kierowca musiał jej pomóc wysiąść. Ledwie się trzymała na nogach. Taksówkarz nie przejmował się nią i zaraz odjechał.

Grit Adigar pokręciła głową. Stała na ulicy i wpatrywała się w dom, jakby widziała go po raz pierwszy. Potem powoli podeszła do drzwi. Zobaczyłam ją z okna, wybiegłam na dwór i zagadnęłam ją. Nie dostrzegła mnie. Elsbeth otworzyła drzwi. No i cóż, Elsbeth w swoim szaleństwie popatrzyła na nią i powiedziała: - Cora umarła. Obie moje córki umarły. - Cora zaczęła krzyczeć. Nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś tak krzychał. Jak zwierzę.

Grit Adigar opowiadała dalej, jak Cora opadła na kolana i zaczęła walić głową w schody przed domem. Jak Wilhelm stanął w drzwiach i oboje zanieśli ją na górę. Jak ją rozebrali. Pod sukienką ukazało się całkiem wychudzone ciało. Obite do krwi czoło, a wyżej świeża blizna, owo wgłębienie w kości. Dobrze zaleczone jak na kilka tygodni - w przeciwieństwie do ramion. A gdy ją rozbierali, Cora krzyczała i lamentowała. - Magdalena nie umarła! Lecimy do Ameryki!

- Miałam wrażenie - mówiła Grit Adigar - że nic nie pamięta. Że zapomniała o tamtej nocy. Zupełnie zapomniała. Coś takiego zdarza się czasami po dużym szoku.

Grit Adigar najwyraźniej nie brała pod uwagę możliwości, że Cora rzeczywiście dopiero w listopadzie dowiedziała się o śmierci siostry, ponieważ tamtej sierpniowej nocy wcale nie wróciła do domu. Rudolf Grovian rozważał to.

Johnny Guitar, pomyślał, który zawrócił w głowach połowie dziewcząt w Buchholz. Który traktował ją jak powietrze. Aż do tego wieczora. Trzy miesiące wytrwała przy łóżku siostry. Potem odważyła się wyjść, szczęśliwa i rozluźniona, ponieważ Magdalenie pozornie się polepszyło. I co za radość - Johnny wreszcie ją zauważa. Horsti zostaje odrzucony z chłodnym uśmiechem, być może tego wieczora nie ma go w „Aladynie”. Z bijącym sercem wsiada wraz z Johnnym i jego niskim, grubym kolegą do srebrnego golfu. I z jeszcze jedną dziewczyną, a może nie. Chwilowo nie była to kluczowa kwestia.

Pytanie brzmiało, czy mogła się zdecydować spełnić swoje marzenia, pozostawić chorą siostrę na łasce losu i już nie wrócić? Trudno to było sobie wyobrazić po tym, co opowiedziała Grit Adigar. Nasuwało się kolejne pytanie, któremu do tej pory nie przypisywał podobnej wagi. Czy ciężkie obrażenia czaszki mogą się zagoić w ciągu kilku tygodni? To także trudno było sobie wyobrazić.

Jakiś czas potem z domu rodziców Cory Bender udał się do owej restauracji, w której można było zjeść dobrze i za rozsądną cenę. Miał pecha. Od trzeciej do szóstej po południu zamknięte. Pojechał więc do szpitala, w którym Wilhelm Rosch walczył o życie, a Margret Rosch czuwała nad nim i wydawała dyspozycje pielęgniarkom. Z ojcem Cory Bender nie mógł porozmawiać. A jej ciotka z zaciekłym uporem milczała.

Co miała wspólnego dziewczyna zmarła przed pięcioma laty na niewydolność serca i nerek ze sprawą Frankenberga? Zupełnie nic! Ale wystarczyło wymienić imię Magdaleny, by ziemia ustąpiła Corze spod nóg. Margret Rosch jako

zatroskana ciotka wolała pozostawić tę decyzję bratanicy. Powiedziała do Cory: - Opowiedz im, dlaczego w sierpniu uciekłaś z domu. - Cora nie opowiedziała, co mówiło samo za siebie. Poczucie winy, o jakim prosty policjant nie mógł mieć pojęcia.

Prostego policjanta przełknął bez protestu. Poza tym Margret Rosch nie dała mu czasu na sprostowanie. Dobrze umiała odsunąć uwagę prostego policjanta od swego zaniedbania i skierować ją na inne tory. W poniedziałek - jeszcze zanim powiedziała cokolwiek o szaleńczym postępku Cory - próbowała dowiedzieć się od Wilhelma nazwy szpitala, w którym leczono jej bratanicę.

Wilhelm nic nie wiedział o szpitalu. Tylko o lekarzu! Ten lekarz podał Wilhelmowi swoje nazwisko i adres w Hamburgu. Jednak list z podziękowaniami wysłany później przez Wilhelma wrócił. Adresat nieznan!

- Ciekawe, prawda? - spytała Margret Rosch łagodniejszym tonem. - Jaki mógł mieć powód, by podawać fałszywe nazwisko? Co on z nią zrobił? Już sobie wyobrażam!

Wypuściła powietrze i pokręciła głową. - Wie pan, co mnie najbardziej złości, panie Grovian? Że wtedy nie wypytałam Cory, gdy siedziała z tym towarem u mnie w kuchni.

- Z jakim towarem?

Margret Rosch westchnęła i zakłopotana wzruszyła ramionami. - Z heroiną. Mówiłam panu przecież, że sądziła, iż jest w tak opłakanym stanie z powodu odwyku. Załatwiła sobie coś na dworcu i prosiła mnie, bym zrobiła jej zastrzyk. Zabrałam jej wszystko. Myślałam, że nie umie się z tym obchodzić, bo działki wstrzykiwał jej tamten facet. Teraz jednak sądzę, że gdyby tak było, to przynajmniej musiałaby wiedzieć, jak przygotować strzykawkę. Nie miała o tym pojęcia. Niech pan zrobi próbę, jeśli mi pan nie wierzy.



Nie wierzył już w ani jedno jej słowo. Ani w rzekomego lekarza z fałszywym nazwiskiem, ani w resztę. Margret Rosch miała dość czasu, by uzgodnić wszystko z Grit Adigar. Miła sąsiadka przygotowała grunt, wzruszająca ciocia zasadziła roślinkę. Jednak co zamierzały, stanowiło dla niego tajemnicę. Jako pielęgniarka Margret Rosch nie mogła być tak naiwna, by sądzić, że on podejrzewa, iż obrażenia czaszki u Cory zaleczył student pierwszego roku medycyny.

Nie pozostało mu nic innego, jak skontaktować się ze wszystkimi szpitalami w Hamburgu i okolicach. Nie zapominając o lekarzach prowadzących własną praktykę. Zajęcie dla kogoś, komu nie przeszkadzały uszy opuchnięte od przyciskania słuchawki telefonu.

Brakowało mu podstawowych informacji do odnalezienia Horstiego. Poza tym był głodny. Po rozmowie z Margret Rosch ponownie spróbował szczęścia w restauracji, gdzie oferowali dobre posiłki za rozsądną cenę. Było kilka minut po szóstej, a stek rzeczywiście okazał się duży i przepyszny, przystawki także nie pozostawiały nic do życzenia. Powiedział Mechthild, że może wrócić bardzo późno, więc nie musi czekać na niego z obiadem.

Ponad godzinę siedział w przytulnym, wiejskim otoczeniu i próbował wyobrazić sobie, jak mogło wyglądać to miejsce w czasach „Aladyna”. Przyjazna kelnerka nie potrafiła mu pomóc, mieszkała w Buchholz dopiero od dwóch lat, nigdy nie słyszała o Johnnym, Koźle czy Tigerze ani o Frankiem czy Horstim.

Tuż przed ósmą udał się w długą drogę powrotną. Nieco mądrzejszy, choć nie posunął się ani kroku dalej. Wręcz przeciwnie! Mimo późnej pory trafił na cztery korki, doliczając do nich roboty drogowe jazda przeciągnęła się do siedmiu godzin. Dotarł do domu o wpół do czwartej nad ranem.

Mechthild spała, na jego poduszce leżała karteczka, że ma koniecznie zadzwonić do Wenera Hossa. Ale nawet na

niezbędne sprawy było już za późno. Najciszej, jak się dało położył, się obok Mechthild. Oczy go piekły ze zmęczenia, w głowie szumiało, kark i ramiona miał zupełnie zeszywniałe. Nie minęły dwie minuty, a już spał.

Następnego ranka dowiedział się, że Cora Bender próbowała na swój sposób zakończyć dochodzenie. Trafiło go to jak grom z jasnego nieba. Gdyby wręczył jej naładowany pistolet, nie czułby się nawet w połowie tak

Paczka chusteczek! I to niecała! Jak mógł sobie nawet przez chwilę wyobrazić, że ma jakieś pojęcie o tym, co działo się w jej głowie?

Przez jakiś czas siedział za biurkiem, tylko siedział i wpatrywał się w ekspres do kawy. Na dnie dzbanka ponownie zebrał się brązowy osad. O wpół do dziesiątej opuścił biuro. W supermarkecie kupił płyn do zmywania i gąbkę. Wyszorował dzbanek, wypolerował także stary ekspres, aż błyszczał jak nowy. Nawet tego nie dostrzegł.

Widział tylko dłoń Cory obejmującą niewinną paczuszkę. Usłyszał także jej głos: - Nie ma pan pojęcia, co się dzieje, gdy z panem rozmawiam. Wszystko powraca.

Teraz miał pojęcie. Wiedział przynajmniej, jakiego ducha przywołał. Pokutującą Magdalenę.

Leżała na łóżku. Ręce i nogi przymocowano jej szerokimi pasami. Głowa bolała i huczała od oszołomienia wywołanego przez mocne uderzenie, które sama sobie zadała i zastrzyk - dali jej coś na uspokojenie. Pamiętała jeszcze. Szalała, biła rękoma naokoło, kopała, gryzła, krzyczała, nie dała się poskromić.

Coś z tego zostało, ale wrażenia były zbyt mętne, aby się tym zajmować. Odkąd zabrano ją do tego pokoju, półprzytomna leżała spokojnie na plecach. Czuła więzy na przegubach dłoni i kostkach, a także sztywność członków i szeroki opatrunek na czole, ale nie miało to znaczenia.

Nawet gdy w głowie powoli zaczęło się przejaśniać, nie było miejsca na lzy. Serce jej biło, oddychała, mogła nawet myśleć. A mimo to przestała istnieć. O parę minut rozminęła się z wiecznością i znalazła w najgorszym miejscu, jakie istniało. Ostatnia stacja: zakład dla obłąkanych!

W pokoju stały także inne łóżka, ale puste. Spano w nich, zmięta pościel stanowiła dowód, że ci, którzy z niej korzystali, mogli się swobodnie poruszać. Ona nie! Najbardziej zawstydzająca była pielucha. Czuła ją

Po jakimś czasie otworzyły się drzwi. Pospieszne dłonie sprawdziły więzy, obojętna twarz spojrziała na nią. - Jak się pani czuje?

Wcale się nie czuję! Nie chciała się czuć i obróciła głowę na bok. Nie wiadomo skąd pojawiły się dwie, trzy lzy i wsiąkły w poszewkę poduszki, dwie, trzy kolejne spłynęły po nosie i dosięgły zamkniętych ust. Zlizwała je

Chciało się jej pić, jednak raczej odgryzłaby sobie język, niż poprosiła o łyk wody. Gardło piekło z powodu suchości i brutalnego traktowania, nos także. Otarte do krwi, po prostu otarte do krwi.

W pokoju było bardzo widno, wczesne popołudnie. Skrzydło zakratowanego okna uchylono. Z zewnątrz dochodziło ćwierkanie wróbli. Sprężyste, płaskie kroki gumowych podeszew oddaliły się w stronę drzwi. Ponownie została sama - z myślami, wspomnieniami, strachem i poczuciem

Czuła każde uderzenie serca i przy każdym pragnęła, by ta głupia rzecz wreszcie się zatrzymała. Skoncentrowała się na tym. Jeśli człowiek potrafił żyć wyłącznie dzięki sile woli, jak przez osiemnaście lat Magdalena, to czy nie można było także umrzeć tylko poprzez siłę woli? Nie można było. Istniało się nadal.

Później drzwi ponownie się otwarły. Na dworze wciąż świeciło słońce. Wszedł ktoś z tacą w ręku. Wieczera. Ale

nie ostatnia dla kobiety, która podejmowała decyzje zgodnie z własną wolną wolą. Filiżanka z dzióbkiem i chleb z serem pokrojony w małe kostki. Jakaś dłoń chwyciła ją za podbródek, druga przytrzymała jej filiżankę przy wargach. Niechętnym ruchem obróciła głowę na bok. Papka wylała się na poduszkę. Poczula zapach mięty. Jakiś głos powiedział obojętnym tonem: - Jeśli nie zechce pani jeść i pić, będzie pani karmiona przymusowo. A więc otworzy pani usta czy nie?

Nie otworzyła. Pragnienie stało się niemal nie do zniesienia, gardło zupełnie wyschło, język spuchł.

Ktoś, kto przyszedł z tacą, poszedł sobie. Drzwi zostały zamknięte. Ale nie na długo. Otworzyły się ponownie. I tym razem wszedł ON.

Już gdy się nad nią pochylał, wiedziała, kim był. Roztaczała się wokół niego aura autorytetu. Błyskało to w jego oczach, z każdym oddechem wypływało z nosa. - Mam władzę i wiedzę! Jam jest tym, który może cię ocalić od wiecznego potępienia. Zaufaj mi, a poczujesz się lepiej.

Paliła się w niej resztką oporu. I ta resztką pomyślała: pomyłka, kochanieńki. Przyniosłeś ze sobą karty?

Jego głos brzmiał przyjaźnie. - Nie chce pani jeść?

Nie była pewna, czy ma udzielić odpowiedzi. Któż wiedział, co z niej wyczyta? Nie wypuści jej już z tego pokoju, z tych pieluch, ze swoich

Potem odważyła się jednak na próbę. Tylko po to, by mu pokazać, że połamie sobie na niej zęby. Uzależniona dziwka, nauczyła się być twarda na ulicy. Wszyscy się tego uczyli. Tylko zaskrzeczała, ochryple gardło nie spełniało jej woli. - Dziękuję bardzo, nie jestem głodna. Ale gdyby miał pan papierosa, byłabym wdzięczna.

- Przykro mi - odparł. - Nie mam papierosów. Nie palę.

- Co za zbieg okoliczności - wychrypiała. - Mamy ze sobą coś wspólnego. Ja też nie palę. Rzuciłam dziesięć lat

temu. Pomyślałam tylko, że pałac papierosa będę mieć przynajmniej jedną rękę wolną.

- Chciałaby pani mieć wolną rękę?
- W zasadzie nie. Wygodnie mi tak. Tylko mogłabym się podrapać w nos.

Chciała użyć innego słowa, ordynarnego. Dupa! To było brzydkie słowo Magdaleny i nie przeszło jej przez usta.

- Jeśli będzie się pani zachowywać rozsądnie, postaram się, by panią rozwiązano.

- Czyż nie udowodniłam, że jestem rozsądna? - spytała. - Chciałam zaoszczędzić państwu sporej sumy. Powinni przywrócić karę śmierci. Oko za oko, napisano w Biblii. Życie za życie.

Nie skomentował tego. — To zależy od pani - powiedział spokojnie. - Jeśli będzie pani jeść, pić i przyjmować leki...

Odpowiedź wymagała wysiłku. Ale skoro zaczęła, chciała kontynuować. - Co ma pan dla mnie dobrego? Trochę resedormu?

To był tylko krótki przeblysłk w umyśle. Zadbana, wąska dłoń i szklanka soku pomarańczowego. Zniknęła od razu w ciemności, skąd nieufny głos kobiety spytał: - Co jej dajesz?

Głos mężczyzny odparł, poufale, ale nie łagodnie, tylko trzeźwo - resedorm. Tak będzie najszybciej.

Kobieta odparła zrzędliwym tonem: - Ale ona nie jest całkiem przytomna. Może w ogóle przełykać?

Mężczyzna odparł lekko poirytowany. - Właśnie chcę się przekonać. I wolałbym, żebyś była cicho. Nie jestem pewien, czy nas rozumie.

Wciąż było ciemno. Poczula tylko, że jakaś dłoń wsuwa się pod jej kark, usłyszała głos. - Proszę mrugnąć, jeśli mnie pani rozumie.

Mrugnęła, ale przed oczami miała tylko mgłę. — Dobrze - powiedział. - Niech pani spróbuje unieść głowę. Pomogę

pani. Chłodny brzeg szklanki dotknął ust. - A teraz ładnie wypić - powiedział.  
- Powolutku, proszę spróbować. Jeden łyżek i jeszcze jeden. Tak, świetnie, daje pani radę. Zaraz może pani znowu zasnąć. Potrzebuje pani dużo snu.

Sen przyszedł natychmiast po soku pomarańczowym. Jakby nakryto jej głowę workiem. To nie był worek! To była popielniczka! Stała na niskim stoliku.

To także stanowiło jedynie przebłysk w umyśle, zielone, czerwone, niebieskie i żółte światło. Nie miało sensu, po prostu nagle się pokazało. Być może dlatego, że szef mówił o popielniczce. Pojawiło się jednak razem z metalicznym posmakiem krwi w ustach i okrzykiem bólu, a raczej piskiem: - Ta łajza mnie ugryzła.

Jakaś dłoń sięgnęła do stołu i nagle pojawiła się przed jej twarzą z ciężką popielniczką, którą rzuciła z rozmachem - potem nic. Tylko myśl, niemal uśmiech w głowie.

Nie dręcz się pytaniem, kto rozbił ci czaszkę. Wiesz przecież! To był jeden z ostatnich napaleńców, którzy płacili na swój sposób.

Psychiatra stał wciąż pochylony nad nią, argusowym wzrokiem obserwował małe i mikroskopijne poruszenia.

- Ma pani doświadczenia z resedormem? - spytał.

- Mam wiele doświadczeń - odparła. - Jakie pana najbardziej interesują?

- Wyschnięte gardło powodowało, że czuła, jakby ktoś żonglował igłami w jej przetyku. Ale mówiła dalej. - Moje doświadczenia z cnotliwą matką? Moje doświadczenia ze słabym ojcem? A może moje doświadczenia z narkotykami?

- Resedorm to nie narkotyk - wyjaśnił. - Tylko środek nasenny.

- Wiem przecież - wymamrotała.

Mówiąc te słowa przypomniła sobie. Margret podawała jej resedorm - zgodnie z sugestią swego przyjaciela Achima Mieka. Lekarz i pielęgniarca...

Nie! Nie, tak nie było. Achim Miek nigdy nie przytrzymał przy jej ustach szklanki, a Margret nigdy nie poła jej sokiem pomarańczowym! Margret podawała dwie tabletki ze szklanką wody. Głos także nie należał do Margret.

Musiała to być owa ponura pielęgniarka. I lekarz o delikatnych dłoniach i z przyszyżoną brodą! Dziwne, do tej pory nie pamiętała, żeby trzymał szklankę. Jedynie że robił jej zastrzyki. I to, co mówił! Zboczeniec!

Była zmęczona, tylko zmęczona. - Wiem wszystko - wymruczała. - I na to właśnie powinien mi pan pozwolić, na sen.

Psychiatra został jeszcze chwilę przy jej łóżku. Przestała zwracać na niego uwagę.

Gdy zamknęła oczy, zobaczyła, że stoi nad wodą. Mały kucal u jej stóp i kołysał czerwoną rybką. Jego wąskie, białe plecy, okrągłe, gładkie ramiona, wiotka szyjka i jasnoblond włosy sprawiały, że wyglądał jak dziewczynka. Jak Magdalena z czasów, gdy przypominała jeszcze węzełek, który przenoszono z pokoju do pokoju i który mogła nienawidzić z całą żarliwością niewinnego dziecka.

Dlaczego nie wypłynęła? Nie poszedłby za nią. Dla niego była przecież tylko kobieta, która w soboty i niedziele karmiła go jogurtem i jabłkami zamiast czekoladą i żelkowymi misiami. Nazywał ją mamą, ale nie miało to znaczenia. Być może jego podświadomość wiązała w jakiś sposób słowo mama ze smakiem Golden Delicious i małym, zakrwawionym nożem do obierania. Kiedyś babcia powie mu: „Cieszymy się, że odeszła. Była ladacznicą. Czegóż to nie dowiedzieliśmy się o niej, gdy już jej nie było...”

Po jakimś czasie usłyszała kroki zbliżające się do drzwi. Niezbyt się nimi przejęła. Psychiatra powrócił niczym demon, którego sama przywołała z piekieł.

„Duchy, słuchać! Znikły czary! Odtąd moim sprawom służcie”.

*Uczeń czarnoksiężnika.* W szkole musiała nauczyć się go na pamięć. Był to jeden z tych wierszy, które lekarz kazał jej ciągle powtarzać. Wtedy jeszcze się jej podobał. Teraz już nie. Pojawiło się zbyt wiele duchów.

A ten, który właśnie zamknął za sobą drzwi, nie zostawił jej w spokoju, dopóki nie wydobędzie na powierzchnię najmniejszego skrawka brudu. Kilku zboczeńców, którzy rozbili uzależnionej dziwce głowę, jak tak się już z nią zabawili. To była jego praca, za to mu płacili.

Mogła się mu sprzeciwić - i przeciągać w ten sposób wszystko. Ale nie było ucieczki, nie miała prawa do milczenia. Swoje prawa wbiła małym nożykiem w tamtego mężczyznę. A ci na zewnątrz chcieli wiedzieć, dlaczego. Sama chętnie by się dowiedziała. Piosenka to nie był rozsądny powód. Niemal nierealne, że kiedyś się jej bała.

Po pewnym czasie zasnęła, nie zauważyła kobiet, które weszły do pokoju i zanim położyły się do swoich łóżek, być może stanęły przy jej łóżku, gładziły ją po twarzy lub włosach. Następnego ranka tak się jej wydawało. To musiał być ojciec, który chciał ją jeszcze raz przytulić i przynieść talerz letniej grochówki, bo wiedział, że była głodna jak wilk.

Gdy się obudziła, pozostałe łóżka ponownie były puste. Czuli się na wpół martwa, przypomniawszy sobie o pogmatwanym śnie, jaki miała tuż przed obudzeniem, a w którym zatkała sobie nos skrawkami papieru i wepchnęła knebel do gardła. Potem uderzenie w czoło. Nawet nie straciła przytomności. Panika, brak powietrza. Zgrzyt klucza w drzwiach. Piskliwy głos wartowniczeki: - Na miłość boską! Wiedziałam, że zeświruje. - Obce palce na gardle. Czerwone kręgi przed oczami. Ostatnia stacja: zakład dla obłąkanych.

Dostała śniadanie, zjadła trochę, gdy rozwiązano jej lewą rękę. Tuż po śniadaniu uwolniono z więzów także prawą



dłoń i obie nogi. Kazali jej wstać, umyć się i ubrać. Ciało miała zeszywniałe od leżenia, a umysł zeszywniał z strachu. Powiedzieli, że o dziewiątej czeka ją spotkanie z szefem.

Wzbraniała się przed nazywaniem go w ten sposób. Szefem nadal był Rudolf Grovian, straszny człowiek, który nie miał pojęcia, co jej naprawdę zrobił. Ale jego mogła przynajmniej okłamać. W przypadku psychiatry każdą próbę z góry uważała za beznadziejną.

Profesor Burthe wyglądał dokładnie tak, jak jej powiedziano - niski i wąty. Karzeł, zresztą musiał taki być. Tylko karły potrafią się przebić do czyjegoś umysłu, zakraść się we wszystkie zakamarki, wytropić, co się kryje za każdym zakrętem. Zachowywał się tak samo przyjaźnie jak wieczorem, emanował opanowaniem i autorytetem. Dobroduszny ojciec wszechrzeczy, który umiał zatopić wzrok głęboko w serca innych ludzi. Oczy miał szeroko otwarte.

Nie było już w niej oporu ani gniewu. Przez noc zmaląa - z ojcem na brzegu łóżka i jego beznadziejną próbą okazania jej miłości. Sprawił, że stała się niewielkim, przezroczystym człowieczkiem, który zasiadł wygodnie w miękkim fotelu, by ukazać światu swe najskrytsze wnętrze.

Profesor zaczął od pytania, jak się czuje.

- Zasranie - oparła i odetchnęła głęboko. Stawy ją bolały, ale nie było tak źle. Ojciec nie powinien był przychodzić. Sama powiedziała przecież, że Margret ma zapobiec jego przyjściu. Zaczęła prawą dłonią masować lewy przegub, nie odrywając wzroku od rąk czekała na następne pytanie.

Niemal nie mogła znieść jego łagodności. Była fałszywa i zakłamana. Chciał porozmawiać z nią o sensie życia i o ucieczce przed karą.

- Nie uciekałam przed karą - powiedziała. - Nie chciałam tylko wysłuchiwać, czego dowiedział się szef od mojego ojca.

- A czego mógł się dowiedzieć?

Gówno cię to obchodzi, karle, pomyślała. Że ja... Ojciec był raz w naszym pokoju i szperał w nocnym stoliku. Był to prosty stolik z szufladą na górze i drzwiczkami poniżej. W środku Magdalena chowała swoje nagrania. W szufladzie leżały jej lekarstwa. I świeca! Jedna z tych, które matka kupiła na ołtarz. Matka nigdy nie wchodziła do pokoju. Ale ojciec tak. Znalazł świecę. Zobaczył też, że nie używano jej do modlitwy. Knot był jeszcze biały. A na końcu była nieco umazana.

Zobaczyła ojca stojącego w drzwiach, wahającego się między uczuciem wstrętu a rozczarowaniem. Świecę trzymał w dłoni. Wyciągnął rękę. - Co tu się dzieje? Co z tym robisz?

Usłyszała swoją odpowiedź: - Nie wiesz, co? Przecież znasz się na ludzkiej naturze. Czy nie opowiadałeś mi kiedyś, że jak jest się starszym, to nic nie można na to poradzić? Ja też mam swoją naturę. Ale wolę suchy wariant. Świeca nie wytryskuje i nie śmierdzi. Odłóż ją tam, gdzie ją znalazłeś, i wyjdź.

Ojciec upuścił świecę na podłogę i z opuszczonymi ramionami wymknął się na schody. Płakał tak samo jak tej nocy, gdy siedział na łóżku i próbował wytłumaczyć jej swą udrękę. Tym razem nic nie tłumaczył, tylko wyjąkał: - Co z ciebie wyrosło? Jesteś gorsza niż ladacznica.

Z biegiem lat wszystko się odwróciło. Miało to pewnie coś wspólnego z dorastaniem, z pojmowaniem i rozumieniem. Są rzeczy, których się nie chce, ale trzeba zrozumieć. Że ojciec jest mężczyzną. Że jak każdy mężczyzna ma potrzeby. Że staje się zły i niesprawiedliwy, gdy odmawia się mu zaspokojenia. W pewien sposób go rozumiałam.

Gdy podrosłam, często myślałam o tym, jak to dobrze być kochanym. Nie tylko sercem, ale i ciałem. Oddanie,

namiętność, pocałunki z języczkiem, orgazmy i takie rzeczy. Przyzwyczaiałam się do piersi i miesiaczek. Nie miałam już problemu z używaniem tamponów. Czasami zastanawiałam się, czy to ja wsuwam tampon czy mężczyzna... Wydawało mi się, że różnica nie może być taka duża. A skoro mężczyzna tego potrzebuje!

Rozumiałam jednak także matkę, która nie chciała mieć z tym nic wspólnego. W zasadzie matka była godną pożałowania istotą. Mam na myśli, że jeśli kobiecie poprzestawiało się w głowie, nie można nic na to poradzić. Matka wierzyła w te wszystkie bzdury. Że wolno to robić tylko wtedy, gdy chce się spłodzić dziecko.

Dopóki nie zaszła w ciążę, nie miała z tym problemu, nawet trzy razy dziennie. Mogła sobie wmawiać, że bardzo się stara oddać przysługę dobremu Bogu. Matka nigdy nie rozumiała, że dwa tysiące lat to cholernie długo i że w tym czasie spłodzono naprawdę więcej ludzi, niż potrzeba.

A poza tym mogło być przecież tak, jak to napisała w liście Margret. Że Zbawiciel nie miał nic wspólnego z podobnymi zakazami. Że te okropne głupoty zostały wymyślone później przez Jego przedstawicieli na ziemi. A ludzie musieli w nie wierzyć. Co mieli robić, skoro nie umieli czytać ani pisać?

Już widzę, jak to było w Buchholz. Garstka zagród, kiepska gleba, nieco bydła - żeby przetrwało zimę, musiano w niektórych latach zdejmować słomę z dachów. Ojciec opowiadał mi kiedyś, że gruba świnia ważyła wtedy sto funtów. Wyobraźcie sobie: sto funtów to była gruba świnia. Dziś można się z tego tylko śmiać. A potem zaraza i trzydzieści lat wojny.

Byli biedni, głupi, najczęściej nie wiedzieli, jak wykarmić wszystkie dzieci. Gdy ktoś głosił, że zaspokajanie popędów to grzech, że jest to złe i godne potępienia, patrzyli na

swoje dzieci i myśleli: prawda, ma słuszność. Gdy to robimy, pojawiają się kolejne gęby do wykarmienia.

Zwłaszcza kobiety. Przekleństwo Ewy. Nikt im przecież nie podawał żadnych środków, gdy leżały w bólach. Tak miało być. W cierpieniu będziesz rodzić...

Matka, gdy przerosła ją odpowiedzialność i gdy nie wiedziała już, co ma robić, uciekła w tę nędzę i głupotę. Tam już została. Nie musiała dłużej męczyć się z dzieckiem, którego nie chciała - i nie urodziła. Kiedyś także wiedziała, że usunięcie go było złe. Ale dawniej znalazło się na pewno parę osób, które uważały, że prawa Niemka nie powinna wydawać na świat dziecka wroga. Tym osobom uwierzyła.

Matka zawsze potrzebowała kogoś, kto by jej mówił, co jest dobre, a co złe. Za młodu uwierzyła w Führera, nieco później w Zwycięzcę, ale nigdy w samą siebie. Mnie wierzyła przez jakiś czas, gdy mówiłam to, co chciała słyszeć. Kilkoma cytatami z Biblii można ją było sobie owinąć wokół palca.

Ojciec się o to nie trudził. Gdy wracał późno, w dodatku podпиты, mówił jej, że świętowali w firmie i nie mógł się wykręcić. Matka wiedziała równie dobrze jak ja, że był u innej kobiety.

Odkąd przyłapałam go w łazience, często chodził do prostytutek. Potem pił, bo czuł się podle. A wściekłość i pogardę, które odczuwał wobec siebie, wyładowywał na matce. Gdy wyrzucał ją spod krzyża do kuchni, by jeszcze raz podgrzała mu jedzenie, było mi jej żal. Nie potrafiłam inaczej. Mówiłam: - Zostaw, mamó, ja to zrobię.

Czasami widząc ją powracającą do salonu, chciałam się rozplakać. Miałam dopiero czternaście czy piętnaście lat i czułam się bardzo stara. Jak gdybym miała dwoje dzieci, większych i dużo starszych ode mnie. Ale nie zmieniało to faktu, że były dziećmi. Że ponosiłam za nie odpowiedzialność, musiałam się o nie troszczyć i je wychowywać.

Wychowanie matki nie stanowiło problemu. Była grzeczną dziewczynką. Nie miała ani jednej brudnej myśli, tylko brudną bieliznę. Ale ojciec był rozpasany, wymagał jak najsurowszego traktowania. Już w wieku piętnastu lat mówiłam mu: - Ile cię dziś kosztowała dziwka? Sto? Dwieście? Na ten tydzień potrzebuję trzysta. Wszystko drożeje. A w tym domu są też inni, którzy mają swoje potrzeby.

Ojciec spoglądał na mnie, gdy przygotowywałam mu posiłek. Nigdy nie mówił, wyciągał tylko banknoty z portfela i kładł na stole. Wiedziałam, że gardzi mną za wyrażenia, jakich używałam. A on wiedział, że i ja nim pogardzam.

Staliśmy się wrogami. Tak jak matka i syn z biegiem czasu odwracają się od siebie. Ponieważ syn robi rzeczy, o których matka sądzi, że powinien z nimi jeszcze poczekać. Ponieważ syn wie, że matka także kiedyś robiła te rzeczy - a w moim przypadku będzie jeszcze robić. Ale z nich obojga to matka jest silniejsza. Dopóki mieszkają pod jednym dachem, ma nad synem wielką władzę. On ją kocha i z całego serca pragnie, by i ona go kochała, by była z niego dumna. Nawet jeśli sto razy wyzywa ją i przeklina, jeśli tysiąc razy wrzeszczy i rzuca jej w twarz swą wściekłość i rozczarowanie. To tylko zwątpienie, samotność i strach przed opuszczeniem przez ostatniego człowieka, który może dać nieco miłości.

Nie matka, lecz ja ostatecznie pognebiłam ojca. To była moja wina, że przyłączył się do matki. Że na starość dzielił z nią nie tylko łożo, ale i krzyż. Że zapomniał, iż jest mężczyzną. Zupełnie zapomniał, jakby dowód na to wreszcie mu odpadł.

Później często zastanawiałam się, jak mogłam to robić, spać za pieniądze z mężczyznami. Wiem dlaczego. Potrzebowałam gotówki. Potem zaczęłam potrzebować środka zmniejszającego wstręt - a w rezultacie jeszcze więcej

pieniędzy. Ale to wyjaśnienie nigdy mi nie wystarczało. A najgłupsza sprawa, że nie przypominam sobie tamtego okresu.

Wciąż pamiętam, że raz paliliśmy hasz w samochodzie Horstiego. Horsti zrobił skręta i dał mi się zaciągnąć. A potem powiedział, że robię to źle, bo od razu wypuszczam dym. To wszystko, co pamiętam, reszta umknęła. Nie wiem, czy na skutek uzależnienia, czy też raczej obrażeń głowy.

Lekarz stwierdził wtedy, że może chodzić zarówno o jedno, jak i o drugie albo o proces wyparcia. Ponieważ robiłam rzeczy, o których wiedziałam, że nie zrobiłby ich żaden normalny człowiek. A ja przecież chciałam być normalna i nie myśleć o mężczyznach, którym się sprzedawałam. Dlatego zamknęłam ich wszystkich za murem. Żeby w mojej głowie nie pojawiły się twarze, ciała i dłonie, które mnie dotykały. Nie chciałam ich widzieć i czuć, wspominając. Nie chciałam pamiętać.

Mimo to często zastanawiałam się, czy byli starzy, czy młodzi. Sądzę, że początkowo musieli być głównie starzy. Mężczyźni w wieku ojca, którzy w domu nie dostawali tego, czego pragnęli i musieli to sobie rekompensować w nocy w łazience lub wieczorem na ulicy. Którzy nie szukali tylko odrobiny czułości i poczucia, że wciąż są mężczyznami. Czasami zastanawiałam się, dlaczego nie zaoferowałam tego mojemu ojcu.

- Możesz przyjść do mnie, jeśli tak ci tego trzeba. Bądź szczery, myślałeś już, by mnie przelecieć. Nie martw się, nie poświęcisz żadnego baranka. Nigdy nie byłam barankiem, tylko wilkiem. Nie wyobrażasz sobie, co zabrałam od Aldiego i Woolwortha. Zabrałam sobie tak samo jak siłę z brzucha matki. Przez pępownię wyciągnęłam z niej wszystko. Wyszuszyłam matce mózg i wpędziłam ją w szaleństwo. Jestem wilkołakiem, w nocy wyskakuję ze skrzyni i pożeram niewinne dzieci. A starym, bezbronnym mężczyznom

oddzieram skórę od ciała i wrywam serce. Jestem uosobieniem zła, córką szatana. A zatem ty, mój ojciec, musisz być szatanem. Chodź w me objęcia, biedne diablę! Gdy byłam małą, tak mnie nazywałeś. Teraz ja nazywam tak ciebie.

Nigdy tego nie powiedziałam, ale na swój sposób próbowałam przeprosić ojca. Być może w każdym, z którym na początku spałam, widziałam jego. Może w jakimś momencie zrozumiałam, że mężczyźni uzależnieni są od swoich potrzeb. Nie wszyscy mieli siłę Zbawiciela, by z tych potrzeb zrezygnować. Oraz zrozumieć i wybaczyć - nawet cudzołożnicy Magdalenie.

# Rozdział 11

Jej czas się skończył. Profesor poprosił ją, by opowiedziała mu o doświadczeniach z cnotliwą matką i słabym ojcem. Zrobiła tak. Aby mieć wszystko jak najszybciej za sobą, wyciągnęła również brudy. Nie przyszło to łatwo. Udało się jednak, była zadowolona z siebie i przekonana, że profesor w oględny sposób przekaze jej słowa prokuratorowi.

Być może ktoś wpadnie na pomysł, że Frankie to tylko były klient. Całkiem dobre wyjaśnienie! Musiała go zabić, zanim ją rozpoznał i zdradził wszystko jej mężowi.

Na myśl o Gereonie zrobiło się jej na chwilę ciemno przed oczami. Bardzo szybko. Lata spędzone z nim były niczym spinki i pomadki kradzione u Woolwortha, a potem sprzedawane lub rozdawane dziewczynom na szkolnym boisku. Było i minęło, na wieki wieków. Najpóźniej przed sądem Gereon będzie musiał usłyszeć, komu przysięgał wierność.

Na obiad podano puree ziemniaczane oraz niezdefiniowaną papkę warzywną, wszystko zupełnie rozgotowane. Mięso pokrojono w drobną kostkę, w większości składało się z tłuszczu i żył, pływało w nieapetycznym brązowym sosie. Na deser przewidziano jogurt owocowy.

Na tacy leżała biała plastikowa łyżka. Przypomniała jej o jeziorze i raz jeszcze poruszyła wszystko. Dlaczego dziecko nie poprosiło o jogurt? Małą plastikową łyżeczką najwyżej podrapałaby Frankiemu twarz.

Zjadła nieco puree. Smakowało jak papka. Z kubkiem jogurtu stanęła przed zakratowanym oknem, spojrzała na



niebo i zastanowiła się, gdzie jedli obiad ludzie z pozostałych łóżek. Czy uznano ją za tak niebezpieczną, że nie pozwolono jej jeść z innymi? I czy w ogóle istnieli jacyś inni ludzie, czy też używane łóżka miały ją tylko zmylić? A jeśli był to tylko test, by sprawdzić, ile jeszcze zostało jej rozumu? Może profesor przy następnej rozmowie spyta, jak się jej układa z osobami z pokoju?

Rozważała przez chwilę, jakiej odpowiedzi mogła mu udzielić. Potem dokładnie przemyślała sprawę z Frankiem jako klientem. Jeśli profesor sam nie wpadnie na takie rozwiązanie, musi mu je dokładnie pokazać palcem.

Na koniec zastanowiła się, czy Magdalenie ulżyło, gdy dotarła na górę i stwierdziła, że matki jeszcze nie ma. Czy od tamtej pory nieprzerwanie woła święty, święty, święty i bardzo się przy tym nudzi. Albo czy siedzi w cichym kącie naprzeciw Zbawiciela. Twarzą w twarz. Kiedyś Magdalena wskazała na obrazek w Biblii i powiedziała: - Wyobraź go sobie z porządną fryzurą i ogolonego. Facet nie wyglądałby wcale tak źle.

Frankie także źle nie wyglądał. Miał ładną twarz, męską, ale ładną. Pewnie nie uwierzą, gdy powie, że był jej klientem. Taki nie musiał chodzić na dziwki. Taki nie mógł być zбочeńcem.

Wciąż widziała go wyraźnie - bez krwi. Ta jedna chwila, gdy się podniósł i zaprotestował przeciw piosence. Może dręczyła go tak samo jak ją. Może był wdzięczny, że został wyzwolony od tej udreki. Gdy wtedy na nią spojrział...

Stała przy oknie, aż minęła druga. Stała tylko i była szczęśliwa, że nie przywiązali jej z powrotem do łóżka. Tacę zabrano. Zbesztano ją, ponieważ nie tknęła warzyw ani mięsa. Uśmiechnęła się przepaszająco i wskazała na gardło. - Wciąż boli przy przełykaniu. Ale jogurt zjadłam. A jeśli jutro będzie zupa, na pewno zjem dwie porcje. - Potem znowu została sama.

Dwa razy usłyszała jakiś hałas przy drzwiach. Nie odwróciła się, i tak wiedziała, skąd pochodził. Czujne oko. Tuż po drugiej zgrzytnął klucz. Pomyślała o kawie i kawałku suchego ciasta w szpitalu Dürener, gdzie przebywała przez krótki czas po urodzeniu dziecka. Tam popołudniową kawę podawali zawsze do obiadu - a po południu kolację, ponieważ chcieli mieć wieczór wolny.

Drzwi otwarto, odwróciła się. W tej samej chwili strach wskoczył na nią jak wściekły pies. Szef! Przybrał obojętną, niemal pokerową minę, za którą skrywał wszystko, co musiał usłyszeć od ojca.

Za nieruchomym wyrazem twarzy Rudolf Grovian skrywał wyłącznie własne uczucia. *Mea culpa!* Mechthild była tego samego zdania. Około południa pojechał do domu, nie mógł wytrzymać w biurze, mając przed oczami czyściuteńki ekspres do kawy i krzesło, na którym siedziała. Mechthild nie spodziewała się go, nigdy nie wracał do domu w południe. Nie musiał nic mówić. Sama spytała: - Co się stało, Rudi?

Gdy wyjaśnił i powiedział, co jego zdaniem musi teraz zrobić, odparła: - Rudi, w głowie ci się pomieszało. Zostaw to biedactwo w spokoju. Nie możesz jej pomóc, a tylko wszystko jeszcze pogorszysz. Tam, gdzie jest, dobrze się nią zajmą.

- Dobrze się nią zajmą, śmiechu warte! Czy ty masz w ogóle pojęcie, jakie warunki panują w psychiatryku?

- Nie, Rudi - powiedziała Mechthild rozbijając dla niego kilka jajek na patelni. - I nie chcę tego wiedzieć. Mam już pojęcie, jakie warunki panują u was. Wystarczy mi. Nikt nic nie mówi, gdy razem z Hossem rzucasz się na faceta, który na to zasłużył. Ale taka młoda kobieta! Rudi, pomyśl tylko, ile ona przeszła.

Myślał o tym bezustannie. Prawo zobowiązywało go, by nie tylko prowadził postępowanie przeciwko niej, ale także

zebrał wszystko, co mogło świadczyć na jej korzyść. Wytłumaczył to Mechthild. A ona odparła: - Więc zrób to, Rudi. Zrób to, na miłość boską, i ze wszystkim, co znajdziesz, idź do prokuratora. Ale nie do niej. Na pewno nie z wiadomością, że ojciec leży umierający. Co jeszcze chcesz zrzucić na jej barki?

Ujrzał ją stojącą przy oknie, kupkę nieszczęścia, której twarz mieniła się kolorami tęczy. Na czole świeży, szeroki bandaż. Pomyślał o przyborach w kieszeni swej marynarki i o wiadomości, którą miał jej przekazać. W myślach ponownie usłyszał głos Mechthild: - Rudi, w głowie ci się pomieszało.

Zamknięto za nim drzwi. - Przykro mi - zaczął, licząc się z tym, że zaraz rzuci się na niego z pięściami. Zastanawiał się, jak ma zapobiec wsadzeniu jej w kaftan bezpieczeństwa. Ale ona tylko trochę zmaląła, spojrzała na niego mokrymi oczami i przygryzła drżącą wargę jak dziecko, które chciałoby się rozpłakać, wie jednak, że to zabronione.

- Nie woli pani usiąść, pani Bender?

Pokręciła głową. - Atak? - wyszeptła. - Jak się czuje? Przeżyje?

- Lekarze są dobrej myśli - skłamał. - A Margret nie odstępuje od jego boku.

- To dobrze - wymruczała. Potem podeszła do łóżka i jednak usiadła. Dał jej parę chwil, widział, jak pokonuje szok, jak odzyskuje nadzieję. Wyprostowała ramiona. Uniosła głowę i spojrzała na niego. - Więc nie rozmawiał pan z nim?

- Nie.

Uśmiech przemknął jej po twarzy. Nagle wydała się bardzo zadowolona. - Dobrze! - powiedziała. - Ja też nie chcę z panem rozmawiać. Niech pan wyjdzie!

Nie ruszył się z miejsca. Chociaż pomyślał, że byłoby to najlepsze rozwiązanie. Psychiatria mogła być czystym

horrorem dla kogoś, kto jej nie potrzebował, ale profesor Burthe jako specjalista cieszył się wspaniałą opinią. Na pewno odkryje, dlaczego Georg Frankenberg musiał umrzeć. A także - czy, kiedy i w jakich okolicznościach Cora Bender poznała przed laty Frankenberga, jaką rolę odgrywała w tym heroína lub czy zetknęła się z nią już później. To, co zamierzał zrobić, było w zasadzie bezsensowne. Przed sądem nie uznano by tego za dowód. Nie mogło także pomóc w ustaleniu powiązania z Frankenbergiem. Ale żeby samemu upewnić się, czy jej ciotka znowu zastosowała manewr wymijający...

Odetchnął głęboko. - Rozumiem, że jest pani na mnie zła, pani Bender. Rozumiem też, że nie chce pani ze mną rozmawiać. Ale nie przyszedłem na rozmowę. Chcę tylko prosić, by coś pani dla mnie zrobiła.

Spojrzała na niego pytająco, ze zdziwieniem - nadal zadowolona. Sięgnęła do zewnętrznej kieszeni marynarki. Do diabła! Zdobył w końcu cały ten kram. I chce wreszcie wiedzieć. Wyciągnął plastikową torebkę, podszedł do stołu i rozłożył na nim wszystkie rzeczy. Zapakowaną strzykawkę, żaroodporną łyżkę, świeczkę, gumową opaskę i małą torebkę z proszkiem.

Jej wzrok wędrował po przyborach. Twarz wykrzywiła się w zaciętym proteście. - Co to ma znaczyć? Tak pan lubi Amerykanów? Nie ma nic złego w komorze gazowej i zastrzyku z trucizną, oszczędza zasoby państwa, a nam już wiele nie zostało. Co mam dla pana zrobić? Dać sobie złoty strzał?

- W torebce tyle nie ma - odparł.

Obojętnie wzruszyła ramionami. - A więc tylko coś na rozweselenie? To miło z pana strony, ale dziękuję. Wie pan, tutaj mnie wystarczająco faszeringują. Ciekawa jestem, czy później równie łatwo odzwyczaję się od tego, co mi podają, jak od drągów?

- Tak łatwo się pani odzwyczaiła od heroiny? - Niemal uśmiechnął się ironicznie. Mała wskazówka, że jej ciotka przynajmniej w tej kwestii trzymała się faktów. -To jest pani wyjątkiem - dodał. - Inni bardzo wtedy cie - Przespałam to - wyjaśniła zuchwale.

Skinął głową. - U tego miłego lekarza, jak przypuszczam. Lekarz oczywiście potrafi złagodzić objawy odwyku. Ale zgodnie z tym, co do tej pory słyszałem, na ogół pozwalają ludziom przechodzić przez prawdziwe piekło, żeby kuracja była skuteczniejsza. No tak, piekło może być różne. Porozmawiamy o tym później.

- Nic nie powiem - odparła z naciskiem. - Ani teraz, ani później.

- W porządku - stwierdził. - Nie musi pani nic mówić. Ani wstrzykiwać sobie tego, co tu leży. Niech mi pani tylko pokaże, że umie się z tym obchodzić.

Zaśmiała się cicho i lekceważąco. - Ach, o to chodzi. Rozmawiał pan z Margret? I co panu powiedziała? Że nie potrafiłam zrobić zastrzyku? Wie pan, to całkiem inna sprawa, gdy nie ma się dokąd pójść. Gdy człowiek boi się, by go nie wyrzucono, bo i tak sprawia masę kłopotów, a jeśli go jeszcze przyłapią na ćpaniu... Trzeba coś wymyślić.

Ponownie zaśmiała się cicho. - Co się stanie, jeśli pokażę panu, że umiem się z tym obchodzić? Zostawi mnie pan wreszcie w spokoju?

Gdy skinął głową, wstała z łóżka i podeszła do stołu. Uniosła prawy palec wskazujący, jak gdyby upominała dziecko, by uważało. - Dobrze, zawrzemy teraz umowę. Pokażę panu. W zamian zostawi pan w spokoju nie tylko mnie, ale także mojego ojca. Niech mi pan poda rękę.

Uściskał jej dłoń, przez chwilę dziwił się jej delikatnym palcom i mocnemu uściskowi. Gdy ją puścił, podał jej zapalniczkę.

Westchnęła, spojrzała na zapakowaną strzykawkę i gumową przepaskę. - Nie zawiążę jej na ramieniu - powiedziała. - Już wtedy nie lubiłam tego uczucia. Wystarczy, jeśli przygotuję zastrzyk. Zrobiłabym go potem z wierzchu dłoni. W ramię i tak bym się nie wbiła. W porządku?

Ponownie skinął.

- No, to niech mi pan pozwoli zastanowić się. Minęło już trochę czasu. Położyła palec na skroni, potem zdecydowała: - Najpierw przykleję świecę do stołu. Jeśli zostanie wosk, pan im to wyjaśni. To był pański pomysł.

- Nie musi pani przyklejać jej do stołu, pani Bender - powiedział jeszcze. Ona jednak już trzymała zapalniczkę przy knocie, obróciła świecę nad blatem i przytrzymała, by skapał wosk.

- Tak jest pewniej - stwierdziła - jeśli komuś trzęsą się ręce. A najczęściej się trzęsą. Teraz przynajmniej stoi sama. Można się skoncentrować na łyżce i nie wylać ani odrobiny cennego wywaru. Tak, co dalej?

Sięgnęła po torebkę, potarła ją palcami i przez plastik spojrzała na biały proszek. - Co to ma być? To nie jest prawdziwy towar! Nie powinien mi pan podawać czegoś takiego.

Język wsunęła w policzek, patrząc na niego z zastanowieniem. - Nie zrobiłby pan tego. Nie jest pan taki głupi. Wie pan dobrze, że wszystko wyśpiewam, ledwo zdąży się pan odwrócić. Co pan włożył do środka? Nie mąkę, jest jaśniejsza.

Gdy nie odpowiedział, wyjaśniła: - Pytam się ze względu na rozpuszczanie. Nie powinno być grudek, bo nie przejdą przez igłę.

Milczał. Obojętnie wruszyła ramionami, ostrożnie rozerwała torebkę, najpierw powąchała, potem pośliniła palec i wsadziła go do środka. Nie spuszczając go z oczu powoli włożyła palec do ust i lekko przytknęła do końca języka.

- Cukier puder - stwierdziła. - To nie fair. Kiedy wie pan, że wariowałam za słodyczami. Ma pan może w kieszeni trochę masła? Zrobię karmelkowe cukierki i więcej zyskamy na tej bzdurze.

Nie zareagował. Nagle poczuł się bardzo głupio i śmiesznie. Posłał do diabła Margret Rosch z jej stwierdzeniami, które służyły tylko wprowadzeniu go w błąd. Ona zaś ponownie wzruszyła ramionami. - No dobrze. Miejmy to już za sobą.

Wysypała zawartość torebki na łyżkę, podeszła z nią do umywalki, odkręciła wodę i regulowała, dopóki ledwie kapiała. Potem przytrzymała łyżkę pod kranem, kiwając głową za każdym razem, gdy kropla wsiąkała w cukier. Wyglądało, jakby je liczyła. Dwa razy ostrożnie zamieszała papkę palcem. Następnie, najwyraźniej zadowolona z uzyskanej konsystencji, zakręciła kran i wróciła do stołu. Uśmiechnęła się do niego, trzymając łyżkę nad płomieniem świecy. Starł się zachować neutralny wyraz twarzy.

- Tutaj przynajmniej woda jest czysta - powiedziała. - Dawniej czerpaliśmy z małej umywalki w ubikacji. Kto wie, jakie brudy sobie wstrzykiwałam. Nic dziwnego, że moje ręce wyglądają, jakby pogryzły je

Była niepewna siebie, nie dało się tego nie zauważyć. Jej wzrok skakał raz po raz od łyżki do jego twarzy. W końcu zdjęła łyżkę znad płomienia, uśmiechnęła się do niego i stwierdziła niedbale: - Sądzę, że już się podgrzało. Nie powinno się zagotować.

Z trudem powstrzymał się od uśmiechu. Gdy wolną ręką sięgnęła po strzykawkę, przytrzymał jej dłoń. - Dziękuję, pani Bender, to wystarczy. Może pani przestać.

Nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać. Nie wiedział też, jakie ma to znaczenie dla sprawy Frankenberga. Jednego był tylko pewien: ciotka miała rację. Cora Bender

rzeczywiście nie miała pojęcia, jak się obchodzić z heroiną. Nigdy własnymi rękoma jej sobie nie wstrzykiwała, mogła co najwyżej zobaczyć w telewizji, jak ktoś naciągał strzykawkę.

Rudolf Grovian zdmuchnął świecę, wyjął jej łyżkę z dłoni i zmył cukrową papkę pod bieżącą wodą. Potem spakował wszystko z powrotem do plastikowej torebki i schował ją do kieszeni.

- A więc - powiedział - pamięta pani jeszcze, jak umówiliśmy się? Pokażę mi pani, że umie się z tym obchodzić, a ja zostawię panią w spokoju. Pokazała mi jednak pani, że nie umie. Mogę zatem zadać kilka pytań.

Była tak zdumiona, że przez kilka sekund tylko się w niego wpatrywała. Wreszcie potrząsnęła głową i ofuknęła go wściekle. - Czy coś zrobiłam źle? Tak, wiem, powinnam najpierw wyjąć strzykawkę. Ale poradziłabym sobie. Ręką albo zębami. Niech pan posłucha, to zupełnie nie w porządku, co pan tu wyprawia. Przytrzymał mi pan ramię, zanim mogłam wszystko pokazać. A teraz twierdzi pan, że bym sobie nie poradziła.

- Nie o to chodzi, pani Bender.

- A o co?

- Dlaczego chce pani wiedzieć? Nie chce pani przecież mieć już nic wspólnego z heroiną. Nie musi pani wiedzieć.

Do diabła ze strachem i poczuciem winy, jego i jej. W tej chwili czuł się dobrze, a nawet cholernie dobrze. Pierwszy krok zrobiony. Teraz kolej na drugi. Z zaciśniętymi ustami ponownie usiadła na łóżku i demonstracyjnie spoglądała w stronę okna, ale niezbyt się tym przejął. Był pewien, że zmusi ją do mówienia. Do tej pory zawsze udawało mu się rozwiązać jej język i obudzić w niej coś, depcząc okruchy oderwane od muru. Musiał tylko zrobić kilka ostrożnych kroków we właściwym kierunku.



- Nie mogłem co prawda porozmawiać z pani ojcem - zaczął. - A z matką nawet nie próbowałem. Pomogła mi jednak pani sąsiadka. - Zrobił krótką pauzę, zanim wymienił nazwisko. - Grit Adigar. Pamięta ją pani

... Nie odpowiedziała, nadal wpatrywała się w kierunku okna, przygryzając zębami dolną wargę.

- Opowiedziała mi o Horstim i Johnnym Guitarze - ciągnął, mieszając wyjaśnienia Grit Adigar z własnymi przypuszczeniami. - Johnny był kolegą Georga Frankenberga. A Horsti to niski, szczupły chłopak o jasnej cerze i blond włosach. Przyjaźniła się pani z Horstim od siedemnastego roku życia. Pani sąsiadka opowiedziała również o Magdalenie. O tym, że pani bardzo kochała siostrę i robiła dla niej, co tylko mogła. Że jej śmierć całkowicie panią wstrząsnęła.

Nie spuszczał z niej oczu. Nie zrobiła nic oprócz dalszego wpatrywania się w okno i przygryzania wargi. Mimo wszystkich kolorów tęczy na twarzy i szerokiego bandaża wyraźnie widać było, że zbladła. Prawie zaczął jej współczuć, ale tylko prawie. Współczucie by jej nie pomogło.

- A więc, powiedział raz jeszcze, jakby musiał w ten sposób coś zaznaczyć. - Chciałbym, żeby zrozumiała pani jedno, pani Bender! Nie jestem pani ojcem. Nie jestem pani matką. Ani sąsiadką czy ciotką. Wyobrażani sobie, że gdy wtedy wróciła pani do domu, zrodziło się wiele pytań i podejrzeń. Mnie jednak nie interesuje Magdalena. Nie chcę wiedzieć, dlaczego właśnie tamtego wieczora zostawiła pani siostrę samą. To dla mnie zupełnie nieistotne. Rozumie to pani?

Nie zareagowała, zatem kontynuował: - Chcę się tylko dowiedzieć, co stało się tego wieczora w „Aladynie” i co było dalej. Co się stało z Horstim, czy została pani z Johnnym, kiedy i gdzie poznała pani Georga Frankenberga. Czy i kiedy zetknęła się pani z heroiną i kto ją pani podawał.

A przede wszystkim chcę poznać nazwisko lekarza, który opatrywał pani obrażenia.

Żadnej reakcji. Jej dłonie spoczywały na kolanach, prawie zupełnie o nich zapomniała. Dolną wargę pogryzła już do krwi.

- Niech mnie pani znowu nie okłamuje, pani Bender - powiedział z pewną surowością, jakby przemawiał do dziecka - w pewien sposób tak właśnie ją postrzegał. – Widzi pani, dowiem się wszystkiego. Pewnych rzeczy szybciej, innych nieco wolniej. Ale w końcu dotrę także do nich. Dwóch moich kolegów wisi dziś przy telefonie, każdy ma przy sobie długą listę. Zadzwoń do każdego lekarza i każdego szpitala w Hamburgu i okolicach. Oszczędziłaby nam pani mnóstwo czasu i pieniędzy, gdyby powiedziała mi to pani dobrowolnie.

Odezwała się tak nagle, że się wzdrygnął. Początkowo był to tylko szept. Jednak już przy pierwszym powtórzeniu brzmiał normalnie. Przy drugim zaczęła krzyczeć: - Nie wiem! Nie wiem! Nie wiem! I nie chcę wiedzieć. Kiedy to pan wreszcie zrozumie? W ogóle nie wyjechałam tego wieczora. Nie zostawiam siostry samej w jej urodziny.

Uniół dłonie w łagodzącym geście. - Spokojnie, pani Bender, proszę się uspokoić. Nie mówię o urodzinach pani siostry. Wiem już, że tamtego wieczora nie wyszła pani z domu. Mówię o nocy w sierpniu, gdy Magdalena umarła.

Potrząsnęła głową jak pies strząsający z sierści krople deszczu, oddech miała urywany. Upłynęła niemal minuta, zanim powoli uniosła rękę i wskazała na drzwi. - Nic nie powiem. Już tyle razy to panu powtarzałam. A teraz po raz ostatni: proszę wyjść! Niech pan znika. Odwal się pan. Jest pan gorszy niż zaraza. Naprawdę pan sądzi, że jeszcze raz puszczę parę z ust? Musiałabym dostać niezłe baty. Opowiadam panu gównu, a potem nie mogę się pozbyć smrodu.

Wciąż potrząsała głową, jednocześnie kilka razy tupiąc.

- Nie! Koniec! Proszę wyjść! Żegnam! Nic tu już nie ma,

chyba że w końcu włoży mi pan jeszcze moją siostrę do łóżka. Wynocha! Albo będę krzyczeć i wszyscy się zbiegną. Powiem, że chciał mi pan dać heroinę i że wrzuciłam ją do umywalki. Uwierzą mi. Ma pan to wszystko w kieszeni. I powiem, że chciał się pan ze mną przespać. Niech pan potem udowadnia, że tak nie było. Załatwię pana dokładnie tak samo, jak pan załatwi mnie, jeśli pan natychmiast nie wyjdzie. Będę rozmawiać tylko z tym, który tu jest szefem. Opowiedziałam mu już wszystko dziś rano.

- Wszystko? - spytał z naciskiem, zupełnie nie zwracając uwagi na jej pogrożki. - Naprawdę opowiedziała mu pani wszystko, pani Bender?

Minęło kilka sekund, podczas których z zaciętą twarzą spoglądała to na niego, to na drzwi, ale nieco się uspokoiła. - Powiedziała mu wszystko, co powinien wiedzieć.

- A co pani przemilczała?

Ponownie upłynęło kilka sekund. Wielokrotnie przełykała ślinę, szykując się do odpowiedzi. - Nic ważnego. - Resztę wyjąkała. Wyraźnie trudno jej było powiedzieć choćby słowo na ten temat. - Tylko to, co dla pana... jest bez znaczenia. Że miałam siostrę, która w wieku osiemnastu lat... zmarła na niewydolność serca.

To przekłete wahanie. Rozum wyraźnie wskazywał mu na drzwi, serce chciało wyciągnąć rękę do niej. Już dobrze, dziewczyno, już wszystko dobrze. To nie twoja wina. Nie jesteś za to odpowiedzialna. Żaden człowiek nie rodzi się winny.

Zamiast tego powiedział: - Pani siostra była śmiertelnie chora, pani Bender. W kwietniu wróciła z kliniki, aby umrzeć w domu. Tylko że nikomu o tym nie powiedziała.

- To nieprawda. - Mówiła głośno, jakby zabrakło jej powietrza.

- A jednak - oświadczył z naciskiem. - Lekarze to potwierdzą. A jeśli nie wierzy pani lekarzom, niech pani

zapyta ciotkę, ona zabrała dokumenty z kliniki. Wszystko w nich zapisano, pani Bender. Pani siostra i tak by umarła, nawet gdyby pani tego wieczora została w domu. Nie mogła pani temu zapobiec.

Coś w rodzaju uśmiechu pojawiło się na jej ustach. Zaczęła się śmiać bądź też szlochać. Nie potrafił stwierdzić. - Niech pan się zamknie! Nie ma pan pojęcia, o czym pan mówi.

- Więc niech pani mi powie, pani Bender. Proszę mi powiedzieć.

Potrząsnęła głową, poruszała nią tylko tam i z powrotem, z lewej strony na prawo, z prawej na lewo. Tak mocno, że jej broda i nos za każdym razem sięgały ramienia. Nie zrobiła nic więcej.

O Magdalenie nie mogę rozmawiać z nikim. Gdybym to zrobiła, otwarcie i szczerze opowiedziałam, jak z nią było, każdy by pomyślał, że jej nienawidziłam tak bardzo, że mogłam ją zabić. Tak ojciec myślał, Margret tak myślała. Grit sama nie wiedziała, co ma o tym sądzić.

Nie zabiłam Magdaleny. Nie mogłam tego zrobić. Była przecież moją siostrą, kochałam ją. Nie zawsze, przyznaję. Nie od początku. Ale to, że najpierw jej nie lubiłam, było przecież normalne. Każde dziecko na moim miejscu czułoby to samo.

Magdalena ukradła moje dzieciństwo. Magdalena zabrała mi matkę, a ojcu żonę, której tak bardzo potrzebował. Wesołą, cieszącą się życiem kobietę, którą podobno kiedyś była. Margret mi o tym opowiadała. Kobietę, która bawiła się w karnawale, umiała się śmiać i tańczyć i chętnie wypijała szklaneczkę. Która regularnie i z własnej woli spała z mężem. Która chciała mieć dziecko. Która, gdy została matką, była bezgranicznie szczęśliwa z powodu narodzin pierwszej córki.

Nigdy nie widziałam, by matka się śmiała. Zamiast tego modliła się i nie była szczęśliwa, tylko szalona. To Magdalena przywiodła ją do szaleństwa. Gdyby nie Magdalena, nie musiałabym ciągle wysłuchiwać, że zabrałam wszystkie siły z brzucha matki. Nie musiałabym przez lata męczyć ust i kolan modlitwą. Nie spałabym w jednym pokoju z ojcem, nigdy nie musiałabym przyglądać się, jak sam się zaspokaja. Nie usłyszałabym, że jestem dla niego jedynym kawałkiem ciała. Nie czułabym tego wstrętu. Nie moczyłabym się przez lata w nocy. Nie męczyłabym się z powodu miesiączki. Miałabym matkę, która wytłumaczyłaby mi wszystko i pomogła poradzić sobie z własnymi problemami. A być może problemy wcale by się wtedy nie

Ale Magdalenie brakowało matki tak samo jak mnie. Pamiętam wciąż: skończyła właśnie piętnaście lat i opowiadała o tym. Znowu przez dwa dni była w Eppendorf, gdzie przebadali ją od góry do dołu. Zrobili jej elektrokardiogram, analizę krwi, wszystkie możliwe testy, a na końcu wychodziła wciąż jedna i ta sama liczba. Za każdym razem cholernie mała. Tym razem pięć. Pięć miesięcy! Tyle czasu dawali jej jeszcze lekarze.

Jej serce za bardzo urosło, naprawdę znacznie. Lekarze rozmawiali z nią o tym zupełnie otwarcie. Wcześniej próbowali z matką, ale niewiele dało się zrobić. A w tym czasie ojciec... No cóż, nie interesował się już tym, co się działo w domu.

Wieczorem, gdy wróciła z kliniki, leżałyśmy w łózkach. W pokoju było jeszcze jasno. Magdalena patrzyła na sufit.

- Teraz już mi wszystko jedno, jaki mi wyznaczają termin - powiedziała. - Do tej pory za każdym razem się mylili. Tym razem też się tak okaże. Sama zobaczysz. Jeszcze zdążę się zestarzeć i posiwieć z tą moją pompą, pewnie tylko ty tego dożyjesz. Z ciężkim sercem zakładam, że nasza kochana mateczka i ojciec świntuch pożegnają się z doczesnym życiem dużo wcześniej.

Skrzyżowała ramiona pod głową, ale zaraz znowu je wyjęła i zakłęła: - Cholerny świat, nie można nawet leżeć, jak się chce. Mimo to minie jeszcze trochę czasu, zanim szernięję. Musisz mi jedno przyrzec, Cora. Nie daj mi zgnić, nie wsadź mnie do ziemi między robaki. Zadbaj, żebym trafiła do ładnego, czystego ognia. Jeśli się nie da inaczej, zaciągnij mnie gdzieś do lasu, polej benzyną i pomyśl, że stoisz z blaszanym wiadrem w salonie. Chcę trafić do piekła, zanim będę musiała w niebie konkurować z matką w śpiewaniu. Na samą myśl, że przybędę do bram niebios, a ona będzie tam czekać, przechodzą mnie ciarki.

Zaśmiała się cicho. - Wyobrażasz sobie, co to będzie, gdy matka zajmie swoje miejsce? Drogi święty Piotr pójdzie na emeryturę, zapewniam cię. Matka zostanie kierowniczką przy wejściu i będzie decydować, kogo wpuścić, a kogo nie. Po pewnym czasie na pewno przestaną wpuszczać kogokolwiek. Ale wtedy, jeśli będzie się nudzić, usiądzie sobie z Piotrem. Pogadają o dawnych czasach. Założę się, że matka wie na ten temat więcej niż on. Nie wie tylko, co jest potrzebne tu na dole.

Przez kilka minut milczała, patrzyła w sufit, jakby mogła zobaczyć już matkę w niebie. Potem powoli mówiła dalej. - Teraz jestem już zadowolona, że nie wie. Kiedy przez trzy dni znowu nie ma czasu, by się umyć, cieszę się nawet, że się do mnie nie zbliża. Wcześniej często chciałam, żeby zamiast prawić swoje kazania, choć raz mnie objęła. Zwłaszcza wtedy, gdy tak mnie dopadło. Nie masz pojęcia, jak okropnie się czułam. Przez wymioty mało nie wyzionęłam ducha. Myślałam, że przy następnych pęknie ten cały aneuryzm. A kto trzymał miskę? Kto mi wycierał pot z czoła i odgarniał włosy? Młoda pielęgniarka. Matka, która była przy mnie tylko po to, by dodawać mi siłę, odwagi i diabeł wie, czego jeszcze, klęczała tylko jej zawadzając. Czasami pragnęłam, żeby pielęgniarka ją kopnęła. Tak

bardzo potrzebowałam wtedy matki, Cora, a jej nie było. Zawsze w moim pobliżu, nigdy naprawdę przy mnie. Ale komu to mówię. Przy tobie także jej nie było.

Powoli poruszyła głową na poduszce, obróciła ją na bok i spojrzała na mnie. - Czy ty też pragnęłaś kiedyś, żeby cię objęła?

- Raczej nie - odparłam.

Magdalena westchnęła. - No tak, ty miałaś ojca. A teraz masz chłopaka. Opowiedz mi coś o nim.

Opowiadałam więc o chłopaku, który nie istniał. Był bardzo fajny, dwa lata starszy ode mnie i już po szkole. Jeździł skuterem, a wieczorem spotykaliśmy się nad jeziorem. Miał bogatych i bardzo nowoczesnych rodziców. Mieszkali w super domu, jednym z tych, które stały w lesie przy drodze do Dibbersen, a przejeżdżając obok widziało się tylko ich dachy. Był bardzo elegancki i bogato urządzony. A jego rodzice nie mieli oczywiście nic przeciwko temu, żeby mnie przyprowadzał. Wręcz przeciwnie, lubili mnie i za każdym razem cieszyli się na mój widok. Zamieniali ze mną parę słów, ale nie zatrzymywali nas zbyt długo, bo wiedzieli, że chcemy być sami. Szliśmy na piętro do jego pokoju, słuchaliśmy muzyki, całowaliśmy się i pieściliśmy

Opowiadałam jej o tym co wieczór. Po kolacji zabierałam ją na górę, pomagałam się rozebrać, podtrzymywałam ją przy myciu zębów, myłam ją, kremowałam, prowadziłam do łóżka, mówiąc przy tym: - Już się nie mogę doczekać spotkania z nim.

Nazwałam go Thomas. W szkole był chłopak o takim imieniu, uważałam, że jest bardzo miły. Nie taki wstrętny i ordynarny jak pozostali. Niewiele o nim wiedziałam. Chodził do gimnazjum, widywałam go tylko na przerwach. Zwykle siedział w kącie na podłodze i czytał książkę. Nie interesował się dziewczynami - ani one nim. Nosił okulary.

Mój Thomas oczywiście nie. Magdalena uznałaby to za wadę. Dla niej chłopcy musieli być wysocy i silni, przystojni, czuli i rozważli. Thomas był już drugim chłopakiem, którego wymyśliłam.

Gdy Magdalena leżała w łóżku, schodziłam na dół i mówiłam do matki: - Muszę teraz pod boskim okiem oddać się kontemplacji. - Nie mogłam zostawać w domu, bo Magdalena szybko dostrzegłaby oszustwo.

Szłam do miasta. W centrum zawsze coś się działo. Sporo budowano. Oglądałam place budowy i wyobrażałam sobie, że pewnego dnia nas zamurują. Że po prostu otoczą nasz dom murem i odizolują nas jak zadżumionych, o których ojciec mi wcześniej opowiadał. Czasami wyobrażałam sobie też, że spotykam Thomasa. Tego prawdziwego, z okularami i książką. Że siadamy gdzieś razem i czytamy.

Ja także miałam książki - kupione. Musiałam je sama zamawiać, a były dość drogie. Ale pieniędzy mi nie brakowało. Z trzystu marek na dom, których co tydzień żądałam od ojca, nie wydawałam nawet jednej trzeciej, a mimo to żyliśmy dostatniej niż przedtem. Nie sprzedawałam już spinek na boisku. Pomadki i różne przybory do makijażu tak, ale przede wszystkim perfumy i inne rzeczy, które przynosiły duże dochody, a które łatwo było schować. Raz nawet walkmana.

Załatwiłam jednego także dla Magdaleny. Zawsze miała go przy sobie w łóżku. Nie było obaw, że matka to odkryje. Nie przychodziła już do naszego pokoju. Krążyła tylko między swoim łóżkiem a domowym ołtarzem, a wszystkie przyziemne obowiązki złożyła na moje barki.

Zanim wyszłam do szkoły, przygotowywałam śniadanie i zajmowałam się Magdaleną. Gdy wracałam, gotowałam obiad. Robiłam zakupy, pranie i utrzymywałam dom w czystości. Każdą wolną chwilę spędzałam z Magdaleną, dopóki wieczorem się nie położyła, a wtedy ja wychodziłam na obchód.



Dziewczyna z mojej klasy regularnie nagrywała mi na kasety najnowsze przeboje. Czasami dawałam jej za to w prezencie jakiś drobiazg. Inaczej Magdalena nie miałaby z walkmana żadnego pożytku. Kochała muzykę. W ciągu tych trzech godzin, gdy mnie nie było, słuchała jednej kasety po drugiej, dopóki nie wróciłam.

Zanim weszłam do domu, robiłam jeszcze krótki wypad do szopki. Pod workami na kartofle nie leżały już słodycze, ale mnóstwo innych rzeczy, w tym papierosy i mała zapalniczka. Zapalałam papierosa i zaciągałam się kilka razy. Potem ostrożnie go gasiłam i wkładałam z powrotem do paczki. W ten sposób jeden papieros starczał mi na kilka dni.

Nie lubiłam palić. Robiło mi się od tego niedobrze, często kaszlałam. Ale Magdalena uważała, że to eleganckie. I poznawała po zapachu, czy paliłam. Kilka miesięcy później, gdy przestałam chodzić z Thomasem, rzuciłam palenie. Opowiedziałam jej, że mój nowy chłopak nie znosi papierosów i nie cierpi, jak dziewczyna pali. Że według niego równie dobrze można całować popielniczkę. A ja nie chcę ryzykować, bo świetnie wygląda, a robi mi się wilgotno w majtkach, gdy tylko dotknie mojej nogi. Magdalena to rozumiała.

Nowego chłopaka - nie pamiętam już, jak go nazwałam, tyle było tych imion - uczyniłam trzy lata starszym. Był pierwszym, z którym spałam. A Magdalena poprosiła, żebym jej pokazała, jak to jest.

Naprawdę robiłam dla niej wszystko, co się dało. Czasami mówiła: - Gdy będę już na tyle duża, by sama decydować, każe się zoperować raz jeszcze. Znajdę lekarza, który to zrobi.

Chciałyśmy polecieć razem do Stanów Zjednoczonych, do jednego z dużych centrów kardiologicznych. Wciąż obliczałyśmy, ile pieniędzy uzbieramy do jej osiemnastych

urodzin, jeśli co tydzień będziemy odkładać sto marek. Powiedziałam jej, że tyle mogę zaoszczędzić na domu. Nie chciałam zdradzić, że właściwie było to dwa razy więcej, bo mogłaby zacząć podejrzewać, że kradnę jak sroka.

Według niej sto marek tygodniowo nie mogło wystarczyć. Powiedziałam, że na dworcu znalazłam portfel z tysiącem marek w środku. I że będę mieć teraz oczy otwarte, bo wielu ludzi dość niedbale obchodzi się ze swoimi rzeczami i nie zauważa, że coś gubi.

Magdalena zaśmiała się. - Jesteś kochana - powiedziała. - Ale głupiotka. Musiałabyś obrabować bank, żeby zebrać takie pieniądze. Nie można liczyć tylko na to, że ktoś coś zgubi...

Mało brakowało, a powiedziałabym jej, iż nie znalazłam tych pieniędzy, a w szopce miałam znacznie więcej niż tysiąc marek. Przeczytałam jednak w gazecie, ile kosztuje operacja w Stanach Zjednoczonych i że trzeba zapłacić samemu. Takiej sumy nie zbierałabym jeszcze przez długi czas. Nie wiedziałam też, jak mam ją zdobyć.

Gdybym mogła pracować po szkole, nie byłoby problemu. Ale musiałam się przecież zajmować domem i Magdaleną. Matka, nawet jeśli chciała, nie dawała sobie z tym rady. Bardzo często wszystko się jej mieszało i myliła na przykład garnek do zupy z czajnikiem. Ojciec kupił nowoczesną pralkę, ale w ogóle sobie z nią nie radziła. Trzymała się od niej z daleka. Myślę, że się jej bała. Uważała pralkę za dzieło szatana i zakręcała nam wodę. Mieliśmy czterdzieści dni pościć na pustyni. Potrafiłam jej wybić z głowy takie pomysły. Trzeba było tylko ciągle uważać, żeby nie zrobiła jakiegoś głupstwa.

Magdalena także sądziła, że będzie lepiej, jeśli zostanę w domu. - Pracować - powiedziała. - A gdzie chcesz pracować? W twoim wieku możesz co najwyżej iść na

praktykę. To trzy lata, przez które nie zarobisz prawie nic. Jeśli naprawdę chcesz zebrać pieniądze na moją operację, musimy wymyślić coś innego. Mam już pewien pomysł. Jest takie zajęcie, za które najmłodsze dziewczyny są najlepiej opłacane. Ale nie wiem, co ty na to.

## ROZDZIAŁ 12

Z powodu przeniesienia Cory Bender z aresztu śledczego do szpitala dla nerwowo chorych urzędnicy sądowi musieli natychmiast przydzielać jej adwokata. Rodzina do tej pory nie podjęła żadnych kroków w tym kierunku.

Wydawało się, że mąż i teściowie Cory zapomnieli o jej istnieniu. Ciotka, z zawodu pielęgniarka, przebywała w północnych Niemczech i czuwała przy umierającym starcu, któremu nikt już nie mógł pomóc. Po matce nie należało czegokolwiek się spodziewać.

Na liście adwokatów, którym sąd krajowy w Kolonii mógł zlecić obronę z urzędu, znajdował się również doktor Eberhard Brauning - bardzo ceniony z powodu dobrej współpracy. Przyjaciele, w tym kilku sędziów, nazywali go Hardy. Miał trzydzieści osiem lat i był kawalerem. W jego życiu naprawdę liczyła się tylko jedna kobieta - matka, z którą nadal mieszkał.

Helene Brauning przez lata pracowała na tym samym polu co profesor Burthe. Często występowała przed sądem jako biegła psycholog i tylko dwa razy nie udało się jej zapobiec skazaniu oskarżonego na karę więzienia. Helene Brauning specjalizowała się - nie tylko w sądzie - w przypadkach poważnych zaburzeń. Dwa lata temu wycofała się z życia zawodowego. Na dłuższą metę zbyt przygnębiające stało się dla niej to, że nie mogła naprawdę pomóc, jedynie oponować.

Dla Eberharda Brauninga psychiatria i psychologia stanowiły obosieczną broń. Od wczesnej młodości fascynowali go przestępcy z zaburzeniami psychicznymi, jednakże tylko

teoretycznie. W rzeczywistości byli dla niego przerażający. Na szczęście w prawniczej codzienności należeli oni raczej do wyjątków.

Kiedy mąż pod wpływem alkoholu lub z zazdrości mordował żonę, adwokat potrafił sobie z tym poradzić. Kiedy pracownik o nieposzlakowanej opinii po suto zakrapianym zakładowym przyjęciu zgwałcił koleżankę, potrafił go bronić, nawet jeśli wewnętrznie taki czyn go brzydził.

Eberhard Brauning potrzebował wytłumaczalnych odruchów i zrozumiałych motywów. Potrzebował szczerej rozmowy, niekoniecznie żalu; gdy go widział, cieszył się, choć równie dobrze radził sobie z kłamstwami.

Tego wszystkiego nie mógł się jednak spodziewać po istotach, którym Helene poświęciła ponad połowę życia. Zamieszkiwały one niedostępny mu świat. Ich zachowanie stanowiło dobry temat wieczornej dyskusji, jednak w pracy Eberhard Brauning wolał przypadki, w których zarówno sytuacja jak i umysł klienta były jasne.

Sędziemu śledczemu wydawało się, że sprawa Frankenberga należy do takich przypadków. Młoda kobieta na oczach kilkunastu osób zamordowała byłego kochanka, początkowo w trakcie przesłuchania wypierała się znajomości z nim, ale dzięki perswazji przesłuchujących wreszcie przyznała się i wyjawiała swe motywy, w międzyczasie próbując popełnić samobójstwo.

Dokumenty z prokuratury były niemal kompletne. Brakowało tylko orzeczenia biegłego psychologa. Mogło to jednak jeszcze trochę potrwać. Profesor Burthe miał bardzo napięty grafik. Brakowało także podpisanego zeznania, ponieważ młoda kobieta odwołała swe początkowe oświadczenie i od tego czasu z uporem zaprzeczała, że знаła ofiarę. Nietrudno się domyślić, dlaczego. A Eberhard Brauning był odpowiednią osobą, by przekonać ją, że kara więzienia to lepsze niż inne środki.

Cora Bender znajdowała się obecnie na zamkniętym oddziale psychiatrycznym, co Eberhard Brauning potraktował jako naturalny skutek jej próby samobójczej. Chusteczki higieniczne! Żeby wpaść na taki pomysł. Uznał to za wyjątkowo wyrafinowane posunięcie, opierając się na osobistej opinii sędziego śledczego, który opisał Corę jako arogancką kobietę. Rozumiał jednak, że sędzia nie chciał ryzykować.

Eberhard Brauning poprosił o pozwolenie na przejrzenie akt i po pięciu dniach od śmierci Frankenberga otrzymał kopie wszystkich zgromadzonych dokumentów. Było to w czwartek. Wczesnym wieczorem rozpoczął od przeczytania sporządzonych tuż po zejściu zeznań świadków i późniejszych uzupełnień nie odnoszących się bezpośrednio do wydarzeń.

Zachowanie ofiary wydało mu się równie jednoznaczne, jak owemu ojcu, którego wypowiedź znalazła się w protokole. Do kwestionariusza z danymi osobistymi Cory Bender dołączono późniejszą notatkę. Siostra, Magdalena Rosch, zmarła przed pięcioma laty na niewydolność serca i nerek. Nie wziął tego faktu pod uwagę.

Gdy czytał zapisy nagranych rozmów, przez chwilę ogarnął go niepokój. Cora Bender musiała w pewnym momencie wpaść w stan, który bardzo łagodnie można było określić jako roztrzęsienie, albo też odegrała niezłe przedstawienie przed przesłuchującymi ją policjantami. Przychylał się do drugiej możliwości, choć chętnie wysłuchałby opinii matki na ten temat. Niestety, gdy odłożył akta, Helene już się położyła. Dawno minęła północ. Następnego ranka przy śniadaniu zabrakło czasu na szczegółową rozmowę. Wspomniał tylko, że ma nową, nadzwyczaj ciekawą sprawę. Kolejna osoba, która wyobraża sobie, że szpital psychiatryczny to sanatorium.

Tuż po przybyciu do kancelarii ustalił termin rozmowy ze swą klientką. Był zdecydowany wyjaśnić jej, że składając

obszerne zeznanie może liczyć na łagodniejszych sędziów. W piątek wczesnym popołudniem, punktualnie o piętnastej, otworzono przed nim drzwi i ujrzał ją po raz pierwszy.

Stała przy oknie, miała na sobie skromną spódnicę i bluzkę o prostym kroju, poplamione i zmięte. Nie nosiła rajstop. Na gołe stopy wsunęła buty na niskim obcasie. Jej włosy najwyraźniej od kilku dni nie miały kontaktu z wodą ani szamponem. A jej twarz, gdy powoli odwróciła się do drzwi w jego stronę...

Eberhard Brauning bezwiednie wstrzymał oddech i po raz pierwszy zwątpił w swoją ocenę. To ośpienie! Jej oczy przypominały szklane guziki na głowie pluszowego misia, ukochanej zabawki z dzieciństwa. Były to dość duże guziki. Gdy trzymał je pod światło, widział w nich swoje odbicie. Tylko on, pokój, otoczenie. Miś nigdy nie zdradził żadnego szczegółu swego wewnętrznego, szmacianego życia.

Skulił ramiona, przesyty nieprzyjemnym dreszczem. Poczul, że aktówka w jego dłoni podwoiła swój ciężar. Powoli wypuścił powietrze, przełknął ślinę i starając się mówić spokojnie i bardzo wyraźnie rzekł: - Dzień dobry, pani Bender. Nazywam się Eberhard Brauning, jestem pani adwokatem. - Nie wspomniał o doktorze. Tytuł zdawał się nie na miejscu wobec tych szklanych oczu na zielonkavo-żółtym obliczu.

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, nie dając nic po sobie poznać.

- Mój adwokat - wymamrotała. W głosie nie słychać było żadnej emocji.  
- Zostałem powołany przez sąd do reprezentowania pani interesów lub mówiąc prościej, do pani obrony. Wie pani, jakie na pani ciąży zarzuty?

Gdy tak stała, mógłby przysiąc, że nie wiedziała. Nie odpowiedziała na pytanie. - Gorąco tu - stwierdziła odwracając się znowu do zakratowanego okna. - A niebo się

chmurzy. To nie jest dobra pogoda na pływanie. Powinnam za pierwszym razem zostać w wodzie. Dawno już bym o wszystkim zapomniała i żyłabym teraz spokojnie z tym mężczyzną na dole.

Jej piersi zafalowały, gdy drząc wciągnęła powietrze. - Rozmawialiśmy o tym dziś rano, profesor i ja. Że chciałam mieszkać z mężczyzną z jeziora. W piątki mówiłabym mu: „Mylisz się, kochany, dziś jest już poniedziałek”. Ale dzisiaj jest piątek, prawda? Spytałam rano profesora. Powiedział, że piątek.

Przez kilka chwil milczała, potem ponownie odwróciła głowę i przyglądała mu się krytycznym wzrokiem przez ramię. - A może mnie okłamał? Największą przysługę wyświadczy mi pan mówiąc, że mnie okłamał. Utrapienie z tymi konowalami. Gdy człowiek myśli, że mówią prawdę, to się mylą. A gdy uważa, że muszą się mylić, mówią prawdę. Jeden taki powiedział mi kiedyś, że jestem uzależnioną dziwką, zadającą się tylko ze

Uniosła ramiona, ale zaraz opadły. - Ten się niestety nie mylił. Zboczeńcy po prostu lepiej płacą. A ja musiałam zbierać masę pieniędzy przed dniem X. Wszystko zależało ode mnie. Ona zażądała, żebym to zrobiła. Chciała, bym swoim ciałem zapłaciła za jej serce.

Przelotny, bolesny uśmiech na ułamek sekundy przywrócił normalny wygląd jej twarzy. I już go nie było. - Zrobiłabym dla niej wszystko - tłumaczyła. - Wyrwałabym własne serce i oddała jej, gdybym tylko mogła. Wiedziała o tym. Sporo wiedziała o wykolejeńcach. Wiedziała też, że ja jestem wykolejona i właściwie nie ma to już znaczenia.

Eberhard Brauning nie potrafił zrobić nic innego, jak tylko się przyglądać i wychwytywać niektóre słowa. Serce, siostra.

Zatopiona w myślach pokiwała głową. - Ale tego nie mogłam dla niej zrobić. Miałam dopiero szesnaście lat.



Nigdy jeszcze nie spałam z mężczyzną. Płakałam całą noc błagając, by wymyśliła coś innego. I wie pan, co powiedziała: „Nie musisz się przecież z nimi pieprzyć, głupia. Normalny stosunek nie jest oplacalny. Tylko na sadomacho zarobisz prawdziwą kasę. Wystarczy, że tym starym dziadygom porządnie coś obijesz. Daj im baty. Uszczyp ich w jądra, wbij im igły w członek, oni tego chcą.” Ale ja nie potrafiłabym torturować starych mężczyzn. Nie mogłam nawet myśleć o tym!

Przyłożyła dłoń do ust. Poważne potakiwanie przeszło w równie poważne kręcenie głową. - Powiedziała, że mam przy tym po prostu myśleć o ojcu. Jak się na mnie napalił. Podobno gdy jej pokazałam, jak mi sprawdzał majtki, skłamałam, aby nie wpadła w histerię. Dlatego wtedy stwierdziła, że to nic takiego. Ale żeby sprawdzić, czy się zsiusiałam, nie musiał mi wsadzać ręki między nogi. Wystarczyłoby spojrzenie na prześcieradło. Gdy to powiedziała, wiedziałam, że jest bestią. Ale każdy próbuje przecież na swój sposób. Chciała tylko żyć.

Eberhard Brauning zdołał skinąć głową i odpowiedzieć: - Wszyscy chcemy.

Również skinęła. - Lepiej by było, gdybym tak zrobiła. Wielu naprawdę tego chce. Wyświadcza się im przysługę, poniżając ich i torturując. W ten sposób mogłabym się jej pozbyć legalnie. Jakoś przecież musiałam. Sama by nie umarła, ale po operacji mogłaby żyć samodzielnie. Już by mnie nie potrzebowała. Dlaczego tego nie zrobiłam, gdy jeszcze był czas? Dlaczego udało mi się dopiero po jej śmierci? Sądzi pan, że to z powodu wyrzutów sumienia? Chciałam upiec dwie pieczenie na jednym ogniu? Przeprosić ojca, a jednocześnie móc powiedzieć: Hej, ty tam w górze, spójrz na dół. Zobacz, robię to. Robię to dla ciebie.

Spojrzała mu w twarz, a głęboko w szklanych oczach zapaliła się iskra. Nie płonęło w nich jednak życie, a jedynie udręka - niczym iskra z ognia piekielnego.

- Zrobiłam to - powiedziała wzdychając ciężko. - Nie tak, jak mi proponowała. Nie potrafiłam ukłuć mężczyzny igłą. Odwrotnie, podstawiałam własną skórę. Ale i na to nie było mnie stać. Żeby wytrzymać te świństwa, ćpałam. Brzmi logicznie, prawda? Uważam, że nawet bardzo. Ale szef mi nie wierzy. A pan?

Eberhard Brauning poczuł nagłą potrzebę załomotania w drzwi, aby go uwolniono. Od spojrzenia tych oczu, które płonęły coraz mocniej, od tego pokoju, a najlepiej od tej klientki. Zobaczył przed sobą notatkę. Niewydolność serca i nerek! Z pewnością była to pomyłka - nie jedyna w tej sprawie. A on miał się nią zająć.

Nie zapukał do drzwi, zaczął tylko pogwizdywać w duchu. Wesola, popularną piosenkę. Nie wiedział, skąd mu przyszła do głowy. Ale gwizdanie w duchu uspokajało go już w dzieciństwie.

Stojące w pokoju łóżka były porządnie zasłane. Tylko po pościeli poznał, że ich używano. Była równie poplamiona i zmięta jak ubranie Cory Bender.

Cora od ponad minuty milczała. Zauważył to dopiero wówczas, gdy podążyła za jego spojrzeniem i z uśmiechem oraz wyraźną kpina stwierdziła: - Wygląda, jakbym nie była tu sama, prawda? Niech te łóżka pana nie zwiodą. To tylko manewr, aby mnie wprowadzić w błąd. Do tej pory poza personelem, profesorem i szefem jeszcze nikogo nie widziałam. Sądzę, że chcą sprawdzić, czy mam jeszcze wszystkie klepki w głowie, czy też zacznę rozmawiać z nieistniejącymi ludźmi.

Zmiana ta całkowicie go zaskoczyła. Jej głos, nawet spojrzenie należały nagle do osoby, która sobie żartowała. Zrobiono jej psikusa i nie zorientowano się, że ona już dawno przejrzała całą grę. Mogła się wyśmiewać z głupoty innych.

Lakonicznie wzruszyła ramionami i zastrzegła: - Ale być może chodzi o to, że za dużo śpię. Ledwo się położę,

a dwie sekundy później już odpływam. Potem mogą obok mnie nawet strzelać z armaty - i tak się nie obudzę. Rano zawsze muszą mną potrząsać. Profesor uważa to za zły znak, że tak dużo i chętnie śpię. Pewnie też przeczytał kiedyś, iż sen to młodszy brat śmierci.

Zaśmiała się rozbawiona. - Bzdura, nigdy nie miałam nic wspólnego z młodszym bratem. Przez lata spałam w pokoju ze starszym i nawet cieszyłam się, gdy ojciec przeniósł się obok, a starszy brat do mnie. Czasami jest się tak głupim, że powinno to być zabronione.

Eberhard Brauning zdążył już odetchnąć z ulgą i starał się przypomnieć sobie początek przemowy, którą dla niej przygotował. Nagle jednak Cora mrugnęła, a gdy mówiła dalej, jej głos brzmiał równie opanowanie i obojętnie jak na początku. - Przepraszam. Pewnie nie wie pan nawet, o czym opowiadam. Czasem ja sama nie wiem. Nie zawsze myślę jasno. Ci tutaj ciągle faszerują mnie jakimś gównem. Profesor twierdzi, że to tylko leki antydepresyjne. Kupa kłamstw, mówię panu.

Jej ramiona rozluźniły się, głos także. - Ale ja się przez to przegryzę - stwierdziła. - Zawsze tak robiłam. Dawniej często powtarzałam, że gdy ktoś mnie kopie w tyłek, robię dwa kroki do przodu. Taka jest zasada pędu, a może jest pan innego zdania?

Mówiła już bardzo przytomnie, przy następnym zdaniu jej głos stał się ironiczny i ostry. - Niech pan nie robi takiej wystraszonej miny. Nie zwariowałam. Tylko tak udaję. Tutaj opłaca się być wariatką. Szybko się zorientowałam. Można wygadywać głupoty i przy każdym kłopotliwym pytaniu serwować jakieś gówno. Wtedy się cieszą. Potrzebują tego dla potwierdzenia, w końcu dostają za to pieniądze. Ale my możemy porozmawiać rozsądnie. Nie musi pan nikomu zdradzać, że jeszcze to potrafię. Zakładam, że jako mojego adwokata obowiązuje pana tajemnica. Tylko

ja nie potrzebuję adwokata. Przykro mi, ale przyszedł pan na próżno.

Eberhard Brauning czuł się jak pod prysznicem, na przemian chłodnym i gorącym. Nie wiedział, co ma sądzić o jej przemowie, ani jak na nią zareagować. - Zostałem powołany przez sąd jako pani obrońca - powtórzył

Współczująco wruszyła ramionami, na jej zielonożółtej twarzy odbijało się poczucie wyższości. - A skąd sąd wie, że chcę mieć obrońcę? Nic pan na mnie nie zarobi, dobry człowieku. Niech pan powie sędziemu, że pana wyrzuciłam. Albo że po rozmowie ze mną zmienił pan zdanie.

- To niemożliwe, pani Bender - odparł. - Potrzebuje pani adwokata i... - Nie skończył.

- Bzdura - przerwała mu lekceważąco. - Nie potrzebuję nikogo. Najlepiej radzę sobie sama. A nigdy nie jestem zupełnie sama. Zna pan *Ucznia czarnoksiężnika*?

Gdy zakłopotany skinął głową, wyjaśniła: - Nie ja przywołałam duchy. Zrobił to szef. Ta świnią przyzywała z piekła jednego po drugim. A teraz jeszcze przygnał mi Magdalenę. Wiedziałam, że tak się stanie, gdy go do niej dopuszczę. Dlatego trzymałam go z daleka. Ale on porozmawiał z Grit. Nie wiem, jak się jej pozbyć. Inni także mnie nie opuszczają. Johnny, Boćki i Tiger. Nie wiem, skąd się wzięli. Do cholery, nie mam pojęcia, gdzie ich wsadzić, żeby nie zdeptali mojego umysłu.

Klasnęła w dłonie, odetchnęła głęboko i ponownie się uśmiechnęła. Nie z wyższością, jedynie ze skargą. - Jestem tu dobrze traktowana, proszę mi wierzyć. Nie marzyłam o skończeniu w wariatkowie. Ale nie zawsze ma się wybór. W porównaniu z więzieniem to niewielka różnica. Może jest nawet lepiej, w każdym razie nie kłóczę się z innymi kobietami. Grzecznie łykam tabletki, zjadam wszystko z talerza i opowiadam profesorowi, co tylko chce usłyszeć. Ale na tym poprzestańmy. Wykluczone, żeby pojawił się teraz

jeszcze jeden, który będzie mnie denerwował pytaniami, aby mnie potem bronić przed sądem. Sama to potrafię.

Eberhardowi Brauningowi szło tak samo jak na początku Rudolfowi Grovianowi. Nie dostrzegał tej niezwykle wąskiej krawędzi, na której balansował jej umysł. Czuł narastającą wściekłość, starał się jednak zachować spokój i przytoczyć rzeczowe argumenty. - Nie może pani. Przed ławą przysięgłych nie można reprezentować samego siebie. Nawet ja bym tego nie mógł, gdyby oskarżono mnie o zbrodnię. Wyrok nie byłby prawomocny i w każdej chwili można by było wnieść apelację, o ile sędziny nie miałyby doradcy prawnego.

Zrobił krótką przerwę, czekając, aż mu odpowie. Milczała, podszedł do stołu, postawił na nim aktówkę, ale nie otworzył jej od razu, tylko przysunął jedno z krzeseł, mówiąc: - To są fakty. Nie ma znaczenia, czy nam się podobają, czy nie. Zostałem zobowiązany jako adwokat i nie mogłem odmówić. Teraz pewnie bym mógł. Wy tłumaczyłbym sędziemu, że pani Bender nie współpracuje i w tych okolicznościach nie mogę jej reprezentować. Wtedy sędzia zwolniłby mnie z tego obowiązku i wyznaczył pani innego adwokata. Oczywiście jego także mogłaby pani odrzucić, tak samo trzeciego i czwartego. Nie wiem, jak długo sędzia pozwalałby pani na taką zabawę, zanim straciłby cierpliwość. Ale niech pani zrozumie, że ma tylko jedną alternatywę: ja albo ktoś inny.

Nie wiedział, dlaczego jej to tłumaczył. Dużo łatwiej byłoby wygłosić tę mowę sędziemu. W tej chwili nie myślał jednak, dlaczego miałby pożałować swych słów. Czuł, że się z niego nabija, przysięgłby, że próbuje z nim tej samej gierki, co z przesłuchującymi.

Johnny, Böcki i Tiger! Nie da się nabrać! Dobrze grała swoją rolę, była niemal świetna. Ale on - od kiedy pamiętał - mieszkał z Helene. A jeśli się czegoś od niej nauczył, to

tego że gdy ktoś wyśmiewa się z głupców grzecznie polykających kolejne bajeczki, to dokładnie wie, co robi.

Zafascynowany śledził wyraz jej twarzy, drwinę wykrzywającą wargi i rozpalającą w szklanych oczach isierki życia. Bez dwóch zdań, świetnie się bawiła jego kosztem. Był przekonany, że Helene, gdyby mu towarzyszyła, potwierdziłaby ten osąd. Cora Bender wyobrażała sobie, iż może wodzić za nos cały świat.

- Więc siedzimy w tym razem, prawda? - stwierdziła, po czym także podeszła do stołu i usadowiła się na jednym z krzesel. - I co teraz zrobimy? Naprawdę mi przykro, że spotyka to właśnie pana. Ale skoro tak się sprawy mają, lepiej pana zatrzymam. Inaczej przyślą mi w końcu jakiegoś dziada. Przy panu mam przynajmniej na co popatrzeć. Ułatwię panu wszystko, żeby ta sprawa nie była dla pana udręką. Jestem winna. Nie ma co tego roztrząsać. Nie zaprzeczam, całkowicie się przyznaję, nie zamierzam jednak składać żadnych wyjaśnień. Wystarczy?

Eberhard Brauning wreszcie usiadł, otworzył teczkę, wyjął ze środka stos dokumentów i położył je na stole. - Wystarczy, żeby wydać wyrok - powiedział i położył dłoń na aktach. - Ale to nie wygląda dla pani dobrze.

Wykrzywiła twarz w uśmiechu. - Przyzwyczaiałam się. Nigdy nic nie wyglądało dla mnie dobrze. Niech pan to schowa, wiem, co jest w środku. Ciosy zadane z wielką precyzją! I inne rzeczy. Bóg wie, do czego szef jeszcze się dokopie. A gdy pan profesor ze mną skończy, na pewno chętnie napisze śliczny raport dla prokuratora. Być może wyświadczy panu przysługę i wspomni o paru okolicznościach łagodzących.

Z głębokim westchnieniem dodała: - Zobaczymy. Gdy już pan wszystko zbierze, proszę obmyślić strategię. Potem przyjdzie pan znowu i omówimy ją na spokojnie. Do tej pory może trochę zmądrzeję. W tej chwili oboje marnujemy tylko czas.

Rzuciła tęskne spojrzenie w stronę okna, jej głos stał się ciężki i melancholijny. Eberhard Brauning na krótką chwilę ponownie uwierzył, że chciała jedynie dowieść swoich możliwości.

- Muszę trochę uważać na to, co mówię - oświadczyła. - Miał pan kiedyś uczucie, że musi przytrzymywać swój rozum obiema rękami? To dość męczące, może mi pan wierzyć. Już prawie boję się myśleć. Czasami aż trzy razy spoglądam na kraty, zanim przekonam się, że nie jestem w domu. Wszystko wydaje się takie rzeczywiste, jakbym znajdowała się w samym środku. Zabieram Magdalenę do łóżka, podtrzymuję w łazience, słyszę ją za plecami w kuchni. Nie wiem, czemu tak się dzieje. Dlaczego muszę przeżywać wszystko jeszcze raz? Zostawiłam to przecież daleko za sobą i mocno zamknęłam drzwi. Szeł się przez nie precyzyjnie. Nie powinien był mi grozić. Od tego się zaczęło.

Ze zdumieniem pokręciła głową i poprawiła się. - Nie, zaczęło się już nad jeziorem. Ale tam spróbowałam tylko malinowej lemoniady i ujrzałam mały krzyż. Teraz czuję smak jego krwi i widzę trzy duże krzyże. Nie ma znaczenia, w którą stronę patrzę, pojawiają się wszędzie. A na środkowym wisi człowiek bez winy.

Nie miał ochoty przerywać tego monologu. Ale przed nim nie odstawało się takich przedstawień. Najwyższy czas, by jej to uświadomić. - Kto pani groził i czym? - spytał.

Nadal patrzyła przez okno. Jej twarz przybrała ten sam obojętny wyraz jak na początku. - Szeł - wymruczała i dodała nieco głośniejszym głosem. - Nazywa się Rudolf Grovian. Uparty z niego osioł, mówię panu. Powiedział mi, że znalazł dziewczynę z połamanymi zębami.

Jej spojrzenie skierowało się na niego, a oczy ponownie przypominały szklane kulki. - Okropne, nieprawdaż?

- Skinęła ciężko głową. - Ale nic się na to nie poradzi. On wykonuje tylko swoją pracę. Wiem, że nie mam prawa się na niego skarżyć. Wcale nie chcę. Ale teraz zgromadził już tyle, że mógłby wreszcie dać spokój. A on tego nie zrobi. Nie przestanie, dopóki mnie nie załatwi. Rozpadam się tutaj.

Jej głos spowodował, że przeszedł go zimny dreszcz. Ostatnie zdanie wypowiedziała ochryłym szeptem. Uderzyła się pięścią w pierś. Przez chwilę zaciskała powieki jakby z bólu, potem zebrała się w sobie.

- Mogłabym mu skrócić kark. Ale na swój sposób go lubię. Zbawiciel zawsze powtarzał: Miłujcie swych nieprzyjaciół. Szef był moim pierwszym nieprzyjacielem. Na początku wydawałam się sobie taka silna. Tamten mężczyzna leżał zakrwawiony i martwy, a ja czułam się wspaniale. Jak Goliat. Byłam Goliatem. Bardzo dużym, więc dostrzegłam nóż na wysokim stole i sięgnęłam po niego. Potem jednak przyszedł ten mały Dawid i powiedział, że musi porozmawiać z moim ojcem. Straciłam panowanie nad sobą i zaczęłam kłamać. Co najdziwniejsze, im więcej zmyślałam, tym więcej widziałam. Obraz z plam, zielone kamyki na podłodze, a na schodach grubego i dziewczynę. Teraz widzę trzy krzyże. Wiem, że zabiłam niewinnego człowieka. I boję się. Strasznie się boję gniewu jego ojca.

Eberhard Brauning nie potrafił się przełamać i tak pokierować rozmową, jak to sobie zaplanował. Pragnął, by Helene była przy nim, oceniła sytuację, a potem powiedziała mu, co ma robić.

Cora Bender zacisnęła usta i zakryła twarz dłońmi. Wyszeptala przy tym: - Czasami w nocy, gdy wydaje mi się, że śpię, przychodzi do mojego łóżka. Nie widzę go, tylko czuję. Pochyla się nade mną i mówi: „Mój syn nie jest winny tej katastrofy. Zrobił, co mógł”. Za każdym razem, gdy to powtarza, chcę wykrzyknąć: „Kłamiesz!”, ale nie potrafię. Nie mogę otworzyć ust, bo przecież śpię.



Trwało to wieki, zanim opuściła dłonie. Jej twarz wyglądała dokładnie tak, jak w dzieciństwie wyobrażał sobie twarze chorych psychicznie.

- Niech się pan nie martwi - wymamrotała wyczerpana. - Wiem, jak to wszystko brzmi. Ale wiem też, komu to mogę powiedzieć, a komu nie. Profesorowi nie wspominam słowem o Zbawicielu i pokutującej Magdalenie. Na początku naprawdę nie chciałam mieć z nią nic wspólnego. Ale potem umyła mu stopy i wszystko się zmieniło. Zna pan dobrze Biblię?

Pytaniu temu towarzyszyło trzeźwe i krytyczne spojrzenie. Jak gdyby specjalistka chciała wytłumaczyć coś laikowi. Znowu bezwiednie skulił ramiona. - Trochę - odparł.

- Jeśli miałby pan jakieś pytania - ciągnęła - proszę się zwracać tylko do mnie. Znam każde słowo, a nawet fragmenty, które nigdy nie zostały napisane. Myjąc mu stopy chciała się tylko mnie przypodobać. Naprawdę pragnęła go zniszczyć i udało jej się. Ja to zrobiłam. Nie wiem, dlaczego. Naprawdę nie wiem. Sama melodia nie mogła być przyczyną.

Czubkami palców zaczęła wybijać rytm na blacie stołu.

- To była jego piosenka. Miałam ją w głowie. Jak się tam dostała? Musiałam go przecież znać, nie uważa pan? To dlaczego nic nie pamiętam? Myśli pan, że rzeczywiście był jednym z klientów? O nich całkiem zapomniałam. Wszystko, co wydarzyło się po jej śmierci, zniknęło. Schowałam to tak głęboko, że już nie mogę się tam dostać. Przetrzaśnięłam cały swój umysł i nic nie znalazłam. Może ukryłam to tutaj.

Popukała palcem w miejsce na czole zasłonięte włosami.

- Ale tu mogę grzebać do końca życia i nic nie znajdę. Przypomniałam sobie, że właśnie tutaj najpierw uderzył. A potem jeszcze raz z boku. Zrobiło się ciemno. Pewnie myśleli, że umarłam. Wyrzucili mnie na ulicę. Sądzi pan,

że powinnam o tym opowiedzieć profesorowi tak samo jak szefowi? Mogłoby to być korzystne, nie istniałaby wtedy sprzeczność. Nie należy uwikłać się w sprzeczności, bo od razu mają cię na widelcu.

- A co opowiedziała pani szefowi? - spytał z ociąganiem Eberhard Brauning.

- No, o tych dwóch mężczyznach, gdy Frankie siedział na kanapie. Nie ma pan tego w aktach?

Potrząsnął głową.

- Dziwne - stwierdziła. - Nie uważałam, że jest zaniedbany. - Zaczęła się gorączkować. - Powiedziałam, że to byli koledzy Frankiego, a dziewczyna chciała, bym dopuściła ich obu naraz. Obstawiam przy tym i chcę oświadczyć także, że Frankie był moim sutenerem.

- A był? - spytał Eberhard Brauning.

- Oczywiście, że nie - odparła. Brzmiało to niemal gniewnie. - Ale nikt nie udowodni nic innego. Już się nad tym zastanawiałam, lecz teraz... - Przerwała i uśmiechnęła się przeproszająco. - No tak, czasami gdy zaczynam myśleć, wszystko mi się miesza. Ale proszę się nie martwić, poradzę sobie.

Oparła się na krzesło i skinęła głową zamyślona. - Teraz omówiliśmy już wszystko. Przynajmniej się to panu opłaciło i zaoszczędziło ponownego przychodzenia. Postaram się nad tym zastanowić. Może lepiej by było, gdyby pan już poszedł.

Eberhard Brauning też tak uważał. Rozumiał teraz nieco więcej - nie ją i jej motywy, ale przesłuchujących urzędników. Naprawdę najpierw musiał omówić wszystko z Helene.

Było to ciągłe potykanie się o odłamki, zbieranie sił i dalsze błądzenie po gruzowisku, które niegdyś było podzielonym przez mur umysłem. Po wizycie szefa sytuacja

tak się pogorszyła, że Cora sama zaczęła się gubić. Czasem odnajdywała częśćkę siebie, ale zwykle pochodzącą z zupełnie innego okresu.

Gdy pojawił się adwokat, w zamieszaniu ukazały się te części Cory, które po narodzinach jej dziecka spowodowały, że sprzeciwiła się staremu i wywalczyła dla siebie kącik biurowy, pensję, a w końcu nawet dom. Zniknęły jednak, zanim jeszcze obrońca wstał od stołu.

Ona zaś ponownie znalazła się na łóżku Magdaleny i obok Frankiego nad jeziorem. Położyła twarz w jego krwi, by w następnej chwili usłyszeć śmiech Johnny'ego na przednim siedzeniu samochodu, mając jednocześnie świadomość, że nie mogło się to zdarzyć. Wizje te były tak samo nierzeczywiste jak Bóg Ojciec pochylający się nad nią w nocy, myśląc że śpi, i przekonujący o niewinności syna.

Konieczność potrzebowała kogoś, kto pomógłby jej usunąć z drogi największe odłamki. Musiał to być ktoś wyjątkowy. Ktoś, kto dużo rozumiał i potrafił uwierzyć w duchy oraz pragnienia stające się obrazami. Gdy nic innego nie pomagało, trzeba było wierzyć. Jednak nikt wyjątkowy się nie pojawił, więc sama próbowała zaprowadzić porządek.

Pozostałe łóżka nie miały służyć wprowadzeniu jej w błąd, co zrozumiała wkrótce po tym, jak rozmawiała z adwokatem. Dokładnie ile dni później, nie umiała powiedzieć. Każdy był podobny do innych, ale to jej nie przeszkadzało. Nie miała nic wspólnego z tamtymi kobietami. W przeciwieństwie do niej cieszyły się do pewnego stopnia wolnością. Ona mogła wychodzić tylko na kolejne spotkania z profesorem. Strach przed nim wkrótce minął. Dobrze sobie radziła i szybko orientowała się, co chciał usłyszeć. W końcu opowiedziała nawet o Magdalenie, ponieważ przypuszczała, że i tak dowiedział się o niej od szefa.

Śmierć Magdaleny nastąpiła z winy Frankiego. Tak ostatecznie ustaliła z adwokatem. Doktor Burthe nie od razu jej

uwierzył, ponieważ ojciec Frankiego jako profesor był niby jego kolegą. Ładny chłopak z dobrego domu, powiedział, nie musiał przecież zostawać sutenerem.

Sama też tak kiedyś myślała. Ale co ona myślała, już się nie liczyło. Ważne było tylko, by myśli zbijały się niczym zalęknione stado owiec i nie rozbiegały nagle. Niestety zwykle robiły to, gdy czuły zbliżające się wilki. Ale nie w rozmowie o Frankiem jako sutenerze. Trzymała wtedy stadko żelazną ręką, a wilki z daleka.

Dlaczego nie, odparła. Frankie uważał, że fajnie mieć zabawkę tańczącą, jak jej zagra. Oczywiście nigdy nie rozmawiał o tym z ojcem. Nikt nie wiedział. Ale tak było! Zatrzymał ją tego sierpniowego wieczora. Zażądał, by przespała się z dwoma mężczyznami jednocześnie.

Dużo od niej żądał, za dużo. Gdy umarła Magdalena, a ona tak bardzo go potrzebowała, stała się dla niego uciążliwa. Poszukał sobie nowej dziewczyny. Ponieważ nie chciała odejść, kazał kolegom zostawić jej po sobie pamiątkę. Pozwolił, by ją pobili i przyglądał się. Jego nowa dziewczyna

Gdyby adwokat to słyszał, byłby z niej dumny. Choć profesor był biegłym specjalistą, można go było okłamać równie łatwo jak matkę. W ciągu trzech spotkań przekonała go do wersji z sutenerem, zagłębiła się w szczegóły, tu i tam nieco ubarwiła opowieść, zaprezentowała wszystkie okropności, jakie tylko dało się wymyślić. Małe diabły z rozpalonymi do czerwoności obcęgami stanowiły dobrą podstawę dla historii o zбочzonych klientach.

Gdy profesor usłyszał wystarczająco dużo, kazał ją odprowadzić do pokoju. Jako wariatka mogła się poddać i tak też robiła. Gdy nikogo nie było w pobliżu, nie miało znaczenia, gdzie przebywała i czy w ogóle była jeszcze obecna. Pojawiało się wystarczająco dużo innych postaci. Matka i ojciec, Magdalena i Johnny, Boćki i Tiger, Frankie i lekarz, a oprócz nich lęk, wstyd i wina.

Od czasu do czasu przychodzili do niej ludzie ze szpitalnego personelu. Ponieważ jednak zawsze wchodzili drzwiami, dokładnie wiedziała, jak się ma wobec nich zachować. Rozmawiała wtedy normalnie, ograniczając się do zwyczajnych uwag, by nie popełnić żadnego błędu. Mówiła na przykład: - Co dzisiaj gotują w kuchni? Znowu dochodzą zapachy! - Potem spoglądała na papkę na talerzu i dodawała: - Chciałabym mieć lepszy apetyt. Ale nigdy nie jadłam dużo.

Czasami pytała: - Czy sądzi pani, że mogłabym kiedyś dostać naprawdę mocną kawę? Wciąż jestem taka zmęczona. Kawa na pewno dobrze by mi zrobiła.

Wcale nie była aż tak zmęczona, ponieważ łykała przepisane leki tylko wieczorem. Po nich z miejsca zasypiała i nie musiała się męczyć z innymi kobietami. Któraś mogłaby spytać, dlaczego tu trafiła. Jednak to, co rano leżało na tacy, po cichu wyrzucała. Zwykły personel był niedbały, a ona sama bardzo przekonująca.

Bez leków lepiej kontrolowała sytuację, mogła prosić ojca o wybaczenie, matce opowiadać o boskim oku na wolnym powietrzu, Magdalenie o namiętnych chłopakach i podróży do Ameryki. Tylko z Frankiem i tamtymi mężczyznami nie zamieniła ani słowa. Gdy Frankie spoglądał na nią pełnym przebaczenia wzrokiem, ścisnął ją w gardle. Musiał wiedzieć, że urodził się jako baranek ofiarny, by swoją krwią zmazać jej grzechy. Jak inaczej można było wytłumaczyć to spojrzenie?

Być może w końcu kazania matki miały trochę sensu. Skoro przed dwoma tysiącami lat wstąpił do nieba, kto lub co miałoby Mu przeszkodzić powrócić teraz, by raz jeszcze zbawić? By na kilka chwil dać jej poczucie absolutnej wolności? Może przyszedł nad jezioro z tą blondynką tylko dlatego, by pokazać jej, że Magdalena była bestią. Może chciał, by walczyła nie o wolność zewnętrzną,

lecz wewnętrzną, o poczucie, że została przez niego zbawiona.

Chętnie omówiłaby to ze swoim adwokatem. Ale jego na razie nie miała okazji zobaczyć. Tylko szef przyszedł raz jeszcze, by pomówić z nią o jakichś drobiazgach. Pokręciła głową, poprzestał na tym. Nie zjawił się jako policjant tylko jako zwykły odwiedzający.

I tak jak zwyczajny odwiedzający przyniósł jej coś. Czasopismo, szampon i owoce. Trzy jabłka. Golden Delicious. Bez noża. Był nieco zakłopotany, kładąc torbę na stole.

- Mam nadzieję - powiedział - że lubi je pani nawet niepokrojone.

Przez swoje zakłopotanie wydał się jej ludzki i nieszkodliwy. Pierwsze zadane pytania dopełniły wrażenia. Zapytał, czy ktoś już ją odwiedził.

- Mój adwokat raz się pojawił.

Czy ktoś jeszcze?

Kto? Wiedziała, o kogo mu chodziło. Gereon! Ale ten rozdział był już zamknięty. Jakby wszystkie spędzone z nim lata po prostu wymyśliła. Rodzina, praca, dziecko, dom, piękne życie. Ze snu. W jej wizjach zawsze kończyło się ono tragicznie i nigdy nie miało dalszego ciągu.

Szef opowiedział jej, że znowu rozmawiał z Margret. Raz jeszcze pokonał długą drogę do Buchholz, by dowiedzieć się o stan jej ojca. Sądził, że może ją to zainteresuje. Oczywiście interesowało i wzruszyła się niemal do łez, ponieważ wróg zdobył się na tak wielkoduszny i ludzki gest.

Margret nadal czuwała przy ojcu. Szef przekazał od niej pozdrowienia i wielkie zaniepokojenie z powodu przeniesienia Cory z aresztu śledczego do szpitala psychiatrycznego. Powtórzył słowo w słowo, co powiedziała: - Na miłość boską, niech ją pan stamtąd wydostanie, zanim naprawdę postrada zmysły. Ma pan pojęcie, jaka to dla niej krzywda?

Szef rozmawiał z nią otwarcie i szczerze. Przyznał, że niestety nie ma na to wpływu. Wszystko zależało od niej samej i jej współpracy z doktorem Burthe. Czy opowiedziała już profesorowi o Magdalenie?

- Tak, oczywiście - zapewniła.

Rudolf Grovian pokręcił głową. Jej uśmiech mówił wszystko, równie dobrze mogłaby stwierdzić: - Nieźle go wyprowadziłam w pole. - Nadał swemu głosowi ojcowski, lekko ganiący ton.

- Pani Bender, musi mu pani powiedzieć prawdę, żeby wyrobił sobie opinię. Kłamiąc, sama sobie pani szkodzi. Od jego orzeczenia zależy pani przyszłość.

Zaśmiała się cicho. - Nie chcę żadnej przyszłości. Mam przeszłość, która wystarczy na sto lat. Niech pan przekaże Margret pozdrowienia ode mnie. Myli się, tu jest jak na wakacjach. Nie opalam się, ale poza tym wszystko się zgadza. Obsługa nie gorsza niż w tanim hotelu. Wszyscy są mili, nikt nie zrzędzi i nie oczekuje napiwków. Widzi pan, przez cały dzień mam właściwie pokój jednoosobowy. Powiem panu coś: gdy to się rozniesie, będzie pan miał pełne ręce roboty. Pewnego dnia będzie się pan cieszył, jeśli pozwolą panu dotrzymywać mi towarzystwa. Zupełny spokój, gwarantuję panu. Od czasu do czasu ciekawa rozmowa z wykształconym człowiekiem. Poza tym można się oddawać własnym myślom.

- A jakim myślom się pani oddaje, pani Bender?

Uniosła ramiona. - Ach, różnym. Najchętniej wyobrażam sobie, że nie zabiłam Frankiego, tylko jego żonę. Bo jedynie próbowałam odebrać jej nóż. Szczerze mówiąc wołałabym, żeby te małe diabły później zatroszczyły się o moje grzechy. Nie jestem Piłatem.

Rudolf Grovian skinął głową. W domu przeżył kłótnię, pierwszą prawdziwą kłótnię od dziesięciu, dwunastu czy piętnastu lat. Gdy Mechthild zaczęła krzyczeć, nie pamiętał

nawet, ile czasu minęło od ostatniego razu. Zrobiła mu piekielną scenę, kiedy przy śniadaniu zapytał mimochodem, czy może zabrać z łazienki zapasową butelkę szamponu i może jeszcze jakąś gazetę lub coś innego do czytania.

Mechthild popatrzyła na niego z nieufnością i zdumieniem. - Chcesz umyć Hossowi głowę i coś mu poczytać? A może planujesz co innego? Rudi, nie chcesz chyba...

Oczywiście, że chciał, musiał. Podczas drugiej wizyty w Buchholz dowiedział się wielu rzeczy, znacznie więcej niż ośmielał się przypuszczać. Ale ciągle było to niewystarczające, by ustalić wszystkie zależności. Brakowało kilku odłamków. A ona miała te okruchy w swej głowie. Próbował uświadomić to Mechthild.

Od tego się zaczęło, a zakończyło na: - Jedź, jedź sobie do niej, skoro nie możesz wytrzymać. Jak wyjdiesz, zadzwonię zaraz, żeby i ciebie tam zatrzymali.

Potem Mechthild wybiegła do salonu, chwyciła jabłka z miski z owocami i rzuciła mu je na stół. - Masz, te też zabierz. Będziesz mógł zrekonstruować przebieg wydarzeń.

Mechthild wychodziła z błędnych założeń. To, co chciał zrekonstruować, nie miało nic wspólnego z jabłkami tylko z cytrynami.

Zaczął z nią rozmawiać, niewinnie i zupełnie szczerze. Że jej ojcu naprawdę się polepszyło. Lekarze uważali, że kryzys minął. Margret chciała mu znaleźć dobry dom opieki. Myślała też, by w przeciągu następnego tygodnia wrócić do Kolonii. Następnie spytał, czy w ogóle powinna z nim rozmawiać. Prywatna wizyta czy nie, być może adwokat doradził jej

W odpowiedzi znowu się roześmiała. - Nie, wyglądał raczej jakby sam potrzebował rady. Wie pan, w jakiś sposób przypominał mi Horstiego. Nie żeby był chuderławy, ale równie łatwo go onieśmielić i zrobić na nim wrażenie.



Rudolf Grovian miał ochotę jeszcze chwilę pogawędzić o jej adwokacie. Eberhard Brauning, usłyszał to nazwisko od prokuratora, nie mówiło mu jednak nic. Chętnie dowiedziałby się, czy Eberhard Brauning zalicza się do ostrych zawodników. Było kilku takich wśród obrońców z urzędu i robili oni dla swych klientów wszystko, co tylko było w ich mocy.

Mechthild uważała, że Cora Bender potrzebuje takiego ostrego zawodnika przede wszystkim po to, by postarał się, aby pewien policjant trzymał łapy z dala od jego klientki, ponieważ ten policjant sam bliski był postradania zmysłów. Stanowiło to pewnie jedyną dobrą stroną domowej kłótni - Mechthild troszczyła się o niego. - Wykańczasz się, Rudi. Jeszcze się w coś wpakujesz. Zobacz tylko, jak wyglądasz! Mój Boże, nie masz już dwudziestu pięciu lat, musisz się wysypiać.

Ostatniej nocy niezbyt mu się to udało. Tyle kłębiących się myśli! Z chęcią oddałby kilka z nich. Na przykład adwokatowi. Zrozumiałe, że odmawia policjantowi dostępu do swych ostatecznych rezerw. Od pierwszej chwili był wobec niej napastnikiem. Co innego obrońca, dzielny człowiek, od początku mówiący: jestem po twojej stronie.

Jej ostatnie stwierdzenie raczej nie dowodziło dzielności i siły przekonywania. Horsti stanowił drugi interesujący go temat. Podjął wątek, wdzięczny, że nie musi sobie łamać głowy, by ją na niego naprowadzić.

Nie po to ponownie pojechał do Buchholz, by porozmawiać z Margret lub dowiedzieć się o stan ojca Cory. Nie było się czego dowiadywać. Wilhelm Rosch nie żył. Margret szukała domu starców dla swojej szwagierki. Nie można było opieką nad nią na stałe obarczać sąsiadów. Nie miał serca powiedzieć Corze o śmierci ojca. Profesor Burthe nie musiał mu o tym przypominać. - Pani Bender może nie mieć sił, by przyjąć taką wiadomość. - Oczywiście, że nie! Horsti został zaakceptowany jako bezpieczny temat.

Nie miał problemu z odnalezieniem jej chłopaka, musiał tylko trochę popytać. Pomogła mu Melanie, córka Grit Adigar, która wróciła z Danii. Przypomniała sobie, że Horsti miał na nazwisko Cremer i mieszkał w Asendorf, małej miejscowości w pobliżu Buchholz. Melanie wiedziała też więcej.

Siedzieli we troje w jasnym, nowocześnie urządzonej salonie, podczas gdy Melanie Adigar wysilała swą pamięć.

Raz widziała Corę razem z Johnnym Guitar w „Aladynie”. W urodziny Magdaleny. W tym momencie Grit Adigar próbowała jeszcze przerwać córcę. - Musiałaś się pomylić. Tego dnia na pewno nie wychodziła z domu.

Melanie odparła tonem pełnym wyrzutu: - Mamo, wiem przecież, co widziałam. Też się zdziwiłam. Ale nawet z nią rozmawiałam. Była sama i... - I pojawiła się odrobina zazdrości. Johnny Guitar, adonis o blond włosach, fascynujący mężczyzna - Melanie także by się mu nie oparła. Choć należało z nim uważać! Zawsze ciągał ze sobą tego niskiego grubasa.

Melanie widziała kiedyś, jak pewna dziewczyna wróciła do „Aladyna” po spotkaniu z tymi dwoma. Zapłakana! Poszła z kilkoma koleżankami do łazienki. Melanie z ciekawości udała się za nimi i pośród kolejnych szlochów wyłapała kilka zdań: - Co za świnia! Nic nie zrobił. Pozwolił tamtemu na wszystko. Zaskarżę go. - Inny głos doradził: - Lepiej trzymaj gębę na kłódkę. Ostrzegaliśmy cię, pojechałaś z własnej woli.

Wszystkie trzymały gębę na kłódkę. Mimo to sytuacja Johnny'ego się pogorszyła, nie szło mu tak dobrze. Zmiana rewiru była tylko kwestią czasu. Wątpliwe, by wieści o związanym z nim niebezpieczeństwie dotarły do Cory. Ona zawsze przebywała w towarzystwie Horstiego.

Ale nie tego wieczoru. Johnny szybko wykorzystał okazję. Cora była taka zakochana, naprawdę straciła głowę.

Tańczyli i rozmawiali. Melanie obserwowała ich zdecydowana ostrzec Corę, zanim da się namówić Johnny'emu na wycieczkę. Ale zdarzył się kolejny cud. Tego wieczora niski grubas też miał szczęście. Melanie zobaczyła go tańczącego niemal bez przerwy z tą samą dziewczyną. Nową w „Aladynie”, nieco krępa, ale całkiem ładną blondynką. Pasowała do niego.

- Wyszliśmy o wpół do jedenastej - powiedziała Melanie Adigar. - Wciąż z nią tańczył. A Cora z Johnnym. Nie chciałam jej psuć wieczoru. Pomyślałam, że skoro są we czwórkę, nie może się zdarzyć nic złego. To był ostatni raz, kiedy ją widziałam. Johnny i jego kolega też już się potem nie

Horst Cremer potwierdził i uzupełnił te informacje. Ostatni raz spotkał się z Corą w majowy weekend. Powiedziała mu, że może się z nim zobaczyć dopiero za dwa tygodnie. Nie podała żadnego szczególnego powodu, na pewno nie wspomniała ani słowem, że jej siostra czuje się gorzej niż zwykle. Ale o siostrze mówiła bardzo rzadko.

16 maja Horst Cremer został w domu. 23 na próżno czekał w „Aladynie” na Corę. Przez dwa wieczory włóczył się w pobliżu jej domu w nadziei, że ją zobaczy i uzyska wyjaśnienie. Także na próżno. Nie odważył się zadzwonić do drzwi. Był zbyt nieśmiały, a ona opowiedziała mu straszne historie o swym surowym ojcu.

W ostatnią sobotę maja Horst Cremer raz jeszcze spróbował szczęścia w „Aladynie”. Cora się nie pojawiła. Popytał trochę i dowiedział się, że 16 maja bezwstydnie go zdradziła. Nie tylko Melanie Adigar była świadkiem romansu z Johnnym Guitar. Kilka osób twierdziło, że widziało, jak Cora późno w nocy wsiadała do samochodu razem z Johnnym i jego niskim, grubym kolegą - oraz jeszcze jedną dziewczyną, której nikt nie znał!

Na tę wiadomość Rudolf Grovian od razu pomyślał o znalezionych zwłokach. Skoro byli we czwórkę, nie mogło się zdarzyć nic złego - dobre sobie.

Nie dało się stwierdzić, jaki to był samochód. Melanie Adigar nie pamiętała dokładnie. - Nie zawsze przyjeżdżali tym samym autem. Raz chyba srebrnym golfem. Musiał jednak należeć do grubasa. Johnny lubił drogie samochody. Porsche albo jaguar. Raz widziałam jak wysiada z auta. Nie mam pojęcia, jaki to był typ. Zielonkawy, pamiętam jeszcze, z wielkim spoilerem, oldi, prawdziwy szpanerski wóz. Pomyślałam, że facet ma bogatego tatusia. Albo wypożyczalnię samochodów w domu.

Horst Cremer także nie wiedział nic o samochodzie. Nie powiedziano mu, jaka to była marka. Po prostu, że wsiadła z Johnnym do auta. Horsti swój pierwszy zawód sercowy zapił. Do połowy lipca wahał się między rozczarowaniem a nadzieją na powrót Cory. Johnny był znany z tego, że przyjeżdżał do Buchholz na łowy.

Horsti spędzał każdy weekend w „Aladynie” i co wieczór czekał pod jej domem. W sobotę pod koniec lipca poszedł na całość. Nie zatrzymał się na rogu ulicy. Zadzwoił do drzwi.

Rudolfowi Grovianowi powiedział: - Otworzyła stara wiedźma, kudłata zmora. Spytałem o Corę, a ona odparła: W tym domu nie ma już Cory. Moja córka zniknęła. Myślałem, że się przesłyszałem.

Rudolf Grovian też tak pomyślał. Zniknęła! Już pod koniec lipca? Skoro ciotka i sąsiadka były przekonane, że Cora do 16 sierpnia siedziała przy łóżku umierającej siostry!

Chociaż nagle zarówno Grit Adigar jak i Margret Rosch przestały być tego takie pewne. Po wypowiedzi córki Grit Adigar się wycofała. Od maja do sierpnia nie przychodziła tutaj. Teraz wydaje się jej to dziwne. Jakby Wilhelmowi nagle przestało się podobać, że wpadała bez uprzedzenia. Nie zastanawiała się nad tym, gdy odprawiał ją w kuchni. Wierzyła mu, gdy z zatroskaną miną wskazywał na sufit i mruczał: - Cora się stamtąd nie rusza. - Dlaczego Wilhelm miałby kłamać?

Margret też zadawała sobie to pytanie. Jeśli Cora, jak przypuszczał Rudolf Grovian, zniknęła już 16 maja, dlaczego Wilhelm 17 maja powiedział jej przez telefon tylko o złym towarzystwie?

Wilhelma nie mogli już spytać. Rudolf Grovian spróbował szczęścia z Elsbeth Rosch. W cztery oczy! Margret, która po śmierci brata zamieszkała w domu, niechętnie opuściła kuchnię. Usłyszał, że Magdalena, której uroda rozkwitła na nowo, siedzi u stóp Pana, a każda ułomność i grzeszna myśl została wypalona z jej starego ciała.

Nie miało to najmniejszego sensu. W pierwszym momencie pomyślał, że Elsbeth nie pamięta już najstarszej córki. Potem jednak opowiedziała mu o szatańskim stworzeniu, które okpiło ich wszystkich. Że udawała się do świątyni grzechu, zamiast oddawać się rozmyślaniom. Że doprowadziła do swojej zguby, ponieważ była zaślepiona żądzami ciała. Elsbeth nie pamiętała, kiedy dokładnie szatańskie stworzenie odwróciło się plecami od rodzinnego

Mógł zapomnieć o tych bzdurach. Dwie pozostałe rozmowy dawały dużo więcej. Niestety przed sądem nie miałyby żadnej wartości. Horst Cremer mógł powtórzyć tylko zasłyszane plotki. Nie pamiętał nawet, kto go wtedy poinformował o zdradzie Cory. A Melanie Adigar nie widziała, czy Cora owej majowej nocy opuściła lokal sama czy w towarzystwie Johnny'ego, niskiego grubasa i nieznanej dziewczyny.

Zdawało się, że Corę ucieszyło, iż porozmawiał z jej byłym chłopakiem. Głos miała pełen melancholii. - Jak się czuje? Co robi? Ożenił się?

Słuchała uważnie, chciała wiedzieć, czy Horsti o nią wypytywał. Potem sama opowiadała. O wieczorach w „Aladynie”. Czasami tańczyli, czasami stali w rogu. Horsti uwielbiał Udo Lundenberga. Nie te ostre piosenki, tylko

łagodne. *W ciemnych, głębokich uliczkach przeszłości.* Teraz ona błądziła w ciemnych uliczkach. Od czasu do czasu przepływała przez nią zimna fala wspomnień.

W tej chwili fala była letnia. Zaśmiała się cicho. - Był kochanym facetem. Często miałam wyrzuty sumienia, bo wykorzystywałam go tylko, żeby inni trzymali się z daleka. Chciałam poczekać na tego właściwego. Wyrachowane, prawda?

Rudolf Grovian tylko wzruszył ramionami, pozwolił jej mówić i wyteżał umysł, zastanawiając się, jak ominąć niebezpieczną rafę Magdaleny, a jednocześnie zahaczyć o 16 maja. Tylko pobyt w „Aladynie” i krótka scena na parkingu, o innych sprawach nie chciał rozmawiać. Na pewno nie chciał znowu przegnać jej za mur niczym w ostatniej rozmowie, gdy dobry kwadrans przyglądał się, jak kręci głową, zanim zrozumiał, że zupełnie się wyłączyła.

Chciał jedynie dowiedzieć się, jak potoczyła się historia z Johnnym. Bo musiała mieć dalszy ciąg. Istniała tylko jedna możliwość: Johnny to Hans Bockel. Bockel załatwiał dziewczyny, zabawiał się z nimi i dbał, by koledzy też nic nie stracili. A jeśli z Corą stało się to samo, co z tamtą małą, której szloch podслуchała w toalecie Melanie Adigar, cała historia nabierała sensu.

Ukochany wydaje ją na pastwę dwóch mężczyzn. Nawet jeżeli grubas tego wieczora miał ze sobą dziewczynę, pozostawał jeszcze Georg Frankenberg. I nawet jeżeli Frankie był poważnym i wstrzemięźliwym młodym mężczyzną - mógł przecież się zapomnieć. Pozostawało udowodnić, że Georg Frankenberg nie złamał ręki 16 maja, lecz dopiero później.

Aby dotrzeć do źródeł wypadku, nie potrzebował wiele wyobraźni, tylko kilku bezsennych nocy, podczas których odtwarzał sobie scenę powrotu do domu zupełnie załamane gołego młodego mężczyzny. Jak opowiada ojcu o jednej lub

dwóch martwych dziewczynach. Boi się. Ojciec uspokaja go, zadaje kilka pytań i dowiaduje się, że nikt nie widział syna z tymi osobami. I zdarzyło się to daleko stąd. A więc nie martw się, chłopcze. Wszystko załatwimy. Nie będzie bolało. Dam ci przedtem zastrzyk.

Rudolf Grovian myślami był we Frankfurcie, w „Aladynie” i paru innych miejscach, tylko nie przy niej. Zdawało się, że nie traci nic ważnego. Słyszał, jak dalej opowiada o Horstim, a ten naprawdę nie miał dla niego znaczenia.

Westchnęła. - Mam nadzieję, że jest szczęśliwy w małżeństwie. Naprawdę mu tego życzę. Zasłużył sobie. Zawsze się starał mnie zadowolić. Na urodziny podarował mi kasetę. Sam ją nagrał. Queen. Miałyśmy już ich piosenki, ale jego kopia była dużo lepsza. Bez szumów. *We are the champions* i *Bohemian Rhapsody*. Magdalena za tym szalała. W tamtym tygodniu słuchała tylko tego. Uważała, że Freddy Mercury ma wspaniały głos. A teraz on także nie żyje. Mój Boże, dlaczego wszyscy nie żyją?

Przeżona wytrzeszczyła oczy i na chwilę przyłożyła dłoń do ust. - Ale jego nie, prawda? Jego na pewno nie... Był chory. To znaczy czytałam kiedyś, że był bardzo chory.

Rudolf Grovian nie usłyszał początku. Sądził, że nadal mówi o Horście Cremerze. Zobaczył jej przestרח i pośpiesznie zapewnił: - Nie, niech się pani nie martwi, pani Bender. Jest zdrowy jak rydz i bardzo szczęśliwy. Jego żona spodziewa się dziecka. Świetnie mu się powodzi. Rozmawiałem z nim. Otworzył mały zakład naprawy samochodów.

- Kłamie pan - stwierdziła, zagryzła wargi i pokręciła głową. W tym momencie w jej głowie pojawił się obraz.

Zapomniała o szefie, patrzyła tylko na mały budzik na nocnym stoliku. Widać go było wyraźnie. Wskazówki wskazywały kilka minut po jedenastej.

Magdalena nie usłyszała jej kroków na schodach, ponieważ miała na uszach słuchawki walkmana, a muzykę nastawiła najgłośniejszą, jak się dało. Wyprostowała się zaskoczona, ale jednocześnie zadowolona. - Jesteś super punktualna. Na dyskotekę nic się nie działo?

Podeszła do łóżka, usiadła, uniosła dłoń, odgarnęła długi kosmyk włosów z twarzy Magdaleny i pocałowała ją w policzek. - Nie, zupełnie nic. Nie miałam ochoty dłużej tam siedzieć. Wolałam być z tobą.

Z maleńkich słuchawek w ręce Magdaleny dobiegał zniekształcony głos Freddy'ego Mercury'ego. *Bohemian Rhapsody. Is this the real life?* Nie, to nie było prawdziwe życie, tylko zlepek kłamstw. - Od lat chodzę dla ciebie pod latarnię. Wkrótce zbieramy pieniądze. - Nie zbieramy! Bo kradzieże nie załatwiają sprawy tak szybko. - Zerwałam z moim chłopakiem. Stał się uciążliwy przez te głupie pytania. Ale mam już nowego, nazywa się Horst. Fajny facet. - Bzdura! Patykowaty chłopak, z którego się wszyscy śmiali. - Wolałam być z tobą. - Wcale nie!

Chętnie bym została. Johnny był na miejscu. Nigdy jeszcze ci o nim nie opowiadałam. Teraz też nie powiem. Johnny należy tylko do mnie. Wyobraź sobie mężczyznę, młodego, silnego i tak pięknego jak na obrazku. Wygląda jak archanioł z Biblii matki. A ja go dziś dotykałam, jego ramion, jego twarzy. Objęłam go w pasie, a ręce położyłam mu na plecach.

Jej dłoń nadal spoczywała na głowie Magdaleny. Poglaskała jej gładki policzek. Palcem obrysowała usta. - Musisz jeszcze do toalety, zanim się położymy?

Magdalena pokręciła głową. Cora podniosła się z łóżka.

- Przyniosę resztę szampana.

Butelka wciąż była niemal pełna. O ósmej wypity tylko po małym łyku. Magdalena powiedziała, że szampan jej nie smakuje. Ona sama też tak uważała, bo siostra nalegała, by pojechała do „Aladyna”. Teraz była wdzięczna za jej upór.



Gdy wróciła z butelką i dwoma kieliszkami, Magdalena siedziała wyprostowana, opierając się na poduszkach. Uśmiechnęła się i spojrzała na nią krytycznym wzrokiem.

- Jesteś taka dziwna. Coś ci dolega?

- Nie. Co miałyby mi dolegać? - Tęsknota. Tak długo pragnęłam, by ze mną porozmawiał. Na więcej nie liczyłam. A teraz nawet mnie przytulił. Tańczyliśmy. Chciałam, żeby ze mną wyszedł i się ze mną kochał. Był podniecony, zauważyłam to w tańcu. Gdy musiałam wyjść, czułam się taka rozdarta. W przyszłym tygodniu pewnie mnie nawet nie rozpozna. Powinam z nim zostać. Taką szansę ma się tylko raz. Dla mnie nadeszła właśnie teraz - nie było przy nim żadnej innej, nudził się. Wiem o tym. Zaprzepąściłam tę szansę, ale przecież obiecałam ci, że nie zostanę długo.

Czasem cię nienawidzę! A teraz nienawidzę cię inaczej niż na początku, inaczej niż gdy byłam dzieckiem. Nienawidzę cię jak oszukana kobieta. Gdybyś nie istniała, byłabym wolna. Nie musiałabym od dwóch lat wystawać w „Aladynie” z tym łażącym za mną wszędzie Horstim. Wszyscy się z niego wyśmiewali. Znowu stałam się obiektem żartów. Cora już się nie modli na boisku. Teraz jest ze swoją tyczką w „Aladynie”. Nie ma czasu na prawdziwego mężczyznę. Bo siostra zżera jej życie.

Dzisiaj mogłam wszystkim pokazać. Wszystkim, którzy się liczą. Melanie była tam ze swoją paczką. Nie znasz Melanie osobiście. Nikogo nie znasz osobiście, tylko siebie. Rozmawialiśmy chwilę. Melanie spytała o Horstiego.

- Gdzie zostawiłaś swojego tyczkowego faceta?

- Jest w domu, podwiązuje pomidory - powiedziałam. Chciałam skończyć drinka i jechać do domu, ale dokładnie w tym momencie weszli do środka. Johnny z kolegą.

Być może powinnam ci jednak o nim opowiedzieć. Wszystko, każdy szczegół. Żebyś zobaczyła, że nie daję ci się zniszczyć, że potrafię czuć zupełnie normalnie. Chcesz

posłuchać? O tym, jak weszli, usiedli przy stoliku i rozejrzeli się dookoła. Jak rozmawiali ze sobą. Mogłam sobie wyobrazić, o czym. Że nic się nie dzieje, że muszą jechać gdzie indziej.

Ale potem grubas dostrzegł dziewczynę. Zawsze jakąś dostrzegał. Tylko do tej pory nie odnosił sukcesów. Nie wiem, ile razy już przyglądałam się, jak go sławiano. Pomyślałam, że dziś też tak będzie. Wstał od stolika i podszedł do niej. Zagadnął. A ona rzeczywiście poszła z nim na parkiet.

Johnny siedział sam przy stoliku. Widziałam, że się nudzi. Dzisiaj to ty masz pecha, pomyślałam. Popatrzył na mnie. I uśmiechnął się. Nie wiem, czy odwzajemniłam uśmiech. W tym momencie miałam uczucie, jakby moja twarz znieruchomiła, a serce niemal się roztopiło.

Potem wstał. I podszedł do mnie. Wiesz, co powiedział? - Zostawiłaś swojego strażnika w domu, żeby inni biedni faceci też mieli szansę?

Nie mogłam w to uwierzyć. Pytał, czy chcę z nim zatańczyć. Jeszcze jak! W tańcu opowiedział mi, że do tej pory nie miał odwagi mnie zagadnąć, bo cały czas byłam z Horstim. Trzymał mnie tak mocno, że kilka razy pomyślałam o świecy. Nie jest tak gruba jak to, co czułam.

Usta Johnny'ego znalazły się na moim czole, czekałam, aż mnie pocałuje. Jednak on spytał tylko, czy miałabym ochotę jechać gdzie indziej z nim i jego kolegą. Z samym Johnnym pojechałabym od razu. Musiałabys poczekać na mnie trochę dłużej. Ale razem z kolegą! Jakaś znajoma powiedziała mi kiedyś: możesz ich mieć tylko obu naraz. Wyobrażam sobie, co miała na myśli. Nie sądziłam, żeby dziewczyna tańcząca z grubym też chciała jechać. Przecież dopiero go poznała. Może tańczyła z nim tylko dlatego, bo myślała, że w ten sposób łatwiej zbliży się do Johnny'ego.

Odpowiedziałam: - Miałabym ochotę, ale nie dam rady. Nie mogę zostać za długo. Moja siostra jest sama w domu.

Zdziwił się. - Ile lat ma twoja siostra?

- Dzisiaj kończy osiemnaście - odparłam.

Zaśmiał się. - To dlaczego jest w domu? Czemu nie przyszła z tobą?

- Nie czuła się najlepiej.

Koniecznienie chciał, żebym nie szła do domu i z nimi pojechała. A nawet tylko z nim. Popatrzył na grubasa z dziewczyną i stwierdził: - Tiger jest zajęty. Na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli zostawimy go na trochę samego.

Rozśmieszyło mnie, że nazywa go Tiger. Wyglądał raczej jak mały, różowy prosiak.

Johnny spytał: - Nie możesz zadzwonić, wyciągnąć swoich rodziców z przyjęcia i powiedzieć, że dzisiaj oni muszą siedzieć z małą?

A ja powiedziałam: - Nie mamy już rodziców.

Nie mamy. Nigdy nie miałyśmy. Zawsze byliśmy zdane tylko na siebie. A ponieważ jestem starsza i silniejsza, muszę się o ciebie troszczyć. Poszłam więc, choć prawie umierałam. Czułam się, jakbym wrywała sobie serce. Johnny obiecał, że jeśli zostanę, zdradzi mi swoje prawdziwe imię. Błagał mnie. Jeszcze pół godziny, jeszcze jeden taniec. Wyszedł ze mną na parking. I zanim wsiadłam do samochodu, wreszcie mnie pocałował. Było inaczej niż z Horstim. Pił whisky z colą. Może o to chodziło. Słodko aż do kolan. Mogłabym stać tak z nim godzinami, a minęło ledwie kilka sekund.

Puścił mnie i powiedział: - Zaśpiewaj siostrze kołysankę i wróć, dobrze? Czekam na ciebie. - Gdy odjeżdżałam, stał i machał na pożegnanie. Pomyślałam, że naprawdę mogłabym wrócić, gdybyś już spała. Zaśpiewaj siostrze kołysankę...

## Rozdział 13

Tylko chwila nieuwagi i zaraz to się stało. Ledwie wymówiła imię Magdaleny, odleciała. Rudolf Grovian obserwował, jak podchodzi do łóżka i siada - z boku - z twarzą zwróconą do poduszki. Dłonią pogładziła zmiętą poszewkę. Jej wyraz twarzy świadczył o tym, że nie rozmawiała już z nim.

Miał nadzieję usłyszeć kilka słów, choćby niewyraźnych, z których dałoby się wyciągnąć wnioski na temat tego, co właśnie przeżywała. Nie wyświadczyła mu tej przysługi. A czytając z jej twarzy... Widniało na niej obrzydzenie i sprzeciw, wielokrotnie mocno przetykała ślinę. Wydawało się, że walczy z odruchem duszenia.

Mijały minuty. Nie odważył się do niej przemówić. Bóg wiedział, w jakim momencie mógł ją przyłapać. Potem niespodzianie powróciła. Oczy miała rozwarłe ze strachu. Przeciągnęła ręką po czole. - Pojechałam do domu - oznajmiła wyraźnie.

Odetchnął z ulgą i szybko jej przytaknął: - Oczywiście, pani Bender.

- Nie zawiodłam Magdaleny.

Tylko nie wspominać o Magdalenie! Po doświadczeniach z poprzedniej rozmowy wolał pozostawić jej siostrę profesorowi Burthe. - Oczywiście, że nie, pani Bender. Ale nie rozmawiamy o Magdalenie tylko o Horstim. Wypytywał o panią, gdy nie pokazała się już pani w „Ala-dynie”.

Spojrzała na niego, wydawała się zakłopotana i niepewna. Nie wiedział, czy jeszcze za nim nadążała, powoli mówił

jednak dalej. - To działo się w czerwcu. Musiała wtedy pani być jeszcze w domu. A może już pani wyjechała?

Oczywiście, że wyjechała! Gotów był przytrzymać dłonie nad płonąca świecą. Zniknęła w maju, nie dopiero w sierpniu. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu jej ojciec opowiadał... a może to inni uznali, że lepiej będzie posadzić ją przy łóżku Magdaleny, nim nie nabiorą pewności.

Mijanie się o pół metra z prawdą - do tej pory zdążył już opanować tę gierkę równie dobrze co ona, jej ciotka i sąsiadka. Nie zauważyła tego. - Horst rozmawiał także z pani ojcem. Dowiedział się, że nie chce już go pani znać. I że jest pani teraz z Johnnym. To się działo w czerwcu.

Nie wiedział, jakiej się spodziewać reakcji. Jakiegokolwiek. Zareagowała. Opuściła głowę i wymruczała: - Nie, pojechałam do domu.

Coś w jej głosie zaniepokoiło go. Stał się jeszcze ostrożniej szy.

- Na pewno tak. Ale była pani kiedyś z Johnnym?

- Tak.

- Pamięta pani, kiedy to było?

- Tak. Teraz sobie przypominam. W urodziny Magdaleny. Ale pojechałam do domu.

Nie pojechałaś, pomyślał i powiedział: - Oczywiście, pani Bender. Nie wątpię w to. Przypomina pani sobie tamten wieczór?

- Dokładnie. Właśnie sobie przypomniałam. Pojechałam do domu tuż przed jedenastą.

Niczego nie osiągnął. Spróbował inaczej. - A dlaczego wróciła pani do domu?

- Obiecałam Magdalenie. Bałam się, że Tiger pojedzie z nami. Tamta dziewczyna na pewno by odmówiła. Przecież dopiero go poznała!

Dziewczyna! Niemal zagwizdał. Dobrze, byle tak dalej, opowiedz mi o tym, tylko powoli, ostrożnie. - Jaka dziewczyna, pani Bender?

- Nie wiem.

No dobrze, najwyraźniej nikt tego nie wiedział. Nic dziwnego, że w owym czasie w Buchholz nie zgłoszono żadnego zaginięcia. Bóg jeden wie, skąd się ta biedaczka wzięła. Wracamy do głównej kwestii.

- Frankie też tam był?

Spojrzała na swoje dłonie, rozpostarła palce, potarła paznokcie. Wyraz jej twarzy nasuwał mu porównanie z upartym dzieckiem. - Nie wie pani tego?

- Ależ wiem. Nie było go. Nigdy go nie widziałam.

Odetchnął głęboko i postanowił zaatakować od przodu.

- Nie, pani Bender. Widziała go pani. Raz, w piwnicy. To stało się tamtej nocy. Ale po jedenastej. Wiem dokładnie. Skoro pojechała pani do domu, musiała pani później wrócić do „Aladyna”. Rozumiem to. Na pani miejscu też bym tak zrobił. Była pani zakochana w Johnnym i chciała z nim zostać. To całkiem normalne. Każda dziewczyna by tak postąpiła, pani Bender. A pani była przecież normalną dziewczyną, prawda? Nie zwariowała pani. Tyko wariatka zostawiłaby Johnny'ego i zaszła się w domu...

Omam nie dodał: - ...przy łóżku chorej siostry. - Zdołał się jednak powstrzymać i z uczuciem ulgi mówił dalej.

- Tej nocy razem z Johnnym, niskim grubasem i jakąś dziewczyną wsiadła pani do samochodu i odjechała, mam na to świadków. Frankie musiał być mężczyzną, który już czekał w piwnicy, gdy przybyła pani z innymi na miejsce.

- Nie pamiętam. - Brzmiało to, jakby chciała się rozplakać. Skubała paznokcie. - Naprawdę nie pamiętam. Wiem tylko, że o jedenastej pojechałam do domu. A potem przyszedł październik. Nie wiem, jak to się

Splotła palce, tarła je, gniotła i obracała, jak by nie miała się czego chwycić oprócz własnych dłoni. W jej głosie wyczuwało się panikę. Spojrzenie wyrażało błaganie o zrozumienie i danie wiary jej słowom.

- Nie zawiodłam siostry. Robiłam dla niej wszystko. Wszystko tylko dla niej. Oprócz zarabiania. Chciałam przeżyć to z mężczyzną, którego kochałam. A Johnny... Myślałam o tym tańcząc. Że tego chcę - z nim. Nawet gdyby miało to być tylko raz. Wszystko jedno. Przeżyłabym coś, czego nikt by mi nie odebrał. Zaśpiewaj siostrze kotysankę, powiedział. Czekam na ciebie. Pomyślałam, że kiedy się zmęczy i zaśnie, może uda mi się...

Otworzyła oczy i zapewniła: - Ale byłam ostrożna. Zawsze taka byłam. Musi mi pan uwierzyć. Kochałam ją. Nigdy nie zrobiłam nic, by jej zaszkodzić. Zawsze uważałam. Wiedziałam, na co zwracać uwagę. Gdy wstrzymywała oddech, natychmiast przestawałam. Gdy stawał się zbyt szybki, zwalniałam. Kładłam dłoń na jej piersi i sprawdzałam, jak bije serce. Nigdy się na niej nie położyłam, nigdy. Zwykle robiłam to tylko palcami. Bardzo rzadko świecę, naprawdę. A językiem... to było dla mnie zbyt... namawiała mnie do tego. Raz spróbowałam, ale czułam za duży wstręt i strach. Nie mogłam wtedy uważać na jej oddech.

Przygryzła dolną wargę i bezradnie wzruszyła ramionami. Jej głos stał się ciężki od wstrzymywanych łez. - Wiedziałam, że tak nie można. Nie powinnam tego robić. To było wbrew naturze. Przez to zniszczono Sodomę i Gomorę. Nie chciałam, ale ona powiedziała, że jest to zabronione tylko między ojcami i braćmi, nie między siostrami. A przecież nie miała nic z życia. Bardzo chciała móc kiedyś naprawdę przespać się z mężczyzną, ale nigdy by... Miała tylko mnie. I miała też uczucia.

Jej głos załamał się, między kolejnymi szlochami poprosiła: - Nie powie pan o tym profesorowi. Obiecuje pan?

- Oczywiście, pani Bender, obiecuję. - Wymówił to, zanim naprawdę zrozumiał, z czego mu się zwierzyła. Zrozumienie przychodziło powoli. Mówiła już dalej, gdy

uświadomił sobie, jak ma interpretować owo: „Kochałam ją”. Dosłownie!

- Zawsze powtarzała, że orgazm to niesamowite uczucie. Nie wiedziałam, jak to jest. Tego wieczora chciałam się dowiedzieć. Ale musiałam jechać do domu. Zauważyła to i nie popuściła. Jesteś taka dziwna, powiedziała. Coś ci jest. A potem dodała, że mam sama wypić szampana. Jej nie smakuje i czuje po nim zawroty głowy.

Szlochły zamilkły. Płakała bez łez, ze spojrzeniem skierowanym na swe dłonie, na te obracające się, rozedrgane palce. Pragnął ją przytulić lub przynajmniej powiedzieć coś pocieszającego. Nie chciał jednak jej rozpraszać, pozwolił więc, aby brnęła dalej.

- Zostałam z nią. Zrobiłam wszystko, czego chciała. Polakierowałam paznokcie. Słuchałyśmy muzyki. Nie wiem, co się potem stało. Słyszę tylko, jak mówi: zatańcz dla mnie!

Jej palce splecione jak supły spoczywały na kolanach. Słyszał jak trzaskają stawy i próbował uporządkować to, co usłyszał. Urwany film! To uparte zaprzeczanie było jak potwierdzenie. Słusznie podejrzewał. Cory nie było w domu, gdy umarła siostra. Usłyszała o tym dopiero w listopadzie...

Jej głos wyrwał go z zamyślenia. Wyrzucała z siebie zdania, tracąc oddech. - Zatańcz dla mnie! Żyj dla mnie. Wypal dla mnie papierosa. Sprzedawaj się dla mnie. Znajdź klientów, którzy najlepiej płacą. A żebyś miała coś dla siebie, idź na dyskotekę. Znajdź sobie chłopaka, prześpij się z nim. Potem opowiedz mi, jak było. Opisałam jej lampy w „Aladynie”, jak błyskają, gdy muzyka robi się głośniejsza. Czerwone i zielone, żółte i

Orgia świateł, zdążył jeszcze pomyśleć. Wykrzyknęła: - Takie samo światło jak w piwnicy. Nie mogę tam zejść. Proszę, niech mnie pan trzyma. Niech mi pan pomoże. Nie zniosę tego. Niech pan coś zrobi. Niech pan coś wreszcie



zrobi. Nie chcę do piwnicy. Wymachiwała dookoła rękoma, wiosłowała w powietrzu, jak gdyby szukała oparcia.

Powinien zawołać profesora Burthe. Taka myśl przyszła mu do głowy, ale natychmiast ją odrzucił. Profesor był zajęтым człowiekiem. Wątpliwe, by miał czas zwiedzić z nią piwnicę. Prawdopodobnie zastrzyk uspokajający uznałby za lepsze wyjście.

Rudolf Grovian był pewien, że potrafi kontrolować sytuację. Usiadł obok niej na łóżku, chwycił za ręce, przytrzymał je, ścisnął i postarał się mówić uspokajającym tonem, choć serce podskakiwało mu prawie do gardła. Zupełnie straciła nad sobą panowanie. Jej spojrzenie biegało po pokoju. Piersi i ramiona drżały w niespokojnym oddechu.

- Spokojnie, pani Bender, spokojnie. Jestem przy pani. Trzymam panią. Czuje pani moje dłonie? Nie może się nic stać. Zejdziemy teraz razem na dół i się rozejrzemy. Potem zabiorę panią z powrotem na górę. Obiecuję.

Brzmiało to szaleńczo. Ale co innego mógł powiedzieć? Objęła jego dłonie swoimi. Drżały tak mocno, że przenosiło się to na jej ramiona. Zacisnęła powieki.

- Proszę mi powiedzieć, co pani widzi. Co się dzieje w piwnicy? Kto jest na dole?

Opisała mu pokój zanurzony w migającym świetle. Na lewej ścianie barek, na półkach mnóstwo butelek, z tyłu lustro. W przeciwnym rogu na podeście instrumenty i wzmacniacz. *Song of Tiger*. Tańczyła do niej. Tańczyła sama na środku pokoju. Na prawo, pod ścianą stała kanapa, przed nią niski stolik, a na nim popielniczka.

- *Song of Tiger* - Dzika melodia, dziki taniec. Potem Frankie odrzucił pałeczki, podszedł do kanapy i usiadł obok dziewczyny. Johnny puścił taśmę i piosenka ponownie rozbrzmiała w piwnicy. Tiger stanął przy barku. Znowu miał pecha, ale nie wydawał się tym zmartwiony.

Wciąż tańczyła. Już nie sama. Johnny trzymał ją w ramionach i całował. Było jak we śnie. Także wtedy, gdy wsunął ręce pod spódnicę. Jego ruchy sprawiały przyjemność. Tym razem to nie dla Magdaleny, tylko dla siebie. Nie można cały czas żyć za dwie osoby.

Po jakimś czasie leżeli na podłodze. Johnny ją rozebrał. Wszystko było dobrze. Frankie siedział na kanapie i nie przejmował się nią. Rozmawiał z dziewczyną. Tiger przy barku pociął cytrynę na kawałki i wysypał sobie biały proszek na wierzch dłoni. Oblizał, wychylił przezroczysty płyn z małego kieliszka i ugryzł cytrynę. Zrobił to trzy razy. Potem sięgnął do kieszeni i powiedział: - Przyniosłem coś. Trochę koksu. Teraz będzie miło.

Rudolf Grovian słuchał, mocno trzymając i ściskając jej ręce. Miał nadzieję, że to czuje. Ciągłe leżała na podłodze. Frankie i dziewczyna przyglądali się, jak Johnny się z nią kocha. Tiger podszedł powoli. Też chciał coś dostać. - Posuń się trochę, Boćki - powiedział.

Johnny nie zrobił nic, by go odpędzić. A dziewczyna powiedziała: - Daj jej ścieżkę, to rozluźnia.

Jeszcze kilka wyraźnych zdań. - Co robisz? Nie chcę. Żadnego koksu! Zabierz to. - Potem wydała z siebie stłumiony bełkot, ledwie niewyraźny pomruk. Nagle odwróciła głowę w bok. Jej głos brzmiał ostro, brakowało jej tchu. - Co robisz? Natychmiast przestań! Zwariowałeś? Zostaw ją, do cholery. Masz ją natychmiast zostawić.

Skurcz przebiegł całe jej ciało. Zakrzyknęła. - Nie! Przestań. Zostaw! - Krzyk przeszedł w pojękiwanie. Znowu gwałtowny ruch głowy skierowała w jego stronę. Otworzyła szeroko oczy. Spojrzenie utkwiała w samym środku jego twarzy, jednak mógłby przysiąc, że go nie widziała.

- Nie bij! Przestań, zabijesz ją! Przestać! Przestańcie, świnie! Zostawcie mnie! Puszczajcie!

Znał już te słowa zbyt dobrze. Wyobrażał sobie coś podobnego, ale nie był przygotowany na to, co nastąpiło. Z zadziwiającą siłą wyrwała się z jego uścisku i podskoczyła. Wszystko stało się tak szybko, że nie zdążył zareagować. Prawą dłoń zwinęła w pięść i uderzyła go w szyję. Wyrzuciła z siebie: - Kark ci skręcę, świniou. Rozpruję szyję. Przebiję ci gardło.

Dokładnie wyliczyła punkty opisane w raporcie z sekcji. Za każdym razem uderzała. Raz, drugi, trzeci, zanim nie złapał ją za nadgarstek. Ledwo chwycił jej prawą rękę, zadała mu cios lewą. Trwało kilka sekund, aż udało mu się nad nią zapanować i wyprostować się.

Przytrzymał Corę na wyciągnięcie ramion przed sobą, potrząsał nią i krzyczał: - Pani Bender! Niech pani przestanie.

Przez dwie sekundy stała przed nim i spoglądała na niego nic nie rozumiejącym wzrokiem. Wymruczała coś, czego nie zrozumiał. Potem zemdląca.

Profesor Burthe nie starał się nawet ukryć gniewu. Żeby policjant po raz drugi doprowadził do omdlenia osobę z poważnymi zaburzeniami psychicznymi, chociaż go ostrzegano! Można było tylko pokręcić głową i spytać: - Co panu przychodzi do głowy? Czyż wyraźnie nie dałem panu do zrozumienia, że z panią Bender nie może postępować pan jak ze zwykłym przestępcą? To ostatnia rozmowa, jaką pan z nią przeprowadził! Nie rozumie pan, że próba samobójcza była tylko skutkiem pańskich metod

Rudolf Grovian nie zdobył się na usprawiedliwienie. Ustalili już, że nie wspominał ani słowem o śmierci jej ojca. Corę Bender, wciąż nieprzytomną, pospiesznie odwieziono na jakieś badania. Zrobiłby wszystko, by wymazać te ostatnie pół godziny. Sam nie rozumiał, jak mógł się dać wciągnąć w taką głupotę. - Zabiorę panią z powrotem na górę.

Błąd! Nie było to takie proste. Starał się. Przez dłuższy czas klepał ją po policzkach, wołał po imieniu, spryskiwał twarz zimną wodą, zanim się przełamał i zostawił ją lekarzom. Przez cały czas zastanawiał się, co by się stało, gdyby miała w ręku nóż...

Było mu trochę niedobrze. Ale czuł także zadowolenie. Jej wyliczenie: kark, szyja, gardło. Zabiła z premedytacją? Nie, na pewno nie! Gdyby przypadkiem nie obierała jabłka dla syna, rzuciłaby się na Georga Frankenberga z pięściami i zrobiłaby to, co uniemożliwiono jej cztery lata temu - w sytuacji, w której każde uderzenie stanowiłoby jedynie obronę konieczną.

Chętnie porozmawiałby o tym z profesorem Burthe. Nie dano mu jednak dojść do słowa. Przez jakiś czas zasypywały go fachowe terminy. Na pierwszy plan wysuwa się świat snów, idei i zasad.

Brzmiało to bardzo poważnie, ale w ogóle go nie interesowało. W głowie miał jedynie interpretację laika, lecz dużo poważniejszą. Po pięciu latach nie zadziałała w obronie koniecznej. Po pięciu latach nastąpiło zabójstwo. Chyba że ktoś udowodniłby, że w czasie zbrodni Cora Bender nie znajdowała się nad jeziorem Otto-Maigler tylko w tej przeklętej piwnicy. On nie mógł tego dowieść. To zadanie należało do profesora.

Pozwolił mu prawieć kazanie nawet się przy tym nie krzywić. Profesor Burthe uspokoił się i zapytał, co Cora Bender powiedziała tuż przed omdleniem. Rudolf Grovian opisał scenę w piwnicy i poprzedzając ją rozmowę. Przemilczał fakt, że go zaatakowała, rzucił jednak jedno czy dwa zdania na temat obrony koniecznej. A w dodatku ona nie chciała przecież bronić siebie, tylko tamtej drugiej dziewczyny.

Gdy skończył, profesor Burthe skinął krótko. Nie na zgodę. Wręcz przeciwnie! Oczywiście Burthe znał scenę

z piwnicy, nawet w dwóch wersjach. Tej nagranej na taśmie, ze złamanymi żebrami. I tej z sutenerem na kanapie.

Musiała istnieć trzecia wersja, do której Cora Bender nikogo nie dopuszczała. Trzecia wersja dotycząca tego, co rzeczywiście się wydarzyło, tak uważał Burthe. Być może w takiej formie powracało jedynie jej własne pożądanie. Wówczas scena w piwnicy nie miałaby znaczenia i stanowiła tylko niewielki fragment czarnego rozdziału z życia Cory Bender. Zaś ona sama z całej siły broniła tego rozdziału przed każdą ingerencją, nawet kosztem własnego zdrowia psychicznego. Ale tego Rudolf Grovian już nie

Profesor Burthe szczegółowo objaśnił różnicę między prawdą i kłamstwem oraz jak radzi sobie z nimi Cora Bender. W sytuacji stresowej początkowo trzyma się prawdy. Gdy dostosuje się do sytuacji, a nacisk znika, zaczyna szukać dla siebie korzyści. Osiąga je tylko dzięki kłamstwu. To wywołuje jednak kolejny nacisk. Przez emocje, jakie wtedy okazuje, laikowi może się wydawać, że właśnie zdradza mu ostatnią, największą tajemnicę.

Tak stało się na przesłuchaniu. Z profesorem próbowała tej samej gierki. Ale on był specjalistą, nie mogła go wodzić za nos. Nikt nie zaprzeczał, że Cora Bender przed laty miała złe przejścia z jakimś mężczyzną lub z wieloma. Nikt nie podważał faktu, że została wtedy wykorzystana. Ze swoimi autodestrukcyjnymi skłonnościami musiała działać na pewien typ mężczyzn jak wyzwanie.

W tym miejscu Rudolf Grovian sprzeciwił się po raz pierwszy. - Jeśli chce pan przez to powiedzieć, że się prostytutowała, to nie ma pan racji. Siostra tego od niej oczekiwała lub, o ile dobrze zrozumiałem, wręcz żądała. Ale ona nie potrafiła.

Jego rozmówca uśmiechnął się. Był to znaczący uśmiech. - Potrafiła, panie Grovian. Po śmierci siostry

wybrała najgorszy rodzaj kary, jaki mogła sobie wyobrazić. Zboczeni klienci. Opisała mi niektóre praktyki. Do wielu rzeczy jestem przyzwyczajony, ale i tak z trudem tego wysłuchałem. Panie Grovian, sam pan wie, że żadna kobieta nie przyznaje się do takiego zajęcia, jeśli go faktycznie nie wykonywała. To była potrzeba pokuty połączona z podświadomym pragnieniem kazirodczego stosunku z ojcem.

- Bzdura - zaprotestował Rudolf Grovian, słysząc, jak słabo to brzmi - jakby pomimo sprzeciwu dał się częściowo przekonać Burthowi. Tak nie było. Odebrał mu mowę błędny osąd profesora a zarazem pewność, z jaką przemawiał. Jakby stał wtedy obok i wszystko widział.

Profesor faktycznie to zrobił, oczywiście w przenośni. Podkreślił, że przedstawia Rudolfowi Grovianowi zdarzenia, o których Cora Bender była głęboko przekonana, iż miały miejsce. Jako wykwalifikowany i uważny obserwator Burthe był w stanie wyłowić okruchy prawdy z wielkiego stosu kłamstw.

- Obawiam się - stwierdził sucho Rudolf Grovian – że w tej sprawie wyłowił pan kilka łgarstw. Nie wiem, dlaczego opowiedziała panu takie bzdury. Ale w ogóle nie zgadza się to z datami. Ona...

Chciał wytłumaczyć, czego się dowiedział. Że po urodzinach Magdaleny natychmiast nastąpiły wydarzenia w piwnicy, a potem był już październik. Profesor przerwał mu skinieniem ręki. Nie chodziło o daty. Ani o prostytutkę. Nie miał powodu tak się unosić.

Chodziło tylko o śmierć Georga Frankenberga, o motyw Cory Bender i jej zdolność oceny sytuacji. Nie miała jej. Cora Bender nie była zdolna do popełnienia przestępstwa. Nie można jej było pociągać do odpowiedzialności za ten czyn. Nad jeziorem ani przez chwilę nie chodziło o mężczyznę i jego zachowanie. To kobieta wywołała wszystko.

W tym momencie Rudolf Grovian przypomniał sobie jej słowa: - Mężczyzna miał pecha, bo leżał na górze. - Pokręcił jednak głową. - Nie wiem, skąd to panu przyszło do głowy. Popelnia pan duży błąd tak po prostu odrzucając piwnicę. Widziałem jej reakcję już dwa razy! A ja także jestem wykwalifikowanym i uważnym obserwatorem. Pani Bender została zgwałcona w piwnicy przez dwóch mężczyzn i nieomal zabita. Zmarła wtedy inna dziewczyna, sprawcą prawdopodobnie był Georg Frankenberg. Dlatego

Tymczasem profesor Burthe, już całkiem spokojny, rozsiadł się w fotelu, zmierzył Rudolfa Groviana uważnym spojrzeniem i spytał: - Skąd ta pewność? Na podstawie wypowiedzi pani Bender? A może ma pan dowody?

Nie, do cholery. Miał tylko kilka słów. Parę tu, parę tam. Horst Cremer, Melanie Adigar i Johnny Guitar! Nie było nawet pewne, że Johnny Guitar i Hans Bockel to ta sama osoba. A Bockel stanowił do tej pory jedyny ślad prowadzący do Frankenberga. Nie mógł przecież przedstawić przed sądem jako dowodu piosenki *Song of Tiger*.

- Przykro panu - stwierdził profesor Burthe, gdy Rudolf Grovian nie odpowiadał. Brzmiało to niczym wyrok i zawisło w pokoju jak niezaprzeczalny fakt. - Chciałby pan jej pomóc i stara się znaleźć racjonalne wytłumaczenie. Ma pan córkę, prawda? Ile ma lat?

Gdy policjant ponownie nie odpowiedział, Burthe sam skinął głową na potwierdzenie i mówił dalej tym wyrozumiałym tonem doprowadzającym Rudolfa Groviana do białej gorączki. - Przesłuchałem nie tylko ostatnią taśmę i rozumiem pańskie zaangażowanie. Młoda kobieta, taka biedna i załamana, chciała przecież tylko normalnie żyć. Zniszczona przez okoliczności, na które nie miała wpływu, błagająca o wyrozumiałość. Staje zupełnie bezradna. Krzyczy o pomoc i mdleje. Był pan z nią sam, gdy to się stało,

prawda? Okrzyk Cory Bender skierowany został do pana. W tym momencie reprezentował pan jej ojca. Tak też się pan czuł. A przed paroma minutami scena się powtórzyła. Ojciec, panie Grovian, chce wierzyć. Niech się pan nad tym zastanowi. I nad tym, jak oceniłby pan jej zachowanie, gdyby towarzyszył panu jakiś kolega!

Rudolf Grovian musiał zacisnąć zęby, dlatego jego głos był przytłumiony:

- Nie przyszedłem tu, żeby poddawać się analizie. Próbowałem jedynie sprawdzić kilka nowych informacji.

Burthe skinął poważnie głową. - A pani Bender je potwierdziła?

- W pewnym sensie tak.

Profesor ponownie skinął głową zamyślony. Nie spytał, co to za nowe informacje. - Ona wszystko potwierdzi, panie Grovian. Wszystko, co tworzy związek między nią a Georgiem Frankenbergiem. Sama stara się o racjonalne wyjaśnienie. Jego śmierć przyniosła jej wyzwolenie i szuka przyczyny. Gwałtownie próbuje włączyć go w swoje życie i dostarczyć racjonalnych powodów działania. Aby to osiągnąć, sadza go nawet w roli sutenera na

Rudolf Grovian chciał coś powiedzieć, ale ponownie został uciszony skinieniem ręki. - Próbuję to panu wytłumaczyć. I mam nadzieję, że wreszcie zrozumie pan, gdzie kończy się pańska praca i zaangażowanie, a gdzie zaczynają moje. Zapomnijmy o Georgu Frankenbergu i piwnicy. Trauma pani Bender nie nazywa się piwnica, tylko Magdalena.

Dla profesora Burthe wszystko było proste. Georg Frankenberg stanowił według niego przypadkową ofiarę. To, co miało miejsce, mogło spotkać każdego mężczyznę towarzyszącemu kobiecie podobnej do siostry Cory Bender. Cora nie mogłaby zabić osoby, która zniszczyła jej życie. W udreće, a była ona ogromna, rzuciła się na męża. Poprzez



jego śmierć osiągnęła jednocześnie dwie rzeczy. Spełniła największe pragnienie Magdaleny, posłała jej do nieba przystojnego mężczyznę. A reprezentująca Magdalene żona Frankenberga odepchnęła jej dłoń, sygnalizując w ten sposób, że nie potrzebuje już pomocy. Cora Bender była wolna. W tym momencie czuła się tak wolna, że nie przerażała jej nawet kara dożywocia. Z jej punktu widzenia zasłużyła na nią.

Rudolf Grovian z nieporuszoną miną słuchał tego wyliczenia. Życie jak z kodeksu karnego. Kłamstwa, oszustwa, kradzieże, ćpanie. I dla ukoronowania tego wszystkiego morderstwo. Nie! Nie Georga Frankenberga. O nim powinien zapomnieć. Ofiarą była Magdalena!

Czy Cora Bender zamordowała siostrę z premedytacją, ponieważ odbierała ją jako niszczycielkę nie tylko własnego ja, ale także ubóstwanego ojca, czy może stało się to przez pomyłkę w narkotykowym odurzeniu - tego profesor Burthe nie wiedział. Jednak łamane żebra należały do Magdaleny.

Rudolf Grovian przypomniał sobie słowa: - Zawsze kładłam dłoń na jej piersi... - Miał dość. Konował, pomyślał, nie zauważając, że przejął jej sposób myślenia. Słuchając tego przez pół godziny można znowu uwierzyć w świętego Mikołaja.

Ale nie on! On zbierał fakty. - Coś panu zaproponuję - powiedział wstając. - Niech się pan zajmie swoją pracą, a ja swoją. Jeśli tak pan napisze w swoim orzeczeniu, w trzech zdaniach udowodnię, że to nieprawda.

Lepiej, by te trzy zdania profesor usłyszał od razu. Rudolf Grovian wyliczył więc fakty. Punkt pierwszy: gdy umarła jej siostra, Cora od trzech miesięcy przebywała poza domem. Leżała z rozbitą czaszką w jakiejś klinice, z której wyszła dopiero w listopadzie. Punkt drugi: prostytutka po śmierci siostry jako pokuta połączona z podświadomym

pragnieniem kazirodczego związku z ojcem. Ładnie sformułowane. On sam nie potrafiłby tego tak ująć. Niestety nie wiadomo, kiedy mogłoby to mieć miejsce, bo nikt się nie prostytuuje z rozbitą czaszką. Pomijając fakt, że nie istniało w niej takie podświadome pragnienie, a ojca nie ubóstwiała.

- Powinien pan sprawdzić w Biblii, panie Burthe. Wszystko tam napisano. Na swój sposób Cora mimowolnie próbowała powiedzieć prawdę. Magdalena była ladaczną.

Pokręcił głową i uśmiechnął się. - Magdalena przygotowała grunt, a w piwnicy dokonała się reszta. Jeśli mi pan nie wierzy, niech pan zrobi eksperyment z błyskającymi światłami. Albo puści jej piosenkę. *Song of Tiger*. Zakładam się, że to ona była przyczyną, a nie pani Frankenberg. Cora sama przyznała, iż chodziło o piosenkę. Przeprowadzając taki eksperyment, niech pan lepiej dla bezpieczeństwa zawoła pielęgniarza. Jest tu paru silnych mężczyzn.

Powoli podszedł do drzwi i wyciągnął ostatniego asa. Punkt trzeci: - A przy okazji niech pan spyta panią Bender, ile kropli wody czerpie ćpun z umywalki w toalecie, by nadać kokainie odpowiednią konsystencję.

Profesor Burthe zmarszczył czoło. - Co mam...

Rudolf Grovian trzymał już rękę na kłamce. - Dobrze mnie pan zrozumiał. Proszę jej pokazać zestaw do wstrzykiwania narkotyków. I niech pan zbada skórę pani Bender, centymetr po centymetrze. Jeśli znajdzie pan choćby jedną bliznę dowodzącą dawnych praktyk sadomasochistycznych, odejdę ze służby. Ale nie będę tego musiał robić.

Otworzył drzwi, postąpił krok na szeroki korytarz i powiedział: - Niech pan pomyśli o piosence, profesorze. Niestety nie odważyłem się jej puścić. Przy następnej okazji to nadrobię. Skoro przez moje metody dochodzeniowe pani Bender trafiła tutaj, wydostanę ją w ten sam sposób. Obiecuję, panie Burthe.

Opuszczając szpital był wściekły jak rzadko kiedy, a przy tym bezradny. Nie miał nawet matury, swoją pozycję zawodową zawdzięczał ciężkiej pracy. Jak miał przeciwstawić się profesorowi, gdyby doszło do walki? Nie mógł uzyskać orzeczenia od innego biegłego.

Pojechał z powrotem do Hürth i sprawdził w książce telefonicznej nazwisko Eberhard Brauning. Znalazł je w dwóch miejscach, numer kancelarii i prywatny. Wykreślił ten pierwszy. Niestety pan doktor Brauning był nieosiągalny. Miła pani mogła umówić go na wizytę najwcześniej jutro rano. Przy odrobinie nacisku udało mu się jednak porozmawiać osobiście z panem doktorem.

Eberhard Brauning zdziwił się słysząc nazwisko Rudolfa Groviana i w jakiej sprawie chce on pilnie porozmawiać. W odpowiedzi wyrwało mu się: - O Boże, szef. - Cichy śmiech i powrót do rzeczowości. - W najbliższych dniach sam poprosiłbym pana o rozmowę. Jest kilka niejasnych kwestii...

Rudolf Grovian nie dał mu się spławić. - Kilka? - Roześmiał się, choć wcale nie było mu do śmiechu. Potem mówił dalej energicznym i zdecydowanym tonem. - Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby poświęcił mi pan nieco czasu. Rozumiem, że jest pan zajęty, ja też nie narzekam na brak roboty. W najbliższych dniach mam jej mnóstwo, a sprawa jest pilna.

I to jak pilna. Burthe przemawiał, jakby jego praca zbliżała się do końca. Gdyby ta przekłeta opinia znalazła się najpierw u prokuratora... Wyjaśnienia Burthego brzęczały mu w głowie jak rój pszczół. Mogło to spotkać każdego mężczyznę, znajdującego się w pobliżu kobiety...

Nic się nie zgadzało. On sam w każdym razie nie znajdował się w towarzystwie żadnej kobiety, gdy Cora go zaatakowała. A o to właśnie chodziło. Wciąż słyszał, jak wylicza ciosy. Kark, szyja, gardło. Nie zauważył, że jego

rozmówca zwleka z odpowiedzią. Dopiero przeciągle „tak” w słuchawce wyrwał go z zamyślenia. - Spoglądam właśnie do kalendarza... - Nie dowiedział się, co Eberhard Brauning ma tam zapisane, usłyszał za to: - Może być dzisiejszy wieczór? Ma pan mój adres prywatny?

- Tak.

- Dobrze. O ósmej. Pasuje panu?

- Nie dałoby się trochę wcześniej? - Nie było jeszcze czwartej, a on nie wiedział, jak spędzić popołudnie. Zanim się tego nie pozbędzie, na pewno nie skupi się na niczym innym. - Może o szóstej? Nie przeszkodzi panu w kolacji? - Uzgodnili, że spotkają się o siódmej.

Gdy skończył rozmowę, zaparzył kawę. Pijąc pierwszą filiżankę ponownie przesłuchał fragmenty nagrań. - Chciałam tylko żyć normalnie! Rozumie pan? - I: - Gereon nie powinien tego ze mną robić. - Seks oralny, pomyślał, marzenie Magdaleny. Dlatego wybuchła, gdy mąż tego spróbował. Powoli wszystko się wyjaśniało.

Przy drugiej filiżance zanotował opis piwnicy, jak go zapamiętał. Na swoją pamięć mógł liczyć. Rekonstrukcja była idealna. Niemał widział to wszystko. Butelki na półkach, za nimi lustro. Z przodu niski, gruby mężczyzna sypiący sobie na wierzch dłoni biały proszek, zlizujący go i gryzący cytrynę. Tequila, pomyślał. Tequila, koks i posuń się trochę, Boćki. W takiej formie powracało jedynie jej własne pożądanie! Co za bzdura! Jednak wciąż miał zeznania Margret Rosch o koszmarach z okresu, gdy wszystko było jeszcze świeże.

Zastanowił się, czy jest już przytomna i czy sama odnalazła drogę z powrotem. Oraz czy znowu go przeklina, za to co jej zrobił, ponieważ mimo obietnic zostawił ją w piwnicy.

Zjawił się Werner Hoss z najnowszymi wieściami i wyrwał go z ponurych myśli. Wciąż nieznane było miejsce

pobytu Ottmara Dennera, a Hans Bockel nadal pozostawał tylko nazwiskiem. W szpitalach w Hamburgu do tej pory nie mieli szczęścia, ale Ute Frankenberg została zwolniona z kliniki.

Cudownie! Musiał z nią koniecznie porozmawiać. Być może Frankie opowiedział jej kiedyś, gdzie muzykował z kolegami. Grovian zabrał taśmy z przesłuchania i ruszył w drogę do Kolonii.

Przybył na miejsce punktualnie co do minuty. Eberhard Brauning mieszkał w czteropiętrowym, starym budynku, bardzo zadbanym, ze świeżo pomalowanym, ozdobnym frontem. Nie przyglądał się. Gdy zadzwonił, drzwi otworzyły się automatycznie.

Za nimi znajdował się ciemny, przyjemnie chłodny korytarz. Podłogę wyłożono czarno-białymi płytkami. Usłyszał głos Cory: - Podłoga była biała z małymi, zielonymi kamykami. Musiało się przecież jakoś dać odnaleźć tamto miejsce.

Zrezygnował z windy i poszedł schodami. Mieszkanie Eberharda Brauninga znajdowało się na drugim piętrze. Duże, stare pomieszczenia, wysokie okna, a wewnątrz starannie wybrane antyki, pomiędzy którymi stało kilka dość dużych roślin. Wszystkie drzwi na korytarz były otwarte, zaś całość pogrążona w łagodnym świetle wczesnego wieczoru.

Adwokat Cory Bender przywitał go w drzwiach. Nie sprawiał wrażenia nieśmiałego, raczej napiętego. Poprowadził go przez szeroki korytarz do salonu, mówiąc przy tym:

- Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko, aby moja matka uczestniczyła w rozmowie.

A to wstyd, pomyślał Rudolf Grovian i odparł: - Nie.

- Zobaczył ją od razu, gdy wkroczył do pokoju. Wytworna starsza dama, sześćdziesiąt lub sześćdziesiąt kilka lat, czujne spojrzenie, srebrnosiwe włosy, starannie i surowo zaczesane

wokół głowy. Pewnie chodziła do fryzjera dwa razy w tygodniu. Ciekawe, czy Cora Bender skorzystała z szamponu?

Przywitał się uprzejmie i odwzajemnił mocny uścisk dłoni. Spojrzał na jej prawą rękę, gdzie widniał rubin w ciężkiej, złotej oprawie, duży jak paznokiec. W myślach widział tylko brudne włosy. Dlaczego ich do tej pory nie umyła? Czy już zupełnie się poddała? Zboczeni klienci! Musiała wiedzieć, że twierdząc tak ostatecznie zamyka sobie drogę powrotu. Jej mąż nie był człowiekiem, który mógłby się z tym pogodzić.

Usiadł w fotelu z prążkowanym wezłowiec, obok niego na niskim stoliku z ozdobnymi nogami oraz intarsjowanym, polerowanym blatem stała delikatna porcelanowa filiżanka. Kawa miała idealny kolor i nie zawierała kofeiny. Nie wiedział, od czego zacząć.

Robin Hood, pomyślał w przyпіływie ironii, mściciel pokrzywdzonych, obrońca wdów i sierot. I ubezwłasnowolnionych! No, dalej Robin, wyjaśnij chłopakowi, czego potrzebuje jego klientka. Rozsądnego biegłego, który nie przybije jej takiego stempla na czole. Potrzebuje kobiety, z którą mogłaby porozmawiać. Nie zwierzy się starszemu mężczyźnie. Pewnie widzi wtedy przed sobą ojca. Jednak kobieta... Potem ujrzał Elsbeth przy kuchennym stole i pokręcił głową. Kolejna bzdura.

Rzucił wytwornej starszej damie lekki uśmiech, skierował wzrok na Eberharda Brauninga i zaczął: - Odwiedziłem dziś panią Bender. Powiedziała, że już z panem rozmawiała. Był pan u niej?

Gdy Eberhard Brauning skinął z ociąganiem głową, spytał: - Uznał pan rozmowę z nią za wystarczającą?

- Oczywiście, że nie. Ale nie zebrałem jeszcze wszystkich dokumentów. Czekam na opinię psychologa.

- Mogę panu powiedzieć, co tam napiszą. Nie odpowiada za własne czyny! Georg Frankenberg stanowił przypadkową ofiarę. Każdego mogło to spotkać.

Eberhard Brauning spojrział na niego lekko marszcząc czoło. Grovian na próżno czekał na odpowiedź. Spytał więc: - Jakie wrażenie zrobiła na panu pani Bender?

Wytworna starsza dama nie spuszczała go z oczu. Wyraźnie to dostrzegał. Zauważył też spojrzenie, jakie rzuciła teraz synowi i jej uśmiech. Nie wiedział, co o nim sądzić. Wyglądało to, jakby dobrze się bawiła. Eberhard Brauning jeszcze nie odpowiedział.

Rudolf Grovian wykrzywił twarz w uśmiechu. - No, śmiało, panie Brauning. Na pewno nie po raz pierwszy przeprowadza pan taką rozmowę. Jakie wrażenie zrobiła na panu pani Bender? Opowiedziała panu masę nonsensów, mam rację? Może coś z Biblii, o Zbawicielu i pokutującej

Eberhard Brauning był z natury nieufnym i nadmiernie ostrożnym człowiekiem. Rzeczywiście nie po raz pierwszy prowadził taką rozmowę. Zwykle kończyło się na tym, że policjant próbował przemówić mu do sumienia. Konieczna jest kara pozbawienia wolności. Nie powinna być zbyt krótka. - Niech pan się zastanowi, co się na to składa. - Typowa wypowiedź. A w przypadku Cory Bender składało się bardzo dużo rzeczy.

Nonsensy, które mu opowiedziała, pamiętał dokładnie. W ciągu ostatnich dni drobiazgowo omówił je z Heleną. Zresztą nie tylko nonsensy, ale także dobrze zrozumiałe wypowiedzi o siostrze. - Musiałam się jej jakoś pozbyć.

Helene była tego samego zdania co on. Przeczytała dokumenty z dochodzenia i powiedziała: - Hardy, siedząc tu nie potrafię ocenić, w jakim stanie psychicznym znajduje się ta kobieta. Nie powiem ci też, czy znała swoją ofiarę. Nie można zupełnie wykluczyć, że był tylko dawnym klientem. Właśnie młodych mężczyzn z dobrych domów często ciągnie w takie środowisko. Ale policji ciężko będzie ustalić związek. Zresztą nawet jeśli im się uda, dla ciebie będzie

to raczej niekorzystne. Nie chcę ci mówić, jak masz wykonywać swoją pracę. Wiem, że uważasz psychiatryk za niezadowolające wyjście. Może jednak jeszcze przemyślisz swoje nastawienie. W tym wypadku byłoby to najlepsze rozwiązanie. Dużo więcej nie uda ci się dla tej kobiety zrobić. Namów ją, by porozmawiała z Burthem o krzyżach i pojawieniu się Boga Ojca przy jej łóżku. To brzmi bardziej intrygująco niż krótkie spięcie u byłej prostytutki. - Helena miała rację!

- Proszę pana - zaczął, wykrzywił twarz w wyrozumiałym uśmiechu i kontynuował powoli i z namysłem. - Nie sądzę, by pani Bender opowiedziała mi masę nonsensów. Wyobrażam sobie, że wołałby pan ją widzieć skazaną. Jednak... - Nie chciał powiedzieć więcej.

Rudolf Grovian przerwał mu jednym słowem. Brzmiało bardzo zdecydowanie. „Nie!” Po króciutkiej pauzie wyjaśnił: - Najchętniej widziałbym ją na tarasie jej domu, przy łóżeczku synka, gotującą w kuchni. Nawet w tej norze, którą nazywała swoim biurem. Czują się tam dobrze. Była dorosła, zapracowana i zadowolona. Widział pan kiedyś ten kąt? Powinien pan to zrobić! Nie ma nawet okna. W domu Benderów traktowano ją jak roboczego woła. A mimo to była wolna. Znalazła swoje niebo. Człowiek zaczyna się zastanawiać, jak zatem wyglądało jej piekło?

Nie mógł uwierzyć, że to powiedział. Słowa same spłynęły mu z ust. Taka była prawda. Po raz pierwszy przyznał przed samym sobą, że pan biegły psycholog nie we wszystkim się mylił. Opinia o nim się zgadzała. Do diabła z tym! Dziewiętnaście lat przy Elsbeth to wystarczająca kara. W przypadku dożywocia można po piętnastu latach liczyć na ułaskawienie. Patrząc w ten sposób Cora Bender odsiedziałyby o cztery lata za dużo. Niech choć raz łaska przeważa nad prawem.

- Co pan wie o dzieciństwie i młodości Cory Bender, panie Brauning? Czy wie pan tylko tyle, co napisano w aktach? A może rozmawiała z panem na ten temat?



Nie zrobiła tego, więc ją zastąpił. W kwadrans streścił całą niedzielę, przy ostatnich słowach wyciągnął z kieszeni kasetę. - A potem stało się to! - powiedział. - Jestem całkowicie przekonany, że się stało. Dokładnie tak, jak opisała. Nie potrafię tego jednak udowodnić, panie Brauning. Nie potrafię udowodnić!

Odczuwany w pierwszych chwilach niepokój mogła zwalczyć tylko szczypta ironii. Wskazał ścianę po lewej stronie fotela. - Ma pan piękny zestaw odtwarzaczy. Magnetofon i wszystko, czego potrzeba. Dam panu teraz możliwość, jakiej odmówiła panu pani Bender - uczestniczenia w przesłuchaniu. Dużo pan stracił. Trzeba to usłyszeć. Na papierze traci swą moc. Niech pan włączy. Przewinąłem kasetę we właściwe miejsce.

Przez duże głośniki dźwięk rozchodził się, jakby Cora siedziała tuż obok wytwornej starszej damy na kanapie. Stamtąd słychać było głos. Szloch, błaganie, jękanie - i po raz kolejny: - Niech mi pan pomoże!

Zobaczył, jak Eberhard Brauning kilkakrotnie przetyka ślinę. Jemu samemu tak zaschło w gardle, że musiał wypić łyk kawy. Głos Cory Bender umilkł po kilku chwilach. - Dziś znowu doprowadziłem ją do tego punktu - powiedział cicho Grovian. - Rzuciła się na mnie. Dokładnie tak, jak zaatakowała Frankenberga. Gdyby miała nóż, już bym tu nie siedział.

Eberhard Brauning nie odpowiedział, spoglądał na magnetofon, spodziewając się usłyszeć coś jeszcze. Panowała jednak cisza. Helene także pograżyła się w milczeniu, nie dała mu nawet znaku oczami. Poczul się zmuszony przyznać: - Nie do końca rozumiem, czego pan ode mnie oczekuje.

Rudolfa Groviana ponownie ogarnęła wściekłość. Niemal spytał: - A co zwykle robi pan jako obrońca z urzędu? Występuje jako drewniana kukła dla ozdoby? - Opanował

się. - Proszę się postarać o innego biegłego - zażądał i był nieco zaskoczony, gdy nagle wtrąciła się wytworna starsza dama. - Pan Burthe cieszy się bardzo dobrą opinią.

- Być może - odparł. - Ale gdy Cora Bender zaczyna zmyślać, i najlepsza opinia nie pomoże. Podrzuciła mu parę grubych kłamstw, a on je połknął. O prostytutce i zбочzonych klientach. - Kontynuując, obserwował, jak zmienia się wyraz twarzy Eberharda Brauninga. Chłopak raczej nie dorobiłby się fortuny grając w pokera. - Panu także naga dała tych głupstw? - W odpowiedzi uzyskał tylko jedno znaczne skrzywienie. - Niech pan posłucha! - powiedział i prawie się przy tym zaśmiał. Niech pan posłucha! Zobaczył Corę, jej rozbiegane palce, wściekłe spojrzenie. Niech pan zostawi mego ojca w spokoju!

Nie roześmiał się jednak, lecz mówił dalej zdecydowanym tonem: - Niech pan posłucha! Muszę się dowiedzieć, co panu opowiedziała. Każde słowo, nawet jeśli pan uważa, że to bzdura. Ona daje mnóstwo wskazówek. Należy je tylko prawidłowo odczytać.

Eberhard Brauning podszedł do magnetofonu, wyjął kasetę, wręczył ją mu i powiedział zgodnie ze zwyczajem:

- Potrzebuję kopii wszystkich kaset. Również tej odtwarzanej nad jeziorem.

- Opowiedziała panu o piosence?

Eberhard Brauning nie odpowiedział, ponownie przyjął zasadniczą postawę i zmarszczył z niezadowoleniem czoło.

- Proszę pana, chyba nie oczekuje pan, że zdradzę szczegóły rozmowy z panią Bender stronie przeciwnej.

- Do cholery! Nie jestem przeciwną stroną. Mam paść na kolana, żeby pan zaczął mówić? Jestem tu co prawda w roli śledczego, ale Cora Bender nie ma we mnie wroga.

- Pani Bender jest innego zdania. - Po cichu - Helene mu nie pomagała, siedziała tylko uśmiechając się - Eberhard

Brauning zdecydował, że nie zaszkodzi przedstawić kilku wynurzeń Cory Bender.

Zaczął od Dawida i Goliata, poprzez krzyże i mężczyznę bez winy przeszedł do Boga Ojca, który czasami pojawiał się nocą przy jej łóżku, pochylał się i przekonywał o niewinności swego syna.

Rudolf Grovian słuchał uważnie, szybko zrozumiał jednak, że to strata czasu. - Tak - stwierdził przeciągle, wstając z prążkowanego fotela i rzucając wytwornej starszej damie przelotny uśmiech. - Każdy z nas ulega czasem pokusie, by pójść po linii najmniejszego oporu. W takim przypadku jak ten wszyscy tak robimy. Nikt nie osądza biedaczki. Po prostu ją zamykamy. I nikt nie musi się zastanawiać, dlaczego to zrobiła. Kiedyś też popierałem podobne rozwiązania. Potem jednak postanowiłem gruntownie zbadać całą sprawę. Teraz tkwię w niej po uszy. Obawiam się tylko, że dalej mnie nie dopuszczą. Burthe był przekonany, że pani Bender trafiła do szpitala z powodu moich metod dochodzeniowych. Dla dobrego adwokata to smakowity kąsek.

W tym momencie Eberhard Brauning przypomniał sobie o swych obowiązkach, jakby nagle walnął głową w mur. Obrońca z urzędu! Czuł się dość nieswojo. Oczywiście musiał to jeszcze spokojnie omówić z Helene i zastanowić się, jakie ma w ogóle możliwości. Ale raczej nie należało zostawiać całej sprawy prokuratorowi. Skoro policjant przemawia za tą kobietą, jej szanse nie powinny być aż tak marne.

Odchrząknął delikatnie. - Tak między nami, panie Grovian, czy z opinią innego biegłego mogę mieć nadzieję na uniewinnienie?

- Nie - odparł spokojnie Rudolf Grovian. - Nie może pan. Ale kilka lat więzienia to lepsze niż kara śmierci. A obawiam się, że w tym kierunku zmierza Cora Bender. Nie potrzebuje już sędziego. Sama wydała wyrok. W tej

chwili dostarcza tylko powodów. Przy następnej próbie będzie mieć może więcej szczęścia. Sądzę, że w więzieniu z tego zrezygnuje. Tam są zamknięci zwykli złoczyńcy. Żeby się znaleźć pomiędzy nimi, panie Brauning, musi tylko przyznać, że nad jeziorem rozpoznała Georga Frankenberga i chciała się na nim zemścić.

- Zemścić za co? - spytał Eberhard Brauning. A Rudolf Grovian wyjaśnił. Jego umotywowanie było całkowicie nielegalne. Mogło go słono kosztować. W tej chwili jednak tym się nie przejmował.

Dochodziła dziewiąta, gdy się pożegnał. W ciągu ostatniej godziny u państwa Brauning kilkakrotnie dziwił się, że starsza dama jest tak zainteresowana sprawą, aż wreszcie Eberhard Brauning wyjaśnił, jaki wykonywała zawód. Niezłe połączenie, uznał i zastanowił się, czy Cora Bender była gotowa, by zaakceptować Helene Brauning.

Na kolejną wizytę było już dość późno. Jednak do tej pory Ute Frankenberg traktowano z wielką wyrozumiałością. Nikt nie męczył jej pytaniami, zaś on chciał uzyskać tylko dwie, trzy odpowiedzi.

Dziesięć po dziewiątej zaparkował auto w pobliżu mieszkania Frankenbergów. Znajdowało się w nowoczesnym apartamentowcu. Drzwi otworzył Winfried Meilhofer. W salonie siedziała młoda kobieta. Nie znał jej osobiście. Tak jak żona Frankenberga w ostatnią sobotę nie była w stanie zeznawać. Do tej pory Werner Hoss zdążył ją już jednak wypytać.

Znał jej imię. Alice Winger, przyjaciółka Ute Frankenberg, której flirt z Meilhoferem został niespodzianie przerwany przez Corę Bender. Najwyraźniej oboje zbliżyli się do siebie od tamtego czasu. Ich zachowanie wskazywało na zażyłe stosunki.

- Przepraszam, że przeszkadzam o tak późnej porze - zaczął. - Jest to jednak sprawa nie cierpiąca zwłoki. Nie

chciałem, by pani Frankenberg musiała z tego powodu przyjeżdżać do Hürth. Może odpowiedzieć na pytania tutaj.

Nie od razu mógł ją zobaczyć. - Ute się położyła - oznajmiła Alice Winger. - Na jakie pytania?

Nic ważnego. Na początek, gdzie i kiedy poznała męża. Alice Winger mogła mu odpowiedzieć. - W grudniu. W Muzeum Ludwiga. Byłam przy tym.

Następnie, czy mąż kiedykolwiek wymienił przy niej imię Cora. Alice Winger wycofała się. - Trudno mi to sobie wyobrazić.

Niestety, w trakcie dochodzenia napotkał jeszcze kilka innych imion. - Wolałbym pomówić z panią Frankenberg osobiście. To czysta formalność.

- Przeprowadzę ją. - Alice Winger podniosła się i opuściła pokój. Nie było jej kilka minut. Winfried Meilhofer wykorzystał je, by spytać: - Jakies postępy w śledztwie?

Skinął głową. W pewien sposób dobrze było wiedzieć, że właśnie ten mężczyzna, który siedział wtedy tuż obok, zakładał, iż jeszcze prowadzone jest śledztwo.

- Nie mogę zapomnieć tego widoku - powiedział Winfried Meilhofer. - Jak siedzi i przygląda się Frankiemu. Była szczęśliwa. Może nie powinienem tego mówić, ale współczułem jej. Dziwne, jak człowiek reaguje. Powinienem być przerażony. Byłem. Jednak bardziej reakcją Frankiego, jej męża i swoją. Nigdy nie przypuszczałem, że zdarzy się sytuacja, w której nie będę się mógł poruszyć. Powinienem jej przeszkodzić. Nie powstrzymałbym pierwszego ciosu. Ale drugi. I...

Przerwała mu Alice Winger. Wróciła i powiedziała: - Zaraz przyjdzie. Proszę być dla niej delikatnym. Wszystko jest ciągle żywe. Byli tacy

- Tak, oczywiście. - Niemal się wstydził. To była druga strona. Dla niej powinien się angażować. Porządni

obywatele, których życie w ułamku sekundy rozpadło się z powodu jakiegoś szaleństwa.

Minęło kilka minut, zanim Ute Frankenberg pojawiła się w drzwiach. W pierwszej chwili zauważył tylko różowy szlafrok, pluszowy, długi do kostek. Owinęła się nim, jakby marzła. Ponad kołnierzem okrągła, poszarzała twarz, niewyspana, mokra od łez, nos i oczy zaczerwienione. Powyżej gładko zaczesane jasnoblond włosy, spięte na karku spinką. Więcej nie dostrzegł.

Powtórzył pierwsze pytanie, na które odpowiedziała już Alice Winger. Ute Frankenberg potwierdziła jej wypowiedź cichym, ledwie zrozumiałym głosem. Poruszył temat dawnych kolegów męża. Wiedziała tylko, co opowiedział jej Frankie. Nie lubił o tym mówić. Raz, gdy zagadnęła go o piosenkę, której słuchał każdego wieczora i podobno nie mógł bez niej zasnąć, pokazał jej kilka starych zdjęć i wyjaśnił, że była to największa głupota w jego życiu.

Nigdy nie słyszała imienia Cora. Ale on nie uganiał się za spódniczkami w przeciwieństwie do dwóch pozostałych. Powiedział, że ich zachowanie często go odstręczało. Dziewczyny i koks. Koks i dziewczyny. A raz stwierdził, że zawsze na nią czekał. Była jego snem, kobietą, której potrzebował, by wyzdrowieć.

Ute Frankenberg przemawiała jak pod wpływem silnych środków uspokajających. Nie mógł zrobić nic poza potakiwaniem, chociaż gdy usłyszał o fotografiach przeszedł go prąd. Delikatnie, pomyślał. Proszę być dla niej delikatnym. Oczywiście!

- Czy ma pani jeszcze te stare fotografie?

- Frankie chciał je wyrzucić. Mnie było szkoda. Mam je... - Z trudem podniosła się z kanapy, podeszła do szafy, pochyliła, wysunęła szufladę i wyjęła album. - Być może są tutaj.

Nie było. Musiała pójść do sypialni, leżał tam jeszcze jeden album, nie czuła się jednak na siłach, aby go przy-

nieść. Zajął się tym Alice Winger. Ute Frankenberg ponownie usiadła na kanapie z albumem na kolanach i oczami utkwionymi w zdjęciu wielkości pocztówki. Frankie! Czubkiem palca pogładziła papier, rozplakała się i nie mogła przewrócić kartki.

Rudolf Grovian starał się być cierpliwy. Alice Winger wzięła album, przeszukała go i wyjęła jedną fotografię. - Czy o to panu chodziło?

Tak, o to! Odetchnął z ulgą. Nie musiał kłamać, manipulować, ani robić żadnej z rzeczy, które zaproponował przed godziną adwokatowi: - Jeśli wszystkie szwy pękną, zrobimy z Frankiego miłego, ale zepsutego aniołka z dobrego domu, który - może pod wpływem alkoholu i kokainy - dopuścił, by jego koledzy w sierpniu pięć lat temu rzucili się na jego dziewczynę. Nie ma na to dowodu, ale nie ma także dowodów przeciwko, o ile tylko będziemy się trzymać 16 sierpnia, wtedy jego ramię już się zagoiło. Wykorzystajmy te kłamstwa. Przyprawdę panu kobietę, która pod przysięgą zezna, że widziała, jak wieczorem 16 sierpnia Cora Bender wsiada do samochodu Georga Frankenberga. Jestem pewien, że sąsiadka zrobi to dla niej, jeśli zagwarantujemy, iż nie poniesie żadnych konsekwencji. Pan natomiast wbije teraz pani Bender do głowy, że w czasie rozprawy nie może ani słowem wspomnieć o Zbawicielu i pokutującej Magdalenie czy też o sutenerach lub prostytutce. Potrzebujemy ładnej historii miłosnej z dramatycznym

To było to! Zdjęcie co prawda źle oświetlone, ale przy odrobinie dobrej woli i pamiętając o jej opisie mógł co nieco rozpoznać. Instrumenty na podeście w rogu. Nawet dwóch mężczyzn. Ten za perkusją musiał być Frankiem. Uniósł ramiona. Jego twarz stanowiła jedynie rozmazaną plamę. Drugi był wyraźniejszy. Stał za keyboardem. Grubasek o blond włosach i rozmarzonym wyrazie twarzy. Niezbyt wysoki i dość postawny.

- Kto to?

Ute Frankenberg pochyliła się w stronę jego wyciągniętej dłoni. - Zapewne Ottmar Denner.

Tiger, pomyślał. - Czy mąż pani wymienił kiedyś przezwisko Ottmara Dennera? Tiger?

- Nie, nigdy.

- Innych przezwisk także nie? Böckel lub Johnny Guitar?

- Nie.

Szkoda! Piekielna szkoda! - Na tym zdjęciu widać tylko dwóch mężczyzn. Gdzie jest trzeci, Hans Böckel? No gdzie? Trzyma aparat!

- Bueckler - poprawiła go mechanicznie. - Nie Böckel. Nazywał się Bueckler. Pisane przez ue.

Winfried Meilhofer wymamrotał przeprosiny. - Musiałem źle usłyszeć nazwisko.

- Hans Bueckler też musi być na jakimś zdjęciu - wymruczała Ute Frankenberg niby sama do siebie. Ponownie wzięła album, przewróciła stronę, pokręciła głową. Kolejna kartka. - Tutaj - powiedziała, wyjęła fotografię spod folii i podała mu. Jednocześnie wolną dłonią przeciągnęła po karku i wykonała gwałtowny ruch głową.

Rudolf Grovian w tym samym momencie dostrzegł dwie rzeczy. Mężczyznę na fotografii. Opis Johnny'ego Guitar dostarczony przez Melanie Adigar pasował do niego jak ulał. Adonis o blond włosach. Jakby pozował greckim rzeźbiarzom do posągów bogów. I włosy Ute Frankenberg, które opadły na jej plecy. Nadal przytrzymywane spinką, długie, sięgały jej niemal

Poczuł jak jego serce podskakuje z zaskoczenia, gdyż w tej samej sekundzie zobaczył samego siebie stojącego przed starym nocnym stolikiem ze zdjęciem oprawionym w srebrną ramkę w dłoni. Magdalena, pomyślał. To kobieta wywołała wszystko.



Cholera! Ten karzeł, biegły psycholog, miał rację! Ale to nie mogła być prawda! Trzymał w ręku dowód. Ponownie skoncentrował się na zdjęciu. Hans Bueckler stał przy barku w piwnicy z kieliszkiem w dłoni. - Czy wie pani, gdzie zrobiono te zdjęcia?

Skinęła głową. - W ich piwnicy.

- Gdzie się ona znajduje?

- Nie wiem. Czy to ważne?

- Bardzo ważne.

- Naprawdę nie wiem. Może w domu rodziców Dennera albo u Hansa Buecklera. Tak, chyba tam. Nie wiem, gdzie mieszkał. Gdzieś w północnych Niemczech. Jego ojciec zajmował się muzyką. Chyba był agentem, nie jestem pewna.

- Muszę zabrać te fotografie. A także inne zdjęcia piwnicy, jeśli istnieją. Może jest nawet fotografia domu?

Nie było, ale znalazły się jeszcze dwie fotografie z piwnicy. Nawet ostre. Na jednej widniała kanapa i mały stolik przed nią. Siedział przy nim Frankie. Kolejna ukazywała go stojącego wraz z Dennerem obok czerwonego, sportowego auta.

- Czy wie pani, do kogo należał ten wóz?

Kiwnęła i wpatrzyła się w fotografię. Nie mogła odpowiedzieć. Wyręczył ją Winfried Meilhofer. - Do Frankiego. Miał go wciąż, gdy go poznałem.

Żegnając się poczuł ulgę. Niewielką. Nie miał w ręku zbyt dużo. W zasadzie tylko nadzieję, że trzyma w kieszeni zdjęcie Johnny'ego. Wewnętrzny głos podpowiadał mu, że powinien raczej zabrać fotografię Ute Frankenberg. I to ją pokazać Corze Bender, a następnie spytać ją: - Kto to

W duchu zobaczył, jak się uśmiecha, tak szeroko, z troską i delikatnie jak na zdjęciu w jej pokoju. I usłyszał zasmuconą odpowiedź: - To Magdalena.

## Rozdział 14

TT cięż miała wilgotne włosy. Umyła je po śniadaniu, a Margret zapomniała zapakować suszarkę. Było popołudnie, tyle wiedziała. Zdawała sobie sprawę właściwie jedynie z tego, że miała wilgotne włosy. Czuła ich chłód na karku. Gdy do pokoju wpadał powiew wiatru, czuła także zimno na głowie. Poza tym nie czuła nic. Raz zaswędziała ją prawa noga, poniżej kolana, na łydce - jakby usiadł tam jakiś owad. Od tamtej pory upłynęło już trochę czasu. Długo zastanawiała się, czy ma to miejsce dotknąć, podrapać lub strącić owada. Mógł to być komar. Skoncentrowała się na tym punkcie swego ciała i próbowała stwierdzić, czy potrafi w ten sposób rozpoznać owada lub spowodować, że odleci. Nie spojrzała jednak ani nie dotknęła nogi. W końcu swędzenie ustało. Przed trzydziestoma minutami. Była pewna,

Odkąd wróciła od profesora, zajmowała się wyłącznie liczeniem. Doszła daleko powyżej dziesięciu tysięcy, gdy przerwało jej swędzenie i musiała zacząć od nowa. Osiemnaście! Tyle lat skończyła wtedy Magdalena. Dziewiętnaście - tyle miała ona. Dwadzieścia - powoli się otrząsnęła. Dwadzieścia jeden - wmówiła sobie, że może prowadzić życie jak tysiące innych kobiet, u boku mężczyzny zbyt głupiego, aby stało się niebezpieczne. Myliła się. Dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery... koniec.

Profesor powiedział: - Widzę, że umyła pani włosy.

W tamtym momencie były jeszcze mokre, nie wilgotne. Profesorowi się podobały. Spytał, jak często myła je wcześniej. Na pewno codziennie! Czy to naturalne loki, czy

trwała. I jakiego użyła szamponu, pachniał tak przyjemnie i świeżo.

- To bardzo dobry szampon - odparła. - Szef mi go przyniósł. Gdzie on jest? Czy go zabiłam?

Pamiętała, rzuciła się na niego - w jakiś sposób udało się jej chwycić mały nóż, który leżał na barku. W momencie, gdy go ugodziła, nie był szefem, tylko kimś robiącym coś, czego nie powinien. Potem raz jeszcze, przez króciutką chwilę, ujrzała jego twarz. Poznała, kto to, ale nie mogła stwierdzić, czy krwawi i czy w ogóle żyje. Od razu zrobiło się ciemno.

Później białe łóżko i pochylająca się nad nią wąska, zatroskana twarz. Brakowało starannie przystrzyżonej brody. Pozbył się jej, taka była jej pierwsza myśl. Ogolił się, gdy spała. Czekwała, aż poda jej sok pomarańczowy lub zacznie poruszać jej nogami i ramionami, każe recytować szkolne wierszyki, wstrzyknie coś w dren na wierzchu jej dłoni, sprawdzi opatrunek na głowie albo ukłuje w piętę.

Strach, ten szalony strach, że wszystko zaczęło się od nowa, że musi to przeżyć jeszcze raz. Powrót do domu. Obojętny głos matki w otwartych drzwiach. - Cora umarła. Obie moje córki umarły.

Ojciec przy jej łóżku. - Co uczyniłaś, Cora?

Grit z przestraszoną, zatroskaną twarzą, nie wiedząc, czy może mówić, czy też ma milczeć. Powolne posuwanie się naprzód. Każde zdanie jak uderzenie młotem. - Nie musisz się niczym martwić. Margret się wszystkim zajęła. Na świadectwie zgonu napisano niewydolność serca i nerek. Margret przywiozła dokumenty z Eppendorf i załatwiła zwłoki, chyba jakiejś ćpunka. Jej przyjaciel pomógł i wystawił świadectwo zgonu.

Grit pokręciła głowę, wzruszając ramionami, i mówiła dalej: - To była młoda kobieta. Margret przywiozła ją samochodem. Straszne, ale potrzebowaliśmy zwłok na

pogrzeb. Kazaliśmy je skremować. Magdalena tak chciała. Margret powiedziała, że sprawa załatwiona. Gdyby ktoś zadawał głupie pytania, nie znajdzie już na nie odpowiedzi.

Niemal zabił ją okropny lęk, że będzie musiała to wszystko usłyszeć raz jeszcze. Zakrzyknęła, chwyciła rękę sprawdzającą puls na jej przegubie i przyłgnęła do niej. - Nie chcę do domu. Niech mnie pan nie odsyła, proszę. Niech mi pan pozwoli tu zostać. Mogę pomagać w gospodarstwie. Zrobię wszystko, co pan zechce. Tylko niech mnie pan nie odsyła. Moja siostra nie żyje. Zabiłam Magdalene.

Nie pamiętała, jak długo tak krzyczała, błagała i ścisnęła ową rękę. Trwało wieki, nim zrozumiała swą pomyłkę. Nie ogolił się. Wcale nie miał brody. To był biegły sądowy. A ona mu powiedziała. Nawet gdyby następnego dnia cały czas udawał, że nic nie słyszał. Nawet gdyby sto razy spytał, jakim szamponem umyła głowę. Osiągnął swój cel. Wyciągnął z niej wszystko.

Cztery tysiące trzysta dwadzieścia siedem.

Cztery tysiące trzysta dwadzieścia osiem.

Zakurzone kości Magdaleny wśród zeschniętej trawy.

Cztery tysiące trzysta dwadzieścia dziewięć.

Cztery tysiące trzysta trzydzieści.

Niezidentyfikowane zwłoki! Szkielet znaleziony w pobliżu placu ćwiczeń wojskowych w Lüneburger Heide.

Cztery tysiące trzysta trzydzieści jeden! Nie myśleć o niczym. Nie wolno jej myśleć, wcale tego nie chce.

Grit kontynuowała: - Gdy twój ojciec w niedzielę rano stanął przed moimi drzwiami i powiedział: „Dziewczynki zniknęły”, początkowo nie mogłam w to uwierzyć. Potem pomyślałam, że pewnie zawiozłaś Magdalene do Eppendorf. Zadzwoniliśmy tam. Nic. Po południu znaleźliśmy samochód na parkingu przed „Aladynem”. Nie umieliśmy tego wyjaśnić i nie wiedzieliśmy, co robić. Poradziłam twojemu

ojcu, żeby poszedł na policję. Nie chciał. Miałam prawie wrażenie, że posądza cię...

Grit wydała przeciągłe westchnienie. - Nigdy nie zrozumie, jak wpadł na taki pomysł. Wiedział przecież, że dałabyś się dla niej poćwiartować. No tak, potem rozpowiadaliśmy w sąsiedztwie, że Magdalena umiera, a ty nie odstępujesz od jej łóżka. Szczęście, że w ten weekend Melanie nocowała u znajomych. Pewnie nie umiałaby utrzymać języka za zębami.

Potem Grit opowiedziała o sierpniu: - Nadal sądzę, że Margret źle zrobiła. Wyrzucam sobie, że w ogóle powiedziałam cokolwiek, gdy przeczytałam w gazecie o znalezieniu zwłok. Najpierw nie chciałam o tym rozmawiać z twoim ojcem. Pomyślałam, że to go tylko niepotrzebnie zdenerwuje. Tak się stało. Od razu zadzwonił do Margret. I wiesz, co powiedział? „Znaleźliśmy Magdalene”. Zaprotekowałam: „Wilhelm, to nieprawda! Wcale nie. Znalezione zwłoki, jakieś zwłoki, których nikt nie potrafi zidentyfikować. To nie mogła być Magdalena. Przy niej znaleziono by ubranie, przynajmniej nocną koszulę. Zawsze ją przecież nosiła”. Spojrzał na mnie dziwnie i pokręcił głową. A potem Margret powiedziała: „Nie ma znaczenia, czyje to zwłoki. Musimy coś zrobić. Już zbyt długo zwlekaliśmy”. W zasadzie miała rację. Nie mogliśmy przecież bez końca opowiadać, że siedzisz przy jej łóżku. Zresztą nie przypuszczaliśmy, że nadal żyje.

Cztery tysiące trzysta trzydzieści dwa. I tak dalej, bez końca - mając przed oczami obraz gnijących kości w błocie. Słyszac głos Magdaleny: - Chcę przejść przez piekło. - Ale porzuconych zwłok nie spalono. Rozłożyły się, szczybiały, wślizgnęły się w nie robaki.

Przy ośmiu tysiącach siedmiuset czterdziestu trzech usłyszała klucz w drzwiach. Nie przerwała liczenia, sądziła, że chcą ją po raz drugi zaprowadzić do profesora.

Przedpołudniowe posiedzenie okazało się dla niego dość wyczerpujące. Chciał się dowiedzieć, o czym rozmawiała z szefem. Podstępny pies! Jakby się nie orientował. Nie była tak głupia, by na podstawie jego pytań nie wywnioskować, ile już wiedział.

Spytał, czy chce jeszcze raz porozmawiać z nim o piwnicy. I o tym, że sutenerzy zwykle nie są wierzący. Na pewno często pozwalają bić dziewczyny, sami też to robią, ale nie wykrzykują przy tym: „Amen! Amen! Amen!”. Ona zaś na pewno często musiała to powtarzać w modlitwie. I pragnęła normalnego życia. Z młodym mężczyzną.

Powiedział, że zdaje sobie sprawę, jak wielkim obciążeniem była dla niej Magdalena. Potem chciał z nią pomówić o muzyce. Zwłaszcza o piosenkach, których Magdalena lubiła słuchać. Spytał, czy przypomina sobie ich tytuły.

Nie chciał jednak zdradzić, gdzie jest szef. Ani słowa, czy wciąż żyje. Więc sama także przestała mu odpowiadać. Potem włączył muzykę. Usłyszała perkusję, gitarę i wysokie piski organów. *Song of Tiger!*

A ten świętoszkowaty pies spytał, jak się czuje. O czym teraz myśli. No o czym? Osiemnaście! Dziewiętnaście! Dwadzieścia! Dwadzieścia jeden! Musiała zagryźć zęby, aż chrupnęła szczęką. Ale działało. Dwadzieścia dwa! Dwadzieścia trzy! Dwadzieścia cztery!

Zaniepokoił się. Nie okazał tego, ale wyczuła jego zdenerwowanie i liczyła dalej, wciąż dalej.

Osiem tysięcy siedemset czterdzieści cztery. Drzwi się otworzyły. Wszedł pielęgniarz. Ten, który poprzedniego wieczoru dwa razy zaglądał do niej. Odgarniał jej włosy z czoła i pytał: - Jak się panienka czuje? Już dobrze?

Nazywał się Mario, był miły, zawsze przyjazny i w dobrym humorze, ciemnowłosey tak jak dawniej ojciec. I bardzo silny, naprawdę potężny. Mógł chwycić dorosłego męż-

czyżnę pod ramię i bez trudu przenieść, choćby ten się wrywał i walił go po plecach pięściami.

Widziała to raz, wracając od profesora do swojego pokoju. Pomyślała, że pewnie ojciec też taki kiedyś był. Wysoki i silny jak Mario. W młodości tak samo przystojny. Wyobraziła sobie chwilę, gdy matka się w nim zakochała i po raz pierwszy pozwoliła mu się pocałować. Gdy pierwszy raz z nim spała. Że jej się to podobało. I jak doczekali się pierwszego dziecka. Matka była szczęśliwa z powodu zajścia w ciążę i życia u boku takiego męża. Wyobraziła sobie, że jest na jej miejscu z Mariem w roli ojca.

Wczoraj wieczorem też o tym fantazjowała, choć była jeszcze tak odurzona lekami, że ledwo mogła myśleć. Pragnęła tylko, by Mario wziął ją na ręce i zaniósł daleko, daleko. Z powrotem do piwnicy. Położył ją tam na podłodze, a sam stanął po środku jak Herkules. I chwycił każdego z tych, którzy się znajdowali w środku, wyniósł na dwór i zabił. Wszystkich! A gdy już by ich zabił, wróciłby, wziął ją na ręce i powiedział: - Wszystko minęło, panienko. Masz to już za sobą. - A potem pozwoliliby jej zasnąć - na wieki.

Grzechem było mieć takie pragnienia. Całe życie to grzech. Śmierć także. Zabiła swoją siostrę. Gdy zobaczyła ją przed sobą martwą, w panice wybiegła z domu. Wróciła do „Aladyna”, tam czekał na nią Johnny. Pomógł jej zabrać zwłoki do Heide. Położyli Magdalенę gdzieś, gdzie nie można jej było zbyt szybko znaleźć. W pobliżu terenu wojskowego, nikt tam nie chodził, nawet żołnierze. Tam Magdalena mogła się zmienić w cuchnące paskudztwo.

Musiał tak się stać, nie pamiętała tych wydarzeń dokładnie, ale Grit przypuszczała, iż rozegrały się w podobny sposób. Zakładała jednak, że gdy Cora wróciła wówczas do domu, Magdalena nie żyła. Myliła się. Profesor już wiedział. Gdy przestawała liczyć, musiała się zastanawiać - dlaczego

nie spaliłam zwłok? Obiecałam jej przecież. Czyż nie mieliśmy benzyny? W samochodzie ojca zawsze był pełen kanister. Ale jego wóz stał przed „Aladynem”. Nie mogłam go użyć. A więc ktoś musiał mi pomóc. Nie zostałam z nią sama. Gdybym była tylko ja, rozpałiłabym ogień. Musiał być ze mną ktoś, kto nie chciał jechać samochodem ojca, ale w swoim samochodzie nie miał kanistra benzyny. Albo uznał ogień za zbyt niebezpieczny. Bał się, że ktoś go zobaczy. Johnny?! Nie istniała inna możliwość.

Mario mrugnął na nią prawym okiem jak zaklinacz. Zobaczyła, że trzyma w ręku tacę. Stał na niej mały dzbanek z grubej, białej porcelany i dwie filiżanki na podstawkach. Zaniósł tacę na stół, odstawił i przyłożył palec do

- Niech to zostanie między nami - powiedział. – Sam zaparzyłem. To naprawdę dobra kawa.

Zagryzła wargi i zamruła przez łzy.

- No - rzekł Mario. - Lepiej nie płakać. Nie chce pani chyba rozwodnionej kawy. Filiżanka dla pani, a druga dla pani gościa.

- Szeff przyszedł? Żyje jeszcze?

- Oczywiście, że żyje. - Mario uśmiechnął się szeroko.

- Ale tak prędko już się tu nie pokaże. Profesor porządnie zmył mu głowę.

Wyobraziła sobie, jak szef biegnie wokół z mokrymi włosami, a Mario dodał: - Przyszedł pani adwokat. Teraz niech pani usiądzie przy stole i wypije z nim kawę.

Obejrzał się w stronę drzwi i zawołał: - Proszę wejść. Ma się dobrze. - Jeszcze raz mrugnął do niej, uniósł kciuk, jakby mógł ją tym gestem podnieść z łóżka. - Zostanę tu, w porządku? Będę pilnował, żeby nic się nie stało. - Mario stanął przy drzwiach i splótł ręce na plecach niczym wartownik.

Zsunęła się z posłania jak dziecko o zbyt krótkich nóżkach. Wszedł adwokat. Przypomniała sobie, że już go wi-



działa i rozmawiała z nim dość długo. Jednak... - Przykro mi, zapomniałam, jak się pan nazywa.

- Nie szkodzi - odparł. - Ja też muszę wszystko sobie zapisywać. Inaczej połowa wylatuje mi z głowy. Brauning.

Uśmiechnął się do niej wymieniając swoje imię, w przeciwieństwie do Maria był jednak skrępowany. Wiedziała, że nie czuje się pewnie w jej pobliżu.

- Czy pan się mnie boi?

- Nie - odpowiedział. - Dlaczego miałbym się pani bać?

Nie wiedziała dlaczego, ale tak było. - Nic panu nie zrobię - zapewniła. - Nie zrobię już nic żadnemu człowiekowi. Gdyby Frankie powiedział mi, że jest człowiekiem, też nic bym mu nie zrobiła - tak sędzę. Ale nie powiedział. Chciał, żeby to się stało. Ostatnio zapomniałam pana o tym poinformować.

- Już dobrze pani Bender - rzekł adwokat. - Możemy na ten temat porozmawiać później.

- Nie - odparła. - Ja już nie rozmawiam. Tylko liczę. Wtedy nic się nie może stać.

Eberhard Brauning podobnie jak przy pierwszej wizycie miał ze sobą aktówkę. Postawił ją obok stołu i usiadł na jednym z krzeseł w taki sposób, że widział drzwi i stojącego przy nich pielęgniarza. Silny facet! Ramiona jak u zapaśnika. Widok ten nieco go uspokoił.

- Jest parę kwestii, w których musi mi pani pomóc - powiedział.

Helene dobrze go poinstruowała. Wyjaśnienia Rudolfa Groviana, jego opowiedzenie się po stronie Cory Bender, a zwłaszcza gotowość, by zaryzykować dla niej własnym życiem, zrobiły na niej wrażenie.

- Ten Grovian wie, jak przedstawić sprawę, aby nią zainteresować. Co oczywiście nie znaczy, że pochwalam jego pomysły. Na miłość boską, Hardy, mogę ci tylko poradzić, żebyś zachował dystans. Może żadne manipulacje

nie okazały się konieczne. Wiesz Hardy, Burthe naprawdę cieszy się dobrą opinią, nie da się o nim powiedzieć nic złego. Tyle że zbyt szybko zagłębia się we freudowskie teorie. A w tak skomplikowanej sprawie to nie wystarczy. Grovian może mieć całkowitą rację. Nie należy lekceważyć opinii laika, a on zebrał wiele dowodów. Fakt, że potrafi z nią postępować. Zmusza ją do mówienia. Tobie też się udało, Hardy. To tylko kwestia autorytetu. Ale sam podejmiesz decyzję. Nie chcę cię do niczego namawiać. Rozmawiając z nią, pamiętaj tylko o jednym. Zachowuj się naturalnie. Odwołaj się do jej chęci niesienia pomocy i poczucia odpowiedzialności. - Helene łatwo było mówić.

- Mogę pana poczęstować kawą? - Nie spytała nawet, w czym mu ma pomóc.

- Tak, będzie mi miło - odparł.

- Nie przeszkadza panu, że stoję? Cały dzień siedziałam. Godzinę u profesora Burthe, a potem na łóżku.

Helene powiedziała: - Trzymaj się tematu. Nie pozwól, by zaczęła mówić o czymś innym. Gdy tego spróbuje, a na pewno to zrobi, natychmiast zawróć ją do punktu wyjścia. I nie daj się sprowokować, Hardy. Jeśli dojdzie do siebie, będzie cię prowokować. Wyobraź sobie dziecko zdane tylko na własne siły. Kiedy nagle pojawia się ktoś, kto twierdzi, że je lubi i chce mu pomóc, dziecko musi wystawić go na próbę. Będzie cię drażnić, aż się wściekniesz. Pokaż jej, gdzie leży granica. Bądź spokojny, ale zdecydowany, Hardy. To z dzieckiem masz sobie dać radę.

- Wolałbym, żeby pani usiadła - odparł. Mając w głowie instrukcje i przepowiednie Helene był przygotowany na wszystko. Na złośliwy uśmiech, sprzeciw, znudzoną lub obojętną minę. Nie na to.

Wysunęła krzesło i usiadła. Grzecznie złączyła nogi, obciągnęła spódnicę na kolanach i uśmiechnęła się. - Wciąż nie wiem, czy to był komar czy tylko mój odruch. Musiałabym

spojrzeć. Głupio, że tego nie zrobiłam. Jeśli komar, na pewno wciąż tu jest. I w nocy wróci. Powinnam go zabić. Zabić! Po prostu zabić! To tylko cholerny komar, który chciał mnie ugryźć. A wszystko, co gryzie, trzeba zabić.

Eberhard Brauning nie potrafił ocenić, czy Cora myśli jasno, czy jej zachowanie potwierdza opinię Rudolfa Groviana i stanowi wyraz pragnienia śmierci, czy też tylko opowiada mu bzdury. Trzymał się zaleceń Helene. - Nie przyszedłem, by rozmawiać z panią o komarach. Przyniosłem kilka fotografii i chciałbym, aby spojrzała pani na tych mężczyzn...

Nie skończył. - Nie chcę oglądać żadnych mężczyzn.

- Koniec, kropka! Jej mina wyraźnie wskazywała, że skłonna jest postawić nawet nie kropkę, ale wykrzyknik.

Tylko dziecko, pomyślał, niekochane dziecko. Powtarzał to sobie jak zaklęcie. - To bardzo ważne. Obejrzy pani zdjęcia i powie mi, czy zna tych mężczyzn.

- Nie! - Dla podkreślenia potrząsnęła energicznie głową.

- Na pewno jest tam też fotografia Frankiego. Nie chcę jej oglądać. Nie muszę odświeżać sobie pamięci. Widzę go tak dokładnie, że mogłabym go narysować.

Nagle jej głos się załamał. Wydała z siebie suchy szloch.

- Widzę go zalanego krwią i nie. Widzę go przy perkusji i na krzyżu. Zawsze wisi pośrodku. Był Zbawicielem. Nie! Proszę, niech pan tak na mnie nie patrzy. Nie zwariowałam. Wyczytałam to w pana oczach. Ale nie jestem Piłatem. Nie mogę umyć rąk.

To nie ma sensu, pomyślał Eberhard Brauning. Jeśli dotrwamy do rozprawy - jeden taki wybuch i koniec.

Zakryła twarz dłońmi i stłumionym głosem mówiła dalej: - Nie chciał umierać. Prosił swego ojca: Niech mnie ominie ten kielich. Miał taką piękną żonę. Dlaczego nie pozwoli mi pan umrzeć? Nie chcę musieć o niczym myśleć! Już nie dam rady. Teraz mogę zacząć od nowa.

Osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia jeden...

Eberhard Brauning oddychał głęboko i regularnie, wdech i wydech, wdech i wydech. Posyłał do diabła Helene i jej świeżo rozbudzoną ambicję zawodową. A tuż za nią Rudolfa Groviana, który zaraził ją swymi

Pielęgniarski stał w drzwiach i nie poruszał się, jakby nic nie widział ani nie słyszał. Nie był tu w roli jego ochroniarza ani jej stróża, tylko z polecenia prokuratora, który chętnie sam by się tym zajął. Profesor Burthe wybił mu jednak ten pomysł z głowy, a także ostro sprzeciwił się dopuszczeniu do Cory Bender policyjnych urzędników. Padło więc na niego jako adwokata. Potrzebowali jeszcze bezstronnego świadka. Najlepiej takiego, na którego obecność reagowała pozytywnie. Inaczej, stwierdził profesor, żadna próba nie będzie miała sensu. Chwilowo nikt nie potrafił zmusić Cory Bender do

W teczce miał dwadzieścia zdjęć. Nie wiedział, kogo przedstawiają. Rudolf Grovian przyniósł je do kancelarii tuż po dwunastej. Policyjne laboratorium musiało popracować na nocną zmianę. Dwadzieścia męskich głów, wszyscy w podobnym wieku. Same twarze. Na każdym zdjęciu tło było tak zamazane, że nie dało się na nim nic rozpoznać.

Wypił łyk kawy i odstawił filiżankę. Doszła do czterdziestu pięciu, gdy wreszcie się przemógł i jej przerwał. - Niech pani przestanie. Teraz obejrzy pani fotografie. Nie wiem, czy wśród nich znajduje się zdjęcie Frankiego. Jeśli je pani zobaczy, proszę mi o tym powiedzieć, wtedy je zabiorę. Nie musi się mu pani przyglądać. Tylko pozostałym. Proszę mi powiedzieć, jeśli kogoś pani rozpozna. I podać jego nazwisko, o ile je pani zna.

Rzeczywiście przerwała liczenie. Nie spodziewał się tego i uznał to za osobisty sukces. Gdy sięgnął do teczki, pielęgniarski podszedł i stanął obok.

Mając go w pobliżu Eberhard Brauning poczuł się nieco lepiej. Nie dlatego, że się bał. Ale na wszelki wypadek. Skoro rzuciła się nawet na Groviana... Wyjął kopertę i położył ją na stole. Była duża i brązowa. Skinął zachęcająco w stronę Cory, wyjmując zdjęcia.

Spojrzała na nie jak na rój jadowitych gadów. - Skąd pan je ma? - spytała.

- Pan Grovian przywiózł je dziś w południu.

W jej oczach błysnęła ciekawość. - Jak on się czuje?

- Dobrze. Kazał panią pozdrowić.

- Jest na mnie zły?

- Nie, dlaczego miałby być?

Pochyliła się do niego ponad stołem i wyszeptwała: - Rzuciłam się na niego i zraniłam.

- Nie, pani Bender. - Pokręcił energicznie głową. - Nie zrobiła pani tego. Uderzyła go pani. Ale on to rozumie. Zdenerwował panią, straciła pani panowanie nad sobą. Naprawdę nie ma pani tego za złe. Chce, żeby obejrzała pani zdjęcia. Sporo się nabiegał, by je zdobyć. Powiedział mi, że jedno przedstawia nawet jego zięcia.

Oparła się ponownie na krzesło, zasznurowała usta i zaplotła rękę na piersi. - No dobrze. Obejrzę je.

Podsunał jej zdjęcia. Pochyliła się, spojrzała na pierwsze, potrząsnęła głową i odłożyła je na bok. Drugie, trzecie, czwarte, za każdym razem kręciła głową. - Który to jego zięć? - spytała przy piątym.

- Nie wiem. Nie wolno mi tego wiedzieć.

- Szkoda - wymruczała. Przy szóstym zdjęciu zmieszała się, zmarszczyła czoło, przyłożyła palec do ust i zaczęła gryźć paznokiec. - Czy to on? Raz go widziałam. Ale nie wiem gdzie. Ani jak się nazywa. Co z nim zrobić?

- Odłożyć na bok - powiedział.

Spojrzała na siódme i ósme zdjęcie. Przy dziewiątym zacisnęła powieki i zażądała ostro: - Niech to pan zaraz zabierze! To Frankie.

Wziął zdjęcie i wsunął pomiędzy te, które już odłożyła. Potrzebowała kilku minut, zanim mogła oglądać dalej. Pielęgniarz położył jej uspokajająco dłoń na ramieniu. Spojrzała na niego i z zaciśniętymi ustami skinęła głową. Potem zajęła się dziesiątym, jedenastym i dwunastym zdjęciem.

Przy trzynastym powiedziała: - Tej świni nie chcę znać. I nie chcę wiedzieć, jak się nazywa. - Energicznym ruchem przesunęła zdjęcie w jego stronę.

- Ale ja muszę to wiedzieć - wytłumaczył.

- Tiger - odparła krótko i spojrzała uważnie na czternastą fotografię.

Przy piętnastej przez jej twarz przebiegł uśmiech.

- Mój Boże, ale ten ma duży nos.

- Zna go pani?

- Nie. Ale niech pan tylko spojrzy na ten nos.

Szło lepiej niż oczekiwał. Był z siebie dumny i nie spodziewał się już dramatycznych wypadków. Jednak przy osiemnastym zdjęciu sytuacja stała się krytyczna.

Eberhard Brauning nie od razu to dostrzegł. Pielęgniarz zorientował się jednak, że coś jest nie tak. Znowu położył dłoń na jej ramieniu. Wtedy Eberhard zobaczył, jak wpatruje się w fotografię.

- Zna pani tego mężczyznę? - spytał.

Nie zareagowała. Nie potrafił odczytać jej wyrazu twarzy. Żal? Tęsknota? Smutek? A może nienawiść?

Znienacka uderzyła pięścią w stół. Obydwie filiżanki podskoczyły. Z jednej wylało się na stół trochę kawy. Brzęk zagłuszył jej krzyk: - Co ze mną uczyniłeś? Zrobiłam to tylko dla ciebie! Nie chciałam, żeby umarła. Miała tylko spać. Powiedziałeś, że mam ją uspić i wrócić do ciebie! Czy wróciłam? Musisz to przecież wiedzieć!

Eberhard Brauning nie potrafił się zdobyć na powtórzenie pytania. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł rozlaną kawę, żeby fotografie się nie zamazały.

Włączył się pielęgniarz, pochylił się nad nią i stwierdził uspokajająco: - Hej, panienko, bez nerwów. To tylko zdjęcie. On nic nie zrobi. Ja przecież pilnuję. Niech pani powie, kto to jest, a zaraz dam znać przy wejściu. Gdyby się pojawił, nie wpuszczą go do środka.

Zaszlochała. - On wszędzie wejdzie. To szatan. Widział pan kiedyś obraz Lucyfera, Mario? Przedstawiają go zawsze z długim ogonem, kopytami i rogami. Wygląda jak kozioł trzymający widły. Ale to nieprawda, był przecież jednym z aniołów. I w takiej postaci ukazuje się ludziom. Wszystkie dziewczyny za nim szaleją, wszystkie chcą go mieć. Żadna nie słucha, jak ją ostrzegają. Ja też nie słuchałam. Jego kolega nazywał go Böcki. Powinam się domyślić, co to znaczy. Człowiek ma wolną wolę i może wybierać między dobrem a złem. Ja wybrałam zło.

Eberhard Brauning nie odważył się odebrać jej fotografii. Pielęgniarz zrobił to za niego. - Böcki - powiedział. - Odłóżmy go więc do Tigera. Tam chyba jego miejsce.

Zgodziła się.

Pielęgniarz kontynuował zadawanie pytań: - A ten? Też do nich należy?

Jeszcze raz spojrzała na pierwsze odłożone zdjęcie i wzruszyła ramionami. - Wydaje mi się, że widziałam go u szefa. Dlatego pomyślałam, iż to jego zięć. Ale to niemożliwe. Chyba że on także pracuje w policji?

- Zapytamy szefa, gdy przyjdzie następnym razem - odparł pielęgniarz. Potem zwrócił się do Eberharda Brauninga. - To wszystko, czy jeszcze mnie pan potrzebuje?

Eberhard wsunął zdjęcia do koperty. Nie mógł zaznaczyć tych przedstawiających Böckiego i Tigera. Cora powinna zidentyfikować Hansa Buecklera i Ottomara Dennera przed sędzią, jeśli tylko uda się odnaleźć obu mężczyzn. Pokręcił głową. - Nie. Sądzę, że może nas pan teraz zostawić. - Nie zabrzmiało to bardzo optymistycznie.

Pielęgniarka opuścił pokój. Eberhard dopił resztę kawy z filiżanki. Napój był już zimny. Ona do tej pory nawet nie zamoczyła ust.

Spojrzała tęsknie w stronę okna. - Skończyliśmy?

- Nie całkiem. - Nie wiedział, jak ma się za to zabrać.

Rudolf Grovian powiedział: - Jeśli zidentyfikuje tych mężczyzn, posuniemy się o duży krok naprzód. Będziemy jeszcze potrzebować nazwy kliniki, by udowodnić, że to nie było tylko jej własne powracające pożądanie! W Hamburgu nie mieliśmy szczęścia. Oczywiście spyaliśmy każdego lekarza. Ale o lekarzu możemy równie dobrze zapomnieć. A to, że ciotka Cory jest innego zdania... Lekki uśmiech i uwaga o neurologii.

W międzyczasie gruntownie ją już przebadano. Zrobiono zdjęcia rentgenowskie czaszki. Raport neurologa znajdował się u prokuratora. Było bardzo mało prawdopodobne, by te obrażenia leczono w specjalistycznym

Rentgen ukazał prawdziwą pajęczą sieć. Każda linia nazywała się w fachowy sposób. Kość czołowa, kość ciemieniowa, kość skroniowa, złamanie wieloodłamowe, złamanie spiralne. Podejrzewano krwawienie wewnętrzne i kilka innych rzeczy.

Oczywiście po pięciu latach niemożliwe było postawienie dokładnej diagnozy. Jednak już sam fakt, że obrażenia te nie spowodowały trwałego uszczerbku na jej zdrowiu, dowodził fachowej opieki medycznej, a z tym wiązała się odpowiednia aparatura. Kliniki nie dało się ominąć. Eberhard Brauning udał zajętego, położył teczkę na kolanach i zaczął w niej szperać, ale niczego nie wyjął. Helene wygłosiła długą mowę na temat starań Cory Bender, by okłamać policję w tej i kilku innych sprawach.

Helene powiedziała: - Wyjaśnij jej, że nie ma nic do stracenia. Uzależniona dziwka jest wszystkim znana. Skus ją teorią Groviana o nieprawdziwym uzależnieniu. Jeśli



uda ci się także postawić dziwkę pod znakiem zapytania, to wygrałeś, Hardy. Zaoferujesz jej wtedy to, czego tak rozpaczliwie poszukuje - normalne, przyzwoite życie.

Spróbował bez wielkiej nadziei. Przynajmniej go słuchała. Czasami wyraz jej twarzy jakby potwierdzał słowa Helene. Gdy umilkł, wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się przeproszająco. - To miłe, co pan mówi. Chciałabym, żeby miał pan rację. - Odetchnęła głęboko i spojrzała gdzieś ponad nim. - Co właściwie dzieje się z człowiekiem, który sądzi, że popełniono przestępstwo, i stara się zrobić wszystko, by je ukryć?

- Nic się nie dzieje, jeśli nikt się nie dowie. Ale musimy teraz porozmawiać o klinice, pani Bender.

- Nie - przerwała mu i zaczęła polerować prawym kciukiem paznokcie lewej ręki. - Zrobimy to później. Muszę pana o coś spytać. Jest pan przecież moim adwokatem. Nie ma pan prawa tego rozpowiadać. Załóżmy, że pochowano ciało, które gdzieś znaleziono. Nikt nie wie, jak ten człowiek się nazywał. Zakopano w ziemi kilka pozostałych po nim kości. Tamten człowiek wolał jednak być spalony. Załóżmy, że o tym wiem. Czy mogę iść i powiedzieć: „Chcę spełnić ostatnią wolę tego biedaka. Chcę go spalić”. Mogę to zrobić?

- Jeśli go pani знаła, może pani.

- Musiałabym powiedzieć, jak się nazywał, prawda? - Pani Bender nadal polerowała paznokcie nie patrząc na niego.

Nie wiedział, do czego zmierza i zebrał resztki cierpliwości. - Tak, musiałyby pani.

- A jeśli nie wolno mi tego zrobić?

- Wtedy, niestety, niczego pani nie załatwi.

Wreszcie uniosła wzrok, a jej mina wyrażała niezachwianą pewność. - Ale ja muszę! Inaczej zwariuję. Niech pan coś wymyśli. Na pewno jest jakiś sposób. Jeśli panu przyjdzie coś do głowy, to może i mnie.

Odetchnął głęboko. - Proszę pani, czy nie moglibyśmy o tym porozmawiać kiedy indziej? To bardzo skomplikowana sprawa. Muszę najpierw sprawdzić, czy istnieje jakiś sposób. Obiecuję, że to zrobię. Ale teraz muszę się dowiedzieć, w jakiej klinice panią leczono. Jeśli pani nie wie, proszę powiedzieć, w jakim mieście. Proszę mi dać jakikolwiek punkt zaczepienia, żebym mógł wykazać, iż nie była pani uzależnioną dziwką. Nie narkotyzowała się pani. Pan Grovian już to udowodnił. A on nie może sobie wyobrazić, że zadawała się pani ze zboczonymi klientami.

Miał nadzieję, że wspominając o Grovianie ponownie obudzi w niej chęć współpracy. Na próżno, nie zareagowała, spojrzała tylko na niego wyczekująco i obojętnie. Zapomniał o uwagach Helene. Do diabła z instrukcjami opartymi na psychologii. Był adwokatem i jako adwokat miał

- Czy naprawdę chce tu pani siedzieć do końca życia i liczyć, żeby nie musieć myśleć? Czyż nie lepiej byłoby raz dobrze się zastanowić i uwolnić swoją głowę od tego? Niech mi pani uwierzy w jedno. Kilka lat więzienia, a obiecuję pani, że nie będzie to więcej niż kilka lat, szybko minie. W więzieniu nikt nie wariuje. Ale tu – popukał w stół - tu można zwariować, nawet jeśli jeszcze jest się zdrowym. Chce pani tego?

Nie odpowiedziała, spojrzała tylko na niego i zagryzła wargę.

- Nie wierzę, że pani tego chce - stwierdził zdecydowanie. Odzyskał formę, jego głos był coraz bardziej przekonujący. - Zabiła pani człowieka, pani Bender, tylko człowieka, nie Zbawiciela. Nie chcę już słyszeć tego wyrażenia z pani ust. Dowiemy się, dlaczego to pani zrobiła. Udowodnimy, że istniał powód zrozumiały dla każdego normalnego człowieka. Za parę lat będzie pani naprawdę wolna. Proszę o tym pomyśleć. Ma pani dwadzieścia cztery lata. Może pani jeszcze raz...

Jej spojrzenie się nie zmieniło. Na twarzy zagościł tylko wyraz lekkiego zdziwienia, nic więcej. - Wiedział, ile mam lat - powiedziała przerywając mu.

- Aha - stwierdził nie mając pojęcia, o kogo chodzi i nie wiedząc, jak przywołać ją z powrotem do tematu. Wyraz jej twarzy świadczył o koncentracji.

- Skąd to wiedział, skoro nie miałam przy sobie dokumentów? Naga na ulicy, powiedział, z ciężkimi obrażeniami, nafaszerowana heroiną i bez dokumentów. A potem powiedział: nie ma pani jeszcze dwudziestu lat. Ocenił na oko? Z mojej twarzy nie mógł tego wyczytać. Wyglądałam okropnie. Proszę obejrzeć moje prawo jazdy. Muszę wyrobić sobie nowe. Miałam stare zdjęcia, ale nie chcieli ich przyjąć w urzędzie. Nie chcieli uwierzyć, że są moje. Bo wyglądałam tak staro. Nie mógł tego wiedzieć.

Przez kilka sekund milczała, przeciągnęła palcami po czole i westchnęła. - Naprawdę nie znam jego nazwiska - powiedziała w końcu. - Nie zdradził go. Raz spytałam, gdzie jestem. Tego też mi nie powiedział. Nie pamiętam, jak znalazłam się w pociągu. Konduktor powiedział, że muszę teraz wysiąść. Miałam karteczkę, na której napisano, dokąd jadę. I pieniądze. Ktoś musiał je dać taksówkarzowi. Grit powiedziała, że przyjechałam taksówką.

Ponownie westchnęła i z żalem wzruszyła ramionami.

- Jeśli obieca mi pan, że pomoże spalić moją siostrę tak, aby Margret i Achim nie zostali ukarani za dokumenty i tę obcą kobietę, opiszę panu lekarza. Więcej nic nie mogę zrobić. Obiecuje pan?

Obiecał i pół godziny później mówił przez telefon: - Nie wiem, co o tym sądzić, panie Grovian. Trzyma się swojej wersji. Tylko lekarz i pielęgniarka, ale przychodziła rzadko. Powiedziała, że leżała w małej klitce. Bez okna, miejsca tyle, co na łóżko i kilka medycznych przyrządów. Dla mnie brzmiało jak jakiś schowek.

Potem przekazał opis mężczyzny. W słuchawce przez chwilę panowała cisza. - Proszę pana? - spytał nie wiedząc, czy ktoś jeszcze jest przy telefonie.

- Tak, jestem - usłyszał. - Tylko... - Ponownie kilka sekund ciszy. - Mój Boże - powiedział Rudolf Grovian oszołomiony - to absolutnie wykluczone. To przecież... ile to kilometrów? Przynajmniej siedemset. To niemożliwe.

Już ponad pół godziny siedziała obok niego w samochodzie. Na początku podróży Rudolf Grovian próbował przygotować ją do konfrontacji. Wyjaśnił jej, dokąd jadą i w jakim celu - w porozumieniu z prokuratorem, sędzią śledczym, profesorem Burthe i Eberhardem Brauningiem. Powtórzył każde słowo przynajmniej trzykrotnie.

W zwykłych okolicznościach nie przedstawiałoby to najmniejszej wartości. Jednak okoliczności były zupełnie niezwykle. Nawet profesor Burthe tak uważał - i przekonał zarówno sędziego jak i prokuratora, że tylko przy pomocy bata można ją skłonić, by wskazała palcem. - To on leczył moje obrażenia głowy.

Rudolf Grovian nie potrzebował bata, był szefem. Słuchała go i nawet raz skinęła, gdy zapytał, czy wszystko zrozumiała i czy, skoro poświęcił na to tyle czasu i pracy, pomoże mu odnaleźć lekarza.

Specjalista od neurologii i chirurgii pourazowej. Prowadzący własną klinikę. Profesor Johannes Frankenberg!

Nie powinien wymieniać jego nazwiska. Nietrudno było wczuć się w jej tok rozumowania. Skoro Frankiego uznała za Zbawiciela, Johannes Frankenberg z konieczności został Panem Bogiem. To w tej postaci, gdy nie odzyskała jeszcze w pełni przytomności, musiał często stawać przy jej łóżku.

Wszechwładny, który - dosłownie - dokonał na niej cudu i poskładał jej roztrzaskaną czaszkę w dobrze funkcjonującą głowę. Jak często pochylał się nad nią oświetlając

lampą nieruchome powieki i mówiąc: - Mój syn nie jest winny tej katastrofy.  
- Być może czuł się zobowiązany przekonać ją o tym, zanim uda się w drogę do wieczności. Nie miał pewności, że zdoła ją uratować.

Helene Brauning powiedziała: - W przypadku nieprzytomnych i pacjentów w śpiączce nigdy nie wiadomo, co dokładnie do nich dociera.

Cora Bender spytała: - Naprawdę chętnie wyświadczę panu przysługę. Ale nie wiem, czy potrafię. Co mam mu powiedzieć? Mój Boże, nie rozumie pan. Był dla mnie taki dobry. A ja zabiłam jego jedyne dziecko. Frankie nic mi przecież nie zrobił.

To było przed dwoma dniami. Profesor Burthe nie był zachwycony jego wizytą w klinice. Najpierw przeprowadzili długą rozmowę w cztery oczy, biegły sądowy i policjant bez matury.

Fakty na stół, chociaż dało się je podsumować w ledwie kilku słowach. Dokładny opis osoby. Mógł to udowodnić. Nawet profesor Burthe musiał przyznać, że nie mógł on być wyłącznie wytworem wyobraźni Cory. Pozwolił mu krótko z nią porozmawiać.

Wciąż pamiętał, jak drgnęła, gdy wszedł. Jak spojrzała na jego szyję i zaczęła drżeć. Uspokoiła się dopiero wtedy, gdy po raz drugi wyjaśnił, dlaczego ją odwiedził.

- W najbliższych dniach chciałbym się z panią wybrać na wycieczkę. Tylko my dwoje. Pojedziemy do Frankfurtu.

Dwa dni temu zrozumiała. A gdy odebrał ją ponad pół godziny temu... Patrzyła przed siebie na jezdnię. Spróbował raz jeszcze. - A więc, jak już mówiłem, nie musi pani rozmawiać z panem Frankenbergiem. Tylko pani na niego spojrzę. Potem wyjdziemy i powie mi pani, czy...

Wreszcie zareagowała, rzuciła mu udręczone spojrzenie.

- Nie moglibyśmy porozmawiać o czymś innym? Zrobię

to. Spojrzę na niego, gdy dojedziemy. Ale zanim będziemy na miejscu, nie musimy przecież...

Mówiła powoli. Był niemal pewien, że w klinice podali jej leki, zanim mu ją przekazali. Miał tylko nadzieję, że nie zaśnie. A rozmowa stanowiła dobrą metodę, by nie spać. Nie musiała dotyczyć Frankenberga. - O czym chciałaby pani porozmawiać?

- Nie wiem. Czuję się, jakbym miała wodę w mózgu, całe wiadro.
- Znam na to dobry sposób.

Mieli czas. Na miejscu powinni być dopiero o trzynastej. O tej godzinie Johannes Frankenberg mógł im poświęcić kilka minut. Rudolf Grovian zapowiedział wizytę, nie wspomniał jednak, że przybędzie w towarzystwie. Nie było jeszcze dziesiątej. Przerwa na kawę na pewno dobrze jej zrobi.

Nieco później stanął przed przydrożną restauracją. Usiadł z Corą przy stoliku pod oknem. Sypała cukier do filiżanki, dopóki nie przytrzymał jej ręki. - Tylko niech pani nie miesza, inaczej nie będzie mogła pani wypić. Zwykle nie używa pani cukru, prawda?

Pokręciła głową i wyjrzała przez okno. Z profilu jej twarz wydawała się jeszcze bledsza. - Chciałabym pana o coś zapytać.

- Proszę - zachęcił.

Oddechnęła głęboko, wypła łyk kawy. - Ta dziewczyna - zaczęła niepewnie. - Opowiedział mi pan o martwej dziewczynie, którą znaleziono na placu ćwiczeń wojskowych. Czy wie pan, co zrobiono z jej ciałem?

- Pochowano - odparł.
- Tak myślałam. Wie pan gdzie?
- Nie. Ale mogę się dowiedzieć, jeśli to panią interesuje.
- Bardzo mnie interesuje. Jeśli się pan dowie i mnie poinformuje, będę panu bardzo wdzięczna.

Skinął głową. W tej chwili przychodziły mu do głowy rozmaite przyczyny. Oprócz tej, która naprawdę nią powodowała. Eberhard Brauning co prawda nie zrozumiał, o jakich dokumentach i obcej kobiecie mówiła, ale oczywiście dotrzymał słowa. Rudolf Grovian wciąż zakładał, że Magdalena Rosch zmarła 16 sierpnia - na niewydolność serca i nerek.

Ponownie sięgnęła po filiżankę i chciała ją podnieść do ust. Jednak ręka drżała jej tak mocno, że kawa wylała się na stół. Z brzękiem odstawiła filiżankę na spodeczek. - Nie potrafię. To zresztą niemożliwe. Proszę tylko pomyśleć. Nie pojechaliśmy wtedy tak daleko. Tylko do Hamburga, nie do Frankfurtu. Widziałam napisy na autostradzie. Musimy zawrócić. To był bardzo miły człowiek. A jeśli naprawdę znalazł mnie na ulicy? Mogłam przecież zabiec daleko. Miałam dużo czasu.

- Nie sądzę, by mogła pani wtedy biegać, pani Bender - powiedział.

- Ach, cały pan. - Stwierdziła z udreką. - Wierzy pan tylko w kłamstwa. Nikt nie powiedział panu prawdy, zapewniam pana. - Skierowała twarz do okna i przez chwilę wyglądała w milczeniu. Potem, ciągle odwrócona, spytała:

- Co się ze mną stanie, jeśli przyznam się do jeszcze jednego morderstwa? Razem dwa. Co za to dostanę?

- Za przyznanie się nie dostanie pani nic - wyjaśnił. - Musiałaby pani wskazać drugie zwłoki.

Wpatrzyła się w swoją kawę i uniosła filiżankę do ust. Ręka wciąż mocno jej drżała, ale upiła łyk nie wylewając płynu. Gdy odstawiła filiżankę, powiedziała: - Ma pan przecież zwłoki tej dziewczyny z Heide.

Lekki uśmiech przemknął przez jej twarz, gdy oznajmiła:

- Zabiłam tę dziewczynę. To ja. - Gdy nie zareagował, dodała: - Przyznaję się. Chcę, żeby tak to pan potraktował.

Skinął głową. - Potrzebuję więcej szczegółów.

- Wiem. Okłamałam pana co do urodzin Magdaleny. Gdy spała, wróciłam do „Aladyna”. Johnny'ego już nie było, tylko ta dziewczyna, która tańczyła z Tigerem. Powiedziała mi, że tamci pojechali gdzie indziej. Johnny stwierdził, że nie oplaca się czekać na głupią kozę. Szalałam z wściekłości. Ale zachowywałam się miło. Spytałam, czy chce się ze mną przejechać. Zabrałam ją na wrzosowisko, tam pobiłam i skopałam. Obiema nogami skoczyłam na jej klatkę i złamałam żebra. Gdy już nie żyła, rozebrałam ją, żeby wyglądało to na zbrodnię dokonaną przez mężczyzn. Rzeczy wyrzuciłam gdzieś po drodze. Najlepiej wróćmy, żeby mógł pan sporządzić

- Nie wrócimy, proszę pani - stwierdził stanowczo. - Protokół mogę sporządzić później. Po pięciu latach godzina lub dwie nie robią różnicy.

Jej wargi zadrżały jak w noc przesłuchania, gdy wciąż sądził, że odgrywa przed nim przedstawienie. - Ale ja nie chcę. Naprawdę nie mogę. Spyta mnie, dlaczego to zrobiłam. A mój adwokat zabronił mi opowiadać o Zbawicielu. Powie, że powinien dać mi wtedy szczenąć. Lepiej by było, gdyby tak zrobił. A zamiast tego uratował mi życie.

Chwyił ponad stołem jej dłonie, ścisnął mocno, aż wreszcie spojrzała na niego. - Niech mnie pani teraz dobrze posłucha. Pan Frankenberg uratował pani życie, to wielce chwalebne. Jednak zanim je uratował, ktoś musiał wystawić je na niebezpieczeństwo. A on nie chciał, żeby ten ktoś trafił do więzienia. Nie uczynił tego dla obcej osoby. Niech pani o tym pomyśli. Tylko o tym. Rozumie mnie pani?

- Gdy skinęła głową, puścił jej dłonie.
- Ale za tą zmarłą dziewczynę muszę iść do więzienia?
- Tak, oczywiście - odparł.
- I to nie tylko na kilka lat?
- Nie, to było perfidne morderstwo. Dostanie pani dożywocie.



Zapłacił za kawę, chwycił ją za ramię i poprowadził do samochodu. Wydawało się, że jej ulżyło. Podczas jazdy opowiadała mu o życiu z Ge-reonem. Trzy lata w mydlanej bańce. Takie bańki łatwo pękają. Ale mały czuł się u dziadków dobrze, była tego pewna.

Przybyli na miejsce prawie o godzinę za wcześnie. Zatrzymał się na parkingu przed kliniką. Był to ładny dwupiętrowy budynek ze śnieżnobiałym tynkiem. Miał nadzieję, że coś się jej przypomni. Nic. Prokurator stwierdził: - Jeśli rzeczywiście tak się to rozegrało, prawdopodobnie była oszołomiona, zanim zabrano ją na dworzec. Niestety nie da się tego udowodnić, nawet jeśli rozpozna profesora Frankenberga. Musiałby się przyznać, a na to nie ma co liczyć.

Przez kilka minut wyglądała przez okno samochodu, trzymając ramiona niewygodnie skurczone. Potem zażądała, żeby spisał jej zeznania o perfidnym zamordowaniu dziewczyny. Tak dla pewności. Nie dało się przewidzieć, co się jeszcze wydarzy. Może nie będzie się czuła dobrze. Dlatego wolałaby mieć to już za sobą.

Zgodził się, nabazgrał kilka zdań w notesie i dał jej do podpisu. Oparła się o siedzenie.

- Mamy jeszcze czas?
- Prawie godzinę.
- Możemy nieco rozprostować nogi?

Parking był otoczony zielenią, wokół dwupiętrowego budynku rosły stare drzewa. - Wygląda tak spokojnie - powiedziała.

Wpuścił ją i zamknął samochód. Potem ruszył obok niej wzdłuż zarośli do kliniki. Dom położony był z tyłu. Nie było go jeszcze widać. Ze swej pierwszej wizyty pamiętał jednak, że urządzony został w podobnym stylu.

Nie odczuwał potrzeby rozprostowania nóg. Powoli poprowadził ją w stronę budynku, pragnąc tylko mieć to już za sobą. Ciągle coś opowiadała. Przypominała mu dziecko,

które śpiewając i pogwizdując schodzi do ciemnej piwnicy. Dobrze wiedział, jak się czuła - od stóp do głów przepełniona winą.

Próbował nie zwracać uwagi na własne odczucia. Nie mógł jej pomóc. Ani on, ani Brauning, ani prokurator czy sędziowie. Choćby wymyślali tysiące powodów śmierci Georga Frankenberga, nikt nie był w stanie odebrać jej brzemienia Magdaleny. Burthe mógł spróbować wytłumaczyć jej, że zdarzył się wypadek i że to łagodna śmierć dla cierpiącego stworzenia.

Zrozumiał swoją pomyłkę i co naprawę chciała mu wytłumaczyć. Śmierć Magdaleny! Uświadomił sobie nawet, czyj szkielet znaleziono przed pięcioma laty na wrzosowisku. Ale że skoczyła obiema nogami na jej klatkę, to bzdura. Myśląc o Johnnym z miłości trochę za mocno podparła ręką. Nic więcej nie mogło się stać.

A ojciec, który kochał ją ponad wszystko, milczał. Jej szalona matka nic nie rozumiała. Sąsiadki nie wpuszczono do domu. Zwłoki leżały pewnie kilka miesięcy w pokoju na górze, aż wreszcie Margret się tym zajęła; zabrała je na wrzosowisko i załatwiła akt zgonu. To było takie proste.

Do domu Frankenbergów wchodziło się po trzech schodkach. Wyprzedził Corę o krok i nacisnął dzwonek. Po chwili drzwi się otworzyły. Młoda kobieta, miła i ładna, w białym fartuchu, spojrzała na niego pytająco i rzuciła sceptyczne spojrzenie w kierunku jego towarzyszek.

- Pan w jakiej sprawie?

Pokazał jej odznakę. - Jesteśmy umówieni z profesorem Frankenbergiem na trzynastą. Niestety przyjechaliśmy trochę za wcześnie.

Nie szkodzi. Mogli poczekać w salonie. Wszedł pierwszy i minął korytarz. Podążyła za nim przestraszona i zgięta, jakby na środku pokoju czekał na nią kat. Stała tam jednak tylko kanapa przysunięta do ściany, a obok olbrzymia pal-

ma, której liście rozpościerały się jak parasol. Nad kanapą wisiał modernistyczny obraz w prostych ramach. Przy pierwszej wizycie Rudolfa Groviana zaprowadzono do innego pomieszczenia, więc dopiero teraz zobaczył barwne plamy.

Podeszła prosto w tę stronę i przystanęła przed kanapą. Jej twarz wyrażała zdziwienie i zmieszanie. Opuściła głowę i spojrzała na podłogę, a potem ponownie na ścianę obok kanapy.

- To się nie zgadza - zaprotestowała z zapartym tchem.
- Zamurowali schody. - Wskazała bezradnie przez pokój.
- Wszystko przebudowali. Pokazała palcem na przeciwległą ścianę. - Tam staliśmy. Johnny i ja. Źle się czułam, bo Magdalena... - Urwała w połowie zdania, otrząsnęła się i mocno przełknęła. Potem jękając się mówiła dalej.

## Rozdział 15

Nigdy nie nienawidziłam jej bardziej niż w tej chwili, gdy wyciągnęła się na łóżku. Wiedziałam, że tym razem moje palce i świeca nie wystarczą. Potem chciała zwykle jeszcze trochę pogadać i poprzytulać się. Jeśli miałam ją porządnie zmęczyć, musiałam językiem... Zrobiło mi się niedobrze, gdy o tym pomyślałam.

W tym momencie pojęłam, że wszystko jest na odwrót. To nie ja żyłam dla niej. Ona żyła moim życiem. Wcześniej ojciec nazywał ją wróbelkiem. I jak wróbel wybierała z mojego paskudnego życia dobre ziarna. Zostawiała mi resztki. Obrzydliwe!

Być może to szampan wszystko mi pomieszał, a może Johnny, którego zostawiłam. Miałam poczucie, że spałam się wewnętrznie, gdy musiałam ją całować i pieścić. Dokładnie to samo robiłby ze mną Johnny, gdybym z nim została.

Zaczęłam opowiadać. Całą prawdę. Do tej pory żadnych mężczyzn oprócz tyczkowatego Horstiego. Żadnego gorącego seksu z ostrymi facetami. Tylko kilka letnich pocałunków smakujących piwem. Jeden czy drugi, który złapał mnie za kolano.

Leżała cicho i słuchała. Gdy zaczęłam płakać, objęła mnie. Poczulałam jej dłonie na plecach. Wysunęła mi koszulkę ze spódnicy, wsunęła pod nią ręce i pogłaskała mnie. Ustyszałam jej szept: - Już dobrze. Wszystko dobrze, skarbie. Przykro mi. Jestem dla ciebie strasznym ciężarem. Wiem. Ale już niedługo. Już niedługo, skarbie, obiecuję ci. - Przesunęła ręce do przodu i położyła mi na piersiach. Nie

chciałam, żeby mnie tak dotykała. Chciałam dłoni Johnny'ego, jego szeptu, jego pocałunków, jego ciała.

Nie pamiętam, czy jej to powiedziałam. Musiałam, bo nagle odsunęła się ode mnie i stwierdziła: - Dostaniesz go, skarbie. Przyrowadź go. I nie chcę nawet wiedzieć, jak było. - Gdy się wyprostowała, dodała: - Wiesz, co teraz zrobimy? Pojedziemy do Johnny'ego.

Zawsze mówiła mi, gdy miała na myśli mnie. Musiałam pomyśleć o pielęgniarce, o której mi kiedyś opowiedziała. Jak bardzo tęskniła wtedy za uściskiem matki. I że nie miała nikogo. Tylko mnie.

Było mi przykro, że naopowiadałam jej takich okropnych rzeczy. Nie mogła przecież nic na to poradzić. Aleja też nie mogłam nic poradzić na to, że się zakochałam. Miałam dziewiętnaście lat! To normalne, że w tym wieku człowiek się zakochuje. Nie mogłam przecież do końca życia być skazana na zmyślonych mężczyzn i pokazywanie siostrze, jak to jest, gdy się z nimi Kocham. W tej chwili chciałam wiedzieć.

Chciałam potem wrócić do domu i powiedzieć ojcu: - Wiem teraz, za czym tęskniłeś przez te wszystkie lata. Wybacz mi, tato! Wybacz mi te wszystkie okropne rzeczy, które ci powiedziałam i które myślałam o tobie. Wybacz mi wstręt. Chyba czułam go sama przed sobą. Ale teraz to minęło. Teraz jestem kobietą, prawdziwą kobietą. Spałam z mężczyzną. I było przepięknie.

Chciałam tylko żyć. Normalnie żyć. Z mężczyzną, którego kochałam i który kochał mnie. Z zadowolonym ojcem, czekającym na pogodną starość.

Nie musiałby już dłużej opowiadać o czarnych latach w Buchholz, żeby zapomnieć o małych dzieciach, które rozstrzeliwał w Polsce. Gdyby był sam, na pewno by tego nie zrobił. Chciałam, żeby zrozumiał, że ponosi za to taką samą winę, jak ja za dziurawe serce Magdaleny. Chciałam, żeby zapomniał.

Powinien myśleć tylko o dzieciach, które pewnego dnia posadzę mu na kolanach, by opowiedział im stare historie o żelaznej kolei. Pragnęłam, żeby był ze mnie dumny. Żeby nie dostrzegał w swych córkach jedynie kary niebios i nie żałował, że kiedyś nie umiał się powstrzymać i odczekać stosownego czasu, bo wtedy Magdalena nigdy by się nie urodziła.

Uśmiechnęła się do mnie. Trochę kręciło mi się w głowie od szampana oraz od wszystkich tych myśli i uczuć. Czułam taki ciężar na sercu, taki żal. Powiedziała my. Oznaczało to, że mam wrócić do „Aladyna”, a ją zostawić samą z jej żalem, jej myślami i uczuciami.

- Nie da rady - odparłam. - Masz przecież urodziny.

- I właśnie dlatego da radę - sprzeciwiła się łagodnie. - Musi. Pomożesz mi wstać i...

Dopiero wtedy zrozumiałam, co naprawdę miała na myśli.

- Zwariowałaś - powiedziałam. W tym tygodniu prawie nie wstawała z łóżka. Nie schodziła na dół nawet na posiłki. Do łazienki też szła rzadko, tylko trzy razy, żeby się załatwić. Myłam ją w łóżku, przytrzymywałam jej miskę, gdy czyściła zęby. Nie powinna wstawać nawet z moją pomocą. To niemożliwe.

Magdalena postanowiła inaczej. Potrafiła być bardzo energiczna, gdy chciała coś osiągnąć. - Nie rób cyrku, Cora. Jak mówię, że da radę, to da. Odpoczywałam cały tydzień, czuję się świetnie. Wiesz, że znowu trochę utyłam? Spójrz na moje nogi. Jak nie będę uważać, zrobię się gruba. Naprawdę dobrze się czuję. Nie mówię tego tak sobie. Nie proponowałabym ci, gdybym wiedziała, że to niemożliwe.

Nieufnie zmrużyła oczy. - A może mi tego zabronisz? Tam na zewnątrz to twój rewir, prawda? Ja mam grzecznie leżeć w łóżku.

- To nieprawda.

- Ale tak wygląda. A może masz pietra? Niepotrzebnie. Wiem, na co mogę sobie pozwolić. - Zaśmiała się cicho.

- Jeszcze czas. Nie musimy się spieszyć. Jeśli twój Johnny mówi serio, poczeka nawet do dwunastej. Teraz pomożesz mi się ubrać, zrobisz mi makijaż, a na końcu pomalujesz paznokcie. Wyszną w czasie jazdy.

- Nie da rady - powtórzyłam.

A Magdalena znowu zaprotestowała. - Da i to jak. Jeśli chcemy lecieć do Ameryki, musi się udać. To taka sama sytuacja. Pomożesz mi tylko na schodach. W samochodzie mogę siedzieć. Na dyskotecę też. Te kilka kroków przez parking nie będzie problemem. Usiądę w kącie i popatrzę, jak tańczysz z Johnnym.

Zauważyła, że tego nie chciałam, i powiedziała: - Nie! Nie będę patrzeć. To twój wieczór. Po prostu usiądę z jego kolegą. Powiedziałas przecież, że z kimś przyszedł. Jaki on jest, ten jego kumpel?

- Całkiem miły - skłamałam. - Wesoły facet. Przezywają go Tiger. - Do tej pory nie wspomniałam, że właśnie tego wieczora po raz pierwszy miał szansę u jakiejś dziewczyny. Teraz też wołałam to przemilczeć.

- Brzmi nieźle. - Magdalena uśmiechnęła się ironicznie. - Ma paski i długi ogon?

Zaśmiałyśmy się obie. - Nie wiem - powiedziałam. - Nigdy nie widziałam go bez koszuli i spodni.

Ciągle się śmiała. - Mogę sprawdzić, gdy znikniesz z Johnnym. - Spojrzała na mnie spod przekrzywionej głowy.

- Zobaczysz, będzie fantastycznie. Wiem, że ci się spodoba.

Ciągle nie chciałam się zgodzić. Ale z Ameryką miała rację. Pomyślałam, że to mógłby być test, a ja cały czas znajdowałabym się w pobliżu.

Chciała włożyć moją granatową, satynową bluzkę i białą spódnicę z falbanką. Spódnica była prawie przezroczysta,

jej nogi przeświecały przez koronkę. Naprawdę przytyła, uda miała szczupłe, ale nie chude.

Gdy pomagałam się jej ubrać, stwierdziła: - Jakoś przetrwam do twojego powrotu. Baw się dobrze, skarbie. Ja też będę. Na dyskotecę. Wiesz, od jak dawna tego pragnęłam? Nigdy nie przypuszczałam, że jeszcze w tym roku dam radę. Boże, to dopiero będą urodziny!

Chciała, bym polakierowała jej paznokcie na ciemno-czerwono, wtedy nikt nie zauważy, że są sine. W samochodzie spytała jeszcze, ile naprawdę mamy pieniędzy.

- Tylko trzydzieści tysięcy - odpowiedziałam. - Nie dziewięćdziesiąt. Przykro mi.

Wzruszyła ramionami. - Trzydzieści to też ładna sumka. Jak ją uzbierałaś?

Tym razem ja wzruszyłam ramionami. - Zaoszczędziłam. Zawsze kupowałam najtańsze rzeczy.

Rzuciła mi z boku dziwne spojrzenie, ale nic nie powiedziała. Jechałam powoli i ostrożnie. Z powodu szampana bałam się wypadku. I o nią. Strasznie się bałam.

- Zapomnij wreszcie o tym - stwierdziła. - Nie po raz pierwszy jadę samochodem. Podróż do kliniki jest jeszcze bardziej męcząca. To dużo dalej, a do tej pory jakoś przeżyłam. - Ponownie się zaśmiała.

A potem naprawdę zapomniałam. Już gdy wysiadłyśmy na parkingu. Nie był tak zatłoczony jak zwykle. Zobaczyłam srebrnego golfa i serce mi załomotało. Kilka metrów do wejścia nie stanowiło problemu. Objęłam Magdalенę w pasie, poszłyśmy bardzo powoli. W drzwiach przystanęła. - Zaczekaj - powiedziała. - Pozwól mi się tym chwilę nacieszyć.

Było nieco wietrznie, nie słyszałam jej oddechu. - Nie możesz już? - spytałam.

- Jasne, że mogę. Chcę się tylko rozejrzeć. Puść mnie. Inaczej tamci w środku pomyślą, że targasz ze sobą szmacianą lalkę.



Puściłam ją, trzymałam jednak ręce blisko, by móc ją w każdej chwili podeprzeć. Postąpiła krok naprzód, potem drugi, nie przytrzymała się nawet ściany. Potem odwróciła się i zaśmiała: - Widzisz, wszystko w po-

Gdy ujrzałam uśmiechniętego Johnny'ego, ze mną także było już wszystko w porządku. Siedzieli we dwóch przy stoliku i rozmawiali. Obca dziewczyna zniknęła. Johnny nie był zdziwiony, że wróciłam. I że przyprowadziłam Magdalenę...

Zrobiło mi się nieprzyjemnie, gdy utkwiał w niej wzrok i uśmiechnął się inaczej niż do mnie. Podobała mu się. Każdemu by się spodobała. Dzięki moim staraniom wyglądała świetnie.

Ona także zauważyła, że Johnny się zastanawia. - Żeby nie było nieporozumień - powiedziała. - Przyszłam tu tylko po to, by obejrzeć sobie tygrysa. Powiedziano mi, że jeden się tu kręci. Mogę usiąść?

Tiger wyszczerzył zęby w uśmiechu, przytaknął z zapalem i przesunął się kawałek. Magdalena obiema rękoma przytrzymała się blatu. - Trochę mi się nogi uginają - stwierdziła. - Cały dzień leżałam w łóżku. Nie powinno się tak robić. To źle wpływa na krążenie.

Usiadła obok niego, a ja obok Johnny'ego. Zrozumiał, że nic u niej nie osiągnie, objął mnie ramieniem i przyciągnął blisko. - Z kołysanką nie wyszło, co? - spytał.

Magdalena usłyszała to i uśmiechnęła się. - Na kołysanki jestem już trochę za stara!

Było mi przykro. Nie pamiętałam, że jej to powiedziałam. Johnny chciał tańczyć. Leciła stara piosenka Beach Boysów. Wziął mnie w ramiona i stwierdził: - Wcale nie jesteście do siebie podobne. To naprawdę twoja siostra?

- Nie - odparłam. - Moja siostra leży w domu i śpi. Naprawdę jest chora. To Magdalena. Spotkałam ją na parkingu. Chciała was nabrać.

- Ach tak - powiedział tylko Johnny.

Nie pamiętam już, jak długo tańczyliśmy. Wydawało mi się, że krótko. Musiało jednak minąć ponad pół godziny. Gdy wróciliśmy do stolika, Magdalena stwierdziła, że muzyka jest kiepska. - Nie puszczają tu Queen?

A na to Tiger: - Co tam Queen. Chcesz posłuchać naprawdę niezłego zespołu? Na żywo?

- Masz jakiś w kieszeni? - spytała.

- I w koszuli, i w butach - odparł. - Ale tylko część. Gram na keyboardzie. Wskazał na Johnny'ego. - Gitara basowa. Perkusję zostawiliśmy w piwnicy. Frankie nie miał ochoty. Nigdy nie ma. Zawsze się boi, że jego starzy nagle się pojawią.

I dodał bez tchu: - Ludzie, co wy na to, żebyśmy zrobili mu niespodziankę. Tu się nic nie dzieje. Pojedziemy i urządzimy własną imprezę. Postaramy się oderwać Frankiego od książek.

Magdalena natychmiast się zgodziła. Pomyślałam o szampanie, nie chciałam jechać zbyt daleko. Johnny stwierdził, że możemy się zabrać ich samochodem. Potem odwiozą nas na parking.

Wychodząc Magdalena wspierała się na Tigerze. Nie rzucało się to w oczy. Była od niego wyższa i położyła mu rękę na ramieniu, jakby znała go od lat, co jemu się podobało. Usiadliśmy obie na tylnym siedzeniu. Johnny z przodu.

Strasznie się bałam o Magdalene. Uważałam, że postępujemy źle, że za dużo ryzykujemy. Ale przez Johnny'ego było to także ekscytujące i piękne. W czasie jazdy obrócił się do mnie. Nic nie powiedział, tylko wpatrywał się, jakbyśmy byli sami - w pokoju lub jakimś innym miejscu.

Nie przyglądałam się trasie. Nie wiem też, jak wyglądał dom. Pamiętam tylko, że gdy golf się zatrzymał, obaj wysiedli. Każdy podniósł siedzenie po swojej stronie i wyciągnął

rękę. Johnny od razu wziął mnie w ramiona. Tiger pomagał Magdalenie.

Był dla niej bardzo miły, naprawdę kochany i troskliwy. Kiedy siedzieli sami przy stoliku, skłamała mu, że leżała w łóżku z powodu nieżytu żołądka. Odparł, że dobrze się nią zajmie. Studiował medycynę, Frankie też. A Frankie to prymus. Na pewno kiedyś zostanie profesorem jak jego stary. Zdążyła mi o tym powiedzieć, zanim... Chyba w samochodzie. Już nie pamiętam.

Dotarli do drzwi przed nami. Nie zwróciłam uwagi, czy Tiger miał klucz czy też musiał zadzwonić. Gdy przyszliśmy, od dawna byli już w środku. Zamknęłam oczy, bo Johnny objął mnie i pocałował popychając do tyłu. Raz wymruczał: - Uwaga, schodek. - Podniósł mnie i postawił dopiero w korytarzu - w tej ogromnej, białej hali.

Przycisnął mnie do ściany i dalej całował. Ponad jego ramieniem zobaczyłam obraz, a obok schody. Tiger i Magdalena już na nich stali. Schodziła sama, tylko jedną ręką przytrzymywała się poręczy. Cholera, pomyślałam, nie da rady. Nie mogę jej puścić samej. Dlaczego nie pozwoli, by

Chyba znam powód. Musiała zobaczyć Frankiego, zaraz gdy weszła do domu. Może to on otworzył drzwi. Oczywiście był kilka razy lepszy niż ten różowy prosiak.

Odwróciła się na schodach i zawołała: - Idziecie? Na dole możecie robić to dalej. Tam na pewno jest przyjemniej. - Usłyszałam perkusję. A Johnny powiedział: - Ma rację. Chodźmy na dół.

Gdy zeszliśmy do piwnicy, Magdalena siedziała już na kanapie. Nie spuszczała wzroku z kąta, gdzie stały instrumenty. Frankie siedział przy perkusji, pogrywał trochę i także nie odrywał od niej oczu.

Tiger stał przy barze i kroił cytrynę na kawałki. - Najpierw łyk wody ognistej - usłyszałam. Spojrzał na Magdalene. - Chcesz też kieliszek?

Pokręciła głową. - Lemoniadę, jeśli jest. Alkohol nie. Znowu zrobi mi się niedobrze.

Potem zagrali dla nas - bardziej dla Magdaleny niż dla mnie. To ona była gwiazdą. Sądzę, że pragnął jej każdy z nich, jednak ona widziała tylko Frankiego. Powiedziała, bym zatańczyła. Zrobiłam to.

Johnny cały czas się do mnie uśmiechał. Zrobiło mi się gorąco. I bardzo ciepło tam na dole. Magdalena wyglądała świetnie w migoczącym, kolorowym świetle. Granatowa bluzka pasowała do jej jasnych włosów. Jej szczupłe nogi pod prawie przezroczystą koronką... Nie było widać, że ma bladą skórę. Wyglądała na opaloną - jakby właśnie zeszła ze słońca.

Potem Frankie odrzucił pałeczki, wstał i podszedł do kanapy. Usiadł obok Magdaleny. Tiger ponownie stanął przy barku i wypił kilka kieliszków. Johnny włączył magnetofon. Znowu zabrzmiała ich piosenka. Zbliżył się do mnie, tańczyliśmy. Choć melodia była dość ostra, trzymał mnie w ramionach i powoli rozbierał.

Poczułam jego dłonie na plecach, jego usta na szyi. Po jakimś czasie znaleźliśmy się na podłodze. Było pięknie, ale nie potrafiłam się tym naprawdę cieszyć. Nie potrafiłam się skoncentrować, ciągle zerkałam na bok.

Frankie położył ramię na oparciu kanapy. Wyglądało to, jakby obejmował Magdaleny. Rozmawiali, przy tej głośniejszej muzyce nie słyszałam o czym. Zobaczyłam tylko, jak na siebie patrzą - ona na niego, on na nią. Wreszcie ją pocałował. Pomyślałam, że to mu wolno. Nie zaszkodzi jej. Był bardzo czuły i delikatny, dobrze widziałam. A gdy zdjął jej bluzkę...

Oczywiście zwrócił uwagę na blizny. Powiódł po nich palcem, lekko i delikatnie. Spytał, skąd się wzięły. Nastąpiła krótka przerwa na kasecie, rozumiałam więc każde słowo. Usłyszałam też odpowiedź Magdaleny.

- To moja drabina do nieba - odpowiedziała.

Potem przez chwilę nie zwracałam uwagi na nich, ani na Tigera, który stał przy barku i pewnie wciągał pierwszą działkę koksu. Potem podszedł i przyglądał się nam z góry. Czułam się nieswojo, wolałabym być z Johnnym sama. Nie chciałam tego jednak proponować. Nie mogłam przecież zostawić Magdaleny z dwoma mężczyznami.

Tiger trzymał w ręku małe lustro i słomkę. Johnny wyprostował się i wziął trochę. Tiger krzyknął w stronę kanapy: - Co z tobą, Frankie?

Frankie nie chciał, całował Magdaleny.

Potem Tiger ukląkł obok mojej głowy. Poglądał mnie po piersiach. Pomyślałam, że Johnny go przegoni, ale nic nie zrobił. Powiedziałam: - Przestań. Zostaw. Zabierz ręce. Nie chcę tego - i podobne rzeczy.

Magdalena się zainteresowała i krzyknęła: - Nie bądź taka. To nic złego. A do Tigera: - Daj jej działkę. To rozluźnia. Jest trochę skrepowana.

Przytrzymał mi lustro. Nie chciałam. Magdalena powiedziała: - Nie psuj nam zabawy, skarbie. Mówiłam ci już setki razy, że to niesamowite uczucie. Teraz weź trochę, zrelaksuj się i daj się uwieść.

Nie chciałam nic brać z tego przeklętego lustra. Chciałam tylko Johnny'ego. Wsadził mi palec do ust i zanurzył go w proszku. Potem potarł mnie na dole.

- Zabierz to - zażądałam.

- Właśnie zamierzam - odparł i ześliznął się po mnie.

Poczułam, jak mnie tam całuje. To było... To było szaleństwo.

Magdalena nie przejmowała się mną. Frankie nie dał jej czasu na przyglądanie się. Ułożył ją sobie na kolanach, obejmował obiema rękoma, całował i pieścił. Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy. Sądzę, że była bardzo szczęśliwa.

Ja też. Tiger nie robił nic więcej, przez jakiś czas klęczał tylko obok mojej głowy i się przyglądał. Potem rozpiął spodnie. W tym momencie było mi już wszystko jedno. Nie czułam wstrętu. Nie różniło się to zbyt od ssania kciuka. Pomyślałam o matce. Co by powiedziała, gdyby mnie tak zobaczyła. Na podłodze, jednocześnie z dwoma mężczyznami.

To było złe. Wszystko nie tak. Ale jednocześnie cudownie. Miałam ogień w brzuchu, szampana w głowie, kokainę we krwi i Johnny'ego wszędzie.

W pewnej chwili spojrzałam znowu na kanapę. Niewiele dostrzegłam. Noga Tigera zasłaniała mi widok. Zobaczyłam tylko plecy. Nagie plecy, szerokie i ciemne w migającym, kolorowym świetle. W pierwszej chwili nie zrozumiałam, co oznaczają. Magdalena nie leżała już na jego kolanach. Leżała pod nim. Bluzka i biała spódnica wisiały na oparciu kanapy.

Wszystko stało się bardzo szybko, obserwowałam to jednak jakby w zwolnionym tempie. Frankie kochał się z nią, początkowo powoli. Potem przyspieszył. Znowu ją całował. Nagle przestał i uniósł się.

Ukląkł między jej nogami i uderzył pięścią w jej piersi. Krzyczał: - Amen!

Potem rzucił się na nią, pocałował zatykając jej nos, uniósł się i bił ją obiema pięściami na raz. Krzyczał: - Amen! Dalej, no już! Amen, amen, amen! - Przy każdym słowie uderzał ją w piersi.

Jej głowa kiwała się na kanapie tam i z powrotem. Prawa noga zwisała nad podłogę. Lewa leżała jeszcze na oparciu. Potem także się zsunęła.

Nastąpiła krótka pauza między utworami na kasecie. Może pół sekundy, gdy uderzył raz jeszcze. Usłyszałam trzask lub chrupnięcie. Wiedziałam, że to zebra. Nie mogłam jednak do niej podejść. W ogóle nie mogłam nic zrobić,

tylko myśleć. Pomyślałam o nożu na barku i gdzie muszę go wbić, żeby on jej nie zabił.

Johnny leżał na mnie i swoim ciężarem przyciskał mnie do podłogi. Tiger trzymał moją głowę obiema rękoma. Nie mogłam nawet krzyknąć z jego członkiem w ustach. Muzyka znowu zabrzmiała, a Frankie zawołał poprzez hałas:

- Pomóżcie mi! Pomóżcie! Musi zacząć oddychać! Nie oddycha. - W oczach miał obłąd.

Johnny zrozumiał wreszcie, że coś nie gra i odkrzyknął.

- Zwariowałeś? Co tam robisz, idioto? - Nie zamierzał jednak mnie puścić. Patrzył tylko na kanapę.

Frankie już mu nie odpowiedział, tylko jak opętany bił obiema pięściami Magdaleny.

A potem Tiger krzyknął: - Ta łajza mnie ugryzła. - Sięgnął po popielniczkę. Zobaczyłam, jak się do mnie zbliża. Odbijało się w niej światło. Muzyka wciąż rozbrzmiewała. *Song of Tiger!* Potem zrobiło się ciemno i cicho.

W drodze powrotnej cicho popłakiwała. Czasami potrzasała głową, wtedy płacz cichł na dwie sekundy. Rudolf Grovian zostawił ją w spokoju. Stojąc przed obrazem mówiła jak w transie; sztywna, wyprostowana, z zamkniętymi oczami, obie dłonie zaciśnięte w pięści. Jak zamarznięta, pomyślał. Teraz powoli tajała. Miejmy nadzieję, że zaczynała też rozumieć.

Nie miał wątpliwości. Magdalena tak chciała. Magdalena wiedziała, że to koniec. Żadnej szansy, by pobudzić jej krew przez dializę. Serce by nie wytrzymało. Zastanowił się, co by się stało, gdyby sprzeciwiła się życzeniu siostry. Nie ma mowy! Zostajemy w domu! Wtedy pewnie Magdalena szukałaby śmierci w jej ramionach - i znalazła! Nie zmieniłoby to w żadnym stopniu rzekomej winy Cory.

Uświadomienie jej tego nie należało do jego obowiązków. A o tym, co usłyszeli od Johanna Frankenberga, musieli

zadecydować sędziowie. - Mój syn nie był winny tej katastrofie.

Z pewnością był. Przypomnił sobie, co Grit Adigar powiedziała o pięknie i przezorności natury. Niestety natura nie zważała na pragnienia Magdaleny i pozwoliła, by pewien mężczyzna został doprowadzony do ruiny. Rudolf Grovian nie potrafił na to spojrzeć inaczej. Gdyby nadarzyła się okazja, powiedziałby biednemu stworzeniu, co sądzi na ten temat i na parę innych. Dla niego Magdalena postąpiła jak ci nieodpowiedzialni idioci, którzy znajdowali kawałek autostrady, by zakończyć na niej swoje życie, a przy tym kilku niewinnych osób.

Georg Frankenberg był poważnym, młodym człowiekiem, który najwyżej w weekendy uprawiał hobby z kolegami. A ponieważ matka i ojciec niezbyt chętnie na to patrzyli, oddawał się swej pasji potajemnie, w domu babki, bez wiedzy rodziców.

Dom znajdował się w dzielnicy Hamburg-Wedel. Urodziła się w nim pani Frankenberg, obecnie od miesięcy stał pusty. Przeznaczono go na sprzedaż, ale nie zgłosił się jeszcze nikt skłonny zapłacić żądaną cenę. Georg często jeździł tam w weekendy, by sprzątać. Tak twierdził! Jego matka już od dłuższego czasu podejrzewała jednak, że nie chodzi wyłącznie o poczucie obowiązku.

Miał kolegę, tego niskiego grubasa z Bonn, Ottmara Dennera. Matka Georga go nie lubiła. Georg dwa razy zabrał go do Frankfurtu. W spojrzeniu Ottmara Dennera kryło się coś przebiegłego i żadnego przyjemności. A tamtej soboty w maju...

Pani Frankenberg wielokrotnie dzwoniła do mieszkania syna w Kolonii, na próżno. Tuż po południu spróbowała połączyć się z Hamburgiem. I kto podszedł do telefonu? Ottmar Denner!



Od razu zaczął nawijać: - No wreszcie, Boćki! Już myślałem, że znowu jesteś uziemiony. Ponad godzinę czekam, aż zadzwonisz. Teraz się pospiesz. I weź ze sobą butelkę. Frankie znowu zapomniał. Koks załatwimy wieczorem. To będzie ostra noc, bracie. Hej, Böcki, czemu nie odpowiadasz?

Pani Frankenberg bez słowa odłożyła słuchawkę i uparła się, by natychmiast jechać do Hamburga. - Wiedziała, że dzieje się coś złego. Tego już za wiele. Musisz poważnie porozmawiać z Georgiem - powiedziała do

Przyjechali po drugiej w nocy. Drzwi stały otworem. Z Georgiem nie dało się już porozmawiać. Siedział na podłodze w piwnicy, trzymał na kolanach zakrwawioną głowę dziewczyny i powtarzał wciąż: - Musi oddychać. Nagle przestała oddychać.

Johannes Frankenberg nie rozumiał, o co chodzi synowi. Dziewczyna na jego kolanach była ciężko ranna i nieprzytomna, ale na pewno żyła. Jeszcze! To, że w piwnicy musiał być ktoś jeszcze, pani Frankenberg stwierdziła dopiero później, gdy zauważyła stos ubrań. Dopiero po trzech dniach Georg wyjaśnił, że Hans Bueckler i Ottmar Denner wynieśli z domu zwłoki dziewczyny tuż przed przyjazdem rodziców.

Denner i Bueckler chcieli także zabrać Corę. Georg im nie pozwolił. I wciąż zapewniał: - Nie zabiłem Magdaleny. Nagle przestała oddychać.

Niewydolność serca, pomyślał Rudolf Grovian, albo aneurizm pękł od wysiłku. W każdym razie była to naturalna śmierć - a dla Magdaleny może nawet piękna. Frankie dał jej, czego chciała i zrobił, co potrafił.

Opis Cory przypominał próbę reanimacji. Rudolf Grovian pomyślał o młodej pacjentce, o której wspominał Winfried Meilhofer. Frankie złamał jej dwa żebra, ponieważ nie umiał pogodzić się z tym, że umarła. Być może ponownie zobaczył przed sobą Magdaleny.

Zbawiciel, pomyślał. Tym właśnie był. Magdalenę wybawił od bólu, Corę od brzemienia. Nie mógł jej tylko wybawić od poczucia winy. Wręcz przeciwnie! Przez niego stała się winna w oczach prawa.

Wciąż płakała. Po ponad godzinie zwróciła się wreszcie w jego stronę i spytała: - Jak można o czymś takim zapomnieć?

Wzruszył ramionami. - Musi pani porozmawiać o tym z profesorem Burthe. Proszę go spytać. Na pewno to pani wyjaśni.

- Ale pytam pana. Jak można o czymś takim zapomnieć?

- To się zdarza wielu ludziom - odparł po chwili. - Często się słyszy o takich historiach po wypadkach. Niektórzy przypominają sobie tylko, że wjechali na skrzyżowanie. Nie wiedzą, co się stało później.

- Na skrzyżowanie - wymruczała. - Albo tuż po jedenastej do domu. - Znowu pokręciła głowę. Przez kilka minut milczała. Gdy odezwała się znowu, w jej głosie pobrzmiwała gorycz. - Pięć lat!

Urwała, drżąc nabrała powietrza, a potem powtórzyła: - Pięć lat myślałam, że zabiłam moją siostrę. Wszyscy tak myśleli. Ojciec, Margret i Grit. Nie, ona nie. Zawsze powtarzała: „Nie wierzę w to”. Ale mówiła też: „Nie sądzę, żebyś ćpała”. Jednak wystarczyło, że spojrzałam na moje ramiona i musiałam uwierzyć, chciałam czy nie.

Nagle machnęła lewym ramieniem w bok. Zgięcie łokcia opadło na kierownicę.

- Ostrożnie, proszę pani! - zakrzyknął. Ręce zwilgotniały mu od potu. Licznik wskazywał sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Po lewej stronie znajdowała się bariera przedzielająca autostradę, po prawej kolumna ciężarówek.

Nie zwróciła na niego uwagi, trzymała rękę w tym samym miejscu. - Dlaczego to zrobił?

Powoli zredukował prędkość. Nie mógł tego zrobić gwałtownie, żeby nie uderzył w niego następny wóz. Ujął rękę i odsunął na jej kolana. - Niech pani tego nie robi. Chyba że chce pani nas oboje zabić.

- Dlaczego to zrobił? - powtórzyła.

- Przecież pani wie.

- Nie! - wyrzuciła. - Nie wiem. Żeby odsunąć Frankiego od sprawy, nie musiał mi tak paskudzić ramion. Wystarczyłoby, gdyby mi powiedział, że wbiegłam pod jego samochód. Że tylko to się stało. A on opowiada mi o obrażeniach na genitaliach. Nie mogłam takich mieć. Johnny nie zrobił mi krzywdy. Dlaczego to powiedział? Mój Boże, nadal to słyszę. Okoliczności i rodzaj obrażeń prowadziły tylko do jednego wniosku! Dlaczego to powiedział?

Straciła nad sobą panowanie. Wolałby, żeby się uspokoiła. Nie mógł zjechać na pobocze. Między ciężarówkami nie było przerwy. - Przecież pani wie.

- Tak, wiem. Ale chcę usłyszeć, czy pan też wie. Niech mi pan powie! No już! Niech pan wreszcie powie! Muszę to usłyszeć od kogoś innego. Samo myślenie o tym mi nie pomaga.

Nie miał na to ochoty. Pozostawił uczucia za sobą i znów był tylko policjantem. Zadowolonym policjantem, który wykonał dobrą robotę. Nie chciał już wbijać jej niczego do głowy i odsyłać do Burthego z wyrobioną

Mimo to powiedział: - Nie chciał, żeby poszła pani na policję. Nie mógł liczyć na to, że amnezja się utrzyma. Gdyby kiedykolwiek przypomniała sobie pani, co się zdarzyło w piwnicy, któżby pani uwierzył? Minęło niemal sześć miesięcy. O tym, że cały ten czas przeleżała pani w jego domu, wiedział tylko on, żona i syn. A teraz niech się pani uspokoi. Gdy wrócimy, porozmawia pani o wszystkim z profesorem Burthe. Ja też z nim pomówię. I z adwokatem i sędzią. Wy tłumaczę wszystkim, czego się dowiedzieliśmy od pana Frankenberga.

Dowiedzieli się wiele. Zaczynając od doraźnego opatrzenia ran w piwnicy. Potem wielogodzinna jazda w środku nocy. Frankie na tylnym siedzeniu. Z jej głową na kolanach, palce przyłożone do szyi, co kilka sekund meldujący gorączkowo: - Puls wciąż wyczuwalny.

Jak duże istniało ryzyko, że nie przeżyje podróży, to musieli ocenić fachowcy. I co by się z nią stało, gdyby maleńki płomyk nadziei zgasł po drodze...

Być może na to liczyli. Nie Frankie, ale jego rodzice. W tym wypadku Johannes Frankenberg nie musiałby łamać synowi ręki. Kolejne niezidentyfikowane zwłoki gdzieś przy szosie, nagie i bez dokumentów. Taka sama biedna istota jak ta z Lüneburger Heide. Czy rzeczywiście chodziło o zwłoki Magdaleny, to musieli powiedzieć Ottmar Denner i Hans Bueckler. Jeśli się odnajdą.

- Nie powinnam jej zabierać - przerwała jego rozmyślenia. - Wiedziałam, że nie powinnam. Dobrze wiedziałam. Może było mi wszystko jedno, czy umrze. Chciałam tylko Johnny'ego. Wszystko przez to! Matka zawsze mówiła, że cielesne żądze przynoszą samo zło.

- Pani Bender - upomniał. - Pani matka jest szalona. Zawsze była.

- Nie - wymamrotała. - Nie zawsze. Margret mi kiedyś opowiadała... -

Urwała i spytała: - Co się stanie z Margret?

Nie dała mu czasu na odpowiedź. Mówiła nerwowo i pośpiesznie. - Niech pan posłucha. Czy nie dałoby się zrobić w ten sposób? Powiedziałam przecież Johnny'emu, że moja siostra leży w domu chora. Spotkałam tamtą dziewczynę na parkingu. Tak może zostać. Nikt nie udowodni, że było

- Proszę pani, niech mi pani teraz wyświadczy przysługę i weźmie do serca, co pani radziła Margret. Proszę pomyśleć o sobie. Nie tylko ja usłyszałem pani wypowiedź. Poza tym pan Frankenberg wie od syna, że dziewczyna miała na imię

Magdalena. A pani sama powiedziała mu wtedy, że musi wracać do domu do chorej siostry.

- Oczywiście, ale to nie dowodzi, że wciąż w nim była - odparła. - Frankie nie mógł wiedzieć. Tamta dziewczyna powiedziała mu, że nazywa się Magdalena i jest moją siostrą. To była tylko zabawa. Tak z nią ustaliłam na parkingu. Lekarze w Eppendorf potwierdzają, że nie mogła być moją siostrą. Magdalena była zbyt chora, by wychodzić z domu. Wszystko się zgadza. Musi pan tylko chcieć.

Pokręcił głową. - Nie zgadza się, pani Bender. Nie może pani trzymać Margret z dala od całej sprawy.

- Ale ona to zrobiła dla mnie. Nie można jej z tego powodu wsadzać do więzienia. Nie aresztuje pan Margret, niech mi pan obieca!

Mógł jej to obiecać z czystym sumieniem. Nie odpowiadał za Margret. Musieli się nią zająć koledzy z północnych Niemiec. Nasuwało się pytanie, jakie zarzuty jej postawić. Organizowanie pogrzebów nie było karalne. Kremacja. Teraz sobie przypomniał.

O tym mówiła Grit Adigar. Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Najpierw ogień. Potem morze. Pochówek w wąskim gronie. Tylko Margret wiedziała, co się znajdowało w urnie. Popiół! Grit Adigar widziała, jak wsypuje go do wód Morza Północnego.

Zastanawiał się, kogo lub co posłały do krematorium i czy, jak to zwykle bywało, lekarz sądowy rzucił ostatnie spojrzenie do trumny. Potem niczym piorun trafiły go jej słowa o kradzieży. Do cholery! Teraz nie dało się jednak niczego udowodnić, skoro przed pięcioma laty nikt nie zwrócił uwagi na brakujące zwłoki.

Wbrew własnej woli musiał się uśmiechnąć. Przy odrobinie sprytu i fantazji... Margret Rosch z pewnością miała jedno i drugie. Ma rację, pomyślał. To nie tylko mogło, ale musiało się zgadzać. Z historią choroby Magdaleny. Z wy-

powiedzią Grit Adigar. Z Hansem Buecklerem. No i Achim Miek, który wystawił akt zgonu, prędzej ugryzie się w język, niż przyzna, że stał wtedy przed pustym łóżkiem i musiał dopiero załatwić zwłoki dla swej kochanki.

Stała przy oknie, wpatrując się w ponury dzień. Na dworze było zimno i mokro. Przed południem padało. Nastął już luty. Ostatni dzień za kratkami. Wiedziała o tym, tylko nie mogła jeszcze uwierzyć.

Eberhard Brauning powiedział podczas ubiegłej wizyty: - Odbiorę panią wczesnym popołudniem. Niestety nie mogę podać pani dokładnej godziny.

Nie chodziło o kilka minut. Miała dużo czasu, dużo za dużo. Inni go nie mieli. Profesor poświęcił jej ledwie kwadrans - tuż po obiedzie. Dostała ziemniaczaną papkę, groszek i udko kurczaka z gumowatą skórą i małą ilością mięsa przy kości. Po jedzeniu przyszedł Mario i zabrał ją do profesora, który chciał jej jeszcze coś wytłumaczyć i życzyć wszystkiego dobrego na dalszą drogę. Poparł wniosek o zwolnienie Cory na otwartą terapię. Teraz się już nią nie przejmował.

Nikt się nią nie przejmował. Sędzia też nie. Nie było rozprawy przeciwko Corze Bender przed Landgericht w Kolonii. Nie było oskarżenia o morderstwo lub przynajmniej o spowodowanie śmierci. Ani wyroku: dożywocie! W ten sposób może by to jakoś naprawiono. Ale nikogo nie obchodziło, co ona o tym sądzi.

Dotarła tylko do biura sędziego śledczego. Na podstawie oświadczenia biegłego psychologa adwokat złożył wniosek o niewszczywanie postępowania. - Nie odpowiada za swoje czyny! - Nie było co liczyć na

Wysłuchano jednak wszystkich. Rudolfa Groviana i Johannesesa Frankenberga. Nawet Hansa Buecklera! Odnaleźli go w Kiel. Nie zobaczyła go, tak było lepiej.

Hans Bueckler zeznał pod przysięgą, że tamtej majowej nocy przed pięciu laty razem z Ottmarem Dennerem pośpiesznie opuścili dom w Hamburg-Wedel po tym, jak stwierdzili, że Georg Frankenberg zabił dziewczynę. Kim była, tego Hans Bueckler nie wiedział. Pamiętał tylko, że on i Denner poznali w jakimś lokalu dwie dziewczyny, które podały się za siostry, ale nimi nie były. Hans Bueckler nie wiedział, co się stało ze zwłokami i z drugą z nich. Nie dało się podważyć jego zeznań.

Opinia biegłego psychologa przedstawiała dokładnie wydarzenia w piwnicy, a jeszcze dokładniej czarną duszę Cory Bender. Urodziła się winna. Dziewiętnaście lat trzymana w więzieniu. Na koniec przestępcą został ojciec. Nie, nie jej, o jej ojcu w ogóle nie było mowy. Ojciec Frankiego był sprawcą całego zła. Tego jednak nie napisano w opinii. Tak twierdził tylko obrońca z urzędu.

Eberhard Brauning był wspaniały. Ze wsparciem Heleny przygotował przemowę końcową i przedstawił ją sędziemu śledczemu, jakby stał przed Landgericht. Nie mógł jednak dotrzymać swego przyrzeczenia. Nie zasądzono kary więzienia, tylko z powrotem do wariatkowa, aż profesor uzna, że dojrzała do tego, by znowu odpowiadać za siebie.

Poszło szybciej niż się spodziewała. Pewnego dnia w lutym. Stała przy oknie. Za nią na łóżku leżała mała walizka, którą Margret przyniosła przed wiekami, a w każdym razie w innym życiu, do biura szefa.

Pomyślała o małym mieszkanku Margret. Miejsce na kanapie, więcej ciotka nie mogła jej zaoferować, łazienka tak ciasna, że siedząc na sedesie dotykało się kolanami drzwi. Nowy początek tam, gdzie już kiedyś zaczęła żyć. Rano będzie wychodzić, wieczorem wracać. Tak jakby po prostu szła do pracy. Tyle że tym razem nie uda się do kawiarni na Herzogstrasse tylko do kliniki dziennego pobytu.

Profesor był przekonany, że Corze udało się, bo Margret stanowiła dla niej wzór kobiety o rewolucyjnych poglądach.

Był także pewien, iż doprowadził ją do punktu, do którego nie dotarła pięć lat temu. Nie do końca się to zgadzało. Szeף ją tu doprowadził. Nie zaprzeczyła jednak profesorowi, by go nie zranić i nie spowodować, że zmieni zdanie na temat jej postępów.

Eberhard Brauning powiedział: - Możemy być bardzo zadowoleni, proszę pani.

Nie była zadowolona. Wciąż widziała twarz Frankiego. Jak na nią spojrział, gdy puścił jej dłoń. I jak tuż wcześniej puścił dłoń żony, krzyząc: - Nie, Ute, wystarczy. Przestań. Nie rób mi tego! - Ute nic mu nie zrobiła.

W jednej z rozmów profesor powiedział, że Frankie szukał śmierci. Długo się nad tym zastanawiała. Nie doszła do żadnego wniosku. Wiadomo było tylko, że Frankę kochał śmierć - raz. A potem znalazł sobie kobietę, która dokładnie ją przypominała

Eberhard Brauning przyszedł tuż przed czwartą. Chciał wziąć jej walizkę. Odmówiła, pożegnała się z Mario i podążyła za adwokatem na zewnątrz.

Gdy usiadł obok niej w samochodzie, powiedział: - Wczoraj rozmawiałem z pani mężem. Przykro mi, ale nic nie osiągnąłem.

Wzruszyła ramionami i utkwiała spojrzenie przed siebie. Gereon chciał się rozwieść, nie spodziewała się niczego innego. Choć ostatnio miała nadzieję... Do momentu nad jeziorem nie zrobiła przecież nic złego.

- Nie szkodzi - powiedziała. - Liczyłam, że się jeszcze zastanowi. Ale skoro nie chce, to trudno. Pewnie tak jest lepiej. Koniec to koniec, prawda?

Eberhard Brauning skinął głową i skoncentrował się na jeździe. Spytała: - Muszę być przy tym? Na pewno może to pan załatwić beze mnie. Niech pan po prostu powie, że cały dzień jestem w tej klinice. Że wolno mi wychodzić tylko wieczorem. I niech pan przekaże Gereonowi, że chcę



dostać kuchnię i moje osobiste rzeczy. I żebym od czasu do czasu mogła widywać dziecko. Nie musi to być często ani długo. Raz w miesiącu na godzinę lub dwie, tyle mi wystarczy. Dopóki mieszkam u Margret, Gereon może z nim wpadać wieczorami. Chcę tylko wiedzieć, że mały ma się dobrze.

Nie oczekiwała odpowiedzi. Nie patrzyła też, czy skinął głową. Po chwili milczenia spytała: - Jak długo może potrwać ta terapia? Rok, dwa lata?

- Trudno powiedzieć, proszę pani. To zależy od wielu czynników. Oczywiście przede wszystkim od pani.

- Tak sądziłam. Zawsze przede wszystkim ode mnie. - Zaśmiała się cicho. - Postaram się. Nie mogę wiecznie mieszkać u Margret. A nie opłaca mi się szukać własnego mieszkania. Muszę jak najszybciej wrócić do domu. Słyszał pan coś nowego o moim ojcu?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Rudolf Grovian obiecał wyjaśnić jej, że ojciec nie żyje. - Zrobię to. I tak jestem dla niej kozłem ofiarnym. - Niedługo po wizycie we Frankfurcie, powiedział jej wszystko. Eberhard Brauning był tego pewien.

Patrzyła przed siebie na jezdnię. - Przypuszczałam - powiedziała - że Gereon odstąpi od rozwodu. Najlepiej jak pójdę tam, gdzie mnie potrzebują. Zajmę się ojcem. Tak postanowiłam. Mycie, czesanie, karmienie, to co trzeba zrobić przy starym mężczyźnie przykutym do łóżka. Zabiorę też matkę. Muszą mi ją przecież oddać, prawda? Nie jest niebezpieczna, nikomu nic nie zrobi. I postaram się, żeby Magdalena trafiła do ogniat. Nie wiem jeszcze, jak. Ale jakoś mi się uda. Nawet jeśli będę ją musiała odkopać po nocy. Jakoś mi się uda.

Milczała przez kilka chwil, a potem uśmiechnęła się, rzuciła mu szybkie spojrzenie i powiedziała: - Niech się pan nie boi! Tak tylko mówię. Szef powiedział, że

to bezczeszczenie zwłok czy też naruszanie spokoju zmarłych. I nie zapomniałam, gdzie jest mój ojciec. Obawiam się, że nigdy już niczego nie zapomnę. To tylko teoretyczne rozważania. Lubię sobie wyobrazać, jak siedzę na jego łóżku i rozmawiam z nim. Chciałabym mu wszystko wy-

Potem jej ramiona naprężyły się, głos stał się twardy. - Niech pan pomyśli. Własna kuchnia. Każę ją od razu przewieźć do Buchholz. I moje osobiste rzeczy. Nie chcę pieniędzy. Mam ich wystarczająco dużo. Dom też. I samochód. Wszystko już stare, ale ciągle jeszcze jest. A ktoś musi zadbać, żeby zupełnie nie niszczało. Wyobraża pan sobie, jak wygląda ogródek przed domem? Ojciec zawsze był z niego taki dumny. Ogródek i firanki. Nie dbał o to, jak wyglądał dom od środka. Ale firanki musiały być czyste. Pan Grovian powiedział, że w czasie jego wizyty wszystko było w porządku. Jednak minęło już dużo czasu.

Westchnęła. - Słyszał pan coś o panu Grovianie? - Eberhard Brauning pokręcił głową. Jeszcze raz wzruszyła ramionami. Koniec to koniec. Następował szybko.

Tylko wspomnienia nie mijały. Odchodziły dopiero z ostatnim grzechem. Zobaczmy. Jeśli nie da się wytrzymać... klinika dziennego pobytu. I noce w mieszkaniu Margret. Margret często pracowała na nocną zmianę. A w małej szafce obok łóżka zawsze trzymała mnóstwo leków.